PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

Błogosławiony lud, którego Panem
Bóg jego. *Ps. 143.*

ROK SZÓSTY. — TOM XXIV.

PAŹDZIERNIK, LISTOPAD, GRUDZIEŃ.

1889.

KRAKÓW.
DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1889.

SPOŁECZEŃSTWO W OBEC ROZUMU I WIARY.

I.

Początek społeczeństwa.

Pragnąc określić warunki szczęścia społecznego, potrzeba przedewszystkiem odpowiedzieć na pytanie: co to jest społeczeństwo? Zwłaszcza zaś jaki początek jego i cel? Pod tym bowiem względem w obozie wierzących i niedowiarków całkiem przeciwne panują zapatrywania. Usunąwszy Boga od wszelkiego wpływu na losy ludzkości, racyonaliści przeszłego i pierwszej połowy tego wieku upatrują w uspołecznieniu owoc jedynie woli ludzkiej, która zbadawszy nieobliczone korzyści życia wspólnego pobudziła ludzi do stowarzyszenia się pod określonymi z góry warunkami. Państwo, w ich mniemaniu, jest wynikiem dobrowolnej umowy, zawartej między obywatelami pewnego kraju, w celu zapewnienia sobie wzajemnej pomocy i osiągnienia jak największych ze wspólnej pracy korzyści. Wedle tego przeto poglądu uspołecznienie jest rzeczą dowolną, która nastąpiła w pewnej epoce cywilizacyjnego rozwoju ludzkości, ale mogłaby nastąpić wcześniej lub później, lub wcale nawet nie nastąpić.

Otóż, opierając się jedynie na właściwościach ludzkiej natury i na łatwych do sprawdzenia objawach jej działalności, bez powoływania się na Objawienie, postaramy się dowieść, że społeczeństwo jest tak samo bezpośredniem dziełem Bożem jak i urządzenie całego świata widomego; że nietylko nie zależało od człowieka żyć

pojedyńczo lub zbiorowo, lecz że przedniejsze nawet żywioły życia społecznego w głębi natury naszej spoczywają, tak iż sama forma pierwotnego stowarzyszenia koniecznym była wynikiem niezmiennego prawa natury; że jakkolwiek pierwobytna ta forma komplikowała się w ciągu wieków, stosując się do czasowych i miejscowych okoliczności, główne wszakże czynniki, nadające organizmowi społecznemu żywotność i trwałość, muszą koniecznie pozostać też same, gdyż usunięcie z nich choć jednego niechybnem rozprzężeniem całemu społeczeństwu grozi; że elementarne te czynniki odnajdują się i dziś w każdej wzorowej rodzinie, tam więc podpatrywać i analizować je potrzeba. Wykażemy wreszcie, że zabezpieczenie życia i mienia współobywateli i rozmnożenie owoców ich trudu przez właściwe urządzenie zbiorowej pracy, stanowi materyalny cel życia społecznego, lecz że ma ono oprócz tego cel moralny, przez samego Stwórcę mu naznaczony i do ostatecznego końca człowieka zastosowany, którego zapoznanie pozbawia społeczeństwo najważniejszej części wzniosłego posłannictwa jego. Przystępujemy do udowodnienia powyższych założeń, począwszy od konieczności zawiązania się ludzkiego społeczeństwa.

Że człowiek stworzony jest do życia towarzyskiego, z tego się już jawnie okazuje, iż jest on jedyną na ziemi istotą posiadającą środek porozumiewania się za pomocą słowa z podobnymi sobie istotami. Niepodobna iżby istota obdarzona darem mowy przeznaczoną była do życia samotnego. Lecz i fizyczna też natura człowieka wymaga uspołecznienia. Zwierzę pokryte szerścią, znajdujące pokarm na każdym niemal kroku i pożywające go w stanie naturalnym bez żadnego sztucznego przyrządzenia, mogące ukryć się w lada norze lub jaskini, posiadające bądź siłę, bądź zręczność niezbędną do odparcia lub uniknienia napaści, niepotrzebujące wreszcie troszczyć się długo o swe potomstwo, które niemal wnet po urodzeniu chodzi, a po krótkiem stosunkowo odkarmieniu przez matkę, samo się żywi i życie swe ochrania. Zwierzę, w ogóle mówiąc, może nie znać życia towarzyskiego a mimo to zachować tak indywidualne jak i rodzajowe istnienie swoje, na czem zależy całe jego przeznaczenie. Ale człowiek, istota stosunkowo słaba i delikatna, nie mogąca znosić gwałtownych zmian temperatury, potrzebująca nie tylko zdobyć sobie pokarm, lecz odpowiednio go też przyrządzić, nie-

zdolna bronić się od dzikich zwierząt, bez odpowiedniego oręża i zespolenia wielu bratnich ramion, istota wreszcie potrzebująca opiekować się swem potomstwem w ciągu lat kilkunastu, nie mogąca obejść się bez odzienia, bez ognia i rozmaitych sprzętów, zdołałażby zaspokoić sama jedna wszystkie te wymagania tak różnorodne i do zaspokojenia trudne, a jednak do podtrzymania życia niezbędne? Postawmy najsilniejszego nawet i najodważniejszego mężczyznę wśród dzikiej natury, ogołoćmy go ze wszystkiego co nas otacza w ucywilizowanem społeczeństwie, a i ten olbrzym nawet nie da sobie rady sam jeden, będąc zmuszony myśleć jednocześnie o zdobyciu żywności, odzienia, mieszkania i bronieniu się od czyhających nań dokoła drapieżnych bestyj. Czytamy niekiedy o rozbitkach wyrzuconych na bezludną wyspę, i serce się nam ściska pod wrażeniem scen tragicznych, jakie z podobnego położenia koniecznie wynikają; gdyż walka pojedyńczego człowieka ze sprzysiężonymi na zgubę jego żywiołami musi pierwej czy później zakończyć się ostateczną człowieka przegraną.

Ta sama potrzeba i z tego się jeszcze wykazuje, iż nie wszyscy ludzie otrzymali jedne i też same zdolności, lecz każda niemal jednostka celuje w pewnych zatrudnieniach, w innych zaś jest upośledzona. Nie mówimy tu o uzdolnieniu fachowem, które jest owocem specyalnego wykształcenia, lecz o przyrodzonej łatwości do tego lub owego zajęcia, bez której najusilniejsza nawet praca jałowym pozostanie trudem. Zwierzęta, ptaki, owady otrzymują w ogóle z natury uzdolnienie rodzajowe, wspólne całej grupie pewnych organicznych istot; że zaś uzdolnienie to odpowiada potrzebom danego rodzaju, wystarcza ono przeto do niezależnego podtrzymania tak indywidualnego jak i zbiorowego bytu, bez uciekania się do postronnej pomocy. Inaczej rzecz ma się z człowiekiem, który we współce jedynie zaspokoić jest w stanie wszystkie swoje potrzeby; gdyż zbywa mu nietylko na siłach, lecz i na odpowiednem uzdolnieniu. W tym samym kraju, w tej samej nawet rodzinie i przy tem samem pierwotnem wychowaniu każde niemal indywiduum innymi obdarzone jest zdolnościami, tak iż sama natura usposabia rodzaj ludzki do podziału pracy. To też spostrzegamy, iż na całej kuli ziemskiej, i to od najdawniejszych czasów, każdy członek wielkiej ludzkiej rodziny oddaje się specyalnemu jakiemuś zajęciu, do

którego ma większy pociąg i większe uzdolnienie; co mu daje możebność zaspakajania pod tym względem nietylko własnych lecz i bliźnich też potrzeb, za co otrzymuje nawzajem braterską w innych gałęziach pomoc. Postęp cywilizacyi mnoży wprawdzie ilość specyalnych zajęć w społeczeństwie, ale dążenie do podziału pracy wynika z samej ludzkiej natury, która prowadząc ludzi instynktowo do wspierania się nawzajem, zmusza ich przez to samo do zawiązania się w społeczeństwo.

Lecz jeśli materyalny byt człowieka nie dałby się zabezpieczyć bez wzajemnej pomocy, to moralne jego potrzeby tembardziej nie zdołałyby znaleść zaspokojenia bez łączności towarzyskiej. Kiedy indziej zastanawiając się nad rozwojem rozmaitych gałęzi wiedzy, widzieliśmy, że obcowanie z ludźmi, zwłaszcza zaś zetknięcie się z ucywilizowanem społeczeństwem, jest niezbędnym warunkiem normalnego umysłowych władz naszych rozwoju, jak zetknięcie się znowu ze światem widomym jest koniecznym warunkiem prawidłowej działalności zmysłów. Od społeczeństwa uczymy się mówić, od niego przyswajamy sobie nagromadzone w ciągu wieków nabytki nauk i przemysłu; za jego też pośrednictwem przenikają do serc naszych religijne wierzenia i zasady moralności, tak iż z całą pewnością twierdzić się godzi, że człowiek oddzielony od społeczeństwa nie byłby w stanie odpowiednio się rozwinąć pod względem tak umysłowym jak i moralnym. Skarby złożone przez Stwórcę w głębi ludzkiego ducha leżałyby martwe, a raczej drzemałyby nierozbudzone w tej bogatej skarbnicy, w stanie zdolności raczej niż objawu, gdyby stosunki z ludzkiem społeczeństwem na jaw ich nie wydobyły i do właściwej nie zmusiły działalności. Władze te nadto rozwijają się i potężnieją w prostym stosunku nietylko do udziału jaki dana jednostka przyjmuje w cywilizacyjnym rozwoju własnego kraju, ale też i do udziału jaki kraj ten bierze w cywilizacyjnym pochodzie całej ludzkości. Im szersze koło obejmą naukowe, ekonomiczne i państwowe stosunki jakiego narodu, tem wykształcenie obywateli jego będzie wszechstronniejsze, każdy bowiem pojedyńczy umysł znajdzie tam środki dotarcia w dziedzinie wiedzy do ostatecznych krańców swego uzdolnienia; podczas gdy w państwach odosobnionych i zacofanych niepospolite nawet talenta nie-

raz się marnują, pozbawione będąc niezbędnych do dalszego kształcenia się warunków.

Człowiek wreszcie, jako istota rozumna, pracą i doświadczeniem swojem udoskonala nie tylko wnętrze własnego ducha, przez umysłowe i moralne wykształcenie, ale też i swój byt materyalny, tak, iż co chwila zdobywa nową jakąś bądź indywidualną, bądź towarzyską dogodność, którą następnie potomstwu swemu w spuściźnie pozostawia. Tym sposobem każde nowe pokolenie rozporządza coraz bogatszym zasobem środków zaspokojenia swych potrzeb. Żeby jednak owe nabytki wygody i zamożności mogły być od chciwego zastrzeżone łupiestwa niezbędna jest opieka prawa i pomoc stróżów sprawiedliwości; indywidualne bowiem siły nie byłyby w stanie odeprzeć napaści wyuzdanych złoczyńców, co wolą cudzej zapobiegliwości przywłaszczyć sobie plony, niż znojnym trudem na własne zarabiać utrzymanie. I pod tym przeto względem organizacya społeczna okazuje się dla ludzkiego rodzaju niezbędną.

Biorąc na uwagę tę ważną okoliczność, że człowiek, jako istota wolna i rozumna, ze świadomością i z własnego wyboru zwykł zmierzać do celu, którego użyteczność jest dlań niewątpliwą, godziłoby się twierdzić, iż wyżej wyłuszczone pobudki dostatecznym są bodźcem, by rodzaj ludzki do zawiązania się w społeczeństwo skłonić. Mądrość jednak Stworzyciela zbyt wielką śnadź wagę do uspołecznienia człowieka przywiązywała by na wykazaniu korzyści jej poprzestać, gdyż ludzka samowola najoczywistszy nawet własny interes zapoznaćby mogła, opatrzne zamiary Boże nieoględnością swoją udaremniając. To też zapobiegając temu podobało się Stwórcy tak usposobić ludzką naturę, iż magnetyczną, że tak rzekę siłą pociągu przynaglana, do zespolenia swych interesów z innymi ludźmi, a przez to samo do uwiązania się z nimi w społeczeństwo jest zmuszona. Nieprzepartą zaś ową siłą, stanowiącą zarazem i najpotężniejszą do uspołecznienia podnietę i najtrwalszy towarzyskiej budowy cement, jest przyrodzona miłość, pociągająca ku sobie ludzi bezwiednie, a niekiedy nawet przeciwko ich woli, instynktową jedynie potęgą sympatyi. Mężczyzna, umiłowawszy niewiastę naturalnym instynktem pragnie stale zespolić z nią swe losy; skoro zaś związek ten wyda owoce w dzieciach, taż przyrodzona siła miłości, co zjednoczyła swym instynktownym pociągiem rodziców, wnet

ogarnia i całe ich potomstwo, łącząc w jedną, solidarnie związaną całość, wszystkie do tejże rodziny należące osoby. Rodzice z przyrodzenia kochają swe dzieci, wprzód jeszcze nim się w nich objawią złe lub dobre zalety; dzieci też nawzajem, zanim jeszcze dojdą do użycia rozumu, już miłują ojca i matkę, przywiązując się też nawzajem do siebie, tak, iż każdy z członków rodziny życie wspólne za pierwszy warunek szczęścia poczytuje, cierpiąc prawdziwe udręczenie przy każdem rozstaniu. Obojętność, a tem bardziej niechęć wzajemna w rodzinie, uważana jest powszechnie, nawet w porządku przyrodzonym, za stan wyjątkowego skażenia, tak, że sami poganie dzieci, nie kochające swych rodziców lub nienawidzące się nawzajem wyrodnymi zowią.

Wzgląd ten, że miłość przyrodzona działa niezależnie od rozumu i woli, pociągając ludzi i kojarząc ich w rodzinę, nie w skutek obmyślanego postanowienia, na przekonaniu o wynikających stąd korzyściach opartego, lecz przedewszystkiem siłą instynktowej sympatyi, którą rozum tylko zatwierdza lub zgania, wzgląd ten, powiadamy, niezmiernej jest wagi w kwestyi ludzkiego uspołecznienia; nie tylko bowiem wykazuje, że zawiązanie się życia towarzynie jest owocem dowolnego kontraktu wprowadzając też do organizmu społecznego odrębną całkiem od rozumu i woli siłę, zmusza bezstronnych badaczy do uwzględnienia tego czynnika przy rozbiorze wszelkich kwestyj społecznych. Zwracamy przy tem uwagę, iż ta miłość przyrodzona, o której mówimy, wielce się różni od owego krótkotrwałego pociągu, który sprawia, iż dzikie nawet bestye szukają się nawzajem i przez pewien czas potomstwem się swojem opiekują; przemijający bowiem ten pociąg nie jest w stanie pierwszego nawet zarodku społeczeństwa uformować, skoro po kilku najdalej miesiącach zadzierzgnięte przezeń węzły zrywają się i zacierają zupełnie. Przez miłość przyrodzoną, kojarzącą ludzi w społeczność rodzinną, rozumiemy to uczucie, człowiekowi tylko właściwe, mniej lub więcej silne, trwałe i bezinteresowne, co jakkolwiek poczyna się niezależnie od rozumu i woli, we wznioślejszych wszakże swoich objawach nie tylko wolne jest od lekkomyślności i samolubstwa, lecz do grobu owszem trwając, przed heroicznem nawet nie cofa się poświęceniem.

Jeżeli rodzina, samą siłą naturalnego rozwoju, przekształca się

z postępem czasu w państwo, to organiczne żywioły, składające ją w pierwotnej formie, odnaleść się też winny i w powstałej z niej społeczności; że zaś miłość, jak widzieliśmy, stanowi w rodzinie ową kojarzącą siłę, co pojedyńcze indywidua łączy i zespala w jedną organiczną całość, i państwo przeto pozbawione tej siły, skłonne będzie do rozpadnięcia się na składowe pierwiastki, ilekroć krępująca przemoc rządu choć na chwilę osłabnie. Komuż przytem nie wiadomo, iż miłość rodzinna tem jest słabsza, im dalszy stopień pokrewieństwa łączy spokrewnione osoby, tak że w piątem, szóstem pokoleniu przywiązanie to całkiem niemal wygasa; przy takiem zaś usposobieniu ludzkiego serca łatwo jest przewidzieć, coby się stało z ową kojarzącą siłą w społeczeństwie, chociażby jednoplemiennem, któreby już kilkanaście, lub kilkadziesiąt liczyło pokoleń od wspólnego praojca? Rozpadłoby się ono na pojedyńcze rodziny, co najmniej szczepy, ale wspólnej miłości, a tem samem i moralnego cementu, łączącego wszystkich w jedno, całkiemby zabrakło. To też w społeczeństwach założonych przez samego Stwórcę, tj. w narodach, Opatrzność wlewa w serca współrodaków niemniej silne jak miłość rodzinna, a równie jak ona wrodzone uczucie, miłością ojczyzny zwane, które ożywiając wszystkie samolubstwem nie zarażone serca, tak je do patryotycznych usposabia ofiar, iż nietylko osobisty lecz i rodzinny interes dla dobra kraju poświęcić są gotowe. Owo uczucie miłości ojczyzny, którego ani zaprzeczyć, ani sztucznie wytworzyć nie podobna, nowym jest dowodem, że narody nie są dziełem ludzkiem, że ich nie wytworzyły ani dobrowolne umowy, na wspólności interesów oparte, ani też wpływy czasowych i miejscowych okoliczności, lecz że je powołała do bytu taż Wszechmogąca Mądrość, co i serce ludzkie ukształtowała; żadna bowiem spółka handlowa, choćby wieki trwała, miłości nowej w piersiach członków swoich zapalić nie jest w stanie, gdyż jest to przywilej jednego tylko Boga.

Rola jaką odgrywa w społeczeństwie miłość ojczyzny jest niezmiernie ważna i odpowiada całkiem działaniu miłości rodzinnej w życiu familijnem: jest to, śmiało rzec można wszystko w ruch wprowadzający motor, i wszystko zarazem w jedną organiczną całość kojarzący cement. Nierozumiałą potęgę tego czynnika i przeważny wpływ jego na pomyślność państwa znały już i starożytne

narody, skoro płynącemu z miłości ojczyzny poświęceniu swych bohaterów, najświetniejsze tryumfy swe przypisywali. Dość przeczytać, co greckie i rzymskie dzieje mówią o Leonidasie, Kurcyuszu lub Regulusie, by pojąć jak wysoko sami poganie cenili cnotę patryotyzmu. Potęga i wewnętrzna pomyślność każdego państwa od tego przedewszystkiem zależy, jak są usposobione względem kraju serca jego obywateli, tak, że bez przesady rzec można, iż najpewniejszym barometrem zdrowia i żywotności jakiegobądź narodu jest stopień miłości jego dla ojczyzny. Zagaśnięcie tego świętego ognia na zniczu narodowym bywa zawsze niechybną przepowiednią ostatecznej jego ruiny. To też niezmiernie smutnym jest objawem współczesnej cywilizacyi zapoznanie przez ogromną większość publicystów, a nawet mężów stanu, tak potężnego czynnika, który żadną miarą zastąpionym być nie może w życiu publicznem ani względami na pożytek państwa, ani tem mniej na własny interes. Zwodniczą też jest zasada, iż dla zapewnienia wewnętrznej pomyślności kraju dość jest oprzeć prawodawstwo na ścisłej sprawiedliwości i postanowić rzetelnych wykonawców prawa; ścisła bowiem sprawiedliwość nie zaspokoi istotnych potrzeb każdego, gdyż jedna miłość moc tę cudowną posiada.

Żeby się o tem przekonać porównajmy zasady, jakimi rządzi się kochająca rodzina przy podziale pracy i otrzymanych z niej korzyści, z powszechnie dziś przyjętymi w tej kwestyi przez ekonomią polityczną zasadami. Pod wyrozumiałem i uwzględniającem siły i zdolności każdego członka rodziny przewodnictwem ojca i matki, każde z dzieci przyjmuje udział w codziennych zajęciach, szczerze wprawdzie i ochoczo, ale w miarę jedynie swego uzdolnienia, tak że jedni przyczyniają się nierównie więcej do wspólnego dobra niż drudzy, a jednak, kiedy przychodzi do podziału owoców pracy, każdy z członków rodziny korzysta z nich nie w miarę przysporzonego pracą swą pożytku, lecz w miarę jedynie istotnej swej potrzeby. Posiadając całkowite dzieci swych zaufanie, wszystkie je zarazem kochając i nawzajem od nich kochani, rodzice śmiało uwzględniać mogą prawdziwe jedynie dobro całej rodziny, nie tracąc przytem z oczu tak uzdolnienia jak i potrzeb każdego z pojedyńczych jej członków. Stąd na silniejszych i bardziej zaprawionych do pracy wkładają cięższe nierównie brzemiona niż na

wątłych lub nieuzdolnionych, a jednak, przy rozdziale owoców wspólnego trudu, ci ostatni częstokroć najszczodrzej bywają opatrzeni. Drobne np. dzieci i chorzy, chociaż prawie nic nie produkują, w większe opływają wygody niż zdrowi i dorośli. Skoro zaś wiek lub niemoc jaka samych rodziców niezdolnymi do pracy uczyni, wnet stosunek odwrotny ustala się w rodzinie; dzieci mianowicie, wspierają i zastępują rodziców, na nich i na siebie pracując. Tym sposobem zawsze przestrzegana jest zarazem i zasada solidarności, nakazująca pamiętać o potrzebach wszystkich bez wyjątku członków rodziny, i zasada bezinteresownej sumienności, skłaniająca każdego do pracowania wedle sił i zdolności, nie oglądając się na osobiste z pracy korzyści. Miłość wzajemna sprzwia tu, iż pociecha płynąca z poratowania w potrzebie swych ukochanych lub z osłodzenia im losu, stanowi aż nadto wystarczającą nagrodę za podjęte dla nich trudy. Uprzedzony chyba umysł nie przyzna, iż miłość jest najlepszą wzorowego rodzinnego życia mistrzynią, bez jej bowiem dobroczynnego wpływu słabsi i upośledzeni od natury nigdyby zaspokojenia swych potrzeb nie znaleźli.

Jakże inaczej przedstawia się kwestya korzystania z owoców wspólnej pracy w społeczeństwach opartych nie na miłości lecz na zasadzie ścisłej sprawiedliwości, która rzekomo wymaga, by każdy otrzymał wynagrodzenie odpowiedne przysporzonej korzyści. Weźmy np. spółkę rzemieślniczą, dzielącą zyski w stosunku do wartości przyniesionej pracy. Z dwóch wyrobników, z których jeden obarczony liczną, ale niezdolną do ciężkiego trudu dziatwą, drugi zaś sam jeden, a do tego młodszy i silniejszy, ostatni otrzyma więcej nierównie niż na swe utrzymanie potrzebuje, podczas gdy pierwszy nie będzie w stanie zarobkiem swoim opędzić koniecznych potrzeb rodziny, przy najsumienniejszej nawet pracy: a cóż i mówić o wypadku kalectwa lub choroby naczelnika rodziny, który wedle tej zasady, nie ma prawa do kawałka chleba, skoro zapracować nań nie może. Jeśli miłosierdzie nie poratuje tych biedaków, śmierć głodowa nieuchronnie ich czeka. I możnaż, pytam, zasadę podobną nazwać słuszną lub dla społeczeństwa zbawienną? Nie stokroćże lepiej oprzeć ustrój społeczny na tejże zasadzie miłości, na której opiera się każda szczęśliwa rodzina? Niektóre państwa, przerażone groźnym rozwojem kwestyj socyalnych, dla uniknienia gotu-

jącego się za sprawą zrospaczonych wyrobników przewrotu, weszły już na drogę polubownego kompromisu, a uwzględniając coraz to krytyczniejsze położenie proletaryatu, obmyślają pomocnicze dla nich instytucye, zdolne, w razie nieszczęścia, uratować rodziny zmarłych lub inwalidów od głodowej śmierci. Jakkolwiek usiłowania te są chwalebne, trudno jednak spodziewać się, by mogły całkowicie odpowiedzieć celowi, będąc i same oparte na samolubnej zasadzie interesu państwa, które gdyby się nie czuło zagrożonem przez socyalne doktryny, wcaleby się o los wyrobników nie troszczyło. Aby reformy społeczne w tym kierunku prowadzone istotnie błogie wydały owoce, potrzeba koniecznie oprzeć je na jasnej, prawdziwej i dobroczynnej zasadzie, któraby jak najszersze koła ogarnąć i pociągnąć mogła, taką zaś zasadą jest niezaprzeczenie oparcie organizacyi państwa na tychże podstawach, na których wspiera się rodzina. Zasada ta łatwą jest do pojęcia, gdyż każdy zna wewnętrzne urządzenie rodziny; prawdziwą też jest i słuszną, rodzina bowiem, będąc ziarnem życia towarzyskiego, pozostanie też na zawsze pierwowzorem społeczeństwa, pomimo komplikującego się coraz bardziej mechanizmu państwowego, przeto, że zasadnicze społeczeństwa żywioły: władza, prawo i obowiązek, tak samo odnajdują się w organizmie rodziny jak i w organizmie państwa; moralne zaś ich znaczenie jaśniej i prawdziwiej przedstawia się w pierwszym niż ostatnim.

Bliższe poznanie i należyte ocenienie warunków moralnego zdrowia i pomyślności rodziny niezmiernie dziś jest pożądanem nie tylko dlatego, że warunki te ukażą nam drogę wiodącą do odrodzenia chorego społeczeństwa, lecz i dla ważności też samej rodziny, która jakkolwiek zapoznana i lekceważoua obecnie przez nowatorów, nie przestała być filarem podtrzymującym klucz państwowego sklepienia. Ścisłość związku łączącego państwo z rodziną tak jest naturalna i oczywista, że w minionych wiekach prawodawcy wszystkich ludów nieustanną otaczali pieczą ognisko domowe, aby je od wszelkiego ochronić szwanku; głęboko o tem będąc przeświadczeni, że z rozluźnieniem związków rodzinnych pękłyby niechybnie i wszystkie inne węzły, wewnętrzną spójnią społeczeństwa stanowiące. Nawet w pogańskim Rzymie, kiedy nierząd i rozpusta do tego stopnia doszły, iż ostatecznem rozprzężeniem zagrażały

rodzinie, dekreta Cezarów stanowczo w obronie domowego ogniska stanęły, ojców rodziny szerokimi darząc przywilejami, i to nie z żadnych religijnych lub etycznych pobudek, lecz w skutek jedynie zachowawczego instynktu władzy, dobrze pojmując, iż rodzina ostatnią warownią towarzyskiego porządku stanowi. Jakoż, pominąwszy nawet rozwiązłość obyczajów, koniecznie za lekceważeniem związków małżeńskich idącą, niepodobna zaprzeczyć, że pracowitość, rządność, chętna uległość dla zwierzchników i poszanowanie własności są głównym nerwem życia towarzyskiego, wszystkie zaś pomienione cnoty w rodzinnych zwłaszcza uczuciach źródło swe biorą. Któż nie przyzna, iż człowiek, z naturalnego usposobienia, stara się o zabezpieczenie bytu, nietylko własnego, lecz i osób, których los najbliżej go obchodzi, a owa troska o ich potrzeby, która dodaje mu z jednej strony bodźca do gorliwszej pracy, powstrzymuje go z drugiej od lekkomyślnego marnotrawstwa, przypominając mu, iż musi oglądać się wciąż na jutro. Przywiązanie przytem rodzicielskie podnosi uczucie własnej godności w duszy rodziców, którzy pragnąc dać dobry przykład dzieciom, nierównie pilniej wystrzegają się gorszących i nieoględnych postępków, niżby to może bez tej pobudki uczynić chcieli. Ileż to razy widziano jak wzgląd na wysokie dostojeństwo małżonka i ojca, płochego wietrznika w statecznego i godnego naśladowania przekształcał obywatela. Przyuczywszy się nadto do sumiennego traktowania spraw rodzinnych, każdy przykładny ojciec staje się też nierównie rozważniejszym, ilekroć przychodzi mu wziąść udział w sprawach publicznych; jasno to bowiem pojmuje, iż z uszkodzeniem społecznej nawy i prywatne też interesa poszwankują. Pragnienie wreszcie pozostawienia po sobie dzieciom spuścizny jest najpewniejszą poszanowania i cudzej też własności rękojmią; gdyż ten tylko bezpiecznie swym spadkobiercom odkazać może to co posiada, kto sam na straży prawa dziedzictwa zawsze stał wiernie. Dzieci też ze swej strony, trzeźwą i czujną troskliwością rodziców od kolebki otoczone, przywykają widzieć w przełożonych nietylko karcącą samowolne wybryki, lecz i opiekuńczą też władzę; a nauczywszy się oddawać rodzicom, krom chętnego posłuszeństwa, pełne też czci przywiązanie, uczucia te i do swych zwierzchników później przenoszą, zaufaniem swem i powolnością trudne ich posłannictwo ułatwiając.

Skoro zaś tyle i tak ważnych społecznych żywiołów na rodzinie się opiera, to któż obliczyć zdoła szkody jakie wyrządza publicznej sprawie każdy cios, co raniąc tak żywotny organ działalności całego społecznego organizmu sparaliżowaniem grozi? I zaiste! nie mówiąc już o upadku najprzedniejszych cnót moralnych, które w przykładnem tylko domowem ognisku kwitną, ileż to szkód niepowetowanych z rozprzężeniem rodziny na ludzkość by spadło! Praca traci cel swój i powab; miłość, nie uświęcona i pozbawiona straży obowiązku, staje się igraszką rozkiełznanych namiętności; własność rzucona na pastwę kaprysu, szalbierstwa lub przemocy; urok władzy całkiem rozwiany, a wpływ jej na sile jedynie oparty; prawodawstwo, nie zabezpieczające szczęścia domowego, lekceważone; co zaś groźniejsze nad to wszystko, dzieci pozbawione rodzicielskiej opieki i wyzute z rodzinnego mienia, od kolebki rzucone na hazard losu lub najemnej powierzone pieczy, nie przeczuwając nawet ile skarbów czułości i poświęcenia Opatrzność złożyła w sercu matki, wzrastają nie znając innych uczuć krom żądzy swobodnego używania, ani innych zasad krom przekonania o niewątpliwem do tego używania prawie. To też dość wyobrazić sobie społeczeństwo, gdzieby nierząd rozgościł się pod każdym dachem, wszystkie zaś dzieci wychowywały się w domach podrzutków, aby pojąć, coby się stało z ludzkością po ostatecznem rozprzężeniu rodziny. A któż, pytam, nie zadrży w obec tego horoskopu? kto nie wyzna, że ostatnią kotwicą zbawienia, wśród miotającej społeczną nawą burzy, jest ognisko domowe, nad którego rozbiciem niewiara tak usilnie dziś pracuje? Że jednak chodzi nam o ratowanie społeczeństwa chrześcijańskiego i rodzina przeto, aby mogła odpowiedzieć tak wysokiemu posłannictwu, i sama też winna być chrześcijańską, tj. ma obowiązek uwzględniać nie tylko doczesne, ale też i wiekuiste potrzeby swych członków; inaczej bowiem nie stanie się ani węgielnym kamieniem, ani prototypem chrześcijańskiego państwa. Najprzykładniejsza nawet rodzina, przyrodzoną tylko ożywiona miłością, a pomocą łaski nie wsparta, nie wzniesie się nigdy ponad poziom cnót przyrodzonych i to w ciasnym jedynie zakresie doczesnych familijnych interesów. Póki chodzi o zapewnienie materyalnego bytu i świadomego stanowiska, tak rodziców, jak i dzieci,

wolne od zazdrości, a gotowe do poświęceń wzajemne ich przywiązanie wystarczy na to, by wspólnymi siłami zdobyć dla każdego z członków rodziny, jak najkorzystniejsze możliwe warunki; w stosunku wszakże do wiekuistej szczęśliwości, której zdobycie nie może się obejść bez licznych i ciężkich z doczesnych używań ofiar miłość przyrodzona nie tylko nie wystarcza, lecz staje częstokroć całkiem na zawadzie. Któż z własnego nie wie doświadczenia, iż nieraz ludzkie przywiązanie odwieść nas usiłuje od twardych wprawdzie, ale koniecznych chrześcijańskich powinności? Ilekroć ich spełnienie smutku lub cierpienia ma się stać przyczyną? Tylko wiara w życie zagrobowe i umiłowanie nadewszystko Najwyższego dobra, zdolne są natchnąć nas dostateczną odwagą, by wbrew przyrodzonym skłonnościom poświęcić obecne używanie, bądź własne, bądź naszych umiłowanych, dla oczywistej tylko dla oka wiary przyszłości. Jeżeli przeto związek rodzinny ma być dla wszystkich jej członków duchowego odrodzenia i postępu w doskonałych cnotach dźwignią, to obok wzajemnego przywiązania, wszyscy członkowie rodziny ożywieni być winni miłością chrześcijańską, która ucząc z jednej strony jak siebie i bliźnich kochać mamy, udziela z drugiej niezbędnej do spełnienia podawanej nauki siły.

Taka tylko miłość ustrzeże tak rodziców jak i dzieci od właściwego przyrodzonemu przywiązaniu zaślepienia, co dla uprzyjemnienia obecnej chwili zamyka dobrowolnie oczy na wszelką ofiarę przez obowiązek wymaganą. Konieczność owej miłości chrześcijańskiej tem wyraźniej się uwydatnia jeśli od wewnętrznych stosunków domowych przejdziemy do stosunków sąsiednich, gdzie rodzinne przywiązanie już nie sięga. Tu dla egoizmu całkiem swobodne otwiera się pole, tylko że nie w postaci indywidualnego sobkowstwa, lecz samolubnego interesu rodziny. Ten sam w trudach i oszczędności zahartowany ojciec, co na korzyść własnych dzieci przed najcięższą nie cofnie się ofiarą, gotów skrzywdzić lub pognębić sąsiada, dla polepszenia losu umiłowanej rodziny. Na straży zaś interesów osób całkiem obcych a nawet wrogo usposobionych, stoi jedna miłość chrześcijańska, która nakazawszy kochać bliźniego jak samego siebie, wszystkich bez wyjątku ludzi w poczet bliźnich zalicza. Miłość nadto chrześcijańska, zalecając kochać Boga nadewszystko, miarkuje wszelkie przywiązanie do stworzeń, poddając

je górującej nad wszystko miłości Stwórcy. W skutek tej zależności, nie tylko miłość siebie, ale też i miłość rodziny, i miłość kraju zstępują w serca chrześcijanina na niższe stopnie, tak że interesa Królestwa Bożego górują nawet nad interesami ojczyzny. Skoro więc nie każda, ale chrześcijańska tylko rodzina może za pierwowzór społeczeństwa służyć i stać się owem życiodajnem ziarnem, z którego drzewo publicznej pomyślności wykwita, to sama natura rzeczy skłania nas do bliższego obznajomienia się z organizacyą chrześcijańskiej rodziny, do czego też w następnym przystąpimy rozdziale.

(C. d. n.)

Ks. Z. Szczęsny.

BISKUPSTWA I KLASZTORY POLSKIE

W X i XI WIEKU.

(Dokończenie).

Wspaniałe dzieło wzniesione takim mozołem i tylu krwią przez Mieszka I i Bolesława Wielkiego, pochylało się do upadku pod mniej wytrawnym kierunkiem Mieszka II, który pomimo dzielności osobistej, wielkiemu zadaniu pozostawionemu sobie przez ojca i dziada nie dorósł. I on otaczał Kościół pieczołowitością, lecz o fundacyach przez niego uczynionych nie przechowała się żadna wiadomość. Gdy zaś po wielu nieszczęściach i klęskach oczy zamknął dnia 17 maja roku 1034, gdy żona jego wygnana, i młody syn jego Kazimierz również kraj rodzinny opuścił, wtedy nie tylko państwa sąsiednie rzuciły się na Polskę, jako na zdobycz łatwą, ale i właśni mieszkańcy trapili kraj niecnymi rozruchami i hańbiącymi plamili się czynami. Albowiem, jak Gall opowiada: *in dominos servi, contra nobiles liberati se ipsos in dominium extulerunt, aliis in servicio versa vice detentis, aliis peremptis, uxores eorum incestuose honoresque sceleratissime rapuerunt. Insuper etiam a fide catholica deviantes, quod sine voce lacrimabili dicere non valemus, adversus episcopos et sacerdotes Dei seditionem inceperunt eorumque quosdam gladio quasi dignius peremerunt, quosdam vero, quasi morte dignos viliori, lapidibus obruerunt.*

Wiadomość tę potwierdzają i źródła zagraniczne; że zaś te wewnętrzne rozruchy były nie tylko natury politycznej, lecz prze-

ważnie reakcyą dość silnego jeszcze pogaństwa przeciw chrześcijaństwu, o tem świadczą wymownie słowa Galla i Nestora, najwymowniej zaś ten fakt, na który zbyt mało zwracano dotychczas uwagi, że prawie wszystkie fundacye pobożne z czasów Mieszka I. i Bolesława Chrobrego wśród tych zamieszek zaginęły tak dalece, że w naszych źródłach i dokumentach późniejszych ani śladu po nich nie pozostało. I tak zaginęły bezpowrotnie klasztory kwitnące niegdyś w Gnieźnie, Poznaniu, Międzyrzeczu, Kazimierzu, Łęczycy, Kaszczorku, opactwo św. Marcina w Wrocławiu i zapewne wiele jeszcze innych, o których nawet pamięć nas nie doszła. I Tyniec został zburzony, lecz doczekał się restauracyi. Przetrwały zaś tę burzę tylko klasztory trzemeszeński i świętokrzyski, oraz płocki, jeżeli ostatni rzeczywiście już w owych czasach istniał.

Arcybiskupstwo zaś gnieznieńskie i biskupstwa polskie, jako instytucye o wiele rozleglejsze i silniejsze i w zasoby obronne bogatsze, mające swe stolice w głównych miastach ówczesnej Polski i naokoło siebie lud z bardziej już ugruntowaną wiarą, doznały wprawdzie szwanku, ale nie zostały zburzone do szczętu; więcej aniżeli poganie, szkodzili im Czesi, którzy Kraków, Gniezno i Poznań obrócili w perzynę, a Wrocław z wielką częścią Szląska zabrali; z nich przynajmniej szczątki pozostały, tak że na nich można było odbudować na nowo cały gmach wstrząśnięty aż do podwalin. Zadanie to przypadło w udziale Kazimierzowi, z którym, gdy powrócił do kraju, powrócili i biskupi, o ile żyli jeszcze i o ile zniewoleni byli szukać schronienia po za granicami państwa.

W roku 1039, w którym nieszczęście Polski doszło punktu kulminacyjnego, w którym Brzecisław czeski w pochodzie tryumfalnym, łupiąc i burząc, przeciągał jej granice, Kazimierz stanął z małym pocztem uzbrojonych nad granicą własnej ojczyzny, aby jej nieść ratunek. Podczas gdy w długich walkach przywracał spokój i porządek krajowi, nie wypuścił z oka celu sobie postawionego odbudowania instytucyj kościelnych i pomnożenia duchowieństwa, jako głównych podwalin nowego porządku w swym kraju, co mu też zjednało zasłużone imię Restauratora, które mu kroniki nadają.

Kazimierz sprowadziwszy zakonników benedyktyńskich z Leodyum, jak jedni twierdzą, lub z Kluniaku, jak drudzy chcą, osa-

dził ich roku 1046 na Tyńcu zburzonym wśród krwawych rozruchów i dla tego nekrolog klasztorny założony po restauracyi — dawniejszy zapewne przepadł — nazywa Aarona, ówczesnego przełożonego, pierwszym opatem tynieckim.

Ale i biskupstwo krakowskie musiało niemało ucierpieć i musiał być wielki brak duchowieństwa, skoro Aaron, będąc opatem tynieckim, zarazem pełnił funkcye biskupa krakowskiego[1]. Od niego dopiero datuje się stała i pewna chronologia biskupów krakowskich; co nam katalogi o jego poprzednikach podają, polega po części już na kombinacyi, po części na bardzo zamąconej tradycyi; widać że zapiski kościelne i nekrologi wśród rozruchów zaginęły, oraz że łączność między Aaronem a jego poprzednikami była przerwana, że gdy jego rządy nastąpiły, poprzedziły je lata, w których nie było ani biskupa ani kapituły. Po Aaronie, który umarł roku 1059, nastąpili Zula czyli Lambert (1061—1071), św. Stanisław (1072—1079) i Lambert (1083—1101). Za ostatniego przeniesiono r. 1088 ciało św. Stanisława z Skałki, gdzie, jak się zdaje, dotąd był kościół katedralny, do nowej katedry pod wezwaniem św. Wacława wybudowanej na zamku przez Władysława Hermana, który też liczbę kanoników podniósł do 20 i hojne im utrzymanie zapewnił.

Jeżeli katalogom biskupów wrocławskich wierzyć wolno, a nie ma powodu wątpić o ich wiarogodności, to Kazimierz ufundował na nowo roku 1051 wrocławskie biskupstwo, osadzając na niem biskupa Hieronyma. Z wszystkiego co wiemy, należy wnieść, że było prawie do szczętu zburzone; stolica biskupia nawet z większą częścią kraju znajdowała się wówczas jeszcze w ręku nieprzyjacielskim. Czy to więc dziwić może, że katalogi biskupów wrocławskich starszych biskupów od Hieronyma nie znają, że o fundacyi pierwotnej przez Bolesława I. dokonanej zupełnie zapomniały? Póki Wrocław był w ręku czeskim, rezydencya nowego biskupa nie mogła być w Wrocławiu i dla tego tradycya przechowana u Długosza, jakoby biskupi wrocławscy pierwotnie mieszkali w Smogorzewie i Ryczynie, zawiera w sobie niewątpliwie ziarnko prawdy o tyle, że Hie-

[1] Że Aaron nigdy nie był arcybiskupem, to wykazałem w Mon. Pol. hist. III, str. 323—327.

ronym nie mając stałej siedziby, zamieszkiwał zapewne tu i tam, aż roku 1054, w którym Czesi Kazimierzowi zwrócili Szląsk i Wrocław, na nowo się przeniósł do starej swej stolicy biskupiej. Od czasów Hieronyma, który umarł roku 1062, szereg biskupów wrocławskich już jest dobrze znany.

Najmniej wiemy, jakim losom uległo biskupstwo poznańskie, którego zadaniem było rozszerzyć i umocnić wiarę Chrystusową od Odry aż do granic Litwy i Prus. Że i tutaj burza gwałtownie szalała, wynika już stąd, że z poznańskich stosunkowo licznych klasztorów ani jeden nie ocalał, oraz że Czesi Poznań zburzyli. Zburzeniu temu należy zapewne przypisać, że najdawniejsze źródła kościelne zaginęły, w skutek czego katalog biskupów poznańskich przez Długosza nam podany, o najdawniejszych czasach nic nie wie, bo wiadomość o Jordanie wyjął tenże pisarz z roczników; Ungera nie zna ani Romana; imiona przez niego podane nawet jeszcze w XII. wieku są zupełnie bałamutne, a daty wszystkie dowolne.

Według niego jest biskupem około roku 1034 Benedykt, który umrzeć miał roku 1048 i to IV *Idus Decembris*. Dzień śmierci wskazuje na to, że imię to znalazł w jakimś nekrologu; lecz niestety data ta odnosi się niewątpliwie do biskupa Benedykta jemu nieznanego, który około lat 1187 - 1192 żył. Natomiast sądziłbym, że wiadomość o biskupach Cedrze (Teodor) i Dziwiszu (Dionysius) polegają na jakiejś dawnej zapisce tej treści: *Cedrus episcopus obiit, Divissius episcopus obiit,* a forma polska tych imion dała mu powód do uwagi, jakoby od ich czasów Polacy zamienili Theodorus i Dionysius na Cedr i Dziwisz.

Również jak Poznań, było i Gniezno zburzone przez Czechów, a co najsmutniejsza, pozbawione ciał świętych męczenników tam spoczywających, które przeniesiono do Czech. Zniszczona była także katedra, którą po przywróceniu pokoju zaczęto na nowo odbudowywać. Konsekrowano ją roku 1064 według rocznika Traski. Była ona zapewne bardzo skromna i dla tego postawiono potem nową bazylikę, w konsekracyi której na samym schyłku XI wieku uczestniczył książe Władysław Herman.

Że zaś zamieszki owe tu mniej silnie wystąpiły, na to wskazuje okoliczność, że i Trzemeszno ocalało i wiele ksiąg zostało uratowanych, w które potem inne biskupstwa i klasztory zaopatry-

wano, bo prawie wszystkie najdawniejsze roczniki, które dziś jeszcze posiadamy, świadczą o tem, że musiały powstać w Gnieźnie.

Kiedy umarł arcybiskup Bosuta, który roku 1027 na tę godność został posunięty, nie wiemy; skoro roczniki podają śmierć jego poprzedników i następcy, śmierć jego musiała nastąpić albo w czasie rozruchów, albo nieco później, gdy jeszcze nie wszystko było w porządku należytym. Pierwszym zaś arcybiskupem po restauracyi był Stefan, którego rok śmierci jednak rocznik kapitulny krakowski bałamutnie podaje, kładąc rok 1028. Długosz zamienił ten rok dowolnie na 1058; jabym prędzej sądził, że rocznik popełnił błąd, czytając MXXVIII zamiast niewyraźnego MLXVIII swego źródła, albo że w liczbie opuścił po prostu L; w pierwszym razie przypadałaby śmierć jego na rok 1068, w drugim na rok 1078; ostatnia data zdaje mi się najbardziej uzasadnioną, jak to poniżej jeszcze zobaczymy. Dzień jego śmierci był 7 marca. Następcą jego ma być Piotr, który według Długosza umarł dnia 19 sierpnia roku 1092. Ten Piotr jednak nigdy nie istniał; dzień śmierci bowiem odnosi się do arcybiskupa Piotra, który żył w końcu XII wieku, a rok śmierci do bł. Bogumiła. Bogumił zatem jest następcą Stefana, a wszystkie wywody ks. Korytkowskiego, który jego rządy przenosi do lat 1167—1172, nie mogą obalić faktu, że rocznik świętokrzyski dawny, który pisano w początkach XII wieku i w którym pod rokiem 1136 współczesna ręka zrobiła dopisek zupełnie prywatnej natury: *Sophya obiit 6 Idus Octobris*, śmierć Bogumiła podaje pod rokiem 1092. Ponieważ autor tegoż rocznika, który z wyjątkiem ostatniej zapiski jedną ręką jest pisany, żył i pisał niewątpliwie przed rokiem 1136, zatem mógł znać Bogumiła arcybiskupa umierającego roku 1092, ale nie mógł znać arcybiskupa żyjącego około 40 lat później, a że wiadomość o nim nie dopisała ręka późniejsza, więc żadnej wątpliwości ulegać nie może, że nie Piotr umarł roku 1092, lecz Bogumił, że nie Piotr jest następcą Stefana, lecz Bogumił. Po Bogumile wstąpił na stolicę arcybiskupią Marcin, który nam z kroniki Galla już jest dobrze znany.

Z śmiercią Kazimierza zaszłą roku 1058 minęło nieomal 100 lat od chwili zaprowadzenia chrześcijaństwa w Polsce. Że jego

usiłowania, aby przywrócić porządek kościelny w Polsce, musiały być wielkie, to uznała potomność nadając mu przydomek *Restaurator*. A jednak jak smutno przedstawia się nam pomimo to położenie Kościoła polskiego w chwili jego zgonu! Roku 1000 liczyło arcybiskupstwo gnieźnieńskie trzech sufraganów, oprócz biskupa poznańskiego, należącego wówczas jeszcze do metropolii magdeburskiej; były zatem cztery katedry i jedno arcybiskupstwo krajowe. Roku zaś 1058 istniały jeszcze tylko biskupstwa: krakowskie, wrocławskie i poznańskie pod metropolitą gnieźnieńskim; ubyło zatem w ciągu wieku jednego biskupstwa tj. kołobrzeskiego.

Za Bolesława I liczyła Polska już nie mało klasztorów; z nich przetrwały burze XI wieku tylko klasztory trzemeszeński, świętokrzyski i płocki, szczątki dawnej świetności i wielkości. Kazimierz wprawdzie przywrócił na powrót do życia Tyniec, ale o nowych fundacyach klasztornych tak potrzebnych w owych wiekach, za jego panowania nic nie słychać[1]. W ogóle cały wiek XI wydał tylko dwie nowe fundacye tj. klasztór mogilnicki założony około r. 1062 i lubiński, w którym około r. 1070 osiedli Benedyktyni przybyli do nas z Gembloux w dyecezyi leodyjskiej.

Kościół polski zatem nie tylko nie postąpił, ale cofnął się; czy więc może to kogo zadziwić, jeżeli roku 1075 Papież Grzegorz VII dbały o los chrześcijan zamieszkujących odległe strefy Europy, w te gorżkie słowa odzywa się do Bolesława Śmiałego: *nobis primum attendendum est, quod episcopi terras vestrae non habentes certum metropolitanae sedis locum nec sub aliquo positi magisterio, huc et illuc pro sua quisque ordinatione vagantes, ultra regulas et decreta sanctorum patrum liberi sunt et absoluti. Deinde vero, quod inter tantam hominum multitudinem adeo pauci sunt episcopi et amplae singulorum parochiae, ut in subiectis plebibus curam episcopalis officii nullatenus exequi aut rite administrare valeant.*

Pierwsze zdanie odnosi się do arcybiskupa gnieźnieńskiego i zarzuca mu, że nie ma stałej siedziby, że wskutek tego biskupi

---

[1] Lubiaż Kazimierzowi zwykle przypisany jest fundacya XII wieku. Ob. Grünhagen: *Zeit der Gründung von Kloster Leubus* w *Zeitschrift des Vereins für Geschichte und Alterthum Schlesiens.* V, 193 etc.

nowo wybrani szukać go muszą po całej rozległej archidyecezyi, aby otrzymać od niego zatwierdzenie wyboru i ostatecznie konsekracyą, oraz że nie wykonywa nad nimi należytego dozoru. Zarzut ten musi być uzasadnionym, skoro go Papież wypowiada, ale nie jest zasadniczej natury, lecz odnosi się do chwilowych, przemijających okoliczności, albowiem arcybiskup miał wyznaczone sobie stałe miejsce pobytu w Gnieźnie, skąd tytuł jego i gdzie jego katedra. Rozważmy teraz, co mogło być powodem skargi papieskiej.

Wiemy, że roku 1039 Gniezno zostało zburzone, a Gall poświadcza, że katedra św. Wojciecha tamże i katedra św. Piotra w Poznaniu tak długo leżały w gruzach, że aż zwierzęta leśne w nich zakładały swe leże. Rozumie się, że póki stan ten trwał, arcybiskup nie miał co robić w swej stolicy, lecz przebywał na swych dobrach w Żninie lub gdzieindziej. Roku 1064 konsekrowano nowo wybudowaną katedrę, nie wiemy jednak, czy razem z nią stanęły i budynki mieszkalne dla arcybiskupa i kapituły. Jeżeli stanęły, a arcybiskup pomimo to nie przebywał stale w swej metropolii, to było to jego winą i z jego strony zaniedbywanie obowiązków. Jeżeli ten zarzut odnosi się do arcybiskupa Stefana, o Bogumile nie może być mowy, bo tenże z pewnością nie zaniedbywaniem obowiązków, lecz owszem gorliwością i żarliwością w pełnieniu ich zasłużył sobie na zaszczyt błogosławionego, to Stefan zapewne już był bardzo wiekowym, a brak sił fizycznych nie pozwolił mu czuwać nad sufraganami, jak to obowiązek nakazywał. Jeżeli zaś biskupi nie byli *positi sub aliquo magisterio*, to wnoszę stąd, że i kapituła nie musiała być należycie zorganizowaną, albo kanonicy i prałaci naśladując arcybiskupa, woleli przebywać na swych dobrach, aniżeli w Gnieźnie.

Drugi zarzut wyrażony w liście papieskim jest ważniejszy, bo zasadniczej natury, za mało jest biskupstw, za wielkie dyecezye, tak wielkie, że pasterze w obec ludu sobie powierzonego obowiązków swoich pełnić nie mogą. Temu zaradzić mieli legaci papiescy którzy z listem wspomnianym roku 1075 przybyli do Polski.

W porównaniu z innymi krajami dyecezye polskie były rzeczywiście olbrzymie; największą zaś z nich wszystkich była zawsze jeszcze dyecezya poznańska, sięgająca od Odry aż do ostatnich kończyn narodu polskiego nad Narwią i Nurem, a granicząca na za-

chodzie z Słowianami nadodrzańskimi, na północ z Pomorzanami i Prusakami, a na wschodzie z Jadźwingami. Rozdzielona nadto przez arcybiskupstwo gnieźnieńskie na dwie części, posiadała stolicę w środku zachodniej części oddaloną od dzierżaw wschodnich, tak że biskup poznański żadną miarą nie mógł działać skutecznie właśnie w tej części, która otoczona od północy i wschodu poganami, najbardziej jego opieki potrzebowała. Do biskupstwa poznańskiego głównie odnosi się, mojem zdaniem, skarga Grzegorza VII. Nie mogło być zatem wątpliwą, od czego należało zacząć naprawę stosunków. Legaci nie próżnowali i wkrótce założył Bolesław Śmiały biskupstwo płockie, przeznaczając mu ziemie położone między Wisłą, Narwią, Bugiem i Nurem aż do granic wschodnich i nieustalonych północnych; dołączył także ziemię na północ Drwęcy leżącą, nazwaną później chełmińską. Wyposażył je zaś bardzo hojnie, nie na próżno nazywano go szczodrym, nadając biskupowi w wschodniej części kasztelanie pułtuską, brańską, brocką i święcką z całem rozległem terytoryum, liczne grody i wioski w części zachodniej po obu brzegach Wkry, oraz posiadłości po za granicami dyecezyi w Lubelskiem i na Kujawach. Uposażenie to spisane krótko po nadaniu, przechowało się w odpisie XIV wieku w bibliotece kapitulnej płockiej aż do dni naszych. Wydając je w V tomie Mon. Pol. hist. na str. 419—443, podałem w wstępie także dowody, dla czego Płock nie jest fundacyą ani Bolesława I ani Mieszka I, lecz Bolesława Śmiałego, które tutaj kilku słowami streszczę:

Skoro list papieski twierdzi, że za mało jest biskupów a Papież legatów swych wysyła, aby temu zaradzić, trzeba przypuścić, że jego woli stało się zadość, w takim razie może być mowa tylko o biskupstwach płockiem i włocławskiem, o których przedtem nie ma żadnej wzmianki w źródłach wiarogodnych.

Pierwszą wiadomość o katedrze płockiej mamy z roku 1102, w tym roku bowiem pochowano w niej Władysława Hermana. Gdyby biskupstwo płockie już od przeszło wieku było istniało, dziwnem byłoby, żeby żaden rocznik i żadna kronika nie wspomniała o którymś z biskupów, podczas gdy o innych biskupstwach mamy wiadomości choć skąpe.

Długosza katalog biskupów płockich wylicza ich szereg od

roku 966, choć wiadomo, że roku 1000 płockie biskupstwo jeszcze nie istniało; według niego pierwszych pięciu biskupów, którzy przeważnie są Włochami, nasyła Papież, choć Grzegorz VII sam przyznaje, że polskich biskupów wybierają kapituły, a arcybiskup ich zatwierdza i konsekruje, czego nie byłoby potrzeba, gdyby najwyższa władza z własnego ramienia ich zamianowała. Wiadomości Długosza są całkiem niewiarogodne i niemożebne. Pierwszym Polakiem i pierwszym według niego przez kapitułę obranym biskupem płockim jest Stefan tj. niewątpliwie pierwszy biskup, o którym Długosz znalazł wzmiankę w swych źródłach.

Według Długosza chowano wszystkich biskupów, od Angelota począwszy, w katedrze płockiej, w której obok nich spoczywali także Władysław Herman i Bolesław Krzywousty. Gdy jednak w XVI wieku biskup Noskowski, presbyteryum tejże katedry przebudowywał, znaleziono tam zwłoki obydwóch książąt i biskupów Stefana, Filipa, Szymona, Aleksandra i Werneра, a zatem tylko ciała tych, o których z relacyi już Długosza wnieść możemy, że byli rzeczywistymi biskupami; poprzedników ich niby także tam pochowanych nie było ani śladu. Ostatni dowód zdaje mi się być dosyć silnym, aby Stefana w ogóle uważać za pierwszego biskupa płockiego.

Ponieważ w zapisce o posagu panujący nazywa się *dux*, przeto przypuścić należy, że ustanowienie biskupstwa nastąpiło jeszcze przed koronacyą Bolesława Śmiałego, a więc prawdopodobnie jeszcze roku 1075.

Utworzeniem biskupstwa płockiego, biskupstwo poznańskie zostało podzielone na trzy części, obejmujące późniejsze województwa: poznańskie na Zachodzie, inowrocławskie i brzesko-kujawskie między Wisłą a arcybiskupstwem gnieźnieńskiem, oraz archidyakonat czerski czyli warszawski po obu brzegach Wisły.

Jest rzeczą naturalną, że biskupstwa im dawniejsze, tem rozleglejsze posiadają granice, im zaś młodsze, tem mniejsze będą, bo powstają z okruchów dyecezyj dawniejszych. Pierwotne nasze dyecezye były wielkie, ale płockie było już wiele mniejsze od biskupstwa poznańskiego, z którego gruntu wyrosło Uważać zatem należy biskupstwo włocławskie jako najmniejsze ze wszystkich ściśle polskich, za najmłodsze i za młodsze od biskupstwa płockiego.

Racye, które przemawiały za utworzeniem biskupstwa płockiego, świadczyły również na korzyść ustanowienia dyecezyi kujawskiej, albowiem ziemie, z których była złożona, nie były w połączeniu z Poznaniem, dzieliło je od niego arcybiskupstwo gnieźnieńskie; zawiadowanie niemi było utrudnione, bo były za nadto oddalone od stolicy samej. Jeżeli ich zatem nie połączono z biskupstwem płockiem, coby się zdawało najprostszą drogą do zaradzenia złemu, to stało to się niewątpliwie ze względów politycznych. Uczyniono to, jak trafnie już zauważył p. Małecki, dla Pomorza gdańskiego, które już od X wieku w luźnem było połączeniu z Polską. Przekonano się bowiem już za czasów Bolesława Chrobrego, że zakładanie biskupstw w kraju świeżo zdobytym lub na pół tylko zależnym z ludnością jeszcze pogańską, jest rzeczą bardzo ryzykowną, bo pierwsza lepsza burza zdmuchnie je z powierzchni ziemi, jak to się stało z biskupstwem kołobrzeskiem. Jeżeli wiara Chrystusowa stale miała się przyjąć i utrwalić, powinien Kościół mieć podstawę od wszelkich niebezpieczeństw ubezpieczoną, a taką mogła mieć tylko katedra założona wśród granic państwa chrześcijańskiego, która opierając się na gruncie pewnym, tem korzystniej działać mogła na kraj pogański i tem stateczniej szerzyć w nim wiarę; w takim razie nawet niepowodzenia chwilowe mogły zburzyć wprawdzie rezultat pracy, ale nie narażały na szwank i zgubę samego Kościoła, który do walki w imieniu idei Chrystusowej zawsze gotów, każdej chwili mógł rozpocząć swą pracę na nowo.

Tą myślą kierowano się także w XIII wieku, gdy zakładając biskupstwo pruskie książę Konrad mazowiecki biskupowi Krystyanowi nadał ziemię Chełmińską.

Biskupstwu mającemu chrystyanizować Pomorze gdańskie nadano ziemie inowrocławską i brzesko-kujawską czyli Kujawy leżące nad lewym brzegiem Wisły, która na wszelkie przypadki zapewniła wolną komunikacyę z Gdańskiem i innymi grodami pomorskimi obsadzonymi przez Polaków. Stolica biskupia znajdowała się pierwotnie w Kruszwicy, później przeniesiono ją do Włocławka nad Wisłą.

Kiedy więc to biskupstwo założono? Małecki odnosi założenie jego do czasów Bolesława I, kronika zaś wielkopolska przypisuje je Mieczysławowi II.

Kronika wielkopolska miała niewątpliwie przed sobą jakąś zapiskę donoszącą o założeniu biskupstwa płockiego i włocławskiego, mniej więcej takiej treści: *Boleslaus dux fundavit ecclesiam cathedralem Plocencem, vero successor eius post eum ecclesiam Kuiaviensem, quae Vladislaviensis nuncupatur.*

Ponieważ autor tejże kroniki żyjący w drugiej połowie XIV wieku, jak wszyscy pisarze późniejsi, założenie biskupstw przypisywał Bolesławowi I, więc tłumaczył według swego rozumienia *successor* przez *filius* dodając *Myesco nomine.* Tymczasem założenie biskupstwa płockiego należy przypisać Bolesławowi Śmiałemu; jego następcą był Władysław Herman, którego za fundatora biskupstwa kujawskiego uważać musimy i to z następujących powodów:

Nadmieniliśmy już, że biskupstwo kujawskie jest najmniejsze z wszystkich biskupstw polskich, że zatem młodszem być powinno od biskupstwa płockiego założonego przez Bolesława Śmiałego.

W jego granicach mieli posiadłości biskupi poznański i płocki oraz arcybiskupstwo gnieźnieńskie, biskup zaś kujawski nie otrzymał w swojej dyecezyi żadnych dóbr, lecz tylko *decimam partem de moneta et de iudiciis totius episcopatus.* Nie było w niej już dóbr do rozdawania a skoro tamże takowe jeszcze otrzymał biskup płocki, to założenie biskupstwa kujawskiego musi być późniejszem od płockiego. W uposażeniu biskupstwa płockiego nie ma żadnych nadań pieniężnych, choć już istnieje *monetarius ducis;* skoro biskupstwo kujawskie pobiera *decimam partem de moneta,* musiało być założonem w czasie, gdzie moneta krajowa już obficiej obiegała. Obeznanym z nunizmatyką polską wiadomo, że wprawdzie już Mieszko I i Bolesław I bili monety, ale w liczbie bardzo niedostatecznej. Z czasów Mieszka II i Kazimierza wcale nie znamy krajowych pieniędzy. Pierwszym, który na szersze rozmiary zaprowadził gospodarstwo pieniężne, był Bolesław Śmiały; rozumie się jednak przez się, że zanim się lud niem przejął, minęło nie mało czasu i dlatego w uposażeniu biskupstwa płockiego jeszcze o pieniądzach bitych nie było mowy. Za Władysława Hermana jednak już były większe zapasy, bo jego monety nie są dziś wcale rzadkością. Wzmianka zatem o monecie da się lepiej odnieść do czasów Władysława Hermana, aniżeli do czasów Bolesława Śmiałego,

bo w rozwoju gospodarstwa tegoż pieniężnego i kilka lat coś znaczy, ale nie stosuje się wcale do czasów dawniejszych.

Według bulli Eugeniusza Papieża z roku 1148 legat papieski Idzi, biskup tuskulański, razem z Bolesławem Krzywoustym ustanowił granice biskupstwa włocławskiego *(statuentes ut terminos tui episcopatus, quem ad modum a bone memorie Egidio Tusculano episcopo, tunc apostolice sedis legato, et a Boleslao nobili eiusdem terre duce statuti sunt, absque diminutione aliqua tu et tui successores in perpetuum possideatis)*. Skoro to się stało roku 1124, w którym, jak wiadomo, Idzi bawił w Polsce, to się to odnieść może tylko do ostatecznego uregulowania i ustalenia granic nowo ufundowanej dyecezyi, a mianowicie granic pomorskich, bo wtedy zapewne przypadł arcybiskupstwu na Pomorzu archidyakonat kamieński. O ustanowieniu granic biskupstwa przeszło 100 lat temu założonego myśleć trudno.

Bulla wspomniana zawiera także posag biskupstwa kujawskiego, tj. wszystkie dobra i dochody, które mu nadano w chwili założenia; późniejsze nadania, jeżeli takowe były, bywają zwykle odróżniane i jako takie oznaczane; w bulli z r. 1148 nie ma wzmianki o takowych, jest tylko sam posag pierwotny. Posag był hojny i nie napróżno uchodziło biskupstwo włocławskie w czasach późniejszych za bogate; otrzymało bowiem kasztelanie wolborską i łagowską, probostwo św. Michała w Krakowie, kościół Najśw. Panny w Zawichoście, dziewiątą część dochodów kościoła Panny Maryi w Sandomierzu, zamek gdański *cum decima tam annone, quam omnium eorum, que de navibus solvuntur*, oraz dziesięcinę z monety bitej i wszystkich kar sądowych w całem terytoryum biskupiem. Uposażenie to pozwala nam dokładniej oznaczyć czas założenia; wiemy bowiem z katalogów biskupów krakowskich, że *Iudith Polonorum regina*, co do której dziś już żadna wątpliwość nie zachodzi, że to żona Władysława Hermana a matka Bolesława Krzywoustego, dla ubłagania od Boga potomstwa hojnie obdarzyła biskupstwa i klasztory; od niej właśnie otrzymało biskupstwo kujawskie kasztelanię łagowską w posagu. Założenie zatem biskupstwa nastąpiło jeszcze przed śmiercią Judyty zaszłą dnia 25 grudnia roku 1085. Pierwszym zaś biskupem nieznanym katalogom i Długoszowi, był Franko znany nam z Galla i z *liber confrater-*

nitatis klasztoru lubińskiego. Gall nazywa go *episcopus Poloniensis*, a że tym samym przymiotnikiem obdarza i Pawła biskupa, o którym już na pewno wiemy, że rządził dyecezyą kujawską, oraz ze względu na to, że i Swidger, drugi następca po Pawle około r. 1137, również nazywa się *Poloniensis*, nie może ulegać żadnej wątpliwości, że Franko był biskupem kujawskim i to pierwszym. Działalność jego jest znana, on bowiem spowodował Władysława Hermana i Judytę do wysłania z misyą pobożną poselstwa do klasztoru św. Idziego we Francyi.

Wszystko razem, cośmy dotąd przytoczyli, zdolne zapewne nas przekonać, że biskupstwa płockie i kujawskie powstały dopiero w skutek nalegania Papieża Grzegorza VII, pierwsze jeszcze około roku 1075, drugie kilka lat później za Władysława Hermana.

Lubuskie biskupstwo nad Odrą mniejsze jeszcze od kujawskiego, odnoszą niektórzy także do czasów Bolesława Chrobrego, o niem jednak głucho w naszych dziejach i w źródłach lub dokumentach niemieckich; pierwszą wiarogodną o niem wiadomość mamy z roku 1133, w którym Bernard, biskup lubuski, konsekrował nowo wybudowany kościół klasztoru Norbertanek w Strzelnie. Biskupstwa, lubuskie jak i kamieńskie na Pomorzu, są niewątpliwie fundacyami Bolesława Krzywoustego i służyły celowi, aby zdobycze bolesławowskie chrystyanizować i ich posiadanie Polsce ubezpieczyć.

Wielkim był, jak widzieliśmy, rozwój Kościoła polskiego za Mieszka I. i Bolesława Chrobrego. Katastrofa po śmierci Mieczysława II. wstrząsa całym gmachem aż do najgłębszych podwalin; Kazimierz Restaurator ratuje co może, a następcy jego utrwalają Kościół w Polsce i umożliwiają pożyteczną jego działalność, zakładając nowe biskupstwa w Płocku i na Kujawach, w Lubuszu i w Kamieniu. Wieki zaś dwunasty i trzynasty, w których możni panowie na polu pobożnych uczynków zaczynają rywalizować z książętami, podejmują na nowo dzieło od czasów Bolesława Wielkiego zaniedbane, zakładają liczne klasztory i podnoszą Kościół do nieznanej przedtem świetności.

Dr. Wojciech Kętrzyński.

UBIORY PROFESORÓW I UCZNIÓW

W UNIWERSYTECIE JAGIELLOŃSKIM

W ZWIĄZKU Z WSPÓŁCZESNYMI ZWYCZAJAMI (1364–1889).

Kościół opiekował się po wszystkie czasy nauką i był najważniejszym czynnikiem przy zakładaniu uniwersytetów średniowiecznych. Cesarz i książęta panujący lub wreszcie municypalności, którym z ramienia przysługującej im władzy wolno było w krajach pod ich berłem zostających otwierać uniwersytety, odnosili się mimo to do papieża z prośbą o zatwierdzenie fundacyi. Uniwersytety nabierały przez to powagi i stawały się instytucyami nie już lokalnego ale uniwersalnego znaczenia: stopnie w nich udzielane miały znaczenie powszechne.

Kościół dostarczał nadto uniwersytetom średniowiecznym profesorów, których zarazem wedle możności wyposażał w beneficya. Nic więc dziwnego, że te najwyższe szkoły działały jeżeli nie więcej, to zarówno w interesie Kościoła jak państwa, a w interesie tego ostatniego zawsze w zgodzie i porozumieniu z pierwszym.

Cały też program nauki uniwersytetów średniowiecznych tak był ułożony, aby w pierwszej linii wykształcić młodzież, jeżeli już nie na księży, to w każdym razie na dzielnych szermierzy Kościoła i obrońców wiary. Stąd też poszło, że i nauczający w uniwersytetach średniowiecznych i uczący się bez względu na to, czy byli księżmi czy nie, zaliczali się do stanu duchownego. Przynależność ta nie była bynajmniej pozorną, owszem nakładała i na

profesorów i na uczniów pewne obowiązki, przepisane dla stanu duchownego. Jeden z nich dotyczył ubiorów.

Dziś i profesorowie i uczniowie uniwersytetów ubierają się według woli i upodobania. W średnich wiekach było inaczej. Wszystko co do uniwersytetu należało, miało przepisany odrębny ubiór, ubiór duchowny, *vestitus clericalis*. Widocznie nie należy w tem wyrażeniu szukać szat obrzędowych, wdziewanych przez kler do służby Bożej w kościele, owszem li tylko owych zwierzchnich ubiorów, które duchowni i to księża niższej kategoryi poza kościołem nosili, a przynajmniej nosić byli powinni. Dodać też należy, że przepisy o ubiorach dotyczyły w pierwszej linii świecką część profesorów i uczniów; ci bowiem, którzy mieli święcenia kapłańskie, zobowiązani byli do noszenia ubiorów duchownych już na mocy przepisów przez Kościół wydanych.

Zachodzi teraz pytanie, czy świeccy profesorowie i uczniowie mieli nosić ubiory całkiem podobne do ubiorów swych duchownych kolegów, czy też coś podobnego. Dla braku odpowiednich i dostatecznych materyałów nie można w tym względzie dojść do całkiem pewnych wyników, któreby można postawić jako ogólną cechę dla wszystkich uniwersytetów. Biorąc jednak pod rozwagę ustawy o ubiorach wielkiej liczby uniwersytetów niemieckich, a przedewszystkiem wiedeńskiego, oraz dotyczące ustawy naszego uniwersytetu, można stanowczo orzec, że ustawodawcy pragną, aby świecka część poddanych tychże uniwersytetów nosiła ubiór ile możności podobny do duchownego, a w każdym razie poważny, przyzwoity *(decens)*.

Duchowieństwo już w pierwszych wiekach chrześcijaństwa zaczęło się wyróżniać ubiorem od innych stanów społecznych, atoli długich potrzeba było wieków, nim się ustalił i znalazł powszechne zastosowanie ten ubiór, który z małymi odmianami i dziś jeszcze księża noszą.

W źródłach XIII—XV wieku występują przedewszystkiem trzy rodzaje zwierzchnich sukien duchownych: płaszcz, talar i sutanna. Płaszcze nie miały zazwyczaj rękawów, były fałdziste, dostatnie, z kapicami w tyle i zarzucały się na ramiona. Talar, suknia z szerokimi rękawami, fałdzista, sięgała po kostki, tak samo jak sutanna, która była więcej obcisłą, zapinaną na guziki z przodu.

Nazywano ją też rewerendą i przepasywano ją przez biodra pasem z tej samej co ona materyi. Barwa tych ubiorów była czarna [1].

Wyrażeniem *vestitus clericalis* objęto nadto i te ubiory, które kandydaci przy egzaminach i promocyach, a profesorowie przy pewnych uroczystościach i urzędowych czynnościach wdziewali, a wreszcie mieszczą się tam wszystkie różnice, jakie zachodzą pomiędzy ubiorem scholarzów pospolitych, bakałarzy, magistrów filozofii, doktorów medycyny, prawa i teologii, dziekanów poszczególnych fakultetów i rektora wraz z całą służbą uniwersytecką.

Fakt ów, że ustawy przepisują dla wszystkich uroczystych obrzędów w uniwersytecie inne ubiory od tych, które noszono po za uniwersytetem, dowodzi stanowczo, że zwyczaj kościelny przeszedł do uniwersytetu, czyli innymi słowy, że potężny wpływ Kościoła na uniwersytety objawił się nawet w tak zewnętrznej stronie jak ubiory.

Przynależność tedy osób uniwersyteckich do stanu duchownego była naturalną i pierwszą pobudką, dla której profesorom i uczniom bez wyjątku nakazano nosić *vestitus clericalis*, ubiór podobny do duchownego.

Później zwłaszcza w ustawach XV i początku XVI wieku podano nowe powody: z jednej strony rażącą jaskrawość i dziwaczność ubiorów świeckich, a z drugiej strony powagę i skromność szat duchownych. Miano także na oku cele praktyczne. Osoba uniwersytecka ubierająca się po świecku usuwałaby się tem łatwiej z pod kontroli władz swoich, a z drugiej strony właśnie dla braku różnicy w ubiorach mogłyby się osoby nie należące do uniwersytetu tem łatwiej dopuszczać rozmaitych nadużyć i wybryków pod imieniem i z uszczerbkiem scholarzów.

W wiekach średnich z powodu braku dostatecznej policyi czuwającej nad bezpieczeństwem życia i mienia, zaopatrywano się dość powszechnie w broń, która z tego powodu była poniekąd integralną częścią ubrania ludzi świeckich. Osobom stanu ducho-

---

[1] Duchowieństwo wyższej kategoryi miało widocznie inne jeszcze ubiory zwierzchnie i w innych barwach. Porówn. *Weiss*, Kostümkunde, 1872, II, 694 i III, 195.

wnego nie wolno jej było nosić, chyba w wyjątkowych wypadkach. U rektorów bolońskich np. była symbolem władzy [1].

Ustawy uniwersytetów średniowiecznych, zabraniając scholarzom noszenia ubiorów świeckich, pozbawiły ich tem samem prawa noszenia broni.

Powszechność ustaw o ubiorach i broni z jednej, a z drugiej strony jedność wzoru, do którego ubiory scholarzów miały się zastosowywać, upoważniałyby do wniosku, że ubiory w wszystkich uniwersytetach były mniej więcej te same. Wniosek taki byłby w części chyba tylko prawdziwy. Istnieje bowiem faktycznie podobieństwo pomiędzy pewnymi częściami ubiorów w pewnych uniwersytetach, ale z drugiej strony zachodzą stanowcze różnice, które zbadać i wyświecić należy.

I.

HISTORYA UBIORÓW AŻ PO KONIEC XVIII WIEKU.

1. Przegląd ustaw o ubiorach i broni w uniwersytecie Jagiellońskim.

Nie naszem tu zadaniem śledzić za ustawami o ubiorach i broni zagranicznych średniowiecznych uniwersytetów, wypada jednak, dla wykazania powszechności ustaw, wykazać kilka przykładów, nie przekraczając r. 1400. Ustawy kolegium nawarskiego w Paryżu z r. 1315 wymagają od scholarzów wszystkich fakultetów, aby mieli strój przyzwoity, a nie nosili świeckiego wpadającego w oczy [2]. Licencyaci nacyi galickiej w Paryżu składali począwszy od roku 1341 przysięgę, zobowiązując się do noszenia odpowiednich ubiorów [3].

Podobną przysięgę odbierano od licencyatów filozofii w Pradze, zmuszając ich do noszenia tonzury i stroju duchownego [4].

---

[1] Zob. *Denifle.* Die Universitäten des Mittelalters bis 1400, 1885, I, 195.

[2] Zob. Muczkowski, Mieszkania, str. 71.

[3] Zob. Bulaeus, Historia universitatis parisiensis, tom. IV, str. 273 i 274.

[4] Zob. Monumenta historica univ. prag. tom I, str. 50.

Ustawy pragskiego uniwersytetu z r. 1380 nakazują bakałarzom i magistrom filozofii, aby przychodzili w strojach odpowiednich swym stopniom na nabożeństwa uniwersyteckie, oraz na akty uroczyste fakultetu, a zwłaszcza na dysputy i promocye [1].

Ustawy wiedeńskiego uniwersytetu z r. 1380 nakazują wyraźnie nosić scholarzom strój duchowny [2].

O ubiorach profesorów i uczniów naszego uniwersytetu przed r. 1400 żadnej nie mamy wiadomości, można jednak śmiało przypuścić, że powszechny zwyczaj i u nas się przyjął.

Pierwsza znana nam ustawa datuje z r. 1456. Znajdujemy ją mianowicie w ustawach bursy „Jeruzalem“ w Krakowie. Nie wolno przyjmować do tego zakładu takich kandydatów, którzy mają suknie nieprzyzwoite tj. nieduchowne. Nie powiedziano tam, jak owe ubiory wyglądają, gdyż one wszystkim dobrze były znane. Wyliczono natomiast cały szereg ubiorów świeckich, których scholarzom nie wolno było nosić; wykluczono mianowicie z garderoby studenckiej: płaszcze bez zapięć, świeckie nakrycia głowy, spiczaste, oraz czerwone buty. Dodano w ustawie, że te wszystkie i tym podobne ubiory, ośmieszają i znieważają stan duchowny i są nieodpowiednie [3]. Jest tu widocznie mowa o owych pstrobarwnych i dziwacznie przykrojonych ubiorach świeckich, których liczne ślady mamy w naszych miniaturach średniowiecznych jak np. w Pontyfikale Erazma Ciołka, w Kodeksie Baltazara Behma i innych.

Ten sam statut bursy „Jeruzalem“ pozbawia scholarzów wolności posiadania broni jako to: mieczy, noży i wszelkich innych narzędzi, którymi ranić można. Wstępujący do bursy oddawali wszelką broń do przechowania prowizorowi, albo seniorowi bursy, którzy, a zwłaszcza ci ostatni niejednokrotnie ją sobie przywłaszczali, wskutek czego bursarze często musieli się uciekać ze skargami do rektora. Tylko w wyjątkowych razach mógł bursarz otrzymać pozwolenie zachowania swej broni przy sobie. Broń bez-

---

[1] Tamże, str. 54 i 55.

[2] King, Geschichte der Univ. Wien, II, 76.

[3] Zob. Ustawy bursy krakowskiej „Jeruzalem“ (1453—1841). Zebrał i wydał dr. A. Karbowiak, Kraków 1888, str. 14.

prawnie przechowywana w izbie i wykryta stawała się własnością prowizora, a winny pociągany był nadto do kary[1].

Ustawa, którą co dopiero poznaliśmy, motywowana jest w ów, że tak powiem, pierwotny sposób tj. nakazano nosić ubiór duchowny dlatego, że świecki jest nieprzyzwoity *(indecens)* i jako taki ubliża wręcz powadze stanu duchownego, do którego scholarzy należą.

Rozporządzenie z r. 1492 wysuwa nowe motywa. Ustawa nakazuje, lub raczej przypomina ubiór duchowny, aby scholarzów w karności utrzymać. Oto dosłowne mniej więcej tłómaczenie tekstu owego rozporządzenia: „Ponieważ przeciw nowym chorobom nowych trzeba użyć lekarstw i ponieważ chcemy, aby przynależni do uniwersytetu naszego żyli w karności i porządku i za pomocą cugli z manowców sprowadzeni, oddawali się regularniej i pilniej studyom, postanawiamy i raz na zawsze wymagamy od podwładnych naszych, aby, ani we dnie, ani w nocy nie chodzili w kolegiach, lub poza nimi w sukniach i czapkach świeckich w celu wyszukania sposobności do wybryków i nocnych wycieczek, oraz, aby żadnej broni z sobą nie nosili". Nieposłusznych czekały kary pieniężne, a względnie karcer i wydalenie z uniwersytetu[2].

Nie można żadną miarą przypuścić, że ustawy o ubiorach i broni istniały li tylko na papierze. Stanowczość, jaka np. wieje z rozporządzenia z r. 1492 była z pewnością zastosowana przy wprowadzeniu ustawy w życie. Najprzód wymagała tego sama powaga władz uniwersyteckich, a nadto znajdujemy w aktach rektorskich ślady, że uczniów wyłamujących się z pod ustawy pociągano do odpowiedzialności. W r. 1494 np. pozwany został przed sąd rektora scholarz Marcin z Siedmiogrodu, dlatego, że wbrew ustawom uniwersyteckim ważył się przez dłuższy czas przychodzić do kolegium na prelekcye w świeckiem ubraniu, w czapce zabronionej, oraz i dlatego, że lekceważył napomnienia bedeli przypominających

[1] Zob. Karbowiak, Ustawy, str. 23.

[2] Zob *Conclusiones univ. cracov.*, r. 1492, str. 47: Conclusum est, „ut nullus ex suppositis universitatis de die sive de nocte in veste mitrisque layicalibus intra collegia vel extra insolencias et discursus vagos quaerendo audeat incedere et arma cuiuscunque generis secum ferre".

mu ustawę. Rektor skazał go za przekroczenie ustawy, oraz za krnąbrność na zapłacenie pół florena [1].

W XV i w pierwszych deceniach XVI wieku, młodzież uniwersytecka jakoś chętniej poddawała się pod rygor ustaw, które wypływały z pojęć średniowiecznych. Widać, że młodzież szanowała jeszcze wtedy tradycye średniowieczne. Z rozbudzającym się jednak ruchem odrodzenia, który z zagranicy jakby prądem wiatru niósł do nas nowe pojęcia, zmieniło się wnet dotychczasowe krewkie, ale zawsze karne usposobienie naszych scholarzów, a władze uniwersyteckie XVI wieku musiały przypominać coraz to częściej dawne, a wydawać coraz to surowsze nowe ustawy, aby burzącą się młodzież ująć w karby karności i posłuszeństwa. W pierwszych latach XVI wieku nie było jeszcze potrzeby do takiego surowego wystąpienia. Zniesiono tylko obyczaj obchodzenia otrzęsin tj. przyjmowania nowicyuszów do grona dawnych uczniów, połączonego z rozmaitymi nadużyciami. W rozporządzeniu odnośnem wydanem zresztą w r. 1511, czytamy między innymi, że scholarzy przebrani w suknie podróżne *(peregrinis induti vestibus)* wychodzili za miasto i czyhali tutaj na przyjeżdżających do szkół nowicyuszów, których bili i zmuszali, aby sprawiali uczty, lub w inny wykupowali się sposób [2].

Jeżeli w XV wieku i w pierwszej ćwierci XVI ledwie kilka razy przypominano ustawy o ubiorach i broni, to odtąd przez następne dwie ćwierci tegoż stulecia musiano to czynić bardzo często. Już w r. 1533 za rektorstwa Jakóba Arciszewskiego wychodzi ustawa zatytułowana: *Statutum de compescendis insolentiis et divagationibus suppositorum universitatis.* Między innymi środ-

[1] Zob. *Acta rectoralia* (A. R.), str. 587: „Martinus de Transilvania ex officio citatus ad terminum eundem pro eo, quod contra statuta universitatis ex multo tempore collegium ad audiendas lectiones laicaliter intrabat in mitris prohibitis nec admonitiones servorum universitatis, iussa rectoris advertebat".

[2] Zob. Tekst ustawy u Muczkowskiego Mieszkania str. 157. Otrzęsiny i dziś jeszcze istnieją w gimnazyum krotoszyńskiem w Wielkopolsce, do którego autor niniejszej rozprawki uczęszczał: smagano tam nowicyuszów po grzbiecie pytkami (chustka na węzeł związana) i kułakowano, a odbywała się ta ceremonia w dniu, w którym pierwszy raz w lecie prowadzono młodzież w pole na plac gimnastyczny.

kami, mającymi przywrócić karność i dobre obyczaje, przypomniano ze szczególnym naciskiem dawne ustawy o ubiorach i broni. Jak zwykle tak i tym razem wylicza ustawa cały szereg ubiorów świeckich, których scholarzom nie wolno nosić, jako to: suknie świeckie krótkie, których rękawy mają liczne rozporki, lub suknie z rękawami wiszącymi lub wreszcie z takimi, z których całą widać rękę; dalej ubiory jakie nosi wojsko zaciężne, kupcy i dworzanie, czapki świeckie zrobione z wełny, lub ze skór kozich, jako i takie czapki, które mają klapy czyli ogony spadające na uszy, a wreszcie i birety świeckie. Ustawa kładzie nacisk na to, że scholarzom dlatego zabrania się tych ubiorów, aby ich módz odróżnić od ludzi świeckich, czyli innymi słowy, aby módz nad nimi łatwiej rozciągać kontrolę [1].

Wykonania ustawy mieli doglądać przełożeni zakładów, w których młodzież mieszkała, a więc kierownicy szkół parafialnych, seniorowie i prowizorowie burs i prepozyci kolegiów.

W tym też celu wezwał rektor uniwersytetu do siebie seniorów bursy Jeruzalem i filozofów i rozkazał im, aby odczytywali bursarzom rozporządzenie odnoszące się do imatrykulacyi i przyzwoitości ubiorów. Mieli wszelkimi środkami do tego dążyć, aby młodzież pieczy i dozorowi ich powierzona zrzuciła strój świecki, a przywdziała duchowny, oraz, aby broni nie nosiła. Zakazał im też surowo przyjmować do bursy takich, którzyby nie byli wpisani w księgi uniwersyteckie i nie posiadali przyzwoitego ubioru [2].

Nad scholarzami, którzy za pozwoleniem rektora mieszkali w hospicyach, tj. w domach prywatnych, zobowiązani byli wykonywać dozór ich pedagogowie a względnie profesorowie, na których prelekcye hospitanci chodzili. Dziesięć lat później w r. 1542 przeprowadził biskup krakowski jako kanclerz uniwersytetu na synodzie prowincyonalnym w Piotrkowie między innymi przepisami tyczącymi się wychowania publicznego, także ustawę o ubiorach

[1] Zob. Concl. univ. r. 1533, str. 13.

[2] A. R. r. 1533, str. 1216, „... ut facerent legere statuta universitatis intitulacionem, vestium decentiam concernentia inhabitantibus bursas eorum et suaderent eis, ut abiciant vestes lagicales, reassumant clericales, arma non ferant, praeceptores habeant. Item quod seniores non suscipiant in bursas nisi intitulatos, honeste vestitos".

żaków, która nie jest niczem innem, tylko przypomnieniem dawniejszych rozporządzeń, a więc czytamy w niej, że młodzież ma przyzwoicie w sukniach duchownych chodzić, że wstęp do burs i szkół i do sal wykładowych ma być pozwolony tylko scholarzom po duchownemu ubranym. Nowem jest tylko dodatkowe rozporządzenie, które opiewa, że przełożeni zakładów wychowawczych, a wreszcie i sam rektor uniwersytetu zapłacą karę trzech grzywien, w razie gdy wykonania ustaw nie będą doglądali [1].

W r. 1552 odnowił, ale zarazem obostrzył uniwersytet dawne ustawy o broni. Wiadomo, że przedtem mogli scholarzy pod pewnymi warunkami uzyskać pozwolenie na przechowywanie broni w swych izbach, teraz wszyscy bez wyjątku musieli ją składać na ręce seniora [2].

Jednocześnie nie obeszło się bez przypomnienia ustaw o ubiorach. Scholarzy takie mają nosić ubiory, do jakich ich ustawy zobowiązują i jakie im przystoją, gdyż inaczej nie będzie można żaka odróżnić od dworzanina i rzemieślnika [3]. Zwracamy uwagę na ostatnie słowa. Można na podstawie akt rektorskich stwierdzić, że właśnie w tych czasach mieli scholarzy ciągłe zatargi z rzemieślnikami, przedewszystkiem zaś z dworzanami magnatów świeckich i duchownych; przychodziło nieraz do poważnych starć, przy których nie obeszło się bez rozlewu krwi. Dość wspomnieć o burdzie z r. 1549, wywołanej przez pijaną służbę Andrzeja Czarnkowskiego z żakami mieszkającymi w szkole Wszystkich Świętych i w sąsiednich bursach. Postradał wtedy życie student Jerzy, syn Jana z Pienian, Wileńczyk, siedmiu zaś innych żaków pokaleczonych zostało. Burda ta miała, jak wiadomo, dalszą swą dosyć smutną historyę [4].

---

[1] Zob. Decreta et constitutiones tego synodu wyd. M. Szarffenberg, Kraków, 1544.

[2] Zob. Conclus. univ., r. 1552, str. 196: „... Ut quivis contubernium ingrediens arma seniori continuo praesentet et ad servandum committat neque alia privatim aut publice deferre aut in habitatione servare audeat".

[3] Tamże: „Sed et hoc tunc decretum est, ut quivis illorum vestes huiusmodi deferat, quales studiosis conveniunt, quibus discerni possint ab aulicis et opificibus".

[4] Zob. *Wisłocki.* O wydawnictwie liber diligentiarum. Kraków, 1886, str. 14.

Druga połowa XVI w. nie zmieniła zapatrywań władz uniwersyteckich. Wpływ humanizmu w tym względzie jako i w innych był u nas żaden. Ale i we Wiedniu spotykamy jeszcze w r. 1554 ustawę, która wzywa scholarzów tamtejszych, aby nosili ubiór przyzwoity, tj. scholarski, po którymby ich można odróżnić od żołnierzy. Ustawa ta dotyczyła wszystkich scholarzów przedewszystkiem zaś uczniów wydziału teologicznego i filozoficznego. Nieposłuszni zamykali sobie drogę do stopni uniwersyteckich [1]. A więc uniwersytet nasz nie jest odosobniony z swymi ustawami o ubiorach w drugiej połowie XVI wieku. Ustawy naszego uniwersytetu o broni i strojach, wydane po r. 1550, cechuje tylko niezwykła w innych uniwersytetach, a u nas poniekąd niewytłómaczona surowość.

I tak w r. 1558 postanowił uniwersytet wykluczać bez apelacyi z uniwersytetu tych wszystkich scholarzów, którzyby uzbrojeni brali udział w zgromadzeniach publicznych lub prywatnych [2].

Rok 1559, w którym Marcin Krokier z Krakowa dzierżył berła uniwersytetu, dał się przykro uczuć żakom. Król Zygmunt August, znudzony i rozgniewany ciągłymi skargami wnoszonymi z rozmaitych stron na ruchliwą podówczas uczącą się młodzież, wezwał rektora uniwersytetu do energicznego przeciw rozhukanym scholarzom postępowania. Krokier z natury surowo dla młodzieży usposobiony, teraz po otrzymaniu mandatu królewskiego wystąpił z tem większą surowością. Następstwem tego był cały szereg uciążliwych dla młodzieży ustaw, między któremi pierwsze miejsce zajmują rozporządzenia o ubiorach i broni. Dawniej wstępujący do bursy oddawali broń do przechowania seniorowi bursy, teraz mieli ją składać prowizorowi i to najpóźniej w trzy dni po wstąpieniu do zakładu. Przy oddawaniu mieli żacy przysięgać, jako prócz oddanej innej broni nie posiadają ani jej też nabywać nie będą prócz nożyków do temperowania piór *(praeter cultellum incisorium et scriptorium)*. Wykraczający przeciw temu rozporządzeniu mieli być

---

[1] Zob. King. l. c., tom II, str. 390.

[2] Zob. Concl. univ., r. 1558, str. 208: „Si quis autem in communitatem quocunque tempore inter publice vel privatim congregatos armatus ipse venerit aut alios cuiusvis conditionis subordinaverit, excepta pixide seu bombarda, propter quam simpliciter excludendus erit".

wykluczeni z zakładu, w którym mieszkali; schwytani zaś z bronią w ręku na gorącym uczynku przez policyą miejską lub grodzką, tracili tem samem prawo odwoływania się do przywilejów uniwersytetu i odnoszenia się do opieki i interwencyi rektora [1]. Surowszem było rozporządzenie o ubiorze [2]. Uniwersytet tłómaczy swoje stanowcze i ostre postępowanie tem, że młodzież nieuniwersytecka popełnia na rachunek scholarzów liczne wybryki, coby jej tem łatwiej przyszło, gdyby w stroju między nią, a młodzieżą uniwersytecką nie było wybitnej różnicy. Aby na przyszłość temu stanowczo zaradzić, a tem samem i woli królewskiej zadosyć uczynić, zakazał uniwersytet jak najsurowiej magistrom, bakałarzom i studentom wychodzić poza granice kolegiów, burs i szkół parafialnych w stroju dworskim *(aulico)* lub świeckim *(laico)*. Po duchownemu mają być żacy ubrani od stóp do głów. Aby sobie każdy przepisane ubranie mógł sprawić albo też, gdy nie ma na nie pieniędzy, po takowe do rodziców napisać, postanowiono w tym celu zaczekać ze zastosowaniem rozporządzenia, wyznaczając jako ostatni termin dzień św. Wojciecha. Święty ten bowiem oblókł ongi dusze Polaków w nowe szaty, teraz w uniwersytecie od uroczystości jego rozpoczynają się kursa letnie. Niech więc i scholarzy z początkiem tego półrocza przywdzieją wszyscy nowy strój. Koniec owego rozporządzenia brzmi w dosłownem tłumaczeniu jak następuje: „Kto zaś zdybany będzie w innym stroju aniżeli duchownym i dla studenta właściwym, ten razem z owym ubiorem będzie z uniwersytetu wykluczony bez wszelkiej nadziei, aby kiedykolwiek doń mógł wstąpić".

---

[1] Zob. Concl. uniw., r. 1559, str. 223.

[2] Tamże str. 223: „Ne autem sub hoc nomine studiosorum infinita scelera, quod hactenus fieri solebat, lateant, utque a reliquis hominum generibus facilius dinoscantur, mandamus eiusdem S. R. M. autoritate et mandato, ne magistrorum, bacalaureorum aut studiosorum aliquis extra limen collegii, bursae aut scholae, quam inhabitat, progredi audeat aulico aut laico vestitu, sed clericalis amictus tocius corporis, capitis pedumque etiam sit, ut vero facilius quisque vel parentibus significando talem vestitum habere vel ipse sibi comparare possit, festum S. Adalberti, qui olim novo habitu Polonorum animos induerat, et studiosis nunc innovat pro aestiva commutatione, ut innovet quoque nunc et vestitum studiosorum, praefigimus. Quicunque autem deprehensus fuerit alio vestitu quam clericali et studiosorum decente, pariter cum illo vestitu ab universitate excludatur redeundi nulla spe relicta ad eandem"

Oba rozporządzenia w ostrym tonie zredagowane i z bezwzględnością w życie wprowadzone, wywołały niechęć wśród scholarzów. Skarżyła się młodzież najprzód na to, że im nakazano składać broń u prowizorów, a nie jak dawniej bywało u seniorów, a powtóre, że wymagano przytem od nich zeznania pod przysięgą na krucyfiks lub na świętą ewangelię, jako krom złożonej broni, innej nie posiadają. To niesłychany w dziejach uniwersytetu rygor, skarżyli się żacy, tego żadna z dawniejszych ustaw nie wymaga. Wnieśli tedy gremialną prośbę do rektora o uchylenie tej ich zdaniem nowej, a uciążliwej ustawy, a zarazem o przywrócenie dawniejszej. Senat przychylił się do prośby scholarzów, w części zaś odrzucił ich żądania. Pozwolił mianowicie składać broń u seniorów, a przysięgę miało zastąpić proste słowo uczciwości *(bona teste conscientia)*. Tylko nowo wstępujący do zakładu musieli przy składaniu broni wykonywać przysięgę. Kar za wykroczenia, przepisanych w pierwotnej ustawie, nie zniesiono [1].

Żadnego skutku natomiast nie odniosła druga prośba scholarzów, domagająca się złagodzenia rozporządzenia o ubiorach. Tu młodzież kładła w petycyi na to nacisk, że uniwersytet zmuszając ją do noszenia ubioru duchownego, wyrządza jej niesprawiedliwość. Niesprawiedliwości takiej inne stany nie zniosłyby, zresztą nikt im jej nie śmiałby wyrządzić. Usiłowali też żacy wykazać, że dawniej nie było zwyczaju noszenia ubiorów duchownych. Dodawali nadto, a powiedzmy, że całkiem słusznie, jako w obecnych krytycznych czasach z trudnością przychodzi każdemu sprawić sobie wymagany przez ustawę ubior. Utyskiwania były głośne i powszechne. Całe oburzenie zwróciło się nie przeciw senatowi, ale na rektora Krokiera, który też pod naciskiem powszechnego żądania zajął się wraz z senatem rewizyą ustawy. Scholarzy napróżno jednak spodziewali się ulgi. Senat nie ustąpił, a to dla kilku powodów. Najprzód ze względu na mandat królewski. Król nakazał, aby młodzież po duchownemu chodziła, królowi nie można się było sprzeciwić i w niczem od postanowień jego odstępować. Jeżeli kto, to uniwersytet potrzebuje opieki i łaski monarchy, o które się też wszelkimi spo-

[1] Zob. Concl. univ., str. 224.

sobami starać powinien. Następnie wskazał senat, że rozporządzenie co dopiero wydane nie jest żadną nowością, ale poprostu odświeżeniem czyli przypomnieniem dawnych bez przerwy obowiązujących ustaw. A wreszcie ubliżyłoby to powadze senatu, gdyby uchwały z namysłem powzięte zaraz po ich ogłoszeniu cofał. Przyrzekł natomiast senat przyjść scholarzom w pomoc, gdyby z powodu noszonego przez nich stroju duchownego mieli być narażeni na jakoweś nieprzyjemności, z warunkiem jednak, że pomocy rektora wyraźnie zażądają. W dodatku uchwalono jeszcze, aby odtąd nowi uczniowie przy wstępie do uniwersytetu pod przysięgą zobowiązywali się do noszenia strojów duchownych, dopóki do uniwersytetu należeć będą. Tylko w obrębie mieszkania wolno im będzie ubierać się po świecku. Przysięgę odbierał rektor i dawał każdemu poświadczenie, bez którego nikt nie mógł być przyjęty do zakładu uniwersyteckiego na mieszkanie. Ta klauzula miała swą doniosłość, wiadomo bowiem, że scholarzowi gdzieindziej nie wolno było mieszkać bez wyraźnego pozwolenia rektora [1].

Okoliczności, w jakich co dopiero streszczona ustawa wchodzi w życie, a mianowicie fakt, że wielu żaków od dawna już w uniwersytecie będących, w chwili przypomnienia ustawy o ubiorach nie miało całkiem ubrania scholarskiego, a wreszcie samo częste przypominanie ustaw o ubiorze i broni, to wszystko dowodzi w dostateczny sposób, że młodzież uniwersytecka mimo ustaw, począwszy od połowy XVI wieku nie zawsze strój przepisany nosiła.

Nowym na to dowodem jest nowy mandat króla Zygmunta Augusta przysłany rektorowi w r. 1563 z Warszawy, gdzie się właśnie sejm odbywał. W wstępie swego listu wspomina monarcha o gwałtach i mordach popełnionych przez scholarzów. Relacye, jakie król odbiera, grzeszą z pewnością przesadą, wiadomo bowiem, że wtedy już zaprzestano troszczyć się o tę najwyższą szkołę, owszem robiono jej rozmaite zarzuty. Tylko mała garstka ludzi znających stosunki uniwersyteckie przychodziła w pomoc tej starej karmicielce narodu. Jestto jeden z najbardziej zajmujących momen-

[1] Por. *Karbowiak*, Mieszkania żaków krakowskich w XIV—XVI wieku, 1887, str. 11 i 12.

tów w dziejach naszego uniwersytetu właśnie ów stosunek tej starej szkoły do dworu, możnych i szlachty. Relacya, mówię, o której wspomnieliśmy, aczkolwiek nie pozbawiona prawdy, była dla żaków, dla uniwersytetu wysoce nieprzychylną. Król wyraził rektorowi swoje najwyższe niezadowolenie i wezwał go, aby młodzież w karności trzymał a przedewszystkiem zmuszał ją do przestrzegania przepisów o ubiorach [1].

Scholarzy w ten sposób i przez króla i przez władze uniwersyteckie nękani, musieli się chcąc nie chcąc poddać pod uciążliwe ustawy, z drugiej strony jednak nie zasypiali żadnej sposobności, aby się z pod rygoru wyłamać lub co najmniej pewne ulgi uzyskać.

Spotkali się w tym względzie z przychylnością biskupa Filipa Padniewskiego, kanclerza uniwersytetu. Pozwolił on w r. 1566 na własną rękę bez porozumienia się z władzą uniwersytecką nosić scholarzom suknie takie, jakie kto posiadał i chciał, z wyjątkiem sukien „z długimi kołnierzmi“, których osobiście niecierpiał. Jednocześnie zniósł ustawę o broni z tym tylko zastrzeżeniem, aby młodzież nie nadużywała broni przy wzajemnych starciach lub walkach z innymi osobami. Biskupem kierowała zasada, że młodzież powinna się uczyć szermierki, inaczej wychowa się na kulfanów.

Przyszło widocznie z tego powodu do zatargu pomiędzy kanclerzem, który bądź co bądź nielegalnie sobie postąpił, a senatem uniwersyteckim, który nie mógł nie bronić swych praw. Po przesłuchaniu dwóch scholarzów z bursy Jeruzalem, Adama Cybulskiego i Jana Herbestha, uchwalił uniwersytet jednomyślnie unieważnić rozporządzenie biskupa i przywrócić ustawy o broni i ubiorach, robiąc jedno tylko ustępstwo, aby odtąd wolno było używać do szermierki mieczy drewnianych [2].

---

[1] Zob. Manuskr. Arch. Sen. ak. w Krakowie. Nr. 109, str. 80—89. List nosi datę 28 list. 1563 r.... czytamy tam między innymi: ...ut scholares in publicum decenti suo pristinoque habitu ac vestitu induti, nullis armis tecti, prodeant“.

[1] Zob. Concl. univ, str. 253, r. 1566: „...Reverendissimus permisit nobis deferre habitum, quem velimus, excepto habitu cum longis dependentiis alias z długimi kołnierzmi. Item gladios non quidem ad pugnandum sed ad dimicandum: ... Conclusum ... „tenendum fore statutum inviolatum de habitu similiter de armis non ferendis nisi forte gladiis ligneis ad pugillandum aptis uti velint“. Zob. też Karbowiak, Ustawy, str. 55.

Po r. 1566 uniwersytet nie ponawiał już ani w XVI ani też w następujących dwóch wiekach ustaw o ubiorach i broni, tak że mogłoby się zdawać, że począwszy od owego roku wziął rozbrat z dawnym obyczajem. Tymczasem są pewne dane, które niewątpliwie czego innego dowodzą.

I tak w r. 1580 ukarał rektor Hieronima Chłapowskiego za to, że mimo ustaw uniwersytetu i rozporządzenia rektora śmiał nawet w obecności samego rektora chodzić w ubiorze zakazanym i dla studenta niewłaściwym tj. w butach tureckich czyli dworskich[1]. Jestto ostatni ślad z wieku XVI świadczący o podtrzymywaniu przez uniwersytet dawnej, powiedzmy, średniowiecznej tradycyi. Tradycya ta już od połowy XVI wieku zaczęła słabnąć i znikła niedoczekawszy się jego końca. Żacy wywalczyli to sobie lub raczej duch czasu przyniósł to z sobą, że dawne ustawy o ubiorach poszły w zapomnienie, scholarz mógł odtąd się ubierać, jak mu się podobało.

Jeżeli mimo to znajdziemy w XVII i XVIII w. wypadki przemawiające przeciw temu powyższemu rezultatowi naszych poszukiwań, to fakta owe zresztą odosobnione nie są w stanie zachwiać w niczem naszym poglądem. W r. 1762 np. został pozwany przed sąd rektora Ignacy Cybis Ślązak, bakałarz filozofii, któremu bedel uniwersytetu jako instygator urzędu rektorskiego między innymi i to zarzuca, że gardzi strojem akademickim[2]. Co sądzić o tym fakcie? Cybis mieszkał prawdopodobnie w bursie, w której przestrzegano do pewnego stopnia z woli tego lub owego dobrodzieja tejże dawnych ustaw. I tak np. w bursie „Jeruzalem“ ordynacya biskupa Zadzika z r. 1642 wymaga od bursarzy, aby nosili suknie sięgające po kolana[3]. Ordynacya ta obowiązuje jednę tylko bursę a nie ogół młodzieży; jest ona czemś odosobnionem, a nie żadną przez uniwersytet wydaną ustawą. Z tego samego punktu widzenia należy sądzić statut bursy chirurgów z r. 1788, który między innymi poleca prefektowi, aby sprawiał „suknie dla chirur-

[1] Zob. A. R., r. 1580, str. 575. Z tego samego powodu spotkała kara scholarzów Jana Tarnowskiego, kasztelanica radomskiego (A. R., 1578, str. 508 i Niedzwickiego młodszego (Tamże, r. 1578, str. 508).

[2] Zob. A. R. str. 575... „habitum academicum contemnit uti et ad praesens sine eodem habitu pro iudiciis condescendere ausus est“.

[3] Zob. Karbowiak, Ustawy, str. 66.

gów nie inne tylko parzyste z sukna krajowego w kolorze ciemnym nakrapianym“ [1].

Ustawy o broni natomiast zatrzymały moc obowiązującą w całej swej rozciągłości w XVII i XVIII wieku. Mimo to jednak działy się, zwłaszcza w XVII stuleciu, najrozmaitsze i najgwałtowniejsze nadużycia broni. Jeszcze w r. 1594 dwaj żacy, mieszkający w bursie „Jeruzalem,“ postrzelili śmiertelnie rytownika Grzegorza Brüknera, zajętego pracą u Jana Januszowskiego Łazarzowica w drukarni, położonej naprzeciw bursy „Jeruzalem“ [2].

Wiek XVII dostarczyłby całego szeregu gwałtów sromotnych, dokonanych przez żaków. Ciekawy czytelnik znajdzie je we współczesnych kronikach, dokąd go też odsyłamy. Tu wspomnijmy tylko, że śmiałość i zuchwałość, z jaką żacy ustawy gwałcili, miała swe źródło w owej powszechnej wówczas nienawiści kierującej się ku innowiercom, a charakterystycznej dla XVII wieku. Władza uniwersytecka i w ogóle cały uniwersytet nie poszedł za owym prądem czasu. Wybryki młodzieży karcili przełożeni surowo ale niejednokrotnie najlepsze ich usiłowania nie odnosiły odpowiednich skutków, gdyż młodzież znajdowała często podburzających ją obrońców, w pewnych sferach społeczeństwa. Nie skutkowała też przysięga, którą żacy jak dawniej tak i teraz składali przy wstępie do uniwersytetu, zobowiązując się, że nie będą posiadali żadnej broni przez cały czas swoich studyów w uniwersytecie [3]. O takiej przysiędze wspominają jeszcze ustawy z r. 1690 [4].

W XVIII wieku, jeżeli na jednym fakcie oprzeć się wolno, nie wymagano już przysięgi przy oddawaniu broni. Powołany statut bursy chirurgów z r. 1788 nakazując bursarzom przy wstępie do bursy oddawać broń prefektowi zakładu, nie wspomina już o przysiędze. (C. d. n.)

Dr. A. Karbowiak.

---

[1] Zob. Archiwum Sen. akad., rkps. nr. 209.

[2] Zob. A. R., r. 1594, str. 173.

[3] Oto słowa skargi, wypowiedziane niejednokrotnie przez rektorów: ...immemores (scholares) mandati rectoralis studiosis usum armorum prohibentis... immemores status et vocationis suae, contra iuramentum circa inscriptionem... in album universitatis praestitum, armati incedere.

[4] Zob. Arch. Sen. akad., rkp. nr. 267, str. 1 i 13.

BARTOSZ Z WISSEMBURGA.

(SZKIC HISTORYCZNY).

(Dokończenie).

III.

Sprawa następstwa Luksemburga w Polsce wzięła fatalny dlań obrót. Nieuznany królem przez szlachtę wielkopolską, nie najchętniej widziany przez Małopolan, musiał się cofnąć za Karpaty do Węgier. Polska nie miała teraz pana. Małopolanie zajęli na razie stanowisko wyczekujące, bracia zaś wielkopolska zebrała się w Miłosławiu na naradę i uchwaliła zaprosić Małopolan na wspólny zjazd do Radomska. (25 listop. 1382). Czy Bartosz brał udział w tym zjeździe, nie wiadomo, na akcie wystawionym w Radomsku, gdzie zaprzysiężono wierność Maryi, córce Ludwika, znajdujemy wprawdzie pieczęć Wiszemburgów, ale podpisany jest pod nią jakiś Józef de Grodziszcze (Grodzisk) [1].

Nastają teraz w Polsce czasy rozstroju i zamieszania. Wielkopolska szlachta konserwatywno-narodowa walczy z Małopolanami, którzy trzymają się polityki utylitarnej, odpowiadającej potrzebom całego państwa. Jak przedtem za Ludwika zaznaczyła była bracia wielkopolska nieprzyjazne swe stanowisko przeciw Andegawenom sprowadzeniem księcia Białego, tak teraz dawały się słyszeć głosy przebąkujące coś o Piastach. Kto pierwszy się ode-

[1] Kod. wielkop. III. str. 527, nro 1804.

zwał za księciem Ziemowitem Mazowieckim, odgadnąć nie można, może i sam Bartosz wierny zasadom i zapatrywaniom swej braci. Znajdujemy go bowiem na Mazowszu, gdzie skłania młodego księcia, by tenże stanął do gry o berło i koronę. Bartosz sam oddaje się zupełnie na jego usługi, swój zamek odolanowski poddaje jego władzy i składa przysięgę wierności [1]. Ukartowane następstwo księcia na tronie polskim musiało być koniecznie poparte orężem, to też pożyczono natychmiast pieniędzy od Krzyżaków, dla których książę „szczególniejszą pałał przyjaźnią“ [2], zwłaszcza gdy chodziło o drażliwe sprawy finansowe. Zastawiono gród Wiznę za 7000 węg. zł. Bartosz uczynił zaciągi i ruszył z zebranymi Mazowszanami jeszcze tegoż roku w zimie, w grudniu przez Wielkopolskę na Kalisz. Zamiarem Bartosza było zająć ten gród królewski i tu zyskać pewne silne oparcie. W nocy z 19—20 grudnia zbliżono się pod mury miasta. Współczesny kronikarz [3] opisuje barwnie i szeroko o tym napadzie Bartosza na Kalisz. Mieli już ludzie Bartoszowi przystawić drabiny do murów, niektórzy już nawet wdrapali się na blanki, a jeden starał się zrobić piłą otwór w bramie. Darmo wyczekiwał pan Bartosz zajścia księżyca, który świecąc jasno, nie pozwalał niepostrzeżenie zbliżyć się z wojskiem pod mury. Pracujący piłą przy bramie robił coraz większy otwór, aliści szmer wywołany tarciem piły usłyszał piekarz, który się zabierał do pieczenia chleba dla załogi w mieście będącej. Przybliżył się więc cichaczem do bramy, i obaczywszy co się święci, zagiął piłę. Robiący otwór w bramie, zdziwiony, że piły wyciągnąć nie mógł, rzekł do otaczających: „Nie wiem, co się pile stało, nie mogę jej wyciągnąć“. Ci zaś na to: „Spiesz się, bo dnieć poczyna“. Piekarz nabrawszy przekonania, iż to muszą być nieprzyjaciele, począł krzyczeć w niebogłosy: „Nieprzyjaciel! nieprzyjaciel!“ Zbudzeni krzykiem jego ludzie porwali się do broni, a pan Bartosz musiał się cofnąć. Odstąpił od Kalisza, a zwrócił się na Kozminek, który we wrześniu w wojnie z Luksemburgiem utracił.

---

[1] Dług. IV. str. 391.
[2] Voigt. Gesch. Preuss. t. V. str. 413.
[3] Janko rozdz. 65. Długosz t. IV. 391.

Udało mu się bez trudu zająć to miasteczko; stąd ruszył na Chodecz, gdzie Kazimierz Wielki zbudował był dom z cegieł, a który obecnie na gródek zmieniono. Rzuciwszy most na Prośnie podszedł pod Kozmin w zamiarze zajęcia go. Silna jednak załoga pozostawiona przez Domarata uniemożebniła owładnięcie tem miastem. Zwrócił się przeto pan Bartosz na niedaleki gródek Parsko, należący do Michałka, syna Tomasza z Ostrowączna i oblegał go przez dni ośm. Michałek stronnik Domarata ściśnięty w gródku swym musiał się poddać, porzucić stronę starosty wielkopolskiego a przejść na stronę stronnictwa mazowieckiego.

Zjawienie się Bartosza w Wielkopolsce z ludźmi Semka, i tych kilka nie zbyt świetnych rezultatów, jakie odniósł, wywarło wielki wpływ na szlachtę wielkopolską. Podniesiony sztandar sprawy Piastowicza chętniej był widziany, niż ukartowane przez Ludwika następstwo Zygmunta w Polsce. Nadto groźby Domaratowe, że sprowadzi Sassów, Czechów i Kaszubów by poprzeć sprawę Luksemburga, że „każe wywlekać panów i szlachtę z domów, że niechętnych uwięzi, a dobra ich złupi i ziemię tak zniszczy, iż za 200 lat nie przyjdzie do siebie“, zamiast pomódz sprawie Luksemburga, szkodziło jej tylko i odstręczało wszystkich. Rozjątrzona szlachta postanowiła ubiec Domarata, i zebrała się licznie i zbrojno koło wojewody poznańskiego Wincentego z Kępy. Najliczniejszy poczet stanowili słynni Nałęcze ze swoimi herbownikami i stronnikami. Polityka nakazywała im połączyć się z Bartoszem, zwłaszcza, że różnic w zapatrywaniach obu partyj nie było. Wielkopolanie występowali przeciw Domaratowi, a właściwie przeciw Zygmuntowi, Bartosz szedł zaś nieco dalej w swych planach, walczył także przeciw Domaratowi i Zygmuntowi, ale korony chciał dla Piasta Semka. Wielkopolanie przeciwni temu nie byli wcale, owszem kombinowano, że Marya będzie mogła wziąść za męża Ziemowita, a tak załagodzi się całą sprawę. Porozumienie i połączenie się obu stronnictw nastąpiło szybko, Wincenty, Bartosz i Swidwa kasztelan Nakielski, stanęli na czele całego ruchu i 11 stycznia 1383 r. pod Pyzdrami złączyli swe siły.

Tu rozpoczęto oblężenie zamku tego, a zarazem wysłano do Poznania delegatów dla pozyskania mieszczan. Jedno i drugie powiodło się doskonale. Z mieszczanami przyszło do kompromisu;

bramy Poznania miały zostać otwarte dla braci szlachty, a ta zobowiązawszy się do dochowania wierności Maryi, córce Ludwika, oświadczyła „panom rajcom i społeczności miasta Poznania, — że stać będzie przy nich ciałem i dostatkami, pracując nad utrzymaniem ich praw jakoby własnych, i nie opuszczając ich w żadnem niebezpieczeństwie, tak, iż ani ziemianie bez przyzwolenia mieszczan, ani mieszczanie nie będą poczynali niczego bez zgody szlachty". Akt sporządzony podpisał prócz panów Wielkopolskich, jak Wincentego z Kępy, Sędziwoja i innych, także nasz Bartosz z Wiszemburga [1]. Podczas tych układów nie zaprzestano jednak oblężenia Pyzdr. Po czterech dniach tj. 18 stycznia poddało się miasto, a pan Wincenty, Bartosz, Swidwa i inni zobowiązali się względem mieszczan, iż zachowają wierność i posłuszeństwo córce Ludwika Maryi, która ma przyjąć koronę „od nas, i z nami zamieszkać", tak jednak by korona Polski od korony Węgier odłączoną była. Nadto obiecali bronić mieszczan, i nic bez ich zgody nie czynić. Ten podstęp dyplomatyczny powiódł się doskonale, „wywieszono bowiem sztandar Maryi, aby być równie lojalnymi jak Domarat!" [2]. Załoga broniąca grodu nie zgodziła się na ugodę mieszczan i stawiła dalej opór. Jednak po trzech dniach zmuszoną została głodem do kapitulowania. Podczas oblężenia zdarzył się razu pewnego nie miły wypadek. Miał pan Bartosz pod swymi rozkazami dzielnego żołnierza, który był mistrzem w strzelaniu z kuszy. Otóż ten wyrzuciwszy kamień, zdruzgotał dwie zawiasy u bramy zamkowej, a nadto zabił księdza, imieniem Mikołaja z Biechowa. Wincenty i Bartosz stawszy się panami Pyzdr, wypuścili jeńców wraz z bronią i końmi. Sprawa podniesiona przez obu, nabierała coraz więcej rozgłosu i znajdowała coraz więcej przychylnych, zwłaszcza gdy mieszczanie poznańscy przyjęli w swe mury Nałęcza Swidwę z hufcem liczącym 50 ludzi.

Za namową Bartosza ruszył teraz Wincenty na Kalisz. Pan Bartosz chciał koniecznie zatrzeć pamięć pierwszego nieudałego zamachu na to miasto. Przystąpiono tedy dnia 20 stycznia

---

[1] Kod. wielkop. III, str. 531, nro 1807. — Szajnocha. Dzieła T. VI. (Jadw. i Jagiełło) str. 11 tytułuje Bartosza zupełnie błędnie „cześnikiem".

[2] Szujski loc. cit. str. 134.

do oblężenia. Równocześnie zbierał Domarat zaciężne roty niedaleko Szamotuł, i zamierzał uwolnić Poznań od Swidwy, a Kalisz od Wincentego i Bartosza. Szamotuły należały do Nałęczów i były gniazdem rodzinnem Świdwy, kasztelana Nakielskiego. Nie życzył sobie Swidwa, by mu Grzymalita Domarat wyrządzał szkody w jego dobrach, dlatego postanowił go wyrzucić z okolic Szamotuł. Posłał więc potajemnie pod Kalisz do Bartosza, i do kasztelana szremskiego Andrzeja z prośbą o pomoc. Nie wahał się długo pan Bartosz, żądny przygód, zebrał garść swych ludzi, i ruszył Swidwie z pomocą. Cały ich hufiec składał się zaledwie z 300 kopij. Mimo tej niepokaźnej siły, postanowili zmierzyć się z Domaratem. Ruszono tedy 15 lutego na wyprawę. Generalny starosta wielkopolski wczasował, gdy mu czaty doniosły, że Swidwa nadciąga. Nie spodziewał się, by i Bartosz z pod Kalisza był ze swymi ludźmi, przeto ufny w swe siły nie wielce się kwapił do oporu. Tymczasem Swidwa z Bartoszem podeszli tak szybko pod obóz nieprzyjacielski, iż Domarat nie miał czasu się przygotować; zaledwo połowa jego wojska potrafiła się na gwałt uzbroić, reszta bezbronna, widząc niebezpieczeństwo, dosiadała jeno koni, by uciekać. Naturalnie, że ludzie Domaratowi wraz z swym wodzem, poszli zupełnie w rozsypkę, i w największym nieładzie uciekali. Zapalony Swidwa nie zadowolił się tem zwycięstwem, lecz ścigał dalej nieprzyjaciela na mil kilka. Bartosz zaś ze swoim hufcem został na placu boju; ludzie jego potrzebowali odpoczynku, gdyż z pod Kalisza aż do Szamotuł byli w nieustannym prawie pochodzie. Rozłożono się więc w obozie pozostawionym przez Domarata; ludzie zaś Swidwy ściągali się powoli znosząc broń, której tyle nabrali, iż na jedno miejsce złożona tworzyła prawie „górę spiżową“.

Tymczasem stronnik Domaratowy Wierzbięta ze Smogulca wyruszywszy z obozu swego pod Obrzyckiem, dążył pod Szamotuły, by połączyć się z generalnym starostą. Prowadził ze sobą pan Wierzbięta 100 konnych i 500 pieszych. Po drodze dowiedział się o przegranej Domarata. Nie zmieszał się tem jednak, owszem przeciwnie postanowił wpaść na Bartosza nie przeczuwającego nic złego. Powtórzyła się teraz ta sama scena co z Domaratem. Wierzbięta wpadł na Bartosza i rozpędził jego ludzi. Sam

pan Bartosz ledwie z życiem umknął z tej niefortunnej dlań potrzeby.

Z pod Szamotuł wrócił starosta Odolanowski pod Kalisz, by dalej prowadzić rozpoczęte oblężenie. Szło ono jednak jakoś niesporo i przeciągało się. W głębi zaś Wielkopolski wrzała walka dalej, niszczono i łupiono kraj cały. Przybycie poselstwa węgierskiego do Polski, i zjazd zwołany przez wielmożów małopolskich do Sieradza na dzień 26 lutego, uspokoiły na chwilę kraj cały. Pod Kaliszem ciągle jednak staczano walki. Konrad ks. na Oleśnicy zawołany z pomocą przez Dzierzka, kasztelana gnieźnieńskiego, brata Domarata, przybył pod Kalisz z 300 kopiami, odparty jednak został i rozgromiony przez Wincentego i Bartosza. Ta atoli wygrana nie wpłynęła bynajmniej na losy sprawy szlachty wielkopolskiej. Stosownie do uchwał zjazdu sieradzkiego przybył pod Kalisz Spytek z Melsztyna, Sędziwój z Szubina, Mikołaj Bugorya i Krzesław Szczekocki, by nakłonić obu przewódców partyi wielkopolskiej i mazowieckiej: Wincentego i Bartosza do zaprzestania oblężenia. Po długich wreszcie targach odstąpiono od oblężenia i zamek wydano w ręce Sędziwoja, który też niezwłocznie wraz z Spytkiem wyjechał do Węgier. Krzesław i Mikołaj zaprowadzali zaś dalszą pacyfikacyę kraju, i wreszcie d. 8 marca w Starczynowie skłonili obie wojujące strony do rozejmu, który miał trwać do 24 czerwca.

Stosownie do uchwały powziętej na pierwszem zjeździe sieradzkim miał się odbyć w miesiąc później drugi zjazd generalny również w Sieradzu. I właśnie zbliżył się był ten termin. Zewsząd ciągnęła szlachta, by obierać króla. Zjechali się 26 marca licznie panowie małopolscy, przybył arcybiskup Bodzanta z licznym klerem, zjawił się nawet Władysław Opolczyk, były gubernator Korony. W towarzystwie Bartosza zjechał Ziemowit z Mazowsza, pretendent do berła i korony. Sprawa Ziemowita nabierała coraz więcej szans powodzenia, prócz bowiem owego „filara“, jak zwie Bartosza Szajnocha — stał teraz po stronie Piastowicza arcybiskup Bodzanta wraz z duchowieństwem wielkopolskiem. A między bracią szlachtą liczył Ziemowit ogromną moc stronników. Wszystko to miał do zawdzięczenia Bartoszowi, gdyż on pierwszy sztandar sprawy jego podniósł i tylu stronników mu uzyskać potrafił. Zebrana szlachta poczęła radzić, i nie wiele brakowało, by

Semka okrzyknięto królem. Sprzeciwienie się jednak Opolczyka, i taktowne a pełne siły wystąpienie Jaśka z Tenczyna sparaliżowało usiłowanie stronnictwa mazowieckiego i szlachty wielkopolskiej. Wybór Semka odłożono na później, a poczęto radzić nad postawieniem warunków przyszłej pani Polski.

Zjazd sieradzki, który nie ziścił nadziei Semka, Bartosza i Bodzanty, popchnął ich teraz do tem energiczniejszego działania. Miała królewna Jadwiga zjechać 10 maja (1383) do Polski. Panowie małopolscy, a nawet niektórzy z wielkopolskich, wyjechali do Sącza, by godnie powitać swą królowę. Semko, Bartosz i arcybiskup postanowili z tego skorzystać. Umyślili tedy udać się z licznym pocztem naprzeciw królowej, po drodze zająć zamek krakowski, a następnie porwać młodą królewnę. Semko miał się znajdować w tym zbrojnym orszaku przebrany za prostego pachołka. Który z nich trzech był autorem tego planu — nie podały nam kroniki. Zebrał więc pan Bartosz 500 zbrojnych ludzi, między którymi był przebrany Semko i wraz z arcybiskupem ciągnął niby na powitanie królewnej Jadwigi. Zbliżono się już do bram krakowskich, chciano już wejść do miasta, mieszczanie jednak dowiedziawszy się o całym planie Mazowszan, gdyż głośno o tem mówiono, zatarasowali bramy. Dwa dni i dwie noce spędził Semko, Bartosz i arcybiskup na probostwie św. Floryana na przedmieściu krakowskiem, wyczekując odpowiedniej chwili do zawładnięcia zamkiem. Gdy atoli dnia trzeciego oświadczyli im mieszczanie, że jeżeli nie ustąpią z przedmieścia krakowskiego to na nich zbrojno uderzą, musieli odstąpić jak niepyszni. Cofnęli się na Proszowice, a stąd pociągnęli do Korczyna [1].

Tu w Korczynie rozłożono się, i wyczekiwano nadejścia wieści o przybyciu królowej do Polski. Tymczasem przyjazd jej odłożono do św. Marcina. Nie było tedy co robić w Korczynie, ruszono więc na Książ, gród Spytka Melsztyńskiego, którego uważano za największego wroga kandydatury Semkowej. Książ spalono; stąd puścił się Piast wraz z Bartoszem do ziemi Łęczyckiej, gdzie szlachta z nimi ugodę zawarła. Z Łęczycy udali się do Kujaw.

---

[1] Janko: Kronika rozdz. 77.

Tu stronnicy młodego Semka poddali mu Brześć i całą ziemię Kujawską (przy końcu maja). Wszystko wróżyło powodzenie, prawie $^3/_4$ Polski zgadzało się, by Piastowicz został królem polskim. Semko też zwołał teraz zjazd szlachty do Sieradza na dzień 15-go czerwca, gdzie miano okrzyknąć go królem i włożyć koronę. Ale mimo licznego zjazdu szlachty, mimo obecności Bartosza, mimo, że szlachta okrzyknęła Ziemowita królem, do koronacyi nie przyszło. Chwiejność Bodzanty zniweczyła wszystko. Zły z powodu takiego obrotu sprawy, postanowił teraz Semko za radą Bartosza[1] rzucić się na Kalisz. Dnia 19 czerwca oblężono to miasto. Bartosz z całem poświęceniem szturmował do murów królewskiego grodu. Udało mu się wreszcie po kilku dniach zdobyć szaniec na wzgórzu od strony Konina, mimo dzielnej i zaciekłej obrony mieszczan. Dla prędszego uporania się z Kaliszem, wezwał pan Bartosz na pomoc księcia Konrada na Oleśnicy z 300 kopiami. Za pomoc tę ofiarowywał swój własny warowny Odolanów, — tak było wielkie poświęcenie jego dla sprawy Semkowej, której horyzont w skutek niepomyślności, małego na pozór znaczenia, poczynał się chmurzyć. Lecz i pomoc Konrada nie zbawiła sprawy, Kalisz stawił zacięty opór. Semko zabawiwszy kilka dni pod grodem królewskim, ruszył następnie z Bartoszem i Abrahamem Sochą do Łęczycy. Część jednak wojsk mazowieckich musiała prawdopodobnie zostać dla dalszego oblegania grodu.

Do udania się na północ i szukania połączenia z Mazowszem, zmuszał Semka i Bartosza nie najpomyślniejszy stan sprawy ich w Wielkopolsce. Załagodzona na chwilę burza wojenna wybuchła teraz w całej swej grozie. Szlachta pod wodzą Nałęczów przeciągała kraj niszcząc ziemię, bez względu na to, do kogo ona należała, czy do Grzymalitów czy do duchowieństwa. Grzymalici zaś ze swej strony mścili się znowu na Nałęczach i Bodzancie. Wszystko się krupiło na chwiejnym arcybiskupie. Główne jednak swe siły gromadził Domarat przeciw całej Wielkopolsce na północy. Obawiał się przeto Semko i Bartosz, by ich nie odcięto od Mazowsza, skąd czerpali swe siły i gdzie było główne ognisko całej ich sprawy. Wypadało przeto posunąć się na północ i ruszono na

[1] Długosz IV. str. 405.

Kujawy. Około 9 lipca stanęli w Darnowie. Tu w nagrodę przyobiecanego ks. Konradowi Odolanowa, otrzymał Bartosz wraz z braćmi swymi z rąk książęcych na d. 9 lipca[1] „za liczne i wierne usługi“ gród Przedecz i miasto Kłodawę. Nadto zastrzegł ks. Ziemowit, że skoro tylko koronę polską otrzyma, to zapis ponowi i pieczęć majestatu królewskiego przyłoży. Z Darnowa powrócił prawdopodobnie Bartosz pod Kalisz, Semko zaś został, aby utrzymywać związek między Mazowszem, a wojskiem oblężniczem. Małopolanie tymczasem nie zasypiali sprawy. Za ich pewnie namową zawarł Domarat z Ziemowitem zawieszenie broni na d. 15 lipca, oni zaś sami robiąc mu jakieś nadzieje w otrzymaniu korony, zaprosili do Krakowa, i tam skłonili niedoświadczonego do zawarcia rozejmu od dnia 28 lipca aż do 29 września. Książę miał cofnąć swe wojska, a Bartosza odwołać z pod Kalisza. Oszołomiony przyjaźnią panów małopolskich zaufał im młodzieniaszek zupełnie, zgodził się na wszystko i dał się wywieść w pole.

Pan Bartosz szturmując jeszcze ciągle do Kalisza, nie wiedział nic o obrocie sprawy. Nie przeczuwał, że jego książę da się tak złapać podstępnie dyplomatom małopolskim, którzy jedną rękę podawali księciu do zgody, a drugą przygotowywali do zadania stanowczego ciosu sprawie mazowieckiej. W tym też celu niezawodnie gromadził Peregryn z Wągleszyna szlachtę, by ją skierować przeciw Bartoszowi, a Zygmunt Luksemburg przechodził właśnie Karpaty i prowadził ogromną siłę Węgrów na poskromienie pretendenta.

Peregryn zebrawszy „pospolite ruszenie szlachty“ odniósł nieznaczne korzyści nad księciem Konradem pod miasteczkiem Poniec, i gotował się pod Miłosławiem w Winnogórze, by rozpocząć akcyę wojenną przeciw Bartoszowi. Dowiedział się pan Bartosz o tym zamiarze i jak zwykle szybki i obrotny, nie dał się i tym razem uprzedzić, zebrał swój hufiec, wpadł niespodzianie 2 sierpnia na szlachtę zbierającą się w Winnogórze, rozbił Peregryna, nabrał moc jeńców, koni i rynsztunku i wrócił zaraz pod Kalisz[2]. Ledwie jednak przybył do obozu z zwycięskiej wyprawy, gdy

[1] Lubomirski. Kodeks mazowiecki, str. 100, nro. CVII.
[2] Janko rozdz. 97. Długosz IV, str. 408.

dnia 6 sierpnia przybieżał poseł Semkowy z rozkazem odstąpienia od miasta i zaprzestania szturmów. Zrozumiał pan Bartosz plan Małopolan, i widział klęskę całej sprawy książęcej, jeśliby usłuchał rozkazu. Z jednej strony posłuszeństwo nakazywało Bartoszowi odstąpić od Kalisza, z drugiej jednak chęć ratowania upadającej sprawy nakazywała postąpić wbrew woli i rozkazowi książęcemu. Szlachetny i energiczny, postanowił wbrew układom siłą naprawić złe popełnione przez Semka. Rozkaz książęcy przyjął wprawdzie do wiadomości, lecz oblężenia nie powstrzymał, owszem rozpoczął jak najenergiczniejsze szturmy przypuszczać, chcąc gród królewski rzucić pod stopy książęce. Ośm dni bez przerwy wysilał się pan Bartosz, ale bezskutecznie. Ziemowit dowiedziawszy się, że Wiszemburg nie usłuchał jego rozkazu, sam musiał przybyć do obozu kaliskiego i znieść oblężenie. Niezawodnie mocno bolało Bartosza, że własnymi oczyma patrzał na upadek sprawy, której przez tyle lat bronił z takiem poświęceniem i z taką wytrwałością. Ziemowit rozpuszczał swe zaciągi i wstrzymywał energiczne działanie w najkrytyczniejszej dla się chwili. Chmura groźna dla Mazowsza ciągnęła z południa, Bartosz mimo to nie opuścił swego pana, dotrwał przy nim do ostatniej chwili.

Postępek Wiszemburga pod Kaliszem, „był wodą na młyn krakowskich panów małopolskich," jak mówi Szujski. Zarzucono Ziemowitowi, że nie pomny na układy, łamie rozejm i zawieszenie broni. To było niby usprawiedliwieniem naglego wystąpienia margrabiego Zygmunta przeciw Ziemowitowi. Dwanaście tysięcy Węgrów, jak podaje kronikarz, przeciągnęło przez Sącz, koło Radomia, na Łowicz, Gostynin i Kujawy przeciw stronnictwu mazowieckiemu. Rozpoczęła się na nowo wojna, niszczenia i łupiestwa, które spełniano z całem barbarzyństwem i dzikością wieków średnich. Wiadome wreszcie zakończenie tej straszliwej akcyi wojennnej. Ziemowit uległ przewadze, a Opolczyk zapośredniczył pokój między Zygmuntem, a księciem. W opisach tej łupieskiej wojny nie znajdujemy wprawdzie u kronikarzy imienia Bartosza, ale domyślać się należy, że on dalej wiernie stał przy raz przez się podjętej sprawie i bronił jej do ostateczności.

Nastały wreszcie nieco spokojniejsze czasy. Pan Bartosz nie mając teraz pola do rycerskich popisów pozostał przez cały rok

1384 na dworze mazowieckim. Książę Ziemowit wdzięczny swemu najwierniejszemu stronnikowi udarował go i braci jego Heinczona i Potha, (którzy niezawodnie musieli brać udział w poprzedniej walce) miastem Kowale, położonem w ziemi kujawskiej ze wszystkimi przynależnościami i wsiami, nadto wsiami Bodzanowem, Czołpinem, Bronisławem i Skotnikami, położonymi w powiecie Radziejowskim, i zabezpieczył go w posiadaniu tych dóbr na wypadek, gdyby on książę Kujaw pozbawiony został [1]. Następnie spotykamy podpis naszego Bartosza na akcie z dnia 20 marca wystawionym w Płocku, mocą którego książę Ziemowit darowywał Andrzejowi de Radzikowo, miasto Kuczbork [2]. Na akcie tym podpisany jest: „Balthassius de Alissemburg", co niezawodnie wskazuje na naszego Bartosza. W listopadzie zaś tegoż roku towarzyszy księciu w podróży do Brodnicy (Strassburg), gdzie Krzyżacy w zastaw przyjęli posiadłość mazowiecką Zakrze. Na dokumencie tym podpisał się Wiszemburg jako świadek i jako *honorabilis, strenuus vir et miles, fidelis et dilectus principis* [3].

Zdaje się, iż dlatego przebywał pan Bartosz u Semka, gdyż spodziewał się podjęcia raz jeszcze sprawy o tron i koronę polską, zwłaszcza gdy zjazd radomski (21 marca 1384) postąpieniem swojem dał niejako do poznania, iż ze stronnictwem mazowieckiem bynajmniej się nie liczy. Zjazd ten wyznaczał ostateczny przyjazd królowej, ustanawiał rząd energiczny, rozprawiał o zabezpieczeniu granic państwa i Krakowa od pretendentów, i układał się z księciem Władysławem Opolskim. Do zarządu województwami powołano przywódców wszystkich partyj, i do „interesu rządowego starano się widocznie wciągnąć wszystko, co się wciągnąć dało" [4]. Jedynie stronnictwo mazowieckie pominięto zupełnie, czy dlatego, że uważano je wprost za nieprzyjazne całemu państwu, czy za zbyt słabe i niezuaczące.

---

[1] Lubomirski: Kodeks mazowiecki Nr. CX.

[2] Ulanowski: Dokumenty kujawskie i mazowieckie str. 340. — Gawarecki: Przywileje wojew. płockiego, str. 102, nro XVI.

[3] Voigt: Cod. dipl. Pruss. III. ad ann. 1384.

[4] Rozprawy i sprawozd. Wydz. histor. Akad. I. str. 168 i 169, rozprawa Szujskiego.

Przybycie Jadwigi do Polski, nawiązanie rokowań w sprawie małżeńskiej między Jagiełłą a królową polską, i ostateczne połączenie małżeńskie tej pary, rozwiało zupełnie marzenia młodego pretendenta mazowieckiego do korony. Upadła sprawa, której tak wytrwale bronił pan Bartosz; nie ustały jednak w Wielkopolsce swary, kłótnie, zbrojne najazdy i łupiestwa. Spodziewać się należy, że pan Bartosz nie długo zagrzewał miejsca na dworze mazowieckim. Łudząc się, że mu się uda raz jeszcze wskrzesić upadłą sprawę mazowiecką, ruszył do Wielkopolski i tu brał udział w walce.

Niezawodnie wśród tych rozmaitych przygód wojennych, musiało się coś przydarzyć panu Bartoszowi, co zaostrzyło jego stosunki z Wrocławiem. Kronikarze szląscy podają jako powód to, że Bartosz uwijał się po drogach szląskich z niejakim rycerzem Henrykiem *von Haugwitz*, napadał i obdzierał kupców. Dostał się za to panu Bartoszowi epitet od kronikarza szląskiego niezbyt pochlebny, powtarzany przez wszystkich historyków szląskich. *Fautor praedonum* nazywa go kronikarz Benedykt, a późniejszy Pol [1]: *Der Schälke Principal*, mistrzem łotrostwa. Trudno odgadnąć czy jedynie prosta chęć rabunków była celem wycieczek Bartosza, dość, że Wrocławianie postanowili się zemścić. Wystawili zbrojny hufiec, który wtargnął do Polski i zapuścił się w okolice Grabowa, grodu położonego niedaleko Odolanowa, na granicy ziemi Wieluńskiej i Kaliskiej. Niefortunnie jednak powiodła się ta wyprawa, gdyż miasto poniosło straty 190 grzywien, jak nas pouczają zapiski archiwum wrocławskiego. W następnym roku wtargnęli Wrocławianie po raz wtóry zbrojno, atoli znowu zamiast spodziewanych korzyści, ponieśli szkodę w kwocie 35 grzywien, które wydano na zakupno żywności [2].

---

[1] Pol: Jahrbücher I ad annum 1389.

[2] Mosbach: Przyczynki do dziejów pol. z arch. m. Wrocławia.

W Polsce tymczasem Jagiełło uporawszy się z najważniejszemi sprawami, postanowił udać się do Wielkopolski, i tam ład i porządek zaprowadzić. Walka dotychczas tam nie ucichła, prowadzono ją z namiętnością i wytrwałością godną lepszej sprawy. Usposobienie dla Jagiełły było niechętne a nawet wrogie. Niektóre zamki jak np. Mogilno opierało się dotychczas w imieniu Ziemowita nowej pani, Jadwidze. Szajnocha przypuszcza, że to musiała być sprawka Bartosza, który w zapamiętałości swej „nadstawiał rogów“ [1]. Ruszył tedy Jagiełło w drugiej połowie marca (23) 1386 do Wielkopolski wraz z młodą małżonką, nakłoniony prośbami panów i duchowieństwa tęskniącego za pokojem. Z licznym orszakiem panów i siłą zbrojną przybył Jagiełło do Poznania i zwołał obie nieprzyjazne strony, by przed nim się stawiły i poddały jego wyrokowi.

Pan Bartosz, przeciw któremu „rozliczne wniesiono żałoby“, nie stawił się mimo rozkazu królewskiego. Jagiełło rozgniewany takiem nieposłuszeństwem butnego pana, wydał wyrok skazujący go na wygnanie i na utratę Odolanowa, którego prawdopodobnie Konrad ks. na Oleśnicy nigdy nie otrzymał od Bartosza, za przystawioną mu pomoc w czasie oblężenia Kalisza. Przeciw słusznemu wyrokowi królewskiemu nie mógł oponować pan Bartosz, i nie mógł podnieść przeciw niemu oręża, jak niegdyś przeciw Ludwikowi; opuścił tedy Polskę i udał się do swoich posiadłości szląskich.

Nie długo czekał były starosta Odolanowski na przebaczenie królewskie. Widział Jagiełło, że Bartosz ma wielkie zachowanie u braci szlachty wielkopolskiej, że jest najsympatyczniejszym wśród jej przewodników, odwołał go przeto z wygnania jeszcze tego samego roku i obdarzył nie lada godnością, bo urzędem wojewódzkim poznańskim. Już w październiku 1386 spotykamy go na tej godności. Hojność i wspaniałomyślność króla, którą wszystkich sobie pozyskiwał, zjednała dlań i Bartosza, i uczyniła go jednym z najwierniejszych stronników tronu Jagiełłowego. Odtąd prawie zawsze spotykamy go przy boku królewskim, czy na zamku krakowskim,

[1] Szajnocha: Dzieła, VII. (Jadwiga i Jagiełło) str. 14.

czy w podróżach króla po kraju. Właśnie pod koniec r. 1386 wybierał się król Władysław na apostolską wyprawę na Litwę. Pan Bartosz, „wojewoda poznański“ [1] jechał w orszaku królewskim wraz z innymi dygnitarzami korony. Dnia 20 lutego 1387 r. podpisał jako świadek akt królewski nadający Litwinom nowonawróconym swobody i prawa [2], a w dwa dni później pismo króla wystosowane przeciw stawiającym opór nowej wierze i nowemu porządkowi rzeczy [3]. Król zabawił na Litwie aż do lipca, a Bartosz pewnie towarzyszył mu przez cały ciąg jego podróży. Raz jednak był zmuszonym wyjechać z Litwy w swej prywatnej sprawie, i to aż do Wrocławia, gdzieś w ostatnich dniach stycznia 1387 r.

Sprawa wrocławska jest ważną nietylko dla biografii Bartosza, ale także i z innego względu. Wrocławianie złożyli na Wiszemburga t. zw. „Fehmgericht,“ a ten jest pierwszym śladem, który nas upewnia, iż tego rodzaju sądy już w XIV w. były na Szląsku zaprowadzone [4]. Nie wiedzieć czy wezwany, czy może z własnej woli, chcąc okazać, iż się nie obawia ni sądu, ni wyroku, stanął pan Bartosz przed sądem wrocławskim, w skład którego wchodzili biskup Wacław, książę Ludwig, Przemysław i Ziemowit Cieszyński, Ruprecht i Wacław ks. Lignicy, Przemko Opawski i inni rajcy miasta i ławnicy. Sąd miał się odbywać we wtorek przed świętem Oczyszczenia Najświętszej Maryi Panny (2 lutego 1387 r.). Cały ten proces Bartoszowy pozwala nam wglądnąć bliżej w sprawy jego z miastem Wrocławiem, w czasie gdy się znajdował na wygnaniu, tj. zeszłego roku od marca do października. Pan Bartosz wystąpiwszy przed trybunałem oskarżył najpierw rajców miasta, że wtedy „gdy on u pana swego popadł w niełaskę,“ prosił panów rajców o pokój dla siebie i dla swoich ludzi; pokój otrzymał, jednak miasto go złamało, bo gdy jeden z ludzi jego przyszedł do Wrocławia, to go tu złapano i zasądzono.

---

[1] Długosz IV. str. 438.

[2] Działyński: Zbiór praw. str. 2.

[3] Wapowski: Dzieje korony polskiej, wydanie Malinowskiego I. str 77.

[4] Gaupp: *Von Fehmgerichten mit besonderer Rücksicht auf Schlesien* w *Anzeiger f. Kunde d. deutsch. Vorzeit. III. Jahr.* 1856. str. 374. Wattenbach: Cod. dipl. Siles. III. str. 121.

Broniąc się reprezentanci miasta odparli, iż rzeczywiście zawierano często pokoje i rozejmy z panem Bartoszem, lecz on zawsze je zrywał, w rozmaitych bowiem czasach tak na terytoryum królestwa polskiego, jakoteż w krajach księcia Konrada Oleśnickiego, napadali ludzie pana Bartosza na Wrocławian i krzywdzili, a mienie ich unosili ze sobą do swych zamków. Ustnie i listownie często proszono pana Bartosza, by się postarał o to, by ludzie jego czegoś podobnego nie czynili, i by Wrocławianom skrzywdzonym dopomógł w odebraniu zagrabionej ich własności. Tego jednak nigdy nie można było odeń uzyskać. W tym właśnie czasie jeden z ludzi pana Bartosza niejaki Jan Talbisdorf, który przedtem od dłuższego czasu rabował Wrocławian, przyszedł do miasta. Nie było to jednak wcale w czasie owego pokoju, o którym mówi pan Bartosz. Tego Jana schwytano i indagowano. Gdy się przyznał do wszystkiego, wtedy go stosownie do winy zasądzono.

Drugi punkt oskarżenia, jaki podniósł pan Bartosz przeciw rajcom miasta był następujący: Żona brata jego wysłała dwóch ze swej służby do Wrocławia, ze suknem do krawców, by dla córki jej suknię zrobili. Ludzi tych przytrzymano i zasądzono, sukno zaś i konie ich zagrabiono. Konsulowie wrocławscy odpierając ten zarzut, przedstawili go inaczej. Słudzy brata Bartoszowego przyszli rzeczywiście do miasta i oddali sukno krawcom do roboty. Krawcy jednak poznali, że ono pochodzi z rabunku dokonanego na kupcach wrocławskich przez jednego z ludzi Bartoszowych, dlatego sprawę całą oddali do rozstrzygnięcia „radnym“. Twierdzenie zaś swoje udowodnili krawcy znakiem wybitym na owem suknie. Ze śledztwa przeprowadzonego z obu służącymi przysłanymi do miasta okazało się, że oni obaj w rabunku udział brali, i że to sukno wraz z innemi rzeczami kupcom wrocławskim zrabowali, dlatego zasądzono ich, sukno oddano właścicielowi, a konie odesłano panu Bartoszowi.

Trzeci punkt sporny tyczył się niejakiego Piotra Jekila z Namsławia. Pan Bartosz oskarżał Wrocławian, że oni wzięli w obronę człowieka, który go chciał mienia pozbawić. Rajcy odpowiedzieli na to, iż pewnego czasu przyszedł do nich Jekil, człowiek uczciwy i zacny, czego dowiódł listami miasta Namsławia, gdzie był obywatelem. Prosił on rajców, by mu miasto Wrocław udzieliło oby-

watelstwa. Rajcy upewnieni, że on nic takiego w życiu swojem nie popełnił, coby w tem przeszkodą być mogło, przyjęli go do gminy. Po niejakim czasie kupił ów Jekil dobra Czindal od pana Bartosza, a ponieważ były to czasy niespokojne, przeto nastąpiła między nimi umowa, że pan Bartosz wraz z poręczycielami czuwać będzie i bronić go od rabunków. Nastąpił wreszcie „pokój powszechny“, mimo to jednak wiele cierpiał ów Jekil od łupieżców, którzy dobra jego odwiedzali. Wezwał przeto poręczycieli, by mu pomogli posiadłość z tych band oczyścić. Ci jednak schwytali go i zawiedli do Bartosza, który mu oświadczył, że go za okupem uwolni. Działo się to wszystko w czasie „pokoju powszechnego“. Po niejakimś czasie więzienia i katowania uwolnił wreszcie Bartosz Jekila za przyobiecaniem 600 marek okupu. Biedak wydostawszy się na wolność zaskarżył Bartosza za ten rozbój przed sądem femów i ławnikami. Ten jednak nie wiele sobie z tego robiąc zażądał od Jekila przez poręczycieli owych 600 marek, Jekil znowu się odniósł do sądu femów i do ławników, ci mu zaś powiedzieli, że wedle brzmienia „powszechnego pokoju“ żaden schwytany, który uciekł w ten sposób jak on, nie jest obowiązany do składania okupu [1]. Dalszego ciągu tego zajmującego procesu, odkrywającego nam zakulisowe sprawki pana Bartosza, nie podano. Zdaje się jednak, że proces ten nie załagodził owych niesnasek, gdyż w późniejszym opowiadaniu ujrzymy znowu pana Bartosza na Szląsku, gdzie występuje nieprzyjaźnie i zbrojno.

W październiku tegoż roku spotykamy go w Wielkopolsce. Dnia 13 t. m. znajduje się w mieścinie Poniec, gdzie Wincenty z Granowa kasztelan nakielski wytacza przed nim sprawę przeciw Janowi Dolmowi (Sassowi) i małżonce jego w sprawie posiadłości Zakrzewo, Kawcze i Jasna. Na odnośnym dokumencie wydanym w tej sprawie nosi pan Bartosz prócz tytułu *palatinus poznaniensis* także tytuł: *Tutor Costensis et Ponecensis* [2]. W aktach z roku 1388 spotykamy go trzy razy, a zawsze znajduje się przy boku króla. I tak, w Poznaniu 31 marca podpisuje jako świadek doku-

[1] Opowiadanie wedle Klosego: „Vom Breslau“.
[2] Kod. wielkopolski III. str. 592. Nr. 1866.

ment króla potwierdzający przywileje miasta Wschowy (Fraustadt),[1] następnie towarzyszy królowi w podróży do Lublina, i tam na dokumentach królewskich wystawionych 29 i 30-go września figuruje jako obecny świadek[2]. Przez cały rok 1389 i pierwszą połowę r. 1390 przebywał Bartosz bądź to na zamku królewskim w Krakowie, bądź też towarzyszył Jagielle w licznych jego podróżach. Stwierdzają to akta z owych czasów. Dokumenty królewskie wydane w Krakowie na d. 3 i 6 lutego,[3] nie mniej 15 i 16 maja[4] (1389) w Niepołomicach wykazują jego obecność na dworze. Zaś r. 1390, dnia 10 lutego, gdy król we wsi Kamienicy przyjmował do wiadomości przyrzeczenia księcia Opolczyka w sprawie posagu dla córki Jadwigi, która wychodziła za brata króla, Wigunta, bawił przy Jagielle, i na dokumencie z okazyi tej wydanym, podpisał się jako świadek[5].

Z jesienią r. 1390 zajęły Bartosza znowu sprawy szląskie. Czy nowe to wmięszanie się Bartosza w sprawy zagraniczne uważać należy jako dalszy ciąg niezałatwionych waśni z Wrocławiem, czy może za nowo wybuchłe nieporozumienie z księciem Konradem Oleśnickim (może w sprawie przyobiecanego mu dawniej zamku odolanowskiego), nie wiemy. Zapiski kronikarskie szląskie jakoteż polskie i pruskie podają tylko nagi fakt nie dotykając bynajmniej przyczyn i powodów. Miał pan Bartosz z dawnym swym przyjacielem rycerzem *gleichen Schlages*, jak sam, Henrykiem von Haugwitz[6] napaść na miasto Olesnicę, stolicę księcia Konrada. Zajął ją i przez 9 dni łupił i grabił[7], a wreszcie nawet w perzynę obró-

---

[1] Wuttke: *Städtebuch d. Landes Posen*, i Kod. wielkop. III. str. 601. Nr. 1875.

[2] Kod. wielkopol. III. str. 606. Nr. 1881, i str. 607. Nr. 1882.

[3] Kod. dyplom. katedry krak. w Mon. medii aevi VIII. str. 135 i 137.

[4] Loc. cit. i Akta grodz. i ziem. t. V. str. 22. Nr. XVIII.

[5] Rzyszczewski i Muczkowski: Kod. dyplom. Pols. II. 2 suppl. Nr. DCXXVII str. 778.

[6] Henryk Haugwitz może syn rycerza szląskiego Poppona Haugwitza poddanego księcia Konrada. Poppo Haugwitz występuje w aktach w pierwszej połowie w. XIV. patrz Wuttke: *Städtebuch d. Landes Posen.* str. 24. Nr. XXII.

[7] *Die alte Hochmeister Chronick* w *Script. rer. Pruss.* III. str. 622.

cił[1]. Za czyn ten nie można brać naszego wojewody poznańskiego w obronę, i w milczeniu przyjąć potrzeba utyskiwania i przekleństwa rzucane na Bartosza przez kronikarzy szląskich, gdyż brak źródeł nie pozwala nam wglądnąć w powody jakie skłoniły go do tego rodzaju postąpienia.

W sprawach z zakonem brał pan Bartosz nie mniej żywy udział. Usposobienie Jagiełły przybierało w owym czasie coraz nieprzyjaźniejszą fazę względem zuchwałych i podstępnych Krzyżaków. Jagiełło przygotowywał się do walki, która miała kiedyś rozstrzygnąć o istnieniu jednego z obu państw. Krzątanie się króla wzbudzało w zakonie niepokój. Nadto okoliczności tak się złożyły, że Krzyżacy ujrzeli się zmuszeni do powolnego i pokornego zachowywania się w obec Korony. Jagiełło przeciągnął na swą stronę książąt pomorskich, z Opolczykiem się pogodził, i wydał rozmaite rozporządzenia tyczące się handlu, a wielce nieprzyjazne Zakonowi. Zakon zaś podówczas zupełnie niemal był pozbawiony sił. Zagraniczni rycerze dążący zwykle w ogromnych hufach na popisy rycerskie do Litwy, w owym roku zgromadzili się w nadzwyczaj szczupłej liczbie. Rycerze bowiem rabusie jak *Ekhard vom Walde*, gęsto osiadli w okolicach Brandenburgii i Pomorza, chwytali dążących do ziem Zakonu, łupili ich i rabowali. W ten sposób dostał się do niewoli książę Geldryi, a to odstraszało innych. Do tych okoliczności dołączyła się jeszcze niepomyślna pora roku, niesprzyjająca bynajmniej wyprawom na Litwę. Tym stanem rzeczy przyciśnieni Krzyżacy przywdziali maskę pokory i poczęli robić starania, by pokój utrzymać i pojednać się z energicznym Jagiełłą. Jak zwykle w takich sprawach, postarali się o pośrednictwo. W tym celu pisali do Sędziwoja kaliskiego i naszego Bartosza Wiszemburga, jako do takich, którzy się zaliczali do najzaufańszych powierników króla, by ci raczyli pośrednictwem swem uzyskać pojednanie, by przedłożyli królowi życzenia Zakonu i zarazem wyprosili u niego pokój.

Sędziwój inną poszedł drogą jak Bartosz. „W przyjacielskiej poufałości“ doniósł Zakonowi o wszystkich sprawach dworu kra-

[1] Grünhagen: *Gesch. Schles.* I. s. 222.

kowskiego. Szlachetny zaś i pełen miłości ojczyzny pan Bartosz odtrącił przyjaźń Zakonu. Dał przeniewierczym rycerzom teutońskim dzielną odprawę. Wyrzucał im, że ich to boli, iż król Jagiełło został chrześcijaninem, że oni połączeniu Litwy z Polską starają się szkodzić, i rozpoczynają sami niezgodę, by tylko nie przyszło do połączenia, które już król Kazimierz, pierwszy zainaugurował, a z którym Zakon mimo to żył w zgodzie. Zakonnicy przyjęli wyrzuty i odpisali „najmilejszemu przyjacielowi“ swemu, że miłą im jest, a nie bolesną rzeczą, że król został chrześcijaninem, że cieszą się z tego mocno, a pragną tylko, by dobrym był chrześcijaninem. Że Litwę i Ruś poddaje i poddał już Koronie polskiej, to było ich życzeniem, byleby tylko Zakon nie naruszenie przytem był zachowany do czego ma udowodnione prawa. Jeżeli król pragnie co darować i nadać Koronie polskiej, to niechaj to czyni ze swej własności, a nie odejmuje Zakonowi tego, co on dawno za swą własność udowodnił[1]. Zdaje się, że po tej wymianie listów stosunki Bartosza z Zakonem zerwane zostały. Pan Bartosz wierny królowi, ani myślał, ani chciał faktorować, choć to niezawodnie było połączone z materyalnymi korzyściami. Pozyskanie Bartosza dla popierania swej sprawy na dworze krakowskim nie udało się Zakonowi zupełnie. Jak pięknie świadczy ten fakt o charakterze naszego wojewody. Ów Sędziwoj, tak wielce zasłużony, taki dyplomata, dał się uwieść podstępnemu Zakonowi, a nasz Wielkopolanin, bieglejszy w sztuce wojennej niż w dyplomacyi, nie dał się zwieść z prawej drogi obowiązku.

To pewnie nieprzyjazne stanowisko obu stron stało się dalszym powodem głośnego wówczas w całej Polsce faktu. Na zamku Kruszwickim siedział niejaki rycerz Wizła Czambor, prawdopodobnie Szlązak z rodu. Dzierżył on Kruszwicę od Semka Mazowieckiego, który mu ją dał w zastaw. Ów Wizła Czambor był nieprzyjacielem Polski, a wielkim zwolennikiem Zakonu. Sympatye swoje dla rycerzy teutońskich posunął do tego stopnia, iż nie wahał się wchodzić z nimi w tajne układy na niekorzyść Polski. Co więcej, obiecywał nawet Zakonnikom na wypadek wojny z Jagiełłą znaczną

[1] Voigt: Gesch. Preuss. T. V. s. 575 i 576, uwaga — także Daniłowicz: Skarbiec dyplom. pol. T. I. str. 287, Nr. 600 i 603.

pomoc, bo składającą się ze 100 kopii, takiej samej ilości strzelców i 400 konnych. Nadto nie czekając owego wybuchu wojny pozwalał sobie często łupieskich napadów w okolicę, a bogate łupy uprowadzał z sobą na zamek. W skutek tych łupieskich wycieczek cierpiała mocno Wielkopolska. Pan Bartosz czuł to również, ale na razie nie mógł złemu zapobiedz, gdyż z owym Czamborem zostawał w stosunkach może i przyjaznych. Szlązak nawet poręczył raz Krzyżakom za Bartosza, gdy ci mu w Toruniu d. 19 lutego 1391 r. jakiejś pożyczki udzielali.

Gdy atoli ów Czambor licząc na przyjaźń Bartosza, pozwalał sobie coraz więcej nadużyć, nie pozostawało wojewodzie poznańskiemu nic innego jak poskromić zuchwałego rycerza. Zdaje się, że nietylko te pobudki skłoniły Bartosza do wyprawy na Czambora, ale także i rozkaz królewski i jakieś nieznane nam względy osobiste. Z garścią zebranego wojska stanął pan Bartosz dnia 13 lipca pod Kruszwicą i uczynił napad na Czambora. Jednak nie powiodło mu się wcale, gdyż Kruszwica była zamkiem nadzwyczaj silnie obwarowanym, a nadto Czambor otrzymał pomoc od Krzyżaków w liczbie 120 konnych [1]. Bartosz odstąpił wprawdzie od oblężenia ale poprzysiągł zemstę. Okoliczność ku temu nastręczyła się dopiero następnego roku. Nie wiedzieć przy jakiej sposobności, dość że na terytoryum polskim schwytał wojewoda owego Czambora dnia 14 kwietnia 1392 r. i uwięził w Mosburgu (Przedecz?) [2]. Za schwytanym ujął się nie wiedzieć z jakiego powodu (może dlatego, iż Czambor miał Kruszwicę od Semka w zastawie) mazowiecki książe Semko; zebrał ludzi i ruszył na Przedecz. Nie uląkł się jednak wojewoda poznański dawnego swego pana, przeciwnie stawił nawet czoła wytrwale. Daremnie przez całych 5 tygodni kusił się Semko na zdobycie Przedecza, pan Bartosz bronił swego więźnia jak oka w głowie. Sprawa rozstrzygana orężem nabrała takiego w całej Polsce rozgłosu, iż sam król musiał się w nią wdać i interweniować między wojewodą Bartoszem i szwagrem swym Semkiem. Rezultatem tej interwencyi królewskiej było to, iż król nakazał Sem-

[1] Annal. Thor. w Script. rer. Pruss. III. str. 171 — także Caro III. str. 478.

[2] Annal. Thor. w Script. rer. Pruss. III. str. 178.

kowi ustąpić, a *eo ipso* pozostawić Czambora na łasce wojewody. Z tego postąpienia królewskiego widać, iż ciężkie musiały być przewinienia Czambora. Bartosz też stosownie do przewinień postanowił go ukarać. Oświadczył mu bowiem, iż tylko za okupem 4000 kóp gr. wypuści go na wolność. Szlązak nie miał innego punktu wyjścia i musiał zapłacić żądaną sumę, wysiedziawszy się poprzednio od 4 kwietnia aż do 22 lipca. Tak się zakończyła ta głośna swego czasu sprawa. Kruszwica została przez Leszka wykupiona, a Czambor obawiając się swego energicznego sąsiada Bartosza musiał się pewnie wynieść gdzieś do Niemiec lub do Krzyżaków, bo już więcej nic nie słyszymy, by miał niepokoić granic Polski.

Ze spraw równoczesnych mniejszej wagi, w których Wiszemburg brał udział, zanotowanie godnem jest, iż d. 19 marca 1391 r. był obecny przy erygowaniu i fundowaniu ołtarza św. Anny w katedrze krakowskiej przez świętobliwą królowę Jadwigę[1]; dnia 30 lipca przy obdarowywaniu Jana biskupa krakowskiego miasteczkiem Muszyną przez króla[2], a 5 sierpnia przy potwierdzaniu przywilejów tego miasteczka danych mu jeszcze przez Kazimierza W. 1364 r.[3].

O ile z „najdawniejszych rachunków miasta Krakowa“[4] wywnioskować można, to mieszczanie krakowscy podejmowali raz pana Bartosza z niewiadomej nam okazyi. Pod rubryką bowiem *ad honorem* znajdujemy wydatki czynione na uraczenie go „konfektami“ za $^1/_2$ marki, winem ($^1/_2$ marki) i piwem (za 48 groszy).

Po załatwieniu sprawy z Czamborem znajdujemy go znowu przy boku króla w klasztorze w Lędzie, gdzie na dniu 13-tym października 1392 r. król klasztorowi temu wieś Skorzęcin wraz z jeziorem Niedzięgiel zapisywał[5]. Pozostawał też pan Bartosz w korespondencyi z królową Jadwigą, jak świadczy o tem zapiska

---

[1] Kod. dypl. katedry krak. w Mon. med. cevi VIII, str. 158.
[2] Loc. cit. 161.
[3] Kod. dypl. kat. krak. w Mon. med. aevi VIII. str. 158.
[4] Mon. medii aevi t. IV, cz. 2, str. 231.
[5] Kod. wielkop. III. str. 649, nro 1927.

w „Rachunkach miasta Krakowa". Królowa wysłała doń posła z listami, niestety niewiadomo nam w jakowej sprawie[1].

Spory Korony z Zakonem ciągnęły się bezustannie. Celem porozumienia się i załatwienia spraw, częste urządzano zjazdy, które jednak nigdy nie doprowadzały do rezultatu. Z początkiem roku 1393 umówiono ze strony polskiej i krzyżackiej zjazd pełnomocników, którzy sprawę pokoju między Litwą a Zakonem przywieść mieli do skutku. Zjazd miał się odbyć w Toruniu. Ze strony polskiej wybrani zostali pełnomocnikami arcybiskup gnieźnieński, Spytko wojewoda krakowski, Mikołaj marszałek królewski, Piotr doktór praw i nasz Bartosz z Wiszemburga. Z poruczenia tej misyi dyplomatycznej wymagającej sprytu pewnego i znajomości rzeczy, wnioskować musimy, że pan Bartosz posiadał wielkie zaufanie króla, i musiał mu się już dać poznać z tego względu. Zjazd odbywał się między 19—21 kwietnia[2] i tak jak poprzednie zjazdy spełzł na niczem wskutek wybiegów krzyżackich. W kilka dni jednak po tym zjeździe, odbył się drugi, (jako dalszy ciąg pierwszego) w połowie drogi z Raciąża do Torunia. Wśród pełnomocników spotykamy znowu Bartosza, a na czele stoi Swidrygiełło. Zjazd, który miał na celu uregulowanie granic Litwy i Zakonu skończył się naturalnie na niczem.

Dalszy bieg życia naszego wojewody poznańskiego zmuszeni jesteśmy opowiadać sposobem kronikarskim. Imię bowiem jego spotykamy jedynie w takich aktach, które nam zbyt mało rzucają światła przyczyniającego się do poznania życia jego.

W wyżej wzmiankowanym roku przebywał w Krakowie pewnie w służbie i usłudze królewskiej, a miasto wyznaczyło na utrzymanie jego 200 marek[3]. Przez r. 1394 nie spotykamy się z nim nigdzie, dopiero 20 kwietnia 1395 r. znajduje się przy boku królewskim w Gnieźnie. Na wydanym tamże przez króla dokumencie podpisanym jest *Barthossius de Wesemburg olim palatinus poznaniensis*[4]. Z powodu braku źródeł nie można skonstatować

[1] Mon. medii aevi. t. IV, cz. 2, str. 239.
[2] Prochaska: Cod. epistol. Vitoldi str. 33.
[3] Rach. m. Krakowa w Mon. medii aevi t. IV, cz. 2, str. 87.
[4] Kod. wielkop. III, str. 678, nro 1957.

czy pan Bartosz zrzekł się godności i urzędu tego, czy też z wyrazem *olim* zaszła jaka pomyłka, gdyż d. 14 maja 1398 r. spotykamy pana Bartosza znowu na godności wojewody poznańskiego. Bawi w orszaku królewskim w mieście Kole i na dokumencie króla, naznaczającym kupcom dążącym do Wrocławia jako drogę celną miasta Szrem i Poniec, podpisany jest jako obecny świadek [1]. Po raz ostatni spotykamy go jeszcze tegoż roku 19 sierpnia w Pyzdrach, gdzie wraz z Krzesławem generalnym starostą Wielkopolski, Sędziwojem wojewodą kaliskim i innymi w sprawie kapituły poznańskiej względem dóbr Chwalibogowo *in regali iudicio praesidebat* [2].

Dwa te ostatnie dokumenty, w których Bartosz Wiszemburg jako wojewoda poznański występuje, nie dadzą się pogodzić z dwoma innymi znanymi nam. Posiadamy mianowicie jeden dokument Jadwigi z r. 1397 zezwalający na nadanie ziemi Bełzkiej Ziemowitowi Mazowieckiemu. Tam występuje Sędziwoj Swidwa na godności wojewody poznańskiego [3]. Na drugim zaś akcie z 17 maja 1398, w którym Jagiełło wsi Mogilnie prawo magdeburskie nadaje, występuje Swidwa również jako piastujący tę godność [4]. Fakt ten, że dwóch w tym samym czasie występuje na tej godności, nasuwa nam na myśl przypuszczenie, czy Bartosz z Wiszemburga mniej więcej od r. 1395 tj. od czasu kiedy spotykamy podpis jego *olim palatinus poznaniensis*, nie jest już tylko wojewodą nominalnym, niejako emerytowanym; zachowuje jedynie tytuł, ale urzędu nie piastuje zupełnie. Innego wytłumaczenia tej sprzeczności wynaleść nie możemy.

Prócz wyżej wspomnianych aktów, przytacza Helcel jeszcze jeden z dnia 14 listopada 1398 r. [5] wystawiony w Krakowie. W akcie tym jest mowa o naszym Wiszemburgu. Wiszemburg mianowicie zaciągnął już dawniej przed przed 9 laty dług 34 ma-

---

[1] Kod. wielkopolski t. III. str. 709, nro 1988: *Wuttke: Städtebuch des Landes Posen* nro XXXX, str. 39. (data jednak mylna). Raczyński: *Cod. diplom. Pol. Maj.* p. 134.

[2] Kod. wielkop. III, str. 713, nro 1992.

[3] Lubomirski: Kod. mazow. nro CXXVI.

[4] Wuttke: *Städtebuch des Landes Posen* str. 40, nro. XXXXI.

[5] Helcel: Starod. prawa pol. pomn. II. nro 341.

rek gr. prag. u żyda krakowskiego Hosmana. Nie wiedzieć dlaczego lecz sprawa ta dostała się przed sędziego Jana z Tęczyna, kasztelana krakowskiego, lecz dłużnikiem Hosmana nie jest już Bartosz, lecz Wincenty z Gramowa, kasztelan Nakielski, który zobowiązuje się dług spłacić wraz z procentem należącym się za całych 9 lat, a który wynosi 1 grosz tygodniowo od marki. Ze stylizacyi aktu tego wnioskować by można, że Bartosz w owym czasie już nie żył; a tak otrzymalibyśmy choć w przybliżeniu datę śmierci jego. Mianowicie przypaść ona mogła między 19 sierpnia a 14 listopada 1398 r.

Przesunął się nam przed oczyma człowiek, który w życiu swem przeszedł dziwne koleje losu. Historycy nasi wspominając o nim sądzą go ostro i surowo i wyrażają się nienajpochlebniej. Przyczyną, która sąd ów wywołała, była nie tylko ta, iż rozpatrywano niektóre czyny jego zupełnie odrębnie i bez łączności z życiem jego poprzedniem lub późniejszem, lecz i ta, iż dawszy się raz uwieść Nestorowi naszych historyków Długoszowi, sąd jego powtarzano, nie wchodząc w to czy był słuszny czy nie. Dopiero Szajnocha podjął się częściowej rehabilitacyi Bartosza, i obecny sąd o nim u historyków naszych jest chwiejny. Jedni, idąc za Długoszem i Naruszewiczem, zwą go „łotrem i rozbójnikiem“, drudzy przychylając się do zdania Janka z Czarnkowa i Szajnochy „walecznym rycerzem miłującym prawdę i uczciwość“. W obec dwóch tak sprzecznych sądów, nie odrzeczy było zdaje się nam, poznać życie tego człowieka i sąd o nim raz na zawsze ustalić. Nie naszą rzeczą rehabilitować go, lecz osądzić słusznie i sprawiedliwie.

Bartosza z Wiszemburga należy nam uważać za najwierniejszy i najlepszy typ szlachcica wielkopolskiego z drugiej połowy XIV wieku. Życie jego i działanie — to życie i sprawy całej Wielkopolski. Wszystkie fazy usposobienia, przychylności lub rozgoryczenia Wielkopolan przeciw swym królom, znajdują jak najwierniejsze odbicie w zapatrywaniu, czynach, i działaniu Bartosza. Za Kazimierza Wielkiego uległy stoi wiernie przy tronie i wysługuje się Ojczyźnie i królowi, jak cała szlachta wielkopolska. Za

czasów Ludwika idąc początkowo za ogólnym prądem żywi te same uczucia dla dworu, jakie żywił ku „Królowi chłopków". Gdy jednak dwór postępowaniem swem zrażał ku sobie coraz bardziej bracię szlachtę, gdy nadto on sam osobiście urażony został, wtedy występuje nieprzyjaźnie przeciw Ludwikowi, Elżbiecie i Zygmuntowi, jak cała Wielkopolska. W czasach bezkrólewia zapatrywania jego zgadzają się prawie zupełnie z zapatrywaniem szlachty. Konserwatywno-narodowa polityka ma w nim najgorliwszego wyznawcę i najczynniejszego, najenergiczniejszego obrońcę. Z wstąpieniem Jagiełły na tron uspokaja się wszystko i wraca do równowagi. Jak cała szlachta wielkopolska godzi się z koniecznością rzeczy, i powoli pozyskana przez nowego króla, zmienia swą nieprzyjaźń przeciw niemu w wierność i posłuszeństwo — tak i Bartosz. Ujęty dobrocią i sprawiedliwością nowego władcy, zmienia się z nieprzyjaciela w stronnika jego i służy mu wiernie i gorliwie do śmierci swej. Usposobienie, zapatrywania i działanie Bartosza, jest barometrem usposobienia, zapatrywań i polityki całej braci szlachty wielkopolskiej.

Osobisty jego charakter i zapatrywania polityczne najlepiej poznać możemy w owych czasach burz i walk nieustannych po śmierci króla Ludwika. Związany z szlachtą wielkopolską jednością sprawy, na wskróś konserwatysta, nieprzyjazny wielmożom małopolskim trzymającym się polityki utylitarnej, jest tem samem wrogiem i Andegawenów i Luksemburga. Ideałem jego jest, by Piast siedział na tronie polskim. Konserwatywno-narodowe przekonania i zapatrywania każą mu podnieść oręż w sprawie Ziemowita Mazowieckiego. A podczas tych długich walk i tych wysiłków jak pięknie zarysowuje się charakter naszego Wiszemburga. Bezinteresownie, z narażeniem swego życia, z poświęceniem swego mienia, niestrudzony i czynny zapala bezustannie młodego i niedoświadczonego Semka do wytrwania i do energicznego działania. On jest duchem opiekuńczym całej sprawy mazowieckiego księcia, i śmiało twierdzić można, iż gdyby nie Bartosz, to ani Semko nie byłby się dobijał tronu, ani nawet, choćby się już na to odważył, nie byłby w stanie tak długo walczyć przeciw wielmożom małopolskim. Słusznie też z tego powodu zwie Szajnocha naszego Bartosza najpotężniejszym umysłem Wielkopolski i filarem sprawy młodego Piastowicza.

Z czasów owej walki, to Bartosz może jedyny, który w nas swą rycerskością i poświęceniem obudza sympatyę niezwykłą. Jak pięknie odbija ta postać wielkopolskiego szlachcica-rycerza od takich zdradzieckich Domaratów, a nawet od owych przebiegłych i interesownych polityków małopolskich. Charakter jego czysty, on nie zna krzywej drogi lub podstępu, nie zna dyplomatycznych układów, — oręż roztrzyga u niego węzły wszystkich spraw. Polityka jego nie obejmowała rozleglejszego widnokręgu, nie patrzał on tak bystrem okiem w przyszłość jak Małopolanie, nie pojmował owej wyższej polityki — ale za to nam go nie ganić!

Zdawałoby się, że jedyną plamą przyćmiewającą jego charakter jest sprawa z owymi 59 Francuzami i sprawy ze Szląskiem. Już Szajnocha[1] trafnie obronił go co do pierwszego zarzutu. „Liczny orszak 59 rycerzy, z odpowiednią mnogością ciurów nie daje się wziąść do niewoli gwałtownikowi gościńcowemu. Mogło to się stać jedynie wśród wojny i wzajemnych zamachów, może podczas onej wojny Bartosza z księciem Opolskim". Niedostateczność źródeł krzyżackich o Bartoszu i niedokładność archidiakonowej wzmianki o jego sprawie z Francuzami stały się powodem, które postać Bartosza z Wiszemburga w zupełnie fałszywe podały światło. Co do spraw szląskich, to rzecz ma się podobnie. Trzeba tylko znać ówczesne stosunki Szląska, owe czasy zaburzeń, rozbojów i łupiestw, a odniesie się przekonanie, że Bartosz posiadając dobra na Szląsku musiał oddawać wet za wet, a że podczas tego mogły się dziać nadużycia, to w każdym razie przezwiska dane Bartoszowi, jak *fautor praedonum, der Schälke Principal* i inne pogodzić się nie dadzą ze słowami Janka, który go znał osobiście i napisał o nim w swej kronice niezwykłe słowa pochwały. Bartosza zwie on „walecznym rycerzem, miłującym prawdę i uczciwość, mężnym obrońcą spokoju i gorliwym zelatorem bezpieczeństwa publicznego, srogim prześladowcą złodziei i rozbójników". Komuż tu więc wierzyć, czy świadkowi współczesnemu, który go znał, czy późniejszemu Benedyktowi i Długoszowi? Ułamek procesu Bartoszowego

[1] Szajnocha: Dzieła (Jadw i Jag.). T. VI, uwaga do stronnicy 7 (str. 292 i nast.).

z r. 1387 także nie daje nam podstawy do potępienia go, zwłaszcza gdy nam wyrok w tej sprawie zupełnie jest nieznanym.

W historyi naszej i dla nas pozostanie Bartosz z Wiszemburga jedną z najcharakterystyczniejszych i najsympatyczniejszych osobistości wielkopolskich z drugiej połowy wieku XIV. A historyk czy to unoszący się nad roztropną i utylitarną politykę Małopolan, czy pochwalający konserwatywne a narodowe przekonania braci szlachty wielkopolskiej, musi oddać słuszność i sprawiedliwość charakterowi jego, jaśniejącemu odwagą, rycerskością, poświęceniem dla podjętej sprawy, uczciwością i prawością.

Ernest T. Breiter.

Z WYCIECZKI NA GÓRNY SZLĄSK.

Pociąg rusza ze Szczakowy w kierunku Opola, Wrocławia, żegnamy austryackie barwy i mundury, spoglądamy z pod oka na rosyjskie, nie gniewając się zbytecznie, że bliższej z nimi tym razem nie potrzebujemy zawierać znajomości i dalej w kraj poczciwych Górno-Szlązaków. Znamy ich już nieco z Krakowa, gdy na większe kościelne uroczystości: na św. Stanisława, na Pocieszenie Matki Bożej lub na kalwaryjskie odpusty, ciągną ich tu całe tłumy, zwiedzają nabożnie kościoły, oblęgają konfesyonały; teraz w własnym ich kraju chcielibyśmy się bliżej przypatrzeć tym naszym pobratymcom, o których pracy, pobożności, przywiązaniu do rodzinnego języka i swojskich zwyczajów tyle się już słyszało. Mój towarzysz, który nieraz już, jak mówią tutaj „smykał się“ po Górnym Szląsku, nie ma dość słów na pochwały dla szląskich krajów i obyczajów. „Zobaczycie sami! zaręcza, gdy z pewnem niedowierzaniem głową ruszamy. — „Ha! zobaczymy!“

Inny to świat: fabryka koło fabryki, komin koło komina; na niebie zachmurzyło się, ale nie wiedzieć czy słońce ukryło się za chmury, czy za dym fabryczny. Z po za tego dymu wygląda raz po raz i strzela w niebiosa wspaniała wieża gotyckiego kościoła; jakby widoma wskazówka, że lud tutejszy przy ciężkiej pracy nie zapomina o wyższych potrzebach duszy. Gdzie spojrzysz, wypisane niby olbrzymiemi literami z wież kościelnych i fabrycznych kominów: „Módl się i pracuj“.

Już w Krakowie lub Kalwaryi trudno się nie zbudować, patrząc na tłumy Szlązaków, tak pobożnie się modlące, które w ści-

słem słowa tego znaczeniu „zdobywają sobie królestwo niebieskie“; lecz tu dopiero na miejscu powziąść można właściwe wyobrażenie, jak głębokie korzenie wiara w sercach tego ludu zapuściła i jak błogie wydaje owoce. Przejeżdżamy koło Mysłowic; zdaleka witają nas wieże wielkiego gotyckiego kościoła; niedaleko od tego kościoła buduje się drugi, również gotycki, również ze składek ludu powstający. W Zaborzu zupełnie nowy kościoł, w Świentochłowicach zwożą materyał na budowę kościoła; w obok leżącej Królewskiej Hucie stoją dwie świątynie Pańskie; w Bytomiu wstrzymać się nie można od podziwu zwiedzając również starożytną świątynię Panny Maryi, jak w nowszych czasach zbudowaną „Świętej Trójcy“. Styl gotycki, wszędzie najczystszy; najdrobniejsze szczegóły wykończone starannie; czystość i porządek w kościołach wzorowy. Skąd się wzięły, skąd się biorą fundusze na te monumentalne budowy, na posągi je zdobiące? wraca wciąż na usta to samo pytanie i wciąż słyszymy tę samą odpowiedź: Z ofiarności ludu, górników ciężko pracujących. Niech zobaczą oni tylko, że „księżoszek“ o ozdobę domu Bożego się stara, a z pewnością grosza nie poszczędzą; z własnej chęci, bez wielkich próśb i nawoływań złożą w krótkim czasie, ile tylko potrzeba. Dadzą na kościoł, a i „księżoszkowi“ takiemu bieda nie dokuczy. Tak np. w Gliwicach, jak donosi korespondent *Gazety Piekarskiej* z 10 sierpnia b. r. „aby proboszczowi zrobić niespodziankę, gdy wróci z wód, odrestaurowano mu probostwo“.

W ten sam sposób z gorliwości proboszcza, z ofiarności parafian wyrósł z ziemi prześliczny, w czystym, jak w ogóle tutaj, gotyckim stylu wystawiony przed nie wielu latami, kościół w Lipinach, dokąd wyzyskując szeroką po Szląsku i po za jego granicami znaną gościnność zasłużonego proboszcza ks. Michalskiego, zajechaliśmy na dni parę, by stąd sobie urządzić szereg wycieczek w okolicę, by przypatrzeć się wielkiemu odpustowi, jaki miał tu się odbyć w niedzielę poprzedzającą uroczystość św. Augustyna. Kościół mogący wygodnie pomieścić do 5.000 ludu zawdzięcza swe istnienie dzisiejszemu proboszczowi; skończony on już dawno, ale proboszcz ciągle go jeszcze upiększa, nowe figury sprowadza, w nowe aparaty zaopatruje zakrystyą. Aparaty to: ornaty, dalmatyki, kielichy, monstrancye, cała kościelna bielizna, mszały nawet i am-

pułki prawdziwie królewskie; złota i srebra, aksamitu i złotogłowia tu nie żałowano. Posadzka marmurowa lśni się jak w sali balowej; prawda, że w każdą niedzielę i święto myją ją najstaranniej zaraz po nabożeństwie. Biada! gdyby jaki pyłek został na posadzce, przyczepił się do dywanu, wślizgnął się na filar; baczne oko proboszcza dostrzegłoby go z pewnością, a służba kościelna nie prędko ochłonęłaby z przestrachu, jakim nabawiłoby ją to niesłychane w dziejach kościoła lipińskiego odkrycie.

W sobotę od godziny czwartej po południu zasiadło sześciu czy siedmiu księży do konfesyonałów. Bardzo praktycznie konfesyonały ustawione tu są w osobnej, obszernej kaplicy, dwoma tylko drzwiami z kościołem połączonej, tak, że w razie potrzeby mogą penitenci i w czasie nabożeństwa i w czasie kazania do spowiedzi przystępować. W kaplicy tej wszystko do szczerej skruchy za grzechy pobudza: w ołtarzu Matka Bolesna, zdawałoby się za pokutujących grzeszników się modli; w jednem oknie odmalowany dobry Ojciec, jak wychodzi naprzeciw marnotrawnego syna, w drugiem dobry pasterz dźwiga na barkach zbłąkaną, odnalezioną owieczkę. Z jednej strony konfesyonału stoją lub klęczą mężczyźni, z drugiej kobiety; i jednych i drugich liczne szeregi, ale pomimo tego nikt się tu nie ciśnie; ci co już do spowiedzi przygotowani odmawiają różaniec i spokojnie czekają swej kolei. Późny był wieczór, a jeszcze penitenci konfesyonały oblęgali; nazajutrz stali już przy nich po piątej z rana; a nie tylko nazajutrz, bo i w poniedziałek i we wtorek świeże do spowiedzi dążyły zastępy. „Męczące to, ale budujące, bardzo budujące, mówił do mnie pewien poważny kapłan również z dalszych stron przybyły, i nie tak nawet męczące, jakby się zdawać mogło, bo do spowiedzi wszyscy prawie dobrze przygotowani; spowiadają się często, wiedzą po co przychodzą i co mają mówić". A nie tylko starsi, ale i szkolne chłopaki i dziewczęta dobrze widać, dzięki gorliwości rodziców i kapłanów miejscowych, wyuczone i przygotowane, kiedy nazajutrz w poniedziałek od 4—9 wieczorem przeszło pięćset się ich wyspowiadało.

Pracować tu trzeba i pracują też kapłani tutejsi bez wytchnienia; kazania mówią, spowiadają, wtedy nawet, gdy zdawałoby się, że zmęczenie, że choroba domaga się folgi w pracy. Proboszcz li-

piński zachorował przed rokiem ciężko na nogę, tak że ustać nie mógł na ambonie; mniejsza o to, kazał sobie krzesło na ambonie postawić, ale kazania ani jednego nie opuścił. Tej tylko bezustannej, ciągłej pracy zawdzięczać można, że dwóch księży podołać może duchownym potrzebom 17.000 parafian i to parafian w ogóle bardzo nabożnych, z których wielu raz przynajmniej na miesiąc przystępuje do Sakramentów świętych.

Od rana, w niedzielę, kościół pełny; Msza za Mszą wychodzi; śpiew pobożny, polski, dokoła głośno się rozlega i do serca przenika. Z okolicznych wsi: Rudy, Królewskiej Huty, Huty Godulli, nadchodzą kompanie ze śpiewem, z modlitwą na ustach; już nie tylko kościół, ale i plac obszerny przed kościołem nabity głowami ludzkimi. Rano i po nieszporach w kościele kazanie niemieckie; przed sumą, przed *Wielkiem*, jak tu mówią, i przed nieszporami kazanie polskie na placu przed kościołem z wygodnej, opatrzonej daszkiem, przybranej w wieńce ambony. Kazania polskiego słucha przynajmniej 10.000 ludzi; są między nimi i Niemcy, którzy rozumieją po polsku, jak i w kościele wielu Polaków słuchało, kłam zadając przysłowiu, ze zrozumieniem i pożytkiem, niemieckiego kazania. Na twarzach maluje się skupienie i uwaga; widać, że nikt i jednego słowa stracić nie chce, że każdy za słowo Boże wdzięczny i cenić je sobie umie.

„A pamiętacie, pyta mój towarzysz jakiejś gromadki, co to ja wam prawiłem przed paru miesiącami“.

„Toć pamiętamy! brzmi odpowiedź i następuje dokładne sprawozdanie: „Mówiliście księżoszku, o tem i o tem...“

W czasie wspaniałej procesyi dookoła kościoła, popłynęły znowu w niebiosa gorące, rzewne słowa pieśni polskiej; zagrała górnicza orkiestra. Pomiędzy dwoma szeregami śpiewającego w skupieniu klęczącego ludu, szedł w złocistej kapie kapłan z Najśw. Sakramentem, otoczony licznem duchowieństwem, poprzedzony przez kilkadziesiąt dziewczątek w bieli, rzucających kwiaty. Wszystko: lśniące od złota kościelne szaty i szczerniałe od ciężkiej pracy twarze górników; białe stroje dziewczątek i marszczkami poorane oblicza ich matek; gęsto z okolicznych hut idący w górę dym, w którym łamały się złote promienie słoneczne; wszystko: niebo

niejako i ziemia łączyło się w jeden chór i powtarzało słowa pieśni: „Tobie cześć, chwała, nasz wieczny Panie!“

„Pan Jezus dał nam pogodę i piękny dziś mamy odpust, mówił mi pewien poczciwy Lipinianin; ale szkoda, żeście nie byli przeszłego roku we wrześniu, kiedy tu nasz książę-biskup wrocławski przyjechał. Wtedy to dopiero były uroczystości i górnicy na koniach, i śpiewy i muzyki, i do Bierzmowania tylu przystępowało, i tak się wszystko porządnie, a pięknie odbyło, że aż sam książę-biskup się dziwił“.

Przeszłego roku we wrześniu, ani nawet tego roku w maju, gdy znowu książę-biskup *Jerzy Kopp* pewną część Górnego Szląska wizytował, dostać się tam nie mogłem; ale żałowałem, że nie wiedziałem poprzednio o odpuście w Niemieckich Piekarach, w dzień św. Bartłomieja 24 sierpnia, bo warto było dla przyjrzenia się temu odpustowi wyjazd swój o parę dni przyspieszyć. Ale choć bez odpustu, jakże do Piekar nie wstąpić i cudownemu obrazowi Matki Bożej tutaj się nie pokłonić? Przed obrazem tym modlił się Jan III i wojska polskie, gdy ciągnęły na odsiecz zagrożonemu Wiedniowi[1]; tutaj August II wyrzekł się, przed wstąpieniem na tron polski, heretyckich błędów; tutaj zasłynął w połowie bieżącego wieku pobożnością i gorliwością o chwałę Bożą, znany i czczony na całym Szląsku, jako mąż prawdziwie święty, miejscowy proboszcz *ks. Fiecek*. Dziełem *ks. Fiecka* jest stojący dziś, obszerny, murowany kościół, który raz po raz napełnia się tłumami pobożnych ze Szląska, Morawii, Galicyi i oddalonego o miedzę Królestwa Polskiego. Raz po raz — bo mówiąc o ostatnich tylko paru miesiącach — odbyło się tu pięć uroczystych odpustów. W dzień Nawiedzenia Matki Bożej, 2 lipca, nadeszło z okolicy 12 wielkich kompanij; na uroczystość Matki Boskiej Szkaplerznej 16 lipca przybyło również kilkanaście kompanij, odprawiano Summy, kazania miano j e d n o c z e ś n i e w trzech różnych miejscach: w kościele, na tak zwanym „Rajskim dworze“ i na Kalwaryi; na Ma-

[1] Por. *Przegląd Pow.* t. XI, str. 387 „Jan III w Piekarach“. Podobizna obrazu Matki Boskiej Piekarskiej i kościoła w Piekarach znajduje się w *Intencyach Miesięcznych Apostolstwa Modlitwy* na miesiąc maj 1880 r.

tkę Boską Anielską, nadeszło sześć kompanij; na Wniebowzięcie Matki Boskiej pięć kompanij; wreszcie w dzień św. Bartłomieja, pod którego wezwaniem istniała w Piekarach przez lat 600 mała drewniana kaplica, zbiegły się znowu tak liczne tłumy, że musiano jednocześnie w trzech miejscach odprawiać Summę i głosić kazanie. W pięć dni po odpuście zastaliśmy jeszcze na gościnnem probostwie kilku księży z stron dalszych, którzy przybyli tu już na parę dni przed św. Bartłomiejem i bez przerwy aż do tej chwili słuchali spowiedzi pobożnych pątników. „Ale dziś już nie wielu ludzi było do spowiedzi, objaśniał czcigodny następca i zastępca fundatora piekarskiej świątyni, dziekan i komisarz biskupi, *ks. Nerlich;* możemy swobodnie pomodlić się w kościele, obejrzeć „Kalwaryą".

Kościół — nie powiemy piękny, pod względem struktury i gustu z bytomskiemi np. świątyniami ani mierzyć się nie może, ale i obraz cudowny i pamięć na świętobliwego fundatora dziwnie w nim do nabożeństwa pobudza. Imię *ks. Jana Fiecka* choć lat już 28 od chwili śmierci jego dobiega, na całym Górnym Szląsku znane i czczone jako imię Świętego; ci co go znali wspominają o nim zawsze z największem rozrzewnieniem i uwielbieniem, i istotnie zasługuje on sobie ze wszech miar na uwielbienie[1]. Nie mając żadnych środków postanowił sobie wybudować na cześć Maryi cudownej wspaniały kościół, i wbrew wszelkim przeszkodom, ufając tylko Opatrzności Bożej, zmuszony dla niezachowania pewnych rządowych formalności uciec się parę razy do pośrednictwa samego króla Fryderyka Wilhelma IV, dokonał przedsięwziętego dzieła. Dobry przykład nie poszedł na marne. Bezpośredni następca fundatora kościoła piekarskiego, *ks. Purkop,* stawiać zaczął na górce tuż obok kościoła stacye Męki Pańskiej, tak zwaną „Kalwaryą"; dzisiejszy proboszcz kierując się radami *O. Władysława Schneidera*, który dłuższy czas bawił w Jerozolimie i doskonale zna miejsca święte, zmienił nieco pierwotny plan i energicznie prowa-

[1] Dziś żyją jeszcze osobiści znajomi, przyjaciele, duchowni synowie *ks. Fiecka*. Miejmy nadzieję, że nie dozwolą, aby piękna ta postać bogobojnego szląskiego kapłana pójść miała w zapomnienie dla przyszłych pokoleń, i postarają się o skreślenie wyczerpującego jego życiorysu. Najwyższy już czas do wykonania tej pracy, do zebrania krążących w ustnej tradycyi nadzwyczaj ciekawych anegdotek, budujących opowiadań.

dzi dalej rozpoczęte dzieło. Cała krzyżowa droga wysadzona drzewkami; za lat kilka ozdobią one całą tę górę z dawien dawna „Cerekwią“ nazwaną; użyczą miłego cienia tysiącom pielgrzymów. Tymczasem pod przewodnictwem *ks. Nerlicha* i szwagra jego, który sam na procenta i zyski w niebie tylko rachując, kieruje mularskiemi robotami, podążaliśmy krótszemi ścieżkami od kaplicy do kaplicy. Niektóre kaplice zupełnie już wykończone, inne w tej chwili się budują; a aby poznać z jakiem staraniem, niczego dla Boga nie szczędząc się budują, dość powiedzieć, że wystawienie jednej kaplicy razem z wewnętrznem urządzeniem kosztuje około 20.000 marek. Prawda, że wiele kaplic zasługuje raczej na nazwę pięknych kościółków, i że sprowadzone z zagranicy bardzo gustowne figury nie mało pieniędzy pochłaniają.

Skąd płyną te pieniądze? Z tego samego źródła, z którego popłynęły na kościoły w Lipinach, w Bytomiu i w samychże Piekarach, — z pobożności ludu rozmiłowanego w ozdobie domu Bożego. Tak, w czasie jednego z ostatnich odpustów zebrano ze składek jednego tylko dnia około 2000 marek; za sprzedaż obrazków cudownej Matki Boskiej Piekarskiej uzyskano do połowy sierpnia b. r. okrągło 4000 marek; a co niemniej ważna, wszystkie te pieniądze idą wyłącznie na materyał budowlany, na obrazy i figury, bo robotnik nic, albo prawie nic nie kosztuje. Kiedy zwiedzaliśmy Kalwaryą, pracowało przy budowie dwudziestu kilku ludzi. Przyszli tu oni z nabożeństwa, tłumaczył czcigodny nasz przewodnik, z miłości dla Pana Jezusa, któremu swą pracę w ofierze oddają i nikt ani feniga za nią nie przyjmie. Kto na cały dzień nie może, ten przyjdzie choć na godzinę, na dwie. Dziś mało pracujących, bo gdzieindziej pilną mają robotę, ale bywały dnie, w których po sto i więcej się ich zbierało“.

A te dziewczęta, spytał ktoś z nas, widząc kilka młodych, silnych Szlązaczek z konewką w jednej ręce, ze szczotką i mokremi ścierkami w drugiej; — czy także idą przy budowie pomagać?

„Nie, — one teraz z własnej ochoty robią porządek w kościele i kaplicach po ostatnim odpuście; otrzepały ze ścian prochy, wymyły posadzki. Zawsze się kilka chętnych znajdzie do tej pracy po każdym odpuście; niech im Bóg za to błogosławi“!

„Niech im Bóg błogosławi“! powtórzyliśmy z całego serca.

Dobrze i dziwnie jakoś swojsko w tych Piekarach pod cieniem cudownego obrazu Matki Bożej, która błogosławi stąd i miejscowym, rzekłbyś wielkomiejskim kamienicom i kamieniczkom i za graniczną miedzą, o kilkaset kroków stojącym, a tak różnym, jakby z zamierzchłej przeszłości sprowadzonym, słomą krytym, w ziemi zagłębionym chałupkom. Żal opuszczać Piekary, żal z gościnnymi gospodarzami się żegnać; patrząc na niknące w oddali wieże kościelne, powtarzamy słowa ludowej pieśni:

O jakoś piękna Panienko Piekarska,
W obronie stoisz ozdobo Śląska
Ślicznaś jest, biała jak lilia,
Dobrocią pachniesz, jak konwalia...
Nie frasujcie się ludzie udręczeni,
Panno Piekarska! Ty na nas wspomnij,
Boś się nie darmo w Śląsku zjawiła,
Tylko, żebyś nas w smutkach cieszyła...

Do „Wielkiego Kamienia“ (Gross Stein), rodzinnego miejsca świętych naszych: Jacka, Czesława, Bronisławy, jechać trzeba godzin kilka koleją żelazną aż do stacyi *Rośmierz* za *Gross Strehlitz*, a stąd końmi dobrą jeszcze godzinę. Położenie tu zmienione, nad głową unoszą się niebieskie obłoki, a nie czarny dym fabryczny; miasto lasu z kominów, prawdziwe, wybornie zagospodarowane lasy hr. *Strachwitzów*. W *Kamieniu* znajdują się obfite pokłady wapiennego kamienia i stąd nazwa tej miejscowości, podobnie jak leżącego o tysiąc kroków *Kamionka* (Kleinstein). Wedle pobożnego podania, które do dziś dnia z pokolenia na pokolenie przechodzi, św. Jacek przechodząc po wsi, rozsypał ziarnka swego różańca, a ziarnka te zamieniły się w kamieniste perły, z którymi kamieniecki rolnik nieraz tu na gruncie swym się spotyka. Żyje też pamięć wszystkich trzech spokrewnionych ze sobą świętych na całym Szląsku, żyje przedewszystkiem pamięć św. Jacka, nie tylko we Mszach i pacierzach kapłańskich, ale w licznych obrazach po kościołach, kaplicach i domach, w szczerem nabożeństwie do tego doświadczonego patrona. Nabożeństwo to naturalnie najżywsze w samym *Kamieniu* i okolicy. Kościół parafialny zostaje pod wezwaniem świętego, a nadto w starem zamczysku, stojącem na tem samem miejscu, na którem św. Jacek ujrzał w r. 1183 światło dzienne, znajduje się założona w r. 1717 dość obszerna kaplica, którą ob-

sługuje osobno w tym celu wyznaczony kapłan, zwany tu zazwyczaj księdzem „Fundatystą“. Zamek i otaczające go dobra należą obecnie do *hr. Strachwitzów*, którzy ród swój wywodzą od św. Jacka, a umiejąc ocenić ten zaszczyt, należną cześć po dziś dzień oddają świętym swym przodkom. Najstarszy syn panów na Kamieniu nosi zawsze od dawnych już czasów imię Jacka, córka imię Bronisławy; rok rocznie na dzień św. Jacka zjeżdża cała rodzina z pobliskiego *Stubendorf*, gdzie stałą ma rezydencyę do zamku w Kamieniu i uczestniczy tutaj w uroczystem nabożeństwie.

Szczegółów tych budujących i ciekawych, dowiedzieliśmy się na probostwie, gdzie bardzo serdecznie przyjął nas sędziwy *ks. Sołtysek;* zżył on się i całem sercem ukochał parafią swoję, parafią świętych, w której w marcu właśnie obchodził pięćdziesięcioletnią rocznicę objęcia kamienieckiego probostwa, a jak świadczy wspaniały, marmurowy krzyż na pamiątkę tej rocznicy wystawiony, to i wdzięczni parafianie z długoletnim pasterzem swym się zżyli i umieli trudy jego ocenić. Do kaplicy zamkowej ofiarował się za przewodnika gospodarz jej *ks. Theimert.* Niebawem przyłączył się do naszej gromadki, zarządzca zamkowy, nadleśniczy *Mueller* z pękiem potężnych kluczy w ręku i razem nie bez wzruszenia przestąpiliśmy zbutwiałe progi starożytnej siedziby Odrowążów, Strzelów i tych tylu innych poważnych szląskich magnatów, bogobojnych matron, których portrety witają nas po korytarzach i salach zamkowych.

Sama kaplica św. Jacka nie wielka; odznacza się pięknym obrazem św. Jacka, trzymającego w ręku monstrancyą wysadzoną drogimi kamieniami; w osobnej szafce złożone są: biała sukienka, pasek, mały dominikański kapturek, które wedle podania miał święty nosić w dzieciństwie[1]. W ostatnich czasach, dzięki miłości jaką żywią obaj nasi przewodnicy dla świętego Patrona *Kamienia,* kaplica nie mało zyskała; nowe zupełnie piękne schody, mała am-

[1] Czy relikwie te są autentyczne? Autor niemieckiego życiorysu *Das Leben des hl. Hyacinth von Silesius,* mocno autentyczność tę podaje w wątpliwość, bo istotnie jakże przypuścić, że św. Jacek, towarzysz św. Dominika, nosił jako dziecko, dominikański habit? Prawdopodobnie jeden z pobożnych panów Kamienia, przybrał swe dziecko w ten habit na cześć świętego przodka, a następnie darował go zamkowej kaplicy.

bonka na zewnątrz kaplicy powstała przed kilku dopiero miesiącami za gorliwem staraniem *p. Muellera*. Z ambonki tej rozeszło się w dzień św. Jacka b. r. po raz pierwszy od niepamiętnych lat żywe słowo Boże do kupiącego się koło kaplicy, w cieniu starych drzew otaczających zamek, zgromadzonego tłumu czcicieli św. Jacka. Dawnemi, dawnemi laty, gdy Dominikanie mieli klasztor swój w Opolu, wyruszała z tego miasta na dzień św. Jacka wielka procesya do *Kamienia*. Po zniesieniu dominikańskiego klasztoru w Opolu, zwyczaj ten ustał i zwolna coraz mniej pobożnych nie tylko z stron dalszych, ale i z samego Kamienia i okolicznych wiosek, gromadziło się koło rodzinnego zamku patrona szląskiego. W r. 1888 przystąpiło w czasie tej uroczystości tylko około sto osób do Sakramentów św.; tego roku, gdy się wieść rozeszła, że znowu dawne nabożeństwo z całą świetnością ma się odbywać, gdy poczciwi Kamieńczanie posłyszeli i zobaczyli, że idzie na seryo o wskrzeszenie tradycyjnej czci do św. Jacka, nie dali sobie tego dwa razy powtarzać. Już w wilią święta, dawnym zwyczajem, wyruszyła do zamku z kościoła parafialnego liczna procesya, prowadząc w tryumfie, wśród pobożnych pieśni, księdza z Najświętszym Sakramentem. Dnia następnego w kaplicy zamkowej odbywało się całe nabożeństwo, około 700 osób komunikowało, i wieczorem dopiero znów w uroczystej procesyi odprowadzono do kościoła utajonego Zbawiciela. Pamięć pięknego tego dnia żywo tu w umysłach przechowała się. „Na drugi rok, obiecują sobie mieszkańcy Kamienia, piękniej jeszcze będzie i więcej nas się zebrać musi". „Święty to, a zaszczytny dla was obowiązek, odpowiadamy im na to, odpowiadają więcej jeszcze czynami niż słowami promotorzy tego nabożeństwa, obaj nasi przewodnicy. Dzięki Bogu! rozbudziło się na nowo ledwie już tlejące nabożeństwo do św. Jacka; teraz rzeczą waszą, aby płomień ten nie zgasnął, lecz ztąd rozszedł się na cały Szląsk, a da Bóg na całe wielkie pole działalności świętego za życia: na Ruś, Morawią i Polskę".

„Co za szkoda, wyrywa mi się mimowoli zwiedzając wspaniałe zamkowe komnaty, co za szkoda, że właściciele tutaj sobie stałej nie urządzą siedziby. Zamało tu drogich i rzadkich pamiątek, aby można myśleć o przekształceniu tego zamku w jakieś muzeum starożytności; zawiele, aby oddać go zębowi czasu na pastwę,

a bądź co bądź i dziś już, mimo wszelkich zabiegów czuć i widać, że w tych salach i na tych krużgankach zadługo panuje pustka, naturalny krzewiciel i poprzednik ruiny".

„To też, uspokaja uprzejmy burgrabia-nadleśniczy, sprowadzi się tu niezadługo młody hr. *Jacek Strachwitz* z przyszłą swą małżonką. Zamek zostanie gruntownie odnowiony, ogród przyprowadzony do należytego stanu".

„A i kaplica i cześć św. Jacka na tem zyska", przepowiada ktoś z nas, a daj Boże, aby proroctwo jego jak najprędzej się spełniło.

Z osamotnionego pałacu szląskiego magnata, zstępujemy, jak radzi pieśń, a mówiąc prozaiczniej, ale prawdziwiej, pędzimy na dwóch lekkich wózkach do wiejskiej zamożnej chaty w oddalonym o sporą milę *Gorażu*, gdzie się dziś huczne odbywa wesele. Kiedy mój towarzysz bawił przed paru tygodniami w tych stronach, poznał matkę panny młodej i został od niej solennie na dzień dzisiejszy, na wesele zaproszony; pół żartem, pół na seryo obiecał przybyć, a znalazłszy się znowu pół umyślnie, pół przypadkiem dziś właśnie w Kamieniu i rano na ślub do kościoła, i na wesele popołudniu ze sobą do Goraża nas pociągnął. Droga prześliczna wciąż między lasami; jadący z nami zarządzca tych lasów, pokazuje nam kryjące się zdala między drzewami „sarniki"; ksiądz *Fundatysta* opowiada, jak się ludzie cieszą z ostatniego odpustu na św. Jacka, i ani się spostrzegamy jak i kiedy czas przeszedł, a już do uszów dochodzą ochocze dźwięki weselnej muzyki i okazała gospodyni, zdyszana, weselem rozpromieniona naprzeciw nam wybiega.

„O Panienko Najświętsza! a czy ja się tego spodziewała! A że ja też dożyła takiego dnia szczęśliwego i takich gości, tyle księżoszków mam u siebie!" woła raz poraz z tak szczerą radością, z każdym po kolei, jak ze starym znajomym się witając, a w jej ślady i inni się witają, że i my odrazu poczuliśmy się jak u siebie, jakgdybyśmy byli w kole dobrych, starych przyjaciół.

„Grajcież na przywitanie, zwraca się poczciwa *Pietruszczyna* do muzykantów i na stół „twardego" im rzuca, a i sama z wielkiej radości o mało nie bierze się do pląsów, choć do pląsów jeszcze nie czas, bo uczta weselna nie skończona. Odbywa się ona

w dwóch sienią przedzielonych pokojach; w pierwszym, będącym izbą „niższą“ pokrzepiają się i wesoło gwarzą młodsi, w drugim siedzą starsi i poważniejsi biesiadnicy przy dwóch wąskich, długich stołach i raczą się potrawami niewymyślonemi, ale przyrządzonemi zdrowo i smacznie: rosołem, mięsiwem, ciastami. Przytem krążą szklanki z piwem, odzywają się tradycyjne, weselne pieśni. Jedna z drużek wyśpiewuje rymowaną prośbę o grosz na czepiec dla pani młodej i z tacką w ręku, ze śpiewem na ustach obchodzi stoły; a bogaty to widać będzie, chyba perłami, jak dawnych mieszczek polskich, wyszywany czepiec, bo srebro gęsto się sypie. Znać tu wszędzie w całym tym domu dostatek i błogosławieństwo Boże; znać zarazem częściową przynajmniej przyczynę tego dostatku i błogosławieństwa: wierność dawnym i od ojców przekazanym zwyczajom; lekceważenie wielko czy małomiejskich mód, brak pańskich zachcianek, choćby nieraz na nie łatwiej niż w niejednym „pańskim“ domu znalazły się potrzebne pieniądze. „Pani młoda“ w niebieskiej, skromnej sukni jaką babki i prababki jej nosiły; z twarzy i całej postawy bije czerstwość, siła, zdrowie, także widać z pokolenia na pokolenie przechodzące.

„Mogłaby Pietruszczyna, szepcze mi sąsiad półgłosem, wystąpić huczniej, po miejsku i córkę przybrać w miejskie łachy; stać ich na to, przecież córce dają teraz 2000 twardych, ale umyślnie dawne stroje, stary zwyczaj chowa“.

„A niechże Bóg wam darzy i wami się opiekuje, powtarzamy z innymi szczere życzenia, a Pietruszczyna tymczasem coraz inne, coraz pocieszniejsze i naiwniejsze historyjki opowiada, których szkoda, że w tej chwili nie słuchał Sienkiewicz, bo by nas pewnie niezadługo uraczył wyborną powiastką, coś nakształt „Bartka“, lub „Opowiadań Soboty“...

Pieśni weselne przebrzmiały, uczta się skończyła, muzykanci pokrzepiają siły, bo nie mała ich cały wieczór czeka robota; młodzież zwraca się do gospody, która wnet się przekształci w salę balową, ale przedtem każdy podchodzi do gospodarzów i ściska za rękę:

„Dziękujemy za przyjęcie i poczęstunek“.

I nam czas podziękować, bo dziś jeszcze wieczorem chcielibyśmy dotrzeć do klasztoru Franciszkanów na górze św. Anny.

Gościnni wprawdzie przyjaciele nasi z Kamienia radzą nam odłożyć tę wycieczkę na dzień jutrzejszy i ofiarują wygodny nocleg w starożytnem zamczysku potomków św. Jacka; myśl ta nie mało się nam uśmiecha, bo choć pewnie straszy w zamczysku, we trzech strachów i duchów nie bardzo się boimy, a zawsze noc spędzona w siedlisku Odrowążów miłem na przyszłość byłaby wspomnieniem; ale ostatecznie rada w radę, wbrew wszelkim perswazyom, z uporu, czy ze strachu przed strachami, opuszczamy wieczorem mile w pamięci i w sercu zapisany „Kamień". Do widzenia! Do widzenia!...

I ciemno i chłodno, a choć wcale nie głodno, to do św. Anny daleko, o wiele dalej, niż z zaczerpniętych po drodze wiadomości można było wnioskować. Wreszcie konie się zatrzymują; małomowny woźnica obraca się i powiada z flegmą: „Wysiadajcie, ot! tu na górze klasztor i kościół".

„A nie można tam podjechać?" — „Nie można!"

Można było i to wygodnie, ale w ciemnej nocy, że oczy wykół, trudno się nieznajomym rozpoznać w miejscowości. Chcąc więc nie chcąc trzeba było na słowo zawierzyć zbyt o konie, mniej o nas dbającemu, niezaradnemu, czy nie życzliwemu, jak gdyby nie pochodził z Górnego Szląska furmanowi; trzeba było wziąść, szczęściem nie ciężkie tobołki do ręki i iść nie gdzie oczy, lecz gdzie nogi poniosą.

„*Eureka!* schody!!"

W nocy dopiero, pnąc się mozolnie schodami coraz wyżej i wyżej, ocenić można wysokość góry św. Anny, na której wystawiony kościół i klasztor panują nad całą okolicą. Skończyły się nakoniec schody, ale nie skończyły się nasze utrapienia; jedna brama zamknięta i napróżno w nią stukamy i pukamy; drugiej odnaleść nie można, a tymczasem zrywa się silny wicher i wyprawia dzikie harce, zapominając że to nie *Łysa Góra* i nie sabat czarownic.

— „To duchy z kamienieckiego zamczyska mszczą się, żeśmy u nich nie przyjęli gościny".

„Piękna poezya, praktyczniejsza proza, piękna rzecz „baśnie", ale nad najpiękniejszą baśń, a choćby i „baśń nad baśniami" lepszy ciepły kącik, zwłaszcza w nocy i na wichrze, odpowiada prozaicznie usposobiony, bo zziębnięty M., a gdy my jeszcze rozpra-

wiamy co robić i dla humoru wygrzebujemy z pamięci romantycznych puszczyków, Faustów i Twardowskich, polskie, niemieckie, angielskie czarownice; on tymczasem spuszcza się na dół i sprowadza z najbliższego domku przewodnika, z którego pomocą dostajemy się bez trudności do klasztornej furty, do przygotowanych już dla nas ubogich, lecz chędogich celek.

Góra św. Anny, zwana dawniej, a czasami i dzisiaj jeszcze górą „Chełmską," zarosła była aż do początku XVI wieku gęstym lasem. Około tego czasu dopiero, ówczesny dziedzic tej miejscowości, *Jerzy Adam Franciszek Gaszyna*, spowodowany nadziemskiem jakiemś światłem unoszącem się nad Chełmską górą, zbudował na niej małą kaplicę na cześć św. Anny. W pięćdziesiąt lat później *Anna Marya Nochtic z Malticów* obdarzyła tę kaplicę relikwiami św. Anny i drewnianą po dziś dzień na wielkim ołtarzu wystawioną figurą tej Świętej, którą Bóg niebawem wielkimi raczył tu wsławić cudami. Dla wygody coraz liczniejszych pielgrzymów stanął niezadługo drewniany kościołek, koło którego osiedlili się w połowie siedemnastego wieku, sprowadzeni z Krakowa OO. Reformaci; r. 1673 odbyła się uroczysta konsekracya wielkiego kościoła, który do dziś dnia przetrwał; r. 1733 *hr. Ludwik Gaszyna* dokończył rozpoczętej przez brata swego Józefa, budowy złączonego z kościołem klasztoru. Poprzednio jeszcze, bo w pierwszych latach XVIII w. postanowili hojni i pobożni właściciele założyć na górze św. Anny „Kalwaryą", w przeciągu lat dziewięciu stanęło 33 kaplic ozdobionych obrazami pochodzącymi z pod pędzla, umyślnie w tym celu z Włoch sprowadzonych malarzów. Razem z innymi zniesiono w r. 1811 i klasztor na górze św. Anny. W kilkadziesiąt lat później góra ta i cała przestrzeń przez kaplice kalwaryjskie zajęta przeszła na własność biskupów wrocławskich, a ci w roku 1859 poruczyli opiekę nad świętą tą miejscowością OO. Franciszkanom z Westfalii. Cześć Boża szerzyła się, pielgrzymów napływało coraz więcej, w sierpniu r. 1864, gdy obchodzono stóletnią rocznicę rozpoczęcia kalwaryjskiego nabożeństwa, zgromadziło się przeszło 100.000 pobożnych. Niestety! przyszedł *Kulturkampf*. Franciszkanie musieli w sierpniu 1875 opuścić swą siedzibę; za lat sześć dopiero, dzięki usilnym staraniom wrocławskiego biskupa *Foerstera*, przybyło do osierociałego klasztoru dwóch Franciszka-

nów i choć w zakonnym habicie chodzić im nie było wolno, dozwolono im przynajmniej modlić się i pracować w swym domu; wreszcie w październiku 1887 objęła na nowo westfalska prowincya Franciszkanów jawnie i urzędownie kościół, klasztor i Kalwaryą [1].

Gwardyan, rodem Westfalczyk, ale biegle po polsku mówiący, sam oprowadzić nas zechciał po kalwaryjskich kościołkach i kaplicach. Znać tu wszędzie staranną rękę pobożnych stróżów świętego tego miejsca; w wielu kaplicach dawne malowidła ustąpić musiały miejsca o wiele gustowniejszym, bardziej przemawiającym do serca i wyobraźni figurom i ułożonym z nich grupom. Obok „dróżek P. Jezusa“, ciągną się, jak w galicyjskich Kalwaryach, „dróżki Matki Boskiej“; a jak tam, tak tu lud wierny skrupulatnie i jedne i drugie procesyonalnie odwiedza. Po drodze opowiada nam O. Gwardyan budujące szczegóły o pobożności tych tłumów przybywających tu z Czech, z Galicyi, z Polski, z Morawii, ze Szląska; chwalących Boga różnymi językami, ale jednem sercem. Dla wygody pielgrzymów święcą się tutaj, za zezwoleniem papieskiem, główne uroczystości odpustowe w ten sposób, że przez cały tydzień poprzedzający uroczystość znalezienia i podwyższenia św. Krzyża, i w poniedziałek Zielonych Świątek odbywa się nabożeństwo dla pielgrzymów niemieckich; w sam dzień znalezienia i podwyższenia św. Krzyża i w uroczystość Przen. Trójcy wyłącznie dla pielgrzymów polskich z polskimi kazaniami w kościele i przemowami na dróżkach; w inne święta są oba języki równouprawnione. Napisy w kaplicach, podpisy na obrazach, pobożne westchnienia zdobiące ściany lub figury, także zazwyczaj są w obu językach: polskim i niemieckim. Poszanowanie to języka miejscowej ludności w jednym kościele i przez kościół daje pochop do różnych rozmyślań o sile i prawie, o stosunku i roli Kościoła i państwa na świecie; mile, a szczególnie odbija od wyłącznie niemieckich napisów na gościńcach i kolejowych stacyach, urzędach, fabrykach, wszelkich

---

[1] Daty te i szczegóły wyjęte z dziełka: „Książka kalwaryjska... dla wygody pobożnych pątników przybywających do góry św. Anny w Górnym Szląsku“. Nakładem klasztoru OO. Franciszkanów w św. Annie, 1888. str. 164. Drukiem *A. Marcy'go* w św. Annie, 1888.

budowlach, nad któremi choć z wysoka i z daleka unosi się orzeł niemieckiego cesarstwa.

Na dole klasztorek i kościołek „Służebniczek," które tutaj utrzymują szpital. I pokorne te sługi Boże nie dawno w te strony mogły powrócić; dziś dzięki ostatnim prawom wolno im chorych opatrywać, naturalnie tym tylko, które biegle władają językiem niemieckim. Innym pomieszkanie wzbronione, aby przypadkiem chorych Górnoszlązaków nie polonizowały.

„Polonizacya! już samo to słowo zabawnie brzmi w dzisiejszych czasach i stosunkach w niemieckiem cesarstwie; natomiast z wyrazem „germanizacya," a bardziej jeszcze z rzeczą samą przez wyraz ten oznaczoną, podróżny na każdym kroku na Górnym Szląsku się spotyka. Nazwiska stacyj kolei żelaznej, wsi, miasteczek, tak nielitościwie na niemiecką modłę przekręcone, że nie wiedzieć, śmiać się czy płakać. Tak np. konduktor woła: *Peiskretscham!* a to po prostu *Pyskowice;* przejeżdżamy przez *Schimischow, Patschin, Bitschin, Gonschiorowitz* i w głowę zachodzimy, kto na pohybel niemieckiego języka wymyślił te cudackie nazwy, do których zastosować chyba się da nasze przysłowie o pół baranie i półkozie. Nie lepiej z nazwiskami osób. W Zaborzu uderza z daleka olbrzymi szyld: *Krischkowsky* Bahn-Spediteur; w Świętochlowicach poleca szewskie wyroby *Jan Kotzur;* w Kamieniu mieszka bogaty gbur *Jan Mandrella* (Mądrala); w Szopienicach *Penkalla;* w Bytomiu czytamy po ulicach dobrze znane uchu, dziwiące oko napisy: *Schwientek, Dombrowsky, Zawischa*... Coby to powstał za hałas, ile śledztw i dochodzeń, gdyby się tak pojawił w Bytomiu lub Gliwicach handel *Millerskiego* lub *Szlezingerowicza* i słusznie, bo przecież zmieniać sobie samowolnie nazwiska surowo prawem jest wzbronione.

— „Prawda to wszystko, odpowiada ktoś z miejscowych na moje uwagi w tym względzie; ale trudna rada! — Niemcy nie potrafiliby wyczytać nazwisk polskich właściwie napisanych. Musimy się do nich zastosować".

Niemcy — panowie Szląska, a wszyscy i wszystko inne ma się do nich i ich wygody zastosować: oto dogmat, z którym w licznem kole księży i świeckich wystąpił jasno i bez ogródek zarządca dóbr

należących do jednego ze szląskich, katolickich magnatów, człowiek, — jak mię zapewniano — skądinąd porządny i poczciwy.

„*Man muss die Leute germanisiren!* wołał z zapałem, gdy przy końcu sutej biesiady z wszystkiemi swemi uczuciami i pragnieniami wszem w obec się zwierzał. Trzeba biedaków przemienić koniecznie w Niemców, bo inaczej zawsze niżej będą stali na drabinie społecznej. Jak mam przyjąć robotnika, jeśli się z nim rozmówić nie potrafię; jak mogę mu poruszyć trudniejsze jakie zadanie? Z drugiej strony, po co robotnikowi dwoma językami władać; niech mówi dobrze po niemiecku, niech wszyscy mówią tylko po niemiecku, a ustaną dotychczasowe trudności i los ich sam z siebie się polepszy".

Każde dziecko na wywody te daćby mogło i musiało odpowiedź: „Nie tysiące ludzi są dla ciebie, ale ty dla nich. Naucz się po polsku, a jeśli nie chcesz, czy nie możesz, nie jedz szląskiego chleba, lecz szukaj gdzieindziej szczęścia i grosza".

Taką też odpowiedź, choć w delikatniejszą formę przybraną, otrzymał ów oryginalny dobroczyńca i przyjaciel Szlązaków, a odpowiedź ta tem bardziej trafić mu była powinna do serca, że z szczególnym naciskiem dali ją nie Polacy, lecz rodowici Niemcy. Obecni księża powstali jednomyślnie przeciw niemczeniu ludu, jako rzeczy niezgodnej i z Boskimi i z ludzkimi prawami. „Jestem rodowitym Niemcem, mówił jeden z nich, mój ojciec słowa jeszcze po polsku nie mówił; ale kiedy pracować zacząłem między ludem mówiącym po polsku, to uważałem sobie za święty obowiązek języka tego wedle możności się wyuczyć; do parafian moich w macierzyńskiej ich mowie przemawiać". „Jako ksiądz i katolik, mówił drugi, nie mogę sobie życzyć, aby Szlązacy języka swego się zaparli, bo doświadczenie mi pokazało, że Polak, który wyrzekł się swego języka, zbyt łatwo także wiary i Kościoła się wyrzeka. Równie Niemiec, jak Polak może być dobrym i poczciwym człowiekiem; do zniemczonego, do niemczącego się dobrowolnie Polaka, trudno mi się pozbyć nieufności". „Jakaż zresztą racya, pytał inny, aby tu u nas na Szląsku walczyć z polskim językiem? O jakichś wielkopolskich aspiracyach czy agitacyach u Górno-Szlązaków mowy nawet nie ma. Wszyscy oni wierni poddani cesarza; o państwie niemieckiem mówią zawsze „nasze cesarstwo", o wojsku — „na-

sze wojsko"; każdy prawie po niemiecku może się wysłowić; dlaczegóż zabierać im rodzinny ich język, a z nim rodzinne tradycye: wiarę, sumienność, poczciwość"?

Nie było co odpowiedzieć na te uwagi, płynące z ust mężów, którzy zostając z ludem szląskim w codziennej styczności, najlepiej go mogą poznać i ocenić. Nie dziwiłem się i dziwić się nie można było, że w tak licznem zgromadzeniu znalazł się jeden zbyt gorliwy germanizator; ale jeśli nie zdziwić się, to ucieszyć się należało, że nikt go w tem nie poparł, że przeciwnie sami właśnie Niemcy skarcili najenergiczniej niefortunne to wystąpienie.

Górnoszlązak kocha gorąco swą wiarę, kocha swój język i dzięki tej miłości i wiarę i język, choć już przez tyle wieków obcą jest falą zalany, zdołał święcie przechować; kocha też pracę i pracować umie, a praca ta ciągła, bardzo nieraz ciężka, zapewnia domkowi jego dostatek i wygody, o których Mazurzy nasi lub Rusini myślą chyba czasem jedynie, jak o jakiej czarnoksięskiej bajce. Prawda, że i znojna, bez wytchnienia praca w hutach, kopalniach bardziej by im może jeszcze na bajkę zakrawała. Korzystając z uprzedzającej grzeczności dyrektorów fabryk hut w Lipinach, zwiedziliśmy je szczegółowo; przypatrzyliśmy się, jak nieforemny kawał rudy cynkowej wzięty pod opiekę ognia, młotów, i noży, czyści się, topnieje, przekształca, przemienia, aż wreszcie przeszedłszy przez setki rąk, przez długi szereg pieców i maszyn, wychodzi na jaw jako błyszcząca, na równe arkusze pokrajana blacha. Ręce ludzkie idą w zawody z ogniem, parą i żelazem: przed jaskiniami podobnymi do stawów napełnionych roztopionym metalem stoją czarni robotnicy wrzucając bryły to węgla, to kruszcu w paszczę tych nigdy nie nasyconych smoków; na górze w wspaniale oświeconej hali, gdzie płynny metal zwolna równą, piękną blachą się staje, jeszcze jeśli nie cięższa, to bardziej gorączkowa robota: nie ma chwili spoczynku, bo już nie dozorcy, ale sama maszyna nagli, a bardziej jeszcze nagli myśl, że kto się tu nie spieszy, ten na kawałek chleba nie zarobi ani dla siebie, ani dla swoich. Wśród takiej w ścisłem słowa tego znaczeniu gorączkowej, i silnych muszkułów i zgrabności wymagającej pracy, spędza zwykle robotnik godzin dwanaście, od północy do południa, lub od południa do północy, bez żadnego lub w pewnych miejscowościach

z jednogodzinnem odpoczynkiem. Jedna to „szychta“ wedle klasycznego wyrażenia.

— A jakaż za robotę tę zapłata“?

— „To rzecz bardzo względna, stosownie do sił robotnika, jego zręczności i samegoż rodzaju pracy. W ogóle mówiąc od czasu ostatniego wielkiego strejku na Górnym Szląsku, stosunki w tym względzie znacznie się polepszyły; w niektórych kopalniach i hutach sami robotnicy przyznają chętnie, że płaceni są sprawiedliwie; w paru nie chcieli nawet wziąść udziału w zmowie, za co jak np. w *Szarleju*, w kopalni św. Heleny postanowiono urządzić dla nich bal i ucztę na 2.000 osób. W kopalni tej najniższa płaca tak zwanego tu „hajera“ wynosi 2 mr. 50 fen. na szychtę. W kopalni „Pauliny,“ która, jak chwali sobie w korespondencyi do *Katolika*, jeden z tamtejszych robotników:[1] „słynie z tutejszych okolicznych kopalni, jako najlepsza na zarobek, „hajerzy“ zarabiają obecnie od 2 do 3 mr., „szleprzy“ od 1·70 do 2·80 mr. W kopalni „Wolfgang“, „hajerzy“ zarobić mogą 2·50 do 3 mr.; „folerzy“ około 2 mr.; „ciskacze“ 1·80 mr. W „Królewskiej Hucie“ największa część robotników pracujących w hutach, tak zwanych „werczanów“ zarabia do 2 mr. na szychtę. Jak widać z paru tych przykładów silny mężczyzna zarabia sobie od 2—3 mr.; wyjątkowo tylko i to przy delikatniejszych pracach, 4 lub nawet 5 mr. Jeżeli ma dorosłe córki, to każda z nich znowu około marki z kopalni lub huty, do domu przyniesie; dorośli synowie zarabiać naturalnie mogą tyle, lub w pewnych okolicznościach i więcej niż ojciec. Od sumy tej odtrącić należy stałe opłaty na doktora dla żony i dzieci, na olej lub inne rzeczy przy pracy potrzebne, na tak zwany *Knapschaft;* odtrącić należy parę, a czasami i kilka marek na możliwe kary, gdy się coś zepsuje; gdy robotnik nie zadowolni, bądź słusznych żądań, bądź niesłusznych kaprysów swych dozorców. Ileż więc przeciętnie zostaje na utrzymanie domu, odzienie i żywność? Miasto ogólników, lepiej raczej zacytować w odpowie-

[1] *Katolik* z 13 sierpnia 1889. Korespondent pisze wprawdzie dyplomatycznie, jakby o kimś trzecim: „Znam robotników żonatych, którzy spotrzebują miesięcznie...“; nie mylimy się jednak, podobno sądząc, że takim właśnie robotnikiem „żonatym, mającym dwoje dzieci“ jest i sam piszący.

dzi stan rozchodów i dochodów jednego z robotników w kopalni „Pauliny," jak je nam sam podaje. Robotnik ten mający żonę i dwoje dzieci potrzebuje miesięcznie wespół z rodziną:

„Na pomieszkanie 5 mr. (ale to wyjątkowo tanio); kartofli półtora cetnara 3·20 mr.; mąka 60 funtów 7·50 mr.; pszeniczna mąka 2 mr.; kawa 90 fen.; cykorya 20 fen.; 5 funtów cukru 3 mr.; 4 funty omasty, łoju 2 mr.; 3 funty sadła 2 mr.; 4 funty mięsa 2 mr.; inne drobne wydatki, jak kapusta, krupy, groch, ryż, sól i t d. 4 mr.; gminny podatek 60 fen.; piwo 1 mr.; gazeta 50 fen. Więc tego uczyni miesięcznego wydatku 30·90 mr. Zarabiając za miesiąc 24 szychty to odciągnąwszy 2·20 mr. (na knapszaft i doktora) zostanie ostatecznie na obuwie, przyodziewek i różne inne nieprzewidzane wydatki 3·50 mr. A tu jeszcze zapomniałem mleko do kawy, masło na piątki, czego uczyni przy wielkiej oszczędności 2 mr. i oto pozostanie 1·50 mr. na obuwie i przyodziewek czyli ubranie".

Zapewne, niejednemu więcej grosza kapnie; niejeden coś jeszcze sobie na pożywienie oszczędzi, choć wiele oszczędzać nie podobna, bo prędkoby sił do wytężającej pracy zabrakło; ale ogólnie i tutaj życie nie różami wysłane; nie jedna rodzina żyć musi z dnia na dzień, a w razie przypadku lub choroby narażona jest na nędzę; nieraz i dziś jeszcze, mimo, że rzeczywiście wiele w ostatnim czasie na lepsze się zmieniło, słychać skargę, wyrażono w dopiero co wspomnionej korespondencyi: „położenie robotnika nie jest urządzone wedle słuszności i sprawiedliwości".

Dla zapewnienia tej sprawiedliwości, a zarazem dla zabezpieczenia robotnikom i ich rodzinom kawałka chleba w razie jakiego nieszczęścia, rzucono w ostatnich miesiącach myśl, która nie wątpimy, że się urzeczywistni, założenia „Związku wzajemnej pomocy dla robotników górniczych i hutniczych na Górnym Szląsku". Dlaczego ma być jeden „Związek na cały Górny Szląsk, jaki jego cel, jakie środki, których chwycić się zamierza? Na pytanie to odpowiada programowa odezwa organizatorów „Związku", ogłoszona w „Katoliku", a następnie przez inne gazetki powtórzona:

Związek ma być j e d e n tylko dla całego Górnego Szląska. Dlaczego? Oto dlatego, że w jedności leży siła i tylko taki jeden wielki związek będzie miał dostateczną moc duchową i materyalną.

Zarząd związku, który będzie mógł o sobie powiedzieć, że ma za sobą 20 tysięcy robotników, zupełnie inną będzie miał powagę i znaczenie, aniżeli taki, za którym stoi 100, 200, 500, a chociażby i 1000 członków.

Zarząd związku, który będzie zarządzał kasą 20 tysięcy, o wiele lepiej może robotników wspomagać, aniżeli taki, którego dochody miesięczne zaledwo kilkadziesiąt marek wynoszą.

Związkiem ma kierować jeden główny zarząd; po kopalniach i hutach będą zastępcy, którzy interesa związku będą załatwiali.

Kasa towarzystwa będzie jedna, rządzona przez zarząd. Kapitały składać się będą w pewnym banku.

Jaki cel ma ten związek?

Celem związku jest pomoc wzajemna, pomoc pod duchowym i materyalnym względem, pomoc pieniędzmi i pomoc radą.

Dlatego chodzi o to, aby z czasem, gdy kasa związku się wzmoże, przyjąć adwokata osobnego, który wszystkie sprawy robotnicze będzie prowadził. Za to członkowie wprost nie będą mu nic płacili, tylko kasa związku.

Pieniądz i mądra rada we wszystkich sprawach robotniczych mogą i muszą się przyczynić do polepszenia doli robotników.

Bardzo mało jest robotników takich, którzyby nie czuli potrzeby takiego związku. Mogą to być tylko ludzie, którzy nie czytają gazet, niczem się nie interesują, w ogóle o sobie nie myślą szczerze.

Większość jednak rozumie cel związku i mamy nadzieję, iż ta większość związek podtrzyma, gdy go się założy.

Dziś donieść już możemy, że prace przygotowawcze są na ukończeniu i w niezadługim czasie odbędzie się wielkie zebranie, na którem ostatecznie związek założonym zostanie.

Prosimy tedy wszystkich, aby między sobą o związku rozmawiali i nam w listach swe zdanie wypowiadali, zwłaszcza też, aby nam podawali ludzi mądrych na kierowników i zastępców po kopalniach i hutach.

O praktycznych — wyznać trzeba, że niewygórowanych żądaniach i życzeniach robotników — dać mogą dość jasne wyobrażenie, następne punkta, podane komisyi rządowej w lipcu b. r. przez „Towarzystwo katolickich robotników w *Zabrzu*“ [1]:

1) Praca ma trwać 10 godzin z wjazdem i wyjazdem, zapisem robotników i szycht. Płaca ma wynosić na szychtę 4 m. 50 fen. dla hajerów, 3 m. dla szleprów, a robota dyngowa ma być wedle tego ustanowiona; także potrzeba, aby do jednego filara 3 szleprów przydzielono.

2) Robotnicy „rabujący“ powinni z powodu niebezpieczeństwa, na jakie są przy swej pracy narażeni, dostać pełną zapłatę na szychtę bez względu na to, czy drzewo dobędą czy nie.

3) Hajerzy żądają 120 ctr., szlerzy 90 ctr. węgla rocznie na wolny opał, jako obowiązkowe, a nie jak § 19 porządku roboczego przepisuje, że wolne węgle mogą być każdego czasu skasowane.

---

[1] Por. *Katolik* z 16 sierpnia b. r.

4) Wozy, które skutkiem trzęsienia na długich sztrekach lub innych przyczyn nie są zupełnie pełne, ale które od górnika pełne wyszły, nie mają być kasowane.

5) Przy wypadkach i przeszkodach w pracy, które same przez się zajdą, nie powinien być robotnik karany lub degradowany; starsi robotnicy mają postanowić, czy i jaka kara ma robotnika za to spotkać.

6) Dawniej płacono do knapszaftu mniej, a kasa płaciła robotnikom więcej, aniżeli obecnie, choć składki do knapszaftu większe. Lekarstwa dla chorych i książki dla dzieci robotnikom odjęto. To ma być zmienione.

7) Ma być wolno, aby jeden górnik drugiego, w razie nieprzybycia do pracy mógł uniewinnić.

8) Kąpiele mają być po kopalniach urządzone.

9) Obchodzenie się urzędników z robotnikami ma być ludzkie.

Górnoszlązak modli się z całego serca, pracuje, zdawałoby się nad siły; ale i Górnoszlązak choć widząc, jak żylasta jego dłoń całemi godzinami naprzód wyciągnięta, ogień i żelazo wzięła pod swe panowanie, rzecby i pomyśleć można: „To człowiek ze stali“, potrzebuje przecież wytchnienia dla ciała, rozrywki, wzbogacenia umysłu nowymi wiadomościami. Umysł wzbogaca się za pomocą licznych po wielkiej części w samym Szląsku wydawanych, ludowych książek i gazetek. Między temi ostatniemi najdawniejszą i najbardziej rozpowszechnioną jest *Katolik*, który w roku bieżącym rozpoczął 22-gi rok istnienia, a prenumeratorów liczy podobno na tysiące. Hasło, cel i program gazetki tej wyrażone są w samym jej tytule: „*Katolik*, pismo poświęcone ludowi ku cnocie, nauce, zbogaceniu;“ nieco wyżej czytamy: „Prawo boskie przyrodzone i nadprzyrodzone, to nasze hasło;“ pod tytułem: „Szanuj język ojców, to prawo Boga, a człowieka obowiązek;“ z prawej strony: „Wiara, miłość Boga, bliźnich i oświata;“ z lewej: „Oszczędność, trzeźwość, stowarzyszenia“. *Katolik* wychodzi w Bytomiu dwa razy na tydzień we wtorek i w piątek w objętości pół arkusza bardzo ścisłego druku i kosztuje na kwartał tylko jedną markę. Pierwsze miejsce zajmuje zazwyczaj powieść; tak w roku bieżącym ciągnęła się przez kilkadziesiąt numerów powieść: „Pobożna sierota“, czyli: „Cnota zawsze odbiera nagrodę;“ z końcem sierpnia rozpoczął się druk tłumaczonej z francuskiego powieści *Lamothe'a:* „Król nocy, powieść z życia Irlandczyków“. Następnie spotykamy poważny artykuł, niby artykuł „wstępny“ omawiający doniosłą jakąś kwestyę np. obowiązek pielęgnowania języka ojczystego, szkołę

i wychowanie domowe na Górnym Szląsku, wiece katolickie[1] i t. p., lub streszczający ostatnie encykliki papieskie i biskupie listy pasterskie. Umieszczane regularnie „Dzieje dzisiejszego Kościoła“ są wiernym obrazem głównych wypadków odnoszących się do całego Kościoła i Papiestwa; jak znowu „Sprawy społeczne“ są obrazem życia i bied, dążeń i życzeń górnoszląskich górników, hutników i rolników; jak „Wiadomości z całego świata“ streszczają całą bieżącą politykę, a „Wiadomości bliższe i dalsze“ są wiankiem nowin i nowinek kronikarskich z wsi i miasteczek szląskich, z całej dawnej Polski, z „obczyzny“ i własnych kątów.

Jak widzimy jest co czytać wróciwszy po pracy do domu; można się i nauczyć i zabawić i nieraz serdecznie roześmiać; to też czytelnicy *Katolika* obejść się bez niego nie potrafią, donoszą mu w licznych korespondencyach o najdrobniejszych nawet szczegółach, pytają o radę, starają się rozszerzać między znajomymi ukochaną gazetkę. Posłuchajmy np. korespondenta z *Lędzin*:[2] „Chociaż mam dopiero 20 lat, a już trzymam trzeci rok „Katolika“ i takem go pokochał, żem jeszcze ani jednego numeru nie opuścił, bo nawet moi domownicy na mnie inaczej nie powiadają, ino „gazetnik“. Ja, bo się nie mogę nadziwić, jak mogą żyć ludzie, co nic nie czytają“. Korespondencyą tę odczytał sobie uważnie jakiś młodzieniec z *Rozbarku*, i takie na jej tle robi uwagi[3]: „Jestto bardzo źle, kiedy dorosłych ludzi do czytania namawiać trzeba. Ja mam dopiero 19 lat, a już cztery lata „Katolika“ czytam i nauczyłem się dopiero z niego czytać i pisać po polsku, bom ze szkoły tego nie wyniósł. Dzisiaj jeśli chcemy szanować nasz język ojczysty, musimy nadewszystko czytać polskie gazety i książki“. — „Proszę was także Bracia, pisze korespondent z *Wielkiego Dubieńska*[4], zapisujcie sobie „Katolika“ i czytajcie go w wolnych chwilach. Zaręczam wam, że gazeta ta wkrótce tak wam się spodoba, iż z niecierpliwością będziecie oczekiwać chwili, w której listowy ją wam przyniesie“. — „Katolika“ nie abonuję, donosi

[1] Por. numera ze sierpnia i września b. r.
[2] *Katolik* z 6 sierpnia b. r.
[3] Z 13 sierpnia b. r.
[4] Z 16 sierpnia b. r.

uboga wdowa z *Królewskiej Huty*[1], ale go sobie od innych pożyczam i czytam". — „W naszej wiosce, zapewnia korespondent z *Grzybowic*[2], czytają więcej niż dwadzieścia numerów „Katolika". Zazdrościć prawdziwie można Redakcyi, która od czytelników swych i prenumeratorów, odbiera takie dowody uznania i wdzięczności.

W tym samym mniej więcej formacie i z podobnym rozkładem materyj, jak w „Katoliku", wychodzi w Niem. Piekarach co środę i sobotę „Gwiazda Piekarska"; w Królewskiej Hucie co wtorek i piątek „Głos ludu Górnoszląskiego" z godłem: „Hej! Bracia w imię Boże, — Bóg nam dopomoże!"; z „Gwiazdą Piekarską" połączonym jest dwutygodniowy dodatek p. t.: „Przyjaciel domowy"; abonenci „Katolika" otrzymują jako dodatek pisemko „Rodzina"; w Mikołowie u *Karola Miarki* wychodzi pobożne pisemko poświęcone czci N. Panny p. t.: „Zdrowaś Marya!"; w Piekarach pojawia się „Miesięcznik żartobliwy dla śmiechu i zabawy", zeszyt po 10 fenigów; a prócz tych wszystkich, bądź co bądź licznych gazetek, dodatków i miesięczników, słyszymy jeszcze o „Gazecie Górnoszląskiej", „Opiekunie katolickim" i „Nowinach Raciborskich", z którymi żałujemy szczerze, że nam się dotąd zapoznać osobiście nie udało.

W innym, niż poprzednie pisma, rodzaju, jest istniejący od lat trzech miesięcznik „*Światło* pismo ilustrowane dla ludu". Pismo to wychodzi w Bytomiu nakładem i czcionkami „Katolika", pod odpowiedzialną redakcyą E. Radziejewskiego, a począwszy od sierpnia A. Napieralskiego, w dwuarkuszowych zeszytach. Kwartalna przedpłata wynosi jednę markę, bardzo a bardzo tanio, jeśli zważymy, że papier jest zupełnie dobry, druk czysty, a nadto każdy zeszyt zawiera od 4—6 starannie wykonanych, częścią oryginalnych, częścią z innych czasopism polskich i zagranicznych zapożyczonych ilustracyj. „*Światło*, czytamy w odezwie Redakcyi, chce szerzyć oświatę ludową w duchu katolickim, rodzinnym, służąc zarazem rozrywce umysłowej; zawiera umoralniające powieści, życiorysy mężów zasłużonych, opowiadania historyczne i pouczające opisy". Piękny to program, piękniej jeszcze, że Redakcya sumien-

[1] *Katolik* z 20 sierpnia b. r.
[2] Z 23 sierpnia b. r.

nie stara się program ten w życie wprowadzić. Tak np. ostatnich kilka numerów, prócz dłuższej powieści *J. A. Łukaszewicza:* „Szczęście na wsi“ i paru innych powiastek, zawiera pouczające, w sposób powieściowy osnute opowiadanie o wynalezieniu sztuki drukarskiej; poważną rozprawę o niewolnictwie, o arabskich Marabutach, o różnych ubiorach w różnych krajach; szereg historyczno-przyrodniczych obrazów z świata roślinnego; historyą i opis poznańskiego ratusza, wielickich i olkuskich kopalni; kilka pobożnych, a kilka wesołych wierszyków; wreszcie na końcu każdego numeru długi zastęp gospodarskich notatek, rozmaitych kronikarskich i niekronikarskich „rozmaitości“, fraszek, zagadek, rebusów. Kilka ilustracyj jest wziętych z życia wielickich górników; kilka innych z życia hutników w „Dąbrowie górniczej“ i górników w kopalni „Mortimer“; dalej spotykamy wizerunki zasłużonych mężów, jak *Stefana Cegielskiego, Kazimierza Kantaka;* a czasem na szarym końcu i niewinną jakąś karykaturę. Niesie więc *Światło,* jak anioł na okładce pisma tego wyrysowany, w jednej ręce naukę, w drugiej wiarę przez krzyż oznaczoną; niesie zarazem poczciwą rozrywkę i byłaby szkoda, gdyby upaść musiało dla braku dostatecznego poparcia, jak tego niestety! wydawcy obawiali się z początkiem bieżącego roku, a bodaj, czy i dziś jeszcze się nie obawiają.

Jak w gazetkach i przystępnych książeczkach, tak znajduje nasz górnik czy hutnik rozrywkę i naukę, przyjemność i korzyść, w rozmaitych kółkach, związkach, stowarzyszeniach, któremi literalnie cały Szląsk, każda rzec można miejscowość jest zasianą. W *Lipinach* np., — a zapominać nie należy, że *Lipiny* to nie miasto, nie miasteczko, ale wieś tylko — istnieje: „Związek młodzieży polskiej“ i „Związek młodzieży niemieckiej“. W czasie pobytu naszego odbywało się właśnie zebranie związkowej polskiej młodzieży. Towarzysz mój, który już dawniej bywał na tych zebraniach, zapytał czybyśmy nie urządzili wspólnej wyprawy do sąsiedniego Chropaczowa, gdzie polscy młodzieńcy w sali *p. Galuszki* śpiewają i gwarzą, bawią się i radzą. Rzecz prosta propozycyą przyjąłem z radością i wieczorem podążyliśmy żwawo za światłem latarni niesionej przez usłużnego naszego przewodnika, a lipińskiego zakrystyana.

Ledwie wprowadzeni przez gospodarza domu przestąpiliśmy próg sali, odezwały się z kilkudziesięciu silnych piersi słowa powitalnej pieśni[1]:

Witam Was witam, wszystkich do koła,
Mili mi bracia Polacy.
Samo z radości serce mi woła,
Do Was kochani rodacy.
I łza miłości w oku mi błyska,
Gdy na Was w koło spoglądam,
A ręka moja szczerze Was ściska,
Którą do wszystkich wyciągam.
Lecz co za boleść serce me czuje,
Że wielu dosiąc nie zdołam;
Bo iluż braci w oddali żyje,
Do tych na próżno tu wołam.
Wyciągam wszakże i do tych braci,
Dłoń mej życzliwej prawicy,
O niechże mój głos w powietrzu leci,
Do tej, gdzie żyją ziemicy.
Niech im doniesie, że pamięć o nich,
Nigdy w narodzie nie zginie,
Że także modły czynią się za nich,
I w naszej Śląskiej krainie.

Witajcie i wy! odpowiadamy i dziękujemy z głębi serca i zasiadamy z prezesem „Związku“, z gospodarzem, z paru wybitniejszymi członkami przy honorowym stole. W około, na ławach, przy stołach w kilka rzędów ustawionych, zajęło miejsce około osiemdziesięciu zuchów, i rozpoczęła się żywa pogawędka przeplatana krótkiemi mówkami, muzyką i śpiewem. Nie tak dawno jeszcze temu lipiński „Związek młodzieży polskiej“ liczył około 300 członków; dziś cyfra ta stopniała do niecałej setki. Czemu? Długo o temby mówić, ale nie mówiąc długo dość powtórzyć: „Musi odtąd inaczej lepiej pójść“. „Da Bóg lepiej pójdzie“! obiecują sobie obecni. Prawdziwą klęską dla „Związku“ jest dotkliwy ból w nodze, którym Bóg od dłuższego już czasu nawiedził czcigodnego lipińskiego proboszcza i który nie pozwala mu brać udziału w naradach i zebraniach stowarzyszenia. „Może też Bóg się zlituje

[1] Tak ta, jak inne pieśni śpiewane na zebraniu „Związku młodzieży polskiej“, znajdują się w zbiorku wydanym przez *ks. Franc. Przyniczyńskiego* p. t. „Piosenki Zabawne“ (po części górnoszląskie). Bytom. 1887.

i wróci zdrowie naszemu Panu Fararzowi, mówi kilku, — a czuć, że te słowa ze serca im płyną; — toby znów do nas przychodzili i wszystko lepiejby było".

„A co się stało, pyta mój towarzysz, z dawnym prezesem, tym dziarskim chłopakiem, co to tak pięknie przed księciem-biskupem na koniu się popisywał?

„Ej! źle się z nim dzieje, brzmi smutna odpowiedź! Pycha go poprostu zaślepiła; że zgrabny był i coś więcej umiał, to myślał, że cały świat jego. To on, co do Krakowa, do tego pisma „Dyabła" na naszego Fararza takie głupstwa wypisał".

„Że też to w Krakowie, dziwił się inny, takie mu głupstwa wydrukowali. Ani wiedzieli kto, ani co, ani dlaczego, a zaraz drukować. Zamiast upamiętać chłopaka, to go gorzej jeszcze w złem utwierdzili. Ot! szkoda go; a może też, za łaską Bożą poprawi się!

Niewesołą tę rozmowę przerwał wesoły „Śpiew górników":

Jestem górnik tem się szczycę,
Że ma praca tak słynie,
Gdziekolwiek się myślą rzucę,
W każdej bywa krainie.
Węgle, kruszce, to skarb drogi,
Moją ręką dobyty,
Dla każdego owoc błogi,
Wszędy bywa użyty.
Choć przy pracy łożę życie,
Lecz pociechę mam z tego,
Żem potrzebny w całym świecie,
Ku wygodzie bliźniego.
Więc nucę piosnki codziennie,
Do górników patronki,
Choć pod ziemią to przyjemnie,
W pieczy świętej Barbarki.
Lampa, kilof i naboje,
Młot i świder przy boku,
Dzielą ze mną wszystkie znoje,
Nie odstąpią mnie kroku.
W tyle skóra połyskuje,
Czapka z piórem na przodzie,
Gdy się górnik wymustruje,
To jak żołnierz w paradzie.
Choć przy pracy jestem czarny,
Choć mi słońce nie świeci,

Lecz mój postęp jest nie marny,
To górnika zaszczyci.
A więc „Glück auf“ szczęść nam Boże,
Niech nam serca tak czują,
Wykrzyknijmy jak kto może,
Górnicy niechaj żyją!

„Górnicy niechaj żyją“! powtarzamy trzykrotnie i podnosimy w górę szklannice napełnione nie tylko „dobrem piwkiem“, ale wyśmienitem piwem, którem jak tego domaga się górnoszląska piosnka „poczęstowali nas nasi przyjaciele“.

Niechaj drogi Górny Szląsk żyje,
I język ojczysty!
Taki zawsze śpiew nasz ognisty,
Tu na to dłoń!

„A teraz co wesołego — może to o „babuleńce“ — prosi mój towarzysz, i wnet z nieopisanym, coraz zwiększającym się humorem i zapałem — rozlega się żartobliwa piosenka, nie zbyt a raczej zupełnie co do treści głęboko nie obmyślana, ale porywająca mimowoli energiczną, nie wiedzieć, żołnierską, myśliwską czy zbójecką melodyą:

Była babulinka
Rodu wysokiego,
Miała kozioleczka
Bardzo rozpustnego.

Hopstem dara Madaliński huha
Skoryba czara czuch czuch
Sponderemto huha!
Barabasa Mazura. i t. d. i t. d.

Co tu porabia *Madaliński* w spółce z *Barabaszem?* Nie czas się pytać; wstajemy i na pożegnanie odzywa się znów śpiew, tym razem rzewny, poważny:

Już się zbliżyła chwila rozstania,
Naszego wzajem dziś pożegnania,
Już się znów wszyscy porozłączajmy,
Do swoich chatek już powracajmy.

Bo choć zabawa jest tu przyjemna,
Gdzie nas złączyła miłość wzajemna,
Lecz czas nam mówi, że dosyć tego,
Więc już żegnajmy jeden drugiego.

Z Bogiem! więc z Bogiem! wszyscy wołajmy
W znaku miłości ręce ściskajmy,
Do zobaczenia, niech nas Bóg chowa,
To dziś ostatnie niech będą słowa.

Niech też to ostatnie będą słowa, zamykające ten opis zbyt krótkiego pobytu na szląskiej ziemi, między szląskim ludem, którego wierze i pracy, miłości Boga i bliźniego kto się przypatrzył, ten i pokochać go musiał.

Z Bogiem, z Bogiem wszyscy wołajmy,
W znaku miłości ręce ściskajmy!

Ksiądz z Krakowa.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

De catholica Facultate theologica in universitate litterarum olim Vilnensi. *Franciscus Albinus Symon:* Academia caesarea Romano-catholica ecclesiastica Petropolitana, anno academico 1888—1889. Petropoli, offic. typograph. Frejmani. 1888. str. 110.

Rektor akademii duchownej *ks. Franc. Albin Symon,* prałat łucko-żytomirski, zdobywa sobie rzetelną zasługę, wydając roczne sprawozdania akademii, której przewodniczy. Są to programy, w których znajdujemy na wstępie: spis profesorów duchownych i świeckich; nazwiska uczniów, którzy akademię ze stopniem magistra opuścili, oraz spis obecnych w akademii uczniów, których liczba w upłynionym roku dochodziła do 58. Jeśliby to nie było natręctwem, śmielibyśmy prosić jeszcze o małą kronikę akademii, jeśli to w danych warunkach jest możliwe, i o życiorysy i spis prac, ogłoszonych przez profesorów, jak się to teraz w jagiellońskim uniwersytecie praktykuje.

Drugą część programu zajmuje łacińska rozprawa ks. Symona, której tytuł podaliśmy na czele (str. 15—108). W zeszłorocznym programie opisał tenże dostojny autor dzieje seminaryum głównego, które istniało w Wilnie, w połączeniu z uniwersytetem, przez 20 lat (1808—1812 i 1816—1832). Uczniowie mieszkali w klasztorze poaugustyańskim i tamże wykłady teologii się odbywały, ale profesorowie należeli do uniwersytetu i byli równocześnie członkami „rady", która kierowała wychowaniem młodzieży.

Jak dalece rozprawa ta była na czasie, starczy wspomnieć, że prawie równocześnie (1887) napisał *Platon Żukowicz*, profesor litewskiego seminaryum w Wilnie, historyę tegoż zakładu, a w następnym roku (1888) ogłosił w czasopiśmie rosyjskiem *Christianskoje cztenie* (Chrześcijańskie czytanie) rozprawę o profesorach wydziału teologicznego w uniwersytecie wileńskim, która następnie w osobnej wyszła odbitce. Ducha tej rozprawy nie potrzebujemy określać bliżej, bo wystarczy nadmienić, że autor naszpikował ją frazesami, o „przestarzałych przesądach teologii scholastycznej“, która „chytrością dyalektyki scholastycznej ducha zabija“ i t. p.

Sam wszelako przyznał się na wstępie, że mu zbywało na źródłach i dokumentach, możemy więc spokojnie do jego płodów zastosować Dantejskie: *guarda e passa.*

Natomiast praca ks. Symona, którą przed sobą mamy, stanowi niepośledni przyczynek do dziejów Kościoła na Litwie, bo autor czerpał z akt, przechowywanych w Akademii i po archiwach dyecezalnych, a literaturę duchowną wyzyskał starannie.

Akademia wileńska założona przez króla Stefana, pozostawała w ręku ks. Jezuitów, aż do zniesienia Towarzystwa. Wtedy komisya edukacyjna zaprowadziła tutaj taką samą organizacyę jak i w Krakowie tj. nadała jej nazwę „Szkoły głównej“ i podzieliła na cztery wydziały: fizyczno-matematyczny, medyczny, moralno-polityczny i nauk wyzwolonych. Przy tej organizacyi, znikł osobny wydział teologiczny. Teologię zaliczono do wydziału moralno-politycznego, a ograniczono ją na trzy katedry: Pisma św., dogmatyki i moralnej. Przy takiem urządzeniu otrzymała Akademia wileńska ukazem cara Aleksandra I. z d. 4. kwietnia 1803 r. tytuł „cesarskiego uniwersytetu wileńskiego“. Zostały wprawdzie przez statut wydany 15. maja t. r. dodane dla teologii jeszcze niektóre katedry jako pomocnicze, mianowicie: historyi kość., prawa kanonicznego, teologii pasterskiej, homiletyki i języka hebrajskiego, ale mimo to nie tworzyła teologia osobnego wydziału. Wszelako co nie było na piśmie, to wytworzyło się z konieczności. Wiele bowiem było spraw, które tylko teolodzy sami mogli załatwiać, jak np. sprawy egzaminów, udzielania stopni i oceniania rozpraw teologicznych. Liczba ich była wprawdzie niewielka, ale ponieważ wedle statutu organizacyjnego (nr. 2) należeli do grona profesorów emeryci, tj. tacy

którzy 16 lat już uczyli, i honorowi członkowie uniwersytetu, ponieważ nadto powoływano na narady wszystkich profesorów, którzy byli księżmi, a takich bywało na innych wydziałach dosyć wielu (jak np. Stroynowski, Jundził, Kundzicz, Józef Bogusławski, Husarzewski, Szantyr), więc przez to samo wytworzył się osobny wydział, który uchwały swoich narad w osobną zapisywał księgę, i odpisy ich przesyłał wydziałowi moralno-politycznemu. Z drugiej strony nie przywoływano na te sesye takich profesorów, którzy byli świeccy, chociaż nauki z teologią połączone wykładali, jak Korneli Pocołojewski i Alojzy Capelli, obaj profesorowie prawa kanonicznego, chyba że się odbywał egzamin z ich przedmiotu. Jeżeli zaś dziekanem wydziału moralno-politycznego był duchowny, w takim razie on też przewodniczył na sesyach teologów, jeśli zaś dziekanem był świecki, w takim razie, wybierali teolodzy z pomiędzy siebie prezesa.

Takimi prezesami byli najpierw ex-Pijar *ks. Józef Konstanty Bogusławski* († 1819), *ks. Filip Golański*, który Zgromadzeniu Pijarów pozostał wierny do śmierci († 1824), podczas gdy pierwszy wcześnie sukienkę zakonną porzucił. Obaj wierni uczniowie Konarskiego, jego też poszli śladem i w pracach swoich i stanowisku, jakie w teologii zajmowali. Pierwszy zresztą mało się teologicznym, a więcej świeckim naukom i pisarzom oddawał; drugi chciał wprawdzie walczyć przeciw rosnącemu na Litwie indyferentyzmowi religijnemu w pismach swoich, ale szedł za jansenistowskiemi zasadami gallikańskich pisarzy, i sam często racyonalistyczne, albo protestanckie głosił zasady, które i na wydziale ogólnie były przyjęte. One ustąpiły jednak na wydziale następnie innym, chociaż pokrewnym, józefińskim zasadom, które wprowadził dziełami i wykładami swemi *ks. Jan Kanty Chodani*, Krakowianin rodem i w Krakowie przez czas pewien profesor i kaznodzieja katedralny. Przeniósłszy się do Wilna i uzyskawszy tutaj katedrę teologii moralnej i pasterskiej, poszedł zupełnie za józefińskimi autorami Austryi, tłumaczył ich żywcem na polskie, wedle nich wykładał i układał swoje dzieła. Jego wymowa i znajomość literatury niemieckiej, a zatem idąca powaga, sprawiły, że przezeń wprowadzony józefinizm, w Wilnie zapanował i nieopisane sprawił spustoszenie.

Nie możemy tu za autorem wymieniać ani profesorów wszy-

stkich, o których życiu i dziełach podaje ciekawe szczegóły i ocenia ich z wielkim spokojem, dodamy tylko, że sąd autora o profesorach teologii w Wilnie jest niestety, zupełnie zgodny z tem, co o nich napisał Siemaszko w pamiętnikach swoich, że „nawet w schyzmatyckiem seminaryum nie słyszeli uczniowie tego, czegośmy się nasłuchali, przyczem żaden z profesorów ani słówkiem nie odezwał się przeciw schizmie, „widać bali się". (Tom I, p. 16 i p. 438).

Smutne to, zaprawdę były czasy kołowacizny w głowach katolickich teologów, skoro nawet taki zacny, poważny, świątobliwy kapłan, jak *ks. Andrzej Kłągiewicz*, który powszechnej czci zażywał, administratorem, a wreszcie i biskupem wileńskim został, za zgubnym kierunkiem józefinizmu szedł niewolniczo.

Ciekawe szczegóły powołania jego na katedrę dogmatyki i historyi kościelnej oraz główne daty jego życia podaje autor (na str. 28—31), chociaż już je opowiedział w zeszłorocznej historyi seminaryum głównego wileńskiego, którego ks. Kłągiewicz był kapelanem, a następnie regensem. Całe grono profesorów zredukowało się w roku szkolnym 1812—1813 na jednego *ks. Augustyna Tomaszewskiego*, Bazylianina, profesora dogmatyki († 1814), bo *Golański* wziął był w tymże roku emeryturę, a Chodani prawie połowę roku przechorował W następnym więc roku szkolnym wezwano do wykładania Pisma św. kleryka *Michała Bobrowskiego*, który ukończywszy teologią, kształcił się jeszcze w uniwersytecie. Natomiast wykłady dogmatyki i historyi kościelnej powierzono *Ihnatowiczowi*, który był katechetą przy gimnazyum w Mińsku. Jednakże rozpisano konkurs na katedrę dogmatyki i historyi kościelnej (razem). W skutek tego nadesłano jedenaście prac, już to z dogmatyki już też egzegezy, ale żadnej nie było opracowanej z pola historyi kościelnej. Do oceniania tych prac wezwał dziekan wydziału moralno-politycznego *Szymon Malewski*, wszystkich profesorów tak świeckich jak duchownych wydziału, oraz biskupa Stroynowskiego i sufragana trockiego Tadeusza Kundzicza. To grono zadecydowało większością głosów, że praca „o Aniołach" jest najlepszą i że autor może być profesorem dogmatyki. Biskup Stroynowski domagał się wprawdzie, żeby wpierw rozpisano ponowny konkurs na pracę z historyi kościelnej, ale senat rozstrzygnął spór i otworzywszy ko-

pertę, znalazł w niej nazwisko ks. Kłągiewicza. Jego też niezwłocznie powołano na profesora dogmatyki i historyi kościelnej, chociaż nie miał jeszcze doktoratu.

Jako podręczniki przy wykładach swoich dogmatyki zaprowadził ks. Kłągiewicz kompendium *Klüpfla*, profesora fryburskiego, a do historyi kościelnej prof. wiedeńskiego *Dannemayera*. Pierwszy należał do tych teologów józefińskiej szkoły, którym się zdawało, że z Józefem II nastała nowa era złota w teologii, na tem głównie polegająca, że krzewiący się coraz bardziej racyonalizm usiłowała równą bronią zwalczyć, a przedewszystkiem utworzyć jakąś ogólną chrześcijańską naukę, w którejby dogmata katolickie poszły na bok, a wszystkie sekty protestanckie swoje zasady pomieścić mogły. W tej dogmatyce też mało jest rzeczywiście mowy o dogmatach, a najwięksi teolodzy średniowieczni zaliczeni do epoki barbarzyńskiej. Gorszy był jeszcze kierunek wszystkich historyków i kanonistów z epoki józefińskiej, bo wszyscy powtarzali zasady Febroniusza, i uchodziło to za najwyższy probierz krytyki historycznej, malować Papieży na czarno, przedstawiać ich jako uzurpatorów i t. p. Jaki wpływ mógł wywierać na młode umysły taki podręcznik, najlepszą miarę dają nam dwaj uczniowie ks. Kłągiewicza: Zubko (*Russkij Wiestnik* r. 1864 p. 300) i Siemaszko w przytoczonych już wyżej przez nas pamiętnikach swoich; a jaki duch panował pomiędzy młodzieżą duchowną świadczy przemowa samego ks. Kł. z r. 1811, podana przez autora w przypisku (str. 34), w której zapowiedział kary i obostrzenia dla niesfornych alumnów seminaryum głównego. Gorszy jeszcze wpływ wywierał na tę młodzież profesor prawa kanonicznego *Alojzy Capelli* Włoch, który był profesorem prawa cywilnego i kryminalnego, oraz języka włoskiego, a od r. 1815 objął także katedrę prawa kanonicznego. Jego podręcznik prawa kanonicznego, składający się z 50 tablic, rozbiera autor obszernie (str. 35—38) i wykazuje, że zupełnie się trzymał febroniańskich, gallikańskich i józefińskich autorów, a w jaki sposób wykładał swój przedmiot, najlepiej o tem świadczą Zubko i Siemaszko, oraz inni słuchacze, których świadectwo znajdujemy tu przytoczone. Niestety tenże *Capelli* wykładał swój przedmiot na zgubę dusz, nie tylko do r. 1832, w którym uniwersytet wileński został zniesiony, ale jeszcze następnie w *akademii duchownej wi-*

leńskiej (od r. 1883) przez pięć lat wykładał nie tylko prawo kanoniczne, ale i historyę kościelną. Charakterystycznem jest to, co przytacza autor, że alumni tejże akademii uczcili „męża znakomitego i najlepszego profesora," gdy r. 1838 odchodził, ozdobiony orderami, litografowanym portretem (str. 39).

Takim samym portretem uczcili alumni głównego seminaryum wileńskiego r. 1833 profesora *Michała Bobrowskiego*, księdza unickiego, znakomitego filologa słowiańskiego i profesora studyum biblijnego, gdy tenże zmuszony został opuścić uniwersytet i Wilno, a przenieść się na probostwo do Szereszowa (gdzie † 1839). Studya tego profesora za granicą, jego prace naukowe i profesorskie, opisał autor bardzo zajmująco (str. 39—54). One też stanowią nietylko dzieje jednej katedry w uniwersytecie, ale wprowadzają nas na szerszą widownię tych wypadków, które od r. 1828, za sprawą ucznia uniwersytetu wileńskiego, Józefa Siemaszki się zaczęły. Siemaszko pragnął wyzyskać powagę tego profesora dla swoich niecnych zamiarów, a choć w nim nie znalazł powolnego narzędzia, to przecież chwali się, że Bobrowski uczestniczył w akcie uroczystej apostazyi, którego władycy ruscy w kościele św. Trójcy w Wilnie 3. marca 1839. r. dokonali. (Tom II. p. 73 i 119).

Dzieje profesora Bobrowskiego naprowadzają autora na inną kwestyę, która z przedmiotem ściśle się łączy, tj. sprawa Bazylianów, a to z tej przyczyny, że Żukowicz, we wspomnianej już pracy, czyni im zarzut, jakoby byli Bobrowskiego nieprzyjaciółmi. Z drugiej strony nastręcza się tutaj sposobność odparcia zarzutów, jakie czynił Siemaszko i inni *ejusdem farinae* Bazylianom, kiedy chodziło o to, żeby zakon ten zgnębić na Rusi, a tem samem odjąć Unii najsilniejszą podstawę. Jest to ustęp pracy niniejszej niezmiernie ciekawy, bo autor opiera się na liście *Wacława Pelikana*, rektora wileńskiej wszechnicy, którego świadectwo jest tem ważniejsze, że o przychylność do łacinników nikt go nie posądzi, a ma wagę dokumentu publicznego, bo pisał na zapytanie ministra oświaty Aleksandra Szyszkowa. Pelikan oddaje Bazylianom wielkie pochwały, i zbija wszelkie zarzuty, jakie im czyniono wówczas i jakie dzisiaj jeszcze rosyjscy pisarze powtarzają. Chwali ich mianowicie, że oni sami jedni dbają o czystość obrzędu słowiańskiego; że oni tylko łożą na oświatę kleru, założywszy dwa seminarya

w klasztorze Ławryszowskim dla 20, i w klasztorze Supraskim dla 12 kleryków świeckich; że utrzymują swoim kosztem dwa gimnazya, szesnaście szkół powiatowych i liczne parafialne; że w ich szkołach uczy się 400 chłopców, a z tych wielu nawet ich kosztem żyje. W ostatnich czasach przeniósłszy seminaryum duchowne z Ławryszowa do Supraśla, wyznaczyli fundusz na utrzymanie 40 kleryków; nadto ustąpili dwa klasztory: Połocki i Żydczyński duchowieństwu świeckiemu, płacą na seminaryum dyecezyalne w Wilnie podatek, który dawniej płacili na liceum krzemienieckie i przykładają się do utrzymania seminaryum głównego w Wilnie. Natomiast wykazuje Pelikan, że kler świecki ze swej strony nic nie czyni, że dobra dwóch klasztorów, które Bazylianom odebrano, tj. Połockiego i Żydczyńskiego, nie idą na wychowanie kleru, jedno na utrzymanie sufragana, prałatów, kanoników; że kościoły upadają tak dalece, że w samem Wilnie kilka kościołów zamieniono na domy prywatne i sam nawet kościół metropolitalny zamieniony został na muzeum anatomiczne.

Pismo to Pelikana jest niezmiernie ciekawym do dziejów Unii dokumentem i wielcebyśmy byli wdzięczni autorowi, gdyby je w oryginale ogłosił. Dotychczasowy bowiem zasób źródeł sprawił, że i *ks. Likowski* w swojem znakomitem dziele (Dzieje Kościoła Unickiego. Poznań 1880. p. 224—229) Bazylianów nieco ostro sądzi, a galicyjscy pisarze, jak *ks. Malinowski* (Die Kirchen- und Staats-Satzungen bezüglich des griechisch-katolischen Ritus der Ruthenen in Galizien. Lemberg 1861) przypisują im fałszowanie obrzędu słowiańsko-greckiego, gonienie za dostojeństwami itd.

Wracamy jednakże do rzeczy.

Życiorysy trzech profesorów: *Platona Sosnowskiego,* jedynego żonatego księdza pomiędzy profesorami, który po śmierci Chodaniego wykładał teologię moralną i pastoralną; *Jana Kidełł,* który wykładał Pismo św. i *Antoniego Fiałkowskiego,* który wykładał z razu dogmatykę i historyę kościelną, a następnie w akademii duchownej (od r. 1833) dogmatykę, moralną i pastoralną; zamykają pierwszą część naszej pracy (str. 59—69). Profesorowie ci nie odstąpili w niczem prawie od zasad i metody poprzedników swoich. Ten sam józefiński duch, wprowadzony do Wilna przez Chodaniego i Kłągiewicza, pokutował do końca; następcy szli w ślady poprze-

dników i tych samych trzymali się józefińskich kompendyów. Ostatni rzędem i talentem Fiałkowski, później metropolita Mohilewski († 1883) wydał też *Klüpfela Institutiones*, skróciwszy je na kompendyum, dla użytku słuchaczów. W przemowie swej, ogłoszonej drukiem w Wilnie (1834) przestrzegał młodzież duchowną przed niepotrzebnemi dysputami teologicznemi, ciemnemi wyrażeniami i kontrowersyami, do których między innemi zaliczał: Niepokalane Poczęcie N. M. P., istotę grzechu pierworodnego i t. d.

Stanowisko to profesorów samo w sobie zdrożne, a w skutkach jak już wspomnieliśmy opłakane, nabiera tem większej doniosłości, jeźli się weźmie na uwagę, jakie znaczenie mieli ci profesorowie, i jak donośny wpływ na cały Kościół katolicki pod panowaniem rosyjskiem wywierali. A najpierw w ich ręku spoczywało właściwie obsadzanie wszystkich ważniejszych posad duchownych, począwszy od biskupa, aż do kaznodziei po kościołach miejskich. Ukaz Aleksandra I, nakazujący otwarcie seminaryum głównego przy uniwersytecie wileńskim przepisywał, że po upływie lat 10, nikt nie będzie mógł być biskupem, prałatem, kanonikiem i t d., nikt w zakonie nie będzie mógł być wybrany przełożonym, kto nie ukończył studyów w uniwersytecie, nie otrzymał stopnia, lub nostryfikacyi dyplomu, gdzieindziej uzyskanego, albo też przynajmniej nie złoży egzaminu z dostatecznej nauki. Było to naśladowanie józefińskiej instytucyi głównych seminaryów, a dawało faktycznie teologicznemu wydziałowi egzempcyę z pod władzy biskupiej, i owszem ponad biskupów go stawiało.

Połączone z tem było i drugie, przeciwne duchowi Kościoła urządzenie. Za sprawą rektora uniwersytetu ks. Hieronima Stroynowskiego, wcielono do uniwersytetu jedenaście najlepszych beneficyów dyecezyi wileńskiej, i to mocą ukazu cesarskiego, który erekcyę uniwersytetu nakazywał. Jako powód i pozór podano, że uniwersytet będzie temi beneficyami nagradzał profesorów emerytów i innych duchownych, około nauk dobrze zasłużonych. Tak samo oddano uniwersytetowi: cztery kanonikaty katedry wileńskiej, tyleż kanonikatów katedry żmudzkiej, scholasteryę łucką i dwa kanonikaty (honorowe) żytomirskie. Właściwe jednakże ostrze tego urządzenia było w tem, że *książę Adam Czartoryski* wyjednał ukaz (4 marca 1805) mocą którego uniwersytet pobierał z bene-

ficyów tych dochody, opłacał z nich wikaryuszów, a profesorom emerytom wypłacał tylko pensyę (1500 rubli). Biskup wileński Jan Kossakowski, pod którego nieobecność chwilową, rozporządzenie to wydane zostało, daremnie starał się o jego odwołanie. Stroynowski, zostawszy administratorem dyecezyi, uznał to urządzenie, jako obowiązujące raz na zawsze. Zasługą też to jest ks. Kłągiewicza, że uniwersytet nie ciągnął z prebend kanonickich, tak samo dochodów, jak to się działo z beneficyami. Tyle tylko dokazał biskup Kossakowski, że ukaz 21 grudnia 1807 nakazywał utworzenie osobnej komisyi, złożonej z członków uniwersytetu, która miała wizytować beneficya uniwersyteckie, i z dochodów wyznaczać pewne sumy na utrzymanie księży i kościoła. Żaden jednakże biskup nie remonstrował przeciwko rozporządzeniu, mocą którego władza biskupia była ograniczona, lecz sami udawali się do uniwersytetu z prośbą o stopień dla tych księży, którym kanonie udzielić zamierzali. Pierwszy tego dał przykład sam metropolita Siestrzeńcewicz, który prosił o stopień dla pięciu asesorów swego kolegium w Petersburgu, a wydział teologiczny nie brał też tej sprawy zbyt ostro, i pozwalał składać kandydatom egzamina przed delegowanemi egzaminatorami w Petersburgu, poprzestając na maleńkich rozprawkach pisanych po polsku, lub po łacinie. Ministerstwo wydało wprawdzie r. 1812 zakaz odbywania takich egzaminów przez delegatów, ale zakaz ten został w dwa lata potem cofnięty. Wtedy też wyrobił sobie u wydziału biskup łucko-żytomirski Kasper Cieciszowski, zatwierdzenie stałego kolegium egzaminatorów, których zaproponował, a którzy odtąd stopni doktoratu teologii i obojga praw udzielali duchownym jego dyecezyi. Nie dziw, że i zakonnicy poczęli się zgłaszać do wydziału o świadectwa dostatecznej nauki, chcąc w zakonie piastować godności. Wydział też ze swej strony nie drożył się w udzielaniu łask żądanych.

Ten szczęśliwy spokój zakłócony jednakże został na lat ośm, skoro rząd rosyjski pozwolił r. 1812 otworzyć Jezuitom akademię w Połocku, a stopnie przez tę akademię udzielane, na równi stawiał z wileńskiemi. Większość duchowieństwa wolała teraz zyskiwać stopnie w Połocku niż Wilnie, tembardziej, że wydział wileński przez dwa lata (1817–19) nie mógł udzielać stopni z powodu nowych przepisów, jakie ministerstwo dla uniwersytetu

w sprawie promocyi, wydać zamierzało. Pokrywali jednakże jak mogli profesorowie wileńscy niezadowolnienie swoje, dopóki akademia jezuicka w Połocku istniała. Z chwilą jednakże, gdy ją rząd zamknął, a Jezuitów z cesarstwa wydalił, (1820) stali się profesorowie wileńscy panami sytuacyi. Urazę swoją dali też najpierw uczuć biskupowi kamienieckiemu *Franciszkowi Mackiewiczowi*, gdy tenże zgłosił się do wydziału o dyplom doktorski dla 7 kanoników i kaznodziei katedralnego, którzy już byli w Połocku całkiem lub częściowo egzamina poskładali, i tylko dla nagłego zamknięcia akademii, nie otrzymali dyplomu. Wydział odmówił dla błahych przyczyn. Biskup rekurował do ministerstwa, ale tutaj wzięli górę profesorowie. Ich obrona, w której „jezuickie twierdzenia“: o nieomylności Papieża, Niepokalanem Poczęciu i t. d., wytykali, nie zadziwi nas, po tem cośmy już o ich „metodzie“ naukowej słyszeli. Nie dziw, że skutkiem tego zatargu, w którym obroną swoją mogli się rządowi podobać, uzyskali jeszcze powiększenie swej władzy. Wydano bowiem (14 czerwca 1822) rozporządzenie, mocą którego zakazano po seminaryach dyecezalnych ks. Misyonarzom uczyć teologii, jeśliby stopnia magistra nie uzyskali. Poczęli więc teraz wszyscy regensowie i profesorowie seminaryjni zgłaszać się do wydziału o potrzebne świadectwa, a wszyscy którzy mieli dyplomy z Rzymu, Krakowa lub Połocka, prosili teraz o ich zatwierdzenie w Wilnie.

Jednakże to powodzenie pozbawiło do reszty równowagi profesorów wileńskich. Ponieważ biskupi zobowiązani są, wedle przepisów Soboru Trydenckiego, egzaminować kandydatów przed każdemi święceniami, przeto egzaminowi takiemu poddawali też biskupi nawet i takich, którzy dyplomy z Wilna posiadali. Przeciwko temu protestował wydział (18. XI. 1823) i wyrobił w ministerstwie rozporządzenie wedle swojej własnej propozycyi, żeby żaden biskup łaciński czy grecki, nie ważył się poddawać egzaminowi laureatów wileńskich, i żeby przy konkursowym egzaminie mogli tylko zasiadać doktorzy teologii jako egzaminatorzy. Żaden biskup nie odezwał się przeciwko temu rozporządzeniu, zwłaszcza, że arcybiskupi, a raczej administratorzy dyecezyi wileńskiej jak *Siestrzeńcewicz* i *Cieciszowski*, popierali wydział na tej pochyłej drodze.

Najdziwniejsze przy tem wszystkiem było, że wydział teolo-

giczny *de facto* nie istniał, a teolodzy, jako należący do wydziału prawno-moralnego, wyjęci byli zupełnie z pod juryzdykcyi Ordynaryusza swego. Skarżył się na takie urządzenie biskup *Kossakowski* w liście do kuratora uniwersytetu księcia *Adama Czartoryskiego* (r. 1807), ale wiadomo, że książę nie chciał mieć teologów „ultramontańskiego“ usposobienia. Inaczej i lepiej pojmował to jednak kurator uniwersytetu kazańskiego *Leoncyusz Magnicki*, który r. 1825. przedstawił rządowi, że koniecznie potrzeba biskupowi ordynaryuszowi przyznać juryzdykcyę nad teologami, których ortodoksyę nawet podawał w podejrzenie. Przedstawienie to przesłał rząd kuratorowi Nowositcowowi, a tenże polecił opracowanie referatu ks. Kłągiewiczowi. Obszerny elaborat ten, streszcza autor obszernie, (str. 82— 84) i wykazuje, że ks. Kłągiewicz, nawet wybiegów się chwytał, aby uratować niezawisłość teologów. Powoływał się bowiem na egzempcyę daną profesorom przez Grzegorza XIII., który ordynaryuszowi zakazywał mieszać się do spraw akademii, ale przemilczał Kłągiewicz, że egzempcya ta była dana ks. Jezuitom, którzy mieli swoich zwierzchników, ale nie profesorom świeckim, którzy następnie ich miejsce zajęli. Więcej jeszcze niż ta obrona, pomogła wydziałowi ta okoliczność, że sam tenże Kłągiewicz, zostawszy z poręki Cieciszowskiego administratorem, a następnie biskupem wileńskim, wszelkiemi siłami starał się dotychczasowe stanowisko wydziału wobec ordynaryatu utrzymać. Nawet o to wnosił do rządu (r. 1829), żeby klerycy seminaryum dyecezalnego nie uczyli się teologii u ks. Misyonarzy, tylko w uniwersytecie. Minister hr. Błudow chętnie na to przystawał, wszelako kollegium duchowne w Petersburgu zmodyfikowało to żądanie o tyle, że pozwoliło tylko takim klerykom w uniwersytecie słuchać teologii, którzy poprzednio egzamin złożą z dostatecznego naukowego uzdolnienia. Takich jednakże była zwykle tylko mała liczba. Wszelako zarząd seminaryum głównego pozostał w ręku uniwersytetu *respective* wydziału, dopiero gdy uniwersytet został zniesiony, wtedy musiał biskup Kłągiewicz przejąć na siebie zarząd głównego seminaryum.

Stanowisko, jakie wydział zajmował wobec hierarchii kościelnej, było rzeczywiście niebywałe, tembardziej, że w Wilnie po śmierci

biskupa Kossakowskiego nie było biskupa lat blisko 30 (1808—1832) administratorzy zaś uważali wydział za jakąś wyższą instancyę kościelną, tak że konsystorz wileński udawał się do niego w trudniejszych sprawach o decyzyę i radę. Ale jaki też był ten konsystorz, poznać można z tego, że r. 1823 radził się wydziału, czyby nie można pobłogosławić *in articulo mortis* małżeństwa z mężatką, która przez 40 lat żyła z innym i miała z nim dzieci, chociaż o śmierci jej męża nic pewnego nie wiedziano... Wpływ wydziału sięgał jednakże jeszcze głębiej i dalej, bo powierzony mu był nadzór i kierownictwo nauki religii we wszystkich szkołach dziewięciu gubernij: Wileńskiej, Grodzieńskiej, Białostockiej, Witebskiej, Mińskiej, Mohylewskiej, Kijowskiej, Wołyńskiej i Podolskiej. Wydział przepisywał podręczniki lub sam je układał, rewidował egzorty katechetów, i zadawał do nich temata, czuwał nad tem, żeby zakładano szkoły parafialne, starał się o to, żeby wszędzie byli nauczyciele religii, a nawet dla młodzieży uniwersyteckiej osobnego nauczyciela religii zaprowadził, i sam go wybierał. Ciekawe jest rozporządzenie, które wydał wydział, żeby katecheci nie miewali więcej kazań do młodzieży nad dziesięć rocznie, bo większej ilości dobrze opracować by nie potrafili. Spowiedź przepisał wydział dla młodzieży cztery razy do roku: na Trzy Króle, Wielkanoc, Oktawę Bożego Ciała i Narodzenie M. B., oznaczył nawet, na życzenie uniwersytetu dwie książki do nabożeństwa, których młodzież miała używać, jedna z nich „Wybór nabożeństwa“ wydany przez ks. Misyonarzy.

Ten przywilej wydziału jak niezgodny był z duchem Kościoła, tak też obosiecznym niebawem się okazał. Wydział przepisał dla nauki religii katechizm profesora ks. Golańskiego, ale w r. 1827 zażądał najpierw arcyb. Siestrzeńcewicz, a następnie minister oświaty, żeby wydział ułożył katechizm średni i mniejszy dla szkół, i to na wzór katechizmów, jakie wówczas były w Austryi używane. Profesorowie zabrali się do tej pracy wspólnemi siłami, chociaż ks. Kłągiewicz, już wtenczas zostawszy administratorem dyecezyi, od pracy się umiał wymówić. Dwaj tedy profesorowie ks. Bobrowski i Kidełł opracowali katechizm średni p. t.: *Nauka chrześcijańska podług zasad rzymsko-katolickiego Kościoła, dla użytku gimnazyów naukowego Wileńskiego Wydziału,* i ten katechizm został przez

rząd przyjęty, drugi natomiast opracowany przez samego Bobrowskiego p. t.: *Katechizm rzymsko-katolicki dla użytku szkół powiatowych w Wileńskim naukowym Wydziale* napotkał w Petersburgu na opozycyę. Osobna komisya, wyznaczona przez ministra oświaty, znalazła w tym katechizmie wiele rzeczy „zbytecznych“, wiele przeciwnych rządowi, trącących „nietolerancyą“, ponieważ była tam mowa o heretykach i wzmiankowany kanon Soboru Trydenckiego, anatematyzujący tych, którzy nie przyjmują liczby 7 Sakramentów śś. i t. d. Trzeba więc było zabrać się ponownie Bobrowskiemu do niewdzięcznej pracy „oczyszczenia“ katechizmu z tego, co go właściwie katolickim czyniło, tak że wynikł z tej roboty suchy szkielet, bez ducha i ciała. Rząd postawił więc na swojem i dał szkołom katolickim, katechizm, gorszy jeszcze od józefińskich katechizmów. Ale przyznać trzeba, że Wydział w tej sprawie okazał rzeczywiście godną siebie powagę. Bobrowski wydał bowiem obszerną obronę swego katechizmu, i na zarzuty, poczynione przez ową komisyę, dał świetną odprawę. Podpisali ten memoryał wszyscy profesorowie teologii: Kłągiewicz, już wówczas sufragan i administrator wileński, Michał Bobrowski, Jan Kidell i Antoni Fijałkowski. Ogłosili go 19. lutego 1831 r. W następnym roku, gdy uniwersytet został zniesiony, przyłączono wydział do seminaryum głównego, z czego w r. 1833 powstała „Akademia duchowna rzymsko-katolicka“, którą w r. 1842 przeniesiono do Petersburga.

W streszczeniu naszem pominęliśmy jeszcze dwie kwestye, które przez cały czas istnienia uniwersytetu zajmowały wydział teologiczny, ale do żadnego nie doszły rezultatu. Pierwszą była sprawa promocyi i egzaminów, które nie miały ściśle przepisanych reguł. Potrzeba tego pokazała się mianowicie wtedy, gdy po zamknięciu akademii jezuickiej w Połocku powstał zatarg pomiędzy wydziałem a biskupem Mackiewiczem. Druga sprawa tyczyła się rozkładu nauk teologicznych. Pod tym względem i rząd nalegał na wydział, i sami profesorowie czuli potrzebę ostatecznego uregulowania tej sprawy. Mianowicie w oczy biła zbyt mała liczba katedr teologicznych, ale ich pomnożeniu sami profesorowie przeszkadzali, bo każdy z nich oprócz swojej katedry, zajmował jeszcze drugą wakującą, i to za połowę zwykłej płacy profesorskiej. W ten spo-

sób, zamiast tysiąca rubli mieli po 1500 (i wolne pomieszkanie). Druga trudność była w tem, że uczniowie teologii zobowiązani byli do słuchania mnóstwa innych przedmiotów świeckich, jak historyi naturalnej, botaniki, zoologii, hygieny, agronomii, uczyć się języka łacińskiego, greckiego, francuskiego, rosyjskiego, niemieckiego, hebrajskiego i dyalektów semickich. Dla tego niektórzy chcieli studya teologów na 7 lat rozłożyć. To samo zresztą do dziś się dzieje w Akademii duchownej, w której teolodzy, oprócz teologii, uczą się literatury i historyi rosyjskiej, literatury rzymskiej, języka greckiego, hebrajskiego, rosyjskiego, francuskiego i niemieckiego. Dyalektów się nie uczą.

Sprawa rozkładu nauk teologicznych jest zbyt powikłaną, abyśmy ją tutaj w krótkich słowach streścić mogli. Ona w Austryi porusza dzisiaj najpoważniejsze umysły i w rozprawie ks. Symona znajduje się nowy do niej przyczynek, do którego przy innej sposobności wrócimy. Tutaj zaś kończąc sprawozdanie nasze, powtarzamy jeszcze raz, że z wielką przyjemnością i pożytkiem przeczyta tę pracę każdy, kto wie, jak szczupłe są nasze wiadomości do historyi Kościoła w Polsce i Litwie, mianowicie z nowszych czasów.

Ks. Chotkowski.

Głosy prasy zagranicznej w obec ostatnich wypadków Rzymskich. Zebrał i opracował *ks. Marceli Dziurzyński.* Odbitka z „Wiadomości kościelnych". Lwów 1889.

Smutne ostatnie wypadki rzvmskie jak, powtarzające się coraz częściej antykościelne manifestacye i największa z nich: odsłonięcie pomnika *G. Bruno;* idący ślad w ślad za tem odsłonięciem tajny konsystorz, na którym Ojciec św. z taką potęgą, ale z tak niezmiernym bólem zarazem, scharakteryzował nikczemny, na całej linii toczący się bój sekciarstwa przeciw Stolicy św.; pogłoska wreszcie o bliskiem opuszczeniu Rzymu przez Papieża; dały, rzecz prosta, całej europejskiej i nieuropejskiej prasie powód do głębszego zastanowienia się nad położeniem Papieża; dały powód do licznych zapytań: W jaki sposób możnaby i należałoby kwestyę rzymską rozwiązać? Głosy te prasy, ciekawe, bo są one echem zapatrywań się różnych gabinetów i stronnictw, obrazem dążeń i wpływów przemagających w polityce to tego, to innego mocarstwa, streścił ks. Dziurzyński, korzystając głównie, jeśli się nie mylimy, z podawanego regularnie przez papieski *Moniteur de Rome* „Przeglądu prasy". Szczerze autorowi dziękujemy, że żmudną swą pracą przyczynić się zechciał i niezawodnie się przyczynił do gruntowniejszego zaznajomienia licznych czytelników „Wiadomości kościelnych" z tak ważną, z tak bardzo obchodzącą każdego katolika kwestyą rzymską.

Za Apeninami, wiązka wspomnień podróżnych przez *Stanisława Bełzę.* Wydanie drugie. Kraków. G. Gebethner i Spółka. 1890.

Sympatycznego podróżnika, o którego „Odgłosach Szkocyi" nie dawno temu pisaliśmy, mamy obecnie przed sobą drugie już wydanie zaapenińskich odgłosów. Drugie wydanie, najlepszy to znak, w naszych zwłaszcza nie wesołych księgarskich stosunkach, że wiązka tych wspomnień mile była przyjętą, chętnie czytaną. Istotnie, nasz autor ma ten wielki przymiot, że sam w podróżach swych się nie nudzi i dlatego nie nudzi także czytelników, których ze sobą po Włoszech, Szkocyi lub Danii oprowadza; nie ma pretensyi do odsłonięcia światu głębokich filozoficznych i społecznych zagadnień, ale też nie zatrudnia go ważnem może dla piszącego, mniej ciekawem dla czytelnika pytaniem, w którym hotelu jadł obiad, a w którym śniadanie, gdzie była dobra, a gdzie zła śmietanka. Kto z powołania swego skazany na czytanie wszystkich podróży: do Londynu i do Warszawy, do Paryża i do Zakopanego, ten dopiero w całej pełni potrafi ocenić skromność naszego podróżnika, który woli nas zapoznawać z Ordonem, Rygierem, Lenartowiczem, niż z kolejowemi i restauracyjnemi swemi przygodami; a okazując nam rzymskie kościoły, weneckie pałace, florenckie muzea, neapolitańską przyrodę, pompejańskie starożytności, wszędzie jest miłym, uczącym, a nie nudzącym przewodnikiem; jest literatem, nie *Bedeckerem.* Spornych kwestyj, odgrywających tak ważną rolę w całych Włoszech, z któremi w Rzymie zwłaszcza nie spotkać się nie można, autor nie dotyka; wstrzemięźliwość tę wyrozumieć łatwiej, trudniej wyrozumieć pochwały oddawane np. takiemu Wołyńskiemu. Zbytnia ta, możliwe granice przechodząca pobłażliwość dla rzeczy i ludzi, którzy na to wcale nie zasługują, oto jedyny zarzut, który zrobić możemy miłej tej co do treści, nie tylko starannie, ale wykwintnie co do zewnętrznej swej szaty: papieru i druku, przedstawiającej się książeczce.

X.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Le crime, étude sociale, par *Henri Joly.* Paris. p. 384.

Czem jest zbrodnia; gdzie, kiedy i w jakich okolicznościach najbardziej się szerzy; czy i o ile zbrodniarz za uczynki swe jest odpowiedzialny i do odpowiedzialności pociągniętym być może i powinien; kiedy głos sumienia w nim się odzywa; jaką rolę odgrywają organizacya fizyczna i w spadku odziedziczone złe skłonności, kiedy i jaką drogą jedna zbrodnia rodzi drugą; kiedy prowadzi do samobójstwa, do szaleństwa? Na pytania te niezmiernej wagi równie ze względu teoretycznego, jak i praktycznego odpowiada

w ciekawem studyum, którego tytuł podaliśmy w nagłówku, głośny socyolog *Henryk Joly*, autor paru dzieł uwieńczonych już przez Akademię francuską. Studyum to, jak dowiadujemy się w przedmowie, jest tylko pierwszą częścią pracy obmyślanej na bardzo szerokie rozmiary a rozpadające się na trzy główne działy: w pierwszym, który mamy obecnie przed oczyma rozbiera autor istotę i główne cechy zbrodni; w drugim podać zamierza obraz najrozmaitszych owych wpływów i pobudek skłaniających do zbrodni, zwiększających ją i mnożących; w trzecim wreszcie, praktycznym dziale przedłożyć obiecuje reformy, jakie zdaniem jego, zaprowadzić koniecznie należy w karnem ustawodawstwie i sądownictwie francuskiem. Jak widoczna z tego podziału trzecia część wyłącznie niemal dla Francuzów mieć będzie wartość; natomiast dwie pierwsze ogólnego są znaczenia, i najszersze koła czytelników zainteresować powinny, tem bardziej, że Autor — jak przekonujemy się z pierwszej części — przystąpił do podjętego przez siebie zadania po dojrzałych a wszechstronnych studyach, z niechroniącą zapewne od omyłki w pewnych szczegółach, zwłaszcza w pewnych kwestyach odnoszących się do nie dość zrozumianego dogmatu chrześcijańskiego, ale bądź co bądź niewątpliwą dobrą wiarą.

Przedewszystkiem czy człowiek jest odpowiedzialny za swoje dobre lub złe uczynki; czy zatem w ogóle istnieje zbrodnia i czy społeczeństwo ma prawo ją karać? Kwestya ta, sama z siebie, zdawałoby się, bardzo jasna została w ostatnich czasach zaciemniona przez szkołę tak zwanych *Atawistów*, którzy radziby nas przekonać, że ludzie z bardzo dawnych, „przedhistorycznych“ epok nie mieli pojęcia o znaczeniu zbrodni, a czyny, które my tem mianem piętnujemy spełniali z przyzwyczajenia lub dla rozrywki. Właściwość ta przodków, dowodzą owi uczeni, odbija się w niektórych z ich potomków; przytłumione, ale nie pokonane ostatecznie zwierzęce instynkty odzywają się w nich w pewnych chwilach, prawem dziedziczności z siłą, której oprzeć się nie podobna, a tak „ten lub ów człowiek jest zbrodniarzem, ponieważ obudził się w nim instynkt zwierzęcy z siłą, jaką posiadał w czasach przedhistorycznych“. Łatwy to i wygodny sposób, odpowiada słusznie na tę teoryę *H. Joly*, zwalić wszelką winę na dziedziczność i instynkt; nieszczęściem cała historya, własne nasze sumienie, codzienne do-

świadczenie protestują przeciwko tym mrzonkom, które jak teoretycznie niczego nie tłomaczą, tak praktycznie do żadnych rezultatów nie prowadzą. Zbrodnia istnieje; a w praktyce życia przyznają to i ci, którzy w książkach swych przeciwnego są zdania; porzuciwszy więc bezpłodne igraszki i dysputy raczej o słowa, niż o rzeczy, spytajmy jakie granice zbrodni, jaki grunt, na którym najbujniej się rozrasta?

Granice tutaj często, zwłaszcza z punktu widzenia prawnego, nie łatwe do postawienia. Ileż to oszustw, ile krzywd wyrządzonych cudzej sprawie, domowemu spokojowi, o których w kodeksie karnym nie ma i wzmianki; jak nieraz gołem okiem niedostrzegalna granica dzieli prostą nieprzezorność od niedobrowolnego oszustwa, a to znowu od zbrodni! Czy np. kupcy sprzedający niezdrowy towar, ludzie malujący lub sprzedający niemoralne obrazy, aktorzy występujący w niemoralnych widowiskach; niemoralni poeci, powieściopisarze są zbrodniarzami? Głos sumienia i naturalna logika rzeczy odpowiada twierdząco; prawodawstwo a zbyt często i tak zwana opinia publiczna spogląda na wszystkie te czyny, które nie jednej rodzinie przynieść mogą i przynoszą ciężkie, moralne i materyalne straty, z trudną do wytłumaczenia pobłaźliwością. Obszerny to w każdym razie, a niebezpieczny teren; kto na nim stąpać się przyzwyczai, ten ma już tylko jeden krok do zbrodni w ścisłem, przez wszystkich uznanem tego słowa znaczeniu. Gruntem takim, z którego zbrodnia bujnie wyrasta, jest dla klas niższych, niewykształconych przedewszystkiem włóczęgostwo, uważane jako pewnego rodzaju profesya. Do włóczęgostwa, które często choć nie zawsze schodzi się z żebractwem, prowadzi zazwyczaj droga przez lenistwo, ospałość i słabość charakteru; ospałość ta i słabość nie przytępia najróżniejszych instynktów i pragnień drzemiących w duszy ludzkiej, lecz nie dozwala tylko zadowolnić tych pragnień środkami wymagającymi pracy i natężenia, a tak uczy i popycha do środków łatwiejszych, do zbrodni. Do ostatniego tego kresu dobiega prędzej później niemal każdy, kto nie zwróciwszy się na czas z niebezpiecznej tej drogi, obrał sobie włóczęgostwo, a zatem brak wszelkiego ściśle określonego zajęcia, jako stałe zajęcie. Największa część zbrodniarzy przechodzi przez ten etap, jak stwierdzają ciekawe statystyczne daty, zebrane we Francyi przez P. Homberga;

odnośnie do osądzonych po raz pierwszy włóczędzy stanowią tylko 3·2% ogólnej liczby; odnośnie do osądzonych po raz drugi procent wzrasta do 12%; po raz piąty do 50%; po raz dziesiąty do 80%; a piętnastu wyrokami sami wyłącznie włóczędzy mogą się poszczycić. Dane te nabierają właściwej wagi, gdy przypomnimy sobie, że w samym Paryżu znajduje się od 30 do 50 tysięcy włóczęgów.

Zbadawszy grunt, wprowadza nas autor w rosnący na tym gruncie gęsty las występku, pokazując nam liczne jego rodzaje i gatunki, zastanawiając się nad różnorodnymi typami zbrodniarzów. Wszystkie występki dadzą się podciągnąć pod następne trzy kategorye: występki przeciw własności, przeciw życiu ludzkiemu, przeciw obyczajom. Z innego punktu widzenia rozróżniają znów prawnicy: małe, średnie, wielkie zbrodnie i zauważają słusznie, że największą plagą społeczeństwa są nie wielkie, dzikością swą przerażające zbrodnie, ale owe mnóstwo drobnych, często przez kodeks karny nie przewidzianych występków, które wszędzie się wciskając, podsycając niemoralność i rozwijając wszystkie złe namiętności serca ludzkiego, podobne są do mikrobów, trujących i zarażających społeczeństwo. Odnośnie do charakteru zbrodniarzów podzielić ich można na ludzi ospałych, sprowadzonych zazwyczaj przez pijaństwo do zbydlęcenia, zbyt łatwo cudzym wpływom ulegających, którzy bez oporu, ale i bez entuzyazmu pociągnąć się dadzą do najochydniejszych czynów; ludzi gwałtownych ulegających pierwszemu porywowi namiętności; ludzi wręcz zepsutych, uważających i praktykujących zbrodnię, jako rzemiosło. Wszystkie te podziały nie są i nie mogą być zupełnie dokładne: jeżeli np. osobiste usposobienie i charakter stać się może pewnego rodzaju pobudką, a raczej ułatwieniem do puszczenia się na drogę zbrodni w pewnym oznaczonym kierunku, to z drugiej strony częściej powtarzane zbrodnie przerabiają również i kształtują charakter tak, że zwłaszcza w późniejszych fazach, trudno nieraz rozróżnić skutek od przyczyny. Stąd uczeni, na pierwszem miejscu włoscy, usiłowali w ostatnich czasach wymyśleć inny jakiś bardziej odpowiedni i dokładny podział. *Lombroso* usiłuje wszystkich zbrodniarzów podciągnąć pod jeden jedyny typ „zbrodniarzów z urodzenia;“ *Ferri* rozróżnia zbrodniarzów z instynktu, z namiętności, z okazyi, z przyzwyczajenia, z umysłowego obłąkania. Autor nasz wykazawszy bardzo słu-

sznie, że teza postawiona przez *Lombrosa* nie ma po prostu sensu i przeczy samemu pojęciu zbrodni, a podział *Ferri'ego* pozornie bardzo dokładny nie wyjaśnia w jaki sposób ten lub człowiek doszedł do zbrodni, stawia sam i obszernie broni podziału na zbrodniarzów z przyzwyczajenia czyli z nałogu, i z okazyi, czyli z chwilowej pokusy, z nieszczęśliwego zbiegu okoliczności. Od występku popełnionego niejako przypadkowo w chwili szału, gwałtownego rozdrażnienia, przechodzi się nieznacznie do nałogu; smutną tę drogę skreśla autor w przykładach zaczerpniętych z aktów paryskiego sądownictwa. Nieraz jeden dzień więzienia, mówi ze smutkiem, jedna godzina rozmowy z zahartowanymi w złem współwięźniami przerzuca nieszczęśliwego z jednej kategoryi do drugiej: wszedł do więzienia jako ofiara bolesnego przypadku, wychodzi z niego jako złoczyńca z nałogu, którego już bardzo tylko delikatny odcień odróżnia od złoczyńcy z profesyi.

Dla przeprowadzenia w życie swych planów, oszusty, złodzieje, zabójcy muszą się nieraz łączyć w mniej lub bardziej ściśle zorganizowane bandy. W pierwszej połowie bieżącego wieku bandy te rozbijały po staremu we Francyi po lasach i drogach, a kilka z nich zajęło ciekawą kartkę w dziejach kryminalistyki; obecnie w obec zmienionych stosunków dawni zbójce wycywilizowali się, nie mordują chyba w ostatecznej konieczności, za miejsce swych operacyj obierają sobie w zasadzie wielkie miasta; obmyślają bardzo przemyślnie, aż do najdrobniejszych szczegółów cały plan działania, chroniąc się, o ile tylko można, użycia brutalnej siły. Do wykonania takiego planu potrzeba nieraz wielu ludzi; kilkunastu więc, czasem kilkudziesięciu zbrodniarzy łączy się razem, ale związek ten chwilową nadzieją obfitszego łupu spowodowany nie trwa dłużej. Wyjątkowo tylko najenergiczniejsi złoczyńcy marzą o utworzeniu formalnej bandy. Tak w r. 1876 osadzono w więzieniach paryskich 150 ludzi, zostających pod rozkazami niejakiego *Chevalier;* w dwa lata później dwudziestoletni *Abadie* utworzył bandę, której ustawy świadczą o nadzwyczajnej przewrotności i sprycie młodego wodza; fałszerze monet łączą się w związki o bardzo ograniczonej liczbie członków. Niedościgłym wzorem dla złodziejów równie francuskich jak niemieckich, a prawdopodobnie i wszystkich innych, są bandy angielskie i amerykańskie. Nie tylko każdemu

członkowi wyznaczoną jest tu zawsze rola najodpowiedniejsza do jego zdolności i usposobienia; każde „przedsiębiorstwo“ wybornie a szczegółowo obmyślane; podział łupu przeprowadzony zawsze najskrupulatniej; — i wtedy nawet, gdy któremu członkowi noga się poślizgnie i biedak dostanie się za więzienne rygle, zarząd bandy nie wypuszcza go z swej opieki, dostarcza mu pieniędzy, stara się osłodzić ponoszoną karę, domagając się natomiast i mając sobie zwykle zapewnione najściślejsze dochowanie tajemnicy o istnieniu swem, planach i czynnościach.

Pragnąc namalować, o ile można dokładny obraz zbrodniarza i pobudek nim kierujących, zastanawia się autor w szeregu następnych, bardzo ciekawych rozdziałów, nad rozumem jego i wyobraźnią, wolą, uczuciami, sumieniem, fizycznym organizmem i wyrazem twarzy. Wbrew wszelkim usiłowaniom *Lombrosa* i jego szkoły, sumienne obserwacye wykazują, że zbrodniarze nie dla tego skierowali się na złą drogę, ponieważ mają rozum słaby lub przytępiony, ale dla tego mają nieraz rozum przytępiony, ponieważ oddali się występkom. Z drugiej strony śmiesznością jest mówić o „genjuszu“ złoczyńców; najsłynniejsi z nich w jednem tylko celują: w wymyślaniu coraz nowych podstępów i fortelów, ale właśnie to skierowanie myśli w jednym błędnym kierunku, osłabia sam rozum, nie mówiąc już o zupełnem zepsuciu harmonii z innemi władzami duszy. Miasto rozumu wyobraźnia bierze cugle w ręce i ciągnie nieszczęśliwego do wymarzonego dobra, do którego jedyną dlań drogą: występek. Wszechwładne to panowanie wyobraźni uzmysławia się w zamiłowaniu więźniów do wszelkiego rodzaju obrazów i symbolów, któremi często, na wzór dzikich ludów, zdobią swe ciało, a zapełniają niemi cele więzienne; okazuje się dalej w odrębnych, jedynie przez złoczyńców i więźniów znanych i używanych, a bardzo obrazowych wyrażeniach i zwrotach; okazuje się wreszcie w prawdziwej pasyi, z jaką chwytają i raczej pożerają niż czytają, o ile można najdłuższe, najdziwaczniejszemi awanturami zasiane romanse. Nerwy ich rozstrojone domagają się coraz silniejszych wrażeń; wola osłabiona dochodzi do pewnego moralnego letargu, z którego w dodatku, zbudzić się nie chce; — letarg ten jest przyczyną, dla której bardzo wielu więźniów obawia się chwili uwolnienia, jakby najcięższego złego i zgodziłoby się chę-

tnie na pozostanie w zamknięciu do końca życia, nie troszcząc się o nic, żyjąc z dnia na dzień. A sumienie? Przed popełnieniem zbrodni, zwłaszcza pierwszej i cięższej, przestrzega ono i gryzie; po wykonaniu zbrodni, tem bardziej po szeregu spełnionych zbrodni, „wyzwala się ono“, jak więźniowie charakterystycznie zwykli się wyrażać; szuka zaspokojenia w tysiącznych wymówkach i łagodzących okolicznościach. Autor cytuje w tym względzie mnóstwo ciekawych, z życia wziętych dowodów, opierając się na sprawozdaniach długoletniego kapelana więziennego, *ks. Crozes*. Lecz niechaj kapłan przystąpi do skazanego na śmierć, niech przemówi do niego ze szczerą miłością i przywiedzie przed oczy obraz chrześcijańskiej matki: odezwie się w duszy zapomniana struna, nieszczęśliwy modli się, wyznaje szczerze swe grzechy na spowiedzi. Znacznie większa liczba między skazanymi na śmierć szczerze się nawraca do Boga, widząc, że od ludzi niczego się nie mogą spodziewać; przez całe lat 30, jeden tylko ze zbrodniarzów straconych w Paryżu nie chciał słyszeć o religii i jej pociechach; dopiero w ostatnich latach głupia fanfaronada, oglądanie się na głosy bezbożnych dzienników, przemogła nieszczęściem u paru złoczyńców wszelkie inne względy. Umierający w więzieniach nawracają się również, w ogóle mówiąc, do Boga; tak np. na 146 członków komuny, którzy umarli z zadanych sobie ran w paryskich szpitalach, 140 prosiło przed śmiercią o spowiednika.

Przebiegając sprawozdania sądowe i kryminalne uderza na pierwszy rzut oka znaczna różnica między liczbą i rodzajem zbrodni popełnianych przez mężczyzn, a przez kobiety. W największej części krajów europejskich liczba kobiet oskarżonych o znaczniejsze występki wynosi tylko 14 lub 15 procent; w Chinach wzrasta ta cyfra do 20%; w Stanach Zjednoczonych spada do 10%; a w Japonii, Indyach, Ameryce Południowej aż do 3%. Jaka przyczyna tej stosunkowo tak drobnej liczby? Zapewne, kobiety mniej zbrodni popełniają, ale nie należy też tracić z oka i tej okoliczności, że o wiele zazwyczaj od mężczyzn są przebieglejsze i trudniej na uczynku je schwycić, i że jeżeli rzadko plamią się zbrodniami wymagającemi pewnej odwagi i siły, to natomiast np. w drobnych kradzieżach rozwijają bardzo wiele dowcipu, a skoro raz zdecydują się na występek, nikomu w spokojnem, wyrafinowanem okrucień-

stwie nie dadzą się przewyższyć. Łatwiej też występny mężczyzna, niż kobieta wraca na drogę cnoty.

Z krótkiego już tego streszczenia poznać nie trudno, jak ważne pytania porusza *H. Joly* w ostatniej swej książce; jak sumiennie na nie i gruntownie odpowiedzieć się stara. Nie wiemy, czy i o ile autor jest człowiekiem wierzącym, chrześcijaninem; z paru ustępów jego książki znać, że z dogmatami wiary katolickiej nie jest dostatecznie zapoznany, ale pomimo tego, ponieważ głębiej z puhara wiedzy zaczerpnął, musiał z natury rzeczy stanąć w przeciwieństwie do wrogich wierze teoryj; chcąc szczerze służyć moralności i prawdzie, zasłużył się, choć mimowoli podobno, katolickiej wierze i gruntującej się na niej moralności.

L.

Saint Grégoire VII et la reforme de l'Eglise au onzième siècle. Par l'abbé *O. Delarc.* 2 vol. Paris. 1889.

Wielcy ludzie, których słowa i czyny zaważyły potężnie na szali dziejów, ten mają przywilej, jeśli to przywilejem nazwać się godzi, że podlegają najróżniejszym nieraz wprost sobie przeciwnym sądom: jedni głoszą ich chlubą świata, drudzy jego zakałą. Jeźli kto, to właśnie Grzegorz VII spotkał się z takimi różnymi sądami: Wolter nazwał go szaleńcem, niektórzy katoliccy pisarze stawiają go bez wahania na pierwszem, a w każdym razie na jednem z najpierwszych miejsc między wielkimi Papieżami. Polemika w tym względzie rozwinęła się zwłaszcza z okazyi przypadającej w r. 1885 sześćsetletniej rocznicy zgonu Grzegorza, i dziś choć w wolniejszem tempie ciągnie się dalej, wyjaśniając coraz nowe punkty w historyi smutnych tych czasów; otaczając coraz świetniejszą aureolą czoło w niczem i niczem nieustraszonego reformatora. Wyszłe w ostatnich miesiącach dwa tomy *O. Delarca*, owoc kilkunastoletnich, mozolnych studyów, zawierają właściwie historyę nie Grzegorza VII, którego dopiero następne tomy mają nam odmalować, lecz jego poprzedników; tak więc jest to wstęp do dzieła na bardzo wielkie rozmiary obmyślanego, wstęp, który możnaby również nazwać zbiorem ważnych i ciekawych, lecz nie dość, często bynajmniej ze sobą niespojonych dokumentów odnoszących się do epoki, którą Grzegorz VII, miał na inne, lepsze tory wprowadzić. Ze swego zdania autor rzadko się spowiada; radby, aby same dokumenty za niego przemawiały, które rzeczywiście przemawiają i to wymownie, ale do szczupłej tylko garstki historyków z zawodu i ludzi obdarzonych więcej niż zwyczajną dozą cierpliwości, którzy sami z tych nagromadzonych, licznych a pięknych cegieł, umieją i chcą odpowiedni budynek sobie wystawić. Tak np. Autor, o mało co nie powiedzieliśmy „Wydawca“ cytuje ciekawe dokumenty, o Papieżach: św. Leonie IX, Wiktorze II, Stefanie IX, Mikołaju II i Aleksandze II; o cesarzu Henryku III i św. Piotrze Damianie; — ale czem byli ci mężowie, jakie zajmowowali stanowisko, jaki wywarli wpływ na swe

społeczeństwo — tego napróżno chcielibyśmy się dowiedzieć. Nie dość też podobno autor uważa, że Grzegorz VII był nie tylko osobistością historyczną, ale zarazem i na pierwszym planie świętym, przez Opatrzność zesłanym mężem; z tego dopiero punktu widzenia postać świętego przedstawia się w rzeczywistem świetle, i zrozumieć można olbrzymią rolę, jaką Grzegorz VII odegrał w historyi Kościoła i całego świata.

Z.

La croix rouge de France, société de secours aux blessés militaires de terre et de mer par *M. Maxime du Camp*, de l'Académie française. Hachette 1889.

Sędziwy, a niezmordowany historyk miłosierdzia we Francyi opowiedziawszy w jednem z poprzednich swych dzieł dzieje „Prywatnego miłosierdzia w Paryżu," nakreśliwszy szereg prześlicznych obrazów z dziejów „Cnoty we Francyi," [1] zapoznaje nas obecnie z innem również, jak sama nazwa jego wskazuje, z chrześcijańskiego ducha wyrosłem dziełem miłosierdzia: z *Czerwonym Krzyżem.* Jeśli kiedy, to dziś, gdy w samej Europie kilkanaście milionów ludzi pod bronią, czeka tylko hasła, aby wzajemnie na siebie się rzucić i używając wszystkich możliwych środków, wzywając na pomoc zgrozą przejmujące coraz nowsze, coraz straszniejsze wynalazki ranić się i kaleczyć; jeśli kiedy, to w obecnej chwili, aktualnem jest pytanie: Jaki los czeka te setki tysięcy zranionych i pokaleczonych; czy się kto nimi zajmie, gdy padną na polu bitwy; czy jest przynajmniej uzasadniona nadzieja, że znajdą konieczną, a dość wczesną pomoc, by nie ponieśli, bez chwały, bez potrzeby i bez pożytku, życia w ofierze? Rządowa pomoc sama ani w małej części nie wystarczy; niezbędną jest umiejętnie zorganizowana, szczerą miłością bliźniego natchniona pomoc prywatna, której najwyższym praktycznym wyrazem jest właśnie stowarzyszenie *Czerwonego Krzyża.* W r. 1870 stowarzyszenie to zaledwie się we Francyi zawiązało, nie miało ani należytego doświadczenia, ani potrzebnych do działania środków, a jednak oddało nieprzeliczone usługi i rannym na polu bitwy i później jeńcom francuskim w niemieckich twierdzach. Tuniskie i tońkińskie wyprawy okazały w żywszych jeszcze kolorach użyteczność *Czerwonego Krzyża,* mimo, że administracya wojskowa, do zbytku czasem ostrożna i drażliwa, nieraz miasto popierać, utrudniała rozwinięcie szerszej działalności.

Zwłaszcza w dziele tak utrudnionem, jak słusznie autor zauważa, wielkiej energii, nie raz i wielkiej odwagi wymagającem, wszystkie czynniki muszą doskonale z góry być obmyślane i aż do najmniejszego szczegółu ze sobą harmonizować. Należy opatrzyć rannego, o ile można najśpieszniej; ułożyć go w ambulansowym wozie; zdecydować się szybko, czy rzeczą jest konieczną natychmiast podjąć operacyę, czy też można odstawić chorego do najbliższego szpitala. Najlepiej, z największem poświęceniem spełniały tę służbę, jak doświadczenie poucza, Siostry Miłosierdzia i Bracia nauki chrześcijańskiej; w razie wojny rząd każdy, choć najczerwieńszy, jeźli mu tylko prawdziwie leżeć

[1] Por. *Przegląd Powszechny.* „Z roczników chrześcijaństwa miłosierdzia" (t. III. str. 352—378) i „Cnota we Francyi" (t. XVIII str. 318—340).

będzie na sercu zdrowie i życie francuskich żołnierzy, będzie się musiał rad nie rad uciec do tych uznanych przyjaciół wszystkich cierpiących. Ważną również jest rzeczą dostateczna liczba chirurgów i lekarzy. W czasie wojny włoskiej i krymskiej przypadało na jednego chirurga pielęgnowanie około 700 rannych. Takiemu zadaniu najlepsza nawet wola z największą znajomością fachu swego złączona, nie jest w stanie podołać. W ogóle mówiąc, kobiety z o wiele większą pieczołowitością i miłością dozorują i opatrują rannych, niż mężczyzni. Jedna dozorczyni więcej zrobi niż dwudziestu dozorców, mówić zwykli Anglicy, a chorzy i ranni zupełną Anglikom przyznają słuszność. Pięknie o tem wyraża się nasz autor.

„W szpitalach, na prowizorycznem, ambulansowem łóżku ranny zwraca oko na siostrę miłosierdzia, domaga się jej pomocy, spodziewa się, że ona ranę mu opatrzy. Znosi opiekę dozorcy, ale wzywa opieki dozorczyni, biedak wzruszony jeszcze odgłosami walki, zakrwawiony, zbolały, nie myli się i naturalnie zwraca się do tej, której ręka lekka, serce współczujące, litością tchnąca mowa. Nie dość założyć bandaż na strzaskane ramię, trzeba jeszcze przemówić do cierpiącego, dodać mu odwagi, uśpić go, niby chore dziecko słodką illuzyą, przytrzymać odlatującą nadzieję, słowem działać na moralną stronę duszy, a tego nikt tak nie potrafi, jak kobieta“.

Stowarzyszenie *Czerwonego Krzyża* wzrasta i kwitnie we Francyi, ale taić sobie nie można, dodaje autor, że z powodu niedostatecznych środków, bardzo jeszcze wiele pozostaje do zrobienia. Budżet wojskowy wciąż rośnie, budżet miłosierdzia wojskowego także wzrastać musi. A któż dzisiaj śmiałby się ociągać z nałożeniem na siebie w tej mierze dobrowolnego podatku, kiedy każdy ma w wojsku kogoś bliskiego i drogiego, którego los i życie od tych właśnie datków może zależeć. Kto tylko może, zachęca *Maxime du Camp* w gorących słowach, niech się zapisze do *Czerwonego Krzyża*, niech rok rocznie pewną sumkę na ten cel odkłada! Księża i zakonnicy prosić się nie dadzą, w chwili niebezpieczeństwa z pewnością zjawią się w obozach; lekarzy także nie zabraknie; kobiety niech już dziś skubią szarpie, gotują bandaże; niech wszędzie i wszystkich zachęcają do popierania *Czerwonego Krzyża!*

Jaka szkoda, że tak utalentowany, tak czujący piękność i głębokość chrześcijańskiego poświęcenia autor, nie stoi sam, pod sztandarem krzyża, którego pochwały głosi. Może pobożne Siostry Miłosierdzia, dla których taką czcią jest przejęty; może ci, którym książki jego stały się pobudką do gorętszego wykonywania uczynków miłosiernych, wyproszą mu, że z wielbiciela dzieł chrześcijańskich zmieni się w prawdziwego chrześcijanina.

J.

Rozmaitości.

Hipotezy historyczne Dr. W. Czermaka.

W ostatnim wrześniowym numerze, wychodzącego jako dodatek do „Gazety Lwowskiej“, „Przewodnika naukowego i literac-

kiego", znajdujemy wstęp i początek pierwszego rozdziału pracy zakrojonej na szersze rozmiary p. t.: „Jan Kazimierz, studya nad jego życiem i charakterem", przez *Dr. Wiktora Czermaka*. W przedmowie zapowiada autor, że w pracy tej postanowił sobie podać to tylko „co można uważać za najmniej podległe odmianom i najbardziej niezawisłe od rozmaitych sposobów widzenia, tj. sam materyał faktów historycznych"., że zatem pragnie „jak najmniej wykraczać poza skromne stanowisko opowiadacza i sprawozdawcy: a więc nie sądzić i wyrokować, lecz opisywać, określać i co najwyżej wnioskować". W tym też celu, tj. „aby skonstatować pewną ilość czynów Jana Kazimierza... i zebrać wszystkie ważniejsze sądy, wypowiedziane o królu przez współcześnie żyjących z nim ludzi", nie szczędził autor pracy, zbierając skrzętnie odnośne dokumenty, równie drukowane, jak rękopiśmienne; zebrał co się dało w archiwach krajowych, a nadto pracował czas dłuższy w archiwum watykańskiem i w pruskiem tajnem archiwum państwa.

Jakże nie uchylić czoła przed tak mozolną pracą, nie oddać hołdu historycznej bezstronności młodego autora, który z budującą skromnością obiecuje ukrywać się ze swymi sądami i zdaniami, aby samym tylko faktom historycznym głos zostawić! Niestety! na drugiej zaraz stronnicy pierwszego rozdziału zapomina autor o uczynionej obietnicy. Jak powiada sam „o niemowlęctwie i młodości Jana Kazimierza po rok 23-ci życia przechowało się zaledwie kilka ogólnikowych wiadomości zapisanych przez nuncyusza Viscontiego i Wassenberga". Cóż dwa te źródła mówią nam o wychowaniu Jana Kazimierza? Jakie, opierając się na obu tych autorach, trzymając się ściśle (jak w przedmowie *dr. Czermak* uroczyście obiecał), nie własnych przypuszczeń, ale historycznych faktów, było to wychowanie? Kto zawinił, jeżeli wychowanie to było złem, jeżeli nie wydało króla, jakiego domagały się trudne ówczesne okoliczności? W odpowiedzi zacytować musimy cały dłuższy ustęp z pracy *dr. Czermaka*. (Str. 818—819).

Sposób jego wychowania określa pokrótce Visconti: „Zostawał on aż do śmierci ojca wraz z młodszymi braćmi pod dozorem kobiet, a lubo liczył już lat 23, gdy go ojciec odumarł, nie zaprzestał był jeszcze ćwiczeń, chłopięcemu wiekowi właściwych, nie był przypuszczony do żadnej czynności publicznej, zakazywano mu, równie jak braciom, rozmawiać z kimkolwiek bez świadków, a obcym osobom wzbraniano do niego przystępu. Sypiał z innymi

królewiczami w jednym pokoju, nie mając osobnych sług, ani usłużenia. Słowem, wszyscy wychowani, jak dzieci prywatnego obywatela, a co gorsza, nie odebrali nawet nauk, przyzwoitych stanowi. Stąd pochodzi, że gdy wyszedł na wolność, prowadził takie same życie nieczynne, do jakiego był nawykł w dzieciństwie..."[1]. „W pierwszych latach, za życia ojca, uczył się nauk wyzwolonych pod przewodnictwem Jezuitów, lecz po jego śmierci do żadnej się nie przykładał, przepędzając czas na próżnowaniu"[2]. A Wassenberg dodaje, „że nietylko nauk wyzwolonych, ale i filozofii i matematyki, z równą łatwością wszystko obejmując, szczęśliwie się wyuczył; że się odznaczał biegłością w sztukach gimnastycznych, w jeździe konnej, w tańcu, w robieniu bronią tak wojennym, jak szermierskim obyczajem.. "

Wychowanie Jana Kazimierza było więc w ogóle zaniedbane i jednostronne. Uczono go niewiele, a i do tego, czego go chciano nauczyć, młody królewicz nie przykładał się pilnie. Większe miał upodobanie w ćwiczeniach cielesnych, zwłaszcza żołnierskich niż umysłowych. Pozostawał w pierwszych dwudziestu kilku latach życia pod wyłącznym wpływem kobiet i Jezuitów[3].

Jak daleko sięgał wpływ kobiet, nie wiadomo. Jakiego zaś rodzaju mógł być wpływ Jezuitów, wolno wnosić z ogólnego kierunku misyi Zakonu, jak ją wykonywano w XVII wieku. Był to system działania na zmysły: przez opanowanie ciała torowano drogę do walnego szturmu na duszę. Chodziło o to, aby umysł elewa utrzymywać w ciągłym stanie religijnego natężenia i podniecenia, podnosząc przez to jego wrażliwość na swoje wpływy. Działano nań wystawnością obrzędów, jaskrawym lub ponurym kolorytem malowideł, ognistym i drastycznym patosem słowa, pełnem grozy przedstawieniem kar piekielnych i częstem stosowaniem praktyk ascetycznych. Wywołana w ten sposób ekstaza przechodziła niekiedy u osób wrażliwych i nerwowych w chorobliwe gorączkowanie religijne i doprowadzała nawet do mistycznego obłędu. Ale skutek nie zawodził: zwycięstwo było najczęściej zupełne. Zapewne ten sam system został zastosowany do Jana Kazimierza; czy i w tym wypadku nie zawiódł w skutkach, zastanowimy się nad tem w odpowiedniem miejscu.

Czytając te słowa, przychodzi mimowoli się zapytać, czy autor sam je kiedy uważnie odczytał? *Visconti* nazywa wprost Jana Kazimierza „próżniakiem"; *Wassenberg* chwali jego pilność i talenta; nasz autor każe dziwnem jakiemś, bo z logiką kłócącem się prawem *Wassenbergowi* potwierdzać naganę wyrzeczoną przez *Viscontiego* i bezpośrednio po słowach zapewniających, że królewicz był zdolny, pilny, zręczny, że się uczył i filozofii i matematyki i nauk

[1] Rel. nunc. Apost. II., str. 212.

[2] U. s. str. 213.

[3] Wszystkie te szczegóły zestawione już przez prof. Kubalę w „Szkicach", T. I., str. 4—5.

wyzwolonych, gimnastyki i tańca i robienia bronią i we wszystkiem tem biegłością się odznaczał, — wnioskuje bez zastrzeżenia i bez zająknięcia się: „W i ę c (sic!) wychowanie Jana Kazimierza, było w ogóle zaniedbane i jednostronne. Uczono go niewiele, a i do tego czego go chciano nauczyć, młody królewicz nie przykładał się pilnie“... Gdybyż przynajmniej autor wytłumaczył nam, dlaczego wierzyć mamy *Viscontiemu*, a nie wierzyć *Wassenbergowi*; gdyby nam wyjaśnił, jaką drogą doszedł do owego oryginalnego „więc“; dlaczego królewicz „miał większe upodobanie w ćwiczeniach cielesnych niż umysłowych“, kiedy cytowani świadkowie o owem „większem upodobaniu“ nic a nic nie wiedzą! O tem wszystkiem głuche milczenie: „materyał faktów historycznych“ widocznie tylko do milczenia w tym względzie autora naszego upoważniał.

I znowu cały szereg dalszych twierdzeń na wszystkiem innem, tylko nie na „faktach historycznych“ opartych, o „wyłącznym wpływie kobiet i Jezuitów na młodego królewicza“. Kilkanaście wierszy później autor sam przyznaje, że wpływ ten wcale nie był „wyłącznym“, że „nie podobna, aby nie dotarły do niego (królewicza) nadto inne wpływy prócz tych, które pochodziły od rodziców i wychowawców“. Kiedy więc mamy *confitentem reum*, to się z nim o słówko „wyłączny“ sprzeczać nie będziemy, choć szkoda, że przynajmniej w korekcie innemu jakiemuś wyrazowi, „który mniej byłby podległy odmianom“ w myśli i zapatrywaniu się samegoż autora, miejsca nie zrobiło. Ale cóż mówi „materyał faktów historycznych“ o owym wpływie „wyłącznym“ na górze stronnicy 819, a nie wyłącznym na środku tejże stronnicy? Mówi naprzód, a raczej autor mówi nam za niego, że o wpływie kobiet, czyli jak *dr. Czermak*, przesądzając kwestyę, dyplomatycznie się wyraża: „J a k d a l e k o sięgał wpływ kobiet“ nic nie wiadomo; a o wpływie Jezuitów nie wiele więcej mu wiadomo. „Materyał faktów historycznych“ pozostał raz jeszcze na boku; natomiast mamy żywcem wyrwany z jakiegoś starego paszkwilu na Jezuitów, jaskrawy obraz missyj zakonu odbywanych w XVII w., missyj, które doprowadzać miały do ekstazy, a nawet gorączkowego obłędu; potem idzie zapewnienie, że „skutek nie zawodził, zwycięstwo było n a j c z ę ś c i e j zupełnem. Z a p e w n e ten sam system został zastosowany do Jana Kazimierza“. Założyć się można, że autor w następnych rozdziałach

zapomni o owych „najczęściej“ i „zapewne“ i pisać będzie o zastosowaniu strasznego tego i zgubnego systemu do Jana Kazimierza, jako nieulegającym wątpliwości, niezbicie powyżej (tj. na str. 819 *Przewodnika)*, udowodnionym pewniku.

Z umysłu nie zapuszczamy się tu w kwestye i spory historyczne; nie bronimy ani Jana Kazimierza, ani Jezuitów, choć ci właśnie w XVII w. wydali w Polsce cały zastęp mężów uczonych i czczonych przez swoich i przez obcych, nawet przez wrogów zakonu, a z mężami tymi musiał się przecież *dr. Czermak* spotkać w swych studyach; pragnęliśmy tylko stanąć w obronie logiki i zwrócić uwagę autora na zbyt wyraźne niedostatki, które jego mozolnej pracy mogą odjąć wszelką wartość. Do obowiązku tego poczuwaliśmy się tem bardziej, że autor umieścił swą pracę w piśmie poważnem, które cenić, na którego sąd spuszczać się oddawnaśmy się nauczyli; że należy do szkoły historycznej grupującej się pod przewodnictwem prof. Liskiego, która wiele już zrobiwszy, większą ma jeszcze przed sobą przyszłość; i nigdy jeszcze podobno dotąd nie wprowadziła korabiu historyi „na rozbujałe flukta“ niczem nieuzasadnionych „więc“, „najczęściej“ i „zapewne“.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Wiece katolików czeskich, szląskich i niemieckich. — Mowa Windthorsta w Bochum. — Zamierzone wiece katolickie w Poznańskiem i w Prusach Zachodnich. — Antykościelne manifestacye we Włoszech. — Okólnik ministra Théveneta do biskupów francuskich. — Encyklika papieska o nabożeństwie do N. Panny i św. Józefa.

Ruch katolicki, którego dzisiaj jednym z najsilniejszych wyrazów są bezwątpienia katolickie kongresy, rozwinął się znowu w ostatnich tygodniach, po paromiesięcznej letnimi upałami spowodowanej przerwie, w całej pełni w tym kierunku. Nie mówiąc już o zamierzonych wielkich kongresach: bawarskim i amerykańskim, odbyły się jednocześnie niemal z końcem sierpnia, a z początkiem września: trzeci północno-czeski wiec katolicki w *Schluckenau;* wiec katolików szląskich w *Głupczycach* i niemiecki wiec katolicki w *Bochum.* Jak obradujące na wiosnę wiece: portugalski, hiszpański, austryacki, francuski; tak i ostatnie wiece, które rozpoczęły jesienną kampanię, zajęły przedewszystkiem w kwestyi rzymskiej stanowisko zupełnie jasne, szczerze a gorąco katolickie; poświęciły baczną uwagę kwestyi socyalnej; wskazały, czego katolikom w odnośnych prowincyach czy państwach potrzeba, jakie staczać już muszą, a jakie jeszcze prawdopodobnie czekają ich walki, jakiej broni w walkach tych należy im używać.

Wiec północno-czeski liczył przeszło 2000 uczestników; prezesem obrano kanonika *Michela*, wiceprezesami dobrze dziś w całej Austryi i po za granicami jej znanego *Dr. Luegera* i inspektora *Laufermanna*. Prócz wielu innych poruszonych na kongresie tym kwestyj, zgromadzeni domagali się energicznie bardziej katolickiego niż dotychczas wychowania i nauki w austryackich szkołach; święcenia niedziel i świąt, propagowania chrześcijańskich dzienników i książek, rzeczywiście moralnych powieści. „Trzeci północno-czeski wiec katolicki, brzmi rezolucya odnosząca się do tego ostatniego punktu, wyraża żywe podziękowanie wszystkim tym, którzy walcząc z wciąż rosnącą falą złych dzienników i powieści, puszczali w obieg, wspierali i rozszerzali katolickie powieści i peryodyczne pisma i zwraca się z prośbą do wszystkich dobrze myślących, a zwłaszcza do duchowieństwa, aby litując się nad ludem chrześcijańskim, w najdroższych swych skarbach zagrożonym, rozwinęli w tym kierunku niczem nie dającą się zrazić, większą jeszcze niż dotychczas działalność". Osobna sekcya obradowała nad ważną, nie od dziś poruszaną, ale nie dość szybkim krokiem do urzeczywistnienia zbliżającą się sprawą założenia katolickiego uniwersytetu w Austryi. „Czemuż, pytał słusznie przewodniczący *Ks. Opitz*, nie moglibyśmy dokonać tego, czego dokonali katolicy francuscy, belgijscy, amerykańscy? Ale chcąc myśl tę w czyn przemienić, należy z nią zapoznać i zainteresować nią najszersze warstwy katolickiej ludności; dla tego na wniosek *Gürtlera*, wydawcy belletrystycznego czasopisma *Immergrün*, postanowiono przedstawić w popularnej broszurze ważność i konieczność wielkiego tego przedsięwzięcia, a broszurę tę rozrzucić w tysiącach egzemplarzów po wsiach i miasteczkach.

Jak w *Schluckenau* zebrali się wyłącznie katolicy mieszkający w Czechach, lecz przyznający się do narodowości niemieckiej, tak też i XII zebranie katolików szląskich w *Głupczycach* nosiło na sobie wybitnie i wyłącznie charakter niemiecki. Roku zeszłego z wielką szkodą dla dobrej sprawy, objawiła się na wiecu szląskim między polskimi a niemieckimi uczestnikami pewna dysharmonia, a dysharmonia ta stać się miała przyczyną, że obecnie polscy Górnoszlązacy bardzo tylko nieznaczny we wiecu wzięli udział. *Dr. Porsch* przemawiał o kwestyi szkolnej; *hr. Matuschka* o kwestyi

socyalnej; *hr. Stolberg* zastanawiał się w mowie zamykającej zebranie nad smutnem położeniem Ojca św., koniecznością powrotu wszystkich zakonów do Niemiec i nad pewnymi reformami szkolnymi, których potrzebę wszyscy dziś uznają. W sekcyi szkolnej postawił Górno-Szlązak, proboszcz *Engel* szereg bardzo ważnych wniosków, odnoszących się do praw Kościoła w szkole; do udzielania dzieciom nauki religii w języku ojczystym, a zatem w języku polskim, czeskim lub morawskim; do uczenia dzieci w szkole śpiewów kościelnych w języku nie obcym, lecz ojczystym. Z podobnym wnioskiem wystąpił również *Ks. Alfons Kaliszek*: „Dwunaste walne zebranie katolików szląskich wyrażając ubolewanie, że nauka religii, wbrew przyrodzonym i nadprzyrodzonym prawom udzielaną jest w szkole nie w ojczystym, lecz w obcym języku, wyraża nadzieję, że stan ten rzeczy, w interesie równie religii, jak i państwa, zostanie w najkrótszym przeciągu czasu zmienionym". Co do samej treści tych wniosków nie było między zebranymi dwóch zdań; natomiast wywiązała się żywa dyskusya, czy dla nienarażania się rządowi nie należałoby zmienić w poddanych pod głosowanie wnioskach pewnych zwrotów i wyrazów, mianowicie czy nie lepiejby było zamienić niemile w Berlinie brzmiące wyrazy: „język polski, czeski, morawski", na bardziej dyplomatyczny „język ojczysty" [1]. Ostatecznie uznano jednak, że niepotrzebne to skrupuły i uchwalono odnośne rezolucye w pierwotnej, przez wnioskodawców podanej redakcyi.

Odrębne znaczenie miało XXXVI ogólne zebranie katolików niemieckich w *Bochum*, samemże centrum wielkiej tegorocznej zmowy westfalskich robotników. Całe miasto przybrało świąteczne szaty; wszystkie ulice, mnóstwo domów było ozdobione wieńcami i chorągwiami; olbrzymia sala obrad mogąca wygodnie pomieścić 5000 ludzi, napełnioną była po brzegi już na godzinę przed otwarciem wstępnego posiedzenia. Z szczególną uwagą, jak od wielu już lat, słuchano mów *Windthorsta*. W czasie kongresu zabierał on

---

[1] Porównaj o tych rozprawach korespondencyę zamieszczoną w *Dzienniku Poznańskim* z 13 września b. r., a przysłaną przez jednego z uczestników sekcyi szkolnej. Gazety niemieckie nie zamieściły sprawozdania z przebiegu tej bądź co bądź ciekawej, przeszło godzinę ciągnącej się dyskusyi.

kilkakrotnie słowo równie na pełnych jak i na sekcyjnych posiedzeniach, a w ostatniej, zamykającej obrady przemowie, odparł zarzuty uczynione w ogóle wiecom katolickim, a w szczególności wiecowi w *Bochum*, streścił po mistrzowsku uchwały wiecu, wyrażone na nim życzenia i żądania niemieckich katolików.

Czem są katolickie kongresy, jaki ich cel, pocośmy się tu zebrali? — pytał *Windthorst* na początku programowej tej mowy. Czy w politycznych celach, dla obrobienia wyborców, jak to nieraz zarzuca nam radykalna i liberalna prasa? Bezwątpienia, przed wyborami na niejednym wiecu, da Bóg, wspólnie staniemy, a na wiecach tych zastanawiać się będziemy i nad politycznymi kwestyami. Ale kongresy katolickie nie mają nic wspólnego z polityką, i dla tego biorą w nich udział katolicy z najróżnorodniejszymi politycznymi zapatrywaniami, katolicy wszelkich odcieni i stanów. Przeciwnicy nasi nie mogą czasem pojąć, w jaki sposób z jednej strony w rozmaitych kwestyjkach ze sobą się nie zgadzamy, a nawet ścieramy się dość ostro, a jednak stoimy mąż przy mężu, ramię do ramienia, wspólnie walczymy, wspólnie cierpimy i zwyciężamy; nie mogą tego pojąć, bo nie znają węzłów wzajemnej wiary i miłości, któremiśmy złączeni. Nie zastanawiają się, że właśnie na kongresach katolickich najlepiej wyrównać się mogą i wyrównywują się, pewne osobistej natury nierówności i nieporozumienia. Kto spekuluje na naszę niezgodę, ten nie ma wyobrażenia o życiu katolickiem, które obok najzupełniejszej wolności każdemu pozostawionej, łączy wszystkich do wspólnej pracy, wspólnej działalności. Oto pierwsze zadanie katolickich kongresów; drugim ich celem jest wywieszenie wysoko w okolicach, w których obradują, katolickiego sztandaru, wzywając wszystkich katolików, aby pod sztandar ten się kupili; nie obrażając jednak ani jednem słowem inaczej myślących, inną wyznających wiarę. Dość mamy pozytywnych kwestyj do załatwienia, a ani czasu, ani chęci nie mamy do walk i dysput. Na wstępnem posiedzeniu zapewniłem uroczyście, że wśród naszych obrad, nie padnie ani jeden wyraz, który mógłby dać inaczej myślącym słuszny powód do niechęci; prosiłem obecnych tu dziennikarzy, z których wielu wcale do naszego obozu nie należy, aby ścisłą nad nami w tym względzie rozciągnęli kontrolę. Istotnie przyjaciele moi zaręczają mi, że przerzucając wszystkie, najbardziej

nawet na nas zażarte dzienniki, nie spotkali się w tym kierunku ani z jednym zarzutem.

Jak obecnie, tak i dawniej zachowywaliśmy się sprawiedliwie względem innowierców, choć — trudno to zataić — nie zawsze odpłacają nam się oni równą monetą. Znamy np. wędrownych kaznodziejów, z których kazań niczego innego nauczyć się nie można, jak nienawiści dla Rzymu i dla nas. Tak np. wszelkie publiczne wystąpienia *Ewangelicznego Związku* są wymierzone przeciw nam i przeciw Rzymowi. Jeśliby *Ewangeliczny Związek* miał na celu i starał się o wzmocnienie wiary, o rozszerzenie nauki w ewangelickich gminach, niktby na to z pewnością nie sarkał; wszak i my tą samą drogą idziemy. Ale jeśli *Związek* ten przy każdej sposobności i bez sposobności szuka zaczepki, jeśli w ten sposób sieje niezgodę i waśnie między ludem niemieckim; natenczas nie sądzę, aby się dobrze ojczyźnie przysługiwał. Niech mi kto wykaże jedno zebranie *Ewangelicznego Związku*, na którem nie rzucanoby obelg na nas i na Rzym, a znalazcy obiecuję sutą nagrodę. Prawda i oddać muszę tę sprawiedliwość wielu naszym protestanckim współobywatelom, że zarówno z nami potępiają działalność *Związku*; i spodziewam się, że właśnie sami protestanci położą koniec tej wyznaniowej hecy. Gdyby to jednak i to niebawem nie miało nastąpić, w takim razie panowie ci zmusiliby nas do podjęcia walki na terenie i bronią podobną do tej, którą sami walczą. Musielibyśmy założyć świecki *Katolicki Związek*, któryby na wszystkie zaczepki odpowiadał, zbijał szerzone między ludem błędne pojęcia, na całej linii za sprawę naszę się zastawiał. Z głębokim żalem ucieklibyśmy się do takich środków, bo walka wyznaniowa poprowadziłaby niechybnie, zdaniem mojem, cesarstwo niemieckie do ruiny. I tak już dość złego, że w Niemczech nie panuje jedność wiary; ale jeśli ojczyznę kochamy, powinniśmy przynajmniej podać sobie ręce do jakiegoś *modus vivendi*, nie szkalować się; a walczyć chyba o to, kto kogo przewyższy w wykonywaniu cnót chrześcijańskich.

Wtedy też skuteczniej i lepiej rozwinąćby się mogła wspólna nasza działalność na polu socyalnem; skuteczniej moglibyśmy walczyć z zgubnymi socyalistycznymi prądami. Na ludność tutejszą, na górników pracujących w westfalskich kopalniach wę-

gla, rzucono podejrzenie, że idą na lep socyalnej demokracyi; kto rzuca takie nieuzasadnione podejrzenie, kto nie zna ludności tutejszej i nie umie się z nią należycie obchodzić, ten, nie kto inny toruje drogę socyalizmowi. W ogóle bez porównania tu mniej socyalistów niż np. w Berlinie, a między robotnikami katolickimi ledwie się ich znajdzie nieznaczna garstka; nie byłoby ich podobno wcale, gdyby robotnikom nie zabrano w pewnej przynajmniej części tego właśnie, co jedynie ich z ciężką pracą, z twardym bądź co bądź losem może pogodzić. Długa wojna z Kościołem, po dziś dzień nie zakończona, smutne wywrzeć musiała skutki, musiała zmniejszyć zaufanie do władz, do rządu. W czasie obrad nad polityczno-socyalnymi prawami powiedziałem: „Wszystkie wasze prawa na sile oparte nic nie pomogą; będą tylko drażnić i mnożyć zastępy socyalistów". Czym się omyliłem, osądźcie sami; w każdym razie statystyka kłamu mi nie zadaje. Kościół tu musi przyjść z pomocą, ale Kościoł nie może rozwinąć w całej pełni zbawczego swego wpływu na polu socyalnem, bez powrotu zakonów, wszystkich wypędzonych zakonów. Historya uczy, że skoro tylko gdzie powstała szczególna jakaś trudność, zagroziło społeczeństwu jakie nieszczęście, natychmiast Kościoł zakładał nowy zakon, którego zadaniem było trudność tę usunąć, niebezpieczeństwo zażegnać. Tymczasem, za jednym zamachem zniszczono u nas życie zakonne i po dziś dzień panowie owi, którzy skarżą się i żalą na lud, nie chcą zrozumieć w jaki sposób możnaby zmniejszyć jego cierpienia. Wojsko kwestyi socyalnej nie rozwiąże; tylko Kościoł cierpliwą pracą, spokojnym wpływem może ją rozwikłać; a państwo powinnoby Kościołowi z całych sił w tej mierze dopomagać. Chcecie zwalczyć socyalizm, to wydajcie dekret: Od dnia dzisiejszego wszystkie zakony mogą powrócić do Niemiec, oddajemy im zabrane domy i majątki, a w danym razie nie odmówimy im potrzebnego wsparcia. Zakony potrafią utrzymać porządek; wasza potęga na to za mała!

Z kolei polecił *Windthorst* opiece zgromadzonych, miłosierdziu wszystkich katolików zagraniczne misye, zwłaszcza misye w Bośni i w niemieckiej *Diasporze;* zwrócił uwagę na smutne stosunki szkolne, które bądź co bądź zmienić się muszą, a zmienią się wtedy, gdy Kościół odzyska w szkole należny sobie wpływ, należne prawa.

Podjęliśmy w Prusiech walkę o szkołę i walczyć nie przestaniemy, a choć walka może długa będzie, choć potrwa dajmy na to z 25 lat, ostatecznie musimy osiągnąć zwycięstwo, bo stoją za nami niezwyciężeni sprzymierzeńcy: słuszność i rozsądek.

Wiele innych jeszcze przedmiotów, kończył znakomity wódz niemieckich katolików, chciałbym i należałoby poruszyć; ale i wam cierpliwość i mnie głos odmówiłby podobno służby. O jednej tylko rzeczy zamilczeć nie mogę, którą w dzisiejszem położeniu uważam za najważniejszą ze wszystkich: o nieznośnem położeniu, w jakiem znajduje się Stolica św. I dziś ono nad wyraz bolesne; a każdy dzień, każda chwila może je jeszcze pogorszyć i nowe, straszne niebezpieczeństwa na Głowę Kościoła sprowadzić. Obowiązkiem naszym przyjść w pomoc wspólnemu naszemu Ojcu, przedewszystkiem modlitwą, a następnie i tymi wszystkimi środkami, które prawdziwa miłość łatwo do serca nam poda. Obowiązkiem też naszym wnieść uroczysty protest przeciw pomnikowi *Giordana Bruno*, temu policzkowi danemu Papiestwu pod okiem, przy milczącem współdziałaniu włoskiego rządu. Byłoby bardzo na czasie zwrócić uwagę tego rządu, zostającego przecież z nami w ścisłem przymierzu, że tego rodzaju postępowanie wyjść mu nie może na dobre. Być też może, że zwrócono mu istotnie na to uwagę, ale poufnie i po cichu ze względów uprzejmości. Zdaniem mojem, należałoby zmazać tę plamę, a zmazać ją tylko można, usuwając z przed oczu ludzkich ohydny ten pomnik"...

Niemcy zebrani w *Schluckenau*, *Głupczycach*, zwłaszcza w *Bochum* wywiesili jawnie i wysoko katolicki sztandar; a my Polacy pyta *Kuryer Poznański* w szeregu artykułów p. t. „Wywieśmy sztandar katolicki!" [1] my katolicy, synowie wielkopolskiej ziemi, nie mielibyśmy tak samo czuć potrzeby zamanifestowania tych naszych przekonań, czybyśmy nie umieli tego przeprowadzić? Są bezwątpienia trudności; rozchodzić się może o to, czy ma być dwa wiece, jeden dla Polaków, drugi dla Niemców katolików, czy też jeden wspólny wiec; czy w pierwszej z tych hipotez, oba wiece zgodziłyby się na te same mniej więcej uchwały i zapatrywania? *Kuryer*

[1] *Kuryer Poznański* nr. z. 8, 11 i 14 września.

nie wątpi, że trudności te w obec szczerego przywiązania mieszkających w Poznańskiem katolików Niemców do Kościoła, dałyby się usunąć lub przezwyciężyć i dziś już stawia w ogólnych rysach program, jak należy uorganizować poznański wiec, czy wiece katockie, jakie na nim poruszyć sprawy. Oto ten program nie wyczerpujący, nie odpowiadający zapewne wszystkim wymaganiom, jak sami autorzy jego się wyrażają [1], ale z którego poznać można dokładniej, czego chcemy i do czego dążymy:

1) Wyrozumieć należy zapatrywanie wyższych sfer duchownych, jakie względem wiecu chcą zająć stanowisko.

2) Utworzyć trzeba komitet ściślejszy, złożony z ludzi, którym zaufać można, iż wypracują program położeniu dzisiejszej chwili odpowiedni, a obejmujący wszystkie żywotne kwestye zajmujące społeczeństwo katolickie.

3) Na czele stać winno położenie Głowy Kościoła Ojca św. i jakie my katolicy, w szczególności Polacy, mamy względem Ojca św. obowiązki, wyrażenie naszych przekonań i nadziei katolickich, potępienie gwałtów i nadużyć, jakich Stolica św. doznaje.

4) Nasze położenie kościelno-polityczne pod panowaniem pruskiem. Trudności, jakich doznaje i z jakimi walczyć musi nasza władza duchowna. Czego my żądać mamy prawo i czego się jako katolicy głośno i jawnie domagamy — a mianowicie przywrócenia władzy duchownej, niezbędnej swobody działania w rozdawaniu beneficyów, której to swobody koniecznym warunkiem jest ograniczenie rządowego prawa v e t o.

5) Co nam potrzeba do rozwoju życia katolickiego i zapobieżenia możliwym niebezpieczeństwom socyalnym? Swobodnego działania zakonów męskich i żeńskich, których przywrócenia domagamy się stanowczo, aby mianowicie zakony męskie mogły dopomagać duchowieństwu świeckiemu w duszpasterstwie, w odprawianiu misyj, w pielęgnowaniu bractw kościelnych i stowarzyszeń religijnych — żeńskie zaś w pielęgnowaniu chorych i chrześcijańskiem wychowaniu młodzieży.

6) I tak jak rzeczy stoją dzisiaj, należy pracować w danych warunkach nad rozbudzeniem ducha religijnego przez zakładanie stowarzyszeń katolickich: jako to: uczniów i czeladzi katolickiej, stowarzyszeń robotników po miastach i miasteczkach, Towarzystw św. Wincentego, i Pań Miłosierdzia, Stowarzyszeń młodzieży kupieckiej, Towarzystwa św. Wojciecha, któreby opiekowało się potrzebami ubogich parafij, lub osad polsko-katolickich między innowiercami. Takie Towarzystwo zastępujące u nas Stowarzyszenie św. Bonifacego istnieje w Prusach Zachodnich.

7) Przez rozszerzanie dobrych książek religijnych, śpiewników kościelnych i przez protegowanie wszystkich środków w zakres ten wchodzących.

8) Najważniejszą po wszystkich tych sprawach i kardynalnym punktem wiecu powinna być sprawa s z k o l n a, mianowicie zaś szkół elementarnych

---

[1] *Kuryer Poznański* z 14 września.

i to mianowicie pod względem udzielania i kierownictwa nauki religii świętej, w trudnych dzisiejszych warunkach stworzonych przez rozkaz ministeryalny z dnia 7 września 1887. Tu należy działać z największą gorliwością, sumiennością i stanowczością, aby wykazać całą grozę położenia, wszystkie grożące szkole i dziatwie naszej rodzaje niebezpieczeństwa, i aby obmyśleć skuteczne rad sposoby.

9) Niezależnie od tego należałoby zwrócić jeszcze uwagę na niebezpieczeństwa grożące r o d z i n i e katolickiej ze zmienionych warunków społecznych, zarzucania dawnych tradycyj, zwiększonych potrzeb, łatwości komunikacyi, wolności przenoszenia się z miejsca na miejsce, wygórowanych wymagań i ambicyj, którym zadość uczynić nie podobna i t. d. i t. d.

Myśl rzucona, myśl piękna i pożyteczna; oby tylko sprawdziły się nadzieje *Kuryera* i obyśmy się niebawem doczekali „dobrej jakiej wieści, zapewniającej nas skutecznie, iż przedwstępne kroki poczynione zostały i że te doprowadzą nas do pożądanego celu". Wieści tej dobrej czekamy z upragnieniem i z Prus Zachodnich, gdzie również ta plaga naszego czasu „dyabeł narodowościowy," w podjętej przez tamtejszych katolików kwestyi zwołania zachodnio pruskiego wiecu katolickiego bruździ i mąci. Katolicy niemieccy, jak jasno to wypowiada organ ich *Westpreussisches Volksblatt*, gotowi są wystąpić energicznie w obronie udzielania katechizmu w szkołach ludowych w języku ojczystym, a zatem i w języku polskim; ale żądają, aby komitet wiecowy składał się z samych Niemców; aby mowy wygłaszane były tylko w języku niemieckim. Skąd, na jakich podstawach opierają się te tak daleko idące żądania, słusznie zapytać można; żądania, które jak poznańskie gazety wręcz oświadczają, nie dozwolą Polakom z zachodnich Prus brać udziału w tamtejszym wiecu, „boć daleko im jeszcze do roli jaką przyjęli na siebie Polacy górnoszląscy! A kto wie, jak bez udziału Polaków powiedzie się w ogóle wiec katolicki w Prusach zachodnich?"

W Galicyi trudności takich nie ma; wszyscy szczerzy katolicy mogliby bez żadnej obawy zebrać się na wspólne obrady, wspólną dobrą sprawę mając na oku. Czas by też już był, powtórzmy z *Czasem* zdającym sprawę z ostatnich katolickich kongresów niemieckich,[1] czasby już był, abyśmy i my przyłączyli się do protestu wiernych wszystkich krajów przeciw orgiom wolnomu-

[1] *Czas* z 1 września.

larstwa w stolicy chrześcijaństwa, przeciw wandalizmom, których nowym dowodem jest zburzenie kaplicy św. Stanisława Kostki. Czasby był, aby katolicy z rzeczy, nie z imienia zorganizowali się, jak się organizują katolicy pod pruskim zaborem, do walki przeciw innym zapewne, ale bodaj czy niemniej groźnym niebezpieczeństwom; aby i u nas zjawił się jaki np. *ks. Loewenstein*, któryby się zajął obudzeniem i należytem pokierowaniem katolickiego ruchu. Wielkie, a piękne pod każdym względem i religijnym i społecznym i narodowym, miałby taki mąż przed sobą zadanie; niemożliwymi by też uczynił hasła i agitacye zdążające do utworzenia u nas jakiegoś wyłącznie ludowego katolickiego obozu; jak np. w Niemczech, nikt, najskrajniejszy nawet demagog, o utworzeniu takiego wyłącznie ludowego katolickiego obozu i we śnie nie marzy.

Wolnomularstwo, jak ze słusznem oburzeniem *Czas* się wyraża, święci wciąż swe orgie i w stolicy chrześcijaństwa i w całych Włoszech. Nie przebrzmiały jeszcze okrzyki na cześć apostaty *G. Bruno* a już w ostatnich dniach sierpnia odkryto w *Livorno*, w obecności przedstawicieli 29 lóż wolnomularskich, pomnik *Garibaldego*, „świętego patryarchy patryotyzmu — jak głosił jeden z mowców, adwokat *Manganaro* — wielkiego bohatera, któremu słusznie cześć i hołdy się należą; arcykapłana z pod *Aspromonte* i *Mentany;* męża pełnego miłosierdzia, przebaczającego wszystkim, wyjąwszy jednej tylko księżej hydry, której nigdy nie przebaczył, która aż do ostatniej chwili do lwiej zapalczywości go pubudzała". Podobne mowy dały się słyszeć, podobny nastrój panował w czasie „procesyi" urządzonej w Rzymie przez wolnomularzów w sam dzień Narodzenia Matki Boskiej, na cześć zmarłego przed kilku tygodniami, byłego garybaldczyka i ministra *B. Cairolego*. Do tego rodzaju procesyj, w których nie brakuje ani chorągwi, ani figur kanonizowanych przez lożę męczenników i apostołów niewiary, przyzwyczajeni już jesteśmy wszędzie niemal, gdzie kościelne procesye z najrozmaitszych względów ostrożności i dla niedrażnienia inaczej myślących surowo bywają zakazane; boleśniejszym skandalem jest wydawana od niedawnego czasu w Rzymie, podobno z współpracownictwem paru księży apostatów, wstręt wzbudzająca *Cronaca nera*. Celem tego pisma ma być wrzekomo obrona kleru

niższego przed uroszczeniami prałatów, biskupów i kuryi rzymskiej; w rzeczy samej powstało ono w celu obrzucania błotem duchowieństwa, zwłaszcza wyższego, a jeśli i o ile możliwa, zasiania między duchowieństwem niechęci dla swych przełożonych. Kler rzymski wyrzekł się w uroczystym proteście kilku niesfornych swych, nieszczęśliwych członków, a korzystając z nadarzającej się sposobności, złożyć postanowił Ojcu św. w prześlicznym adresie ponowne zapewnienia miłości swej i wierności niezłomnej. Tak spodziewać się można, jak wyraził się sam Papież w przemowie do deputacyi kleru rzymskiego, że usiłowania nieprzyjaciół Kościoła i tym razem w niwec się obrócą; że jak napróżno starali się zasiać między ludem nieufność i niechęć dla duchowieństwa, tak tembardziej samego duchowieństwa nie potrafią rozdwoić i skłonić do buntu przeciw prawowitej swej od Boga ustanowionej władzy.

Gazety francuskie: liberalne, republikańskie, rządowe występują od pewnego czasu dość energicznie przeciw tyranii rządu włoskiego, w obronie Papieża; zapraszają go do Francyi i obiecują uroczyście królewskie honory i przyjęcie. Niestety! pięknym tym słowom i zapewnieniom płynącym o wiele, wiele więcej z niechęci dla niemieckiej polityki Włoch, niż czci i miłości dla Kościoła, czyny wprost kłam zadają. Takim czynem jest nieszczęśliwy i niezręczny okólnik ministra *Théveneta*, wzywający biskupów pod srogą odpowiedzialnością, aby ani oni, ani podległe im duchowieństwo, nie mieszało się, i nie wpływało na wybory. Ukaz ten wywołał gorące a uzasadnione protesty ze strony episkopatu; wywołał liczne listy pasterskie, wzywające wiernych, aby głosów swych wrogom Kościoła nie oddawali. „Chwila jest poważną, napomina swych dyecezyan biskup z *Bayeux*, niebezpieczeństwo widoczne, choroba, która nam grozi, może być nieuleczalną. Losy Francyi nie powinny zostać w rękach tych, którzy za cel życia wzięli sobie walkę z Kościołem“. Energiczniej jeszcze przemawia biskup z *Séez*, Mgr. *Trégaro*, w ogłoszonym przez dzienniki liście do *Théveneta:*

„Znam dobrze Panie ministrze! podlegające mi duchowieństwo i radbym był mu oszczędzić listu W. Ekscelencyi. List ten zranić go tylko musi w najdroższych uczuciach serca, w godności swej i patryotyzmie, bo wyznać to trzeba, że traktujesz nas Pan jak idyotów i paryasów. Tymczasem nie jesteśmy przecież cudzoziem-

cami, jesteśmy wespół z Tobą, Panie Ministrze, obywatelami francuskimi i z tego samego, co i Ty tytułu. Domagamy się ściśle tego, co z prawa nam się należy, czego nam odebrać Ci nie wolno... Duchowieństwo francuskie nigdy przeciw miłości ojczyzny nie zgrzeszyło; jeżeli raczysz zaglądnąć do roczników naszej historyi, to niezbicie będziesz się mógł o tem przekonać... Groźby w liście Twym zawarte mogłyby wywrzeć wpływ na niewolników, ludzi dbających o swą cześć ranić i upokarzać muszą. Żałuję, P. Ministrze, żeś tego nie zrozumiał... Podejrzywasz, że duchowieństwo moje nie jest rzeczypospolitej przychylne. Nie moją rzeczą odpowiadać na tę insynuacyą; ale zaręczyć mogę, że rząd, który zapewni nam wolność, p r a w d z i w ą w o l n o ś ć d l a w s z y s t k i c h bez wyjątku; rząd taki nie będzie się potrzebował obawiać ogółu duchowieństwa francuskiego".

Ciekawą jest rzeczą, że rząd nie wystąpił wprost do walki ani przeciw temu listowi, ani przeciw listom pasterskim innych biskupów. Minister *Constans* zwrócił podobno uwagę swych kolegów, że ogólnik ministra sprawiedliwości odbiegł zbyt daleko od pojęcia najprostszej sprawiedliwości i był w każdym razie aktem wysoce niepolitycznym, a większość rady ministeryalnej miała się w zupełności zgodzić na to zapatrywanie. Rząd francuski, pisze w tej samej myśli organ *Gladstona: Pall Mall Gazette*, gniewa się, że duchowieństwo nieprzychylne względem niego zajmuje stanowisko; czyż sądzi może, że takimi grzecznościami, jak okólnik *Théveneta*, potrafi je dla siebie przejednać"?

Ciężkie ciosy spadają w różnych krajach na Kościół, prześladowanie Papieża w Rzymie z dniem każdym się wzmaga; jak ciosy te odwracać, gdzie w prześladowaniu tem, nad którem zarówno boleć muszą wszyscy wierni synowie Kościoła, czerpać otuchę i siłę? Na pytania te odpowiada Ojciec św. w encyklice podpisanej w sam dzień Wniebowzięcia Najśw. Panny: „Ludzka roztropność i ludzkie środki nie pomogą, do Boga nam wyciągać ręce i błagać o miłosierdzie przez przyczynę Matki Bożej i opiekuna Chrystusowego, a zarazem opiekuna Kościoła, św. Józefa". W tym celu dołączył, a raczej zamknął Papież swą encyklikę, prześliczną modlitwą do św. Józefa, której słowami wszyscy wierni na świecie całym, modlą się już dziś wspólnie, za „krwią Przenajświętszą zakupione, Chrystusowe dziedzictwo".

Ks. Jan Badeni.

Z Malty.

IV.

Katolicyzm na Malcie. — Przypadek oficera angielskiego. — Różne objawy życia pobożnego. — Patron kraju św. Paweł. — Mnogość duchowieństwa. — Dwie dyecezye. — Łatwość otrzymania święceń kapłańskich. — Dzieci prałatami. — Klerycy. — Zakony. — Przyjazne usposobienie rządu dla Kościoła. — Massoni.

Pisząc o Malcie, pominąłem zrazu rzecz, której niepodobna jest niespostrzec, gdyż na każdym kroku wpada ona w oczy cudzoziemca, a stanowi jeden z najbardziej dodatnich rysów charakteru Maltańczyków, a tem jest religijne usposobienie mieszkańców. Bawiąc na Malcie, czuje się, że się jest w kraju katolickim, gdzie Kościół żadnemi nie krępowan prawami pełnej zażywa swobody. Tu nikt się nie wstydzi swej wiary, ale każdy chętnie wyznaje, że jest katolikiem, a choć może w średnich klasach, a zwłaszcza pośród mężczyzn nie ma właściwej i istotnej żywotności wiary, to w każdym razie jest jeszcze wielkie przywiązanie i poważanie wszystkiego, co się do religii odnosi. Wszyscy tutaj ściśle przestrzegają święcenia dni niedzielnych i uroczystości kościelnych, zachowują posty daleko liczniejsze niż w naszych krajach i chętnie uczestniczą we wszystkich obchodach i procesyach kościelnych. A nietylko sami mają w poszanowaniu rzeczy święte, ale nie ścierpią w swej przytomności żadnej zniewagi, gotowi gorąco się ująć i czynnie ukarać śmiałka, coby się poważył wykroczyć w tej mierze.

I tak przed laty z górą trzydziestu, jeden z młodych oficerów angielskich, wjechał konno na ulicę, przez którą przechodziła procesya Bożego Ciała. Z czapką na głowie a cygarem w ustach, przepychał się przez tłum, roztrącając koniem ludność. Zrobiono mu zrazu grzeczną uwagę, prosząc go zarazem, by zechciał ustąpić i raczej inną obrał sobie drogę do przejazdki. Ale uwagi te zamiast go oprzytomnić, rozgniewały go tylko, gdyż począł sobie zuchwalej poczynać i śmielej ludzi najeżdżać, dopomagając sobie i batem, który trzymał w ręku. Na taki widok zagrała gorąca krew w Maltańczykach, tłum rzucił się na niego i w jednem oka mgnie-

niu znalazł się zuchwalec wraz z koniem w morzu, gdzie zimna kąpiel przywróciła mu potrzebną równowagę i ostudziła niewczesny zapał. Przypadek chciał, że po latach kilkunastu tenże sam oficerek powrócił na Maltę, ale z rangą jenerała, a do tego w charakterze gubernatora. Przypomniano sobie zaraz zagrzebaną w niepamięci awanturę, była obawa, czy i tą razą nie zechce wrogo występować przeciw katolickiej religii. Tymczasem wiek, a z nim przybytek rozumu i doświadczenia, a może też i przypomnienie wypadku z głupich lat młodych sprawiły, że w niczem się w tym względzie nie naraził Maltańczykom, owszem dobrą po sobie pamięć pozostawił na wyspie. Ale niejednę podobną nauczkę odebrali Anglicy, która się wprawdzie nie kończyła tak tragicznie, ale raczej wytrąceniem z ust cygara, zrzuceniem kapelusza, a w dodatku sporą dozą szturchańców. To też kiedy dzisiaj się znajdą w podobnych okolicznościach, umieją się stosownie zachować. Sam widziałem w Wielki Piątek bandę podpitych majtków, z fajkami w ustach maszerujących jak zwykle środkiem ulicy, na którą wchodziła procesya. Zamroczeni porządnie, a przytem zajęci jakąś żywą rozmową zrazu jej nie spostrzegli, ale za zbliżeniem się pierwszych par, usunęli się skromnie na bok, zdjęli kapelusze, fajki czemprędzej chowając do kieszeni.

Tę pobożność swoję manifestuje Maltańczyk jak może. Kiedyśmy przyjeżdżając, zbliżyli się do portu i kiedy krocie łódek zakrążyło na morzu, przypatrując się im uważniej ze statku, na każdej łodzi ujrzałem wymalowane imię Jezus lub Najśw. Panny, często znów krótką inwokacyą, albo nawet jakiś obrazek święty, nieudolną nakreślony ręką. Na wielu domach tak Valetty, jak innych miejscowości, znajdują się figurki lub kapliczki małe, przed którymi goreje lampka, a pod spodem czyta się napis wyryty w kamieniu, że J. Eks. Ksiądz Biskup N. N. Ordynaryusz Malty, nadał w tym a tym roku odpustu 40 lub więcej dni, za nabożne odmówienie jakiejś modlitwy lub kilku pacierzy, na cześć owego świętego, którego obraz lub figura tam się znajduje.

Ta pobożność i gorące przywiązanie do wiary to tradycyjna spuścizna od wielu wieków. Wszyscy historycy, co tylko pisali o Maltańczykach, chętnie im to przyznają. Ostatni nuncyusz, który z ramienia Ojca św. jeździł przy schyłku zeszłego wieku dla ułożenia

sporu, między wielkim Mistrzem zakonu, a biskupem maltańskim, oddaje Maltańczykom najświetniejsze w tej mierze świadectwo, a potem z westchnieniem dodaje: „oby to można powiedzieć i o zakonie, ale tak nie jest".

Jedno mnie tylko zawsze zastanawiało, czemu Malta od tylu wieków należąc do Kościoła katolickiego, tak gorąca we wierze, a przykładna w obyczajach, mimo to nie wydała żadnego dotąd świętego? Maltańczycy zostali nawróceni do wiary św. jeszcze przez św. Pawła, który się tutaj rozbił z okrętem, w podróży do Rzymu i trzy miesiące tu przemieszkał. Jego więc mają za głównego i jedynego patrona, gdyż świętego ze swego kraju nie posiadają żadnego zgoła. Wprawdzie w katakumbach znajdujących się w pobliżu Notabile, odnaleziono obrazek zniszczony czasem, a przedstawiający niewiastę, dokoła której napis oznajmia, że po wielu mękach za wiarę Chrystusową, dokonała chwalebnego męczeństwa, ale brak w napisie imienia jej i pochodzenia, a stąd niewiedzieć, czy była Rzymianką czy Maltanką. To też nie troszczą się o nią Maltańczycy, a o całem tem zdarzeniu dowiedziałem się zwiedzając muzeum starożytności, gdzie wśród zabytków sztuki fenickiej, rzymskiej i greckiej, napotkałem i ten obrazek, bodaj czy nie jedyny ślad czasów męczeńskich na Malcie.

Maltańczykom wystarcza św. Paweł. Z dumą odzywają się o tem, mówiąc, że ich Kościół sięga czasów apostolskich i zalicza się do najstarszych w świecie. Dzięki temu, żyje tu cześć wielka dla św. Apostoła. Kościół katedralny w Notabile istnieje pod jego wezwaniem, w Valecie znów jeden z najpiękniejszych i najbogatszych jemu jest poświęcony, nadto kilkanaście innych po różnych miejscowościach wyspy. W każdym kościele jest jeden ołtarz na cześć jego wzniesiony, a statuy z jego wyobrażeniem znajdują się na wszystkich niemal placach. Zatoka, gdzie, jak podanie niesie, nastąpiło rozbicie okrętu, w którym się znajdował Apostoł, nosi jego imię. Tutaj na skale wznosi się ogromna figura św. Pawła z kararyjskiego marmuru w postaci każącej. W Notabile podziemna pieczara, w której przemieszkiwał przez czas swego pobytu św. Apostoł, w wielkiem zostaje poszanowaniu i jest miejscem pobożnych wędrówek. Największą uroczystością na wyspie jest święto: „Rozbicia się okrętu z św. Pawłem," które przypada na 10 lutego,

jest ono nie tylko *festum fori*, ale i uroczystością krajową; dalej Nawrócenie św. Pawła, a wreszcie uroczystość św. Piotra i Pawła, to zkolei największe uroczystości na wyspie.

Na tę fizyognomią katolickiego i pobożnego kraju składa się widok licznych kościołów i kaplic, których tu przeszło 360 istnieje. Prawdziwej ich liczby nigdym się nie mógł dorachować, mimo że pilnie przeglądałem wszystkie almanaki i *guides* maltańskie, których tu jest poddostatkiem; zawsze znajdowałem po jakimś czasie kapliczkę jakąś nową, o której nigdzie nie było wzmianki.

Przytem duchowieństwa tutaj tak świeckiego jak i zakonnego — bez liczby. Jeszcze na okręcie będąc, słyszałem jak Neapolitańczyk jakiś zapewniał nas przy stole, że na Malcie *molti pretti*. Prawdę mówiąc, we Włoszech ich nigdzie nie brak, ale nie ma porównania z Maltą. Samych prałatów przy katedrze, mających prawo infuły jest 28, monsignorów z pełnymi fioletami lub też wypustkami, kanoników katedralnych, kolegiackich, honorowych krocie; samych zakonników należących do żebrzących zakonów jest 870; krótko mówiąc, stanu duchownego przeszło trzy tysiące.

Dwie tu istnieją dyecezye, jednę stanowi Malta, drugą Gozo z Komino. Pierwsza o wiele obszerniejsza i ludniejsza, liczy z górą 147.000 ludności, druga zaledwo 12.000. Biskup Maltański ma tytuł arcybiskupa Rhodu i uposażenie wcale przyzwoite, przeszło 6000 funt., przeciwnie zaś Gozytański należy do biedniejszych, dochód jego wynosi tylko 500 funt. szterl. Obie stolice świeżo zostały obsadzone w marcu. Na maltańską przeniesiony został z Gozo J. Eks. ks. Piotr Pace, a opróżnione przezeń miejsce dostało się Msgrowi Józefowi Camillieri, z zakonu OO. Augustyanów.

Biskupstwo Maltańskie wedle tradycyi sięga odległej starożytności. Założyć go miał św. Paweł Apostoł w czasie swego pobytu na Malcie. Pierwszym biskupem miał być św. Publiusz, ówczesny *pro-pretor* rzymski na Malcie, nawrócony przez św. Apostoła, który ojca jego złożonego niemocą uzdrowił, jak o tem wspomina Łukasz św. w Dziejach Apostolskich, a potem cały dom Publiusza przyjął wiarę Chrystusową. Jak długo sprawował on rządy nowej owczarni niewiadomo, tradycya tylko dokłada, że po jakimś czasie przeniesiony został na stolicę Aten, gdzie poległ śmiercią męczeńską. We *Floriana* istnieje kościół pod jego wezwaniem, a poświęcony mu

dzień 21 stycznia, obchodzi się tam uroczyście illuminacyą i festynem ludowym. Oddając Maltę na własność zakonowi, zastrzegł Karol V sobie i następcom swoim nominacyę biskupa z trzech kandydatów, których mu wielki Mistrz miał przedstawić. Każdy biskup piastował godność kanclerza, a tem samem należał do zakonu. W Gozo rezydował dawniej sufragan, dopiero w 1861 roku, ustanowiono z Gozo samoistną dyecezyą.

W duchowieństwie panują tu jeszcze pod niejednym względem dawne stosunki. I tak, jest wielu księży, święconych *ad solam missam*, których jedynem zatrudnieniem jest odprawienie wczesnym rankiem mszy św. i zmówienie brewiarza. Słuchaniem spowiedzi trudnią się przeważnie zakonnicy, po ich kościołach widziałem konfesyonały zajęte, a ludzi spowiadających się; po parafiach nigdy tego nie spotkałem, choć często bywałem, a nawet zrana po kościołach parafialnych.

By tutaj zostać kapłanem, nie wiele potrzeba. Jedynie ci, którzy mają zajmować się duszpasterstwem, muszą pokończyć szkoły i przebyć cztery lata teologii; większa atoli część nie zadaje sobie tego mozołu, nauczy się czegoś z teologii, a mając *patrimonium*, prawda szczupłe, u nas nie wystarczyłoby na śniadanie, tam przy taniości wiktuałów dostateczne do życia, przypuszczaną bywa do wyższych święceń. Tacy mieszkają zwykle przy familiach swoich i pomagają parafialnym księżom, asystując przy pogrzebach, nabożeństwach i innych ceremoniach kościelnych.

Na Malcie istnieje jeszcze sporo różnych fundacyj na prałatów lub kanoników, na które prawo prezenty posiadają familie świeckie, jako spadkobiercy fundatorów. Nadają oni często te dostojności swoim dzieciom, chcąc skorzystać z funduszów, jakie do nich są przywiązane. To też malcy niekiedy o ośmiu lub dziesięciu latach otrzymują tonzurę, przywdziewają sutannę, którą obowiązani są nosić i mają prawo zasiadać we własnej stalli obok posiwiałych mężów, którzy doszli do tego dostojeństwa własną zasługą i pracą. W naszym konwikcie było sześciu takich kleryków, a między niemi młodziutki, bo ośmioletni opat z familii Testaferratów, mający prawo do noszenia fioletów, krzyża i pierścienia.

To atoli przedwczesne zaciąganie w szeregi kleru nie wiąże koniecznie przyszłości młodzieńca. Nie rzadko się zdarza, że taki

młody prałat lub kanonik ukończywszy lyceum, kiedy przyjdzie stanowcza chwila, by pójść na teologią i zostać księdzem, zrzuca sutannę i przedzierżga się w słuchacza medycyny, prawa lub też idzie na kupca lub przemysłowca, a porzucona godność dostaje się młodszemu bratu.

Klerycy mieszkający po parafiach podlegają zwierzchnictwu miejscowego proboszcza. Ich obowiązkiem służyć do Mszy św., uczestniczyć i dopomagać w nabożeństwach, a wreszcie katechizować dzieci. W każdej parafii, w jednym lub po kilku kościołach odbywa się nauczanie dzieci katechizmu codzień wieczorem, do czego wyznacza proboszcz po kolei kleryków zostających w jego parafii. Rzecz naturalna, że starsi nigdy nań nie przychodzą, choć może nierazby się im przydało odświeżyć w pamięci prawdy wiary. Zresztą nie umiejąc po maltańsku nigdy nie mogłem się przekonać, jak wysoki tam poziom wykształcenia religijnego wśród ludu; ale że w obec takiej pasterki i nauczania nie musi być świetny, to nie ma wątpliwości.

Duchowieństwo na Malcie w ogóle ma dobrą opinią i doznaje istotnego poszanowania wśród ludności. Zarzucićby im można brak pewnej gorliwości. Na widoku ich leży Afryka, gdzie *messis multa, operarii autem pauci,* ale Maltańczycy zanadto przywiązani do swej ziemi, żeby się mogli zdobyć na takie poświęcenie i opuścić rodzinną swą wyspę. Dalej razi u nich, przynajmniej obcych, pewna lekkość przy sprawowaniu obrzędów kościelnych. Czytałem kilka opisów Malty napisanych przez Anglików protestantów; gorszą się oni niezmiernie każdym brakiem należytej powagi w tej mierze, i sądząc zbyt surowo, zarzucają im brak przejęcia się świętością swego urzędu, a nawet brak wiary. Tak znowu źle nie jest, ta lekkość ich jest raczej wypływem gorącego ich temperamentu, co daje się odczuć podobnie i we Włoszech.

Z zakonów znajdują się tu: Franciszkanie, tak minoryci, jak i konwentualni, Kapucyni, Karmelici trzewiczkowi, Augustyanie i Dominikanie. Wszyscy oni mają tu po kilka klasztorów, tak na Malcie jak na Gozo, i tworzą osobną prowincyą maltańską. Nauką wśród nich górują, jak przystało z tradycyi, Dominikanie. W Notabile istnieje ich wydział filozoficzny i teologiczny, wedle systemu św. Tomasza, na który prócz kleryków ich zakonu uczę-

szczają inni zakonnicy i nawet świeccy klerycy. Co tydzień we wtorek odbywa się tam publiczna dysputa z teologii i filozofii, na którą wstęp wolny mają wszyscy kapłani i duchowni.

Prócz tego przemieszkuje tu niemal cała prowincya sycylijskich Jezuitów, niegdyś względnie dostatnia, dziś w wielkiem ubóstwie żyjąca. Gorzej jeszcze dla nich, bo brak im pola do pracy. Mają wprawdzie konwikt na Gozo, a w nim do stu uczniów, ale kazań miewać, ani spowiedzi słuchać nie mogą, gdyż nie posiadają języka krajowego, a zawsze spodziewając się powrócić do dawnych siedzib, nie troszczą się, by się go nauczyć.

Rząd angielski, zagwarantowawszy, po zajęciu wysp, tych mieszkańcom wolność religijną i wszystkie przywileje, sumiennie dotrzymywał swego przyrzeczenia. W najmniejszej rzeczy nie starał się on ścieśnić tej swobody, nie stawiał żadnych przeszkód kapłanom, ani wiernym w zachowaniu odwiecznych zwyczajów w obchodach religijnych, owszem z zasady protegował Kościół katolicki we wszystkiem. Jako dowód tego przyjaznego usposobienia niech posłuży wypadek, którego sam byłem świadkiem. 19 marca b. r. miał przybyć świeżo prekonizowany biskup J. Eks. Mgsr Piotr Pace, z Rzymu do Malty. Dzień przedtem odpłynęła wojenna fregata 1-wszej klasy do Syrakuz, wysłana po biskupa z rozkazu gubernatora. O godz. 3-ciej po południu miał okręt zawinąć do portu. Godzinę przedtem dzwony całej Malty dawały znać o tem i cała ludność zgromadziła się w porcie i po ulicach, któremi miał przyjeżdżać. W istocie w oznaczonym czasie ukazała się „Temeraria“ w porcie, którą przywitały salwy innego wojennego okrętu. Zaledwo stanął okręt, podpłynęły liczne łodzie, a między niemi łódź gubernatora, by przewieść go na ląd, gdzie go czekał komendant portów, jenerałowie, duchowieństwo i reprezentacya ludności. Kiedy biskup wstępował na ląd, odezwały się nowe salwy portowej bateryi, a w pobliżu czekał powóz gubernatora, by go przewieść do pałacu biskupiego. Takich honorów nie dozna żaden biskup w kraju nawet katolickim.

Z drugiej strony jednak wyznać trzeba, że i szkody nie mało przynoszą Anglicy Kościołowi katolickiemu. Dość powiedzieć, że na Malcie, znajduje się dwadzieścia jeden lóż massońskich. Wszystkie należą i składają się z Anglików, Włosi bowiem mają tu je-

dnę tylko lożę, której nazwy nawet nie podają Almanaki i która tu pono wcale nie prosperuje. A w obec tego, czy nie grozi niebezpieczeństwo Maltańczykom, zwłaszcza tym, co żyją w bliższej styczności z Anglikami, łatwo osądzić.

Z innych wyznań mają tu protestanci swe dwa kościoły w Valecie, a Muzułmanie swój meczet z cmentarzem. Co roku spora liczba ich przejeżdża przez Maltę, jadąc do Meki lub z niej wracając. Przed laty kilkunastu cholera panująca na wyspie zabrała ich wielu z tego świata. Nie mając gdzie pogrzebać ciał swoich współwyznawców, musieli się postarać o założenie cmentarza, przyczem i meczet sobie wystawili. Pogrzeby swe odprawiają zawsze nocą, gdyż w dzień doznawali za wiele przeszkód od chłopaków, a nawet ludności, która zbyt nietoleratnie względem nich postępowała Skoro tylko bowiem pokazał się pochód pogrzebowy na ulicy, zgraje chłopców i ulicznikow szły za nim, szydząc z nich i rzucając kamieniami. Podobnie i Żydzi mają tu swoje okopisko, choć się na bóżnicę dotąd nie zdobyli. Ale od niejakiego czasu poczęli i oni napływać do Malty. Głównem ich siedliskiem jest Sticma.

Ks. Zdzisław Bartkiewicz.

Z Mołdawii.

Nieznajomość stosunków panujących w Rumunii. — Najnowsze książki o tym kraju. — Zachowanie się rządu względem katolików. — Usposobienie prawosławnych Rumuńczyków dla katolickiego Kościoła. — Polemika religijna. — Prawosławni biskupi. — Duchowieństwo katolickie i jego prace. — Trudności i niebezpieczeństwa grożące katolikom. — Katolickie kościoły i szkoły.

Rumunja, czyli właściwie *Romenja* [1], choć złączona kolejami i telegrafami z Europą, choć mnóstwo wspólnych interesów wiąże

[1] W języku krajowym pisze się *România*, ale wymawia się *Romenia*. Polskie „Rumuni", „Rumunja" wzięło prawdopodobnie początek z włoskiego, a na żadnych racyonalnych podstawach nieopartego sposobu wymawiania tych wyrazów. Ponieważ jednak oba *u* w *Rumunja*, pozyskały już u nas prawo obywatelstwa, więc i my nadal w tej pracy ustępując zwyczajowi z krzywdą, filologicznych względów, używać ich będziemy.

ją z ościennemi mocarstwami, bardzo mało jednak w Europie jest znaną; a co się tyczy panujących w niej stosunków religijnych, to powiedzieć można bez przesady, że prawie wcale nie jest znaną. Względnie najlepiej znają nas i nasze stosunki pisarze i dziennikarze z sąsiednich Austro-Węgier, równie dlatego, że z nami sąsiadują jak i dla narodowościowego pokrewieństwa, które zachodzi między nami a niektórymi szczepami wchodzącymi w skład austryackiego cesarstwa. Francuzi mają wprawdzie liczne i bliskie stosunki z Rumunami, ale znają ich bardzo niedokładnie i powierzchownie. Dawni Włosi, zwłaszcza dawna wenecka dyplomacya śledziła za każdym objawem narodowego życia, znała wybornie zwyczaje, obyczaje i pragnienia rumuńskich swych pobratymców, jak tego dowodzą relacye przesyłane przez weneckich posłów i gruntowne dzieło napisane przez *Del Chiaro* o historyi wołoskiej. Z ostatnich dzieł i broszur włoskich zajmujących się naszym krajem wspomnieć należy o dwóch książkach wydanych roku zeszłego; pierwsza z nich p. t. „Rumunja“ wyszła z pod pióra radykała *Brutusa Amante*, druga p. t. „Góry Karpackie“ skreślił Dominikanin, *O. Wincenty Vanutelli*. Obaj autorowie zupełnie inaczej, z innego punktu widzenia na kraj się zapatrują; w czem obaj się zgadzają, to w tem, że nie mają jasnego wyobrażenia o ludziach i miejscowościach o których piszą. Wydają z trójnoga najfałszywsze sądy, tak, iż czasem mimowoli nasuwa się pytanie: Czy ci ludzie byli kiedy u nas? Czy kto z nich sobie nie zażartował i do innego kraju zamiast do Rumunii ich nie zawiózł? A jednak we Włoszech wzięto te książki za dobrą monetę. Dowód to, jak mało kraj nasz jest znany, tam nawet gdzie niejako z natury rzeczy najbardziej znanyby być powinien.

Wszystkiego, co zasługiwałoby u nas na uwagę, co zainteresowaćby was mogło, dotknąć choćby najpobieżniej naturalnie w tym liście nie mogę; ograniczę się więc tylko do paru punktów, odnoszących się do położenia Kościoła katolickiego w naszym kraju, stosunku rządu, biskupów i kleru schyzmatyckiego do katolików; trudności na jakie katolicy napotykają w wykonywaniu swej religii.

Jak rząd rumuński zachowuje się względem katolików? Odpowiadając na to pytanie, ściśle rozróżnić należy wyższe i niższe władze rządowe, a niemniej i samegoż króla. Prawodawstwo rumuń-

skie złatane jest z różnych skrawków zapożyczonych od liberalnych konstytucyj państw zachodnich; ale właśnie dlatego, że prawodawstwo to nie wyrosło jak w innych krajach ze starych zwyczajów, z dziejowych tradycyj, nikt go dokładnie nie zrozumiał, nie przejął się jego celami i zasadami, ani rumuńscy prawodawcy, ani rumuńska władza wykonawcza. Dodajmy do tego dowolność, lekkomyślność, coraz inne i coraz mniej pożądane kaprysy przedstawicieli władzy wykonawczej, a zrozumiemy łatwo, że i to co w kodeksie jest dobrego, w praktyce nie przynosi dobrych owoców; to natomiast co jest złego, a zwłaszcza antychrześcijańskie przepisy, mniejszem w praktyce grożą niebezpieczeństwem, niż ma to miejsce w innych państwach, z których ustawodawstwa bez ceremonii je przepisano. Pomimo tego dowolność w zastosowywaniu praw dochodzi do rozmiarów nie do uwierzenia, przedewszystkiem u niższych urzędników. Są to nieraz ludzie dla Kościoła katolickiego wrogo usposobieni, a niechęć ta niejednemu dotkliwie daje się we znaki, na pierwszem miejscu wiejskim proboszczom. Najnowszym tego przykładem prefekt z *Bacău*, który w ostatnich tygodniach chciał — wbrew oczywistym przepisom konstytucyi — poddać kościoły katolickie w swym okręgu pod prawodawstwo dla komitetów kościelnych, uchwalone w r. 1874 przez centralny Synod w Bukareszcie, a sankcyonowane przez ówczesnego księcia, a dzisiejszego króla Karola I; — prawodawstwo odnoszące się, i które jedynie odnosić się może do kościołów prawosławnych i narodowych.

Przeciwnie władze wyższe raczej przychylnie, niż nieprzychylnie są usposobione dla nas katolików, bądź to dlatego, że wyżsi urzędnicy są ludźmi bardziej ucywilizowanymi i bardziej sprzyjają cudzoziemcom; bądź dlatego, że zagraniczni konsulowie i rządy opiekują się katolikami, którzy w pewnej części są zagranicznymi poddanymi; bądź i z tej przyczyny, że król jest katolikiem, i to jak sądzą powszechnie prawosławni Rumuni, bardzo gorliwym katolikiem, a zatem grzeczność i uprzejmość dla katolików jest pewnym sposobem pozyskiwania sobie łaski królewskiej. Zresztą grzeczność ta wyższych urzędników nie wychodzi, w ogóle mówiąc, z poza sfery czysto platonicznej; o subsydyach, o jakiejś rządowej pomocy dla Kościoła katolickiego w Mołdawii, nikomu się i nie

śni. A jednak trzy części katolików mołdawskich ma rumuńskie obywatelstwo, spłaca ojczyźnie dług z pieniędzy i własnej krwi.

Sam król postępuje sobie z nami zupełnie podobnie jak jego ministrowie. Być może i chętnie temu wiarę dajemy, że czasami osobistym swym wpływem przeważa szalę na naszę stronę, ale pozytywnych faktów i dowodów w tej mierze, przynajmniej co się tyczy Mołdawii, nie mamy. Miłość króla dla nas jest czysto platoniczna. Bacznie uważa, aby jednać sobie umysły i serca prawosławnych, najskrupulatniej unikać wszystkiego, coby ich mogło nie już nie obrazić, ale choćby najmniej nieprzyjemnie dotknąć; tak, że w gruncie rzeczy król Karol nie okazuje nam większej przychylności od prawosławnych swych poprzedników na tronie mołdawskim, którzy wyświadczając nam różne przysługi, nie potrzebowali się krępować obawą, aby ich nie posądzono, że działać chcą na szkodę własnej swej religii.

A sami prawosławni Rumuni: lud i klasy wyższe jakże usposobieni są względem religii katolickiej; czy okazują jaką chęć, choćby bardzo słabą, powrotu do katolickiego Kościoła? Sądząc z pierwszego rzutu oka, zdawałoby się, że Rumuni przywiązani są jak najsilniej do swej religii, podobnie jak rzeczywiście są przywiązani do swego języka i narodowości, którą nieraz z religią mieszają i identyfikują do tego stopnia, że Kościół uważają jako instytucyę n a r o d o w ą. Zbadawszy rzecz dokładniej przekonujemy się, że lud istotnie przechował wiarę w pewną, bardzo zresztą szczupłą liczbę prawd, z któremi go zapoznano; klasy natomiast wykształceńsze nie znają katechizmu lepiej od ludu, a w praktyce w nic nie wierzą. Równie warstwy wyższe, jak niższe pogrążone są w najgłębszej religijnej obojętności; z religii swej wprowadzają w życie zaledwie pewną cząstkę zewnętrznych praktyk. Kto nieco częściej te czysto materyalne praktyki powtarza, ten uchodzi za gorliwego, ale i takich gorliwych nie wielka garstka. Kościoły, nawet po wsiach świecą pustkami i to nie tylko w niedzielę, ale i w znaczniejsze święta. Klerowi brak wpływu, zasług, nauki; w najznaczniejszej części zarażony on jest sceptycyzmem, podobnie jak warstwy wykształceńsze. Z bardzo nielicznymi wyjątkami, nikt nie myśli w p r o s t o powrocie do jedności z Kościołem; bardzo niewielu myśli o tem ze względów politycznych, ale nie religijnych.

W ogóle mówiąc Rumuni raczej czują nienawiść, niż pogardę dla katolicyzmu; nie wierzą oni, aby katolicy silniejszą i żywszą mieli od nich wiarę, nas katolików uważają za obłudników; księży naszych wszystkich przezywają „jezuitami“, choć z drugiej strony nie tają, że księża katoliccy „lepiej są w rzemiośle swem wyćwiczeni“. Nie dawno temu drukowały katolickie gazety francuskie, włoskie, niemieckie różne pocieszające wieści o bliskiem nawróceniu się Rumunów; niestety! wieści te nie opierają się na niczem, wysnute są wprost z bujnej wyobraźni swych autorów. Prawda, i sprawiedliwość wyznać nakazuje, że znajduje się między prawosławnymi Rumunami pewna garstka ludzi wykształconych, tak mężczyzn jak i kobiet, którzy nam sprzyjają i nie usuwają się od oddawania niektórych usług: zazwyczaj są to ludzie zamożni, którzy dłuższy czas przebywali za granicą; lub wychowanki naszych Sióstr zakonnych i ich rodziny. Nie myślą oni o nawróceniu się, ale wolni są przynajmniej od wielu przesądów przeciw wierze naszej, którym ogół Rumunów ulega.

Co do biskupów prawosławnych, to kler cały, nawet i wyższy, za mało jest wykształcony, aby w pismach i broszurach odważył się występować z nami do walki. Prawosławni biskupi zazdroszczą nam widocznej wyższości, a zresztą nie zachowują się względem nas, przynajmniej tu w Mołdawii, ani lepiej, ani gorzej od reszty swych współziomków. Wyjątek w tej mierze stanowi słynny *Melchizedech*, biskup z *Roman*, człowiek stosunkowo uczony, ulegający wpływom rosyjskim, który żadnej nie opuszcza sposobności, aby i słowem i piórem, na nas nie uderzyć, z wielką gwałtownością, z nie mniejszą, w oczy wpadającą złą wiarą. Jako przykład posłużyć tu może dziełko jego *Papismul* (Papiestwo), wydrukowane, a następnie powtórzone przez wszystkie większe dzienniki w r. 1883, w celu wzburzenia przeciw nam ludności z powodu zamianowania *ks. Paoli* arcybiskupem w Bukareszcie. Dla dania pojęcia o zasługach i nauce prawosławnych biskupów rumuńskich, wystarczy zacytować literacko-teologiczne prace obecnego metropolity prymasa całej Rumunii, *Józefa Gheorghiana*, rodem z Mołdawii. Przetłumaczył on na język rumuński w r. 1857, gdy jeszcze nie był biskupem, „Żyda wiecznego tułacza“ przez *Eugeniusza Sue;* w r. 1875, gdy był biskupem w *Huszi* przełożył: „Wykład

nauki chrześcijańskiej prawosławnej“ przez apostatę *Włodzimierza Guetté* w r. 1880, gdy był biskupem dolnego Dunaju (z siedzibą w Gałaczu), przełożył napisane przez tegoż *Guetté:* „Schyzmatyckie Papiestwo, a w krótkiej przedmowie, przez samego siebie skreślonej poleca gorąco tę książkę, jako stanowczą odpowiedź na wszystkie pretensye następców św. Piotra i rzymskiego Kościoła.

Gheorghian został wybrany 22 listopada (4 grudnia) 1886 r. metropolitą węgierskiej Wołoszczyzny i prymasem Rumunii. Za jakie zasługi spotkała go ta tak wysoka godność? Złośliwi utrzymywali, że raczej za przetłumaczenie obrzydliwego romansu *E. Sue,* niż za przekład wrzekomo teologicznych dziełek. Złośliwe to, rzecz prosta, wymysły, gdyż sam król, który dawszy Gheorghianowi inwestyturę biskupią przez wręczenie mu biskupiego pastorału, tak się do niego odezwał w publicznej przemowie: „Wszechmogący powołał cię do spełnienia wielkiego i świętego posłannictwa. Wspólna ufność parlamentu i ludu, opierając się na miłości, którą otaczają cię bracia twoi w Chrystusie, złożyła na twe barki godność metropolity prymasa rumuńskiego. Szczęśliwy jestem, że potwierdzić mogę w arcypasterskim urzędzie tak pobożnego i uczonego metropolitę... We mnie znajdziesz Najświętszy Ojcze zawsze najbezpieczniejszą i najsilniejszą podporę we wszystkich twych usiłowaniach dążących do wyniesienia i utrwalenia narodowego Kościoła, któremu wszyscy winniśmy najwyższą cześć, najgłębsze hołdy“. Dla stwierdzenia tych słów przykładem, zeszedł następnie król Karol z tronu i ucałował ręce nowego prymasa [1].

Jakże w obec tego wszystkiego zachowuje się katolickie duchowieństwo w Mołdawii; czy może nietaktownem swem postępowaniem słuszną niechęć ku sobie obudza i staje się przyczyną religijnych walk i niechęci? Śmiało odpowiedzieć można: duchowieństwo katolickie strzeże się wszelkiej zaczepki jak ognia, a dla prawosławnych stara się być zawsze pełnem uprzejmości. W roku 1886 ogłosiły prawosławne dzienniki wszelkich barw i odcieni formalną krucyatę przeciw katolicyzmowi z okazyi listu pasterskiego wydanego przez katolickiego arcybiskupa z Bukaresztu *Mgr. Palma;*

[1] Por. czasopismo: *Biserica ortodoxă română.* Rok X. Nr. 12. Str. 946–951.

w krucyacie tej wzięła udział i prasa ministeryalna, natomiast dzienniki mołdawskie stanęły bardziej na uboczu. Ataki te nieco ucichły dopiero po ogłoszeniu słynnego apologetycznego dziełka *Pravoslavia Română* („Rumuńskie Prawosławie"). Dziełko to wydane, — jak sądzono przez chwilę — przez katolickiego biskupa z Jass, wyszło właściwie z pod pióra *Dr. Narsete Marianu*, rodowitego Rumuna i gorliwego katolika; rzuciło niemały popłoch w przeciwnym obozie i stało się powodem zaciętych dziennikarskich sporów i w Rumunii i za granicą. Autor umiał przemówić do swych współziomków własnym ich językiem, umiał trafić i trafił do ich przekonania, a kto tutaj żyje, ten wie dobrze, że rozprawa ta i ze względu na treść i ze względu na formę, choć za granicą Rumunii nie jednemu forma ta do przekonania nie trafiła, na najwyższe zasługuje pochwały. Czemuż broszura taka nie okazała się wcześniej, np. w r. 1883, jako odpowiedź na pamflet „Papiestwo"? Katolicy uniknęliby byli wielu przykrości, ustrzegliby się przed wielu napadami gazeciarskimi, gdyby przeciwnicy ich wiedzieli, że „wsi strzegą psy," jak wyraża się rumuńskie przysłowie.

Prócz wyliczonych już burz i zewnętrznych niejako utarczek, napotykają katolicy mołdawscy na inne, a nie małe trudności w wykonywaniu swej religii. W ogóle w całej Mołdawii znajduje się około 64.000 katolików i to rozsypanych w 234 wsiach i miasteczkach, z wyjątkiem paru większych wsi w okręgu *Roman* i *Bacau* pomieszanych z prawosławnymi. Kościołów i kaplic publicznych, przeważnie nadzwyczaj ubogich, liczymy około 120; parafij tylko 26, a kapłanów misyonarzów, włączając i samegoż biskupa tylko 27 [1], między którymi największa część ma przeszło 40, 50 lub 60 lat, a dwóch najstarszych skończyło 74 lat i pracować już nie mogą. Wszyscy proboszcze, z wyjątkiem proboszczów z Jass i Galaczu, obsługiwać muszą kilka miasteczek lub wsi i kilka kościołów. Dość powiedzieć, że do niektórych parafij należy 20, czasem 30 i więcej jeszcze wiosek, z których kilka odległych bywa o 40 do 50 kilometrów od siedziby proboszcza. Złe drogi, rwiące strumienie, i rzeki

[1] W liczbę tę nie wchodzą trzej Ojcowie Jezuici i dwóch księży świeckich, z których jeden skończył 83 lat życia i choruje na wodną puchlinę; drugi rodem Francuz, jest kapelanem w domu pewnej prywatnej rodziny.

utrudniają nadomiar misyonarską pracę; narażają czasem misyonarza na oczywiste niebezpieczeństwo życia; na niebezpieczeństwo takie narażony był sam biskup z Jass w czasie ostatniej kanonicznej wizyty. W miejscowościach, w których szczupłe garstki katolików tu i ówdzie między innowiercami są rozsypane, daje się czuć dotkliwy brak środków materyalnych dla utrzymania proboszcza. Pochodzi to stąd, że r. 1864, kiedy książe *Cuza* wydał prawo nadające wszystkim duszpasterzom bez różnicy wyznań odpowiedni ich potrzebom kawałek gruntu, nie było jeszcze w tych wioskach ani katolickiego kościoła, ani oznaczonej przez wymienione prawo liczby katolickich rodzin. W innych miejscowościach mających wymagane warunki, oddano kościołowi katolickiemu przepisany prawem obszar ziemi, którym w oznaczonym stosunku podzielić się mieli proboszcz, organista i dzwonnik. Prawo *Cuzy* odnosiło się wyłącznie do wsi, a nie do miast; w miastach proboszczowie zadowolnić się muszą dochodami z *jura stolae,* dochodami kapiącymi skąpo i rzadko.

Przypomnijmy jeszcze sobie, że proboszcz nigdzie — z wyjątkiem Jass i Galaczu — nie ma wikarego, a łatwo pojmiemy, jak trudno rozproszonym po szerokich przestrzeniach katolikom spełniać należycie swe religijne obowiązki, zapoznać się z prawdami wiary, pojednać się z Bogiem przez przystępowanie do Sakramentów świętych i w życiu i w godzinę śmierci. Proboszczowie pracują jak mogą; w niedzielę odprawiają każdy dwie Msze św. w dwóch różnych kościołach, ale pomimo tego wierni odzwyczajają się a w danych okolicznościach trudno, aby się nie odzwyczajali, od regularnego spełniania przepisów wiary świętej.

Rozsypanie to katolików po wsiach prawosławnych, rozsypanie, które w skutek nowego prawa gminnego z kwietnia b. r. na większą niż dotąd skalę, z pewnością wystąpi; oddalenie katolików od siedziby swych pasterzów, jednem jeszcze i to wielkiem grozi niebezpieczeństwem. Żyjąc wśród ludzi innej wiary, oddanych nieraz najdziwaczniejszym zabobonom i przesądom, katolicy sami słabnieją w swej religii, zarażają się zabobonami, uczą się występku. W tym samym kierunku działa szkoła obowiązkowa, obsadzona wyłącznie prawosławnymi nauczycielami. Co gorsza, nauczyciel często nie tak jest heretykiem, jak raczej niedowiarkiem. Wielu nau-

czycieli odebrało swym uczniom katechizm wydany w r. 1885 przez biskupa *Camilli* pod pretekstem, że książka ta nie została zatwierdzoną przez ministeryum oświaty; wielu wbrew istniejącym prawom, zmuszało katolickie dzieci do uczenia się prawosławnego katechizmu.

Nieszczęściem, o zakładaniu szkół katolickich i marzyć nam trudno. Prawa krajowe dozwalają wprawdzie otwierać szkoły prywatne, ale skąd wziąść nauczycieli, skąd pieniędzy? Katolicy tutejsi są w ogóle ludźmi bez wyższego wykształcenia, ludźmi ubogimi; tymczasem, nie mówiąc już o kosztach na zakupienie gruntu i wybudowanie szkoły, należałoby zapewnić każdemu nauczycielowi pensyę roczną wynoszącą przynajmniej 2.000 fr., gdyż rzeczą jest niezbędną, jeśli na jakiekolwiek powodzenie chcielibyśmy rachować, aby i u nas szkoła była bezpłatną, jak bezpłatną jest szkoła rządowa. Chcąc na seryo zaradzić złemu, trzebaby potroić liczbę istniejących dziś parafij; trzebaby założyć dużo szkół katolickich dla chłopców i dla dziewcząt. Ale skąd dostać na to odpowiednich funduszów? Lugduńskie stowarzyszenie rozkrzewiania wiary posyła dla katolików mołdawskich około 10, lub 11 tysięcy franków rocznie; pożądany to, ale na wszystkie tutejsze potrzeby stanowczo o wiele za szczupły zasiłek. Obecnie potrzeby Kościoła w Mołdawii tem są większe, że w kwietniu 1887 spaliły się w *Bacau* wszystkie zabudowania należące do dawnego biskupiego majątku w Mołdawii; na naprawienie tej szkody musiał biskup zaciągnąć znaczne długi, a tak nie jest obecnie w stanie udzielić jakiejkolwiekbądź pomocy walczącym nieraz z rzeczywistą nędzą misyonarzom.

Nie wesoły to obraz życia i potrzeb mołdawskich katolików; daj Boże! abym kiedyś później może ponownie dla was obraz ten kreśląc, mniej smutnej mógł użyć farby, bardziej pocieszającymi wiadomościami mógł się z Wami podzielić.

Korespondencya Redakcyi.

Odpowiedź ks. prof. dr. J. Pelczara na recenzyą, *Kazań na uroczystości i niektóre święta N. Panny Maryi,* zamieszczoną w zeszycie wrześniowym. Pośpieszamy tę odpowiedź umieścić, gdyż nie chcielibyśmy bynajmniej uwłóczyć wartości tej cennej książki.

„Zadaniem recenzenta jest przeczytać uważnie dzieło, które ocenia i być ostrożnym w doborze wyrazów, iżby podnosząc za jaskrawo strony ujemne, albo pomijając milczeniem dodatnie, nie ubliżył prawdzie lub sprawiedliwości. Tak właśnie zawinił szanowny recenzent mojego dziełka pt.: *Kazania na uroczystości i niektóre święta N. Panny Maryi.* Zaraz na wstępie swojej oceny pisze on: „Co do samego wykładu, autor nie wyszczególnia się oryginalnością i świeżością pomysłów. Założenia i temata są dość powszednie, jakie w każdym podręczniku spotkać można". Jestże to prawdą? Czyż temata takie, jak np.: „Niepokalane Poczęcie N. P. M. w wyrokach Bożych i w dziejach Kościoła" — „Niepokalane Poczęcie wykazuje cenę łaski poświęcającej" — „Marya wzorem posłuszeństwa dla prawa" — „Marya ofiarą swoją uczy nas, jak mamy ofiarować się Bogu" — „N. Panna w obec Przenajśw. Tajemnicy Ołtarza" — „O Boskiem Macierzyństwie N. Panny Maryi" — „Marya jest wzorem i Mistrzynią doskonałości" — „Marya jest gwiazdą świata" i t. p., są w istocie powszednimi? A przypuściwszy nawet, żeby tak było, jak nie jest, czyż się godziło o tych przedmiotach i innych, jak np., o cnotach, boleściach, chwale, opiece i pośrednictwie N. Panny Maryi całkowicie zamilczeć, aby natomiast uganiać się za wymuszoną nieraz i niepłodną oryginalnością? Czyliż Skarga, Bourdaloue i t. p., o czem innem prawili? Nie równam się z wielkimi kaznodziejami, to atoli powiedzieć mogę, że żadne z moich kazań nie jest naśladowaniem lub przeróbką, ale że wszystkie są pracą oryginalną, i że wykład Tajemnic, oparty na Piśmie św. i Ojcach Kościoła, starałem się połączyć z zastósowaniem praktycznem. Czy tak jest, niech osądzą sami czytelnicy, a jest ich, dzięki Bogu, nie mało. Co więcej, w zbiorze moim są temata, jakich inni kaznodzieje dotąd nie obrabiali, jak np. „N. Panna Marya w obec Przenajśw. Tajemnicy Ołtarza" — „Najśw. Panna Marya jest Opiekunką i Królową dziewiętnastego wieku" — „N. Panna Marya jest Królową i Opiekunką narodu polskiego". Czyli szanowny recenzent tych kazań nie czytał? Wszakże dość było zaglądnąć do spisu. Jeżeli ich nie czytał, jakże mógł zabrać się do krytyki? Jeżeli je czytał, dlaczego o nich zamilczał? Dlaczego przynajmniej nie wspomniał, że między tematami „powszednimi" są „oryginalne" i „świeże?" Nie wymaga się od recenzenta życzliwości, tem mniej przesadnych pochwał; ale słusznie żądać można, aby był sprawiedliwym. *Suum cuique,* oto zasada, której przedewszystkiem w krytyce trzymać się należy, inaczej można łatwo wyrządzić krzywdę autorowi i zaszkodzić dobrej sprawie".

Druk ukończony dnia 28 września 1889 r.

SPOŁECZEŃSTWO W OBEC ROZUMU I WIARY.

II.

Rodzina.

W obec chaotycznego zamieszania w dziedzinie pojęć, jakie zapanowało obecnie we wszystkich po za Kościołem organizujących się obozach, tak w religijnych jak i społecznych kwestyach, traktując tak prosty nawet jak organizacya rodziny przedmiot, nie podobna piszącemu zesłać się na jakiebądź powszechnie uznane zasady, lecz rozpoczynać potrzeba, że tak rzekę, od abecadła, pewniki nawet same praktycznymi stwierdzając dowodami. To też przytaczając dla wierzących wyroki Pisma św., nie poprzestajemy na tem bynajmniej, lecz staramy się jeszcze wesprzeć każde nasze twierdzenia poczerpniętymi z doświadczenia dowodami, któreby każdy łatwo sprawdzić był w stanie.

Uwzględniając to, że zawiązkiem rodziny jest małżeństwo, rozpoczniemy studya nasze od niezwykłej dla chrześcijańskich uszu kwestyi: *mono* i *poligamii*, którą Ewangelia tak stanowczo rozstrzyga.

Na to by upewnić się praktycznie, iż tylko związek jednego z jedną w stanie jest posłużyć za bezpieczną do życia rodzinnego podstawę, dość spojrzeć na wschodnie haremy; widok ten bowiem przekona każdego dobrej wiary badacza, że wielożeństwo, poniżając kobietę i z towarzyszki męża czyniąc z niej, nie już służebnicę

nawet, ale jego własność, bezduszną zabawkę, względnie zaś do synów jedynie ich mamkę i piastunkę, bez żadnego na moralne wychowanie wpływu, widok mówię tego duchowego sponiewierania kobiety w haremie, nie pozwoli wątpić, że wielożeństwo najgorzej rodzinne zabezpiecza interesa. Jeśli zaś w świecie muzułmańskim, gdzie pod wpływem religijnych wierzeń i odwiecznych zwyczajów mężczyzna poczuwa się do obowiązku utrzymywania swym kosztem aż do ich zgonu wszystkich żon swoich, kobieta zaś pozwala się zamykać bez oporu, nie protestując nawet przeciw takiemu porządkowi rzeczy, który im samym wydaje się naturalnym; jeśli w muzułmańskim, mówię, świecie poligamia tak opłakane sprowadza skutki, to o ileż szkodliwiej oddziałaćby ona nie omieszkała na przekształcone na bezwyznaniową modłę społeczeństwo, gdzie zasada równouprawnienia płci obojej i emancypacyi kobiet, zdejmuje poniekąd z mężczyzny ciężar wyłącznego utrzymania rodziny, kobiecie zaś pozostawia prawo wyzwolenia się w każdej chwili od wszelkiej w stosunku do męża zależności. Pewnie haremy bezwyznaniowców, gdyby kiedy na wzór Mormonów zaprowadzone zostały, napełniałyby się coraz to nowemi namiętności ofiarami, wyrzucając na bruk bez litości wszystkie strącone z ołtarza serca ideały. A cóż i mówić o politowania godnem potomstwie, skazanem od kolebki niemal na wytrącenie z rodzicielskiego domu do publicznych zakładów, jeśli nie na uliczne śmiecisko.

Lecz i monogamia nawet nie będzie w stanie zabezpieczyć losu rodziny i nie dostarczy jej trwałej podwaliny, jeśli obok niej prawodawstwo upoważniać zechce rozwody; gdyż wówczas tylko oboje małżonkowie bez wahania włożyć mogą w urządzenie wspólnego gniazda wszystkie swoje tak moralne jak i materyalne zasoby, kiedy o zerwanie dokonanego związku, żadnej nie będą mieli obawy. Skoro już z prawa natury związek małżeński wymaga nietylko wspólności pożycia i mienia, ale też zjednoczenia uczuć i przekonań, bez czego główny cel małżeństwa, tj. wychowanie dzieci, zostałby chybiony, to czyż możebną jest, pytam tak doskonała spółka przy rozerwalności tego związku? Przecież żadne tego rodzaju zjednoczenie dokonanem być nie może bez zobopólnej ofiary, bez długiej nieraz i uporczywej walki; któż zaś gwałt podobny zadawać sobie zechce, wiedząc, iż wprzód nim ostateczne

zwycięstwo odnieść nad sobą zdoła, sam cel przedsięwziętej walki przez zerwanie małżeństwa, usuniętym być może? Każdy, komu moralna strona małżeńskiego związku obojętną nie jest, nie omieszka przyznać, iż tylko bezwzględna nierozerwalność zawarować może i oględność potrzebną przed ślubem, i wyrozumiałość po jego zawarciu. I zaiste: któryż pytam młodzieniec, nie stanąłby bez wahania na kobiercu z pierwszą dziewczyną co go zapalić potrafiła, gdyby wiedział, że równie łatwo zbrzydzoną opuścić mu będzie wolno? Wszelkie do rozwagi skłaniające dziś względy, w obec rozbudzonej namiętności ostaćby się nie zdołały, skoro na każdy zarzut młodzieniec odrzecby miał prawo: „jeśli mię nie uszczęśliwi, to ją porzucę bez wahania". Po zawartem zaś małżeństwie pierwsze nieporozumienie, pierwsza scena gwałtowna, pierwsze nawet silniejsze uderzenie serca, wywołane zalotnem innej kobiety spojrzeniem, aż nadto do opuszczenia żony wystarczy. Toż samo nastąpić by musiało i ze strony kobiety. A jaki los czekałby dzieci takich małżonków, nie trudno odgadnąć, jeśli obok zawikłań majątkowych powstawało raz po raz owo rozdarcie uczuć między ojcem i matką. Dziś w niejednym kraju możliwość rozwodów jest legalnie uznana, a że te smutne następstwa nie objawiają się w całej pełni, to tylko dla tego, że opinia powszechna gani jeszcze w ogóle, a tem samem utrudnia i ogranicza rozwody. Ale ta opinia jest wytworem i resztką chrześcijańskiej nauki o nierozwiązalności małżeństwa. Gdyby nie ona, cóżby rodzinę od zagłady broniło?

Może nam kto zarzuci, że Stary Testament, jakkolwiek z natchnienia Bożego napisany, rozwody jednak upoważniał; lecz na ten zarzut sam Zbawiciel już odpowiedział, oświadczając, iż Mojżesz jedynie dla twardości serca Żydów żonę opuścić dozwalał. Żeby zaś o przedwiecznych postanowieniach Stwórcy żadnej pod tym względem nie pozostawić wątpliwości, Syn Boży wnet dodaje: *Nie czytaliście, iż który stworzył człowieka, od początku mężczyznę i niewiastę stworzył je? i rzekł: dla tego opuści człowiek ojca i matkę, i złączy się z żoną swoją, i będą dwoje w jednem ciele. A tak już nie są dwoje, ale jedno ciało. Co tedy Bóg złączył, człowiek niechaj nie rozłącza*[1]. Grzech pierworodny tak ska-

[1] Math. XIX, 4.

ził ludzką naturę, iż obowiązki męża i ojca, przy dozgonnem z jedną żoną pożyciu, przewyższałyby częstokroć ludzkie siły, i dlatego to Bóg tolerował w czasie trwania zakonu obietnicy tak wielożeństwo jak i rozwody, nie chcąc wymagać od ludzi więcej niż w ówczesnym stanie wypełnić mogli. Skoro jednak Odkupiciel przyszedł i w obfitym wylewie łaski podał nam lekarstwo zdolne uzdrowić nas z grzechowego skażenia i pierwotne duchowi przywrócić siły, wnet też i pierwotne wznowił wymagania odnośnie do małżeństwa, podnosząc zarazem ten związek do godności Sakramentu, i specyalnemi udarowując je łaskami, przy których pomocy znowu możebnem się stało to, co Patryarchom nawet zbyt twardem się zdawało. Jeżeli zaś Chrystus wyniósł małżeństwo Chrześcijan do godności Sakramentu, stąd wynika, że u Chrześcijan tylko sakramentalne małżeństwo jest rzeczywistem małżeństwem, a gdzie nie ma Sakramentu, tam nie ma małżeństwa tylko dzikie pożycie, konkubinat, stan gorszy niż u pogan, gdzie przecież, choć bez Sakramentu, prawdziwe małżeństwo ma miejsce[1]. Skoro zaś tak jest, to któż z wierzących nie widzi jak niepowetowaną chrześcijańskiej rodzinie wyrządzają szkodę owi nieoględni publicyści i mężowie stanu, co dla umocnienia rzekomo powagi państwa, cywilnym pseudo-ślubem sakramentalny zastąpić usiłują. Gdyby nawet prawo cywilne monogamią i nierozerwalność małżeństwa obowiązującemi uczyniło, to bez łaski sakramentalnej nie zdoła ono nigdy udzielić małżonkom niezbędnej do spełnienia wymagań swych siły, tak że stan legalny rodziny wcale zgadzać się nie będzie z jej rzeczywistym stanem. Prawda, że i sakramentalne małżeństwa nie są częstokroć wzorowe, ale być mogą, i przy dobrej woli bywają wzorowe, podczas gdy ogołocone z łaski pierwej czy później koniecznie poszwankować muszą, bądź to pod względem wzajemnego małżonków pożycia, bądź wychowania dzieci.

Powie kto może, iż wzajemne przywiązanie dostateczną jest małżeńskiego szczęścia rękojmią, nie potrzeba więc ani pomocy z nieba, ani żadnych wierności stróżów, tam gdzie szczera miłość straż nad sercem trzyma? Nie zaprzeczamy bynajmniej, że istotnie

---

[1] Syllabus nr. 73.

wzajemne przywiązanie ułatwia niezmiernie dobre małżeńskie pożycie, osładzając zmartwienia a zdwajając pociechy; ale komuż nie wiadomo, że uczucie na przyrodzonej jedynie oparte sympatyi, rzadko na lata trwanie swe rachuje, podstawą bowiem tego rodzaju miłości, oprócz czysto zmysłowego pociągu, są zwykle przymioty urojone; skoro więc zaślepiające łuski z oczu spadną, wnet razem z rozczarowaniem i chłód też przychodzi. Co chwila słyszeć się dają wzajemne małżonków narzekania, w których każda strona zarzuca drugiej doznany zawód, winiąc ją o to, że nie posiada tych zalet, jakie przed ślubem mieć się zdawała. Jeśli zaś uczucie obowiązku, na uznaniu woli Bożej oparte, nie złagodzi rozjątrzenia, waśnie do tego wzmagają się stopnia, że wspólne pożycie męczarnią się wreszcie staje. Jeśli jest w obecnem społeczeństwie pewna liczba szczęśliwych stadeł, gdzie mąż i żona przy schyłku życia chwilę pobrania się błogosławią, to nie czemu innemu jeno religii, tę jasną domowego życia pogodę zawdzięczają. Religia bowiem, umocniwszy kojarzące się serca na nieuchronne walki żywota, zawczasu stawia przed oczy małżonków tak trudności przywiązanych do tego stanu obowiązków, jak i ciężką za niewypełnianie ich odpowiedzialność, zapłaty zaś za trudy szczęścia zupełnego za grobem dopiero spodziewać się każe. Przygotowany w ten sposób chrześcijanin rozważnie i bez złudzeń zabiera się do małżeńskiego stanu, nie przeto, że w nim same tylko znaleść się spodziewa uciechy, lecz, że czując się doń powołanym, ufa, że przy łasce Bożej łatwiej na tej niż na innej drodze na zbawienie zasłużyć zdoła. Wiedząc przytem, iż w skutek skażenia ludzkiej natury, nikt od wad i ułomności wolnym być nie może, nie łudzi się on, że w obranej towarzyszce życia same doskonałości znajdzie; to też chociażby niejeden odkrył w niej niedostatek, nie zniechęca się, ani na los swój narzeka, lecz z wyrozumiałością pokory nad poprawą ułomności żony pracuje, pomnąc, że i sam też wiele ma do sprostowania przywar, w czem bogobojne przywiązanie małżonki nawzajem z pomocą mu pośpieszy. Tym sposobem czas i bliższe poznanie się zobopólne, zamiast osłabiać pierwotną miłość, oczyszcza ją tylko i uświęca, nadprzyrodzony charakter jej nadając i tym sposobem z serca do sumienia ognisko zjednoczenia przenosząc. Lecz jeśli się nawet zdarzy, iż bogobojny małżonek nie znajdzie w towa-

rzyszce swojej równie gruntownych religijnych zasad, na którychby pracę doskonałego porozumienia się mógł oprzeć, to i ten nawet cios, jakkolwiek bolesny, nie złamie go wszakże ani z obranej przezeń drogi nie sprowadzi; gdyż więcej pomny na zaciągnięte obowiązki niż na spodziewane pociechy, przedewszystkiem o wywiązaniu się z powinności swoich myśli. Wiara w nierozerwalność małżeńskiego węzła tak głęboko tkwi w jego sumieniu, że opuszczenie żony równem wydaje się dlań wykroczeniem, jak opuszczenie ojca lub matki; gdyż jako obowiązki syna nie do osobistych zalet rodziców, lecz do ich wysokiej godności są przywiązane, tak i obowiązki męża, niezależnie od przymiotów żony, w moc jedynie sakramentalnej przysięgi, dopełniane być winny. To samo oczywiście stosuje się i do żony, którą religia w tenże sposób w głębi sumienia wiąże, niezależnie od postępowania dozgonnego towarzysza jej życia.

Ale prawidłowy rozwój rodziny nie na jednej tylko opiera się nierozerwalności małżestwa, lecz na dwóch jeszcze innych, równie z woli Bożej założonych podwalinach, któremi są: zależność żony od męża i dzieci od rodziców. Wyznaczając karę na upadłych prarodziców naszych, obrażony Stwórca rzekł do niewiasty: *Z boleścią rodzić będziesz dziatki, i pod mocą będziesz mężową, a on będzie panował nad tobą* [1]. Że zaś wyrok ten Boży nie został rozwiązany nawet i po dokonanem Odkupieniu, jasno okazuje się ze słów Apostoła narodów, już po wniebowstąpieniu Pańskiem wyrzeczonych: *Żony niechaj będą poddane mężom swym, jako Panu, albowiem mąż jest głową żony, jako Chrystus jest głową Kościoła... Ale jako Kościół poddany jest Chrystusowi, tak też żony swoim mężom we wszystkiem* [2]. Że zaś nie ma to być niewolnicze poddaństwo, jeno z wiary, miłości woli Bożej płynąca uległość, okazuje się z tego co tenże Apostoł zaleca mężom: *Mężowie, powiada on, miłujcie żony wasze, jako i Chrystus miłował Kościół, i samego siebie wydał zań* [3]. Nie samolubnego przeto panowania, ale miłosnego przewodnictwa, posuniętego aż do gotowości poświęcenia życia, wymaga od mężów Ewangelia. Toż samo powiedzieć można o stosunku rodziców do dzieci, jak to się okazuje z tych słów św.

---

[1] Gen. III, 16. [2] Ef. V. 22. [3] Ibidem 25.

Pawła: *Synowie, bądźcie posłuszni rodzicom waszym w Panu, bo to jest sprawiedliwa* [1]; a więc nie z bojaźni ludzkiej, ale w Panu, tj. przez wzgląd na wolę Bożą, przez miłość nadprzyrodzoną. Do rodziców zaś powiada: *A wy ojcowie nie pobudzajcie ku gniewowi synów waszych, ale je wychowywajcie w karności i grozie Pańskiej* [2], tj. w bojaźni Bożej, a nie w obawie gniewu i kar ludzkich. Rodzice przeto nie własny chwilowy kaprys dzieciom swym za normę postępowania stawiać winni, ale sami rządząc się we wszystkiem Pańskiem upodobaniem, tłumaczami jedynie woli Bożej i w stosunku do nich stać się powinni. Wówczas uczucie odpowiedzialności za użycie otrzymanej od Boga namiestniczej władzy względem dzieci pobudza bogobojnych rodziców do niefolgowania ich złym narowom, miłość zaś przyrodzona, podniesiona przez łaskę do godności cnoty chrześcijańskiej, podnieca ich gorliwość w pracy nad moralnem ich wykształceniem, w czem przykład skuteczniej nie równie działa niż upomnienie lub zachęta. Owo szukanie przedewszystkiem Królestwa Bożego i sprawiedliwości Jego, ułatwia wreszcie rodzicom należyte pokierowanie przyszłemi potomstwa swego zajęciami; nie uwzględniając bowiem ani głosu krwi i ciała, co radby cieszyć się obecnością ukochanych istot aż do śmierci, ani rodzicielskiej próżności, pragnącej światowego ich powodzenia w zaszczytach i dostatku, bogobojni rodzice starają się przedewszystkiem poznać wolę Bożą względem każdego ze swych dziatek, by nie zależnie od własnego interesu lub upodobania, drogą powołania je prowadzić. Jeżeli do powyższych względów dołączymy jeszcze to cośmy powiedzieli wyżej o rozdzieleniu zajęć i otrzymanych z pracy korzyści, to sformujmy sobie dość wierny chrześcijańskiej rodziny wizerunek, której najwydatniejszą może cechę stanowi owo wspólne wszystkim jej członkom przekonanie, iż istniejąc z woli Bożej i dążąc do wskazanego przezeń celu, składa ona solidarną całość, z której żadnego członka ani wyłączyć, ani upośledzić nawet wzajemna miłość nie pozwala; wspólne zaś to tak rodzicom jak i dzieciom usposobienie sprawia, iż nikt tu samolubnie o własnych tylko nie myśli interesach, lecz w każdej owszem czynności wszyscy interes wspólny mają na celu, i to nie mate-

[1] Ef. VI, 1. [2] Ibidem 4.

ryalny jedynie ani wyłącznie doczesny, ale też, i to przedewszystkiem wiekuisty, jako ostateczny koniec człowieka stanowiący. Uwzględniając tę ważną okoliczność, iż rodzina jest i materyałem, z którego gmach społeczny się buduje, i oraz wzorem tego gmachu, raczy nam czytelnik przebaczyć zbyt może drobiazgowy chrześcijańskiej rodziny rozbiór; ułatwi on nam za to później ocenienie prawdziwej wartości społecznego organizmu. Wprzódy jednakże niech nam jeszcze wolno będzie rzucić okiem na owo przekształcenie jakiego niewiara w łonie rodziny dokonywa.

Widzieliśmy iż głównemi ogniwami rodzinnego związku, wedle myśli Bożej, są: nierozerwalność małżeństwa, zawartego między jednym mężczyzną i jedną niewiastą; zależność żony od męża a dzieci od rodziców; solidarność całej rodziny na wspólnem przywiązaniu oparta, i wreszcie łaska sakramentalna, uświęcająca i wzmacniająca związek małżeński; obaczmyż co się dzieje z tymi żywiołami życia rodzinnego w społeczeństwie, które się całkiem od wpływów religijnych wyzwoliło. Co do pierwszego, komuż nie wiadomo, że od chwili kiedy ślub cywilny uzyskał prawo obywatelstwa w kodeksach wszystkich niemal państw konstytucyjnych, ułatwienie rozwodu stało się hasłem wszystkich przeciwników sakramentalnego małżeństwa. Gdziekolwiek władza dostawała się do rąk tak zwanego liberalnego stronnictwa, wnet ukazywały się w izbach wnioski domagające się ułatwienia rozwodów, a tyle przynajmniej o ile da się to uczynić w obec zbyt jeszcze silnej opozycyi katolickiej. Oportunizm więc tylko powstrzymuje dotąd rękę bezwyznaniowców od całkowitego rozwiązania na drodze prawodawczej związku małżeńskiego; nie omieszkają wszakże tego dokonać, skoro właściwa nadejdzie chwila, tj. kiedy poczują się na siłach. Żeby się o tem przekonać, dość przeczytać głoszone przez ich publicystów teorye, w których twierdzą bez ogródki, że związek małżeński jest tyranią krępującą serce i wolę dwojga ludzi, którzy powinni mieć prawo rozejść się, skoro choć jedno z nich nie znajduje szczęścia w zjednoczeniu. Widzieliśmy już wyżej, że taki niedorzeczny postulat znosi całkiem małżeństwo, a tem samem niweczy rodzinę i dziatwę porzuca bez opieki.

Obmyśliły wprawdzie teorye bezwyznaniowców lekarstwo na te opłakane skutki swobody związków: mianowicie na państwo

wkładają one obowiązek wychowywania dzieci od kolebki samej. Ale czyż to ostateczne rozwiązanie rodziny i obrócenie społeczeństwa w rzeszę podrzutków nie stawia już samo owych teoryj pod pręgierz wzgardy wszystkich serc szlachetnych, co godności człowieka sponiewierać nie chcą? Czego spodziewać się można od owej generacyi, nie mogącej ukazać swych rodziców, a więc nie znającej ani pieszczoty matki, ani ojca uściśnienia? Generacyi, której serca nie ogrzało rodzinnego przywiązania ciepło, ani zasiliły rodzinnych cnót tradycye? Jeśli uwzględnimy nadto tę ważną okoliczność, że wpływy religijne jak najstaranniej usuwane bywają przez bezwyznaniowców z publicznego wychowania, to łatwo pojmiemy w jaką bezdnę moralnego zepsucia wtrąconąby została ta biedna młodzież, pozbawiona jednocześnie opieki matki i Kościoła, tych dwóch rodzicielek, co urodziwszy nas ziemi i niebu, mlekiem rodzinnej i chrześcijańskiej miłości nas karmią.

W obec tak postawionej kwestyi domowego ogniska, cóż i mówić o posłuszeństwie żony dla męża, lub dzieci dla rodziców? Głosząc zasadę przyrodzonej równości, nie tylko już praw, lecz i uzdolnienia wszystkich ludzi, domagają się oni w imię tej zasady całkowitego zrównania kobiety z mężczyzną, we wszystkich gałęziach działalności tak prywatnej jak i publicznej. Nazwawszy upośledzeniem zależne stanowisko niewiasty w społeczeństwie chrześcijańskiem apostołowie emancypacyi żądają z jednej strony legalnego wyzwolenia kobiety z pod władzy mężczyzny, z drugiej zaś dopuszczenia jej do wszelkiego rodzaju zajęć, do jakich mężczyzna jest dopuszczony. Wszystkie zatem zawody naukowe, wszystkie posady tak publiczne jak i prywatne winny stać otworem przed płcią słabą, bez względu na życzenie ojców lub mężów. Znając skażenie ludzkiej natury, nie można się dziwić, że teorye podobne znajdują nie mało zwolenniczek w pośród lżejszych i samowolę miłujących niewiast, jeśli jednak w wyjątkowych razach w praktykę wprowadzona emancypacya może się wydać korzystną dla wyzwolonej kobiety, to w ogóle w jakże smutnem płeć słaba znalazłaby się położeniu, gdyby ojcowie i mężowie, przyznawszy córkom swym i żonom prawo do zarobkowania na każdem polu, usunęli się jednocześnie od obowiązku opiekowania się nimi i dostarczania środków utrzymania dla całej rodziny? Codzienne doświadczenie aż

nadto przekonywa, że praca kobieca, we wszystkich niemal gałęziach, daleko mniej przynosi niż męska; jeśli zaś uwzględnimy czas odjęty trudowi niewieściemu przez nieuchronne obowiązki macierzyństwa, to nierówność produkcyi będzie tak rażąca, iż zerwanie spółki wypadłoby niewątpliwie na ogromną szkodę kobiet. A jednak niedostatek materyalny stanowi najmniej może dotkliwą konsekwencyą emancypacyi; nierównie ciężej dotknęłyby rodzinę następstwa jej moralne. Pragnienie emancypacyi wyrodzić się może tylko z istniejącego już antagonizmu interesów, antagonizm zaś w rodzinie jest niewątpliwą oznaką słabnącego wzajemnego przywiązania. Weźmy kochającą się szczerze rodzinę i zaproponujmy jej członkom, aby zerwawszy wspólność interesów, tak się niezależnie urządzili, iżby każdy sam sobie wystarczał, nie potrzebując troszczyć się o to, co czynią inni; wszyscy jednogłośnie odrzuciliby z oburzeniem ów samolubny podział, pozbawiający całą rodzinę tylu serdecznych pociech ze wzajemnego dopomagania sobie płynących. Rozdział interesów z samej natury rzeczy prowadzi do rozłączenia się osób, które pracując poosobno nie mają powodu do częstego widywania się z sobą; w wielu zaś razach oddzielne mieszkanie staje się jednym z warunków powodzenia. W małżeństwie zatem emancypacya jest pierwszym krokiem do rozstania się małżonków; i tak też ją pojmują bezwyznaniowcy, którzy użyć jej pragną za klin do rozczepienia patryarchalnego pnia rodziny.

Ale emancypacya ma jeszcze jednę ujemnę stronę, która jeśli dotąd z całą jaskrawością nie wystąpiła, to dlatego jedynie, że będąc jeszcze w stadyum kiełkowania, nie dla każdego oka jest widzialną; stroną zaś tą jest wpływ jej na wychowanie dzieci. Któż nie przyzna, że w rodzinie, w której żona domaga się równych praw z mężem i nie chce ulegać jego władzy, dzieci też, nie mając przykładu posłuszeństwa przed oczyma, muszą zarazić się duchem przekory, i nie zechcą słuchać ani ojca ani matki. Krnąbrność zaś ta nie da się przełamać używanymi zwykle środkami moralności, działającymi na umysł lub sumienie, gdyż emancypacyjne teorye odjęły tym środkom główną ich podstawę, tj. zobopólne o ich słuszności przeświadczenie. Bo i cóż zaiste powiedzieć mogą z dobrą wiarą emancypowani rodzice zbuntowanemu dziecku, by je do uległości skłonić? Odwołują się może do Bożego przykaza-

nia o czci rodziców? Ale czyż tenże Bóg nie nakazuje także posłuszeństwa żony względem męża? Jeśli objawiona ludziom wola Stwórcy straciła swą powagę w jednym to i w drugim razie. Poczerpnięte znowu z rozumu argumenta tracą swą przekonywającą siłę w obec przyjętej przez rodziców zasady równouprawnienia wszystkich ludzi, bez względu na ich uzdolnienie, boć i dziecko przecie jest człowiekiem, a więc upośledzonem być nie powinno. Jeżeli matka wbrew oczywistości utrzymuje, że posiada wszystkie niezbędne do samoistnego bytu warunki, nie potrzebując przewodnictwa męża; to dla czegoż nie mieliby tegoż utrzymywać synowie, którzy młodzieńczego nawet nie doszedłszy wieku, siłą i odwagą prześcigają nieraz matkę? Nie trzeba być prorokiem aby przepowiedzieć, że jeśli rozwój idei socyalnych nie zmieni kierunku, to staniemy niebawem w obec równie jasno sformułowanej kwestyi emancypacyi dzieci, jak dziś sformułowana jest kwestya emancypacyi kobiet. Antyreligijne prawodawstwo utorowało już w wielu krajach w tym kierunku drogę, nakazując przymusowe uczęszczanie dzieci płci obojej do szkół bezwyznaniowych. Skoro zaś samo państwo odejmuje rodzicom jedno z najważniejszych praw przez Boga im udzielonych, prawo mianowicie wychowywania swego potomstwa wedle wymagań własnego sumienia, to czemuż dzieci nie miałyby być z czasem tąż drogą prawodawczą całkowicie od przewagi rodziców wyzwolone, aby pod wyłączną opieką państwa od kolebki pozostawać? Nie jestże to jedynie kwestya czasu? Zwłaszcza jeśli uwzględnimy ten smutny w bezwyznaniowych sferach objaw, że próżność i zarozumiałość młodzieży wzrasta w tymże przerażającym stosunku, w jakim miłość rodzinna i gotowość do wzajemnych ofiar upada.

Gdyby zaś socyalne to przeobrażenie ostatecznie się spełniło, gdyby rodzice zeszli istotnie do roli przedsiębiorców dostarczających państwu pewną ilość głów do szkół rządowych szkolnego materyału, najmniejszego nie zachowując na ich wychowanie wpływu, to potrzebujemyż mówić w coby się obróciła życiodawcza zasada solidarności rodzinnej, z wzajemnego tryskająca przywiązania, co trud miarą uzdolnienia, owoce zaś wspólnej pracy miarą istotnych każdego potrzeb rozdziela? Biada wówczas ułomnym, chorowitym lub w jakibądź sposób upośledzonym od natury dzieciom! Dla

państwa będzie to uciążliwe jedynie brzemię, wzgardzone i sponiewierane, które, jako wrzód społeczeństwa, do ujemnych sił w walce o byt zaliczy. I dziwićby się nie możnaby, gdyby państwo, co wnętrzności macierzyńskiego miłosierdzia nie posiada, zechciało pozbyć się na wzór Chińczyków, owych nieudolnych społeczeństwa pasożytów. Dość spojrzeć na to co dziś już dzieje się w wielu fabrykach, gdzie nieletnia dziatwa pracuje, by pojąć z jak nie ludzką bezwzględnością zarząd, zysku jedynie chciwy, wyzyskuje niedojrzałe pracowników siły, żadnej litości nad ich potrzebami nie mając.

O sakramentalnym wreszcie zasiłku, jakiego małżeństwo chrześcijańskie udziela do bogobojnego prowadzenia rodziny, nie ma co i mówić tam, gdzie jedynie obowiązujący ślub cywilny na to właśnie postanowiony został, by wyrugował ślub kościelny; po dokonaniu zaś tego i sam też do muzeum niedorzecznych przesądów złożonym zostanie. W społeczeństwie bezwyznaniowem małżonkowie pozostawieni są w każdym razie samym tylko wpływom przyrodzonym; że zaś z powodu ludzkiej ułomności, tak wewnętrzne żądze jak i ponęty zewnętrzne sprzysięgają się na rozbudzenie w sercu samolubstwa, a zabicie ducha ofiary, nie dziw przeto, że wyrosła na takim gruncie rodzina, zanim nawet legalnie zniweczoną zostanie, życiem wspólnem żyć nie będzie, nie mając ani wewnętrznego cementu chrześcijańskiej miłości, ani zewnętrznego nawet wspólnego zabiegów swych celu.

Takie są wpływy wiary i niewiary na wewnętrzny ustrój rodziny, skąd łatwo wnioskować o wartości każdego z tych dwóch pierwiastków; przejdziemy teraz do ocenienia tychże wpływów na samo społeczeństwo. (C. d. n.)

Ks. Z. Szczęsny.

SPRAWA POKUCKA ZA ALEKSANDRA.

Polska w chwili zajęcia Rusi Czerwonej przez Kazimierza Wielkiego bezpośrednio zetknęła się z świeżo wówczas powstałem państwem mołdawskiem. Było to wtedy państewko młodziutkie, słabe, stawiające dopiero pierwsze kroki w swem życiu, powstałe dzięki zupełnemu osłabieniu i rozprzężeniu Rusi, na jej dawniejszem terytoryum od gór siedmiogrodzkich po Dniestr. Stworzyli je wychodźcy wołoscy z Węgier, którzy pustką i odłogiem leżące ogromne obszary skolonizowali. Szczęśliwe ułożenie się stosunków zewnętrznych sprawiło, że państewko mołdawskie mogło się narodzić. Z tego państewka nie wyrósł jednak olbrzym, nie wyrosło państwo jakieś dojrzałe, ze wszystkimi cechami mu, jako takiemu przynależnymi. Nie zginęło ono wprawdzie w walce o byt z potężnymi sąsiadami, pozostało przy życiu, lecz powstał z niego twór dziwny o pewnych rysach charakterystycznych i niezwykłych, różniących go od innych państw. Bo też i życie, przez jakie przejść miało, było tak ciężkiem, że wśród ustawicznej walki o własne utrzymanie, nie mogło się prawidłowo rozwinąć. Żyło zaś ono pod skrzydłami opiekuńczymi państw sąsiednich, ciągłych też miało opiekunów i aż do najnowszych czasów nigdy nie wychodziło na

dłuższy czas z pod ich często nieproszonej opieki. Czasem było mu z tą opieką dobrze, ale o wiele częściej źle. Wśród podobnych stosunków potrafiło się jednak utrzymać, nigdy też nie było zupełnie wcielone do któregoś z sąsiadujących mocarstw.

W pierwszych zaraz zaczątkach istnienia Mołdawii, podnieśli królowie węgierscy prawa swe do zwierzchnictwa i opieki nad nią, jako nad państwem założonem przez poddanych węgierskich. Z chwilą jednak, gdy w skutek zajęcia Rusi Czerwonej przez Kazimierza Wielkiego Mołdawia weszła w bezpośrednie zetknięcie się z potężnem państwem polskiem, poczęli i królowie polscy narzucać swą opiekę i zwierzchnictwo młodemu temu państewku, usuwając równocześnie wpływy węgierskie. Od tego też czasu datuje się krzyżowanie dwóch wpływów, tj. polskiego i węgierskiego na Mołdawii, przyczem przyznać należy, że zwykle wpływ Polski był górą. Podniósł wprawdzie i chan perekopski, Urbek, równocześnie z Kazimierzem Wielkim i królem węgierskim Ludwikiem Wielkim swe pretensye do Mołdawii, lecz bezskutecznie. Pobity przez Kazimierza Wielkiego pod Lublinem w r. 1344, musiał od nich odstąpić.

Tymczasem Polska za Jagiellonów znalazła się w stadyum prawidłowego i naturalnego rozwoju na zewnątrz. W skutek połączenia się jej z państwem litewsko-ruskiem, polityka zewnętrzna Polski otrzymała trzy główne nowe cele, od których osiągnięcia zawisł był dalszy jej rozwój, a mianowicie: opanowanie brzegów morza Bałtyckiego, wojna z Moskwą i opanowanie brzegów morza Czarnego. Już z powodu tego ostatniego celu musiała zwrócić szczególniejszą swą uwagę na Mołdawią. Zresztą jeszcze przedtem samo zajęcie Rusi Czerwonej przez Kazimierza Wielkiego w skutek praw naturalnych musiało obudzić w Polsce dążenie do zajęcia Mołdawii. Kraj ten bowiem geograficznie należy do Rusi Czerwonej, Ruś też miała doń i historyczne prawa. Rząd polski dąży dla tego ciągle odtąd do przyłączenia Mołdawii do Polski. Zrazu ograniczał się na luźnym związku, czyniąc hospodarów mołdawskich hołdownikami polskimi, później po uporaniu się z Krzyżakami, w obec zbliżania się nawały tureckiej, przedsięwziął energiczne kroki do jej zupełnego podbicia. Zbliżała się bowiem chwila, kiedy

z kolei Turcya miała objąć zwierzchnictwo i opiekę nad Mołdawią. Rząd polski przestraszony, widząc z powodu tego groźne dla Polski niebezpieczeństwo, postanowił temu przeszkodzić przez podbicie Mołdawii. Następuje wielka wyprawa na Mołdawią króla J. Olbrachta, która jak wiemy, zakończyła się, dzięki pomocy tureckiej, zupełną porażką Olbrachta.

W jednej chwili wpływ Polski cały wiek trwający na Mołdawii upada, a wzmaga się natomiast jakkolwiek na pozór tylko, nie wpływ turecki, jakbyśmy sądzili, lecz węgierski. Na tronie bowiem hospodarskim siedział tam wówczas Stefan Wielki, jeden może z najznakomitszych panujących, jakich wydała Mołdawia. Wybrał on Węgry, by mu służyły na zewnątrz za odpowiedzialnych opiekunów i zwierzchników, bo one okazały się najsłabszymi i najmniej niebezpiecznymi. Książe ten przedtem już szukał oparcia w Węgrzech przeciw Polsce. Po zajęciu Kilii i Białogrodu przez Turków, Stefan, jakkolwiek jeszcze w r. 1485 jedynie tylko przy pomocy polskiej potrafił się oprzeć Turkom, zawarł był sojusz z najzaciętszym i najznamienitszym ówczesnym wrogiem Polski, królem węgierskim Maciejem. Teraz zaś, po porażce Polski, kiedy ona przestała już być dlań niebezpieczną, wybrał znowu króla węgierskiego na swego zwierzchnika.

W Węgrzech, w chwili porażki bukowińskiej J. Olbrachta, panował starszy brat jego i następcy jego na tronie polskim, Aleksandra, Władysław. Z największą skwapliwością pochwycił on ofiarowane sobie przez Stefana obowiązki zwierzchnika i odtąd w tej roli począł stale występować, przedewszystkiem zaś wtedy, kiedy rozchodziło się o ułożenie stosunków mołdawsko-polskich. Przebiegły Stefan chciał w wyżej wzmiankowany sposób nietylko przeszkodzić wspólnej akcyi Jagiellonów, tj. Władysława, króla Czech i Węgier i J. Olbrachta, a później Aleksandra, królów wielkiego polsko-litewskiego państwa, przeciw niemu, lecz nawet za pomocą węgierską tem pewniej i bezpieczniej wykonać swój plan, jaki uknuł przeciw Polsce. Planem tym było zajęcie Pokucia i przyłączenie go do Mołdawii. W jaki sposób uczynił to, pouczy nas ta rozprawka. Praca ta opiera się przeważnie na materyale rękopiśmiennym, ja-

kim jest bogaty zbiór Szujskiego aktów, odnoszących się do Aleksandra [1], może więc dorzucić parę nowych szczegółów do dziejów Polski za czasów tego króla.

Kolonizacya wołoska musiała, jak każda inna, głównie się trzymać biegu rzek i postępować wzdłuż nich. Główną rzeką Mołdawii obok Seretu jest Prut. Nad Prutem wzdłuż całego jego biegu musieli Wołosi zakładać swe osady. Naturalną więc jest rzeczą, że kolonie ich dosięgły górnego biegu i źródłowisk Prutu, a tym sposobem i Pokucia. Pokucie bowiem, jak wiemy, należy do zlewowiska górnego Prutu. Z tego też powodu Polacy sami z końcem XIV wieku nazywali Pokucie „Małą Wołoszczyzną“ [2]. Kolonizacya ta miała miejsce w czasie upadku Rusi; Wołosi zatem każdy szmat ziemi, jakkolwiek należący do Rusi a nawet przez ludność ruską zamieszkany, skoro tylko kilka osad na nim założyli, uważali za swój własny. Na tej tylko podstawie możemy sobie wytłumaczyć ich pretensye do Pokucia i sposób w jaki je podnosili, tj. przez domaganie się rewizyi granic dawnych. Kazimierz Wielki gdy zajmował Ruś Czerwoną, musiał zapewne zająć i Pokucie aż po Czeremosz i bukowińskie lasy, jako część kraju dosyć zaludnioną i to przeważnie przez Rusinów, poza którą ciągnęły się już pustki i lasy zrzadka tylko przez Wołochów zamieszkane.

Pierwszą wzmiankę o Pokuciu znajdujemy w źródłach dopiero pod r. 1395. W tym to roku wydają bojarowie mołdawscy akt, w którym zapewniają, że hospodar mołdawski Stefan I złoży hołd Władysławowi Jagielle, a zarazem oświadczają, że zrzekają się zwrotu Pokucia ze Śniatynem i Kołomyją [3].

Jest to więc formalne zrzeczenie się przez bojarów mołdawskich, wszelkich praw, jakie sobie mogli rościć do posiadania Pokucia. Prawa zaś owe opierały się najprawdopodobniej na wyżej

---

[1] Zbiór ten należy obecnie do Akademii Umiejętności w Krakowie, korzystałem zaś zeń dzięki łaskawości WPana profesora X. Liskiego.

[2] *Al. Jabłonowski:* Sprawy wołoskie za Jagiellonów. IV. str. XXIV.

[3] *Dogiel:* Codex diplomaticus. Tom I. fol. 599.

wzmiankowanej podstawie. Nie były to prawa oparte na pretensyach jakichś pieniężnych do Polski, zagwarantowanych prawem zastawu lub zupełnego odstąpienia Pokucia na rzecz Mołdawii, jakby to zrazu na podstawie kilku aktów sądzić można. Nie były one takimi tak w r. 1395, jak i później, kiedy je podniósł Stefan Wielki.

Jagiellonowie mogli wprawdzie pożyczać znaczniejsze sumy od hospodarów mołdawskich, przyczem obowiązywać się im w razie niewypłaty na termin długu dać ziemię pokucką w zastaw [1], lecz z powodu tego nie może być mowa o prawach jakichś Mołdawii do Pokucia. W rzeczywistości bowiem nigdy nie dostało się ono jako zastaw w ręce hospodarów mołdawskich, nigdy też ci nie domagali się wydania im w zastaw tego kraju z powodu niewypłaty pożyczonych sum; w przytoczonym zresztą akcie z r. 1395 zrzekają się bojarowie mołdawscy a nie hospodarowie, którzy pieniędzy pożyczali, wprost zwrotu Pokucia przez Polskę a nie prawa do zajęcia tego kraju, jako zastawu za niewypłacone sumy.

Mógł zajść inny wypadek za to, któryby dał powód do powstania pretensyj Mołdawii do Pokucia. Oto Pokucie mogli zająć Wołosi po nieszczęśliwej wyprawie Kazimierza Wielkiego do Mołdawii i po klęsce, jakiej doznał wówczas w ziemi Szepienieckiej w r. 1359, lub nawet za rządów Władysława Opolczyka na Rusi. Podobny wypadek zdaje się nam jednak tak nieprawdopodobnym, że nań powoływać się nie możemy. Trudno bowiem przypuścić, żeby tak słaba wówczas Mołdawia potrafiła wydrzeć Polsce całe Pokucie.

---

[1] W r. 1388 Władysław Jagiełło pożyczył od Piotra hospodara mołdawskiego 4000 rubli, za które zobowiązał się mu dać Halicz w zastaw, jeżeliby tej sumy w przeciągu 3 lat nie wypłacił. (Akta zapadnoj Rossii tom I, str. 22—23. Nr. 8). Ma się rozumieć, że, ponieważ tu rozchodziło się o tak ogromną na owe czasy sumę, miała być daną w zastaw cała ziemia halicka z Pokuciem. W r. 1400 Iwaśko syn powyższego Piotra darowuje już Władysławowi Jagielle ową sumę pożyczoną u ojca. (W. A. *Uljanickij:* Matieriały dla istor. wzaimn. otnoszen. Rossii, Polszi, Mołdaw., Wałach., i Turcii w XIV i XV. w. str. II. Nr. 13). W r. 1411 Władysław Jagiełło zeznaje, że winien jest oddać Aleksandrowi hospodarowi mołdawskiemu 1000 rubli, które pożyczyli mu byli przodkowie tego hospodara, a które zobowiązuje się mu wypłacić za dwa lata, jeżeliby zaś na termin ich nie oddał, wtedy ma mu oddać w zastaw Śniatyn i Kołomyję wraz z całą ziemią pokucką. (Uljanickij l. c. str. 20. Nr. 22).

To tylko jest pewnem, że, jak to na podstawie przytoczonego powyżej aktu wynika, Pokucie przed r. 1395 należało kiedyś do Mołdawii, lub że przynajmniej Wołosi mołdawscy sądzili na podstawie również wyżej wspomnianej, że należało do nich prawnie, i że Polska odebrała je im [1].

Pokucie obejmowało spory szmat kraju, należało do ziemi halickiej, a posiadało dwa znaczniejsze grody, mianowicie Śniatyn i Kołomyją. Granice Pokucia ówczesnego można w następujący sposób pociągnąć. Od strony południowo-zachodniej tworzyła granicę rzeka Czeremosz, z wyjątkiem, o ile nam wiadomo, dwóch wsi, które jakkolwiek leżały po prawej stronie Czeremoszu, należały do Polski. Pod Śniatynem przechodziła ta granica na rzeczkę Kolaczyn, wpadającą do Prutu, potem szła aż do wioski Potoka nad Dniestrem, (?) tu zwracała się na północny-zachód idąc w górę Dniestru, którego brzegów się trzymała aż do dawniejszych Czeszybies, dzisiejszego Jezupola pod Haliczem, tu zwracała się na południe z małem zagięciem na zachód, a tworzyło ją tu pasmo górskie, zwane „Czarny Las“; południowo-wschodnią wreszcie granicę tworzyły Karpaty [2].

Jak widzimy z tego, Pokucie było wcale znaczną częścią Rusi Czerwonej, a obejmowało okolice bogate i żyzne.

Od r. 1395 aż do czasu króla Aleksandra stale należało ono do Polski. Hospodarowie bowiem mołdawscy, chociaż może wiedzieli o dawnych prawach Mołdawii do Pokucia, nie odważyli się dopominać o nie, lub dochodzić swych praw z bronią w ręku. Pozostawali oni zresztą prawie ciągle w zależności od królów polskich, którym hołdy składali.

---

[1] O tem zdają się świadczyć następujące słowa poselstwa mołdawskiego wypowiedziane na sejmie lubelskim z r. 1503 podczas udzielonej im 22 listopada audyencyi: „quae (terra Pokucie) ab aeterno spectabat ad Moldaviensem terram, et videnter alienata est ab illa Moldaviensi terra diuturnis temporibus“. Al. *Jabłonowski* l. c. Akta i Listy. IV nr. 23, str. 79—83 (Źródła dziejowe tom X) mylnie umieszcza to poselstwo, które podaje w tekście ruskim pod r. 1502. *W papierach* bowiem *Szujskiego*, ma ono wyraźną, powyżej przytoczoną, szczegółową datę.

[2] Patrz *Uljanickij* l. c. str. 39 nr. 33. Porównaj dr. A. *Prochaska*. Sprawy wołoskie w XV wieku. (Przewodnik. nauk. i literacki r. 1888, str. 1068.

Dopiero Stefan IV Wielki (1458—1504) zajął się z właściwą mu przebiegłością tą sprawą. Nie mógł on zrazu ani myśleć o głośnem odezwaniu się lub jakiejś akcyi, w obronie nie zupełnie w każdym razie jasnych i pewnych praw swych do Pokucia, był bowiem hołdownikiem Kazimierza Jagiellończyka, potrzebował jego pomocy, a nadto bał się go.

Dla tego też nawet wtedy, gdy zerwał z nim i połączył się z Maciejem, królem węgierskim, wrogiem Kazimierza i gdy następnie uwaga dworu polskiego zwróconą była na królewiczów Olbrachta i Władysława, walczących ze sobą o tron węgierski, nie odważył się z otwartą przyłbicą, sam popróbować szczęścia, czyby mu się nie udało zająć Pokucia. Wysyła tylko zbrojne a liczne kupy chłopów, które w r. 1491 wpadają do Pokucia. Niesprawne te jednak tłumy, liczące do 10.000, pod wodzą przez pewnego Wołocha, imieniem Mucha, po przeprawieniu się przez Dniestr, zostały do szczętu zniesione w pobliżu Rohatyna, przez Mikołaja z Chodcza, kasztelana lwowskiego. Pokucie przytem strasznie ucierpiało. Śniatyn został zdobyty i zburzony, liczne wsie i miasteczka zajęte, przyczem chłopi dopuszczali się okrucieństw i rabunków.

Nieudała ta wyprawa nie zraziła jednak Stefana. Czego nie dokazali chłopi, to mogli z łatwością dokazać Turcy [1].

Wpada więc na następujący podstępny i dobrze go charakteryzujący pomysł. Oto wysyła prostego rabusia wołoskiego, imieniem Andrzeja, do sułtana tureckiego Bajazeta. Ten, stosując się do wskazówek udzielonych mu przez Stefana, przedstawia się sułtanowi jako krewny Kazimierza Jagiellończyka i żali się na niego, że mu zabrał ojcowiznę na Rusi, prosząc Turka, by mu udzielił pomocy, za co po odzyskaniu ojcowizny odda mu się w poddaństwo.

Sułtan wysłuchał rzeczywiście prośbę, uwierzył mu i wysłał z nim kilkutysięczny oddział na Podole. Wyprawa ta skończyła się jednak na niczem, gdyż dworzanom Michała z Buczacza udało się schwycić Andrzeja przy przeprawie przez rzekę, poczem Turcy niczego nie dokazawszy odeszli [2].

---

[1] *Jan z Targowiska.* (Bielowski: Monumenta Poloniae histor. tom III. str. 239).

[2] *Jan z Targowiska.* Ibidem.

Powtórny ten zawód sprawił, że Stefan postanowił teraz czekać na bardziej sprzyjające okoliczności. Nadto na dworze polskim łatwo przejrzano i łatwo domyślono się, że owe napady nastąpiły za pozwoleniem i z rozkazu Stefana. Dlatego też Kazimierz Jagiel. wysłał doń natychmiast z poselstwem Jana, arcyb. lwowskiego i Jakóba Buczackiego, kasztelana halickiego. Posłowie ci czynili Stefanowi ostre wymówki za ów napad, żądali surowej kary na przestępców i kategorycznie oświadczyli, że król podobnej obrazy żadną miarą nie zniesie, „jeżeliby zaś, czy to sam wojewoda, czy też jego poddani dowodzili swych praw do miast zajętych (na Pokuciu), gotów król zawsze wymierzyć im sprawiedliwość, ale nie pozwoli, aby przemocą zdobywano to, co za pomocą prawa żądane być powinno“ [1].

Wiedział więc rząd polski o tem, że Stefan rości sobie pewne pretensye do posiadania Pokucia, i że dlatego urządził owe napady. Sądził jednak, że opierają się one na zbyt kruchych i słabych podstawach, by miał się ich obawiać. Dlatego to Kazimierz Jagiel. sam pierwszy oświadcza swą gotowość do sprawiedliwego uznania praw Moldawii, jeżeli tylko okażą się słusznymi. Stefan musiał jednak doskonale być o tem przekonanym, że owe prawa tylko pod naciskiem siły zbrojnej mogły mu obiecywać jakieś korzyści. W obec Kazimierza Jagiel. czuł się za słabym, dlatego mimo wezwania jego, nie przedłożył mu swych praw.

Ale i w pierwszych latach panowania Jana Olbrachta nie mógł Stefan ani myśleć o nowej próbie zbrojnego albo nawet ugodowego dochodzenia swych pretensyj do Pokucia. Na tronie węgierskim bowiem, siedział wówczas brat J. Olbrachta, Władysław, których stosunek w pierwszych latach ich panowania zamanifestował się widocznymi i serdecznymi oznakami przyjaźni. Nadto w dzielnych rękach Olbrachta, Polska przybrała w obec sąsiadów silną i imponującą postawę. Liczne i świetne poselstwa spieszące zewsząd na dwór jego, świadczyły o wielkiem dlań poważaniu państw europejskich. Prócz tego zaczęły go dolatywać zrazu niewyraźne i niejasne, później coraz pewniejsze wieści o groźnej chmurze,

[1] Jabłonowski l. c. Acta i Listy II str. 32—33 nr. 10.

jaka się zbierała nad głową jego. Domyślił się i poznał, że u Olbrachta nie tylko nie mógłby dostać Pokucia, lecz że jemu samemu grozi odeń największe niebezpieczeństwo. Przestraszony przycichł, nie chciał ani jednem słówkiem drażnić potężnego i strasznego dlań lwa, i dać mu powód, do natychmiastowego wykonania swego planu. Prócz tego nie znając zupełnie i nie będąc pewnym rzeczywistych jego zamiarów, nie wiedział jak sobie ma postąpić. Więcej bowiem domyślał się na podstawie dochodzących go wieści, niż wiedział na pewno. Skrycie więc i potajemnie gotował się na wszelki wypadek do obrony. Zawiązuje w tym celu ścisłe stosunki z Tatarami, Moskwą i z panami węgierskimi a szczególniej siedmiogrodzkimi, Turków odłożył na ostatni czas. Tylko, gdyby był już w rozpaczliwem położeniu, bez innego środka ratunku, chciał wezwać tureckiej pomocy. Wiedział bowiem, że pomoc od nich uzyskana utrzymałaby go wprawdzie na stopniu hospodarskim, ale pociągnęłaby za sobą utratę, tak dzielnie dotychczas bronionej niepodległości Mołdawii.

Stefan więc teraz aż do wyprawy wołoskiej Olbrachta z r. 1497 mógł tylko myśleć o strasznem niebezpieczeństwie mu grożącem.

Tymczasem wyprawa ta Olbrachta skończyła się zupełnie niespodzianie, dlań jak najszczęśliwiej. Wyszedł z niej jako zwycięzca, a potęga jego i sława doszła do niebywałych u hospodarów mołdawskich rozmiarów.

Pokucia jednak, jakkolwiek ścigał wojska polskie aż do Rusi halickiej, nie zajął. Może była już późna pora roku, gdyż to był już listopad, może też i nie miał ze sobą przyborów wojennych, potrzebnych do zdobywania zamków i fortec. Dla zupełnego osłabienia swego przeciwnika powoduje Stefan z wiosną następnego (1498) roku wyprawę turecką na Polskę. Wyprawa ta nie szła jednak na Pokucie, gdyż tamtędy nie prowadziła najkrótsza i najwygodniejsza droga do Polski, Turkom zaś chodziło przedewszystkiem o łupy. Cała Ruś Czerwona aż po Kańczugę zostaje wówczas strasznie spustoszoną.

Ale już teraz Stefan, nasyciwszy swą zemstę, spostrzegł, że niebezpieczeństwo, jakie mu zagrażało od Polski, zagrażać mu teraz może i to w o wiele straszniejszej, jak mu się wydawało postaci, ze strony Turcyi. Dlatego też chętnie skłania się do układów

z J. Olbrachtem, które zapośredniczył Władysław węgierski. Rozbiły się one wprawdzie tego roku, ale już podczas drugiego napadu Turków w jesieni (1498) każe Stefan swym Wołochom poprzybieranym za Polaków, mordować powracających z owej drugiej nieudałej wyprawy do Polski, rozprószonych i zdziesiątkowanych z powodu srogiej zimy Turków. Następnego roku tj. 1499 w kwietniu stanął wreszcie pokój między J. Olbrachtem a Stefanem [1]. Po pierwszy raz król polski zawarł wtedy z hospodarem mołdawskim pokój i przymierze, jakby z równym sobie księciem. Pokój ten miał głównie na celu przymierze przeciw Turkom.

Dziwna jednak rzecz, w dokumencie tego pokoju niema najmniejszej wzmianki o Pokuciu lub o jakichś niepewnych granicach między Polską a Mołdawią. Wedle słów poselstwa wołoskiego do Aleksandra z r. 1503 [2], obie wówczas traktujące strony wprawdzie nie włożyły żadnego dotyczącego Pokucia punktu do aktu pokoju, ale przyrzekły rewizye i dochodzenie obopólnych praw do tej ziemi. Była to bowiem sprawa bardzo zawikłana, przeciągnąć więcby musiała traktaty w nieskończoność, obie bowiem strony nie były skore do ustępstw, a żadna z nich przytem nie miała w ręku niezbitych i niezaprzeczalnych dowodów. Stefan jednak teraz zwycięzca nie zaniechał wystąpić ze swemi pretensyami do Pokucia, których dotychczas nie śmiał głośno podnieść w obec Olbrachta. Z drugiej strony, w obec niebezpieczeństwa, grożącego mu ze strony Turcyi, zależało mu teraz bardzo na szybkiem zawarciu pokoju. Dlatego zapewne nie upierał się, by i pomyślne dlań załatwienie tej sprawy przyjęto jako jeden z koniecznych warunków pokoju.

W sprawie tej rozpoczęły się zato rokowania dyplomatyczne. Pośredniczył znów Władysław węgierski, który uważał się za pana zwierzchnego Stefana, a którego też Stefan przynajmniej pozornie za takiego uważał. Olbracht tedy wysłał do Stefana Andrzeja Różę, arcybiskupa lwowskiego a Władysław Combr. Imbrego [3].

---

[1] Dotyczący aktu *Uljanickiego* (Matieriały dla istorii wzaimn. otnoszen. Rossii, Polszi, Mołdawii Walachii i Turcii w XIV—XV w.), str. 157—162. Nr. 104 i str. 170—177 nr. 105. Toż u *Jabłonowskiego* l. c. Akta i listy. Nr. 11, str. 33—39.

[2] *Papiery Szujskiego.* Poselstwo owo cytowaliśmy już raz wyżej.

[3] Patrz toż poselstwo z r. 1503.

Sprawa ta, zdaje się, musiała także wpłynąć na postanowienie Olbrachta, że kazał ściąć Eliasza, syna dawnego współzawodnika Stefana, który znalazł schronienie w Polsce, a którego stracenia Stefan gorąco się domagał. Nieszczęśliwego Eliasza rzeczywiście ścięto pod błahym pozorem w marcu r. 1501 [1]. Może Stefan kładł za warunek zrzeczenie się swych pretensyj do Pokucia. Jeżeli tak było, to podstępnie i srogo oszukał Albrechta [2]. Korzystając bowiem z tego, że Albrecht musiał się udać do Prus, gdzie go czekała bardzo ważna sprawa krzyżacka, przedłużał i odkładał na później układy prowadzone z arcyb. Andrzejem Różą. Ten bowiem musiał przyrzec, że aż do ostatecznego ukończenia układów, Polacy nie będą wprowadzać żadnych ludzi do spornej ziemi i odłożyć dalsze układy na dzień św. Michała (29 września) 1501 r. [3].

Tymczasem już 17 czerwca umiera Olbracht w Toruniu. Ma się rozumieć, że w obec tego nie mogła być mowa o dalszem prowadzeniu układów z dniem św. Michała, gdyż zjazd elekcyjny odbył się w Piotrkowie dopiero 15 września.

Stefan jednak w zwykły mu sposób skorzystał z tego. Gdy bowiem nikt nie przybył na oznaczony dzień dla prowadzenia dalszych układów, wysłał swe wojska wkrótce po dokonanej elekcyi Aleksandra w granice królestwa, najprawdopodobniej na Pokucie. Sprawiły one ogromne spustoszenia i zabrały bardzo wiele łupu, zdobyczy i ludzi [4]. Stefan od czasu klęski bukowińskiej Olbrachta począł sobie lekceważyć królestwo polskie, nie obawiał się już potęgi państwa tego, ton też, w jakim do władców Polski przemawiał, zupełnie się zmienił. Układy mimo tego za namową Węgrów ciągle prowadził, ale starał się zwykle o to sam, by nie dochodziły

---

[1] *Miechowita* Chronica Polonorum str. 354—355.

[2] Odpowiedź dana wyżej wspomnianemu poselstwu wołoskiemu z r. 1503 na sejmie lubelskim mówi wyraźnie, że Stefan nie dopełnił warunków, do jakich się był zobowiązał w zamian za ścięcie Eliasza. (*Papiery Szujskiego*).

[3] Patrz poselstwo mołdawskie przybyłe tuż po koronacyi Aleksandra. *Uljanycki* l. c. str. 185—186 i *Papiery Szujskiego*.

[4] Uprowadzono wtedy ze samej Tyśmienicy 140, z okolicznych wsi 50 ludzi, prócz tego z Czeszybies 154. Patrz o tem odpowiedź dana Stefanowi przez posłów polskich na poselstwo jego przybyłe tuż po koronacyi Aleksandra. *Uljanycki* l. c. str. 186—189 i *Papiery Szujskiego*.

do skutku, przedłużał je przytem swym uporem i stanowczem odmawianiem wszelkich ustępstw.

Wkrótce po owym napadzie Wołochów przybywa do Stefana poseł polski z doniesieniem o elekcyi Aleksandra i z oznajmieniem dnia koronacyi [1]. Może być, że ów poseł za późno przybył, dość, że poselstwo wołoskie przybyło już po koronacyi Aleksandra.

Głównym celem tego poselstwa, obok formalnego złożenia Aleksandrowi gratulacyj z powodu wyboru, było wyjednanie glejtu żelaznego dla posła wysłanego przez Stefana do Moskwy. Proponował przytem Stefan, aby układy, które nie przyszły do skutku w dniu św. Michała (29 września 1501 r.) odłożyć na dzień św. Piotra i Pawła (29 czerwca 1502 r.) albo Narodzenia Najśw. P. Maryi (8 września t. r.). Nie omieszkał też przy tej sposobności zanieść skargi dawny hospodar na obrażające go słowa Lanckorońskiego posła do Turcyi, grożąc, że nie będzie przepuszczać posłów polskich do Turcyi, jeżeli ci w obec niego podobnych słów używać będą.

Z odpowiedzią na powyższe poselstwo został wysłanym do Stefana, Mikołaj Kamieniecki, kasztelan sandomierski wraz ze starostą krakowskim, Janem Bochotnickim i Janem Kromskim, dziekanem lwowskim.

Odpowiedź udzielona Stefanowi publicznie brzmiała ostro i surowo. Za napad uczyniono mu ostre wyrzuty, glejtu dla posła do Moskwy odmówiono.

Nakazano jednak posłom, by w czasie prywatnej rozmowy na ustępie ze Stefanem, gdy będzie mowa o granicach, które mają być wytyczone między obu państwami, żądali granic dawnych, przechodzących koło Kolaczyna [2]. Mieli przytem odwołać się na dotyczące zapisy, a gdyby ich Stefan zażądał, jak to zwykł przez posłów swych czynić, mieli mu odpowiedzieć, że niesłusznie żąda, gdyż o nich i on sam i wszyscy ludzie wiedzą, a nie przystoi ze względu na zawartą przyjaźń, szukać w tem powodu do zerwania

[1] Patrz wyżej cytowana odpowiedź na poselstwo wołoskie przybyłe po koronacyi Aleksandra u *Uljanickiego* l. c. str. 187 i w *Papierach Szujskiego*. Posłem owym był Piotr z Chodczy starosta halicki. *Tamże.*

[2] Miejscowość pod Śniatynem.

stosunków. Mieli się zaś zgodzić na dzień Narodz. N. P. Maryi, jako na dzień rewizyi granic[1].

Ostatecznie jednak nie na ten dzień się zgodzono, lecz na dzień św. Michała[2]. Na dzień ten zaproszono i posłów węgierskich. Na sejmiku ziem małopolskich odprawionym z początkiem czerwca r. 1502 w Nowym Korczynie przyjęto też ów dzień jako dzień rewizyi granic. Termin jak widzimy za krótki, wobec bezradności senatu poselskiego, który podczas pobytu Aleksandra w Litwie, sprawował rządy w Koronie. Zapewne też dlatego wybrał Stefan ten wcześniejszy termin. Na sejmiku w Nowym Korczynie wybrano więc posłów w tej sprawie do Mołdawii. Jacy to byli posłowie, nie wiemy[3]. Nie wiemy też, czy wyznaczeni tu posłowie wzbraniali się iść, czy też nie mogli, dość, że senatorowie zebrani w Kole wysyłają poselstwo do Aleksandra, bawiącego w Mińsku na Litwie, prosząc go o wyznaczenie panów, mających się udać w sprawie granic do Mołdawii. Przypominają mu przytem, że już nie wiele czasu pozostaje do dnia ustanowionego do rozpoczęcia układów[4]. Na to odpowiada Aleksander, że wysyła w powyższym celu arcyb. lwowskiego, wojewodę podolskiego, starostę i dziekana lwowskiego[5]. Jak sprawa właściwie stała z tymi poselstwami nie wiemy. Faktem jest, że żadne z nich nie przybyło na termin, co jest znowu dowodem bezradności i zupełnej nieudolności senatu, który nie potrafił nawet zebrać i wysłać tak potrzebnego poselstwa. Zdaje się, że i sam Aleksander nie spodziewał się, by przyszło do skutku owo ułożone poselstwo, i niewiele też go to obchodziło. Obawia się jednak, by znowu Stefan nie napadł na Polskę, dlatego postanawia sprawę tę zupełnie oddać w ręce brata Władysława. A właśnie wówczas wysyłał doń poselstwo z podziękowaniem za zaproszenie

---

[1] *Uljanickij*. l. c. str. 187—189.

[2] Cytowane poselstwo wołoskie z r. 1503.

[3] Patrz poselstwo Kazanowskiego od Aleksandra do kardynała Fryderyka z r. 1508. *Uljanickij* l. c. str. 212 i *Papiery Szujskiego*. Posłowie wyznaczeni w Nowym Korczynie nie są tu jednak wymienieni.

[4] *Uljanickij* l. c. str. 201—203 i *Papiery Szujskiego*.

[5] *Uljanickij* l. c. str. 204.

na ślub i za pośrednictwo w układach z Moskwą. Temu też poselstwu polecił i powyższą sprawę [1].

Stefan tymczasem wedle układów z poselstwem Aleksandra, wysłanem doń w lutym, wyprawił posłów do Władysława węgierskiego z prośbą, by na dzień św. Michała wysłał doń deputacyę panów węgierskich, którąby była świadkiem układów. Deputacya ta rzeczywiście przybyła [2]. Stefanowi jednak, jak się przekonamy, zależało mimo tego bardzo na tem, by znów nie przyszło do rewizyi, a nie był pewnym, czy wyznaczeni w tym celu panowie polscy rzeczywiście nie przybędą. Na każdy wypadek postanowił zabezpieczyć się przeciw temu. A uczynił to, w iście szatański sposób.

Oto właśnie w czasie, kiedy się zbliżał termin zjazdu, nasyła na Polskę Tatarów, którym daje wołoskich przewodników tak, że ci niezwykłymi drogami i zupełnie niespodzianie wpadają do Polski. By omylić czujność Polaków i usunąć wszelkie podejrzenie co do swych zamiarów, sam uwiadamia Polaków o grożącem im ze strony Tatarów niebezpieczeństwie.

W Polsce wskutek najazdu Tatarów ogromne przerażenie. Wszyscy głowy potracili. Tatarzy bezkarnie w straszliwy sposób pustoszą Ruś Czerwoną i ziemię sandomierską. Palą Radymno, Bełz, Jarosław, Rzeszów, Kunów, Lagów i Wielki Opatów [3]. Był to jeden z najdotkliwszych napadów tatarskich.

Senat prowadzący rządy w Polsce był tym napadem zaskoczonym i czuł się zupełnie bezradnym. Uchwalonych jeszcze na sejmiku w Nowym Korczynie zaciągów wcale nie przeprowadzono, tak że Małopolska i Ruś Czerwona stały zupełnie bezbronne wobec tego nieprzyjaciela.

Stefan musiał liczyć na ową bezradność rządu polskiego i na przerażenie, jakie wywołał ów napad, gdyż właśnie wtedy pod zasłoną zamieszania w Polsce, powstałego wskutek tego napadu, wykonał to, do czego się od dawna przygotował. Oto zajął Pokucie po Halicz i Dniestr. Przebiegły wojewoda, chcąc w każdym razie

---

[1] Patrz wyżej cytowane poselstwo Kazanowskiego od Aleks. do kard. Fryder. *Uljanickij* str. 212 i *Papiery Szujskiego*.

[2] Patrz wyżej często cytowane poselstwa wołoskie z r. 1503.

[3] Miechowita l. c. str. 364.

mieć na później jakiś powód do usprawiedliwienia swego kroku, zanim zajął Pokucie, czekał jeszcze spokojnie przez 5 tygodni po św. Michale na przybycie posłów polskich [1].

W Polsce tymczasem dowiedziano się, że napad tatarski odbył się za wolą Stefana. Dlatego też kardynał Fryderyk natychmiast po otrzymaniu wieści o napadzie Tatarów i udziale w nim Stefana, wysyła gońca z listami w pogoń za wyprawionym przezeń przed kilku dniami z poselstwem do Władysława węgierskiego, Andrzejem Kościeleckim, marszałkiem dworu swego. W liście donosi mu o owym napadzie Tatarów połączonych z Wołochami. Napad ten, pisał mu, przyszedł do skutku z pewnością za namową Stefana, o czem jak najpewniej od schwytanych jeńców się dowiedział. Doniesiono mu przytem, że Stefan pod pretekstem układów z Polską o granice z licznem wojskiem i armatami na granicy bawi i myśli o zdobywaniu fortec i zajęciu Podola. Tatarów wysłał naprzód, by przeszkodzili przybyciu panów wysłanych do układów o granice. Wie o tem dobrze, że Stefan nigdyby się na coś podobnego nie odważył, gdyby nie miał tajnego pozwolenia węgierskiego. Każe przytem Kościeleckiemu udać się do brata swego królewicza ks. Zygmunta, bawiącego wówczas na dworze węgierskim, i z nim razem prosić Władysława, by nie pozwolił na podobne zachowanie się i napady Stefana. W razie gdyby Kościelecki wówczas, kiedy go listy dojdą, już wracał do Polski, ma się wrócić napowrót do Władysława [2]. A był on wysłany przez kardynała Fryderyka właśnie w sprawie wołoskiej do Władysława. Popierać go miał kardynał Regino, legat papieski na dworze węgierskim, do którego też wysłał był Fryderyk list z prośbą o poparcie żądań Kościeleckiego [3]. Ten ostatni oddał też i Władysławowi list przyniesiony mu przez gońca od Fryderyka, w którym mu kardynał mniej więcej to samo co i jemu donosił [4].

Fryderyk zaś w kilka dni po odesłaniu listów Kościeleckiemu zjeżdża się z senatorami i częścią szlachty w Nowym Korczynie i tu odbywa z nimi narady, dotyczące ubezpieczenia Rusi przeciwko

---

[1] Patrz wielokrotnie już cytowane poselstwo wołoskie z r. 1503. *(Papiery Szujskiego).*

[2] *Papiery Szujskiego.* [3] *Ibidem.* [4] *Ibidem.*

napadom nie tylko Tatarów ale i Wołochów. Na razie postanowiono tam, aby szlachta gromadziła się i ściągała do fortec dla ich obrony. Na pomoc miano jej dać zaciężnych żołnierzy tak pieszych jak i jezdnych.

Potem donosi kardynał o tem wszystkiem Aleksandrowi i zaklina go na Boga, by wracał do Polski, gdyż w przeciwnym razie straci Podole[1]. Tak sobie postępował Fryderyk, zastępujący Aleksandra w Polsce, gdy spostrzegł grożące ze strony Stefana niebezpieczeństwo.

Aleksander zaś uwiadomiony dokładniej o groźnej postawie i zamysłach Stefana przez wojewodę podolskiego (Pawła Kolę), wysyła do tegoż i do panów ruskich posła z następującą instrukcyą. Wojewodzie podolskiemu ma polecić poseł w imieniu Aleksandra szczególną pieczę o Lwów i Kamieniec, by nie wpadły w ręce Stefana. Tenże wojewoda ma się dowiedzieć i przekonać, czy nie ma zdrajców w tych najważniejszych wschodnich miastach i fortecach Polski, Aleksander bowiem domyśla się, że we Lwowie są zdrajcy, bo gdy wojewoda w Kamieńcu bawił, mówili niektórzy mieszczanie lwowscy do Wołochów przez wieże i inne tajniki forteczne Lwowa. Aleksander dowiedział się, że nawet między najznakomitszymi rajcami Lwowa są zaprzedani Stefanowi. W razie, gdyby Stefan był już w pobliżu Lwowa, ma się wojewoda postarać, by z powyższych powodów było w mieście więcej szlachty niż mieszczan. Wszystko zaś to, co mu teraz Aleksander przez posła oznajmił, ma wojewoda zachować w tajemnicy[2].

Jak widzimy zagrażało bardzo wielkie niebezpieczeństwo ze strony Stefana nie tylko Pokuciu lecz całej Rusi Czerwonej. Stosunki handlowe, kolonizacyjne a nadto jedność religijna wyrobiły ścisłe i przyjaźne stosunki między Rusinami a Wołochami. Stefan cieszył się zaś u Rusinów wielką sympatyą. Jak niebezpiecznymi dla Polski były owe sympatye, widzimy z tego, że sam Aleksander obawiał się, by przez zdradę własnych poddanych nie stracił pierwszych swych fortec na wschodzie. Później też rzeczywiście masami przechodził lud za Dniestr, do kraju zajętego przez Stefana.

[1] *Papiery Szujskiego.*

[2] *Uljanickij* l. c. str. 214—216 pod mylnym jednak nagłówkiem. Patrz *Papiery Szujskiego.*

Wyżej wzmiankowany poseł Aleksandra miał, prócz do wojewody podolskiego udać się także i do starosty krakowskiego i wojewody belzkiego, jeśliby tylko znajdowali się w pobliżu Lwowa i nakłonić ich w imieniu Aleksandra, by z powodu grożącego znowu napadu Tatarów, czemprędzej jakie takie wojsko na pewien czas przynajmniej pod Lwów zebrali i w zbrojnem na wszelki wypadek pogotowiu pod Lwowem zalegli[1]. Spodziewał się bowiem Aleksander, że Stefan dowiedziawszy się o tem, nie odważy się wpaść w posiadłości królestwa. Zapomniał jednak, że po świeżym napadzie Tatarów nie tak łatwo będzie ściągnąć tych panów pod Lwów lub postarać się tym panom o nowe wojsko. Posiadłości i majątki ich zostały bowiem zupełnie wyniszczone i spustoszone. Sami więc nie mogli teraz ani myśleć o wystawieniu jakiego takiego wojska. Każdy z nich pilnował teraz swych majątków i starał się podnieść je z upadku. Toż samo można było powiedzieć i o okolicznej szlachcie, od której również też nie można było niczego się spodziewać.

Najlepszym rzeczywiście środkiem było wysłanie tuż po napadzie Tatarów, skoro tylko dowiedziano się o zamysłach Stefana, silnego wojska nad granicę Rzeczypospolitej. Ten bowiem, jak wiemy, jeszcze przez pięć tygodni stał z wojskiem na granicy, nie spiesząc się bardzo z wykonaniem okupacyi Pokucia. Może więc być, że dowiedziawszy się o zbliżaniu się silnego wojska polskiego, jeszcze i tym razem odłożyłby wykonanie swego planu na później.

Takiego jednak wojska Polska wtedy nie miała ani na Rusi, ani w Małopolsce. Było wprawdzie w chwili objęcia rządów przez senat 2000 żołnierza zaciężnego na Rusi, żołnierz ten jednak, nie dostawszy wynagrodzenia rozszedł się i szukał w rabunkach zapłaty za swą służbę. Z chwilą napadu Tatarów liczono na Rusi tylko 500 jazdy i to źle zaopatrzonej. Z tą garstką nic nie można było przeciw Stefanowi zdziałać, zwłaszcza, że i Aleksander dla wielkiej wojny z Moskwą, którą wówczas prowadził, wszystkie siły jakie mógł pościągał z Polski.

Stefan więc mógł zupełnie śmiało bezkarnie broić, zająć z łatwością bez znaczniejszego oporu Pokucie, a nawet zagrozić Rusi Czerwonej i Podolowi.

---

[1] *Uljanickij* l. c. ibidem i *Papiery Szujskiego.*

Postępowanie jego nadto musiało mieć tajemną sankcyę ze strony Węgier. Władysław wprawdzie starał się oczyścić z podobnego podejrzenia, ale w Polsce panowało takie ogólne przekonanie, a przytem, jak zobaczymy, sam Stefan głośno się z tem odzywał. Władysław musiał przecież przynajmniej udawać, że postępku tego Stefana, nietylko że nie pochwala, ale że dołoży wszelkich ze swej strony starań, by nakłonić Stefana do wycofania się z zajętego kraju. Podniesiono bowiem przed nim ze strony Polski okrzyk oburzenia, na dotychczasowe jego postępowanie w sprawie, w której się sam narzucił na pośrednika i naciskano nań, ażeby w obec Stefana wystąpił stanowczo, użył całej swej powagi i wpływu i nie dopuścił na podobne postępowanie Stefana względem Polski. Pisał do niego w tej sprawie kardynał Fryderyk, przyczem wyraźnie rzuca mu owo podejrzenie w oczy, że Stefan za jego pozwoleniem tak postępuje [1]. Na dwa dni jeszcze przed Fryderykiem pisała do Władysława również w tej sprawie królowa matka, wdowa Elżbieta, która, jak się z tego pokazuje, wpierw dowiedziała się o napadzie Tatarów i postępowaniu Stefana. Władysław odpowiedział na otrzymane listy. Pisze tedy Fryderykowi 4 listopada 1502 r., że go bardzo nieprzyjemnie dotknęły wieści odeń i od matki otrzymane o postępku Stefana. To, co Stefan uczynił, stało się bez jego wiedzy i woli. Wysłał był przecież do Stefana list z wezwaniem, by rewizyą spornej ziemi do innego czasu odłożył. Ten jednak dotychczas nic nie odpowiedział. Dlatego on po naradzie z panami węgierskimi wysyła do Stefana znaczne poselstwo, ktoremu polecił pośpiech i nakazał stanowczo wezwać Stefana do wycofania swych wojsk z zajętego kraju. Obiecuje nawet Fryderykowi za pomocą siły zbrojnej zmusić Stefana do oddania zajętej ziemi. (Dok. nast.)

Antoni Borzemski.

[1] *Papiery Szujskiego.*

UBIORY PROFESORÓW I UCZNIÓW

W UNIWERSYTECIE JAGIELLOŃSKIM

W ZWIĄZKU Z WSPÓŁCZESNYMI ZWYCZAJAMI (1364—1889).

(Ciąg dalszy).

2. Ubiory scholarzów niegraduowanych.

Ustawy wyliczają z możliwą dokładnością ubrania, których scholarzom nie wolno nosić, są natomiast do nieuwierzenia lakoniczne w określaniu ubiorów przepisanych. Stąd wielka trudność dla chcącego je opisywać. Trudności owe nie są jednak tego rodzaju, aby nie dozwalały dojść do pozytywnych rezultatów. Obok ustaw bowiem posiadamy nieocenione akta rektorskie, w których znajdziemy nie jeden szczegół rzucający światło na nasze stroje. Dalej wydobędziemy z rozmaitych ksiąg bogatego archiwum uniwersyteckiego nie jednę ciekawą zapiskę, a owe rękopiśmienne materyały, porównane z miniaturami i ilustracyami współczesnymi oraz z obyczajami zagranicznymi złożą się na całość, która w szczegółach może nie zawsze będzie wyraźną ale w ogólnych zarysach dość jasno wystąpi. Dla lepszego oryentowania się ugrupujemy nasze wiadomości w porządku chronologicznym według kardynalnych części ciała.

Nakrycie głowy. Wiek XV. W ustawach bursy „Jeruzalem“ z r. 1456 czytamy, że bursarze zgromadzeni do jedzenia przy stole w czasie modlitwy zdejmują z głowy kaptury i mycki *(caputium aut mitram deponendo)*. Wynikałoby z tego, że scholarzy w XV wieku mieli dwa rodzaje nakryć głowy, których, jak widzie-

liśmy, w izbie nie zdejmowano. Z tą piśmienną zapiską zgadzają się szczegóły, które czerpiemy z ilustracyi publikowanej przez Muczkowskiego a datującej z końca XV lub początku XVI wieku[1]. Mamy przed sobą salę wykładową w uniwersytecie Jagiellońskim. Profesor objaśnia z katedry jakąś księgę scholarzom siedzącym na ławach a zgromadzonym w liczbie sześciu. Dwaj z nich mają głowy odkryte, czterej nakryte bądź kapturami, bądź myckami, a więc takimi nakryciami głowy, o jakich wspomina ustawa bursy „Jeruzalem“ z r. 1456. Większa część scholarzów nie zdjęła z głowy swych nakryć w sali prelekcyjnej tak samo jak ich nie zdejmowali w sali jadalnej bursarze z kolegium „Jeruzalem“.

Wspomniana ilustracya daje nam zarazem niejakie pojęcie jak kaptury i mycki scholarskie w XV w. wyglądały. Kaptur połączony w jedną całość z pelerynką, zdaje się, stanowił z nią samoistną część ubrania, nie przyszywaną do sukni. Nie twierdzimy, mając przed sobą jeden tylko przykład kaptura, jakoby wszyscy scholarzy takie same a nie inne nosili kaptury, owszem według wszelkiego prawdopodobieństwa istniały kaptury bez pelerynek wprost do sukni przyszywane lub przypinane, czego liczne mamy przykłady i dziś jeszcze bądź to w kapturach zakonnych, bądź też chłopskich i mieszczańskich.

I wiedeńscy scholarze nosili w XV wieku kaptury. Ustawa uniwersytetu wiedeńskiego z r. 1450 wspomina, że studenci tamtejsi otuleni w kaptury i mając broń w ręku, dopuszczali się rozmaitych gwałtów[2].

Kaptury robiły się z tej samej materyi, z której suknia uszytą była. Barwa ich nie mogła więc być inną jak czarnego lub zbliżonego doń koloru, gdyż tylko na te barwy pozwalały ustawy.

Tyle o kapturach XV wieku. Trudniejszą jest sprawa z określeniem mycek czyli czapek. Dowiedzieliśmy się w poprzednim rozdziale, że ustawy zakazują scholarzom nosić czapki świeckie. W obec tego musimy koniecznie przypuścić, że żacy mieli swoje odrębne nakrycia głowy. Jak one wyglądały? Jedyną w tym w tym względ-

---

[1] Zob. *Muczkowski*. Dwie kaplice Jagiell. w Krakowie. Kraków 1858 (Roczn. Tow. Nauk. krak. r. 1858, str. 352. Ryciny wyszły oddzielnie).

[2] Zob. *Muczkowski*. Mieszkania, str. 44.

dzie wskazówkę znajdujemy znów w cytowanej już ilustracyi. Trzej scholarzy mają tam czapki w kształcie mniej więcej do siebie podobne, a mianowicie gładkie, okrągłe, niezbyt wysokie.

Obok nazwy „czapka“ *(mitra)* istniał w XV wieku zdrobniały wyraz czapeczka *(mitella)*. Czapeczkę zrzucił z głowy żak koledze swemu w r. 1490 [1], czapeczkę zastawił scholarz w r. 1470 [2], jedna i druga były obszyte czy podszyte barankową skórką *(mitellae agnellinae)*.

Wiek XVI. Kaptury jako nakrycie głowy scholarzów wyszły u nas w XVI wieku z mody, nie ma przynajmniej o nich żadnej w źródłach wzmianki. Ustawy wiedeńskiego uniwersytetu wspominają o kapturach jeszcze w r. 1513. Kaptury scholarzów plebejskiego pochodzenia miały tam być sukienne, gładkie i niczem nie podszywane, zaś kaptury scholarzów szlacheckiego urodzenia mogły mieć podszewki jedwabne [3].

U nas w XVI wieku nakrywają scholarzy głowy tylko czapkami czyli jak w źródłach niejednokrotnie czytamy „miczkami“. A jeżeli w r. 1523 [4] żak daje swemu koledze w podarunku biret [5], to nie należy stąd wyciągać wniosku, jakoby niegraduowani scholarzy prócz mycek czyli czapek i birety nosili. Bynajmniej! birety były, jak zobaczymy, uprzywilejowanym ubiorem graduowanych, którzy znów nie mieli prawa noszenia mycek scholarskich. W r. 1537 magister Marcin Raciąrz otrzymał od rektora karę za to, że spacerował w mycce *(quod ambulabat in myczka)* [6]. Jeżeli więc scholarz niegraduowany daje w prezencie biret swemu niegraduowanemu koledze, to czyni to prawdopodobnie w przededniu jego promocyi.

O kształcie mycek scholarskich XVI wieku żadnej nie mamy wiadomości, niebezpieczną zaś jest rzeczą gubić się w domysłach. Dowiadujemy się tylko ze źródeł, że mycki scholarskie bywały ki-

[1] Zob. *A. R.*, str. 455.
[2] Tamże, str. 78.
[3] Zob. *Kink*, l. c. II, str. 319.
[4] Zob. *A. R.*, str. 994.
[5] Tu nie może być mowy o biretach świeckich, gdyż te były zakazane.
[6] Zob. *A. R.*, str. 41.

tajczane *(kythanczane)*, czamletowe i sukienne[1]. Barwa znów nie mogła być inną jak czarną lub jej pokrewną.

Obuwie. Wiek XV i XVI. Nie wiele tu jest do powiedzenia. W ustawach bursy „Jeruzalem" z r. 1456 występują *calopedia*, może rodzaj trepków. Dalej spotykamy się z nazwami *calcei* i *caligae*, lecz trudno orzec, co która z nich właściwie oznacza. Obuwie scholarskie robiło się z skóry czarnej, wiemy, że inne barwy skóry było zakazane. W r. 1480 zanosi szewc skargę przed rektora na żaka, który mu winien *pro calceis* 23 grosze[2]. W r. 1546 sprawił sobie żak obuwie z skóry zamszowej *(caligae de zamesch)*[3]. Kształt obuwia był również przepisany. Buty spiczaste, jednem słowem wszelkie modne obuwie było zabronione. Obuwie żaków musiało być bardzo skromne. W Gnieździe cnoty Paprockiego wydanem w r. 1578, znajduje się drzeworyt przedstawiający scenę egzaminu[4]. Żacy mają tam płytkie buty. Nie ma powodu do wątpienia, jakoby przedstawienie to nie było zgodne z prawdą. Napis też położony przez Paprockiego pod drzeworytem objaśnia, że mamy przed sobą synów Almae matris:

„Tu masz matkę cnót świętych od czasu dawnego
Warownie założoną przez króla sławnego
— Przypatrzcie się jej synom, które wychowała,
Jaki przez nie pożytek ojczyźnie działała".

Szaty. Wiek XV i XVI. Najgłówniejszą część ubrania scholarskiego stanowiła widocznie suknia zwierzchnia. Nazywano ją w XV i XVI wieku rozmaicie. Mamy niestety tylko łacińskie nazwy i to dość ogólnikowe. *Vestis clericalis* jest najpospolitszą i najpierwotniejszą. W wiedeńskich ustawach obok tej nazwy znajdujemy jej niemieckie tłumaczenie *Priesterrock*[5]. Drugą nazwą używaną u nas dość często jest *tunica*[6]. Tuniki podszyte futrem

---

[1] Tamże, r. 1546, str. 217 i r. 1530, str. 1154.

[2] Tamże, r. 1480, str. 285.

[3] Tamże, 1546, str. 217.

[4] Zob. reprodukcyę tego drzeworytu u *Muczkowskiego*. Zbiór drzeworytów, nr. 794.

[5] Zob. *Kink*, l. c., II, str. 319.

[6] Zob. *A. R.* r. 1469, str. 17; r. 1470, str. 61 i 78; r. 1488, str. 384; r. 1513, str. 760; r. 1514, str. 797 i 807; r. 1523, str. 982; r. 1546, str. 217; r. 1555, str 343 i 345; r. 1574.

zwały się szubami [1]. W r. 1566 dla sukni scholarskiej użyta jest nazwa *reverenda* [2].

Oba drzeworyty, które cytowaliśmy, przedstawiają nam żaków w sukniach długich, sięgających mniej więcej po kostki. Długie suknie wskazują same nazwy a przedewszystkiem *reverenda*. Długie suknie nosili scholarzy w innych uniwersytetach. Ustawa wiedeńskiego uniwersytetu z r. 1554 wymaga, aby suknie scholarzów sięgały poza połowę łydek [3].

W ilustracyach życia uniwersyteckiego z XV i XVI wieku, zdobiących dzieło Ottona Hennego am Rhyn [4], żacy rozmaitych niemieckich uniwersytetów przedstawieni są w długich sukniach. W obec tych mnogich przykładów nie ulega wątpliwości, że suknia zwierzchnia scholarzów średniowiecznych przepisana ustawami zakrywała całe ciało od szyi aż do stóp. Usprawiedliwioną więc jest w tym względzie jej nazwa *vestis clericalis*. Krój takiej sukni był skromny. Wszystkie cytowane przez nas ilustracye przedstawiają ją jednakowo a mianowicie w kształcie dzisiejszych rewerend księżych. Zdaje się jednak, że tuniki żaków nie były zapinane. Nigdzie w źródłach nie znaleźliśmy wzmianki o guzikach. Miały one prawdopodobnie zapięcie tylko pod brodą, a około bioder przepasywały się pasem. O pasach żaków znajdujemy wzmianki w źródłach i naszego [5] i zagranicznych uniwersytów, np. wiedeńskiego [6]. Mają też pasy żacy w cytowanych przez nas ilustracyach, a mianowicie w drzeworycie z Gniazda Paprockiego i w licznych niemieckich przedstawieniach XV i XVI wieku.

Barwa tunik naszych scholarzów była przeważnie czarna [7],

---

[1] Tamże, r. 1469, str. 18; r. 1478, str. 219; r. 1488, str. 384; r. 1513, str. 760; r. 1523, str. 899; r. 1546, str. 217; r. 1555, str. 343.

[2] Zob. *Karbowiak.* Ustawy, str. 55.

[3] Zob. *Kink*, l. c. tom II, str. 390.

[4] Kulturgeschichte des deutschen Volkes, Berlin 1886. Zob. np. Tom I, str. 312 (r. 1475) i tom II, str. 46 (XVI wiek).

[5] *A. R.*, r. 1469, str. 83 i p. i. l.

[6] *Kink*, l. c., r. 1513, II str. 319.

[7] Zob. *A. R.*, r. 1470, str. 61 i 78; r. 1547, str. 217; r. 1555, str. 343 i 345.

obok tego jednak dozwolone były tuniki brunatne [1] i szare [2]. Wyjątkowo tylko spotkałem się z tuniką z czerwonego sukna, zwaną „czeneradek“ [3]; jest to niezwykła barwa, której ustawy, jak widzieliśmy, przedewszystkiem zabraniały [4]. Barwa miała być skromna, nie bijąca w oczy, podobna do barwy sukien duchownych. Ustawa wiedeńskiego uniwersytetu z r. 1513 tego samego się domaga: Suknie scholarzów mają być podobne w kolorze do duchownych, *seltsame, ungewöhnliche Farben* były wykluczone [5].

Tuniki naszych scholarzów robiły się stosownie z pewnością do pory roku z płótna [6] lub sukna. Wspomniane są sukna czeskie [7] i węgierskie [8]. Tunika ze szarego sukna zwała się „dzika“.

W zimie podszywano tuniki futrami [9], przekształcając je na szuby; wspomniane są szuby z lisami [10] i kunami [11].

W r. 1469 zastawia pewien żak tunikę brunatną i dostaje na nią 3 floreny, inny płaci za naprawę szuby 8 groszy, jeszcze inny zastawia w r. 1470 swoją czarną tunikę za 1 floren i 5 groszy.

Prócz tych obowiązkowych części stroju znalazły się w źródłach nazwy rozmaitych sukien spodnich, używanych przez żaków w XV i XVI wieku. Jest tam koszula, owa najbliższa część ciała, *(interula)* [12], są spodnie dosyć obcisłe, jakie np. na drzeworycie w Gnieździe Paprockiego oglądać możemy, jest serdak z sukna czerwonego [13], coś w rodzaju kamizelki, jest kaftan wartości

---

[1] Zob. Tamże r. 1469, str. 17; r. 1488, str. 384; r. 1514, str. 797.

[2] Zob. Tamże r. 1546, str. 217.

[3] Zob. Tamże r. 1574.

[4] Jeżeli w Pontyfikale Erazma Ciołka str. CXXXIX żacy mają tuniki różnobarwne, to należy to przypisać fantazyi iluminatora, lub też wyjątkowym okolicznościom.

[5] Zob. *Kink*, l. c., II, str. 319.

[6] Zob. *A. R.*, r. 1514, str. 797.

[7] Tamże, r. 1470, str. 78 i r. 1546, str. 217.

[8] Tamże, r. 1555, str. 343 i 345.

[9] Tamże, r. 1469, str. 18; r. 1478, str. 219; r. 1513, str. 760; r. 1555, str. 343 i 345.

[10] Tamże, r. 1546, str. 217.

[11] Tamże, r. 1488, str. 384; r. 1522, str. 899.

[12] Zob. *A. R.*, r. 1525, str. 1047 i r. 1546, str. 217.

[13] Zob. Tamże, r. 1555, st.. 343 i 345. Zob. też *A. R.* r. 1490, str. 459 i r. 1514, str. 807.

26 groszy [1], są ubrania krótkie *(vestes breves)* zwane żupicami [2], a niekiedy dołmanami [3]. W aktach rektorskich pod r. 1540 jest mowa o żupicy *(szupica)* makowej. Jest wreszcie wspomniany płaszcz [4] i delia z taniego jedwabiu [5]. Oto wszystko co zdołałem zgromadzić z szczegółów o ubiorach scholarzów XV i XVI w.

Wiek XVII i XVIII. W przeglądzie ustaw stwierdziliśmy, że scholarzy nie nosili żadnego odrębnego stroju w XVII ani też w XVIII wieku. Zgodnie z ustawami nie znalazły się też w innych źródłach żadne ślady mogące świadczyć o jakiejś odrębności ubiorów scholarskich w tych wiekach. Wyjątkowe zarządzenia w niektórych bursach, o których w poprzednim rozdziale wspomnieliśmy, nie są regułą ale wyjątkiem.

3. Ubranie bakałarza filozofii.

Scholarz oddany i przyjęty do uniwersytetu jako uczeń zwyczajny mógł według ustaw dopiero po dwóch latach studyów w wydziale filozoficznym ubiegać się i osiągnąć pierwszy i najniższy stopień uniwersytecki tj. bakalauryą nauk wyzwolonych czyli filozofii. Wyjątki z tej reguły były bezprawiem [6]. Stopień bakałarza filozofii udzielano w naszym uniwersytecie od samego początku jego założenia aż mniej więcej po koniec XVIII wieku. Według starego ustroju naszego uniwersytetu fakultet filozoficzny był poniekąd tylko szkołą przygowawczą do studyów w trzech wyższych wydziałach medycznym, prawniczym i teologicznym, to też stopień bakałarza filozofii odpowiada mniej więcej świadectwu z czwartej klasy gimnazyalnej w stosunkach dzisiejszych. Aby ukończyć studya w wydziale filozoficznym czyli innymi słowy zostać magistrem filozofii, czyli mówiąc po dzisiejszemu zdać maturę, trzeba było jeszcze po

---

[1] Tamże, r. 1523, str. 982.

[2] Tamże, r. 1523, str. 954; r. 1536, str. 10 i 38; r. 1537, str. 36.

[3] Tamże, r. 1531, str. 1186. Ukradziono żakowi Mikołajowi Koczorowskiemu *duas tunicellas alias doloman czy szupycza.*

[4] Tamże, r. 1470, str. 78; r. 1473, str. 119 i r. 1478, str. 250.

[5] Tamże, r. 1555, str. 343 i 345.

[6] Zob. *Karbowiak.* Mieszkania, str. 24.

bakalauryi drugich dwóch lat nauki. Studya bowiem w wydziale filozoficznym rozłożone były na cztery lata. Bakałarz filozofii sposobiący się do drugiego stopnia uniwersyteckiego *(secunda laurea)* występował w roli uczącego się i zarazem nauczającego. Chodził więc na przepisaną liczbę wykładów przez całe dwa lata a jednocześnie podczas wielkiego postu w zimowej porze, a w letniej w czasie kanikuły czyli miodobrania miewał sam wykłady i zasiadał do dysput w tej samej porze co sobotę i niedzielę

Bakałarz filozofii jako graduowany miał pewną wyższość nad pospolitym scholarzem, a ta wyższość uwydatniała się i w ubraniu, którego dwa istniały rodzaje, jedno do codziennego użytku, drugie wdziewane do dysput i prelekcyj.

Co do ubrań codziennych, te z małymi wyjątkami były takie same jak u scholarzów nie graduowanych. Te same też ustawy obowiązywały bakałarzy co żaków pospolitych. W XV też tylko i w XVI wieku może być mowa o odrębnym codziennym ubiorze bakalarskim.

Różnice między ubiorem codziennym bakałarzy a niegraduowanych żaków zachodziły tylko w nakryciu głowy. Tuniki były takie same [1]. Raz tylko wspomniana jest odmienna tunika bakalarska [2]. W r. 1473 zastawił bakałarz z bursy węgierskiej tunikę z sukna czarnego przerobioną z płaszcza i mającą znak, a mianowicie purpurianowe obszycie u końca rękawów. Nie śmiem twierdzić, aby owa wypustka purpurianowa u rękawów była odznaką tunik bakalarskich. Prócz czarnych tunik spotykamy brunatne i niebieskawe. Spotkałem się tylko z sukiennymi tunikami bakalarskimi. I pasy [3] znalazły się w garderobie bakalarza, a więc wszystko tak jak u niegraduowanego żaka.

W XV i XVI wieku wyróżniał bakałarza od pospolitego scholarza tylko biret [4]. U scholarzów niegraduowanych niespotkaliśmy się nigdy z biretem. Biret był uprzywiliowanem ale zarazem i obo-

---

[1] Tuniki bakalarskie zob. *A. R.*, r. 1470; r. 1473, str. 119 i 121; r. 1490, str. 459; r. 1513, str. 786; r. 1522, str. 916; r. 1523, str. 963

[2] *A. R.*, r. 1473, str. 119 i 121.

[3] Tamże, r. 1490, str. 459 i r. 1525, str. 1047.

[4] Tamże, r. 1470, 1478; 1490, r. 1527 etc.

wiązkowem nakryciem głowy bakalarza. W r. 1527 przyrzeka Stanisław Oczasalski, że odtąd stale będzie chodził w stroju scholarskim i w birecie [1]. Ten sposób wyrażenia się dowodzi dwóch rzeczy, a mianowicie, że suknie bakałarza były takie same jak scholarzów niegraduowanych, a powtóre, że biret był odrębnym ubraniem bakałarza. Jak birety bakalarzy wyglądały, pozytywnej odpowiedzi na to nie mamy. Może miały kształt kwadratowy, jak birety wiedeńskich bakałarzy, które z tego powodu nazywały się „quadrata“ [2]. Bakałarzom naszym nie zawsze widać podobało się nosić birety. Bakalarz Oczasalski otrzymuje z tego powodu naganę w r. 1527. Jeszcze r. 1579 ukarany został filozofii bakałarz Wawrzyniec Gadomski, w bursie filozofów zamieszkały, ponieważ wbrew ustawom uniwersytetu zamiast w biret ubierał się w czapkę tatarską [3]). Tyle o ubraniach codziennych bakałarzy filozofii naszego uniwersytetu w XV i XVI wieku, w których właśnie odrębny strój codzienny był obowiązkowym. W XVII i XVIII bakałarze filozofii jak w ogóle scholarzy wszyscy ubierali się według upodobania, żadne w tym względzie nie krępowały ich ustawy. Inaczej rzecz się miała z ubiorami wdziewanymi na czas prelekcyj i dysput. Pod tym względem obowiązywały bakałarzy odpowiednie ustawy od XV do XVIII wieku.

Już ustawa z r. 1404 wymaga od nich, aby podczas dysput, do których dwa razy każdego tygodnia w czasie wielkiego postu zasiadają, jawili się w stroju przyzwoitym, gdyż tego wymaga powaga fakultetu [4]. Statut z r. 1415 nie pozwala wręcz udzielać stopni tym scholarzom, którzy nie posiadają odpowiedniego bakalarskiego ubrania [5]. Stwierdzamy więc, że bakałarze już w XV wieku mieli odrębny strój, który wdziewali na czas dysput, prelekcyj i promocyj. Trudno zbadać, z jakich części ów ubiór się składał. Jedno zdaje się być pewne, że w skład jego wchodził biret, który bakałarze i w codziennym nosili życiu. Wiadomości odnoszących się do XVI wieku nie mamy żadnych. Dokładne pod każdym

[1] Tamże, r. 1527, str. 1105.
[2] Zob. *Kink*, l. c., tom I, część I, str. 43.
[3] Zob. *A. R.*, 1579, str. 526.
[4] Zob. *Muczkowski*, Statuta, str. XII.
[5] Tamże, str. XXV.

względem szczegóły posiadamy do XVII i XVIII wieku. Dostarcza nam ich rękopis biblioteki Jagiellońskiej [1], a mianowicie pierwsza jego część, którą Muczkowski przedrukował [2]. Jestto, rzec można, bardzo dokładny regulamin dla dziekana wydziału filozoficznego, opracowany na podstawie manuskryptu magistra Marcina Szlachcińskiego, św. teologii licencyata, przez magistra Marcina Gilewskiego z przydomkiem Bularni i podarowany przez niego wydziałowi filozoficznemu dla użytku dziekanów w r. 1601. Znajdujemy w tym regulaminie zwyczaje dawne z XVI a może i XV wieku. Niejednokrotnie bowiem przy tym lub owym obyczaju dodano, że jest bardzo stary. Zwyczajów więc skreślonych na podstawie tego rękopisu nie należy odnosić li-tylko do początku XVII wieku, ale trzeba je cofnąć i w dalszą przeszłość.

Konieczność sprawienia sobie stroju bakalarskiego stawała przed scholarzem w przededniu egzaminu *pro gradu primae laureae* (bakalauryi). Musiał on go nosić od początku do końca egzaminu, jednak nie przy każdej sposobności. Istniał w tym względzie zwyczaj bardzo skomplikowany, który tylko za pomocą przedstawienia przebiegu i szczegółów egzaminu zrozumianym być może.

Egzamina *pro gradu baccalaureatus* odbywały się z początku cztery [3], później dwa razy do roku a mianowicie w czasie suchych dni wiosennych i jesiennych. Na inny termin trzeba było pozwolenia wydziału.

Kandydaci każdy ze swoim magistrem polecającym go, zgłaszali się przed egzaminem do dziekana, który spisywał ich nazwiska i pouczał ich o formalnościach egzaminu. Następnie wyznaczał dziekan dzień do tentaminu tj. dla wybadania i spisania braków w studyach kandydatów oraz dla wysłuchania próśb, gdyby który z nich chciał jakie wnieść. Kandydaci przychodzili do tentaminu w togach [4] i przynosili wszelkie wymagane papiery i świadectwa i dawali pod przysięgą wyjaśnienia, gdzie jakich było potrzeba.

Po tentaminie następowało posiedzenie profesorów wydziału,

---

[1] Liczba 3263.

[2] *Muczkowski*, Statuta, str. LXXIV sqq.

[3] Tamże, pag. VII, r. 1502. Zob. też tamże str. XXXVII.

[4] Tamże, str. LXXXXIX.

którzy orzekali kogo przypuścić do egzaminu, a kogo nie, kogo uwolnić od taksy egzaminu, a od kogo jej wymagać. Uwalniano przedewszystkiem takich scholarzów, którzy przez całe dwa lata studyów u którego z magistrów służyli i dobrze się sprawowali. W czasie tego posiedzenia kandydaci ubrani w togi i pelerynki [1] stali przed drzwiami sali, w której się posiedzenie odbywało. Dziekan wywoływał ich kolejno, wprowadzał do sali posiedzeń i przedstawiał zgromadzonym profesorom, kandydaci przedkładali świadectwa pilności *(chartas diligentiarum)* i wychodzili znów przededrzwi auli. Po skończonej prezentacyi wybierali zgromadzeni profesorowie z pośród siebie egzaminatorów zazwyczaj dwóch, zaś trzech, gdy liczba kandydatów przekroczyła cyfrę 19. Po dokonanym wyborze przywoływał znów dziekan kandydatów, wskazywał im wybranych egzaminatorów i napominał między innymi, aby wszędzie w sprawach urzędowych nie inaczej jak w togach i pelerynkach się jawili a zresztą wszędzie przyzwoity przepisany strój nosili [2]. Następował potem egzamin z przedmiotów podówczas wykładanych i ustawami przepisanych. Po egzaminie szli dziekan, egzaminatorowie i kandydaci do łaźni, gdzie według dawnego zwyczaju odbyła się uczta, przy której prócz innych rzeczy podawano małmazyę w kilku czarach, biały chleb i delikatniejsze jakie pokarmy. Gdy można było dostać kwiatów, przystrajano nimi stół. Koszta ponosili kandydaci.

Przed promocyą jeszcze składali kandydaci wizytę prywatną dziekanowi. Na wizytę tę, oraz gdy im wypadło pójść w jakiejś sprawie do magistrów, ubierali się kandydaci tylko w togi bez pelerynek [3]. Podczas owego przywatnego przyjęcia przypominał dziekan bakałarzom rozmaite obowiązki, a między innymi znów, aby przyzwoity ubiór wszędzie nosili [4].

W osiem dni po prywatnej u dziekana wizycie, zwoływano posiedzenie profesorów wydziału w celu zatwierdzenia egzaminu i wybrania promotora. Promocya odbywała się w auli *Collegium*

---

[1] Tamże, str. XC.
[2] Tamże, str. XCII.
[3] Tamże, str. CI i CXI.
[4] Tamże, str. CIII.

maius, pięknie przystrojonej w kobierce *(eleganter ex omni parte tapetibus ornatum)*, w obecności zaproszonych magistrów. Kandydaci przychodzili tylko w pelerynkach [1], promotor eksplikował im jakiś aksyomat, kandydaci wychodzili z sali i wracali w stroju dysputujących tj. w togach i pelerynkach, wstępowali kolejno na katedrę i recytowali wyuczoną na pamięć dysputę. Po dyspucie składali wyznanie wiary, które jeden z kandydatów odczytał na głos, a wszyscy kolejno podprzysięgli. Przysięgano wtedy nie na berła, ale na św. ewangelią, przyczem wymawiano słowa: *ego N. spondeo, voveo et iuro; sic me Deus adiuvet et haec sacra Dei Evangelia.* Po tym akcie zabierał głos promotor i mówił zazwyczaj na temat z filozofii moralnej, pod koniec przemówienia wracał się do kandydatów, i mianował ich bakałarzami filozofii. Bywało, że po skończonej mowie promotora, bedel uniwersytetu recytował jaką dowcipną fabułę. W każdym zaś razie odbierał od bakałarzy co dopiero kreowanych przysięgę na trzy punkta a mianowicie, aby dwa następne lata w uniwersytecie pracowali, jeżeli innych nie mają zamiarów, aby stopnia bakałarza w innej akademii nie przyjmowali, ani się też o niego ubiegali, aby wreszcie dobro uniwersytetu zawsze na oku mieli. Tenże sam bedel wyliczał dalej na głos, co który z kandydatów komu dał i dziękował za to, co sam odebrał. Cały akt promocyi zamykał promotor przemówieniem dziękując Bogu za łaskę udzieloną do odbycia promocyi, a zgromadzonym za łaskawy udział.

W taki, lub mało co inny sposób odbywały się egzamina i promocye bakałarzy przez całe wieki istnienia naszego uniwersytetu aż do reformy Kołłątajowskiej, która te i tym podobne liczne prastare obyczaje jako niepotrzebne zniosła [2].

Widzieliśmy tedy, że scholarzy podczas egzaminów i promocyj bakalarskich nosili strój oficyalny a mianowicie togi i pelerynki, wykazaliśmy też, przy jakich to okolicznościach w tym czasie wdziewali togi i pelerynki, przy jakich tylko togi, a przy jakich tylko

[1] Tamże, str. CXII.

[2] Zob. Żywot literacki Hugona Kołłątaja, z opisem stanu Akademii krakowskiej, w jakim się znajdowała przed rokiem reformy 1780 przez Jana Śniadeckiego. Wyd. Turowskiego, Kraków. 1861. Zob. *Muczkowski*, Statuta, pag. CCVII.

pelerynki. Tu dodajemy jeszcze, że tych samych ubiorów, jak je nazwaliśmy, oficyalnych, używali przez dwa następne lata po bakalauryi aż do promocyi na magistrów w czasie dysput i prelekcyj, do których miewania zobowiązani byli a nadto, gdy im wypadło w jakiejś sprawie urzędownie stanąć przed dziekanem [1]. W tym zwyczaju aż do reformy Kołłątajowskiej nie zaszły żadne zmiany.

Zachodzi teraz pytanie, jak owe togi i pelerynki bakalarskie wyglądały, i czy taki ubiór każdy posiadać musiał. Odpowiedzmy najprzód na ostatnie pytanie. Bogaty kandydat bakalauryi z pewnością sobie sprawiał przed egzaminem własną togę i pelerynkę, ubogim zaś przychodził w tym względzie w pomoc, wydział posiadający pewną liczbę tog i pelerynek bakalarskich do wypożyczania. Togi i pelerynki rzadko kiedy były bakałarzom potrzebne, więc nie słuszną byłoby rzeczą wymagać zwłaszcza od ubogich, aby je sobie sprawili. Nie znalazły się też w spisach rzeczy po zmarłych bakałarzach filozofii ani togi ani pelerynki.

Co do wyglądania i jakości tog i pelerynek bakalarskich, wiadomości nasze są szczupłe i późne, ale za to zdaje się pewne. Jan Śniadecki mianowicie, który jeszcze przed reformą Kołłątajowską był promowany na bakałarza a następnie i magistra filozofii, który więc jako naoczny świadek zasługuje na wiarę, pisze: „Kandydaci bakałarze, licencyati i magistrowie, którzy jeszcze czterech dysput do wzięcia togi wielkiej nie odbyli, mieli togi czarne barakanowe niczem nie podszyte z rękawami wąskiemi [2]. Takie jak tu opisano togi spotykamy w mnogich przykładach na iluminacyach rozmaitych ksiąg uniwersyteckich z XVII i XVIII wieku [3].

W powołanych ilustracyach uderza nas brak pelerynek, które się robiły z pewnością z tej samej co toga materyi. Fakt ten tłumaczy się tem, że pelerynki pod koniec XVII i XVIII wieku wyszły z używania przy promocyach. To też i Śniadecki nie wspomina o pelerynkach kandydackich. (C. d. n.)

Dr. A. Karbowiak.

---

[1] Zob. *Muczkowski,* Statuta, LXXXIV i LXXXV.
[2] Żywot Kołłątaja, ed. *Turowski* str. 22.
[3] Zob. Arch. Sen. Ak. t. 90, 91½ i inne.

FRANCUZ W SYBERYI.

De Paris au Japon à travers la Sibérie. Par Edmond Cotteau Paris. Hachette. 1888 r.

Najnakomitszy z podróżników naszego wieku, *Dawid Livingstone* powtarzał, iż nie spuszcza się na opisy Afryki dokonane przez Europejczyków, ponieważ upał zwrotnikowy, wyziewy bagnisk równikowych, nieodłączna febra, znużenie i zniechęcenie, wrogie stanowisko plemion krajowych, wszystko to razem wzięte, usposabia pesymistycznie wędrowca i ujemne mu tylko uwydatnia wrażenia. Zdanie wielkiego angielskiego pioniera oświaty dałoby się podobno zastosować i do wspomnień Sybirskich, kreślonych przeważnie przez nieszczęśliwych wygnańców, którym tęsknota za ojczyzną, brak wolności i swobody, oddalenie od swoich, wykolejenie z dawnych zajęć i stosunków, aż nadto wystarcza, aby potęgować same tylko poczucie smutku, chłodu samotności i wydziedziczenia tych śnieżnych przestrzeni, zamienionych w jedno olbrzymie więzienie. Chcąc tedy otrzymać wierniejszy obraz rzeczywistości, potrzeba dopełnić zapiski naszych wygnańców weselszemi wrażeniami prostych podróżników, nie odbywających z musu tej dalekiej wycieczki, nie jadących etapami na posielenie bodaj dożywotnie, lecz żądnych tylko nowości i niewyczerpanej jeszcze tkanki służącej im do napisania za powrotem barwnej i poczytnej książki. Do takich to turystów należy francuski autor, *Edmund Cotteau*, który przed kilkoma laty postanowił udać się do Japonii, nie na Suez, jak zwykli śmiertelnicy, lecz lądem, przez Syberyą, aż do Władywostoku Powierzono mu urzędową misyą zbadania azyatyckiej Rosyi

pod względem etnograficznym i geograficznym, zaczem opatrzony w odpowiednie polecenia i pasporta wyruszył w drogę z wiosną 1881 r. Lekkomyślność francuska cechuje jego zapiski, ustalona chęć przychlebianiu się Rosyi krępuje swobodę krytyki, stąd książka, której tytuł wypisaliśmy powyżej dość jest powierzchowną, wystarcza jednak aby czytelnikowi drastycznie przedstawić całkiem różną krainę od Sybiru *Grottgera*, *Słowackiego*, *Malczewskiego* i *Szymańskiego*, bez śniegu i zórz północnych, w cieple i świetle krótkiego lata, umajającego mnóstwem kwiecia mroźne przestrzenie za Uralskie.

W Aleksandrowie przebył nasz Francuz granicę rosyjską. Acz nie skory do zastanawiania się głębszego, uważa, iż w dwa dni potrafił dotrzeć do zachodniej granicy olbrzymiego państwa, a długie czekały go jeszcze miesiące, zanim miał stanąć u wschodnich onego kresów carstwa. Prawda, że odbył po trochu swą podróż *à la Verne*, a choć nie dokazał sztuki objechania całego świata w ośmdziesięciu dniach, starczyło mu ich dziewięćdziesiąt, aby przelecieć jak strzała niemal przez cały obszar starego kontynentu, od Paryża do wybrzeży Oceanu Spokojnego, przebywając 14.680 kilometrów, z których 3.940 koleją żelazną, 3.240 tarantasem, a 7.500 statkami parowymi na jeziorach i rzekach syberyjskich. Z podziwienia godną, prawdziwie francuską skrzętnością, całą tą daleką wyprawę p. *Cotteau* opędził 2500 frankami; dodaje zaś, iż gdyby nie zupełna nieznajomość rosyjskiego języka, byłby potrafił jeszcze znacznie oszczędniej odbyć długą swą drogę.

Nie będziemy towarzyszyć naszemu podróżnemu w europejskiej części jego wędrówki. Wystarczy wspomnieć, że przejechawszy Warszawę i Petersburg, ruszył dalej aby w Rybińsku zamienić drogę żelazną na wodną i Wołgą płynąć aż do Permu. Potężna ta arterya handlowa łączy poniekąd z sobą dwa światy, wschodni i zachodni. Systemat spławny Wołgi i jej dopływów wynosi 12.000 kilometrów, a samaż rzeka, matka „matuszka Wołga“, jak ją lud rosyjski nazywa, ma około czterech tysięcy kilometrów długości. W Permie nasz podróżny zastał całą kolonią francuską skupiającą się około dyrektora spółki kuźnic Uralskich, p. *de Richemont*. Tam też po raz pierwszy zetknął się z pocztem wygnańców okutych w kajdany i pędzonych w Sybir. Powiedziano mu, iż co ty-

dzień dwa takie oddziały przechodzą przez kresowe miasto, aby następnie koleją jechać do Ekaterymburga. Opodal od Permu znajduje się ludwisarnia wytrzymująca porównanie z esseńskiemi zakładami *Kruppa*. Rocznie stąd wychodzi do dwustu gotowych armat, z których każda kosztuje przeszło pół miliona rubli, pojedyńczy zaś nabój czy bomba, o doniosłości ośmiowiorstowej, wypada po sto rubli. Tak tedy ostatnim wykwitem europejskiej cywilizacyi, na tych wschodnich jej kresach, to pochód wygnańczy i udoskonalone narzędzia śmierci... Spółka francusko-rosyjska, na której czele stoi p. *de Richemont* rozporządza kapitałem ośmiu milionów franków, za pomocą których wyzyskuje kopalnie i zasoby rolne czy leśne majątku książąt Galicynów, którzy przystąpili do rzeczonego towarzystwa z 485.000 desiatynami ziemi, dziś już pokrytej kuźnicami, piecami i najróżniejszymi zakładami fabrycznemi.

Podróżny nasz miał się przypatrzeć zbliska niezmierzonym bogactwom Uralu w majętnościach *Demidowów* i tak dobrze znanych polskim czytelnikom hutach *Niżno-Tahilska*, gdzie tylu z naszych wygnańców z kolei znalazło zajęcie i zarobek. Z wyjątkiem szwedzkiego żelaza z kopalni *Dannemora*, nigdzie ten kruszec szlachetny w lepszym niż w *Tahilsku* nie znajduje się gatunku. Co prawda, na zapewnienia miejscowe nie zawsze można bezwzględnie się spuszczać, bo jak to wkrótce p. *Cotteau* spostrzegł, Rosyanie chwalą ślepo wszystko co rosyjskie, o niczem nie wątpią i gdyby im zawierzyć, możnaby mniemać, iż sama nawet Syberya jest Arkadyą i krainą wszelakich szczęśliwości.

Ale że to kraj nad inne bogaty, dowodzą choćby kopalnie Uralu. W samym okręgu Ekaterymburgskim znajduje się do stu czterech rozmaitych kruszców. W bazarach miejscowych można nabyć próbki najróżniejszych minerałów, z pośród których wymieniwszy bardziej znane jak malakit, chryzolit, lapis-lazuli i t. p., autor wspomina np. nie dawno odkryty *alexandrit*, mający tę dziwną własność, iż kolor swój szmaragdowy zatraca w obec sztucznego oświecenia, a natomiast pała czerwonością rubinów.

Znanym jest rozwój sieci kolejowej w olbrzymiem państwie. W r. 1861 Rosya liczyła zaledwie 2000 kilometrów dróg żelaznych, w szesnaście lat później było ich już 20.000; dziś zaś prócz pomniejszych linij, cyklopowe przedsiębiorstwo drogi sybirskiej ogólny

budzi podziw... i niedowierzanie. Raz po raz bowiem dają się słyszeć głosy powątpiewania, ażali zamiary tyle trudności przedstawiające, odniosą pożądany skutek i uwieńczone być mogą powodzeniem.

Zanim wagonem przyjdzie odbywać tę drogę, co już dziś u wstępu do granic sybirskich uskutecznić można, nasz podróżny tarantasem w nie wjeżdża. Ale snadź tu dobrowolnych podróżników musi być nie wiele, bo same nawet konie nauczone tylko wygnańców i skazańców przewozić, zajeżdżają z turystą-amatorem przed turmę, mimo usiłowań woźnicy aby je powstrzymać. Słup graniczny znaczący jedenastą wiorstę oznacza kres Europy i wstęp do innej części świata. Obie Syberye, zachodnia i wschodnia obejmują przestrzeń 13,250.000 kilometrów kwadratowych. Kraj ten tworzy jedną trzecią Azyi, a cztery siódme carstwa rosyjskiego. Pod względem atoli ludności, Syberya nie wielkiego dostarcza kontyngensu: gdy bowiem np. we Francyi przypada 200 mieszkańców na 3 kilometry kwadratowe, to Sybir przeciętnie daje zaledwie jednego.

Zaraz na wstępie widzi i mierzy nasz autor czekające go niedogodności. Okna domów sybirskich nigdy się nie otwierają, zaduch też w nich panuje okropny. W domach zajezdnych szukasz napróżno łóżek gościnnych z pościelą. Brud azyatycki, mnóstwo robactwa odstręcza podróżnych od popasu. Każdy woli bez wytchnienia jechać dalej a dalej, dniem czy nocą, byle nie spróbować tych ohydnych noclegów. Nawet wody potrzebnej do mycia skąpią przejezdnym. Jednego tylko nigdy i nigdzie nie brak. Ilekroć francuski wędrowiec opisuje szczupłe umeblowanie izby zajezdnej, zawsze mu wymienić przychodzi jeden lub dwa stoliki do gry. Krótki popas w *Tiumeniu* poznajomił naszego Francuza z wszystkiemi nieznośnemi przyszłej swej wyprawy stronami. Miasto to istniejące już od r. 1586, dziś nabrało wielkiego handlowego znaczenia, a inżynierowie angielscy założyli tu wielką fabrykę machin parowych, obok mnóstwa krajowych zakładów i warsztatów.

Znużony złemi drogami, strzęsiony podróżą tarantasem, p. *Cotteau* puszcza się w dalszą drogę statkiem płynącym ku Tobolskowi. Rzeki *Tusa* i *Tobol* stanowią w niektórych miesiącach roku najlepszy środek komunikacyjny. Że zaś prawie wszystkich wygnańców pędzą przez *Tiumeń*, gdzie następuje ich rozklasyfikowanie, p. *Cotteau* zastanawia się nad systematem karnym zaprowadzonym w Ro-

syi, i jak nakazuje dzisiejsza w Francyi moda, oraz przymierze wspólną nienawiścią do Niemiec zawiązane, pochwala ów sposób kolonizowania zimnych pustkowi, który wyrzuca z łona państwa wszelkie szkodliwe lub niebezpieczne żywioły. Dobrze jeszcze, że reszta uczuć filantropijnych i ogólnie ludzkich, wzbudza w piszącym pewne ubolewanie nad nielitościwą metodą pędzenia skazańców pieszo, wśród niewygód i niedostatków dziesiątkujących ich liczbę podczas przeciągającej się w długie miesiące a nawet i lata podróży. Twierdzi atoli, iż od r. 1862 prądy litościwsze przemagają, i wygnańcy coraz to prędzej i dogodniej stawają u smutnego celu swej krzyżowej drogi.

Wbrew ostudzeniu dawnych francuskich sympatyi dla Polaków, znalazł dla nich autor słowo uznania, acz nieco materyalnego tylko. Zapewnia on, iż gdziekolwiek po drodze znalazł lepszy hotel, porządniejszy statek, staranniej utrzymywaną pocztę, zawsze było to dziełem i zasługą Polaka. „Wielu Polaków, skompromitowanych w ostatnich powstaniach, zesłano do Syberyi. Czynniejsi i inteligentniejsi od Rosyan, wszędzie starali się oni poprawić los swój wygnańczy. Jedni wstąpili do administracyi (?), drudzy poświęcili się różnym gałęziom przemysłu, pozakładali domy zajezdne, i t. p. Do nich to odnieść wypada prawie wszystkie ulepszenia przypominające Europę w tych dalekich stronach".

Tobolsk leży nad połączeniem Tobolu z Irtyszem. Górne miasto zbudowanem jest na urwisku, do którego można dostąpić po schodach drewnianych liczących 220 stopni. Ogród publiczny, złożony z lasku brzozowego, szczyci się pomnikiem wystawionym na cześć *Jermaka*, który w końcu XVI wieku podbił Syberyą. Prosty Doniec zbuntowany, *Jermak* zamierzał na własną korzyść dokonać podboju. Widząc atoli, iż się nie utrzyma w obec tatarskiej przewagi, poddał się Iwanowi Groźnemu i wyrósł na bohatera i świętego w rocznikach rosyjskich. Śmierć znalazł w nurtach Irtyszu, walcząc z Tatarami. Po nim dalsi awanturnicy ustalili rozpoczęte dzieło. Rosyjski *Drang nach Osten* stwierdził się założeniem Tomska w 1604, Jakucka 1632, nareszcie w 1639 dotarciem do wybrzeży Ochockiego morza.

Przez czas dłuższy Tobolsk był stolicą przyłączonych do Rosyi dzierżaw. Dziś miasto straciło dawne znaczenie w obec rozwoju

innych ognisk sybirskich. Szczęśliwe położenie nad rzecznemi drogami ułatwia tu handel ryb, skór, łoju i futer. Ciężka atoli zima przerywa komunikacye. Irtysz bowiem i Tobol zamarzają w drugiej połowie października i stoją w lodowem okuciu aż do początków maja.

Tutaj widzieć można proto-wygnańca sybirskiego, dzwon katedry w Ugliczu, który w 1591 r. wydzwonił bunt przeciw Borysowi Godunowowi. Po uskromieniu buntu, główni onego podżegacze zostali zesłani do Tobolska, a z nimi i dzwon przeniewierczy, któremu odjęto serce i skazawszy go na rózgi, wyprawiono w Sybir, gdzie dotąd na biskupim dziedzińcu się wala, a ryty napis upamiętnia polityczne przestępstwo głuchego dziś kołokołu.

I znów statek płynący po falach Irtyszu, szerokiego tu na tysiąc metrów, dalej przenosi naszego wędrowca. Przypatruje się przyrodzie, ale sam jeden zda się być czułym na jej zmienne obrazy. Reszta spół-podróżnych zawzięcie gra w karty: „Nigdzie nie widziałem, aby tak uporczywie bawiono się przy zielonym stoliku jak w Syberyi. Od rana do nocy, od wieczora do rana nie opróżniają się przy nich miejsca. Nieraz i panie przysiadają się do mężczyzn, a gra bywa nieraz bardzo gruba“.

Wyrzekanie na niechlujność Syberyi i Sybiraków wraca ciągłą zwrotką, ale mimo to autor nie żałuje podjętej wyprawy i raz po raz dodaje o ludziach i gmachach krajowych: „Wszystko to bardzo brzydkie i brudne, ale prawdziwie ciekawe i zajmujące“. Za to przyroda dostarcza mu nieustających zachwytów. Dowiadujemy się tu między innymi o ciekawem prawie fizycznem, uwydatnionem przy każdej rzece rosyjskiej w sposób uderzający. Skutkiem obrotów ziemi, prawa strona wybrzeży bywa zawsze górzystą i podniesioną; lewa piaszczysta i płaska, z natury rzeczy wyzywa powodzie. Wołga, Irtysz i inne rzeki potwierdzają niezmienność tego prawa. Prawe porzecze jest zawsze urwiskiem podmywanem wodą, i zapadającem się w nią stopniowo wraz z drzewami tworzącymi u dołu istny chaos, podczas gdy lewa strona płaska i jednostajna, porasta brzeziną w miarę jak koryto nowymi podbojami górzystego wybrzeża, ku prawej zboczyło stronie.

Noc sybirska zaczyna wnet męczyć nerwy ludzi zachodnich. Słońce czerwcowe do dziesiątej wieczór świeci nad horyzontem,

a przed drugą zrana już wschodzi. Zachodnie blaski łączą się z błyskami świtu, o północy czytać można bez świecy. Jeśli importowane europejskie produkta coraz stają się kosztowniejszymi w miarę zagłębiania się w Azyą, miejscowe przedmioty nie mają prawie żadnej ceny. Para kaczek płaci się tu po 10 kopiejek, tłusta dzika gęś 15, dwa jarząbki 5, już za dwie kopiejki nabyć można sporą rybę, a szczupaków ważących około 20 funtów, za 15 do dwudziestu kopiejek dostać łatwo.

Jedną z właściwości tej strefy, to brak zupełny kamieni, rybacy nie znajdują na miejscu ciężarów do zagłębiania w nurtach matni. Od wyjazdu z Uralu, pisze autor, jednego nie dostrzegłem kamyczka. Niebawem łatwa żegluga po wodach Irtyszu zamienia się na trudniejsze sterowanie parostatkiem wśród labiryntu wysep i wysepek porosłych brzeziną, które wypełniają szerokie koryto wielkiej rzeki *Ob*. O północy nasz podróżny znalazł się u połączenia się tych dwóch potężnych dróg wodnych. Rozlane szeroko fale i gęsty archipelag zakrywający właściwe ujście Irtyszu, oraz łagodne światło nocy sybirskiej nadawało krajobrazowi charakter czysto nadmorski. W tem od północnej strony zakrwawiło się niebo, i choć jeszcze słońca nie było, jasność dzienna potokiem blasków oświeciła smętny widnokrąg. Niektórzy pasażerowie wylegli na pokład, aby podziwiać to cudowne zjawisko, ale stolik zielony przykuł namiętnych graczy, obojętnych na cuda przyrody.

Na dniu 4-go czerwca p. *Cotteau* stanął w *Surgut*, najskrajniejszym ku północy punkcie, do jakiego dotarł w czasie swej podróży. Począwszy od 60-go stopnia szerokości, ziemia niemal stale zamarznięta, nie udziela soków ożywczych rosnącym na niej drzewom, które nie dochodzą tu nigdy do znaczniejszych rozmiarów. Jeszcze w sąsiedztwie *Surguta* widnieją lasy sosnowe, modrzewiowe i brzozowe, ale niebawem drzewostan znika zupełnie, modrzew *(Larix sibirica)* tworzy ostatnią granicę roślinności drzewnej, dalej znajduje się *Tundra*, puszcza lodowa, którą już tylko trawy i mchy porastają. Przeklęta i wydziedziczona ta strefa rozciąga się w samejże Azyi od *Uralu* do cieśniny *Berynga*, na olbrzymiej przestrzeni obejmującej ze względu na swą długość trzecią część całej ziemi.

Ale nie potrzeba „tundry“, aby podróżnika zostawić pod wra-

żeniem bezmiernej melancholii. Zalesienie wybrzeży *Obu* przejmuje duszę tęsknotą i smutkiem; nic bowiem nie może dać nawet w przybliżeniu wyobrażenia o chaosie i grozie owych dziewiczych borów dalekiej północy, powikłanych krzewami i wywrotami zbielałych pni brzozowych, których szara roślinność zlewa się z bezbarwnością nieba i nurtów, w jedną mroczną, mglistą całość.

Płynąc wśród mnóstwa wysep olbrzymiej rzeki, nasz autor spotyka Ostyaków, plemię krajowe, które jak twierdzi, ma pewną przeszłość historyczną. Zdaje się, iż przed podbojem rosyjskim posiadali oni niejaką polityczną organizacyę, mieli warownie i miasta regularnie zbudowane. Dziś przestali istnieć jako naród niepodległy, a cofając się przed najezdnikiem, schronili się w puszcze północne, żyjąc z połowu ryb i myśliwstwa, zamieszkując w leśnych lepiankach i pogrążając się w rosnącem zdziczeniu i nędzy. Biedni to bardzo ludzie, o dziecięcej prostocie, wyzyskiwanej okrutnie przez Rosyan i Tatarów. Handlarze futrami głównie się nad nimi znęcają, upajając wódką, ażeby następnie za bezcen wyłudzać, najcenniejsze nawet błamy. Jeśli zaś któremu Ostyakowi przytrafi się zabić niebieskiego lisa, nie wolno mu skóry takowego spieniężyć, wraca ona do magazynów cesarskich, jako własność państwa.

Liczba Ostyaków wciąż się zmniejsza. Już dziś ich niema więcej nad 25.000, rozproszonych po olbrzymiem pustkowiu rozciągającem się między rzekami *Ob* i *Jenisej*. Szkoda tego ginącego plemienia, szkoda tych tubylców pełnych łagodnej cnoty i gościnności. Uczciwość i rzetelność Ostyaków mają być nadzwyczajne, żaden nie uchybi danemu słowu. Po większej części są oni poganami i z najrozliczniejszych słyną zabobonów. Autor opowiada, iż od czasu do czasu składają swym bożyszczom haracz pieniężny, którego nikt się nigdy nie tyka, acz żaden klucz ani stróż nie broni skarbu bogów. Zdarza się atoli, iż Ostyak w biedzie pożyczy czasem małą kwotę od swego bóstwa, ale można być pewnym, iż zaledwie w lepszych odnajdzie sie stosunkach, natychmiast dług zaciągnięty sumiennie wróci i złoży u stóp czczonego bałwana.

Po drodze, statek raz po raz przystawa przy różnych stacyach niezmiennie na prawem budowanych wybrzeżu, dla uniknięcia powodzi. Ale ta korzyść z innej strony ciężko bywa opłacaną, zarywaniem się urwiska wraz z całemi nieraz ulicami. Podróż zresztą nie

bardzo urozmaicona; spółtowarzysze albo grają zapamiętale w karty, albo też gryzą i żują cembrę, czyli orzeszki kedrowej szyszki. Nie trzeba mieszać kedrów z cedrami południowej Azyi. Kedrowe drzewo jest raczej sybirską sosną: *pinus cembra sibirica*. Gdy wątku do rozmowy braknie, łupanie w milczeniu nasienia kedrowego zastępuje słów zamianę. Że zaś obyczaj to we wszystkich rozpowszechniony klasach, a odpadki szyszek wszędzie spostrzec można, mechaniczną tę rozrywkę nazwano sybirską rozmową.

Niebawem statek opuszcza wody rzeki *Ob* aby sunąć po falach *Tomu* w południowym kierunku. Roślinność coraz bujniejsza porosła wybrzeża, pilno kwiatom korzystać z krótkiego lata. Pyszny *Trolleus asiaticus* złoci murawę, kwitnące wiśniowe drzewa w wiosennej ukazują się krasie. Nareszcie zdala widnieje *Tomsk*, po dziewięciodniowej począwszy od *Tiumeniu* żegludze, dłuższej aniżeli przebycie Atlantyku z Anglii do Stanów Zjednoczonych.

Tomsk uchodzi za jedno z ładniejszych miast w świecie, pod względem malowniczości położenia. Stolicą jest jednej z najludniejszych i najbogatszych z pośród sybirskich gubernij. Niektóre południowe części tej prowincyi słyną z nadzwyczajnej żyzności. Ale nasz Francuz traci dotychczasowy animusz w obec trudności dostania koni na stacyach pocztowych, i ciągłych utrapień z łamiącem się ustawicznie tarantasem. Zachciało mu się po rosyjsku podróżować, a jak słusznie uważa, żaden Rosyanin nigdy się w drodze dobrowolnie nie zatrzyma, niczem dla niego jednym tchem pędzić po dwieście wiorst dziennie, i to letnią porą, zimą oczywiście jeszcze większe mijając przestrzenie. Ale kto zaręczy iż wszędzie znajdzie przeprząg gotowy? Na czwartym popasie za Tomskiem rozpoczyna się dla ruchliwego Francuza serya zawodów. Tym razem jednak nie on sam czeka za końmi, pełno ma towarzyszów niedoli, a między nimi poznaje bogatego kupca *Sibiriakowa*, którego hojności profesor *Nordenskiöld* w znacznej części zawdzięczał usztyftowanie swej podbiegunowej wyprawy. Mimo utrudnień drogi, nasi podróżni w przeciągu ośmdziesięciu godzin docierają do *Krasnojarska*. Po drodze uderza ich żyzność gleby, na której obfite kołyszą się żniwa, choć tłusta ziemia nie zna żadnego nawozu. Lud bydlęcą mierzwę wyrzuca do rzeki, jako przedmiot pozbawiony wartości. Roli tu niebrak, jeśli jakie pole za-

czyna mniej wydawać plonu, porzucają je i zostawiają odłogiem, aby dalej swe zagony rozszerzać. Grunt to niemal dziewiczy, nie wyzyskany ani wyjałowiony dotąd kulturą wieków.

Nareszcie podróżny nasz znów spostrzega kamienie, po przerwie ciągnącej się od Uralu. W oddali błyskają pierwsze szczyty pasma *Ałtaju*, bliżej czerwone łomy skał, z których budują się tu domy. *Krasnojarsk* w malowniczem leży położeniu, na co wszakże mieszkańcy jego zupełnie pozostają obojętni. Miasto liczące do 15.000 ludności, uchodzi za Ateny Syberyi. I nasz Francuz mile wspomina krótki w niem popas. Zastał tam wielu Polaków i wygnańców, którzy serdeczną gościnnością upamiętnili mu dni w *Krasnojarsku* spędzone. Ale już gorączka ciekawości gnała go dalej ku porzeczom *Jeniseju*, i dopływów rzeki-matki, oraz wybrzeżom *Bajkału*. Systemat to wodny obejmujący przestrzeń trzech milionów kilometrów kwadratowych, czyli sześćkrotne rozmiary Francyi. Bieg *Jeniseju* ciągnie się na 5500 kilometrów długości. Czwarta to z rzędu rzeka na świecie, idąc z kolei zaraz po Amazonce, Nilu, i Misisipi. Zmienne jej wody, głębokie na 25 metrów w czasie wiosennego przypływu, przez resztę roku nie głębsze nad 12 metrów. Szerokość zaś nigdy nie liczy mniej od 1500 do 1800 metrów, i to w oddaleniu blisko trzech tysięcy kilometrów od ujścia. Rzeka ta łatwo mogłaby stać się spławną, za pomocą kilku robót mało znaczących, począwszy od *Nimuzińska* stolicy sybirskiej Italii, aż do Oceanu Lodowatego.

Krasnojarsk posiada klimat skrajny, bardzo mroźny w zimie, strasznie gorący latem. W styczniu termometr spada na 45 i 50 stopni poniżej zera, w lipcu upał tu nieznośny, a mustyki i komary stanowią istną plagę dla ludzi i bydła.

Handel miejscowy głównie się zasadza na futrach, a mianowice skórach popielic, lisów, wilków i niedźwiedzi. Nie brak zwierzyny, a na targach pełno zawsze jarząbków, cietrzewi, bekasów i kaczek dzikich. Warzywa wybornie tu idą, z owoców rosną dziko maliny leśne, czarne jagody i porzeczki białe lub czerwone. Rola wydaje wszelkie zboża: żyto, pszenicę, owies, jęczmień, tatarkę, len i konopie. Monastyr prawosławny góruje nad *Krasnojarskiem* wspaniałem swych gmachów położeniem. Nigdzie też flora sybirska pełniejszem nie zakwitła bogactwem. Karłowe akacye, piwonie,

spiree, alkonity, prześcigają się w barwności i krasie. Skały porośnięte mchami różnobarwnymi, złocistem *Sedum*, nareszcie dzikimi korczochami czyli echeverią dostarczającą kwaskowego płynu, wielce użytecznego gdy manierka wędrowna się opróżni.

Odtąd nasz Francuz przybiera z kolei dwóch towarzyszów podróży, młodych lekarzy, którzy chyba Polakami być musieli, dra *Konstantego Staśkiewicza* i dra *Birulę*. O tym ostatnim pisze, że pochodził z Małorusi, obu zaś szczerze polubił po wspólnie przebytych trudach dalekiej i uciążliwej drogi. Za *Krasnojarskiem* olbrzymi drzewostan zachwyca oko przejezdnych. Nie rzadko tam widzieć można sosnę lub modrzew wybujały na 60 metrów wysokości z dwoma metrami obwodu. Cała okolica wygląda jak jeden park, złożony z polanek leśnych i łąk zielonych, i znów gęstszego boru. Śliczny byłby to kraj, gdyby nie plaga moskitosów, które zaczynają na dobre dokuczać podróżnym. Harce susłów bawią oko wędrowców, a niebawem nasz Francuz, napróżno żądny ożywionej gawędki, poznajamia się z nową formą „sybirskiej rozmowy", zależącej tym razem na żuciu *czery*, czyli pewnego rodzaju żywicy, która ma podobno własność bielenia zębów, a w każdym przypadku zajmowania ludzi nie mających nic innego ani lepszego do czynienia, o co, jak dodaje autor, w Syberyi nie trudno.

Ale już *Irkuck* nie daleko i po znużeniu zbyt spiesznej podróży, p. *Cotteau* na dłuższy tam sobie popas pozwala, w najlepszym z całej Syberyi domu zajezdym, tak zwanym hotelu *Deko*, którego gospodarzem jest oczywiście polski wygnaniec Chwali sobie nasz Francuz i kuchnię i porządek i komfort wcale nie sybirski. Irkuck zaczynał się dopiero wówczas dźwigać z klęski pożaru, która w przeciągu kilku godzin zniszczyła 3600 domów, dziesięć kościołów, pięć bazarów, pozbawiając 20.000 ludzi schronienia i dachu. Miasto oczywiście wstanie z popiołów piękniejsze niż było, ale to dzieło wskrzeszenia zwolna postępuje, i pojedynczo odbudowane już gmachy sterczały samotnie wśród ponurych zgliszczów. Irkuck znajduje się na tym samym stopniu szerokości co Amsterdam, ale o ileż klimat sybirskiej stolicy jest sroższym! Wystarczy wspomnieć, iż mleko sprzedaje się tu w zamarzniętych cegiełkach. Wszystkie miejscowe produkta jak zwykle bardzo tanie, importowane wciąż w cenie się podnoszą Butelka angielskiego piwa płaci

się tu dziesięć franków, szampana flasza kosztuje dwadzieścia. Za cytrynę żądają rubla. Miasto góruje nad załamującą się w tem miejscu *Angarą*, i nosi zwykłe, nieodłączne cechy wszystkich miast rosyjskich Od r. 1783 podniesionem zostało do znaczenia stolicy, wschodniej Syberyi. Powtarzające się trzęsienia ziemi i pożary przeszkodziły normalnemu rozwijaniu się Irkucka. Polska to stolica w dalekim Sybirze. „Ludność Irkucka, pisze p. *Cotteau*, składa się w dwóch trzecich z wygnańców polskich lub ich potomków. Mnóstwo przedsiębiorstw powstało tu dzięki ich inicyatywie i słusznie twierdzić można, iż w znacznej części przyczynili się oni do postępu cywilizacyi we wschodniej Syberyi". Właściciel hotelu w którym nasz Francuz zamieszkał był Polakiem, skazanym po roku 1868 do katorżnych robót w kopalniach *Nerczyńskich*. Amnestyowany po niejakim czasie, odzyskał swobodę w obrębie wschodniej Syberyi, nie wolno mu atoli myśleć o powrocie do Europy, ani spodziewać się, że kiedykolwiek ujrzy ojczyznę. Znosi więc cierpliwie los, jaki mu przypadł w udziale, a tymczasem interesa świetnie mu idą, i tak hotel jak sala restauracyjna i bilardowa nigdy się nie opróżniają.

Według statystyk z r. 1879 gubernia Irkucka na przestrzeni 800.000 kilometrów, z których zaledwie 3000 jest uprawionych, posiada ludność 384.000 dusz. Trzydzieści procent jest tubylców, a więc Tunguzów, Buryatów, Jakutów; wygnańcy stanowią przeszło szósty procent, wojsko piąty ogólnej liczby mieszkańców. Rolnictwo głównem tu jest zajęciem ludu; nie brak atoli i fabryk, a mianowicie gorzelni, cegielni, warsztatów tkackich i t. d. Wszystkie niemal wyroby miejscowe na miejscu bywają spotrzebowane, nie wystarczając nawet żądaniom krajowców. Zastój w rozwoju lokalnego przemysłu pochodzi z braku ludzi fachowych i zdolnych, z apatyi, rutyny i ogólnej ciemnoty. Wszystkie żywotniejsze siły idą w służbę kopalni złota, tak, iż do innych przedsiębiorstw znaleść robotnika niepodobna. Wystarczy wspomnieć, iż mimo tłustego czarnoziemu stanowiącego w części glebę tej gubernii, mimo całych gór nawozu i nieprzejrzanych pastwisk, zdarzają się tu lata niedostatku pod względem mąki i siana, a trudność w dostaniu obroku zwiększa koszta podróży. Nigdzie też nie spotkał nasz autor droższego robotnika. Żaden mularz tu się nie zgodzi za mniej niż cztery

ruble dziennego wynagrodzenia. A tymczasem sybirscy milionerzy, nie wiedząc co począć z nagromadzonymi w swoim ręku skarbami, zamiast ich używać na dokonanie pożytecznych dzieł i robót, dopuszczają się nieraz wschodnich wybryków i szałów. Autor wspomina pewnego bogacza, który nie byłby wydał dwudziestu rubli na oczyszczenie pełnej śmieci i błota ulicy, a podłogę swego mieszkania szampańskiem winem myć kazał.

Irkuck jest kluczem głównej drogi handlowej dla chińskiej herbaty, której np. w jednym tylko roku 1880, przeszło tędy z górą 16 milionów kilogramów, z dochodem celnym blisko trzech milionów rubli dla skarbu państwa. Większa część tej herbaty pochodzi z środkowych części niebieskiego cesarstwa; w *Hankeu*, kolonia rosyjskich kupców otrzymuje surowe ziarno herbaciane w liściach; tam niższe gatunki zamieniają w prasowane cegiełki, lepsze zaś w stósownem opakowaniu wyprawiają wodą aż ku stolicy Chin, stamtąd wielbłądy przenoszą wonny towar przez mongolskie pustkowia aż do *Kiachty* pogranicznego miasta, skąd jednokonne podwody zdążają wprost do Irkucka, gdzie następuje oclenie chińskiego produktu. Główny to i wciąż rosnący dochód fiskalny w administracyi wschodniej Syberyi.

Nasz podróżnik zachwyca się wspaniałością biegu *Angary*, pięknym z jej wybrzeży widokiem. Pewien Warszawianin otworzył tam łazienki, ale nie wielu ma klientów, bądź, że noce jeszcze o tej porze bywają zimne, bądź że wstręt do wody i ochędóstwa, zaznaczony przez autora u wszystkich Rosyan bez wyjątku i tutaj rozstrzygająco przemaga. Ale z powodu owych stojących pustkami łazienek, p. *Cotteau* ponownie uważa „iż ilekroć się pojawi tego rodzaju ulepszenie lub nowość, można się założyć, iż musi to być dziełem Polaka".

Zrobiwszy w drodze znajomość z dyrektorem fabryki złota, p. *Sawickim*, nasz autor zwiedza szczegółowo zakłady położone nad Angarą. Wiadomo, iż złoto sybirskie pochodzi wyłącznie z przemywania piasków, nigdy z właściwych kopalni. Odkrycie pokładów grafitu, dokonane w r. 1847 przez Francuza, p. *Alibert*, dało nowy pochop industryi złota, przetapianego w grafitowych kotłach. Kiedy ten szlachetny kruszec dochodzi do płynności, przybiera śliczną barwę zieloną. Aczkolwiek Syberya z całego sta-

rego kontynentu najwięcej obfituje w złoto, nie wytrzymuje porównania z Kalifornią i Australią. I tak np. zakłady Irkuckie, w których się skupia produkcya całej niemal Wschodniej Syberyi, przez rok przetapiają zaledwie 30.000 kilogramów złota. Tymczasem wszelki inny przemysł chromieje, a niedbalstwo rządu w regulowaniu spławności rzek wstrzymuje rozwój handlowy stref z siebie samych bogatych i świeżych. Byle usunąć skały wstrzymujące bieg *Angary*, a z innej strony wykopać kanał między *Aczyńskiem* a rzeką *Jenisej*, natychmiast otworzyłaby się wodna droga, tańsza i pewniejsza od projektowanej sybirskiej kolei, a ciągnąca się nieprzerwanie od *Tiumeniu* aż po granice Chińskiego cesarstwa.

Towarzysz *Nordenskjölda*, osiadły w Irkucku bogaty *Sybirjakow*, poświęca znaczną część bajecznych swych dochodów otwieraniu nowych dróg handlowych i udoskonaleniu istniejących już uprzednio. Przez niego francuski podróżnik zebrał nieco wiadomości dotyczących strefy północnej, do której sam dotrzeć nie miał, a mianowicie tej prowincyi Jakuckiej, która ogromem równa się całej Europie bez Rosyi. Na przestrzeni doliczającej się czterech blisko milionów kilometrów □, mieszka zaledwie 236.000 ludzi, tak iż przypada po jednym mieszkańcu na 16 kilometrów □. Pustkowie to przecina olbrzymia wodna arterya, długa przeszło 4000 kilometrów *Lena*. Atoli żegluga nie wiele może skorzystać z drogi zamykającej się corocznie przez osiem miesięcy, od pierwszego października aż do końca maja. Ścięta lodem rzeka, zaledwie przez cztery miesiące w roku wolną płynie falą. *Jakuck* jest bodaj najzimniejszem miastem na świecie, rtęć nawet tu marznie zimową porą, a w styczniu mróz dochodzi przeciętnie do 40 stopni. Iluż z naszych wygnańców tam właśnie w różnych znalazło się czasach! Opowiadania *Adama Szymańskiego* wtajemniczyły nas świeżo w mroźną grozę onego *doloroso regno*, podobnego do lodowatych czeluści tworzących dno Dantejskiego piekła.

Z końcem czerwca p. *Cotteau* opuścił Irkuck zmierzając w stronę Bajkału. Lato sybirskie przesłaniało kwieciem dziki krajobraz. Przyroda miejscowa posiada właściwą roślinność *malus baccata* czyli jabłko sybirskie znaczy drogę potokiem kwiatów, krzew złocący się nad moczarami, to *Potentilla frutescens*, pospolicie zwana herbatą Kamczatki. Szumiąca *Angara* rozszerza swe koryto na

przestrzeni 1500 metrów, rozbijając się o skaliste porohy i wysepki, które jej żartki bieg wstrzymują. Niebawem podróżni nasi słyszą inny jeszcze głos wód, jęk właściwy morskiej fali, gdy na wybrzeżu zamiera. Jakoż Bajkał można przyrównać do wewnętrznego morza. Największy to zbiornik słodkich wód w całej Azyi, pokrywający przestrzeń 35.000 kilometrów □, czyli sześćdziesiąt razy więcej aniżeli genewski Leman. Jezioro w kształcie półksiężyca święte ma dla pogan miejscowych znaczenie. Czczą oni mianowicie skałę Szamanów, sterczącą ponuro nad ujściem Angary. Wiadomo iż szamanizm jest bałwochwalstwem opartem na strachu przed złymi duchami. Dopóki pogańska ciemnota w tych stronach panowała, szamani na tej skale ludzkie sprawowali ofiary, strącając je w rwące wody potoku. Po dziś dzień nurty te zachowały w oczach krajowców pewną tajemniczą grozę, nigdy nie nazywają ich inaczej jak morzem, i to morzem świętem. Miano jeziora urażać ma duchy wodne. Bajkał jest istotnie sybirskiem Morskiem Okiem, znajduje się na poważnej wysokości 415 metrów nad powierzchnią morza, głębokością zaś sięga o wiele niżej od morskiego poziomu, gdy bowiem przeciętna daje 250 metrów, znajdują się głębiny na przeszło 1300 metrów. Wody Bajkału dziwnie są przejrzyste i wiecznie zimne, nawet letnią porą. Mróz je ścina przez całe sześć miesięcy, ułatwiając komunikacyę sankami po lodzie. Do dwustu rzek zasila to olbrzymie zbiorowisko wód, które upływają jedynie korytem Angary, z taką bijąc gwałtownością, iż rzeka ta najpóźniej z wszystkich wód sybirskich się ścina, potrzebując dłuższej seryi znanych mrozów, aby spienione nurty pokryć lodów kryształem. Żegluga parowa łączy w letnich miesiącach drogę Irkucką z Selengą, najznaczniejszym dopływem Bajkału. Jeden tylko statek dwa razy tygodniowo przewozi podróżnych. Zresztą na całym jeziorze żadnego innego nie ma ruchu, żadne miasta ani fabryki nadbrzeżne dotąd nie powstały. A jednak bogactw tu nie braknie; jezioro ma być nadzwyczaj rybne, poławiają się w niem nawet foki; góry zaś okoliczne obfitują w skarby kruszcowe, pokazywano p. *Cotteau* próbki *lapis lazuli* rzadkiej wspaniałości. Ale nikt się tu żadnego przedsiębiorstwa nie chwyta, okrom bardzo pierwotnie urządzanego płókakania złotego piasku, na czem też ogranicza się przemysł miejscowy.

I nasz Francuz puszcza się statkiem na drugą stronę jeziora, zachwycając się widokiem, szmaragdowym kolorem fali, oprawą gór błękitnych i nieskończonością wodnego krajobrazu. *W Bojarsku* wysiada znów na stały ląd; osada ta powstała przed kilkoma zaledwie laty. Wycięto na prędce część lasu aby postawić kilka domów — i więzieni. „Ilekroć rosyjska cywilizacya gdziekolwiekbądź swe zagony rozszerzy, można z góry założyć się, iż pierwszy gmach jaki wzniesie, będzie więzieniem. W Ameryce, budowanoby raczej hotel dla podróżnych“. Ależ to nie Ameryka, i nasz Francuz coraz dotkliwiej miał odczuć niedostatki idące w parze z barbarzyństwem tych kresowych prowincyj. Barwne jego opowiadanie przerywają ustawiczne skargi na brak koni pocztowych, zwłoki w odbywaniu dalszej podróży, niedostatek wszelkich wygód, a nawet pospolitego noclegu i schroniska. A przytem drożyzna okropna, spowodowana obfitością złota, mleko, kwas, najzwyklejsze napoje opłacać tu w trójnasób przychodzi, konie przeceniać trzeba, aby dostać podwodę. Jedynem wynagrodzeniem poniesionych trudów, to wspaniałość przyrody. *Selenga* toczy swe wody wśród łąk porosłych brzeziną, nad któremi piętrzą się góry gęsto świerkami pokryte. Kwiatów moc nieprzebrana, to żółte maki, to dzikie różyczki daleko jaskrawsze od naszych głogów. Wśród tej bujnej i dziewiczej przyrody, słupy telegraficzne znaczą drogę ku dalekiemu Wschodowi. Duńskie towarzystwo postawiło i utrzymuje tę najdłuższą ze wszystkich linią telegraficzną łączącą Bałtyk z Oceanem Spokojnym, a Petersburg z Władywostokiem, przeciągając się podmorską liną aż do Chin i Japonii. Drut ten nieskończony uprzedził położenie szyn, które nie tylko słowo, lecz i ludzi przenosić będą szybko przez sybirskie przestrzenie i pustynie.

Transbajkalia jest najcenniejszą, najludniejszą z Sybirskich prowincyj. Trzecia część mieszkańców składa się z Buryatów wyznających Buddyzm i zajmujących się rolnictwem i hodowlą bydła. Klimat tu bywa skrajny, bardzo chłodny w zimie, bardzo w lecie gorący. Śniegów nie wiele i to już w kwietniu niknących. Bogactwo mineralne niesłychane: nie od dziś znane Nerczyńskie kopalnie. Od ćwierć wieku odkryto pokłady złota w górach Stanowoj, co dało pochop rozwojowi przemysłu górniczego. O robotnika tu nie trudno, jest nawet dość tani, ponieważ go znaleść można za 15 rubli mie-

sięcznie i żywność. Drzewo opałowe na miejscu daje się darmo, narzędzia z Moskwy przychodzą. A jednak właściciel kopalni nie zawsze świetne robi interesa. Prócz haraczu 15 procent oddawanego do skarbu, każde pięć wiorst kwadratowych, w których rozpoczynają się poszukiwania, opłacać trzeba państwu kwotą 375 rubli. Prócz tego, robotnicy zręcznie usuwają znaczną część znalezionego złota, aby takową sprzedawać potajemnie Chińczykom. Skądinąd krótkość lata utrudnia roboty, zwłaszcza ku północy, gdzie płókanie piasku nie trwa dłużej nad półczwarta miesiąca, kopanie zaś ziemi jest tem trudniejsze, im głębiej mróz objął ją pod swe panowanie; są zaś okolice, gdzie tylko powierzchnia zmięknie, a łono ziemi pozostaje wiecznie zmrożone i lodowate.

W *Werchno Udyńsku* nasz podróżny uczuł się już na prawdę w Azyi, a mnóstwo spotykanych Chińczyków i chińskich napisów potęgowało to wrażenie. Pędząc dalej ku Wschodowi, stanął niebawem naprzeciw miasteczka *Czyty*, na wysepce utworzonej wodami dopływu *Amuru*, wielkiej rzeki *Ingody*. Nie było sposobu dotarcia do celu, od którego odgradzały go spienione nurty wezbranej rzeki. Most niegdyś długi na pięćset metrów został przerwany, i od kilku lat już nie istnieje wcale. Wprawdzie znalazły się fundusze na potrzebną naprawę, ale z planami wypadało odnieść się do Petersburga. Kiedy po roku nadesłano upoważnienie do rozpoczęcia napraw koniecznych, most uległ był zupełnemu zniszczeniu. Zaczem należało zażądać nowego pozwolenia na odbudowanie go z gruntu. Wyszły odpowiednie podania, ale zanim rezolucya nadejdzie, mostu jak nie ma tak nie ma, i dostać się do miasta niepodobna. „Centralizacya jest zaiste piękną rzeczą, dodaje p. *Cotteau*, zwłaszcza gdy promienieje na 8200 kilometrów odległości!“

Nie mogąc na razie dostać łódki, nasz podróżny szuka rozrywki w botanicznych wędrówkach i spostrzeżeniach. Strefa ta nazwana ogrodem Syberyi, zasługuje w pełni na to miano. Trudno spotkać gdzieindziej równą kwiatów rozmaitość i liczbę. Ozdoby naszych ogrodów, lilie, astry, maki, sedum różowe, weroniki błękitne, cisną się tu w lubym nieładzie i jaskrawością barw olśniewają. Ale oto wody opadają i niebawem można w bród dotrzeć do nowo powstałego miasteczka. I tu hotelista jest Polakiem, wygnańcem; nazywa się *Majewski* i gościnnie podejmuje u siebie prze-

jezdnego Francuza. Przez gubernatora Zabajkalskiej prowincyi, jenerała *Iliaszewicza*, a więcej jeszcze przez jego małżonkę, autor otrzymuje bliższe wiadomości o Buryatach, zaludniających te dalekie kresy. Lud to uczciwy i łagodny, ale dla postępu i oświaty oporny. Tyle tylko pracuje ile potrzeba, aby z głodu nie umrzeć; na próżno mu Rosyanie dostarczają nasion ogrodniczych, próbują kształcić dzieci, rozwijać dorosłych; Buryaci trwają w lenistwie i zasklepieniu dawnych obyczajów i zabobonów. Za nic nie odstąpią Buddyzmu, ani się nie dadzą do przyjęcia wiary chrześcijańskiej nakłonić. Znaczna część ich po dziś dzień koczujące wiedzie życie. Dziwna sprzeczność zachodzi między wspaniałością bogatej i żyznej przyrody, a barbarzyństwem mieszkańców tych stref żyznych i uprzywilejowanych. Tubylcy co najwięcej hodują trochę kapusty, innych warzyw nie sadzą ani sieją, choć ziemia jak wraz do kultury ogrodowizn się nadaje, wody wszędzie pełno, nawozu nie brak. Oni tymczasem nawóz spychają do rzeki, a stosunek swój z przyrodą ograniczają na niszczeniu lasów i drzew z systematyczną bezmyślnością.

Wydobywszy się z *Czyty*, nasz podróżny stanął niebawem w *Nerczyńsku*, jednym z znaczniejszych punktów wschodniej Syberyi. Wbrew groźnom pojęciom i posępnym wspomnieniom, p. *Cotteau* opisuje nam malowniczość miasta rozłożonego wśród bujnych łąk nad brzegiem rzeki *Nerczy*. Nerczyńsk znajduje się na wysokości 550 metrów nad poziomem morza, stąd klimat dziwne tu zna odskoki, różnicy ośmdziesięciu stopni. Bywa tu w sierpniu upał dochodzący do 34 stopni w cieniu, podczas gdy w styczniu nie trudno o 46 stopni mrozu. Mimo tych różnic wszelakie zboża, a nawet tytoń i ogórki pomyślnie się tu rozwijają i rosną.

Nerczyńsk powstał już w r. 1658, ale wsławił się dopiero w 1689 r. traktatem zawartym między Rosyą a Chinami, mocą którego Rosyanie mieli opuścić wybrzeża Amuru. Ale warunek ten nigdy ściśle nie był dotrzymanym, trwał jednak jako polityczne zobowiązanie aż do r. 1861, kiedy Rosya odzyskała wolną na Amurze żeglugę, i całe północne aż do Korei porzecze.

Odkrycie bogatych kopalni w sąsiedztwie Nerczyńska w XVIII wieku nadało osobne znaczenie temu kresowemu miastu, które jęło też niebawem wzrastać falą wygnańców skazanych tu do ciężkich

robót. Dziś punkt to mniej ważny w administracyjnym Syberyi podziale. Miasto upada, domy się chylą, ulice pełne śmieci i błota. Tu jednak nasz podróżny znalazł najwspanialszy gmach prywatny z całej Syberyi, istny pałac, zdumiewający w krainie, gdzie lada schronisko wystarcza mało wymagającym mieszkańcom. Siedziba to niejakiego *Butyna*, właściciela olbrzymich kopalni dających mu bajeczne dochody. Obiegłszy świat cały, wybudował pałac skupiający w sobie fantastycznie wszystkie style, wszystkie porządki architektury. Powstało dziwadło imponujące wielkością, zadziwiające połączeniem gotycyzmu z renesansem, byzantynizmu z maurytańskiemi koronkami. Całość ogarnia mieszkanie właściciela, teatr, drukarnią, bióra, maszyny, składy i warstaty, wszystko pobielone wapnem, góruje nad niskiemi strzechami miasta. Obok zwiedzić można jedyny bodaj w Syberyi ogród z mnóstwem kwiatów, krzewów, wodotrysków i cieplarni. Zbiory i biblioteki p. *Butyna* odpowiadają jego dostatkom, a mineralogiczne okazy urosły tu w bardzo zajmującą kollekcyą.

Dalszą drogę zapragnął odbyć nasz wędrowiec na wodach Amuru. Dojeżdżając do *Streteńska*, gdzie właściwie olbrzymia ta rzeka spławną być zaczyna, autor raz jeszcze się zastanawia nad etapami znaczącemi trakt sybirski ponuremi stacyami, o jednakim zawsze kształcie. Wysoka palisada z okrąglaków zbita, otacza szeroki plac, w którym oko domyśla się bardziej, aniżeli dostrzega istnienia kilku niskich schronisk i doraźnych przytułków, do których daje przystęp warowna brama z dwoma odwachami. „Droga do Rosyi“, szlak sybirski, innych nie zna drogoskazów...

I znów w *Streteńsku* nasz podróżny znajduje polskiego wygnańca gospodarzem foxalu czyli poczekalni, gdzie przejezdni cierpliwie a raczej niecierpliwie wyglądają statku mającego ich przewieść do *Kabarówki*, o 2017 wiorst dalej ku ujściu Amuru. Polak też, niejaki p. *Buszkiewicz*, jest kapitanem parowca, na którym p. *Cotteau* dalszą odbywa drogę. Uprzejmością swą niewoli naszego podróżnika, opowiada mu jak studentem został wysłany w sołdaty, jak po dwunastu latach Kaukazu i Syberyi wstąpił w służbę kompanii żeglugi Amurskiej i jak nareszcie dosłużył się w niej stopnia kapitana.

Właściwie statek zrazu płynie dopływami rzeki matki, ale

Ya-mur, wedle krajowego wyrazu *wielka rzeka* już nie daleko. Pierwszego zaraz dnia statek zatrzymuje się na stacyi zwanej *Ust-Kara*, skąd blisko do najważniejszego zakładu karnego w całej Syberyi. Tu bowiem opodal, 2500 skazanych do ciężkich robót znaleść można w dolinie długiej od 30 do 40 kilometrów, tworzącej rodzaj naturalnego a strzeżonego przez Kozaków więzienia. Przemywanie złota jest głównem zajęciem tych „nieszczęśliwych“, jak ich tu ogólnie nazywają. Są to po większej części pospolici przestępcy, politycznych jest względnie mało. Angielski podróżnik p. *Lansdell* który zwiedził *Karę* w 1879 r., zastał tamże wśród 2144 skazańców, zaledwo 41 politycznych przestępców, a w ich liczbie 28 Polaków.

Rozszerzają się wybrzeża, krajobrazy piękniejsze, na prawo widnieją lasy Mińskie, na lewo sterczą skały nagie, niby słup wytyczny zaczynającego się innego świata. Kapitan uprzedza podróżnych aby wedle sybirskiego zwyczaju, rzucili w nurty kilka monet, haraczem oddawanym rzece. Inne ona posiada skarby, złotodajne piaski wzbogacające zawiązujące się tu stowarzyszenia przedsiębiorców. Bogaty nad inne to kraj, gleba urodzajna a nie wyzyskana. Po stronie chińskiej ludne ciągną się wioski, ogrody pełne warzyw i owoców. Rosyjskie wybrzeże puste i zaniedbane, ogołocone z drzew wedle obyczaju Rosyan, którzy gdziekolwiek osiadają, zaczynają od wycięcia wszelkich drzew, nie troszcząc się bynajmniej o zastąpienie ich nowemi. A jednak wszystko tu zachęca do prac rolniczych. Żyzny czarnoziem o gliniastym podkładzie, porasta trawami na wysokość człowieka. Kwiatów w bród, najwięcej lilii, których woń nasyca powietrze. Stąpnąć trudno w tym stepie powikłanej roślinności, wśród której uganiają się dziki, a nawet tygrysy. Klimat łagodny, wszystkie warunki kultury rolnej po prostu nadzwyczajne, brak tylko rąk, brak pracy, brak ludności rolniczej, aby setne procenta ciągnąć z łona tej dziewiczej ziemi. Przed kilkudziesięciu laty, zniechęcony materyalnemi i moralnemi przeciwnościami znany w kraju ideolog, zachęcał swych znajomych do hurtownego wyprzedania się i przeniesienia nad Amur, celem utworzenia tamże nowej Polski, dość bogatej aby wkrótce starą odzyskać. Ale wtedy strefy te rodzajne nie należały jeszcze do Rosyi. Podbił je dopiero *hr. Murawiew* Amurski w r. 1858. Dzielny żoł-

nierz, dzielniejszy jeszcze dyplomata, potrafił przewyższyć w chytrych podstępach Chińczyków, a w układach z ich mandarynami okazał przebiegłość równającą się geniuszowi. Umarł w Paryżu w 1881 r. zostawiwszy Rosyi dwa razy większe od Francyi dzierżawy, z których dotąd nie wiele korzystać umiała. Rozstrój aneksyi utrwala się na tych wybrzeżach. Po dawnemu Mandżurowie, acz podlegli rządom cara, dają się obdzierać i chińskim poborcom, ściągającym z nich podatki w naturze, i ogałacają biedaków z wszelkiej własności.

Zmienia się tymczasem do niepoznania sybirski krajobraz, przybierając cechy zwrotnikowe. Iglaste drzewa znikają prawie zupełnie, zastąpione dębami, klonami, czarnemi brzozami, leszczyną, a wszystko powikłane bluszczem i powojem, na podobieństwo dziewiczych lasów wnętrza Afryki. W tej gęstwinie mnóstwo dzikich zwierząt mieszka. Rysie i lamparty, a nawet niedźwiedzie i tygrysy żyją w nadamurskich zaroślach, wypadając zimową porą z swych matecznikow, aby po lodzie rzekę przechodzić i wkraczać do nadbrzeżnych osad, wielkie w bydle czyniąc szkody. Bieg Amuru coraz inne przybiera kształty, wije się, zakręca, rozszerza lub zwęża. Co dopiero koryto rzeki ścieśniło się do ośmiuset metrów, teraz znów rozlewa się na przestrzeni ośmiu kilometrów; tu kręci się w takim labiryncie skał, iż raz po raz mniemaćby można, iż statek znajduje się na jeziorze bez wyjścia; tu znów wspaniała rzeka toczy majestatecznie swe fale. Widoki wciąż się zmieniają, nie ustępujące sobie nic pod względem malowniczości. Nareszcie po dziewięciodniowej żegludze na „wielkiej rzece“, podróżni zawijają do przystani założonej w r. 1858 przez *Murawiewa* Amurskiego pod nazwą *Kabarówki*, od nazwiska pewnego kozackiego awanturnika, który pierwszy w połowie XVIII wieku, tą wodną przepłynął drogą. Wiejska to niemal osada, ale punkt strategiczny niemałej wagi, wysunięty posterunek, sprawujący pilne czaty w obec Chin, a może i Anglii, gotowej wszędzie i zawsze spotykać się oko w oko z rosyjską potęgą. *Kabarówka* stanowi militarną stolicę prowincyi nadbrzeżnej i kresowej, a nazwanej *Primarskaja Oblast*, a nawet po prostu *Primorsk*. Olbrzymia ta dzielnica nie ustępuje rozmiarami kolosalności innych sybirskich gubernij. Liczy bowiem blisko dwa miliony kilometrów kwadratowych, sięgając od granicy

Mandżuryi po morze Ochockie, cieśninę Berynga i ocean Lodowaty. *Kabarówka* dotąd jest przeważnie siedzibą czynowników i wojskowych rosyjskich, z dodatkiem kilku zesłanych wygnańców, i garstki chińskich robotników. Zamierzone miasto istnieje dotąd zaledwie w planie, który po ukazie wytknął proste ulice, nie bacząc na pochyłości gruntu i urwiska, na źle wykarczowany las i odrastającą wszędzie gęstwinę. P. *Cotteau* próbuje wejrzeć w okalające bezpośrednio nową osadę mateczniki, skąd go wypędzają krwiożercze mustyki. Plaga to miejscowa, przed którą uchronić się trudno. Nasz Francuz odcięty nieznajomością języka krajowego od gruntownego zbadania stosunków, rad zawiera znajomości z ludźmi umiejącymi po francusku. I na tych kresach spotkał wysokiego urzędnika p. *Wołoszewa*, który znał Paryż i doskonale się wysławiał w mowie naszego turysty. Kiedy wrócicie do ojczyzny waszej, powtarzał p. *Wołoszew*, opowiadajcie, że Syberya na lepszą zasługuje sławę, aniżeli ją posiada. Potrzeba nam tylko rąk, a więc kupców, rzemieślników, kolonistów; zwróćcie prąd emigracyjny w nasze strony. Pretensya to nieco dziwna, zważywszy na utrudnienie graniczne i paszportowe, zamykające progi Rosyi przed obcymi poddanymi. Nasz Francuz zdobywa się zaledwie na jedną uwagę, spowodowaną przebytymi trudami i niedogodnościami podróży.

— Chcąc przyciągać cudzoziemców w wasze strony, należałoby może chyba pobudować kilka hotelów i zajazdów dla obcych przybyszów. — Po co? odparł p. *Wołoszew*. Wszakże naród rosyjski jest najgościnniejszem na świecie plemieniem. Mówił z przekonania, a bodaj wszyscy Sybiracy podzielają ten sposób widzenia. Miasteczka tu niewielkie, ludzie się między sobą znają. Przejezdny stale puka do domu kolegi lub przyjaciela, a że sypiać zwykł ubrany, wedle krajowego obyczaju, nie trudno o nocleg i kwaterę. „Rodowity Rosyanin niczego więcej nie żąda; inaczej rzecz się przedstawia dla cudzoziemca nie mającego tu znajomych, nie umiejącego po rosyjsku, a trwającego w pretensyi i przywidzeniu sypiania na czystej pościeli na łóżku".

Doznawszy na własnych kościach zaniedbania dróg sybirskich, autor z pewnem zdumieniem patrzy na gorączkowe naprawianie gościńca wiodącego do mieszkania gubernatora. Zapowiedź powrotu

jenerała *Anuczyna* tłumaczy mu zagadkę: bo, jak sam dodaje, jeśli gdzie w tych stronach opłakane poprawiają drogi, dzieje się to wtedy tylko, gdy jaki wysoki urzędnik ma przejechać. A urzędników tu nie braknie: roi się wszędzie od czynowników i oficerów, a stąd p. *Cotteau* słuszną robi uwagę: w Ameryce, i w ogóle we wszystkich młodych krajach najprzód kolonizują pustynie, później dopiero zarządzają odpowiedni mechanizm administracyjny. Tu na odwrót, zaczynają od ustanowienia machiny rządowej, żadnego kółka ani sprężyny nie pomijając. Jest wszystko, okrom administrowanych, jest rząd, niema prawie rządzonych. Najmniejsza czynność potrzebuje dużo czasu, pisaniny, zachodu. Angielskie przysłowie: *Time is money*, nie ma żadnego w Rosyi znaczenia. Aż strach przejmuje w obec tych zwłok, obcych gorączkowemu życiu innych, mniej trwałych i mniej wielkich organizacyi rządowych, liczących się z czasem, bo niepewnych jutra. Ten spokój, to także siła, brutalna wprawdzie i nielitościwa, ale panująca nad niecierpliwym pośpiechem innych społeczności.

W *Kabarówce* nasz podróżny spotyka się z ogródkiem owocowym, pełnym dzikich grusz i jabłoni, kiedy łatwo przyszłoby tu szlachetne aklimatyzować gatunki. Oko południowca raduje się widokiem latorośli winogradowych, wprawdzie grona winne tu nie dojrzewają i tylko ocet z nich wyrabiać można, ale inne owoce dochodzą i do kultury zachęcają mimo względnej krótkości ciepłej pory.

Kubarówka stanowiła najbardziej ku wschodowi wysuniętą stacyą podróży naszego turysty. Teraz jego droga ku południowi stanowczo się zawraca wzdłuż dopływu Amuru, znacznej rzeki Ussuri której wybrzeża podzieliły między siebie pograniczne cesarstwa. Porzecza te i wyspy posłużyły do odnowienia w pewnym stopniu dawnych Siczy kozackich bez niepodległości Zaporożców. Osiedlono tu bądź ułaskawionych posieleńców, bądź dobrowolnych emigrantów, oddając im darmo grunta, bydło, i pewien zasiłek pieniężny, oraz zabezpieczając dostawę z mąki, przez lat dwadzieścia. Kozacy ci w zamian do czterdziestego drugiego roku życia pełnią służbę wojskową i nadgraniczną. Sztuczna ta organizacya chromieje jednak i nie przyczynia się bynajmniej do podniesienia stanu tych kresowych posterunków. Owszem niedbałość ludzka zostawia odłogiem

te rodzajne zagony, przez które nigdy socha nie przeszła. A jednak noszą one pozory uprawy. Trawy bowiem tak na tym żyznym bujają gruncie, iż zdala w letniej porze zdają się być złocącem się i falującem zbożem. Pastwiska, bodaj piękniejsze od Amerykańskich i Australskich *prairies*, tu więdną i gniją marnie, żadnych nie ściągając trzód ani pasterzy. Co więcej: w tych warunkach jedynych dla hodowli bydła, pud mięsa kosztuje 12 rubli, a w sąsiedniej *Kabarówce* nieraz braknie siana dla kawaleryi. Mieszkańcy tych stron dalekich nigdy nie myślą o jutrze ani o wzbogaceniu się. Chleb powszedni im wystarcza, byle go stało, o inne zyski się nie troszczą. I znów przyrównanie mieszkańców obu wybrzeży nie wychodzi na korzyść rosyjskiej kolonizacyi. Podczas gdy z tej strony wszystko tchnie zniszczeniem i zaniedbaniem, schludne osady chińskie świecą porządkiem i ładnymi ogródkami, a każdej dostawy choćby ładunku drzewa potrzebnego do opalania statku parowego, chiński podejmuje się robotnik.

Co raz to zmieniają się wody po których płynie statek zmierzający do *Władywostoku*. Dopiero co kołysał się on na mętnych falach *Sungączy*, a już buja po gładkiej powierzchni jeziora *Khanka*, przeszło pięć razy większego od Genewskiego Lemanu, ale które tu, w obec Sybirskich rozmiarów nie robi już wrażenia znacznego wód zbiornika. Płytkość owego jeziora nadaje mu cechy ustalonego rozlewu fal rzecznych. I tu także stoi wideta rosyjska, a *Kamen-Rybołow* jest przeważnie wojskowym posterunkiem. Nowe tu czekają utrapienia cywilizowanego turystę, klnącego coraz częściej na złe losy, a raczej szaloną fantazyą, która go tu zapędziła dobrowolnie. Dosięgając niemal kresu podróży, dopytać się niepodobna o statki komunikujące z Japonią, ani też doprosić koni do *Władywostoku*. Przebrała się w końcu miarka jego filozofii podróżnej, ostygły zapały dla Rosyi i rosyjskich urządzeń. „Od dwóch miesięcy, pisze, nie znalazłem się w łóżku, nie rozbierałem się wcale, karmiąc się wyłącznie herbatą z mlekiem. Zaczynałem być na dobre wyniszczony, nie tyle fizycznie, ile raczej moralnie“. Szczęściem w *Nikolsku* spotyka ziomka, zajmującego się zdejmowaniem fotografii, który mu daje przelotnie zakosztować dobrodziejstw cywilizacyi francuskiej. Po tem wytchnieniu puszcza się dalej ku niedalekiemu już celowi, a że lubuje się w ścisłości statystycznych za-

pisków, liczy sto trzydziesty przeprząg w Syberyi, co daje ogólną sumę 390 koni, za pomocą których przejechał przestrzeń 3240 kilometrów, oprócz drogi odbytej statkami po rozlicznych wodach sybirskich.

Za *Nikolskiem* gęste lasy obfitują w sobole. Do dwudziestu tysięcy skórek sobolowych rok rocznie przechodzi przez *Kabarówkę*, w cenie 75 do 100 franków za sztukę. Kresowe te lasy, pełne są przeróżnej zwierzyny, cietrzewi, bażantów, i dzikich indyków, dziś przez europejskich myśliwych coraz częściej aklimatyzowanych. Nie brak tu jeleni, acz Chińczycy mnóstwo ich zabijają w porze zrzucania rogów, ponieważ z odrastających wyrabiają proszek leczniczy, opłacany złotem w granicach niebieskiego państwa. Nareszcie nasz wędrowiec raz jeszcze lądową przerywa drogę aby po rzece *Suifun* dotrzeć do *Władywostoku*. Krótka to zresztą żegluga; nagle w oddali modre pasmo zamyka widnokres. Morze to, morze bezmierne, bezkresne. „Trzeba znaleść się dłużej wśród olbrzymich kontynentów, podróżować dniem i nocą przez długie miesiące, aby odczuć to wrażenie wyzwolenia, jakie widok oceanu przynosi. Nie czułem się już osamotnionym, odciętym od reszty świata i ludzi. Świadomość oddalenia i przestrzenie nagle zniknęła. Zdawało mi się, że lada dzień przybiję do wybrzeży Francyi".

Panorama cudowne rozwijają się tu przed oczyma, pokrewne fiordom Norwegii. Spór Anglii z Rosyą geograficznie się nawet zatwierdza. Jedni tę zatokę mianem *Wiktoryi* opatrzyli, drudzy chcą nazwiskiem *Piotra Wielkiego* oznaczyć. Ujście Amuru tworzy głęboką i bezpieczną przystań, Bosfor dalekiego Wschodu, nad którym Rosya jedynowładne pragnie rozciągnąć berło. Wszakże kresowy ten jej posterunek, *Władywostok*, dumnie i jawnie nosi znaczące swe imię. Stanąwszy w głównym hotelu miasta, ma się rozumieć należącego i tutaj do Polaka, pana *Gałeckiego*, nasz podróżny spieszy dotrzymać obietnicy danej rodzinie i przesyła depeszę do *Auxerre*, z uwiadomieniem, iż stanął u celu. Depesza ta, złożona z pięciu wyrazów, kosztowała go nie całe cztery ruble a w dwadzieścia siedm godzin przebiegła przestrzeń blisko 15.000 kilometrów.

Forteca i port *Władywostocki* jest dziś najważniejszym punktem wschodnim dla Rosyi. Miasto zaledwie zaczyna się rozwijać, port corocznie przez trzy miesiące skutkiem mrozów i lodów zamyka

się dla handlu. Mimo tego utrudnienia, handel się rozwija, przeważnie importując wódkę, ten wyrób narodowy Rosyi. Eksportacya głównie przez Chińczyków została opanowaną. Jest tu wprawdzie kilku większych kupców niemieckich i amerykańskich, ale drobny handel cały spoczął w ręku Chińczyków. *Władywostok* ma już przeszło 10.000 mieszkańców. Ludność to bardzo mieszana. Korejczyków, Chińczyków, Japończyków bodaj więcej aniżeli Rosyan. Są i Francuzi, którzy tłomaczą swemu ziomkowi zastój i zacofanie się Syberyi mimo tylu posiadanych zasobów i skarbów. Gubią ten kraj stosunki biurokratyczne, przesadzona centralizacya, pisanina urzędowa, gubią go i wady krajowców, lenistwo i pijaństwo sybirskiego ludu, który niechętnie przykłada rękę do pługa, bezmyślnie niszczy lasy, a nie uprawia tyle żyznej w wielu stronach gleby. Krainy, które mogłyby stanowić bogate źródła dochodu dla państwa, są dlań ciężarem z powodu wadliwych urządzeń administracyjnych, niedostatecznego zaludnienia i opieszałości tubylców.

Możnaby przydać i wpływ klimatu. Mróz ścina wolę i ostudza zapały. Tylko południowe narody wielkie w dziejach odegrały role, doszły do szczytów cywilizacyi i pełności oświaty. Krzepnie myśl pod naciskiem twardego klimatu, a konieczność walczenia z zimnem odejmuje chęć do innych zapasów. Wprawdzie cywilizacya ma to do siebie, iż posuwając swe zagony, i klimatyczne warunki do pewnego stopnia poprawia. Może tedy i Syberya ogrzeje się z czasem tchnieniem oświaty i ludzkiej pracy, zwłaszcza gdyby kiedykolwiek nad nią słońce wolności zabłysło i wiatr swobody ogarnął te państwa. Ale na to innych, nie tylko materyalnych odmianby trzeba.

Pobieżne wrażenie francuskiego turysty, żadnej głębszej nie sięgnęły kwestyi, ani o ich rozstrzygnięcie się nie pokusiły. Uszczknęliśmy z nich cząstkę dla poznajomienia naszych czytelników z ogromnemi dzierżawami, które punkt ciężkości Rosyi z czasem gotowe do Azyi przenieść, logiczną konsekwencyą wschodniego jej przyrostu.

M.

Z PRZESZŁOŚCI UNIWERSYTETU KRAKOWSKIEGO

WISNKA-WISTKA,

św. Floryan, ks. dr. Wyszuka i Marcin Bielski.

(Ciąg dalszy).

Uzyskanie doktoratu nauk teologicznych, co łatwo przewidzieć można było i czego spodziewać się należało, na dobre tylko obydwom naszym kandydatom, plebejuszowi ks. Leonardowi i szlacheckiego rodu o. Leonardowi, wyjść powinno było i wyszło; tytuł bowiem „drów św. teologii", który niezwłocznie od tej przybrali chwili, od razu i wobec całego Uniwersytetu i po za jego sferami stanowisko ich w ówczesnej hierarchii społecznej o cały zmieniał i podnosił stopień. Najwyższy to już był zaszczyt naukowy, do którego po długiej, gorliwej i usilnej pracy, choć bez większego talentu i bez właściwych zdolności, opłaciwszy się sowicie „patribus conscriptis" i rozmaitym innym na różne strony osobom, dojść można było, i nie każdy też tak łatwo ponętny ten tytuł dla siebie mógł był wówczas wywalczyć. Iluż to doktorów św. teologii w styczniu i lutym r. 1544 mogła była mieć razem Polska? Na palcach dadzą się wyliczyć: promocyi zagranicznej, paryskiej lub rzymskiej, nie było ponoś ani jednego; krakowskiej natomiast: księża i profesorowie uniwersyteccy Fridel, Kościańczyk, Procopiades, „monarcha" Piotrkowczyk, Napachańczyk, i zakonnicy o. Albanus od św. Dominika, o. Opocznianin od św. Benedykta i o. Hillebrant Bernardyn [1]. Ot i wszystko, łój i świece.

[1] O drze Ryczywolaninie zakonu św. Dominika od r. 1541 wszelki ślad w rękopisach uniwersyteckich ginie.

A poczet ten skromny pomnożyli teraz właśnie: kustosz św. Floryański, ks. Wisneczanin, i Bożogrobiec miechowski, o. Słonczewski.

O wiele lepiej wkrótce już po uzyskaniu doktoratu wyszedł naturalnie ostatni z nich, proboszcz od św. Jadwigi i kaznodzieja maryacki, do czego zresztą nie tylko nowy ten tytuł, ale i pochodzenie jego szlacheckie i spryt niezwykły, z jakim do najbliższego przewrotnej Bony otoczenia wkręcić się zdołał, wielce mu pomocne były. Luter z przekonań i na wskróś poglądami przejęty akatolickimi, co mu nawet widocznie, obok innych jego przymiotów, silne w komnatach fraucymeru królewskiego zapewniło było stanowisko, jak dotąd przynajmniej jako tako jeszcze wobec Uniwersytetu i władzy kościelnej pewne umiał był zachować decorum religijne. Od tej chwili wszakże, niepotrzebując się już oglądać na swoich kolegów uniwersyteckich, od których jako zakonnik niczego już więcej, żadnych dostojeństw ani też intratniejszego jakiego probostwa, spodziewać się nie mógł, człowiek z gruntu przewrotny i chytry, podobnie jak i przyjaciel jego od serca, biskup Zebrzydowski, i wspólna ich obydwóch protektorka, wszechwładna Bona, zrzucił teraz obłudną z twarzy i serca maskę, i publicznie z kazalnicy w kościele maryackim jako otwarty luteranizmu zwolennik i propagator wystąpił[1]. Ku ogólnemu więc nie tylko świeckiego i zakonnego kleru, ale i pobożnych chrześcian zdziwieniu i przerażeniu, wyrywać mu się odtąd poczęły od czasu do czasu obrażające ich wiarę i uczucia a przeciw religii katolickiej wymierzone uwagi, jak wyszydzanie wiary w czyściec, wyśmiewanie się z wzywania opieki i oddawania czci Świętym, i inne tym podobne zjadliwe wycieczki podjazdowe. Najmocniej zaś i całkiem już stanowczo zaznaczył odstępstwo swoje od katolicyzmu w kazaniu, które miał w sam dzień Wniebowstąpienia, we czwartek 22 maja 1544 r., w którem po prostu już zaprzeczył, jakoby „esse vel de„bere fieri aliquod visibile caput in ecclesia Dei, detrahens in hoc „Summo pontifici romano et Sedi eius“.

Niestety, zamieszanie pojęć i rozprzężenie na dworze królewskim, którego majestat i powagę rozzuchwalona od wojny koko-

[1] Acta histor., I 483 nr. 846.

szej [1] oligarchia szlachecka w ostatniem dziesięcioleciu po kilkakroć już w oczach narodu poniżyć zdołała była, jak niemniej zamieszanie pojęć i rozprężenie na stolicach biskupich, na których z prymasem i w jednej osobie biskupem krakowskim, ks. Gamratem, na czele wątpliwych już bardzo przekonań religijnych i podejrzanej wartości moralnej zasiadali dostojnicy, za daleko już doszły były, żeby śmiałka w habicie zakonnym, co tego rodzaju zdania publicznie z kazalnicy głosić się poważył, w przykładny ukarać można było sposób. Wszystko skończyło się też na powierzchownem tylko z tego powodu oburzeniu, w rzeczy samej zaś przyniosło tytułem dra św. teologii zaszczyconemu Bożogrobcowi, czego właśnie gorąco pragnął, niemałe korzyści. Wprawdzie katedralna kapituła krakowska na posiedzeniu, które zaraz na dzień drugi po owem gorszącem kazaniu, w piątek 23 maja, odbyła [2], uchwaliła między innymi, ale tylko „większością głosów“ [3], ażeby postarać się o wierne słów ks. Słonczewskiego brzmienie, a potem sprawę całą miejscowemu heretyckich nieprawości inkwizytorowi oddać do rozpatrzenia [4]. Ale też tyle tylko było całego tego oburzenia pozornego, a nasz proboszcz od św. Jadwigi i kaznodzieja maryacki, ulubieniec królowej Bony i jej kreatury, arcybiskupa Gamrata, stykając się z nimi ciągle i znając ich sposób myślenia, żartować sobie mógł na śmiało z powziętej tej przez kanoników katedralnych uchwały. Jakoż nieinaczej też było, inkwizytor, jeżeli mu, w co nawet wątpić się godzi, rzecz całą do zbadania powierzono, nie w ciemię był bity, żeby się bez potrzeby i pożądanego skutku wysoko w hierarchii państwowej i kościelnej położonym narażać osobom, dlaczego też zamiast przykładnej kary, czego się spodziewać należało, i owszem nowe jeszcze odznaczenie na naszego splynęło dra św. teologii. Już w półroku później bowiem, w drugiej połowie listopada i w grudniu r. 1544 [5], gdy rzekomo dla słabości i podeszłego wieku kanonik ks. Fridel urząd pierwszego kaznodziei

---

[1] Od r. 1537. [2] Acta histor., u. s. [3] „ex pluralitate votorum“.
[4] „dno inquisitori pravitatis haereticae rem comittendam“.
[5] Acta histor., IV 219 i 421, nr. 229 i 16 z 22 listopada i z grudnia r. 1544.

katedralnego[1], który także piastował, złożyć był zmuszony[2], ta sama kapituła katedralna, co jeszcze przed sześciu miesiącami pozornie tak srogo oburzała się na dra Leonarda z Wyszogrodu, tym razem na wyraźne życzenie arcybiskupa Gamrata i już nie większością głosów, lecz „jednogłośnie", obrała go następcą dra Fridla w zaszczytnym tym i wpływowym urzędzie kaznodziejskim[3]. Ale i tego jeszcze nie było dosyć. Zdeklarowany poglądów akatolickich zwolennik i propagator, którego nie tak prędko i nie tak łatwo kara mogła dosięgnąć, nie przestał naturalnie i nadal zapędów hamować swoich, a kapituła katedralna, ratując choćby pozory, na próżno usiłowała go w lutym r. 1545 upomnieć, a nawet prosiła[4], ażeby „invectivas istas in ordinem ecclesiasticum attemperet sibi „mitiusque proferat".

Po niedługim czasie nastąpiło też wreście, co nastąpić miało i czego o. Leonard od dawna z upragnieniem wyczekiwał. Jużto skutkiem śmierci prymasa Gamrata[5], już skutkiem innych zmian w ciągu r. 1546 na stolcach katedralnych, został dr. Słonczewski albo przy końcu r. t., albo zaraz z początkiem r. 1547[6], nito w nagrodę za wierne swoje królowej Bonie okazywane służby i za wdzięczne przymilanie się jej fraucymerowi, biskupem kamienieckim! I nie było w tem nic tak bardzo nadzwyczajnego. Mógł w tym samym czasie taki bezwyznaniowiec, jak Drohojowski, który

---

[1] „concionaturam primam ecclesiae cathedralis Cracoviensis".

[2] „jam debilitatum et fere emeritum" nazywają przy tej sposobności Acta histor., l. c., dra Jakuba z Kleparza, co, o ile odnosiło się do chorowitego jego zdrowia, mogło być prawdą, niekoniecznie zaś było nią, o ile chodziło o podeszłe jego lata; Fridel bowiem jako kolega szkolny ks. Wisneczanina, a nawet wiekiem młodszy od niego, żadną miarą jeszcze za emeryta uchodzić nie był powinien. Należał on widocznie do owej większości, która na posiedzeniu kapitulnem za oddaniem sprawy ks. Słonczewskiego w ręce inkwizytora heretyckiej nieprawości oświadczyła się była, dlaczego też ruchliwsza mniejszość kanoników skorzystała teraz zręcznie z położenia rzeczy, ażeby mu w dotkliwy dać uczuć sposób, że wobec nowych prądów religijnych za daleko trochę zapalczywość swoję w obronie zagrożonego posuwał katolicyzmu.

[3] „unanimibus votis et concordi assensu voluntati Rmi dni (de Gamratis) se conformantes elegerunt", l. c.

[4] Acta histor., IV 422.

[5] † 27 sierpnia r. 1545.

[6] Acta histor., I 101 nr. 192.

ze wszystkich w ogólności szydził sobie świętości, obrzędów i zwyczajów katolickich [1], biskupem zostać chełmskim, mógł taki ateusz i symonista [2], jak Zebrzydowski, do niedawna biskup kamieniecki, z urodzenia pan całą gębą, nazywany przez współczesnych [3] „bestyą, człekiem niezdatnym, łgarzem i kwaśnym", kupić sobie u Bony o wiele intratniejsze biskupstwo włocławsko-kujawskie [4], mógł biskupstwo poznańskie otrzymać znany powszechnie chciwiec cudzego mienia i grosza, Izdbieński [5], płockie zaś zwykłego pokroju przekupień i lichwiarz, Noskowski [6], mógł na prymasowskim stolcu arcybiskupim zasiąść zleniwiały sybaryta Dzierzgowski [7], a żaden z nich o dobro i utrzymanie katolicyzmu ani się nie troszczył, dlaczegoż biskupem kamienieckim nie miał zostać przyjaciel od serca biskupa Zebrzydowskiego, obrotny i sprytny, a do tego dr. św. teologii, Bożogrobiec miechowski? Że w przekonaniach i poglądach swoich, z którymi wcale się nie taił, otwartym był akatolikiem, i cóż to znaczyć mogło? Sponiewierany po kilkakroć przez możnych oligarchów majestat królewski stał już jakby bezwładny wobec wrogich kościołowi nowych prądów religijnych i wobec wzmagającego się z dniem każdym coraz bardziej warcholstwa szlacheckiego, Stolicy apostolskiej w dalekim gdzieś tam Rzymie czembądź już można było zaćmić oczy, na usłużnego zaś o. Altipolitę z Wyszogrodu mogła przecież wszechwładna Bona liczyć na pewne, że w radzie koronnej, jako biskup i senator, zawsze i we wszystkiem bezwarunkowo po jej stać będzie stronie i za jej pójdzie skinieniem [8].

Jeden zatem z nowych naszych krakowskiej promocyi drów św. teologii zaledwie już — jak widzimy — po upływie trzechlecia, do czego niewątpliwie i tytuł doktorski bardzo był mu pomocny, aż mitry dostąpił biskupiej! Czegoś podobnego naturalnie

---

[1] L. c., I 483 nr. 846.

[2] „atheus nulliusque religionis ac fidei", l. c., I 481.

[3] Niemcewicz, Zbiór pamiętników, IV 38 i nn.

[4] Wyrzucała mu to później sama Bona: „Ty! ty! coś kupił biskupstwo", na co jej — jak wiadomo — odparł: „Iż przedajne było".

[5] i [6] Acta histor., I 482.

[7] L. c., I 479 i n.

[8] Dopiero pod koniec życia († r. 1563), gdy Bony już nie stało, zmienił trochę i tryb życia i sposób myślenia. Rolle, Zameczki podolskie, II 156 i n.

drugi jego z ławy egzaminacyjnej i katedry uniwersyteckiej kolega, kustosz św. Floryański, ks. Leonard z Wisnki, już choćby dla tego samego, że tylko kmiecego był rodu, spodziewać się nie mógł i nie był powinien. Nie mniej jednak i dla niego tytuł dra św. teologii, którego z powodów już nam znanych usilnie i za każdą cenę, a nawet bardzo pożądał był usilnie, niemałe w następstwie, jeżeli niekoniecznie zaraz materyalne, to niewątpliwie moralne zapewniał owoce. Na materyalne mógł był wprawdzie także liczyć, ale tylko na wypadek, gdyby w bliższej lub dalszej przyszłości dziekaństwo św. Floryańskie lub należąca do fakultetu teologicznego kanonia katedralna, czy to przez śmierć dra Fridla, czy Procopiadesa ze Szadka, opróżnić się mogła była. Większej nierównie wagi musiały być obecnie dla niego korzyści moralne, jakie po ciężkich, krętych i nie ze wszystkiem pochwały i uznania godnych zabiegach uzyskany przyniósł mu w upominku stopień doktorski. Grzech pierworodny, z jakim w późnej jesieni r. 1541 z Olkusza powrócił był do Krakowa, ze wszystkiem i w zupełności zmazał z niego teraz nowy ten tytuł zaszczytny, i żaden ani ze starszych ani z młodszych, czyto latami czy stanowiskiem kolegów jego nie mógł mu już był odtąd upokarzającym ciskać w oczy zarzutem: Tyś nie dr. św. teologii a jedno bakałarz!

Odetchnął więc teraz, uzyskawszy przy końcu stycznia lub na początku lutego r. 1544 tyle upragniony doktorat teologiczny, w całem znaczeniu wolno i swobodnie 64-letni kustosz kolegiacki, ks. Leonard, i weselszem już nieco na świat, na kolegów uniwersyteckich i żaków szkolnych, jako też na najbliższe otoczenie swoje spoglądać mógł okiem. Wygórowane i bądź co bądź niepomierne[1] pod każdym względem wydatki, które tytułem czesnego i innych danin nadzwyczajnych na rygoroza, akt promocyjny i sute libacye, w spółce z towarzyszem swoim, proboszczem od św. Jadwigi, o. Leonardem, ponieść był obowiązany, choć może trochę ku wielkiemu swaka jego i kumotra niezadowoleniu podręczną jego kasę

[1] Wiadomo to już z poprzedzających uwag, mianowicie z listu proboszcza kłodawskich Kanoników regularnych, ks. Sędziwoja Czechlanina, z r. 1466, i z odnoszącej się do r. 1526 zapiski proboszcza pajęckiego, ks. dra Łowiciusa, w jego Percepta ecclesiae in Pajęczno.

nadszarpały były, cóż mogły znaczyć wobec otwartego już i całkiem pewnego stanowiska, które teraz i wobec kolegiaty i wobec Uniwersytetu całego wszelkie miał prawo, bez żadnych już zastrzeżeń ubocznych, zająć i zajmywać, i które w rzeczy samej też zajął. Jakoż pełno go już teraz i na posiedzeniach kapitulnych i na zgromadzeniach całego Uniwersytetu, a jak dotychczas, unikając przecinków i upokorzenia, stronił od wszystkiego i wszystkich, tak teraz odwrotnie do wszystkiego należy i w każdej ważniejszej sprawie, czyto kolegiackiej, czy uniwersyteckiej, czynny i decydujący, do czego go już samo stanowisko jego upoważniało, bierze udział[1]. Wcale też ciekawie od tej doby na tle tem nowem przedstawia się i ten ostatni ziemskiego biegu jego okres, aż do chwili, kiedy za wolą Opatrzności do lepszego powołany został życia, a i wypadki same, w których bieg konieczny i kierunek chorobliwy mimowolnie los go plątał, nie mniej też ciekawy i dla jego osoby i dla wewnętrznych Uniwersytetu dziejów w tym właśnie czasie przedstawiają widok. Na podstawie też współczesnych i urzędowych aktów uniwersyteckich i św. Floryańskich poznamy wprawdzie między nimi także niektóre na pozór drobniejsze i obojętne, ale poznamy obok nich także i inne wcale poważne i ważne. a razem znajdziemy dogodną sposobność przypatrzyć się także trochę bliżej dosyć, jak się zdaje, ciekawemu pytaniu, w jaki mianowicie sposób rozgrywała się od tej chwili, w dalszym niejako ciągu, sprawa kmieci wisneckich i stosunku ich do dzierżawcy Sochy, nie mniej też i sprawa innych kmieci św. Floryańskich, których los przyszły od kilku już lat z góry w zasadzie jakby był postanowiony? We wszystkich tych wypadkach i sprawach, tak uniwersyteckich jak i kolegiackich, tak ważniejszych jak i osobistych, gdyż i takie będą, zawsze i wszędzie zdybiemy się już teraz z osobą dra Leonarda z Wisnki, którego charakterystyczne cechy w dosyć wydatnych barwach same przez się zarysują się przed nami, a obok nich i z nimi razem także smutny niewymownie ówczesny Uniwersytetu

[1] Po raz pierwszy jako „dr. Leonardus Viznka“ na sesyi uniwersyteckiej w piątek 28 marca r. 1544, o czem niżej.

Jagiellońskiego stan wewnętrzny, w szczególności zaś stan jego wydziału teologicznego.

Zanim jednak do dalszego przystąpimy opowiadania, z dwoma jeszcze innymi należy nam się poprzednio uporać pytaniami.

A przedewszystkiem, ażeby możliwego uniknąć powtarzania się na przyszłość i pełniejszy mieć przed sobą wykaz czynnych obecnie obok ks. Wisneczanina na wydziale teologicznym i w św. Floryańskiej kolegiacie osób, winniśmy najprzód w treściwym i krótkim zarysie poznać kilku innych jeszcze jużto nadzwyczajnych, już zwyczajnych fakultetu tego profesorów, jego cursorów, bakałarzy i doktorów, którzy w tym czasie właśnie, jak długo jeszcze kustoszowi naszemu Bóg życia dozwolił [1], jako jego koledzy w skład wydziału teologicznego weszli byli. Dotąd o jednej tylko zmianie, która niedawno [2] w gronie fakultetu tego zaszła była, mieliśmy sposobność wspomnieć, mianowicie o promocyi bakałarza nauk teologicznych, o. Hillebranta, i licencyata, o. Wita de Biała, na drów św. teologii. Któż więc jeszcze w tym okresie, mniej więcej od jesieni r. 1541 począwszy, czyto jako doktor, czy tylko jako bakałarz lub cursor, dostał się do wydziału teologicznego? — oto jedno zagadnienie, z którego, zanim dalej się posuniemy, krótką zdać sobie winniśmy sprawę.

A drugie: Czego też właściwie, według jakiej metody, w jakich czasu odstępach i z jakim skutkiem na fakultecie uczono teologicznym? jak mianowicie ci doktorowie, bakałarze i cursorowie wykłady z tak rozległego nauk teologicznych przedmiotu co półrocza między siebie rozdzielali? jak liczne i z jakich złożone żywiołów, o ile inteligentnych i dostatecznie do słuchania wykładów z zakresu św. teologii przysposobionych, mogli mieć audytoryum? i czy w ogóle rzecz biorąc, ówczesny Almae matris Jagiellońskiej wydział teologiczny, który już prawie 150 lat dziejów miał za sobą, wielkim szczytnego zadania i powołania swego, zwłaszcza też na czasy pod względem religijnym tak burzliwe, odpowiadał warunkom i obowiązkom? Dla różnych zaś powodów już w tem miejscu, w chwili obecnej i zaraz, nim dalej pójdziemy, obowiązaniśmy także i na te pyta-

[1] Do lipca r. 1552.

[2] Pod koniec stycznia lub na początku lutego r. 1543.

nia zwięzłą, o ile to możliwa, dać odpowiedź. Raz winniśmy to uczynić już choćby przez sam wzgląd na osobę ks. Wisneczanina, głównego opowiadania naszego bohatera, którego post tot discrimina rerum tandem aliquando, gdyż w późnych już latach, aż na pleno titulo et jure doktora i św. teologii profesora powiodło nam się szczęśliwie wyprotegować. Dlaczegoż więc teraz właśnie niezapytać się, podobnie jak to zrobiliśmy, gdy zostawszy mgrem filozofii czynnie na wydziale artystycznym był wystąpił [1], jak też odtąd syn ten kmiecy i „nietęgi" sobie teolog młodszych od siebie nauki tej zwolenników i miłośników z katedry uniwersyteckiej mógł nauczać i jak w ogólności także i inni jego koledzy ówcześni słuchaczom swoim nauki tej udzielali? Obowiązaniśmy dalej do tego także ze względu na rzecz samę. Wszak, co już po wielekroć mieliśmy sposobność poznać i co dla każdego widoczną stało się już rzeczą, w pierwszej połowie w. XVI, choć pierwotnie, od początku w. XV, tak nie było, dzieje kolegiaty św. Floryańskiej, która w pierwszym obchodzi nas rzędzie, to równocześnie dzieje krakowskiego fakultetu teologicznego do tego nawet stopnia, że po prostu jedne od drugich nawet oddzielićby się nie dały. Co bowiem tknąć się którego z ówczesnych cursorów, sentencyaryuszów, bakałarzy, licencyatów lub drów św. teologii, to jeżeli nie mnich z którego zakonu miejscowego, lub wyjątkowo proboszcz od św. Mikołaja [2], to z wszelką pewnością kanonik św. Floryański; i odwrotnie co napotkać w owych latach na jakiego kanonika kolegiackiego, czyto na dwóch jego najpierwszych dygnitarzy, dziekana i kustosza od św. Floryana, czy na którego z niższych kanoników, to z pewnością albo cursor wydziału teologicznego, albo bakałarz lub doktor i razem nadzwyczajny lub zwyczajny fakultetu tego profesor. Dzieje zatem ówczesnej kolegiaty św. Floryańskiej nie byłyby nawet zupełnymi, gdybyśmy powyższych pytań nie zadali sobie, i bez jako tako wyczerpującej i zaokrąglonej pozostawili je odpowiedzi.

Ale jest i trzeci jeszcze i to wcale nieobojętny wzgląd, dlaczegośmy to już w tem miejscu uczynić powinni. Toć zawsze je-

[1] Od wiosny r. 1504.

[2] Jakim n. p. do listopada r. 1540 był dr. Biem z Olkusza.

szcze [1] dosyć rozpowszechnione panuje między nami zdanie, które głównie do połowy w. XVI odnosić zwykliśmy, i które na pierwsze wejrzenie niewiedzieć nawet jak właściwie uważać, czy za pochwałę, czy też za naganę dla ówczesnych teologów krakowskich, że upadku Uniwersytetu Jagiellońskiego w tym okresie właśnie winną stała się między innymi także ówczesna reformacya, która miała być powodem, że „liczni“ profesorowie krakowscy, zamiast obowiązki powołania swego z katedr wykonywać uniwersyteckich, nad miarę i bez potrzeby „najdzielniejsze duchowe siły swoje w walce z innowiercami trawić poczęli“. Jak dotychczas przynajmniej, a zabrnęliśmy już dosyć głęboko, w samo jądro niejako i wewnętrznych ówczesnych i zewnętrznych Almae matris, w szczególności zaś jej wydziału teologicznego stosunków, czegoś podobnego aniśmy nie widzieli jeszcze, ani nie słyszeli. Przeciwnie nawet mieliśmy już po kilkakroć sposobność wcale odmiennej natury poznać objawy, między innymi zaś nader smutne widowisko, jak starsi fakultetu teologicznego profesorowie dosyć niechętnem patrzyli okiem na młodszych latami i stanowiskiem kolegów swoich, na drów Kościańczyka i Napachańczyka, i na bakałarza Koźmińczyka, którzy zdolniejsi od nich i lepiej od innych obowiązki powołania swego pojmując, niejednokrotnie dali byli do poznania, że wśród innych warunków, gdyby z gruntu odmienną była organizacya wydziału teologicznego i inny z niego duch był powiewał, dla dobra kościoła i katolicyzmu, na pożytek zaś nauk teologicznych i ich postępu a ku chwale imienia swego, na dzielnych w całem znaczeniu i słowa i pióra szermierzy w zawodzie autorskim i kaznodziejskim wyjśćby byli mogli.

Nie obojętne to zatem, lecz owszem wcale poważne i z osobą naszego ks. Wisneczanina ściśle powiązane zagadnienia, a choć właściwe do nich materyały źródłowe ze wszystkiem poginęły, choć nie mamy dokładnego wykazu wszystkich owoczesnych fakultetu teologicznego zwyczajnych i nadzwyczajnych profesorów [2], choć nie

---

[1] O wydawnictwie. Liber dilig., str. 7.

[2] Statuta theologicae facultatis, wydane przez św. p. Szujskiego, które często przytaczamy i o czem już raz była wzmianka, zawierają co do okresu, który przechodzimy, od początku w. XVI począwszy, tylko tych zwyczajnych

posiadamy także wykazów wszystkich z owego okresu wydziału teologicznego słuchaczów, choć wreście nie dochował się do naszych czasów ani choćby „Liber diligentiarum facultatis theologicae“ z owej doby [1], ufni zapewnieniu, że audaces fortuna juvat, spróbujemy przez zestawienie autentycznych, skądinąd zaczerpniętych zapisek współczesnych, wyraźniejsze trochę na pytania te, jak dotąd przez nikogo jeszcze w ten sposób ani nieporuszone, ani też nieomówione, rzucić światło.

A więc przedewszystkiem kto i kiedy, od jesieni r. 1541 począwszy, oprócz znanych już nam drów-mnichów, o. Albanusa i o. Hillebranta, jużto jako cursor, sentenciarius, bakałarz lub licencyat, już jako dr. św. teologii, a razem naturalnie także jako kanonik św. Floryański, wszedł do grona wydziału teologicznego i kanoników kolegiackich, ażeby wspólnie z naszym kustoszem, drem Leonardem z Wisnki, i innymi profesorami, jako ich zwyczajny lub nadzwyczajny kolega, należne sobie w ich obradach i działalności zająć stanowisko i czynny w nich wziąć udział? Ciekawe to bardzo figury: (Dok. nast.)

Dr. Władysław Wisłocki.

---

i nadzwyczajnych wydziału teologicznego profesorów, którzy w skład jego weszli już jako „doctores s. theologiae“, nie zawierają zaś wcale z tego przeciągu czasu tych jego członków nadzwyczajnych, cursorów i sentencyaryuszów, którzy albo zgoła jeszcze żadnego na tym fakultecie nie posiadali stopnia, albo byli dopiero jego bakałarzami lub licencyatami.

[1] Że Liber diligentiarum fakultetu teologicznego, może zresztą pod inną jaką nazwą, istnieć swego czasu musiał, świadczą o tem Statuta powyższe, według których, str. 8, każdy cursor i sentenciarius obowiązany był przed dziekanem wydziału dokładnie zawsze „ad librum facultatis“ podawać: „tempus receptionis suae, cujuslibet principiationis et finitionis Sententiarum“, a nawet „diem inceptionis aut disputationis vel lectionis, ut absque dilatione praeceptis“ stać się mogło zadosyć. Statuta te, o czem już także była wzmianka, są tylko uzupełnieniem czyli dodatkiem do właściwych fakultetu tego Statutów, które zaginęły i których dosłownego brzmienia nie znamy; obowiązek więc podobny co do „liber facultatis“ musiał także ciężyć i na wszystkich innych, zwyczajnych i nadzwyczajnych wydziału tego profesorach.

Z WYSTAWY PARYSKIEJ[1].

Chciano nasz wiek, zaczęty wśród zgliszczy rewolucyi i wielkich wojen, zakończyć wielkim festynem pokoju, pracy i cywilizacyi. Czy się uda na tej biesiadzie zakończyć wesoło to stulecie? czy po zabawie nie nastąpi krwawe rozegranie, jak po uczcie Baltazara w Babilonie i po świetnej wystawie Napoleona w r. 67-ym? — tego wcale nie wiemy. I ci podobno, którzy na najwyższych stoją posterunkach i nadciągające chmury zażegnać usiłują, niby nam o tem powiedzieć nie mogli. — Ale swoją drogą wystawa udała się. Wszystko przeciw niej się sprzysięgało: upadek polityczny i odosobnienie Francyi, nędzota rządu trzymającego jej ster, niepokój Europy, krótki czas przygotowań, odstręczający sztandar rewolucyi nad wystawą wywieszony... Jednakże wszyscy — krom Niemców — przyznają, że wystawa się udała; wszystkie narody, prócz Niemców, są w niej licznie przedstawione — ani znać, które z nich oficyalnie, a które nieoficyalnie. Na tej arenie Francya odnosi niezaprzeczony tryumf. Wystawa przez nią urządzona, jest wystawą powszechną świata, i pod względem przemysłu, nauk i sztuki, świetnym zamknięciem rachunków naszego wieku.

[1] Choć wiele już było w naszych gazetach opisów wystawy, sądziłem, że pozwolą mi czytelnicy *Przeglądu* zdać sprawę na kilku kartkach z własnych wrażeń. Ażeby się zaś nie krępować obawą powtarzania tego, co już gdzieś powiedziano, umyślnie żadnego z tych opisów nie czytałem, i opowiadam poprostu com widział.

Jest w tej wystawie praca, jest nauka, jednakże na pierwszy plan występuje okazałość, świetny i gustowny przepych. Bardzo łatwo mogło być inaczej. W ogóle czuć już we Francyi, że zarząd spraw i nawet zabaw, tak w wielkich jak w małych miastach dostał się w ręce ludzi lichszego wykształcenia, spowinowaconych z kanalią, której są wybrańcami. Na samej nawet wystawie ogólny plan i podział rzeczy nie dość jest jasny i racyonalny, zdradza brak tej szerszej filozoficznej myśli, z jaką urządzona była wystawa r. 67-go, pod kierunkiem Le Play'a i podobnych mu mężów. Zewnętrzna jednak strona, ubranie wystawy, dostało się, jeszcze tym razem, w ręce ludzi wysoko estetycznie wykształconych, i jest arcydziełem.

Główne, prawdziwie królewskie, wejście na wystawę, jest od placu Trokadero, gdzie mieściła się cała wystawa r. 78-go, a gdzie teraz są tylko działy ogrodnictwa, leśnictwa, robót publicznych. W wielkiej środkowej sali pałacu Trokadero, odbywają się koncerta, obradują kongresy naukowe. W galeryach pobocznych mieści się bardzo ciekawa i cenna „wystawa sztuki retrospektywna", głównie kościelne stare rzeźby, statuy, złotnicze i bronzowe wyroby, całe portale romańskich i gotyckich katedr w gipsowych odlewach... Wszystko w historycznym ułożone porządku, ukazuje przejścia i rozwój sztuki. Stamtąd przez most Jeny, pod strojnym i olbrzymim namiotem, przechodzi się na plac Marsowy, główne siedlisko wystawy — i od razu ma się nad sobą, niby bramę tryumfalną z niebotycznym szczytem, wprowadzającą na wielką arenę industryi ludzkiej — wieżę Eiffela. Jakież wrażenie czyni ta wieża? — Wrażenie w każdym razie nadzwyczajne. Nie jestto przecież wrażenie piękna — co pisałem o niej przed rokiem, kiedy się budowała, tego po oglądaniu jej cofnąć nie potrzebuję — jest to bądź co bądź rusztowanie, którego główne linie nie są harmonijne, po nad spodem olbrzymio rozkraczonym góra nieproporcyonalnie wąska i wydłużona. Ale czyni ta wieża wrażenie jakiejś grozy w obec tych mas wiszących cudem w niesłychanej wysokości, i podziwu w obec potęgi, która jakby dla igraszki bez trudu je dźwignęła. Do tego wrażenia, oprócz samej wysokości wieży, przyczynia się najwięcej ta szalona śmiałość, z jaką łuki łączące cztery stopy wieży przerzucone są ponad placem Marsowym o przeszło

100 metrów oddalenia i 50 wysokości — tak, iż pod spodem są trawniki, wodotryski, domy — wieża dopiero gdzieś wysoko w przestrzeni się zaczyna. Przyczynia się też względna cienkość i rzadkość sztab składających tę budowlę, co jej nadaje w dali wygląd delikatnej filigranowej siatki. Zdaje się, że jakaś siła tytaniczna tę masę kruszcu rozdmuchała na nitki i ciągnie ją, potężnie a lekko, gdzieś w górę, bez końca, w błękity.

Dając się unieść w górę windą, zwłaszcza ponad drugiem piętrem, gdzie już wieża bardzo się zwęża, a sztaby stają się rzadkie, ma się wrażenie porwania w balonie. Widnokrąg się szybko zwiększa, ogromny Paryż pod stopami się rozściela, ludzie i gmachy w oczach maleją. U szczytu nareszcie, pod samą koroną, jest się w przestronnej niskiej sali z oknami dokoła; widnokrąg 100 kilometrów w promieniu dosięga; przy bardzo czystem powietrzu widzi się tuż pod nogami maleńkie, jakby z papieru wycinane domki, jakieś czarne mróweczki rojące się po ziemi, i muszki furkające na strudze wody: to są pałace paryskie, ludzie i statki żeglujące po Sekwanie. Mimowoli myśli się o małości rzeczy ludzkich, widzianych nieco z wysoka — i przychodzi na pamięć sławna oda Sarbiewskiego: *Humana linquo.*

Porzucam ziemię. Na obłoków fali
Nieście mię, burze! Już nikną mi w dali
Olbrzymie góry; o jakże zmalałe
Rozścielił w dole ludy, państwa całe
Potężny wicher! Już jasne świątynie
Tracą swe blaski; już w przepaści ginie
Majestat wieżyc — te grody wspaniałe,
Com w dole rzucił, jakże mi stąd małe!
Widzę ja z góry narodów zapędy,
Zabiegi królów... Ach niestałość wszędy
Ślepego losu! — O toni bezdenna,
Źródłem i końcem wszech rzeczy brzemienna!
. . . . . .

Zszedłszy na pierwsze piętro, mamy przed sobą cały *Plac Marsowy* prześlicznie rozłożony. Pośrodku duża wolna przestrzeń, na której trawniki, sztuczne stawy, wodotryski, posągi, grupy figur wyrzucających wodę; wszystko kolosalne, inaczej nikłoby wśród swego otoczenia. Po prawej ręce ma się ogromny pałac poświę-

cony *Sztukom wyzwolonym*, po lewej, podobny do pierwszego, pałac *Sztuk pięknych*, a wprost przed sobą, naprzeciwko wieży, *Pałac przemysłu*, którego rozmiary chyba z budowlami królów Niniwy iść mogą w zawody. — Poza tymi trzema gmachami widać całe roje budynków, pałaców, kiosków, wszelkich rozmiarów, wszelkich stylów, jakie były i są na kuli ziemskiej — gdzie się mieszczą wystawy osobnych przedmiotów, albo pojedyńczych zamorskich krajów. Ciągną się one po dwóch stronach placu Marsowego i dalej nad brzegiem Sekwany długim szlakiem, od wieży Eiffela aż do esplanady inwalidów, którą także pokrywają. Ale trzy najprzód wspomniane gmachy nad całą wystawą panują.

Przystąpmy do nich bliżej. Zbudowane są całe z żeber żelaznych i wstawianych między żelazo płyt terrakoty, z wypukłą, często polichromowaną ornamentacyą. Nie jestto zupełnie nowa architektura, jak sobie mówią w Paryżu, ale jest to w każdym razie ciekawy rozwój i tryumf od niedawna poczynającego rodzaju: architektury żelaznej. Pałace te zewnątrz nie uderzają żadną nadzwyczajnością formy: w środku kształtna kopuła, po bokach wielkie proste skrzydła z kolumnadą na przodzie, imponują jednak ogromem, ubraniem bogatem, gdzieniegdzie tylko przesadzonem; może zanadto motywa wschodnie zaprzątnęły głowy tych artystów, i nie zawsze zgrabnie uczepiły się tych konstrukcyj nawskróś nowożytnych. Za to wewnątrz tych gmachów zdumiewa i zachwyca oko wielkość przestrzeni, śmiałość z jaką wiszą te niezmierne sklepienia, te kopuły rozpięte jakby cudem. Wewnątrz już w ogóle żelaza nie widać, wszędzie freski, polichromia, rzeźby — ale domyśla się oko, że tylko żelazo unosić może te stropy, i spoczywa na nich bezpiecznie i swobodnie. Wystawa zaprawia oczy do nowych prawideł architektury żelaznej. Zauważyć także warto, że się nic w architekturze z dawnych wystaw nie powtarza. Na wystawę r. 67-go wymyślili Francuzi tę olbrzymią kopułę szklanną w kształcie namiotu, albo dachu cyrkowego, z wychodzącymi z niej pawilonami; ten sam typ odtworzony został na wystawie wiedeńskiej, i powtarzał się później aż do znudzenia po innych krajach na wielkich i małych wystawach. Następnym razem, tj. w 78-ym, wybudowali Francuzi Trokadero, nie bardzo wprawdzie udatny, ale nowy i okazały pomysł. Tego roku wreszcie znowu coś zupełnie nowego

stworzyli — co się wnet w innych krajach, a najprzód w Ameryce powtórzy. Zamiast narzekać na tyranię mody francuskiej, stwarzajmy jak oni swoje stwarzają.

Wejdźmy na chwilę do środkowego pałacu przemysłu. Ani mowy o tem być nie może, żebyśmy mogli choć najpobieżniej wszystko obejrzeć, ale rzućmy okiem tu i ówdzie. Od środkowej kopuły idzie w głąb nawa wyższa i szersza niż nawy wielkich katedr; a z niej otwierają się na prawo i na lewo szeregi poprzecznych galeryj, które są także przestronnemi nawami. Okazałe bramy, wprowadzające z nawy środkowej do każdej galeryi, zapowiadają ozdobnemi strukturami i ornamentacyą, co za gałęź przemysłu jest w każdej wystawioną: tu złotnictwo, tam ceramika, tu meble, tam ubiory, indziej tapicerye, bronzy, jedwabie i t. d. i t. d. Ale zanim zajrzymy do wnętrza tych galeryj, idźmy prosto przed sobą, środkową nawą, a oto na końcu trafiamy w sam środek sławnej sali maszyn, która ciągnie się w poprzek całego gmachu, i stanowi, wraz z poprzedniemi galeryami, jeden olbrzymi gmach, mający blisko pół kilometra w kwadrat, bez podwórza, pod jednym łamanym ale nieprzerwanym dachem. Hala maszyn, największa sala pokryta bez podpory, jaka dotąd istniała na świecie — tak wielka, że 40-tysięczna armia mogłaby w niej wygodnie nocować (każdy żołnierz miałby przeszło 2 metry □) — tak wysoka, że stanęłaby w niej kolumna Vendome z dodatkiem piątrowego domu — hala ta sprawia zrazu to samo złudzenie, co kościół św. Piotra w Rzymie: nie można sobie zdać sprawy z jej nadzwyczajnych rozmiarów. Dopiero przeszedłszy ją wzdłuż i wszerz, przypatrzywszy się zbliska niesłychanej grubości tych żelaznych żeber przy ziemi, i śledząc za niemi okiem, jak zwolna zaginają się zgrabnym łukiem, a potem skośną linią biegną daleko w górę, na spotkanie żeber z przeciwnej strony wychodzących — dopiero wtedy zaczyna się oceniać wielkość tej konstrukcyi i podziwiać arcydzieło równowagi, nad którem się inżynierowie całego świata zdumiewają.

Wewnątrz las nieprzebrany maszyn, poprzedzielany ulicami; największa część w ruchu, ale ani dymu ani stuku przykrego nie ma, bo motory są poza budynkiem i tylko pasami pod ziemią siłę przesyłają. Zapewnie też najhałaśliwsze maszyny nie otrzymały go-

ściny w tem eleganckiem zebraniu. Widać tylko zewsząd koła zębate, stemple, sztaby — stalowe ramiona poruszające się rytmicznie z groźną potęgą, a z łatwością i dokładnością niezrównaną. Te żelazne olbrzymy, wyręczając coraz więcej człowieka, wykonywują już nie tylko najcięższe prace, ale i delikatniejsze roboty, które dotąd tylko ręka kobieca podejmowała. Gdzieniegdzie dwie, trzy maszyny sprzągnięte razem: jedna wyrabia materyał, który druga spożytkowuje, bez interwencyi człowieka. Tak papiernia łączy się z drukarnią: w oczach widza gałgany się zmiażdżają; woda ledwo nimi zabielona, przelewając się z walca na walec gęstnieje, tężeje w galaretowy płat, a przechodząc między mnóstwem walców filcowych, które ją osuszają, w minucie staje się suchym papierem, i w tej chwili wpada pod prasę drukarską, która wytłacza na niej gazetę, odcina i rzuca ją nieustannie pod nogi ciekawej publiczności. W ogóle maszyna komplikuje się co raz więcej (postęp w tym kierunku od wystawy do wystawy widoczny), i taką przybiera moc rozmaitych członów, takie misterne wykonywa funkcye, że i oko i umysł w zamęt wprowadza.

Czy jest wśród tego roiska maszyn jakiś wynalazek zupełnie nowy a doniosły? — o tem trudno profanowi stanowczo sądzić. — Zdaje mi się jednak, iż dziś nauka stosowana przyszła do takiej fazy swego rozwoju, że już nie będzie w ogóle postępować skokami wielkich odkryć, ale mnóstwem takich drobnych odmian i ulepszeń, na jakich krocie patrzymy właśnie w tej sali maszyn, i które razem składać się będą na wielki postęp. Pewne rzeczy w szczególności mię uderzyły: jest przyrząd przenoszący siłę w kształcie prądu elektrycznego od sali maszyn do esplanady Inwalidów, ze stratą prawie żadną; a to, w obec ogromnego procentu straty, jaki dotąd ponoszono przy każdej transmisyi siły za pomocą elektryczności, jest bardzo znaczącym faktem, i jeśli wytrzyma próbę doświadczenia, wielki wywrzeć może wpływ na ekonomiczne i społeczne stosunki: może pozwoli oddalić od miast fabryczne kominy, może też, przesyłając do domku każdego robotnika potrzebną ilość mechanicznej siły, pozwoli mu, zamiast w fabryce, u siebie pracować. Jest też na wystawie kolej żelazna bez pary, jedynie siłą wody poruszana, a idąca z chyżością 200 kilom. na godzinę. Lokomotywy niema, wagony jadą nie na kołach, tylko na jakichś

łyżwach, po szynach nieco szerszych niż zwykłe. Silny prąd wody przechodzący przez każdą nogę wagonu i wyciskający się między łyżwą a szyną sprawia, że łyżwy podnoszą się o pół milimetra nad szyny, i w ten sposób wagony poruszane być mogą z największą łatwością, bez stuku i prawie bez tarcia. W samym znów torze, między szynami, biegną rury z wodą, także pod ciśnieniem kilku atmosfer; a co kikadziesiąt metrów wytrysk tej wody, uderzając na jakieś turbiny umieszczone pod wagonami, nadaje całemu pociągowi ruch; pierwszy wagon w przebiegu otwiera automatycznie kurki tych wytrysków, ostatni zamyka. Taki pociąg jeździ w tej chwili po esplanadzie Inwalidów. Jest to pomysł sławnego inżyniera Girard'a zabitego przy obronie Paryża w r. 1871; ale dopiero teraz zajęto się jego wykonaniem. I już Anglicy podejmują próbę na większą skalę, budując półtrzecia kilometra takiej kolei, w samym Londynie, między stacyami miejskiemi Neasdon i Forty-Laue. Jak się to uda, to zajedziemy z Krakowa do Paryża w 8 godzin, a płynąć będziemy bez najmniejszego wstrząśnienia, jak po rzece.

Co jednak najbardziej uderzające w tej wystawie maszyn, to wielkie naczelne miejsce, jakie zdobyła sobie elektryczność. Ona zajmuje cały środek ogromnej sali maszyn, rozpanosza się tam jak przyszła królowa, przedstawia się w nieprzeliczonych postaciach i funkcyach: ona porusza jako motor wiele maszyn, przy innych służy jako regulator, przy innych rejestruje; ona mówi i zapamiętywa słowa ludzkie, przez telefony i fonografy; ona pisze i autografuje „piórem Edisona"; ona obwozi publiczność dokoła sali maszyn w otwartym wagonie po szynach wysoko zawieszonych, tak że z góry patrzeć się można na to całe roisko pracy maszynowej, i swobodnie nad niem filozofować. Ona w końcu oświetla — i w tem jest jej główny tryumf na wystawie. Nawet w biały dzień krocie lamp najrozmaitszych systemów, wielkich i małych, walczy wyzywająco ze słońcem; a wieczorem cała sala żarzy się od dołu do góry setkami słońc elekrycznych. I w tem świetle czarodziejskim olbrzymi warsztat o tysiącu machinach pracuje aż w późną noc.

Patrząc na tę pracę tego mrowia maszyn, wsłuchując się w ten głuchy, jednostajny huk, podobny do głosu fal morskich, przypomniałem sobie, com pisał przed rokiem o stosunku maszyny do człowieka: iż przywołana do służenia człowiekowi, do

wyręczania go w pracy, maszyna opanowuje człowieka, skuwa go ze sobą i czyni go swoim niewolnikiem. Nie ma wątpliwości niestety, że obecnie tak jest — i dla tegoto z całego podziemia pracy społecznej wznosi się ten jęk ludzki, głośniejszy niż warczenie maszyn, który zakłóca nasze festyny. Ale czy tak być musi, i czy zawsze tak będzie? to pytanie stawiałem sobie przypatrując się pracującym maszynom. Dziś nie wystawiamy sobie, żeby się mogło obejść bez poświęcenia kroci tysięcy ludzi na pastwę maszyn, by im kopali w podziemiach węgiel, by im podawali kruszce, by je obsługiwali ciężko dniem i nocą bez wytchnienia. Ale też w starożytności nie pojmowano, żeby mogła istnieć cywilizacya bez niewolnictwa; — a jednak zniesienie niewolnictwa było właśnie warunkiem cywilizacyjnego postępu. Gdyby ta największa rewolucya ekonomiczno-socyalna nie była się spełniła pod tchnieniem Chrystyanizmu i pod ręką Kościoła, a więc łagodnie, stopniowo i bez gwałcenia nabytych praw, gdyby była wybuchła nagle, gdyby Sertoryusz był zwyciężył — niewątpliwie ustrój społeczny stałby się był jeszcze nieznośniejszy i gwałtowniejszy na całe wieki — ażby się żywioły społeczne w nowych warunkach ułożyły. Otóż nowa rewolucya ekonomiczna i socyalna rewolucya, którą przebywamy, dążąca do wyzwolenia pracy ludzkiej z stosunku niewolniczego względem kapitału, zrobiła się, dotychczas przynajmniej, po za wpływem Kościoła, z pominięciem pierwiastku moralnego i chrześcijańskiej miłości, — i dla tego tyle cierpień i tyle gwałtu sprawia. Ale ten cały zamęt zmierzać musi ku jakiemuś utasowaniu się rzeczy ludzkich, wytkniętemu przez Opatrzność. Dlaczegożby maszyny, które dziś tyranizują robotnika, nie mogły się do tego stopnia wykształcić i do wymagań ludzkich dostroić, żeby prawdziwie człowieka w znoju wyręczały, i żeby stosunek pracy do kapitału i klasy pracującej do klasy myślącej na lepsze odmieniły? — Wszelako maszyny tego same nie zrobią, bez interwencyi idei chrześcijańskiej: bo tu prócz maszyn wchodzi w grę natura ludzka, której ludzie zmienić nie mogą, a ta składa się nietylko z organizmu, ale i z duszy, i bez maści miłości obejść się nie może. Bogu dzięki, już i nauka społeczna zaczyna się o tem przekonywać.

Wychodząc z sali maszyn napowrót przez ten szereg galeryj poświęconych przemysłowi, bierze ciekawość przypatrzyć się im bliżej: tam siła produkcyjna, tu produkta. Urządzenie wszystkiego w tych galeryach, jak zresztą w całej wystawie, pełne szlachetnego gustu. Jakkolwiek moc nieprzebrana przedmiotów, i miejsca pustego niemasz, jednak nigdzie nie ma ciasnoty, wciskania się rzeczy jednych na drugie, wszędzie wiele przestrzeni i powietrza, po wielkopańsku. Każda rzecz stoi sobie swobodnie, i zdaje się tam potrzebna dla ubrania sali; każda grupa okazów do jednej firmy należących stanowi organiczną całość, którą łatwo bez szyldów od reszty odróżnić. To wszystko nietylko estetyczną sprawia przyjemność, ale też pozwala swobodniej, z daleko mniejszem niż zwykle znużeniem, wystawę oglądać. Rzeczy jest jednak tak wiele, tak każda walczy z drugiemi o uwagę przechodnia, że nie łatwo jedna wybije się w pamięci nad inne. Nie będąc wabiony interesem zawodowym do jednego działu przemysłu raczej niż do drugiego, naturalnie przypatrywałem się więcej tym wyrobom, gdzie rzemiosło graniczy i wiąże się ze sztuką: drogim tkaninom, meblom rzeźbionym, ceramice, bronzom, zwłaszcza złotnictwu, tej sztuce francuskiej *par excellence*.

Szukałem wśród tego lasu form zawsze pięknych, poprawnych, ale jakoś wiecznie kopiowanych, cechę kopii noszących nawet wtedy, kiedy są oryginalne — bo i ręka rzemieślnika dziś robi jak maszyna — szukałem, mówię, indywidualności, tej żywotnej iskry artyzmu, która ożywiała pracownie średnich wieków i odrodzenia, która i kamieniarza czyniła rzeźbiarzem i w kuźni kowalskiej pięknotwórcze wzniecała uczucia. O takich rzemieślników-mistrzów dziś trudno; sąsiedztwo maszyn jest za bliskie; ich m a n i e r a oddziaływa nawet na tych, którzy bez ich pomocy pracują; są jednak chlubne wyjątki. Jest np. pod Lyonem na wzgórzu Fourvières, u stóp cudownego kościoła Matki Boskiej, cichy warstat złotniczy, gdzie mistrz, otoczony gronem synów i kilku dobranych czeladników pracuje, jak się ongi pracowało, pod tchnieniem wiary i miłości piękna. Pieniądz, acz szanowany, podrzędną tam gra rolę. Zamówi kto np. monstrancyę za 2000 franków; jeśli zadanie odpowiada duszy mistrza, on spokoju sobie nie da, póki weń duszy swej nie przeleje; od stołu wstawać będzie

wcześniej; snu sobie ujmywać, pół roku na to poświęci, i za 20.000 wartości pracy w to dzieło włoży — a oczywiście w umówionej cenie je odda: ale twórczości swojej i własnym wymaganiom piękna żadość uczynić musi. To też obok wystawy tego Armand'a Caillat, wszystko co wystawili Poussielgue i inni wielcy złotnicy (od których zwykliśmy kościelne srebra sprowadzać) wygląda jak tandecki towar, jak bezmyślne odlewy. U niego, choć duch stylu, w jakim pracuje, wiernie zachowany, jednak wszystko samorzutne, wszystko żyje, wszystko się modli, a całość pod harmonią kształtów, zwykle głębszą jakąś myśl trzeźwo przeprowadzoną wyraża.

Tuż obok tych bogactw przemysłu francuskiego spotykamy się z wystawami innych krajów europejskich. Niektóre umieszczone w tym samym wielkim pałacu (w końcach galeryi, których nie zajęły w całości pewne gałęzie industryi francuskiej), inne rozłożone w dwóch mniejszych gmachach, stojących między pałacem przemysłu a pałacami sztuk pięknych i sztuk wyzwolonych. Każda z tych wystaw ma swoją fizyonomię, której niepodobna w kilku słowach omówić. Rosya imponuje okazałością swych futer, wyrobów wełnianych, skórzanych, bronzów, złotogłowiów; Anglia stosunkowo małe zajmuje miejsce, ale każda rzecz u niej wykończona, wytworna, gust arystokratyczny; dokoła zaś kolonie otaczają ją wieńcem egzotycznych produktów, wypchanych zwierząt, drogich drzew, bryl srebra i złota, charakteryzując wybornie jej wyjątkowe w świecie panowanie. Włochy są tu, jak zawsze, piękne i wesołe; nic tu nie zdumiewa, ale wszystko pociąga. Ich rzeźby do przemysłu należące, figury z marmuru, z bronzu, z terrakotty, tak są piękne, tyle mają życia i swobody, takie *brio*, że zakasowują, mojem zdaniem, połowę wystawy rzeźbiarzy-artystów. Szkła weneckie nęcą oczy, jak zawsze, swym niedościgłym urokiem, a tym razem nęcą jeszcze cenami wyjątkowo niskiemi. Ale prócz rzeczy dla oka i ozdoby, mało co jest na wystawie włoskiej. Chyba nie chciano pokazać, z czego kraj ten żyje. Za to rozległe wystawy Belgii, Szwajcaryi, Stanów Zjednoczonych, mają cechę skrzętnej i poważnej pracy: same rzeczy do użytku w oczy wpadają. W dziale

zwłaszcza Stanów Zjednoczonych mnóstwo nowych i oryginalnych wymysłów, uderzających swą praktycznością.

Jest jeszcze w tych pałacach przemysłu Austrya, choć skąpo i od niechcenia przedstawiona, jest Holandya, Dania, Grecya, nawet Serbia, jest i San Marino... A czy na tem koniec? — Gdzież tam! to dopiero połowa. Oprócz tych wielkich pałaców, mnóstwo mniejszych gmachów i kiosków ciągnie się, jak powiedziałem, po dwóch brzegach placu Marsowego aż do Sekwany i dalej aż do placu Inwalidów. Każdy z nich uderza odrębną strukturą, w guście kraju, który go wystawił, lub osobliwego przedmiotu, który się w nim ukazuje. Stąd powstaje malowniczy i romantyczny las architektur. Kilka państw azyatyckich nie zbudowało osobnych pawilonów, bo znalazły jeszcze miejsce na skrawku głównego pałacu Industryi: tak Persya ze swemi niezrównanymi dywanami, Japonia z tem bujnem życiem pochwyconem w lot z natury i rozrzuconem z taką świeżością i gustem po porcelanach, bronzach, złocie, po meblach i sprzętach wszelkiego rodzaju. Ani Japonia, ani Persya, nie boją się zbliżenia do żadnego z europejskich przemysłów. Tuż obok Egipt ma swój ciekawy bazar. Jest nawet odtworzona cała ulica Kairu, podobno bardzo wiernie. Dalej Pałac Marokański, pawilony Siamu, Chin, Indyi, każdy w eleganckim i kapryśnym stylu swego narodu, wypełniony okazami mrówczej pracy i delikatnego smaku tych ludów. Gmachy nowożytnych państw amerykańskich: Guatemali, Paraguaju, San Domingo, Chili, Boliwii, Wenezueli i t. p. przedstawiają oryginalne, przeważnie surowe produkta: kruszce, tkaniny, florę i faunę zasuszoną i wypchaną, portrety swych zasłużonych mężów... nic dla parady. Widać, że te kraje z ziemi wyrastają, pełne soków żywotnych i zamiłowane w zdrowej pracy. Ciężki pałac meksykański zbudowany jest podług szczątków ponurej architektury Azteków. Pałac republiki Argentyńskiej odznacza się wielkością rozmiarów i lekkością stylu, a wewnątrz płodami już wyżej ucywilizowanymi.

Za tymi pałacami, tuż nad brzegiem Sekwany, spotykamy tak zwaną „Historyę mieszkań ludzkich“, tj. szereg budowli przedstawiających typy mieszkania w różnych epokach i cywilizacyach, od jaskini w skale i szałasu z gałęzi, aż do wieży Eiffela, która ma być ostatniem słowem dzisiejszej architektury. Kilka z tych

domków jest wierną reprodukcyą, i pod tym względem interesującą: jak dom perski z czasów Dariusza, według świeżych odkryć pana Dieulafoy, dom grecki według starej płaskorzeźby przechowanej w Louvrze, dom rzymski według Pompei, z ciekawymi anonsami po ścianach. Ale w całości przebija fantazya, i znać pośpiech z jakim to robiono. Wewnątrz domków, zamiast obiecanych kolekcyj starożytności owych ludów, są gołe ściany i Arabowie sprzedający cukierki lub fabrykowane starożytności egipskie. W ogóle ta cała historya mieszkań nie zasługuje na rozgłos jaki jej dano. Idąc dalej brzegiem Sekwany, spotykamy galerye za galeryami, poświęcone rolnictwu Francyi i innych krajów. Tu i ówdzie nad rzeką wznoszą się większe pałace z różnemi wystawami: ciekawy pawilon marynarki, ogromny gmach wiktuałów, który zapewnie *con amore* w naszych gazetach opisano, pałac hiszpański, biały jak śnieg i strojny w przepyszne kaprysy hiszpańskiego baroku.

Nareszcie dochodzimy do Eksplanady Inwalidów. Tu środkiem ulica, po jednej stronie przedstawiają się kolonie francuskie, po drugiej potęga wojskowa, która te obce i odległe plemiona żelazną obręczą z Francyą jednoczy. Strona kolonialna jest niewątpliwie malownicza; Algerya i Tunis wystawiły piękne białe pałacyki z lekkim naokoło podwórza maurytańskim gankiem, z klasyczną fontanną w środku; Annam, Tonkin, Kochinchina przedstawiają swe pagody, kioski z jedzeniem, teatrzyki; na warcie i za ladą kupiecką widać żółte, pergaminowe twarze; w budynkach mnóstwo kosztowności z pracowitością i drobiazgowością wschodnią wyrabianych; coś w tem chińskiego, coś indyjskiego — zapewnie wpływ obu tych cywilizacyi — ale to wszystko niezgrabne, ponure. Na końcu kilka wsi murzyńskich, tj. kilka placów otoczonych szałasami z bambusów, i kilka czarnych postaci siedzących na piętach i zajętych kuciem żelaza na kamieniu, lub gotowaniem w garnkach. To wszystko razem wygląda, jak powiedziałem, malowniczo, przynajmniej w pewnej odległości, ale wrażenia prawdy to nie czyni. Wydaje się to raczej przedstawieniem teatralnem pod gołem niebem. Na budynkach gips świeżo pokostowany lub bronzowany, w twarzach i ruchach tych biednych ludzi nudy zwierzęcia wystawionego w klatce. Ostatecznie, ta głośna wystawa etnograficzna (właściwie tylko wystawa kolonii francuskich) zawiodła moje oczekiwanie. I może za-

wieść musiała. Życie ludzkie nie da się tak żywcem przesadzić z jednej półkuli na drugą, i przedstawić jak w doniczce.

Zato zupełnie seryo się przedstawia naprzeciwko wystawa wojskowości. Wielki i poważny gmach, z bramą forteczną; na piętrze sztuka wojenna, jak dawniej wyglądała: średniowieczne zbroje i halabardy, późniejsze rusznice, armatki, broń z napoleońskich wojen, mundury z każdego wieku, na ścianach portrety znakomitych wodzów francuskich, a w środku popiersie wielkiego geniusza wojny, z groźnem jak burza wejrzeniem. Krom tego wejrzenia, wszystko tu prawie wesołe, wszystko ozdobne, barwne, jakby do turnieju a nie do zagłady przeznaczone. Jaka różnica, gdy z tego piętra schodzi się na dół i widzi się arsenał wojny dzisiejszej. Stal wszędzie naga i gładka, — niczem nie przemawia, tylko grozą swego przeznaczenia. Armaty olbrzymiej grubości, a podające się każdemu poruszeniu artylerzysty, jak ręczny rewolwer. Naboje wysokie jak człowiek, podnoszone i ładowane za pomocą maszyny; — a te naboje, jak czytam na objaśniającej karcie, mają zanosić śmierć na 21 kilometrów! Stalowe osłony, czyli ściany pół metra grubości, na wskróś przestrzelone temi pociskami... A do tych strasznych paszczy i ramion bożyszcza wojny dodana misterna sieć drutów, telegrafów, sygnałów, jak ustrój nerwowy w potwornym zwierzu! Na domiar zauważyć trzeba, że co najgroźniejszego i co najnowszego na zagładę ludzi wymyślono, to nie jest wystawione. — Oto druga strona tej cywilizacyi, której świetną stronę widzieliśmy w pałacu przemysłu! Na wystawie roku 67-go, gdy bogactwa ówczesnej industryi olśniły oczy widzów, mówiono i pisano, że przemysł i handel już zwyciężyły wojnę, że narody zbratane nowymi środkami komunikacyi, nie będą już inaczej walczyć jak współzawodnictwem pracy i wolną konkurencyą; dzisiejsza wystawa pokazuje, że się gorzko pomylono, i że czegoś więcej trzeba niż handlu i przemysłu żeby wojnę pokonać. Jedna z armat tu wystawionych więcej zniszczyć zdoła niż wszystkie maszyny z pałacu przemysłu wyprodukować potrafią; i nad ucztą tej powszechnej wystawy wisi, — każdy to czuje — miecz damoklesowy powszechnej wojny.

Jako *correctivum* wojny, tuż za jej pałacem jest wystawa Czerwonego Krzyża, pokazująca do jakiego stopnia miłosierdzie chrze-

ścijańskie troszczy się o kojenie tych ran, które wojna tak lekceważąco sieje. Doprawdy filantropii nam nie brak, a militaryzm ten okrutny i powszechny nie rodzi się z ducha naszych łagodnych czasów; jest on raczej skutkiem i oraz karą innych występków naszego wieku: tego mianowicie, żeśmy wykreślili dekalog boży z prawa narodów. Są jeszcze inne rzeczy wynagradzające, obok pałacu wojny wystawione: higiena publiczna, mieszkania zdrowe, i dalej wystawa ekonomii społecznej. Tej ostatniej starannie się przypatrzyłem. Rzecz wcale nie nadająca się do wystawy, zależąca głównie na teoryach, rachunkach, statystykach — a jak oni przecież umieli ją unaocznić! Naokoło głównej środkowej sali rozchodzą się małe salki, jak kapliczki przy nawie kościelnej; każda z nich poświęcona jednej z instytucyj lub towarzystw socyalnych; tu ubezpieczenia dla pracujących, tam instytucya tanich mieszkań, ówdzie spółki robotników z chlebodawcą, *societés de participation.* Na stołach dokumenta z cyframi, w gablotkach książki z teoryą i historyą tych instytucyj; ale po ścianach mnóstwo tablic, które szeregami kolorowych kwadracików i krzywemi liniami „semejograficznemi“ uwidoczniają całe życie tych instytucyj, ich rezultaty w różnych częściach Francyi, oscylacye ich powodzeń i niepowodzeń, wpływy wojen i zmian rządów, i t. d. Dosyć się przypatrzyć przez kilka minut tym tablicom, aby sobie wyryć w pamięci wyobrażenie o całym ustroju i rezultatach tych towarzystw. Za tym głównym gmachem stoją wybudowane w naturalnej wielkości wzorowe domki dla robotników; a katolickie towarzystwo socyalne, któremu hr. de Mun przewodniczy, wystawiło typowy klub robotników, *Cercle d'ouvriers,* gdzie uwidoczniło swe piękne pomysły i szlachetne prace. Mało miejsca zajmuje miłość bliźniego na tej wystawie, w porównaniu z ogromnymi gmachami i placami zajętymi przez wojnę i materyalne dostatki; większa część zwiedzających, wcale do jej kącika nie trafia; ale i w tym kąciku wygląda ona pięknie i dzielnie, i otuchę wlewa w duszę.

Idąc za wątkiem wystawy przemysłu, zaszliśmy aż do końca Esplanady Inwalidów, ale musimy jeszcze się wrócić na plac Mar-

sowy, gdzieśmy zostawili na boku dwa z najgłówniejszych pałaców: pałac sztuk wyzwolonych i pałac sztuk pięknych. Przez sztuki wyzwolone, rozumie się tu, jak rozumiano w średnich wiekach, sztuki naukowe, jak medycyna, astronomia, geografia i t. p. Lecz *greatest attraction* tego działu wystawy jest tak zwana „Historya pracy". Ażeby ją godnie umieścić, zrobiono oryginalną i śmiałą konstrukcyę. Wewnątrz wielkiego pałacu postawiono drugi pałac, z czterema wewnętrznemi podwórkami — bo tyle jest działów tej historyi pracy — z galeryami naokoło tych podwórz, z galeryami i tarasami na górze. Ponad tem wszystkiem zaś wznoszą się stropy i kopuła wielkiego gmachu tak wysoko, że wcale się o nich nie wie; wiszą one zaklęciem jakiemś w przestrzeni. A boczne ściany rozchodzą się tak szeroko, że między niemi a wewnętrznym budynkiem mieszczą się jeszcze galerye wszystkich sztuk wyzwolonych i przestronne ulice — i nigdzie ciasnoty nie masz.

Jakże wygląda owa *great attraction?* — Znowu zawód. Wszystko na co się bardzo sadzono, co chciało paradować uczonością — wszystko to jakoś zawiodło i jest nacechowane pewną blagą: tak historya mieszkań, wystawa etnograficzna, tak i historya pracy. W pierwszym z tych czterech podwórz, grupy z terrakoty realistycznie kolorowane. Jakaś para ludzi „jeszcze nie wychylonych ze zwierzęcości" tuli się w jaskini. Inna grupa otłukuje krzemienie. Dalej jakiś król Assyryjski siedzi na tronie, a kilku niewolników układa cegły, co ma nam dać pojęcie o pracy asyryjskiej. Kilka kobiet czerwonych, robiących płótno na archaicznem krośnie, przedstawia nam dzieje pracy starego Egiptu; wreszcie trzech murzynów kuje żelazo na kamieniu... i więcej nic — o pracy całej starożytności! Doprawdy lepiej było opuścić tę facecyę i zacząć od razu od 2-go działu, z pracą nowożytną. Ale im szło widocznie o efekt tej pierwszej grupy „ludzi w pierwotnej zwierzęcości"; myśleli (może i słusznie), że takie plastyczne przedstawienie stanie dla wielu za naukowy dowód.

W 2-gim dziale czyli podwórzu zawiera się historya sztuk wyzwolonych i pięknych, w 3-cim rzemiosła, w 4-tym pojazdy, środki przewozowe. Już sam ten podział na takie 4 części nic racyonalnego nie przedstawia. A dopiero w każdej części co za nieład! stare lunety obok starych skrzypców, retorty alchemistów przy rze-

żbach i obrazach, narzędzia i sprzęty z najrozmaitszych epok, jedne autentyczne, drugie naśladowane... Chciano wybierać narzędzia pracy i nauki z ważniejszych chwil przełomu, uwydatnić sławniejsze imiona; raz się udało, dziesięć razy nie udało — ostatecznie zebrano co się nadarzyło, i utasowano jak się dało. To wszystko było zrobione zbyt pospiesznie, przez ludzi nieco powierzchownych; i w gruncie udać się nie mogło, bo przedmiot tak rozległy opanować się nie da. Udały się za to zupełnie niektóre małe poddziały tej historyi pracy z bardzo ograniczonym przedmiotem, który dał się objąć i uporządkować: tak ciekawa jest historya czyli historyczna kolekcya afiszów, od pierwszego drukowanego ogłoszenia, rozlepionego w przeszłym wieku w Paryżu, aż do najnowszych wielobarwnych i humbugowych reklam; jeszcze bardziej interesująca jest historya karykatury; a najciekawszą historya balonu, przedstawiająca wszystkie próby i przejścia aerostatyki — a równocześnie wrażenia jakie one robiły na publiczności: więc artykuły spółczesnych gazet, karykatury ówczesne, rozporządzenia władz, i t. d.

W tym samym gmachu są jeszcze, jak wspomniałem, różne inne wystawy, jak geografii, dróg i mostów, chirurgii, fotografii, wspaniała wystawa introligatorstwa i papeteryi, wreszcie imponująca ogromem i bogactwem wystawa szkolnictwa.

Ogólną cechą wszystkich działów paryskiej wystawy jest, przy zmyśle estetycznym, dziwny zmysł uplastyczniania rzeczy nawet oderwanych, unaoczniania wszystkich rezultatów nauki. Umieją oni zawsze coś takiego wymyśleć, że dosyć popatrzyć, aby posiąść, nie mówię naukę, ale ostatnie jej słowo. Już zwróciłem uwagę na ciekawe pod tym względem tablice w pawilonie ekonomii społecznej. Historya mieszkań i historya pracy, choć skądinąd nieudane, mają tę samą dążność. W sali maszyn, obok wielu z nich, różne sposoby tłumaczenia ich użytku; przy maszynach np. używanych pod ziemią, widać całe przekroje kopalń z masy odlane, wysokości dwu do trzech metrów, a między pokładami w właściwych kolorach, pokazują się malutkie wygrzebane szychty, i robotnicy odpowiedniej skali, używający tychże maszyn — które obok w naturalnej wielkości stoją. W dziale geografii, dróg i mostów i innych, podobne misternie wykonane reprodukcye, przekroje, mapy gipsowe, z wypukłościami

ogromnych rozmiarów. Ale na wystawie szkolnictwa ta dążność i ta zręczność przebijają się w dwójnasób: raz żeby dzieci uczyć poglądowo, a po drugie, żeby to wszystko widzom wytłumaczyć. Są tam nie tylko niezliczone książki szkolne, ławki i wszelkie meble wzorowe, umywalnie, łaźnie i t. d., ale są całe sławniejsze zakłady wychowawcze, odtworzone w wielkości kilku metrów, z wszystkimi budynkami i ogrodami; zręczne przecięcia pozwalają zajrzeć do wnętrza sal, widzieć całe ich urządzenie i liliputowych studentów siedzących nad książkami lub posilających się w jadalni. Zbiory do wykładów nauki są prawdziwie ogromne: dla samej nauki stolarstwa np. są nie tylko wystawione wszelkie możliwe narzędzia, ale też okazy najrozmaitszych wyrobów we wszystkich stadyach roboty, pokazujące jak się powinno dane kawałki drzewa przygotowywać, łączyć, gładzić i t. d. To samo dla wszystkich innych rzemiosł. A cóż dopiero za zbiory dla właściwych nauk: fizyki, chemii, zoologii, botaniki!.. Dla nauki rysunku wzory i odlewy bez liku, dla historyi reprodukcye antyków, restytucye gmachów i miast, od Asyryi począwszy, i to nie na papierze, ale figuralnie z gipsu, z drzewa, z papierowej masy. Jest między innemi śliczna restytucya pałacu Kserksesa w Persepolis, wysokości półtora metra, a kilku metrów □ podstawy. Jeżeli tak w istocie zaopatrzone są szkoły rządowe francuskie, to już nie bogactwo ale szalona rozrzutność, która finansami tak niesłychanie bogatego kraju zachwiać musiała. Wiadomo, że pobudką do tej rozrzutności była chęć zakasowania zewnętrznym splendorem wolnych szkół katolickich, z któremi nie udawało się współzawodniczyć wartością wewnętrzną. To też obok splendorów, znać jaki duch sekciarski w tych szkołach państwowych wieje. Śladu religii tam nie ma. Owszem wykłada się historya religij (w liczbie mnogiej: *des religions*), a do demonstracyi przy tym wykładzie służy między innemi kolekcya amuletów, począwszy od murzyńskich kościanych straszydeł, aż do medalików Matki Boskiej — w jednym szeregu *(sic)*.

Szukałem, wśród tego ogromnego działu szkolnego, wystaw zakładów katolickich, których jest przecież dotąd spora liczba we Francyi; znalazłem obok rządowych zakłady prywatne, ale bezwyznaniowe, katolickich śladu nie było; czy same nie chciały mieszać się z tamtymi, czy też najpewniej przypuszczone nie zostały.

Chciano skłamać światu, przedstawiając mu Francyę jako zupełnie bezwyznaniową.

Dochodzimy już do końca naszej wędrówki po wystawie. Zaczęliśmy od pałacu maszyn, gdzieśmy widzieli nowożytną siłę wytwórczą. Oglądaliśmy potem jej płody w wielkim pałacu przemysłu i w pawilonach różnych narodów. Następnie przeszliśmy do wyższych, umysłowych płodów ducha ludzkiego, tj. sztuk wyzwolonych. Zostają jeszcze przed nami sztuki piękne, najszczytniejsza w sferze doczesnej, bo twórcza funkcya umysłowości ludzkiej.

Naprzeciwko pałacu Sztuk Wyzwolonych, po drugiej stronie „Pola Marsowego“, stoi podobny do tamtego — zanadto nawet podobny — pałac Sztuk Pięknych. Wstąpiwszy jednak do wnętrza, ma się zupełnie nowy, prawdziwie wspaniały widok. Pod środkową kopułą, przestrzeń otwarta ogromna, rzeźbą i barwami bogato a szlachetnie ustrojona; światła doskonała miara; królewskie wschody prowadzą po obu stronach na szeroką okalającą galeryę. Na prawo i na lewo otwierają się ogromnemi łukami boczne skrzydła. Prawe mieści wystawę malarstwa francuskiego, lewe malarstwo wszystkich innych krajów. W środkowej rotundzie umieszczono historyczną wystawę sztuki francuskiej z całego ubiegłego stulecia: na dole posągi, na górnej galeryi obrazy, rysunki, ryciny. Myśl piękna, i byłoby arcyciekawą rzeczą oglądać ten dziejowy pochód sztuki, oceniać w takiem zestawieniu wpływy poprzedników na następców, upatrywać początki nowych kierunków. Rzeczywiście jednak tego wszystkiego nie ma. I tę wystawę urządzono zbyt pośpiesznie. Z Louvru, gdzie są najpiękniejsze dzieła mistrzów tej epoki, nie chciano ich, nie wiedzieć czemu, przenosić; z prywatnych zbiorów nie chciano niczego żądać, bo już za często w latach poprzednich to uczyniono. Zebrano więc tylko to, co się w innych publicznych gmachach znalazło. Skutkiem tego nie ma ta wystawa tej ciągłości, tej wewnętrznej logiki, którąby stanowiła cały jej interes. Niejeden wpływowy mistrz, jak Vien i Józef Vernet, wcale nie jest przedstawiony, inni tylko przez pośledniejsze dzieła: Leprince'a, Ary Scheffera, Pawła Delaroche jest tylko po jednym portrecie, innych tylko sztychy. Największą jeszcze grają rolę znane ale zawsze wspa-

niałe płótna historyczne z Pałacu Wersalskiego: David'a, koronacya Napoleona i koronacya Józefiny, bitwy Gros'a i Delacroix, Horacego Verneť'a oblężenie Konstantyny i t. p.

W bocznych ogromnych skrzydłach, gdzie roztacza się sztuka spółczesna, nie łatwo się rozpatrzyć. Przestrzeń podzielona jest na tak wiele sal i gabinetów na parterze i na piętrze, że suma długości ścian pokrytych obrazami, wynosi przeszło cztery kilometry. Nie spróbuję więc wcale mówić o pojedyńczych obrazach, skreślę tylko kilka ogólnych wrażeń, które w duszy zachowałem. Wystawa powszechna sztuki powinna być najlepszym wyrazem ducha, aspiracyj i ideałów epoki. Cóż więc takiego widać na tej wystawie? Czy się przebija ideał klasyczny, lub jego blady sobowtór, akademicki? Wcale nie. Ostatnich dzieł w tym duchu trzeba szukać u Dawida, w rotundzie wystawy retrospektywnej. Czy panuje fantazya romantyzmu? I to już wyszło z mody. Czy góruje może ideał religijny, który tyle arcydzieł natchnął sztuce? Ha! daleko od tego. Obrazów religijnych jest bardzo mało — i te co są, zupełnie są niereligijne — w rodzaju Wereszczagina, usiłujące rzeczy święte zziemszczyć, spospolitować jeszcze niżej od rzeczy ordynarnych. Wystawa tak wygląda, jak gdyby Chrystyanizm nie był się wcale pojawił na świecie. Wyjątek jednakże stanowi ten właśnie obraz, który został najwyżej ze wszystkich oceniony, „Anioł Pański" Millet'a [1], a który jest religijny; — podobnie jak na zeszłorocznej wystawie sztuki międzynarodowej w Monachium, najwyższe odznaczenie odniósł także obraz religijny Benlliur'a „Widzenie w Koloseum".

Czy może żadnych już ideałów nie potrzeba sztuce? Tak uczy dzisiejsza szkoła naturalistów; zadaniem sztuki, podług niej, nie wzlatywać, nie układać, tylko otwierać oczy na naturę i odtwarzać co się przedstawia. Otóż obecna wystawa pokazuje, że ich praktyka

[1] Obraz Millet'a jest istotnie rodzajowy, ale prawdziwą religijną myślą natchniony: żniwo w polu, w dali wiejski kościółek, skąd właśnie doleciał głos dzwonu, a dwoje młodych żniwiarzy na pierwszym planie przerywa robotę i pochyla twarze, odmawiając w pobożnem skupieniu Anioł Pański. Jest oprócz tego kilka pięknych obrazów malowanych dla kościołów przez znakomitego Bouguereau, jest Maignan'a „Chrystus wzywający do siebie zasmuconych"; ale tych paru gwiazdek nie widać wśród całego ogromu wystawy.

jest lepsza niż ich teorya; owszem wystawa dowodzi fałszu tej jałowej teoryi. Ci, co się na wystawę dostali, tj. kwiat dzisiejszych malarzy, ci wybierają przedmioty jako tako interesujące, ci układają, starają się o jedność, siłą się coś swego włożyć, coś ze swojej duszy w obraz przelać. Instynkt sztuki bierze w nich górę nad doktryną. „Dosyć przejrzeć te galerye, powiada jeden z lepszych „krytyków, G. Lafenestre, aby się przekonać, że u największej czę„ści naszych młodych malarzy jest przecież jakiś ogólny ideał, „przejawiający się w ich duchowych i materyalnych dążeniach. Idea„łem tym jest uwielbienie ludzkości, ludzkości teraźniejszej i prze„szłej, w jej radościach i cierpieniach, w jej pracach i geniuszu, „w jej obowiązkach poziomych, nie mniej jak w czynach heroi„cznych“ [1]... Jest w tem zapewnie coś prawdy; jabym jednak zwrócił uwagę panu Lafenestre, że tylko to może być ideałem, co jest w jakikolwiek sposób po nad realnością. Przedstawiać po prostu co się widzi w ludzkości, toby właśnie było tym naturalizmem, który on sam słusznie potępia, podnosić zaś ludzkość ku czemuś, jest to mieć jakiś ideał ponad ludzkością, którego on nie określa.

Mnie zostało wrażenie, że to młode malarstwo rwie się w górę, parte instynktem sztuki, ale samo nie wie ku czemu. I dla tego jest tak rozstrzelone. Rozbicie powszechne ludzkich doktryn odzwierciedla się w sztuce. Pędzlem włada ono z niesłychaną łatwością, wszystkie tajniki techniki zdobyło; ale dla tego też (jak student uzdolniony), maluje najczęściej niedbale i co do rysunku i co do wykończenia. Ufne w potęgę pędzla, którą posiada, liczy na efekta, mniej dba o prawdziwie estetyczne, harmonijne wrażenie. Powiem może naiwność, ale powiem szczerze, że oglądanie tych ogromnych galeryj nie było mi taką wzniosłą a rozkoszną biesiadą duszy, jak zwiedzanie np. dolnych komnat w muzeach flamandzkich, gdzie wiszą zwykle mistrzowie XV wieku: Memlingi, Metsysi, Van Leydeny — ani nawet taką ucztą wiecznie miłą i pogodną, jak przechadzanie się między antykami w muzeach watykańskich. Tu, w paryskiej wystawie, każdy obraz chwyta za oczy, każdy się

[1] La peinture française à l'exposition. Revue des deux Mondes, 1 Octobre.

narzuca — ale jak mało jest takich, któreby zatrzymywały, na któreby można patrzyć i patrzyć z estetyczną uciechą! Jak wiele takich, które coś we mnie urażają, odpychają mię, to jakąś przesadą, jakąś niezgodnością formy z treścią, to jakąś myślą fałszywą i niedobrą. Któżby np. chciał mieć u siebie ten szkaradny *Exorcyzm* Weerts'a, gdzie oprócz tendencyi antyreligijnej, tyle jest zwierzęcości w twarzy opętanego, tyle głupoty i złości w twarzach egzorcystów, że po widzeniu tego obrazu, przykry niesmak zostaje w duszy, i nieomal w ustach? Któżby, choć za pieniądze, chciał mieszkać z tą *Andromachą* Rochegross'a, gdzie krew i krew, po ścianach i po schodach, trupy i trupy — wstrętne realizmem — jak w śnie gorączkowym? Rochegrosse silił się na tragiczność, a zrobił tylko okropność. Tragiczności jest więcej w dwóch wierszach Homera, niż w tem ogromnem płótnie znakomitego malarza francuskiego.

Za to gdzie dusza prawdziwie artystyczna uchwyci ten magiczny pędzel nowożytny i umie go podporządkować jako narzędzie, tam powstają przepyszne utwory. Mam jeszcze przed oczyma tę cudną Pieśń Wiosny *(La chanson du Printemps)* pędzla Bougereau, Renouf'a *Le coup de main*, śliczną scenę rodzinną na czółenku, wśród morza dziwnej prawdy i potęgi, Maignan'a *La voix du tocsin*, pomysł idealny — bo z dzwonu wylatują głosy w postaci Aniołów — a przecież tak przejmujący prawdą uczucia... Ale obiecałem nie mówić o pojedyńczych obrazach. Wśród ogółu jest pewien poczet takich pięknych rzeczy, ale ogółowi, jak powiedziałem, wiele nie dostaje. Malarstwo dzisiejsze jest w niespokojnej epoce przełomu — szuka czegoś — a tymczasem gotuje pędzel i prześliczne farby na paletę nakłada.

Bądź co bądź, jest zawsze miłą i ciekawą rzeczą na tej wystawie widzieć razem zebranych tych mistrzów różnych krajów, których wielu znało się tylko z opowiadań; miło widzieć najnowsze dzieła każdego obok siebie zestawione — bo i o to przezorny zarząd wystawy się postarał. A co najbardziej interesujące, to widzieć utwory każdego narodu zebrane i w osobnych salach. W ten sposób każdy salon ma swoją odrębną, ciekawą fizyonomię. Francuzi, którzy jak wspomniałem, pół wystawy zajęli, górują też absolutnie wyższością sztuki. Znać że oni w naszym wieku są inicya-

torami malarstwa, inni zdają się ich naśladować. Włosi, o ile naczelne stanowisko zajmują w rzeźbie, o tyle w malarstwie niczem się nie odznaczają, i nie znać u nich żadnej wybitnej cechy. Anglia najoryginalniejsza, najmniej uległa wpływom francuskim, uderza dziwną szlachetnością form i pomysłów, i wykończeniem, od jakiego nas reszta dzisiejszego malarstwa odzwyczaiła. Dziwna też rzecz, że w kraju wiecznej mgły, malarze mają takie wykwintne poczucie kolorytu, tak czyste i głębokie tony. Większa część obrazów angielskich jest za szkłem; snać nie rachują tylko na ogólny efekt, i boją się najmniejszego draśnięcia. Hiszpania zostawia uczucie żalu. Widać u jej malarzy nadzwyczaj wiele talentu, wiele siły, pyszny koloryt; ale to po największej części idzie na bezdroża; przeważa niedobry realizm, sadzenie się na ogrom, na silne wrażenia. Andromacha Rochegrossa łagodnieje w obec ponurej okropności „Dzwonu Hueski“ *(La cloche de Huesca)* pana Cosado del Alisal. Są jednak i tu piękności: znakomite portrety Raimunda de Madrazo, śliczne morze Vascan'ego i t. d. Okazała liczbą i oryginalna jest wystawa pędzla amerykańskiego. Nie jest on tak dalece wolny od wpływów francuskich jak Anglia, a przecież ma swój właściwy charakter. Jankesi dbają także o pewne wykończenie swych obrazów; z lubością i głębszem uczuciem malują swą bogatą naturę, ale może z jeszcze większą lubością malują życie towarzyskie, które podobno w ostatnich latach bardzo się u nich rozwija. Jest np. na tej wystawie kilka obrazów przedstawiających bale w najżywszym wirze tańców. Przedmiot któryby nam się zdawał banalny, jest tam oddany z wielką werwą, z grą kolorów prześliczną, i z delikatnym cieniowaniem uczuć. Jest też kilka podnioślejszych kompozycyj. Uderzył mię szczególnie idealny obraz Guthersa *Lux Incarnationis.*

I najmniejsze kraje mają swoją reprezentacyę na tym wielkim dworze sztuki. Nawet taka Rumunia, nawet Serbia powywieszały kilka *croutes* — i mają swoje osobne saloniki. Niemcy nie mają swej firmy, ale wystawieni są w osobnej sali, pod tytułem: *Quelques artistes étrangers.* Jednej Polski nie ma wcale; a jednak byłoby co wystawić, i możnaby było urządzić osobny salon, przynajmniej jako poddział wystawy austryackiej, gdyby się był kto-

kolwiek czynnie zakrzątał. Kilku tylko naszych malarzy jest porozrzucanych między austryackimi i rosyjskimi.

Należałoby jeszcze odwiedzić rzeźby wystawione w ogromnej galeryi Rapp'a, przyległej do pałacu sztuk pięknych; ale już zmierzch zapada; wszystkie gmachy wystawowe zamykają; czas nam wyjść na otwarty plac między pałacami. Tu o tej porze cisną się tłumy, widocznie coś nadzwyczajnego ma nastąpić. Ledwo się ściemniło, aż tu na brzegach zielonych trawników i sztucznych stawów pokazują się świecące bańki, które nieprzerwanym rąbkiem świetlanym otaczają wodę i zieloność. Są to lampki Edisońskie [1], osadzone tuż przy ziemi, które się wszystkie odrazu zapalają i ślicznie się odbijają w wodzie i po trawnikach. Ale nie koniec na tem. Wśród stawów są kolosalne posągi i całe grupy najad i delfinów wyrzucających wodę; są kępy liści zielonych, niby ogromne lilie wodne, z pośrodku których silne wodotryski strzelają w górę. Otóż przychodzi chwila, kiedy te wszystkie fontanny zaczynają świecić, promienić się jakiemś tajemniczem światłem, nie z zewnątrz rzuconem, ale bijącem ze środka wody. Z paszcz delfinów, z urn najad tryskają jasne strugi, każda kropla spadająca błyszczy jak gwiazdka. Szmer podziwu rozchodzi się po tłumach widzów, cisną się coraz więcej nad brzegiem stawów... Aż tu nowe dziwo: ta świetlana woda staje się w mgnieniu oka ognistoczerwoną; w paszczach smoków, w urnach najad się żarzy, potoki lawy z nich wypływają, wodotryski się czerwienią a świecą, jak wulkany buchające w oddali. — Jeszcze widzowie nie ochłonęli, a już kolor czerwony przemienił się w niebieski; wszystkie wody zmieniły się w świetlane strugi szafiru. Po chwili wszystko znowu staje się zielonem, potem jaskrawo-żółtem i t. d. Wszystkie barwy odbijają się po kolei na twarzach i ubiorach widzów. Nakoniec zaczyna się prawdziwe czarodziejstwo: z jednego wodotrysku bije światło czerwone, z drugiego niebieskie, z trzeciego żółte; kolory zmieniają się co chwila, wpadają jeden w drugi... Czarownik ja-

[1] Lampy elektryczne, zawierające w szklannej bani żarzący się drut.

kiś ukryty w grocie przebiera na tajemniczych klawiszach i wygrywa cudowne gamy i harmonie kolorów. Tłum już się nie posiada — powstają oklaski, krzyki. — I już wszystko znikło; tylko rąbki świetlane nad brzegiem wód i trawników świecą nieustannie. Wszystko to trwało dwadzieścia minut. Po dziesięciu minutach przerwy, zaczyna się na nowo; i znów po raz trzeci to samo [1].

To trwało od 9-ej do pół do 11-ej w nocy, i tak bywa codziennie. Na koniec o 11-ej — a to tylko raz w tydzień, w niedzielę — coś jeszcze wspanialszego czeka publiczność. Z wieży Eiffela oświetlony jest zwykle tylko sam wierzchołek, który widać z daleka jak latarnię morską, i oświecone są także szeregiem lamp gazowych te olbrzymie łuki, na których wieża się wznosi. W nocy nic więcej nie widać, tylko tę tęczę świetlaną, przerzuconą ponad placem Marsowym, i w górze jakieś światełko. W tem bije 11-sta, jakiś głuchy wystrzał zwraca uwagę tłumów — i nagle na czarnem tle nocy, ukazuje się cała wieża Eiffela, czerwona i jasna jak żelazo rozżarzone w ogniu. Wszystkie jej żebra, wszystkie żyłki widać lepiej niż w biały dzień, a z każdego piętra jakiś dym czerwony uchodzi w przestrzeń. Rzekłbyś, że jacyś cyklopi rozżarzyli tę ogromną żerdź w jakimś wulkanie i postawili znienacka przed nami to cudowne a groźne zjawisko [2]. Widzenie to trwa dwie, trzy minuty, — i wszystko niknie, przepada w ciemnej nocy.

Kiedy Papieża koronują, odbywa się między innemi ceremonia, zaprowadzona w najświetniejszych czasach papieskiej potęgi. Przedstawiają nowemu Papieżowi pałacyk ze lnu zrobiony, i za-

---

[1] Sposób jakim tak prześliczny efekt się wywołuje, jest dosyć prosty. Umieszczone jest pod ziemią, wprost pod wodotryskiem silne światło elektryczne, od którego cała kolumna wody się rozpromienia, a ta znów oświetla wodę po bokach spadającą. Żeby zaś to światło zabarwić, przesuwa się poprostu grube kolorowe szkła między źródłem światła a wytryskiem wody. Gdzie promień wody wychodzi pochyło, jak z paszcz delfinów, tam osiągnięto ten sam skutek za pomocą pochyłych zwierciadeł. Pod każdą fontanną ukryty jest robotnik z kolorowemi szkłami, a mistrz który wygrywa tę harmonię barw, naciskając na klawisze, daje znać telegraficznie każdemu, jaki kolor ma w tej chwili podsuwać.

[2] Zjawisko to wywołane jest za pomocą bengalskich ogni rozłożonych na wieży i jednocześnie zapalonych.

palają go w jego oczach mówiąc: *sic transit gloria mundi.* Miałem wrażenie, że ten fajerwerk wieży chcąc nie chcąc to samo mówi na pożegnanie tym tłumom, które przez cały tydzień zwiedzały wystawę, i może z myślami Nabuchodonozora wracały do domu.

Wystawa jest niezawodnie świetnym obrachunkiem pracy cywilizacyjnej naszego stulecia, dowodem bezprzykładnego w dziejach postępu, jaki to stulecie uczyniło. Ale ta sama wystawa jest też okazem nierównowagi, jednostronności tego postępu. Nasz wiek zapomniał, że człowiek ma nietylko rozum ale i serce, i że nietylko chleba i uciech potrzebuje, ale też pociechy dusznej. Dlatego cywilizacya naszego wieku wciąż chromieje, i zadziwia nas raz po raz wstecznymi zwrotami ku barbarzyństwu. Dlatego dzieła naszego wieku, ledwo się wzniosły wspaniale, już upadkiem grożą, bo mają wewnętrzną organiczną wadę.

Niech się cieszy nasz wiek z tego co dokazał — niech się chlubi z tej wystawy — byleby rozumiał co mu niedostaje.

Ks. M. Morawski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Monumenta Poloniae historica. T. V. Lwów. Nakładem Akademii Umiejętności, 1888. Wielka 8-ka, stron 1170.

Niezmiernie ważnego wydawnictwa tego, które nieodżałowanej pamięci Bielowski powołał do życia, ukazał się tom V, nie ustępujący co do objętości wcale poprzednim tomom. Wyszedł on, jak i dwa poprzednie, opracowany przez lwowską komisyą historyczną nakładem krakowskiej akademii umiejętności. Tom czwarty, który przed kilku laty został wydany, stanowił pewną całość pod względem zawartości, obejmował bowiem w przeważnej części żywoty świętych; obecny tom odznacza się również jednolitością treści, gdyż zawiera głównie rzeczy klasztorne, albo przynajmniej ogólno kościelne. Mamy tu więc kroniki i roczniki klasztorne, księgi zmarłych i kalendarze, wizytacye, konsekracye, inwentarze kościelne i t. p., w ogóle materyał źródłowy do historyi kościelnej, a specyalnie zakonów w Polsce i ważny bardzo i obfity. Przejdźmy więc po krótce treść tego potężnego tomu, na który złożyło się trzydzieści pięć numerów większej lub mniejszej rozciągłości.

Pierwsze miejsce zarówno pod względem umieszczenia jak i objętości zajmuje *Memoriale ordinis fratrum minorum a fratre Joanne de Komorowo compilatum*[1], wydane przez *Xawerego Liskego* i *Antoniego Lorkiewicza*. Jest to kronika zakonu św. Franciszka

[1] Str. 1—418.

z Assyżu spisana przez *Bernardyna Jana Komorowskiego*. Pierwsze jej wydanie wyszło w r. 1873 staraniem Zeissberga, ale wydanie to okazało się niedostatecznem; Zeissberg użył bowiem do tego jednego tylko rękopisu znajdującego się dziś w bibliotece Krasińskich w Warszawie a najkrótszego ze wszystkich, gdyż sięgającego tylko po r. 1503. Nadto wydanie to zasiane bardzo licznymi błędami, jak tego dowodzi długi, bo siedm stronnic[1] obejmujący rejestr myłek umieszczony przez wydawców na końcu przedmowy. W obec tego potrzeba drugiego wydania była jasną. Wydawcy rozporządzali przytem trzema rękopisami, mianowicie wspomnianym już ręk. Kraś., i dwoma większymi, rękopisem biblioteki Czartoryskiej w Krakowie nr. 3792 i Jagiellońskiej nr. 3539. Według 1 rozdz. obszernej przedmowy[2], wzajemny stosunek tych trzech rękopisów do siebie jest taki, iż rękopis Krasińskiego stanowi mniejszą redakcyą kroniki, sporządzoną około r. 1512, oba zaś inne rękopisy jej redakcyą większą, powstałą dopiero około r. 1535, a więc mniej więcej na rok przed śmiercią Komorowskiego[3]. Rękopis Czartoryskich jest brulionem, Jagielloński zaś czysto odpisanym tekstem tej większej redakcyi, w której rękopis Krasińskiego, mniejsza redakcya, z małymi wyjątkami, prawie całkowicie się mieści. Wszystkie trzy zaś są autografami. Dochodzenie co do tego wzajemnego stosunku rękopisów do siebie i co do czasu ich powstania znajdujemy w I rozdz. z jak największą ścisłością i bystrością krytyczną przeprowadzone. Drugi rozdział przedmowy zajmuje się życiorysem Jana Komorowskiego, do czego kronika sama najważniejszem była źródłem, trzeci wreszcie rozdział, najobszerniejszy i najważniejszy, rozbiera stosunek kroniki naszej do jej źródeł i wyjaśnia, co nowego kronika przynosi dla dziejów zakonu Minorytów, a szczególnie dla rozległej a dosyć jeszcze mało znanej literatury zakonnej. I to właśnie podnosi ogromnie ważność kroniki tej dla ogólnych dziejów zakonu, gdyż Komorowski w większej redakcyi szeroko opowiada założenie zakonu i początkowe jego dzieje, aż do powstania nowego odłamu, obserwantów i do wprowadzenia tychże do Polski, a opowiada je na podstawie rozlicznych źródeł, dziś częściowo nieznanych, które miał pod ręką. Najważniej-

[1] Str. 58—65. [2] Str. 1—65. [3] † 3/11 1536.

szem a pierwszorzędnem źródłem dla początków zakonu jest kroniczka Jordana, którą po raz pierwszy wydał w r. 1870 Jerzy Voigt pod tytułem *Die Denkwürdigkeiten (1207—1238) des Minoriten Jordanus von Giano*. Zakonnik ten był współczesnym św. Franciszka, brał gorliwy udział w pierwszych misyach, stąd pamiętnik jego niemałego nabiera znaczenia. Niestety posiadamy go tylko w ułamku bez końca; dokąd sięgał, tego nie wiedziano dotychczas. Dopiero w Komorowskim znajdujemy dokładnie oznaczony rok, do którego sięgała kronika Jordana, mianowicie do r. 1244, co tem ważniejsze, iż jest to jedyne źródło, z którego się tego dowiadujemy, a ponieważ wydany fragment Jordana sięga tylko do r. 1238, przeto owych końcowych lat sześć, możnaby prawdopodobnie częściowo uzupełnić z korzystającego zeń Komorowskiego.

Jednem z najbardziej przez Komorowskiego używanych źródeł jest *cronica ordinis*, którą stale pod tą ogólnikową nazwą cytuje; korzysta on z niej aż do r. 1378, gdyż na tym roku się kończyła[1], a korzysta obficie. Kronika ta jest dotychczas niewydaną i jedynie tylko w rękopisach znaną pod nazwą *cronica XXIV generalium;* jeden jej rękopis z końca XIV lub z początku XV w. znajduje się w bibliotece uniwersytetu lwowskiego[2]. Że to jest właśnie ta *cronica ordinis*, używana przez Komorowskiego, tego dowodzi porównanie ustępów i jej koniec; obejmuje ona bowiem czas dwudziestu czterech jenerałów, a właśnie owa nieznana *cronica ordinis*, sięgająca do r. 1378, obejmowała również rządy dwudziestu czterech jenerałów. Komorowski brał z niej całe ustępy dosłownie, jak na str. 69, 71, 77—8 83—5. i t. d., a jak widzimy z porównania, nie wszędzie odczytywał on poprawnie swój pierwowzór. Np. na str. 69 wiersz 1 z góry pisze on *frater Sabbatinus;* Glasberger kronikarz niemiecki, w tem miejscu ma *Gabatinus*, podczas gdy rękopis kroniki 24 jenerałów ma *Sebastianus*. Na str. 71 w. 5 z góry Komor. pisze *novellam familiam*, rękopis ma *tenellam;* w. 9 z góry Komorowski pisze *sanctum dominum*, rękopis ma *Dominicum*. Nie zawsze odpisuje on dosłownie swój wzór, często znalazłszy rzecz zbyt obszernie w kronice, streszcza ją, jak

[1] Str. 135. [2] Sygn. I G. 17.

na str. 78, 79, 84 i t. d., a nawet opuszcza ustępy, jak na str. 76 mówiąc o misyi do Hiszpanii, przechodzi zaraz do misyi niemieckiej; w rękopisie *cronica ordinis* jest jeszcze o misyi do Portugalii, którą Komorowski pominął. Jeżeli to dotychczas w kilku rękopisach spoczywające źródło wydane zostanie, jak zapowiedziano, w 3 tomie *Analecta Franciscana*, to przybędzie dla poznania Komorowskiego nowy, ważny materyał, który rozbiór krytyczny jego kroniki niewątpliwie bardzo ułatwi. Nie mniej ważnym jest Komorowski dla rozwiązania kwestyi, kto jest autorem obu legend o św. Franciszku t. z. *legenda prima et secunda* czyli *antiqua*. Dotychczas wymieniono dwie osobistości, którym przypisywano napisanie jednej z legend, Tomasza de Celano i Tomasza (zwanego w Waddingu także Janem) de Ceperano. Kwestya ta była w literaturze dotychczas nierozstrzygniętą, a jest ona tem bardziej zajmującą, że Tomasz de Ceperano ma być także autorem słynnego hymnu: *dies irae, dies illa*. Otóż w Komorowskim[1] znajdujemy rozwiązanie, powiada on wprost *Thomas de Ceperano sive Zelano, qui legendam primam et secundam s. Francisci conscripsit*. Widzimy więc, że obaj owi autorowie, których w historyografii wymieniano, to jedna osobistość, a odkrycie tego zawdzięczyć mamy jedynie Komorowskiemu.

Za dalekoby nas zaprowadziło, gdybyśmy chcieli wszystko przytaczać, co Komorowski przynosi do literatury zakonnej, gdybyśmy chcieli rozbiorowi poddać tę połowę jego kroniki, w której on opiera się na licznych a nieznanych częstokroć źródłach; rozbiór jego kroniki niewątpliwie przyniósłby nie mały plon dla historyografii Minorytów. Nie będziemy się również dłużej zastanawiali nad stosunkiem Komorowskiego do źródeł polskich a szczególnie do Miechowity, dość powiedzieć, że znał go i używał w opowiadaniu pierwotnych dziejów Franciszkanów w Polsce a ciekawy czytelnik znajdzie w przedmowie i w obszernym dodatku[2] z całą ścisłością i bystrością krytyczną napisany wywód, poświęcony właśnie temu stosunkowi Miechowity do Komorowskiego.

Ta część kroniki, która opowiada dzieje zakonu Bernardynów (czyli właściwie Minorytów-obserwantów w przeciwieństwie do Mi-

[1] Str. Pag. 12. [2] Str. 407—418.

norytów-konwentualnych czyli Franciszkanów) od czasu wprowadzenia go w r. 1453 [1] do Polski jest dla nas o tyle więcej zajmującą, iż dotyczy już naszych stosunków, przechodzi chronologicznie cały szereg założonych w XV i XVI w. klasztorów bernardyńskich w Polsce i przedstawia nam wszelkie zmiany, jakie zachodziły w całym czasie w hierarchicznym stosunku zakonu w ogóle a polskiego odłamu w szczególności. Otóż kiedy w r. 1453 Jan Kapistran przybył na wezwanie króla Kazimierza do Polski, i założył pierwszy klasztor obserwantów w Krakowie [2], nie utworzono osobnej prowincyi polskiej, lecz przydzielono polskich Bernardynów do prowincyi austryackiej. Ale zakon przyjął się na gruncie polskim bardzo dobrze; klasztor powstawał za klasztorem, a w 14 lat od założenia pierwszego było ich już dwanaście. Poczęto starania około oderwania się od prowincyi austryackiej a utworzeniu nowej, polskiej, co rzeczywiście w r. 1467 przeprowadzono; podzielono mianowicie dotychczasową ogromną prowincyą na austryacką, czeską i polską, a pierwszym wikarym czyli prowincyałem polskim był Maryan z Jeziorka [3].

Że fakt ten i data jego podane są u Komorowskiego zupełnie zgodnie z rzeczywistym stanem rzeczy, tego dowodzi zapisek nie o wiele późniejszy, w każdym razie jednak, jak świadczy pismo, pochodzący jeszcze z XV w., w rękopisie biblioteki uniwersyteckiej lwowskiej [4]: *Anno domini Jesu Christi Nativitatis 1467 patres et fratres de observantia regule s. Francisci provincie Polonie per beatum Johannem patrem de Capistrano in predicta Polonia fundate magna cum devocionum et exemplorum et signorum luculencia divisionem fecerunt provinciam Polonie sequestrando a provinciis Moravie, Austrie, Slesye, Bohemie propter longam locorum et capitulorum distanciam. Nam ante predicte provincie fuerunt sub suo viccario. Primus viccarius post divisionem*

[1] Str. 171.

[2] Zwracam uwagę na rękopis bibl. Ossolińskich, obejmujący obszerny zbiór dokumentów do dziejów Bernardynów w Polsce, szczególnie do XVII i XVIII wieku. — Na str. 9 są: *Constitutiones seu Ordinationes beati Patris Fratris Joannis de Capistrano super Regulam Fratrum Minorum* 24/9 1453 z Alvernii. [3] Komor. p. 198. [4] Sygn. 1. H. 20.

fuit pater Marianus de Gyczyorko [1]. Zapisek ten w zupełnej jest zgodzie z Komorowskim. Ciekawy ten rękopis zawierający regułę zakonną Minorytów, posiada jeszcze inne, i to niewątpliwie współczesne zapiski, które nie od rzeczy będzie podać w dosłownem brzmieniu, tem bardziej, że one bądź potwierdzają, bądź uzupełniają wiadomości Komorowskiego. Otóż na str. 2 czytamy: *Anno Domini 1530 pro festo ascensionis domini capitulo in Wijlno celebrato facta est divisio provincie Lithwanie a provincia Polonie per Reverendum patrem fratrem Joannem de Comorovo protunc ministrum provincie Polonie. Et tunc primo fuit electus in ministrum Lithwanie Reverendus pater frater Gotardus polonus.* Najzupełniej zgodnie z tem przedstawia ów rozdział Komorowski [2]. Widocznie Polacy przewyższali Litwinów o wiele pod względem oświaty, kiedy Komorowski z pewną ironią i zadowoleniem zapisuje, iż Litwini, którzy tak bardzo domagali się rozdziału, do czego on właśnie choć z bolem serca musiał rękę przyłożyć, nie mogli znaleść pomiędzy sobą godnego prowincyała i zmuszeni byli wybrać Polaka brata Gotharda. Rozdział ten trwał tylko jednak 46 lat; za króla Stefana Batorego w r. 1576 połączono te prowincye znowu w jednę całość. W wspomnianym rękopisie znajdujemy na str. 2 co do tego taki zapisek: *Anno Domini 1576 pro festo s. Francisci Varschavie in congregatione Patrum precipuorum facta est unio Provincie Lithwanie cum Provincia Polonie per Reverendum Patrem Franciscum a Sędziszow Ministrum. Ex qua Congregatione missus est primus Custos Wilnensis Reverendus Pater Nicolaus a Busko Roxolanus cum 9 fratribus.* U Komorowskiego czy właściwie kontynuatora jego, który rzecz tę w całości równo przedstawia, nie mamy podanego dnia, a więc wspomniana zapiska rękopiśmienna jest dokładniejszą, oraz znajdujemy drobną odmianę, mianowicie Mikołaj z Buska jest tam kustoszem krakowskim [3]. Jak

[1] Str. 159.

[2] Str. 356. W cytowanym wyżej rękopisie Ossol. 1460 p. 1 powiedziano, że rozdział obu prowincyi litewskiej i polskiej, nastąpił na kapitule opatowskiej, za ministeryatu Rafała z Proszowic, co niewątpliwie jest mylne, nie można bowiem przypuszczać, aby Komorowski, który sam był przytem obecny to na 6 lat przed swoją śmiercią, mylił się co do szczegółów.

[3] Str. 395.

się dowiadujemy z ręk. bibl. Ossol. 1460 i przy tem powtórnem połączeniu nie pozostało zbyt długo; w lutym r. 1628 na kapitule warszawskiej nastąpił podział na cztery prowincye: M. Polski, W. Polski, Litwy i Rusi, ale już w r. 1630 na kapitule lubelskiej zmieniono ten podział, łącząc M. Polskę z W. Polską, tak że utworzono trzy prowincye, ale w siedm lat później (1637) na nowo utworzono cztery.

Jeżeli zwróciłem uwagę na te rękopisy, to z tego powodu, iż zapiski w nich pomieszczone potwierdzają wiadomości Komorowskiego i mogą posłużyć dla rozbioru krytycznego jego kroniki. Są w nich jednak i rzeczy, których Komorowski nie podaje. I tak na str. 138—144 ręk. bibl. uniw. lwow. 1. H. 20. *Incipiunt constitutiones generales apud Ferraram ordinate in loco sancti spiritus per patrem vicarium generalem ac difinitores A. D. 1509.* Wprawdzie Komorowski wspomina o tej kapitule, ale o powziętych na niej uchwałach nie podaje zupełnie niczego [1]. Na następnej stronicy rękopisu [2] mamy: *Ordinaciones capituli Lublinensis* (bez podania roku), traktujące o ubiorze, jedzeniu, piciu, o wspólnem życiu, śpiewach nabożnych i t. p., o czem znowu żadnej wzmianki u Komorowskiego.

W innym rękopisie tejże biblioteki uniwersyteckiej [3] czytamy na str. 103 ciekawe *Ordinaciones capituli Varthensis 1509,* dotyczące życia zakonników, o której kapitule Komorowski nawet nie wspomina, oraz *ordinaciones generales Calixti anno 1477,* o czem również nic nie mówi. Na str. 207 i n. mamy wreszcie przepisy i postanowienia różnych kapituł i z różnych czasów razem zredagowane w maju 1472 r. W końcu należy zwrócić uwagę i na rękopis Syg. 1. G. 3., który jest właściwie *Liber mortuorum* klasztoru lwowskich Bernardynów, lecz zawiera także krótką historyę założenia klasztoru we Lwowie r. 1460 popartą dokumentami, a uzupełniającą w niejednem wiadomości Komorowskiego [4], oraz podaje dokładny wykaz prowincyałów w chronologicznym porządku od Gabryela z Werony począwszy, w którym wykazie drobnych kilka różnic ze spisem Komorowskiego.

---

[1] Str. 305. [2] Str. 145—6. [3] Sygn. 1, G. 13. [4] Str. 191.

Ale kronika Komorowskiego jest ważną nietylko dla dziejów zakonu, ma ona także znaczenie i dla szerszych dziejów Rzpltej, i to tem większe, iż opowiada niektóre zdarzenia barwnie i szeroko, na które sam własnemi oczyma patrzał, jak n. p. nadzwyczaj ciekawy opis napadu Tatarów 1498, lub sprawa skarbów króla Aleksandra i t. p. W ogóle ta samodzielna część jego kroniki rozpada się na dwie części; w pierwszej opowiada wypadki z czasów, w które pamięcią nie sięgał (tj. od r. 1453), a opiera się na opowiadaniu rozlicznych starszych ludzi szczególnie zakonników; w drugiej mamy wypadki z jego czasów, w których sam bezpośredni brał udział. Jedna i druga część ma wybitnie charakter pamiętniczy, odmienny od ówczesnych kronik i stąd możnaby Komorowskiego może nie bez słuszności nazwać pierwszym polskim pamiętnikarzem.

Oprócz Komorowskiego kroniki, sięgającej, jak mówiłem wyżej, do r. 1535 posiadają rękopisy Czart. i Jag. razem pięć kontynuacyi; pierwszy rękopis ma ich dwie: 1) obejmująca r. 1536, 2) r. 1608; drugi rękopis ma trzy kontynuacye: 1) z lat 1536—1557, 2) 1557—1581, 3) 1592—1620. Kontynuacye te powstały w różnych czasach przez różne spisane osoby, zawierają poniekąd bardzo ważny materyał do dziejów zakonu w. XVI i pierwszych latach XVII w., a dla dziejów politycznych przynoszą również dość znaczną wiązankę wiadomości. (Dok nast.)

F. Bostel.

Wydawnictwa Akademii Umiejętności w Krakowie. Biblioteka pisarzów polskich. W Krakowie 1889.

Rozpatrzyliśmy się w pięciu tomikach tego wydawnictwa, które Akademia nie dawno rozpoczęła. Zasługa Akademii w tem wielka, że chroni od zatracenia, lub zapomnienia mało znane pisma z czasów Zygmuntowskich, będące dziś niekiedy białymi krokami dla bibliografa, a cennym materyałem dla historyka literatury. W obec powodzi dziennikarskiej i beletrystycznej, która jak wylew Nilu zamula często umysły, nie pozostawiając atoli po sobie tego błogosławieństwa urodzajności rolniczego plonu, co namuliska Nilu, w obec tej powodzi dziennikarskiej i pism lekkich, nie wszystkie z tych pism przez Akademię ogłaszanych trafią do ciekawości czytającego ogółu, nie wszystkie zatrzymają się w jego pamięci. Zasługa przeto nie mniejsza, pożytek nie gorszy, bo jużcić celem wydawnictwa nie może być w całem słowa znaczeniu popularyzowanie pisarzy starych, jeno jak się powiedziało: chronienie od zatracenia.

Z tego stanowiska rzecz sądząc, nie możemy w ocenie dzieł dotąd wydanych sprzeczać się o ich literacką wartość, wyszukiwać skrupulatnie wad i zalet, tylko chcemy zwrócić uwagę czytelnika na to co wyszło i podać o tem reporterską relacyę.

Naprzód nasunął się *Szymona Szymonowicza Castus Joseph, przekładania Stanisława Gosławskiego 1597. Wydał Roman Zawiliński.* Nazwisko profesora Zawilińskiego należy już do szeregu poważniejszych firm w zakresie literatury i lingwistyki polskiej. Ścisły, sumienny, rozważny, a energiczny w pracy, czego dowiódł w każdym swoim, choćby drobnym artykuliku, to też komentarze jego do przekładu Gosławskiego acz krótkie, pełne treści, zwięzłe, dokładne tak dalece, że nie brak w nich opisu, jak wygląda, jak oprawiony egzemplarz z którego rzecz przedrukowano. Czy tylko nie możnaby uwolnić tłomacza od zarzutu „dowolności", gdy „malus daemon" Szymonowicza, nazywa „starym frantem"? Biorąc miarę i z literatury i z podań ludowych, możnaby zgodzić się z Gosławskim, bo podobno nie tylko dla niego, ale dla całego społeczeństwa, był w XVI w. „malus daemon" tylko „frantem". Taki znawca literatury starożytnej jak Symonides, taki wzorów greckich wielbiciel i naśladowca, smakiem artystycznym, zrozumieniem ducha klasycznego górował z Kochanowskim i Sarbiewskim po nad innymi pisarzami owych czasów, ale że jego *Castus Joseph* prawdziwie dramatem nie jest, że Symonides dramaturg nie dopisał Symonidesowi sielankopisarzowi, to już wątpliwości ulegać nie może i Castus Joseph, nie przestaje być dziełem cennem, jako zabytek epoki Zygmuntowskiej, jako robota Symonidesowa, arcydziełem zaś nie był i nie jest, i z „Odprawą posłów" Kochanowskiego iść w parze nie może.

Z prawdziwą przyjemnością czyta się książeczkę o 22 stronnicach *Fortuny i cnoty różności, w historyi o niektórym młodzieńcu ukazana 1524.* Wydał Stanisław Ptaszycki. Młodzieniec pewien przybył do miasta, którego pan nazywał się „Szczęście". Była tam gospoda „Prawdy", ale w niej nie długo przebywał młodzian i mimo rad i przestróg swego gospodarza, dał się wnet wciągnąć w towarzystwo „Pychy", „Lubości", „Pochlebnika" i innych dworzan pana Szczęścia. Hulając z nimi w gospodzie, pokłócił się z „Przygodą", w skutek czego towarzysze Przygody „Żałość", „Szkoda", „Niezdrowie" i t. d. pobili młodzieńca. Dawni towarzysze z dworu pana „Szczęścia" opuścili go zupełnie i młodzian ginął w nędzy, aż go śmierć udusiła.

Rzecz pisana z humorem, archaizmy gubią się w potoczystem opowiadaniu, więc książeczka ta nietylko literatom się przyda, ale zapewne rozejdzie się szeroko. Przydałaby się bardzo, gdyby ją w jakiem popularnem, ludowem wydaniu rozpowszechniono.

Wydawca Stanisław Ptaszycki, wykazuje pochodzenie tej powieści z literatury czeskiej, dodaje sygnificata archaizmów. Zapewne przez nieuwagę korektora, wkradł się na pierwszej stronnicy w przedmowie błąd, którego tu pominąć nie można. Czytamy: „pozwalał sobie p e w n ą d o w o l n o ś ć", zamiast „pewnej dowolności". Błąd to rażący, a zwłaszcza w książce pod firmą Akademii Umiejętności wydanej.

Od powieści moralnej, zajrzyjmy do satyr z XVI w. W tym wieku po części, który jest chlubą i historyi i literatury naszej, bujnie zakwitła satyra, przecież jako reakcya przeciw nowatorstwu w obyczajach i pojęciach cywilizacyjnych, po części jako troska poetów analogiczna z zabiegami tych politycznych

pisarzy, co o „naprawie rzeczy pospolitej“ głos zabierali. Śród satyr, pojawiały się i paszkwile, lub złośliwe ataki na instytucye i ludzi. Gniewano się swojego czasu na Klonowicza i Grochowskiego, ale ogłoszone właśnie *Marcina Bielskiego Satyry, I Sen majowy, II. Rozmowa baranów, III. Sejm niewieści, wydał Dr. Władysław Wisłocki*, za życia autora nikogo nie pogniewały, bo ich pan Marcin nie ogłaszał wcale, a dopiero syn jego Joachim wydał je po śmierci ojca. Że „wszyscy własnych pożytków, gdzie mogą macają, A o Rzeczpospolitą mało prawie dbają“, (Rozmowa dwu baranów o jednej głowie w. 35 i 36), to nie nowina u pisarzy Zygmuntowskich, bo i Rej i Skarga i Kochanowski i inni to mówią z większym, lub mniejszym naciskiem, talentem, zapałem, ale podobno wszyscy z jednym skutkiem. Nie zawsze i nie wszędzie atoli odzywają się inni tak szczegółowo, a tak szczerze o tem, co im się niedobre widzi w nowym obyczaju. Satyry te wciskając się we wszystkie niemal formy życia XVI w. są też jego ciekawym, zajmującym obrazem i trudno się powstrzymać, by zacząwszy je czytać, nie doczytać do końca. Zajmujące też są bardzo dodane do nich ryciny, będące pierwszą może karykaturą w Polsce.

O wydaniu tych satyr nie ma co mówić, skoro się wie, iż wydawcą jest dr. Władysław Wisłocki. Pokłonić się oto czcigodnemu badaczowi i podziękować za pracę, która jak wszystkie jego, jest dla młodszych przykładem i wzorem metody i ścisłości.

Niepospolitych zasług badacz literatury i języka p. Jan Karłowicz, wydał *Wita Korczewskiego Rozmowy polskie łacińskim językiem przeplatane 1553.* W wierszach nie zbyt harmonijnie brzmiących, zawarte owe rozmowy, mające za przedmiot przeważnie spory religijne, które wytrysły z odszczepieństwa tak zwanych reformatorów Kościoła.

Zajrzyjmy wreszcie do piątego tomiku. Zawarte w nim: *Marcina Kwiatkowskiego Książeczki rozkoszne o poczciwem wychowaniu dziatek* i *Wszystkiej lieflanckiej ziemi opisanie*, wydał dr. Zygmunt Celichowski. Pedagog, po części geograf, po części lingwista, a nawet teolog, przetłumaczył Kwiatkowski owe „Książeczki rozkoszne“ z włoskiego autora Vergeriusza (Pietro Paolo Vergerio), do czego skłoniła go zapewne ta okoliczność, że przebywał w Królewcu na dworze księcia pruskiego w charakterze nauczyciela języka polskiego. Jako pedagog z urzędu, chciał pójść śladem słynnego pedagoga włoskiego Vergeriusza i dzieło jego wiernie przełożył, pozwoliwszy sobie tyle tylko odstępstwa od oryginału, ile było potrzeba na to, by dać od niechcenia szturchańca rzeczypospolitej Babińskiej, której widać był przeciwnikiem. Pisma Kwiatkowskiego o zakroju teologicznym, naraziły go i katolikom i protestantom. Katolickie nie były, bo autor jawnym był wyznawcą protestantyzmu, współwyznawców raziły, bo nie były zupełnie po ich myśli. Natomiast geografią Inflant zasłużył się współczesnym, bo pierwsza to geograficzna o tym kraju praca.

Wszystkich tych dzieł pierwotne druki, są taką bibliograficzną rzadkością, iż w jednym, lub w dwu egzemplarzach istnieją, a więc groziła im zupełna zatrata. Akademia je ocaliła.

Czesław Pieniążek.

Listy Narcyzy Żmichowskiej do rodziny i przyjaciół opatrzone wstępem. Wydanie wznowione. Kraków. Nakład G. Gebethnera i Spółki. 1889 r.

Z ogłoszonych u nas w Polsce listów po śmierci autorów lub znakomitych ludzi, niniejszy zbiór jest bodaj czy nie największy co do ilości. Zajmuje on bowiem dwa spore tomy, z których jeden dochodzi 400, drugi 600 stronnic druku, a obejmuje 46 letni okres życia autorki, bo od 19 roku jej życia aż do jej śmierci. To skrzętne zebranie pamiątek pozostałych po utalentowanej autorce, to hołd złożony przez licznych wielbicieli jej talentu i jasny dowód głębokiego pietyzmu, jakim otoczona jej pamięć po śmierci.

Gdyby Żmichowska wiedziała, co się stanie z jej listami po śmierci, kto wie, czyby nie ograniczyła lub nie zaniechała zupełnie swej korespondencyi. Jakie bowiem zdanie miała ona w tej mierze, widać to z listu do Seweryna M., w którym opisuje ona rozmowę w jakiej brała udział w kole swych znajomych. Chodziło o wydanie listów Mickiewicza czy Słowackiego, i mówiono, że ktoś rozesłał okólnik do wszystkich znajomych, krewnych przyjaciół i kolegów zmarłego, prosząc o nadesłanie wszystkich jego listów. „Naturalnie, pi„sze Żmichowska, oburzyłam się takiem nadużyciem, nie wiem; czy w chara„kterze prawnika zgodzicie się ze mną, ale ja to postępowanie uzurpacyą cu„dzej własności nazwałam. Co autor drukuje lub do druku przeznacza, to się „bez zaprzeczenia publiczności należy, lecz co jak człowiek dla siebie i dla „swoich najbliższych zachowuje, do tego nikt nie ma prawa. Potrzeba stu„dyów psychologicznych nie usprawiedliwia tak niedyskretnej ciekawości, jak „potrzeba fizyologicznych badań nie usprawiedliwiałaby medyka, coby żywych „ludzi zdrowe ciało, dla śledzenia włókienek nerwowych krajał — śledźcie so„bie na trupach i na chorych, studyujcie na tem, co wam ludzie w społecznym „podatku sami złożą, co wy od nich własnemi spostrzeżeniami sami wybierze„cie — ale od prywatnego listu, od prywatnego życia, od moich najmojejszych „wrażeń, bied, kłopotów, szczęść lub błędów — wara — to moje".

W dziesiątek lat później, odwołała autorka swój sąd w jednej z ostatnich rozmów przed swoją śmiercią. Zakończyła bowiem rozmowę o wydawaniu listów znakomitych ludzi po ich śmierci temi słowy: „Listy są jak stare wino, czem starsze tem cenniejsze".

Który z tych sądów zdrowszy, rozumniejszy i prawdziwszy, nie miejsce o tem rozprawiać. Któż nie wie, jak nieocenione usługi oddaje pozostała korespondencya w pisaniu życiorysów, czem są te poufne zwierzenia, te odkrycia tajników duszy, motywów działania, kiedy chodzi o skreślenie charakteru człowieka, rozwoju jego umysłu, procesu psychologicznego, który się w nim odbywał zanim go zakończyły znakomite płody pióra, lub dzieła wiekopomne.

Motywem w ogłaszaniu podobnych korespondencyj to interes publiczny, lub oddanie czci zmarłej wielkości a decydującym czynnikiem to zawartość listów, wybór i bogactwo materyału, jaki w spadku odbieramy. Byle osobistość była wybitna i zasłużona w społeczeństwie a listy jej godne ogłoszenia, to wystarcza — nieboszczyków o pozwolenie któż pyta? To też chociaż nie spodziewała się Żmichowska, że jej „najmojejsze wrażenia, biedy, kłopoty, szczęścia lub błędy" wyjdą kiedyś na jaw — krzywda jej się nie dzieje.

Że Żmichowska była kobietą niezwykle utalentowaną, i wywierała niemały wpływ w swoim czasie na otaczających, zaprzeczyć się nie da. Oceniać płody jej pióra, mierzyć doniosłość jej wpływu nie myślimy, konstatujemy tylko jej wybitne stanowisko w społeczeństwie, które po części uprawnia do wydania jej korespondencyj.

A teraz jakiejże treści i wartości są same listy? Jest to korespondencya do brata, kilku krewnych, a największa część do przyjaciółek lub wychowanek autorki. Przebija się więc z nich serdeczny stosunek do całej rodziny, macierzyńskie niemal przywiązanie do dawnych pupilek. Nie raz maluje w nich autorka swoje usposobienie, odkrywa stan swój duszy, spowiada się z swoich uczuć, wrażeń, postępów lub zwątpień duchowych. W kilku miejscach opisując wypadki bieżące, objawia znów swe przekonania patryotyczno-polityczne, w innych głosi zasady pedagogii długim zdobyte doświadczeniem. Znajdzie się tam nie jedna zgrabnie uchwycona sylwetka osób wybitniejszych, nie jedna ocena trafna rządów, czasów lub dzieł przeczytanych, większą atoli część zajmują wypadeczki drobne, sprawy osobiste obchodzące samą autorkę i bliskich jej sercu. Są tam zdrowe myśli i zdania, ale nie brak i mętów, spaczonych pojęć religijnych, mylnych zasad pedagogii, etc. Wszystkie zaś te listy pisane stylem potoczystym, doborowym językiem, a zaprawne nieraz humorem lub nawet sarkazmem.

Dla biografa więc, który zechce po p Chmielowskim dać obszerniejszy obraz życia i działalności literackiej autorki, w listach tych materyał bogaty do zbadania umysłu, serca i rozwoju duchowego tej bądź co bądź genialnej kobiety i autorki. Dla wszystkich co ją znali i cenili za życia, to miła i droga pamiątka — ale dla ogółu zdaje się nam, że wystarczyłby wybór ciekawszych tylko listów, trzecia lub czwarta część całej publikacyi, a z pewnością byłyby i poczytniejsze i przystępniejsze dla przeciętnych czytelników.

A teraz słówko o wstępie, ten bowiem poprzedza listy, a zajmuje 167 stronnic druku. Jest on skreślony widocznie przez jakiegoś zapamiętałego wielbiciela, albo raczej fanatyczną wielbicielkę autorki. Pisany on jest jak to mówią „rozbujałem piórem“, z ogromnym patosem, z szumem i brzękiem górnolotnych słów, apokaliptycznych obrazów, złowrogo lub cudownie dźwięcznych frazesów. Jest tam mowa o ustroju duchowym indywidualności, jak „w duchu „jednych dziejowe dziedzictwo, duch narodowy odbija się jak posąg ze wszy„stkimi wymiarami przestrzeni, w drugich uwidomia na płaszczyźnie z całym „urokiem kolorytu, w innych zobaczysz ogólny jego kontur w charakterysty„cznych zarysach lub wreszcie sylwetkę tylko; w każdym jednak pomimo „różnicy formy objawienia, różnicy ekspresyi i siły jej natężenia, duch ten żyje „jakoby zaklęty w dzieło sztuki i wyrób życiowy narodu i jego ideały“. Jest tam obraz „rozklęczonej Gabryeli wyżej nad innych i bliżej wieszczów“ — dalej poetyczna na pozór a w gruncie bałamutna i pełna fałszu paralela między rozwojem architektury i poezyi. Potem następuje charakterystyka kobiety dziejowej a raczej dytyramb na cześć kobiety polskiej, w której autorka jak sama powiada, „chwyta niewprawną ręką pierwsze akordy dziejowej symfonii“. Ale to tylko skromność autorska! Któż bowiem kiedy tak rozróżnił pojęcie świętości u nas i u Germanów, lub odgadł „jak religia u tych ludów w dwa górujące rozdziela się pojęcia“. Kto i kiedy zgłębił to i wypowiedział, „że my chwytamy przeważnie osobistość Boga, ludy z instynktem gromadnym

„rozpłynną Jego wszechobecność, że dla nas religia streszcza się w słowach: „bez ciebie i Bóg ciebie zbawić nie zdoła — dla nich: żyjemy i oddychamy „w Bogu“. Jest tam dalej o jakiejś niewoli Kościoła Rzymskiego, „w którejśmy nigdy sercem i myślą nie byli“, jest i o niezgodzie wiedzy z wiarą, jest tam... Ale na cóż to wyliczać, bo i czegóż tam nie ma? Wszystko tam jest, a wszystko wysoko lub przepaściście pojęte, poetycznie przeprowadzone, szumnie wypowiedziane, brak tylko jednego — brak zrozumienia rzeczy i siebie, co zdanie to nonsens, co wiersz, to niedorzeczność przybrana błyskotliwą szatą poetyczności.

Z. B.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Prasa prawosławno-rosyjska na ziemi polskiej.

Dalszym ciągiem walki eksterminacyjnej, rozpoczętej przeciwko narodowi polskiemu po roku 1863, jest propaganda prawosławia wszelkimi sposobami, jakich tylko dostarczyć może rząd wszechwładny, bezwzględny w swem postępowaniu i wyborze środków. W tej nowej fazie systemu rusyfikacyjnego nie chodzi bynajmniej o zarządzenia prewencyjne w obec jakiejś przypuszczalnej akcyi politycznej, nie o złamanie lub przynajmniej osłabienie żywotności narodu polskiego, lecz o spaczenie dotychczasowego kierunku jego rozwoju duchowego, tak silnie zespolonego z katolicyzmem i cywilizacyą zachodu; o zatarcie tych cech i właściwości naszego społeczeństwa, które stanowią siłę najbardziej odporną w walce z wrogim sobie systemem na polu narodowem i kościelnem; jednem słowem o zatrucie, znicestwienie ducha narodu, bez względu na to, jaki posiew zejdzie, jaki chwast wyrośnie na gruncie tak przygotowanym. Ku temu celowi prowadzić mają szkoły t. zw. cerkiewno-parafialne, rozmaite instytucye dobroczynne i stowarzyszenia prawosławne, powstające na ziemi polskiej od lat kilkunastu, jak grzyby po deszczu; dalej rozmaite wydawnictwa rzekomo naukowe i polityczne, budowanie cerkwi i tworzenie bractw, a w końcu budzenie życia religijnego i umysłowego wśród duchowieństwa wyznania panującego przez wydawanie czasopism dyecezalnych przy subsy-

dyach rządowych, a pod protektoratem dostojników duchownych i św. Synodu.

Nie spuszczając z oka wszelkich innych rodzajów broni, kutej na zagładę tego wszystkiego, co dla nas najdroższe; co nam dotąd pozostało najlepiej zachowane ze spuścizny przodków naszych; — chcemy przedewszystkiem na tem miejscu rozpatrzeć się w broni kościelno-religijnej, do czego w pierwszym rzędzie poczuwać się musi *Przegląd Powszechny*. Zamierzamy zatem dawać od czasu do czasu sprawozdania o prasie prawosławno-rosyjskiej w granicach dawnej Polski, odsłaniającej nam wszystkie zamysły, usiłowania, a nawet sukcesa hierarchii prawosławnej, licznej, dziś dobrze uposażonej, mającej na ziemi naszej, przy obecnym systemie reakcyjnym i usposobieniu sfer decydujących, wiele wpływu, a odznaczającej się względem nas podwójną nienawiścią: i narodowo-polityczną i religijną.

Przy innych warunkach i położeniu ziem polskich pod berłem rosyjskiem, przy jakiej takiej swobodzie i możności obrony, nie obawialibyśmy się ani misyonarskich zapędów ze strony duchowieństwa prawosławnego, ani wpływu jego organów. Ale przy znacznem, prawie całkowitem ograniczeniu swobody duchowieństwa katolickiego w wykonywaniu nawet ściśle kościelnych obowiązków, przy niemożności prowadzenia najniewinniejszej polemiki z organami rządowymi i kościelnymi — nawet mało wykształcone i niezbyt gorliwe duchowieństwo Kościoła panującego, nawet liche organa dyecezalne mogą jeszcze wiele złego wyrządzić.

O ile nam wiadomo, istnieją dotąd trzy czasopisma cerkiewno-prawosławne na ziemi polskiej: *Warszawsko-Chołmskij Eparchialnyj Wiestnik*, *Litowskija Eparchialnyja Wiedomosti* i *Wołynskija Eparchialnyja Wiedomosti*. Każda zatem z części dawnej Polski (polska, litewska i ruska) posiada po jednym organie. O każdym z nich pomówimy z osobna i postaramy się z niego wydobyć to wszystko, co tylko interesować może i powinno czytelników naszych.

Przegląd nasz zaczniemy od *Warsz.-Chołm. Eparch. Wiestnika*, wychodzącego pod redakcyą protojereja J. Korzeniewskiego, a liczącego trzynasty rok istnienia. W dwóch numerach (3 i 4) z roku bieżącego znajdujemy życiorys Józefa Wójcickiego,

znanego intruza — administratora nieszczęsnej dyecezyi chełmskiej w latach 1866–1868, to jest od wywiezienia ks. Jana Kalińskiego do powołania na godność biskupią ks. Michała Kuziemskiego z Galicyi. W całkowitem osamotnieniu i zapomnieniu zakończył d. 25 stycznia 1889 r. swój żywot były administator ostatniej w państwie carów dyecezyi unickiej. Odegrał on najczynniejszą rolę w dziele grzebania unii, za co najsłuszniej mu się należał panegiryk w organie prawosławnej dyecezyi chełmskiej, pochodzący z pod pióra popa Aleksandra Budilowicza, zapewne jednego z wychodźców-apostatów galicyjskich, których rząd rosyjski tak pochopnie tam powoływał, idąc właśnie za radą J. Wójcickiego.

Nie tutaj miejsce zastanawiać się nad działalnością zmarłego w dziele prawosławnienia unitów chełmskich i podlaskich bądź to na stanowisku profesora „nauk teologicznych“ w seminaryum duchownem chełmskiem przez lat 26, a przez czas pewien i kierownika szkoły dyaków, bądź w ciągu dwuletniego zarządu osieroconą dyecezyą. W życiorysie tym autor nie podaje nic takiego, coby nie było znane czytelnikom polskim z gruntownej pracy biskupa E. Likowskiego („Dzieje kościoła unickiego“. Poznań. 1880 r.). W jednem tylko poważna ta praca dałaby się uzupełnić. Ks. biskup Likowski powiada, iż akcya jawna na rzecz prawosławia rozpoczęła się w ostatnich czasach rządów J. Kalińskiego denuncyacyami Wójcickiego na biskupa i na swych kolegów w konsystorzu. Za początek jej można jednak uważać przybycie deputacyi chełmskiej z adresem do w. ks. Konstantego w dniu 2 maja (20 kwietnia s. v.) 1863 roku, na czele której stał właśnie ks. J. Wójcicki. Adres ten — nieznany ks. E. Likowskiemu — jest ważnym przyczynkiem do dziejów upadku unii w Kongresówce i stanowi jakby program jej stopniowej zagłady, wykonywany następnie systematycznie w ciągu dwuletniej administracyi J. Wójcickiego, przy poparciu kniazia Czerkaskiego. W ciekawym tym ze wszech miar dokumencie, składającym się z 14 artykułów, doradzano rządowi, aby sprowadzał do dyecezyi chełmskiej księży galicyjskich, a seminarzystów wysyłał na naukę nie do warszawskiej rzymsko-katolickiej akademii duchownej, lecz do seminaryum grecko-katolickiego we Lwowie. To też zupełnie słuszną ze swego stanowiska robi uwagę autor życiorysu, że „gdyby nieboszczyk nic innego nie zrobił dla Rusi Chełm-

skiej, jak tylko uczestniczył w ułożeniu i podpisaniu tego adresu, to już tem samem imię J. Wójcickiego byłoby wdzięcznie wspominane w dziejach jej odrodzenia".

Autor życiorysu, podnosząc niezmiernie wysoko działalność J. Wójcickiego na polu kościelnem, o jego niesympatycznym charakterze wyraża się temi słowy: „Porywy serca były u niego suche, lubił samotność, towarzystwa zawsze unikał", a pomija milczeniem, że tenże wszystko, co tylko robił, robił z interesu, dla dostojeństw i pieniędzy, czego najwymowniejszym dowodem była pensya dożywotnia w kwocie 3000 rubli; że urodzony w religii rzymsko-katolickiej z rodziców stanu mieszczańskiego, dopiero po wypędzeniu z seminaryum duchownego lubelskiego przeszedł na obrządek unicki; że na swego biskupa, ks. Jana Kalińskiego, nieustannie denuncyował rządowi lub specyalnie kn. Czerkaskiemu, którego szczególniejszem zaufaniem mógł się pochlubić; że nikczemnemi były drogi, jakiemi w ciągu swych dwuletnich rządów administratorskich starał się złamać opór duchowieństwa wiernego unii i dyecezyan.

Zważywszy to wszystko, nie możemy przywiązywać znaczenia do takich drobnych okoliczności, jak następujące: że już po przyjęciu prawosławia, d. 23 maja 1875 roku, zachowywał zewnętrzne oznaki księdza unickiego: strzygł włosy, golił brodę, chodził w czamarze, przez co stanowił, rzec można, unikat wśród prawosławnego duchowieństwa Chełmu; że do końca życia językiem potocznym był dlań język polski; że niekiedy „diejatelom" rosyjskim mawiał prawdę w oczy, a zwolennikiem środków, używanych przez nich w r. 1875, podobno nie był. Mniemał bowiem, że unii mordować nie ma potrzeby — powinna niknąć i zamierać powoli.

Z okazyi 50-letniego jubileuszu upadku unii przedrukowano w numerze 10. *Warszaw.-Chołm. Epar. Wiestnika* dwa dokumenta historyczne: „Akt soborny o przyłączeniu unitów z r. 1839" i „Słowo" niedawno zmarłego metropolity litewskiego, Józefa Siemaszki, wygłoszone d. 25 marca 1864 r. w Wilnie, z okazyi 25-letniego jubileuszu zniszczenia unii. Pogląd historyczny apostaty litewskiego stanowi swego rodzaju *curiosum:* W. Ks. Litewskie było p r a w i e zupełnie rosyjskiem i prawosławnem, a tylko małżeństwo Jagielły, „odstępcy od prawosławia", z królewną polską

Jadwigą wszystko popsuło i wszystkiemu złemu dało początek. Ani wzmianki o pogaństwie Litwy, apostolstwie pokojowem i cywilizacyjnem Polski na jej wschodnich obszarach; ani słowa chociażby tylko o doniosłości obronnej unii obu narodów przeciwko naporowi świata germańskiego, stwierdzonej na polach Grünwaldu i Tannenbergu. Co mamy sądzić o elukubracyach metropolity litewskiego na temat historyczny, jeżeli o wypadkach z r. 1839, w obec żyjących jeszcze świadków i ofiar rządowego apostołowania, mógł sam wykonawca i narzędzie systemu cara Mikołaja twierdzić uroczyście, iż ówczesne połączenie unitów z kościołem prawosławnym odbyło się „spokojnie, cicho, z rzadką zgodnością i pasterzy i owczarni". — Tak kłamano z okazyi 25-letniego jubileuszu. Z równym cynizmem, aczkolwiek wymowniej i obrazowiej, kłamią w 50-tą rocznicę upadku unii, święconą w roku bieżącym. Oto arcybiskup chełmsko-warszawski, Leoncyusz, w swej odezwie do dyecezyan, niedawno połączonych z kościołem prawosławnym, powiada (Nr. 12): „Przodkowie wasi wyznawali wiarę prawosławną i tak byli do niej przywiązani, że znosili wszelkiego rodzaju ucisk, poniżenie, nawet męki od tych, którzy zmuszali ich do unii. Różnymi niegodziwymi środkami: kłamstwem i gwałtem starano się ją rozszerzać, a pomimo tego szerzyła się z trudnością i powoli, dlatego, że naród przywiązany do swego kościoła, stał mocno przy wierze ojców i opierał się unii". A nieco dalej usiłuje wmówić, iż „godnym pamięci dla was, o bracia, powinien być rok 1875, rok waszego powrotu na łono bolejącej nad wami matki-cerkwi prawosławnej". Kończy zaś charakterystyczną argumentacyą: „Porzućcie upór wasz w zgubnem odosobnieniu od wiary powszechnej, apostolskiej, chrześcijańskiej; porzućcie waszą lekkomyślną chwiejność i wątpliwości! One pochodzą od wrogów narodowości „ruskiej", przekonanych najzupełniej o tem, że wiara prawosławna uczyni was Rosyanami. Ażali wam nie jest przyjemnie wyznawać tę samą wiarę, jakiej się trzyma ojciec wspólny, car wasz?..."

W tymże duchu, tylko znacznie rozwlekłej, przemawiał d. 23 czerwca 1889 roku w warszaw. prawosławnej katedrze protojerej J. Korzeniewski. Aby nie powtarzać stereotypowych frazesów o gwałtach i krzywdach, wyrządzanych przez świeckich i duchownych Polaków przy nawracaniu prawosławnych Rusinów na unią, pomijam

rozwlekłe tyrady katedralnego kaznodziei, a przytoczę tylko jeden wydatniejszy ustęp: „Jezuici starali się utrzymać duchowieństwo unickie w grubej ciemnocie, aby nie miało wyobrażenia o przeszłości powszechnego kościoła, o jego dogmatach, soborach, przyczynach rozdziału obu kościołów, a stało się tylko powolnem narzędziem w ich rękach. W tymże czasie Jezuici dążyli do tego, żeby polscy lub spolszczeni panowie prezentowali biskupom do wyświęcania na posady duchowne po wsiach i miastach swych nawpół piśmiennych lokajów, kucharzy, stajennych, którzy w skutek wstrętnego sposobu życia i ciemnoty stawali się sromem dla duchowieństwa unickiego, a tem samem odstręczali naród od swego obrządku, a popychali go ku łacinizmowi“. Zanotować również należy, iż kaznodzieja, mówiąc o wcieleniu wszystkich ziem ruskich do państwa rosyjskiego za Katarzyny II, dodał z naciskiem: „Oprócz Galicyi“.

Obchód 50-ej rocznicy nawrócenia unitów na prawosławie spowodował ukazanie się kilku dzieł i broszur, odnoszących się do historyi unii, które wymienimy na tem miejscu, pozostawiając na czas późniejszy dokładniejsze w nich rozpatrzenie się. W roku bieżącym ukazały się w druku: „Krótki rys historyczny połączenia unitów z prawosławiem na Litwie i w Polsce“ K. A. Liszina. Petersburg. 1889 r.; „Cerkiewno-unickie sobory od końca w. XVI“, przez Jana Strelbickiego. Wilno. 1889; tegoż autora: „Archimandryta Włodzimierz Terlecki“. Wilno. 1889 r.; „Pięćdziesięciolecie połączenia unitów białoruskich“. Wilno. 1889.

Z dziejów propagandy prawosławia pomiędzy wołyńskimi Czechami zasługuje na uwagę fakt następujący (Nr. 2). Gdy z liczby 96 Czechów-katolików ze wsi Ulbarowa (powiat Równo), którzy oświadczyli gotowość przejścia na prawosławie, 65 zgłosiło się do urzędu parafialnego rzymsko-katolickiego w Równie z prośbą o przyjęcie ich napowrót do jedności Kościoła powszechnego, wówczas ogarnął niepokój sfery rządowe i schyzmatyckie, a skutkiem tego propagandę wznowiono z całą usilnością. Aby mieć wyobrażenie, w jaki to sposób uspokajano skrupuły sumienia tych marnotrawnych synów Kościoła, przytaczam argumentacyą kaznodziei J. O. Sasko, wygłoszoną w języku czeskim w tejże wsi d. 31 październ. roku minionego: „Czyż nie lepiej żyje się tutaj na świętej Rusi,

jak w Austro-Węgrzech, gdzie uginaliście się pod ciężarami podatkowymi? Rząd rosyjski niczego więcej od nas nie żąda, jak tylko tego, abyście się nie łączyli z jego wrogami. Wszak nie przyszliście do Polaków, Niemców albo Żydów, lecz do swoich, do „ruskich“, panów swej ziemi rodzinnej, a my — przybysze, goście. Oni mniemali, iż znajdą w nas przyjaciół, braci, a my tylko przysporzamy im kłopotów. Mniejszość winna zawsze stosować się do większości i jej ulegać; takiem jest prawo przyrody, a więc i my, Czesi, mamy obowiązek poddania się wszelkim dążeniom i pragnieniom Rosyan, ponieważ oni tylko dobrze nam życzą i są naszymi przyjaciółmi. Czyście już zapomnieli, jak Polacy was oszukali przy nabyciu ziemi we wsi Ulbarowie w r. 1869, gdy zamiast 800 morgów, otrzymaliście tylko 460? Przynajmniej nie zapominajcie, co powie na to potomność, że w pamiętną rocznicę chrztu Rusi, gdy większość Czechów wołyńskich przyjmowała prawosławie, a wójt wasz, Wacław Jonasz, dawał wam dobry przykład, czyniąc to pierwszy, w tymże czasie 65 Czechów wsi Ulbarowa w błąd popadło i wnieśli podanie do rzymsko-katolickiej parafii w Równie, aby ich zaliczono w poczet parafian, a tem samem oddali się Polakom, przynosząc wstyd i hańbę imieniowi czeskiemu. Czyż po to Czesi na Ruś przybyli, aby powiększyć żywioł polski? żeby zamiast jednego właściciela-Polaka, 100 Czechów stało się Polakami przez zakupno ziemi u niego, a z czasem całkowicie się spolszczyli i zaliczyli się w poczet wrogów Rosyi?“ Nie wiemy, jakich jeszcze używano argumentów, aby zachwianych utrzymać przy schyźmie, dosyć, że w dwa dni potem Czesi ulbarowscy błąd swój na piśmie wyznali, a przekonawszy się „o wyższości kościoła prawosławnego nad katolickim“, cofnęli deklaracyą przesłaną księdzu równieńskiemu, a zgodzili się przejść na prawosławie. Jakby w nagrodę za to, wkrótce potem założono w tejże wsi szkołę, gdzie nietylko uczą w tej szkole języka rosyjskiego, ale i wszystkie przedmioty wykładają po rosyjsku. Zmiana wiary przyniosła zatem wychodźcom czeskim w rezultacie — zupełne wynarodowienie.

W numerze 8-mym umieszczono wiadomość o działalności bractw cerkiewno-prawosławnych w r. 1888 w 2-im okręgu tomaszowskim (gub. lubelska), założonych w celu szerzenia prawosławia

i szpiegowania byłych unitów. W okręgu tym było 32 bractw, liczących razem 1913 członków, obowiązanych wnosić rocznie po 30 kopiejek od osoby. Tendencya ich widoczna z następującego ustępu sprawozdania: „W osadach Łaszczowie i Tyszowcach i w innych miejscowościach o ludności mieszanej członkowie bractw występowali, jako obrońcy prawosławia w obec masy katolików i ich propagandy. Oni pod kierunkiem swych przewodniczących usiłowali wszelkimi możebnymi sposobami powstrzymywać chwiejnych w wierze od uczęszczania do kościołów katolickich, a swym własnym przykładem zachęcać do stania przy wierze prawosławnej, pomimo efektownych ceremonij katolickich“. Otwieranie cerkwi nowych i uroczysta ich konsekracya, są również jednym ze sposobów propagowania prawosławia przez ściąganie ludności nietylko ex-unickiej, ale i rzymsko-katolickiej. W końcu roku zeszłego odbyło się poświęcenie trzech nowych cerkwi w dyecezyi chełmskiej: w miasteczku Brzezinach, we wsiach Rogowie i Żmudzi. Przy uroczystości w Rogowie było około 300 ludzi, a „w tej liczbie i katolicy“ (Nr. 6). Najlepszym dowodem przymusu, wywieranego na ludność przy tak zwanych „nawracaniach“ na prawosławie, mogą służyć następujące cyfry: w samym tylko dekanacie biłgorajskim przyjęło prawosławie w roku minionym 18 osób wyznania rzym.-katolickiego, a 50 unitów. Oprócz tego ponawiano w cerkwiach liczne śluby i chrzty, dokonane poprzednio w kościołach (Nr. 4).

Na gorliwych apostołów prawosławia sypią się nieustannie łaski, awanse, dodatki osobiste, „najwyższe uznania“ lub przynajmniej błogosławieństwa św. Synodu i archijereja warszaw.-chełmskiego Leoncyusza. Naczelnik komory celnej w Granicy, radca stanu Jakowlew, otrzymał najwyższe podziękowanie za wybudowanie tamże przy cerkwi, stojącej jakby „strażnica prawosławia na granicy austryackiej“, murowanej dzwonnicy, na której zegar w godzinie ocalenia cara w katastrofie pod Borkami będzie wygrywał hymn ludowy: „Boże caria chrani“. Za najwyższem uznaniem poszło podwyższenie rangi na „rzeczywistego tajnego radcę“, a wszystko to stało się w skutek przedstawienia nadprokuratora św. Synodu, Pobiedonoscewa. Oczywiście, że podobne zachęty wskazują drogi, na jakich urzędnicy różnych gałęzi służby publicznej w Królestwie mają szukać uznania władz wyższych. Sędziemu gminnemu

w powiecie konstantynowskim gubernii siedleckiej, Aleksandrowi Ebergowi, za „wywieranie wpływu dobroczynnego“ na tych, którzy uporczywie trzymali się z daleka od cerkwi prawosławnych, przyznano błogosławieństwo św. Synodu. Temu ani nazwisko niemieckie, ani wiara luterska nie przeszkadzały bynajmniej w apostołce na rzecz kościoła panującego, dzięki której było około 200 chrztów i kilkadziesiąt ślubów z pośród ludności unickiej w cerkwiach prawosławnych. Tylko wątpić można, czy praktycznego Niemca mogła w zupełności zadowolnić taka idealna nagroda, jak błogosławieństwo św. Synodu.

Że czasopismo tej barwy, co *War.-Chełm. Epar. Wiestnik*, nie jest za ugodą z Rzymem, łatwo da się wytłumaczyć, znając stanowisko Kościoła prawosławnego w Rosyi i tradycyjny sposób tworzenia prozelitów przy pomocy represyj rządowych. Trudniej jednak i pojąć i usprawiedliwić, nawet u duchowieństwa rosyjskiego, ten brak uczuć humanitarnych w stosunku do jednostek, co szczerze i otwarcie stały w obronie swych przekonań, a piersiami własnemi osłaniały u progu Kościoła zagrożoną zewsząd owczarnię. Na wieść o bliskiej ugodzie rządu rosyjskiego z kuryą rzymską, której na przeszkodzie ma stać tylko osoba wygnanego biskupa wileńskiego, odzywa się organ warszawsko-chełmskiej dyecezyi w te słowa: „Podług mniemania Watykanu, biskup wileński, organizując spisek przeciwko Rosyi, działał tylko jako katolik!! Oto nowy dowód tej powszechnie znanej, ale częstokroć zapominanej prawdy, że katolicyzm jest wrogiem nie tylko prawosławia, ale i rządu rosyjskiego i że w Rosyi jest identycznym ze sprawą polską. Jeżeli przy takim stanie rzeczy Rosya ustąpi Papieżowi, to krok ten będzie urzędową zachętą dla szalonych mrzonek“.

W czasie, gdy tak spotęgowana prowadzi się propaganda i piórem, i słowem, i wszelkimi wpływami rządowymi przeciwko naszemu Kościołowi, nie wolno biednej ludności katolickiej objawiać nawet czci i przywiązania do swych przewodników duchownych. Wizytującemu swą dyecezyą biskupowi żmudzkiemu, ks. Pallulonowi, urządzała ludność owacye po wszystkich wsiach i miasteczkach. Ale jak niegdyś generał-gubernator Kochanow pozazdrościł biskupowi wileńskiemu karety, tak teraz kłóły go w oczy flagi, chorągiewki i łuki tryumfalne, stawiane biskupowi żmudzkiemu. Wyrazem

tego niezadowolenia było rozporządzenie z d. 27 sierpnia 1889 r., ogłoszone w *Wileńskich Gubernialnych Wiadomościach*, a powtórzone w 187-ym numerze *Wileń. Wiestnika*, chociaż wyraźnie nie wymieniono powodu, co je wywołał. „W granicach gubernii wileńskiej, kowieńskiej i grodzieńskiej — czytamy tam — nikt i przy żadnej okazyi nie ma prawa bez wyraźnego każdorazowego pozwolenia władzy policyjnej, urządzania iluminacyj, łuków i bram tryumfalnych, ozdabiania domów flagami i w ogóle aranżowania jakichkolwiekbądź uroczystości i owacyj poza obrębem własnego mieszkania". Pomimo tych wszystkich szykan, zmierzających do zatarcia katolickich cech tej części ziemi naszej, faktyczny stan rzeczy pozostanie niezmiennym a stłumiony objaw gorętszych uczuć na zewnątrz, tem silniejszym będzie w głębi dusz i serc wiernej ludności. Jakimi zaś są w tym kraju stosunki wyznaniowe, mamy urzędowe świadectwo w „Krótkim opisie guberni kowieńskiej", wydanym przez tameczny „Komitet statystyczny". Ludność guberni wynosiła w r. 1887-ym: 1,538.917 dusz. Wyznanie mieszkańców przedstawia się w następujących procentach: prawosławnych $4{,}_{17}\%$, jedynowierców $0{,}_{06}\%$, razkolników $1{,}_{87}\%$, luteranów $2{,}_{5}\%$, Żydów $19{,}_{5}\%$, katolików $71{,}_{9}\%$. Z umysłu zachowałem tensam porządek, w jakim urzędowe sprawozdanie zestawia daty statystyczne, spychając katolików i Polaków na ostatnie miejsce. Stosunki narodowościowe wyrażają się w następnych cyfrach: Litwinów $26{,}_{6}\%$, Żmudzinów $40{,}_{2}\%$, Łotyszów $2{,}_{8}\%$, Żydów $19{,}_{5}\%$, Rosyan $6{,}_{1}\%$, Niemców $2{,}_{5}\%$ i nareszcie Polaków $2{,}_{3}\%$. A teraz przypatrzmy się, w jaki sposób i w jakiej mierze znajdują różne wyznania zaspokojenie swych potrzeb religijnych. Świątyń i domów modlitwy było w tymże roku 1887-ym: cerkwi prawosławnych 46, monasterów 2, kaplic 3; cerkwi jedynowierczych 4; domów modlitwy razkolników 18; kościołów rzymsko-katolickich 318, klasztorów 4 (przeznaczonych dla wymierających zakonników), kaplic 255; zborów protestanckich 26, domów modlitwy 11; żydowskich synagog 101, domów modlitwy 297; karaickich domów modlitwy 1; meczetów mahometańskich 2. Wszystkich zatem gmachów, poświęconych służbie Bożej w całej guberni 1088 (349 murowanych, 739 drewnianych). Jeżeli porównamy liczbę kościołów (bez kaplic i kapliczek przydrożnych, przeważnie drewnianych) i klasztorów katoli-

ckich z liczbą cerkwi i monasterów prawosławnych, a następnie zestawimy z procentem ludności katolickiej i prawosławnej, to przekonamy się, jak dalece pokrzywdzeni są w tym względzie katolicy. Inaczej jednak bywało w tym kraju za rządów polskich, okrzyczanych obecnie z nietolerancyi przez pisarzy ruskich i rosyjskich. Nie będziemy się tu zajmować zbieraniem dat lub cytowaniem naszych historyków. Powołamy się tylko na pierwsze lepsze świadectwo z pod pióra nam wrogiego. W numerze 180 *Wileń. Wiestnika* umieszczono obszerniejszą notatkę historyczną pod tytułem: „Monaster Surdegi (gubernia kowieńska). Dowiadujemy się z niej, że na właściwej Żmudzi, zatem pośród ludności nawskróś katolickiej, istniały w wiekach minionych liczne cerkwie i monastery, zakładane najprawdopodobniej przez panów ruskich, mających dobra na Żmudzi, bądź dla użytku własnego, bądź dla swej służby dworskiej ruskiego pochodzenia. W mieście Brasławiu (powiat nowoaleksandrowski) były dwa monastery i kilka cerkwi; istniały także cerkwie i monastery w Poddubissach, Surdegach i Kiejdanach. W Kownie była w w. XVI cerkiew Wszystkich Świętych. Z nich monaster kiejdański skasowano na początku naszego wieku (już za rządów rosyjskich), a cerkiew i monaster w Surdegach — założone w w. XVI przez rodzinę Szysz-Stawieckich — doczekały się naszych czasów pomimo całkowitego zwycięstwa Kościoła katolickiego nad różnowierstwem w wieku XVII i XVIII.

Historya Królestwa Polskiego z lat 1861—1864 ma swych specyalnych przedstawicieli w łamach *Warsz. Chełm. Epar. Wiestnika.* W artykule zatytułowanym: „Niebezpieczeństwo grożące unii w r. 1862“, pióra niejakiegoś Teobalda, jest mowa o tem, jakoby mrgr. Wielopolski i sekretarz stanu Enoch ułożyli byli wówczas projekt zniesienia w cerkwiach unickich ikonostasów, tej ostatniej cechy, różniącej w dyecezyi chełmskiej cerkwie od kościołów łacińskich. Pomysł ten, dążący do zupełnego zniesienia unii, mieli przedłożyć w. ks. Konstantemu, który, „poznawszy chytrość ich, rzecze: pocóż kusicie mię, obłudnicy!“ — i kazał obu wyjechać za granicę. Nie prawdaż, iż powody i czas wyjazdu margrabiego za granicę podano z całą ścisłością historyczną? Takiejże znajomości czasów i ludzi dowodzi podana tamże wiadomość, iż margr. Wielopolski, przedkładając rządowi projekt reorganizacyi

straży pogranicznej, działał w celu przysporzenia przyszłemu powstaniu kilku tysięcy wyćwiczonych żołnierzy, a więc zgodnie z intencyami stronnictwa czerwonych.

W numerach od 8—16 znajdujemy — dotąd nie ukończony — artykuł pod tytułem: „Rys historyczny cerkwi św. Paraskewii we wsi Milejewie w związku z poglądem na polszczenie i katoliczenie Rusi zawieprzańskiej“ pióra Aleks. Budiłowicza. Nie chcemy twierdzić z góry, aby rozmaite monografie parafij, cerkwi, monasterów, bractw i t. d., umieszczane w czasopismach prawosławnorosyjskich, nie miały zgoła żadnej wartości naukowej. Owszem, mogą się trafiać między niemi nawet i cenne prace, wydobywające na jaw materyał, butwiejący w jakimś nieznanym zakątku dyecezyi chełmskiej. Autorowie ich jednak, w guście np. wychodźcy galicyjskiego, popa Aleks. Budiłowicza, czynią wszystko, aby z góry osłabić ufność w dobrą wiarę i intencye naukowe. Co sądzić mamy o wyżej wymienionej pracy i jak wierzyć w sumienne zużytkowanie źródeł, jeżeli Aleks. B. twierdzi, iż Kazimierza zwą „Wielkim“ chyba tylko dlatego, iż był „wielkim prześladowcą prawosławnych“; albo np. znalazłszy w „Encyklopedyi Kościelnej“ wiadomość, że z dwóch klasztorów w Lublinie: żeńskiego Brygidek i męskiego tejże reguły, ten ostatni zniesiono w wieku XVI., robi od siebie uwagę, iż stało się to zapewne w skutek skandalów, jakie się działy między mnichami. Są to tylko próby przedstawienia rzeczy i tendencyi w tej rzekomo historycznej pracy duchownego autora. Najwięcej wiadomości czerpie on bądź z polskich historyków, bądź z takich wydawnictw, jak Encyklopedya Orgelbranda i Encyklopedya Kościelna. Daleko mniejszej wartości jest „Historyczno-statystyczny opis parafii w Wołosko-Woli“ (w powiecie włodawskim gubernii siedleckiej), którego autor, Włodzimierz Szajdzicki, nigdzie źródeł nie cytuje. Zanotować jeszcze należy następujące prace historyczne: „Losy monasteru w Radocznicy“ (w powiecie zamojskim gub. lubelskiej) pióra Hapanowicza; „Opis historyczno-statystyczny parafii pawłowskiej w powiecie chełmskim gubernii lubelskiej“ (Nr. 1, 2, 3); „Opis historyczno-statystyczny parafii Tuczapy w powiecie hrubieszowskim guberni lubelskiej“ (Nr. 4—7). Obszerny artykuł: „Katechizm rzymski i prawosławne wyznanie Piotra Mohyły“ pióra Ew. Czerwiakowskiego, ciągnący się przez wszystkie

numera roku bieżącego i dotąd nie ukończony, ma charakter teologiczno-polemiczny i zasługiwałby, ze względu na pozory wielkiej erudycyi, na odprawę ze strony specyalisty. — W numerze 8 przedrukowano wezwanie duchownej władzy dyecezalnej do duchowieństwa prawosławnego, aby wspierało prace cesar. archeologicznego towarzystwa w Moskwie, dając jak najdokładniejsze odpowiedzi i wyjaśnienia na rozesłany kwestyonarz, celem ułożenia mapy archeologicznej państwa rosyjskiego wraz z „Priwiślańskim Krajem“, gdzie „dotąd w tym kierunku bardzo mało zrobiono“.

Nie zbywa w tem czasopiśmie na utworach poetyckich nieznanej autorki, ukrywającej się pod skromnym pseudonimem „Niezabudki“ (Niezapominajki). Nie dziwimy się tej skromności bynajmniej. Utwory patryotycznej Rosyanki przypominają przysłowiowe wiersze częstochowskie. W wierszu: „Do włościan Priwiślańskiego Kraju“ z okazyi 25-letniego jubileuszu wyzwolenia ludu wiejskiego jest wezwanie, aby „padłszy na kolana, modlili się za cara oswobodziciela“, a na swych zgromadzeniach gminnych uczyli się, „jak siać prawdę, pokój i naukę na ziemi“, biorąc zapewne przykład z pośredników mirowych i innych przedstawicieli opieki rządowej nad ludem polskim. Czworowiersz zaś pod tytułem: „U pomnika Aleksandra II w Częstochowie“ (Nr. 10) przypomina nam wierszokletów prowincyonalnych z dawno minionych, dobrych czasów. Było to przed laty, kiedy „Kuryer Wileński“ wychodził jeszcze po polsku pod redakcyą ś. p. Adama Kirkora. Jakiś szlachcic zaściankowy napisał odę na cześć swego marszałka powiatowego i przesłał ją „Kuryerowi“. Redakcya, poradziwszy domorosłemu poecie, aby zajął się lepiej jakąś pracą użyteczniejszą, umieściła tylko pierwszą strofę ody:

„A sława jego brzmi tysiącem ech,
„Jako śród zimy zielenieje mech...“

A. Szarłowski.

Congrès bibliographique international, tenu à Paris du 3 an 7 avril 1888 sous les auspices de la *Société bibliographique.* — Compte rendu des travaux. Paris 1889. p. 888 in 8-o.

Pierwszy międzynarodowy kongres bibliograficzny odbył się w r. 1878 i odrazu zwrócił na siebie oczy całego uczonego cywilizowanego świata; po upływie lat dziesięciu w kwietniu 1888, zebrał się znowu w Paryżu drugi

kongres, a wyszłe obecnie bardzo obszerne sprawozdanie z prac jego i posiedzeń, będą niejako streszczeniem postępów umiejętności, zwłasza umiejętności katolickiej w czasie ostatniego lat dziesiątka, przedstawia dla każdego nader zajmujący i pouczający widok. Jak wiadomo, *Towarzystwo bibliograficzne* założone zostało przez dzisiejszego swego prezesa, margrabiego *de Beaucourt* z jasno określonym celem „skierowania wiedzy ludzkiej na tory nie odwodzące, lecz wiodące do poznania Bożej prawdy, do wykonywania chrześcijańskiej cnoty"; do tego samego celu służyć mają i służą zwoływane przez toż *Towarzystwo*, bibliograficzne kongresy. Cały też tok obrad, wszystkie mowy i wnioski podane przez uczestników ostatniego kongresu składają się na jeden wielki a piękny obraz, przedstawiający harmonię między wiedzą a wiarą, uzmysławiający niejako właściwy stosunek między dwoma temi świętami zapalonemi u jednego ogniska. Teoretyczna teza o zgodności wiary z wiedzą, praktycznie, w szczegółach tutaj się rozwija; coraz inne na każdej karcie, a zawsze gruntowne i prawdziwe znajduje zastosowanie.

Kongres miał przed sobą bardzo obszerne pole; dla przebiegnięcia go, podzielić się musiał na kilka odrębnych sekcyj zajmujących się: teologią, prawem, umiejętnościami ścisłemi, literaturą, historyą, wydawnictwami popularnemi, bibliografią w ścisłem słowa tego znaczeniu, międzynarodowemi Towarzystwami. Wyliczyć wszystkich przemów, podanych memoryałów i sprawozdań nie podobna; dla dania jakiegoś wyobrażenia o przebiegu i wszechstronności interesujących tych obrad wystarczy podać — niemal na chybił trafił — kilka suchych tytułów. Tak w sekcyach naukowej i literackiej kanonik *Duilhé de Saint-Projet* przemawiał o apologetyce chrześcijańskiej; baron *d'Avril* o prawie międzynarodowem; ksiądz *Couture* o filozofii we Francyi w ostatnich latach dwudziestu; *Domet de Vorges* o filozofii tomistycznej (1877—1887); *M. Silvy* o wykładach uniwersyteckich; kanonik *Allain* o szkołach elementarnych we Francyi przed i po rewolucyi; *Claudio Jannet* o postępach umiejętności społecznych i szkole *Le Play'a*; Ludwik *Gedoelst* o postępach biologii; *Humbert* o postępach nauk matematycznych (1878—1888); *Amaud Witz* o postępach fizyki (1878—1888); Eman. *de la Margerie* o postępach geologii; *Arcelin* o postępach antropologii i archeologii; doktor *Ferrand* o ruchu bibliograficznym w dziedzinie nauk lekarskich; H. *de la Tour* o bibliografii artystycznej (1868—1888); *Huit* o studyach odnoszących się do literatury zagranicznej, począwszy od r. 1878; *Firmin Boissin* o współczesnej powieści (1878—1888); baron B. *de Villers* o literaturze flamandzkiej; Mgr. *Palma* o wykształceniu i ruchu naukowym w Rumunii i t. d. i t. d. W sekcyi „wydawnictw popularnych" różni z kolei mówcy przedstawili obraz współczesnej literatury ludowej we Francyi, Belgii, Anglii, Skandynawii, Czarnogórze, Porto-Rico. Nie mniej interesujące i ważne były sprawozdania o prasie i wydawnictwach stenograficznych, o pracach bibliograficznych w ostatnim dziesiątku lat, o naukowych towarzystwach w Hiszpanii i Szwecyi.

Pobieżne to i bardzo niedokładne wyliczenie, obejmujące zaledwie trzecią część rozpraw i sprawozdań na kongresie odczytanych, daje miarę znaczenia tych obrad, ważności ich dla każdego, kto po za dzisiejszym ruchem naukowym nie chce w tyle pozostać. Same tytuły dzieł, nazwiska autorów, na które sprawozdawcy powołują się, staną się z pewnością dla nie jednego cenną nicią przewodnią w literackich studyach, w naukowych poszukiwaniach. Dziś

zwracamy tylko uwagę na te nadzwyczaj ważne rozprawy, które, jak przewodniczący z słuszną dumą stwierdził w mowie zamykającej kongres, posunęły nie mało wiedzę przez wiarę oświeconą; spodziewamy się, że niebawem będziemy mogli obszerniej i gruntowniej na innem miejscu do obrad tych powrócić.

J.

Au pays des Castes. Par *Stefan Coubé S. J.* Paris 1889.

Jestto książka o Indyi, tej macierzy naszej cywilizacyi, tak często opisywanej, a zawsze tak zagadkowej. Rzecz nie ciężka jak dzieło naukowe, nie powierzchowna jak podróże turystów, ale pisana z całą lekkością i swobodą tych ostatnich, wraz z gruntowną znajomością kraju, ludzi i stosunków, jaką nabywa misyonarz przez bezpośrednie stosunki z ludnością. Misyonarz podróżuje po Madurze w towarzystwie przełożonych missyi i opowiada nam z wdziękiem prawdziwie literackim przygody swej drogi, szkicuje to ludzi, to przyrodę dziką a uroczą, chwilami przejawia uczucia swej apostolskiej duszy, i po drodze z okazyi byle czego, tłumaczy nam mnóstwo ciekawych rzeczy o dawnych i teraźniejszych instytucyach i obyczajach tego tajemniczego kraju, o stosunkach, o rodzinie, o szkołach, o wpływie chrystyanizmu, nawet o tygrysach i wężach... Mało tu jest o Rig Wedach, ale wiele cennych danych o sposobie, jakim lud pojmuje i jak pełni religię Wedów. Słowem, pośród wielu wybornych opisów podróży, jakie dziś wychodzą, jestto jeden z ciekawszych i zarazem z ładniejszych.

Już przed rokiem niektóre rozdziały tej książki wyszły w peryodycznem piśmie *Études*, i stąd powtórzone zostały w naszych *Missyach*, teraz dopiero wyszła ta książka w całości.

X. M. M.

Die Volksschule Oesterreichs von Einst und Jetzt. Wien 1889. S. 41.
Die vor- und nachmärzliche Mittelschule Oesterreichs. Wien 1889. S. 55.
Die Universitäten Oesterreichs und die Collegiengelderfrage. Wien 1889. S. 140.

Trzy broszury w nagłówku podane, choć zdaje się nie wyszły z pod tego samego pióra, uzupełniają się jednak nawzajem, a dziś zwłaszcza w obec rozbudzonego interesu dla kwestyj szkolnych i niezbędnej, bądź co bądź — z Liechtensteinem, czy bez Liechtensteina — reformy szkół w kierunku religijnym, słuszny budzą interes. Pierwsza z wymienionych broszur kreśli stan i rozwój szkół ludowych w Austryi w trzech epokach: przed Maryą Teresą, od Maryi Teresy aż do r. 1848 i od tego czasu do dni naszych. Autor przyznaje chętnie, że dzisiejsza szkoła ludowa nie jest wzorem doskonałości; nie zgadza się jednak z tymi, którzy zbyt ostrego używając tonu, nazywają ją wprost bezwyznaniową. Wszak Kościół i wedle ustaw i w rzeczywistości wywierać może w szkole wpływ silny a błogi; o cóż więc idzie *Liechtensteinom* i *Lienbacherom?* O to, chyba, odpowiada nasz autor, którego widocznie mimo udanego spokoju, sam wyraz „szkoła wyznaniowa“, denerwuje; — aby szkołę poddać pod wyłączny wpływ Kościoła, tj. księży, aby sprowadzając do lat sześciu obowiązek uczęszczania do szkoły, obniżyć poziom nauki

i cywilizacyi. Natomiast, dowodzi nasz autor, należy pomyśleć o innych reformach: o ulżeniu w pracy inspektorom, którzy przygnieceni robotą biórową, nie mają ani czasu, ani możności rozglądnąć się w poruczonym sobie szkolnym okręgu i bijącym nieraz w oczy brakom zaradzić; o odpowiedniejszem i moralniejszem wychowaniu nauczycieli i nauczycielek; o zapewnieniu im znośnego przynajmniej materyalnego bytu. Zbytnie przeciążenie uczniów wszelkiego rodzaju potrzebnemi i zgoła niepotrzebnemi wiadomościami; zupełne wyrugowanie kar cielesnych nie przynosi również dobrych owoców. Niektóre z tych braków dadzą się usunąć w drodze ustawodawczej; do usunięcia innych martwa litera nie wystarczy, i przeto — zauważa autor nieco sofistycznie — łudzą się ci, co na nią kładą tak wielki nacisk.

Mniej interesu przedstawia, bo mniej żywotne i ważne kwestye porusza druga z kolei broszura: o gimnazyach austryackich przed i po r. 1848. Piszący zna dokładnie swój przedmiot; jasno też i bez ogródek wyraża własne swe zdanie o przeciążeniu uczni naukami, o właściwem znaczeniu egzaminu dojrzałości, o książkach i bibliotekach szkolnych, o konieczności troskliwego pielęgnowania miłości ojczyzny w sercach i umysłach młodziezy. W obec wszystkich tych dość obszernie poruszonych kwestyj, tembardziej zadziwia, że w całej broszurze nie ma ani pół słowa w odpowiedzi na pytanie, jaką rolę religia dziś zajmuje w gimnazyach, a jaką zająć powinna. Pytania tego autor wyraźnie poruszać nie chciał; dobrowolnie zapomniał o najważniejszym i najsilniejszym pedagogicznym czynniku, bodaj czy nie z obawy, aby się przypadkiem komu nie narazić.

Z trzeciej broszury dowiedzieć się może każdy jasno i dobitnie, kto z własnego doświadczenia nie miał jeszcze dotąd sposobności o tem się dowiedzieć, że nietylko w szkołach ludowych i gimnazyach, ale w uniwersytetach, nie tak wszystko się dzieje, jakby dziać się mogło i powinno. Trzeba reformy, koniecznie trzeba reformy! — Na ogólne to życzenie każdy, nawet akademicy i profesorzy bez trudności pewnie się zgodzą; lecz jakie to mają być, praktycznie rzecz biorąc, reformy; jak w życie je wprowadzić? Nie tak łatwa tu odpowiedź, jak widać choćby z mglistych projektów, nieokreślonych i niepochwytnych żądań samego autora. W każdym razie wszystkie te mniej lub bardziej słuszne żądania i projekty tak w tej, jak w poprzednich dwóch broszurach zawarte, nowym, jasnym są znakiem, że dzisiejsze szkoły równie niższe, jak wyższe, nie zadawalniają z najrozmaitszych powodów, coraz szersze, do najróżniejszych obozów należące warstwy ludności, i że bądź co bądź spiesznej a gruntownej domagają się reformy.

Rozmaitości.

Z historyi prawosławnego apostolstwa.

Do rąk naszych dostał się niewątpliwie autentyczny a ciekawy dokument z dziejów rosyjskiego, prawosławnego apostolstwa w kraju naszym. Dokument ten który sam za siebie dość chyba głośno przemawia, podajemy w dosłownem tłumaczeniu, nie umieszczając tylko, z łatwych do odgadnienia powodów, nazw osób i miejscowości:

W. P. I. (*Wiedomstwo Prawosławnoho Ispowiedanja*).

Nastojatiel cerkwi J..... powiatu NN. gub. NN. do administratora parafii katolickiej w NN. ks. NN.

d. 19 stycznia (v. st.) 1889. N. 8.

Zawiadamiam niniejszem, że włościanin zaścianka NN., włości NN., powiatu NN., parafianin Wasz, Jan syn Mikołaja NN....., d. 19 b. m. „publicznie w świątyni Bożej wyrzekł się *herezyi, błę-*„*dów, fałszów i nowatorstw* (jeresij, zabłużdienij, izmyszlenij, i nowo-„wwiedienij), *jednem słowem błędów łacińskiwa* (nieprawowierja ła-„tinstwa) *pod względem dogmatów, obrządków i ustaw, dodanych* „*przez partykularny* (pomiestnyj) *Kościół rzymski*, po siódmym „soborze powszechnym, odbytym r. 787, i zgodnie z prawem zo-„stał przyjęty do świętej prawosławnej katoliczeskiej wschodniej „cerkwi, która jedna tylko zachowała wszystko, co Apostołowie „i Ojcowie śś. postanowili i podali..... która jest oraz kolumną „i utwierdzeniem prawdy, według Słowa Bożego, w prawdziwem „znaczeniu i pojmowaniu jego. O wystąpieniu (ob. iskluczenji) NN..... „z liczby parafian k.....ej parafii NN. zawiadamiam Pana.....“

„*Swiaszczennik NN.*“

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Katolicki kongres bawarski. — Kongres „ligi ewangelicznej“. — Protestanckie hece. — Obrady kleru anglikańskiego. — „Pokój kardynała“ Manninga. — Projekt anglikańskiego zakonu. — Udekorowane zakonnice francuskie. — Cofnięcie się ks. Liechtensteina. — Holenderska nowella szkolna. — Ugoda Rosyi z Watykanem.

Odbyty w Monachium w drugiej połowie września pierwszy kongres katolików bawarskich, stanął godnie w długim szeregu tych, dzięki Bogu, coraz częściej i z większym pożytkiem zbierających się katolickich sejmów; przewyższył najśmielsze nadzieje gorliwych swych organizatorów. Liczba uczestników przybyłych ze wszystkich stron Bawaryi, była tak wielką, że żadna sala pomieścić ich nie była w stanie; dla tego podzielono ich na dwa oddziały, które zbierając się z kolei na walne posiedzenia, słuchały tych samych mowców i zastanawiały się kolejno nad przedłożonymi wnioskami. Już we wstępnem posiedzeniu brało udział — w obu oddziałach razem — około 14.000 samych mężczyzn, a cyfra ta raczej rosła niż zmniejszała się od posiedzenia do posiedzenia. Na wniosek prezesa, księcia *Loewensteina,* zgromadzeni wysłali telegram do Ojca św., z zapewnieniem synowskiej wierności i miłości, z uroczystym protestem przeciw ciągłemu gwałceniu wolności Stolicy Apostolskiej i z prośbą o błogosławieństwo. Głównym przed-

miotem narad była — jak wynikało z natury rzeczy — niewesoła odpowiedź bawarskiego rządu na *memorandum* biskupów, a zatem konieczność podjęcia nowych usiłowań w celu przywrócenia konkordatowi zawartemu ze Stolicą św. należytego szacunku, zniesienia przestarzałego, niemożliwego w dzisiejszych czasach i stosunkach *Placetum regium*, reformy szkół w kierunku religijnym.

„Odpowiedź rządowa na biskupi memoryał, mówił słusznie poseł do sejmu monachijskiego *Dr. Daller*, ubrana była w łagodną formę, rzuciła nam w darze parę drobnych, właściwie dawno już danych okruchów; ale w gruncie rzeczy odrzuciła wszystkie żądania bawarskiego episkopatu. I Ojciec św. i biskupi wydali jasny sąd o tej odpowiedzi, a cały lud bawarski obowiązany im jest za to do najwyższej wdzięczności". *Dr. Siben* przeszedł z punktu widzenia historycznego i prawniczego dzieje — *Placetum regium*: Zardzewiałą tę broń wydobył rząd dzisiejszy jedynie ze względu na wziętą nieszczęśliwie pod swą protekcyę garstkę starokatolików; dla jej miłości obraził dwie trzecie ludności bawarskiej w najświętszych swych prawach i uczuciach religijnych. Protestujemy dziś w imieniu całego bawarskiego katolickiego ludu przeciw temu pogwałceniu praw Kościoła, przez konkordat zagwarantowanych. Wszak nawet *Dr. Doellinger* uznaje, że *Placet* nie ma prawnej podstawy, powstał przeciwko niemu w r. 1870 i minister *von Lutz*: z jakiejże racyi mamy dłużej pielęgnować tę niedorzeczność, która dziś i państwu nie może przynieść żadnej usługi, jak się to pokazało w Szwajcaryi z okazyi allokucyi papieskiej o *Giordano Bruno?!*" — „Jedynie w kwestyi szkolnej, przyznał *ks. Huyn*, rząd w pewnej przynajmniej szczupłej mierze przychylił się do żądań biskupów; lecz na paru tych ustępstwach poprzestać nam nie wolno i nie poprzestaniemy, dopóki nie odzyskamy wszystkich praw naszych. Musimy dojść do tego, aby na uniwersytetach wykładano katolicką filozofię; musimy przeprowadzić gruntowną reformę uniwersyteckich studyów. Profesorów nam nie zabraknie, bo choćby wszyscy dzisiejsi profesorzy zastrejkowali, to sami Jezuici byliby w stanie i mogliby wybornie zająć opróżnione katedry".

Zgromadzeni przyjęli jednomyślnie pod wpływem gorących słów mowców, następne, przez komitet urządzający kongres, poddane pod głosowanie wnioski:

1) Mężowie katoliccy ze wszystkich stron Bawaryi, zebrani w Monachium, składają jawnie szczere a gorące dzięki najwyższym swym pasterzom duchownym za podjęte przez nich starania o wywalczenie katolickiemu Kościołowi w Bawaryi, należącej mu się wolności i niezależności.

2) Wyrażają żywy żal i niezadowolenie ze stanowiska, na którem królewskie ministeryum spraw wewnętrznych stanęło i to właśnie w najważniejszych punktach odnośnie do memoryału, podanego przez Najprz. Arcybiskupów i Biskupów bawarskich w czerwcu roku zeszłego.

Spodziewają się, że odpowiednie układy między Stolicą św. a rządem bawarskim ze współudziałem Najprzew. Episkopatu, doprowadzą wreszcie do tak dawno upragnionego zupełnego porozumienia się.

W szczególności spodziewają się, że posłowie, zastępujący w sejmie katolicki lud bawarski, użyją wszelkich prawem dozwolonych środków, aby zapewnić Kościołowi zupełną wolność i należny wpływ na polu religijno-politycznego życia, wychowania i społecznej działalności.

3) Zebrani w Monachium katolicy dzielą boleść i oburzenie wszystkich wiernych synów katolickiego Kościoła, z powodu przechodzących wszelkie granice obelg i krzywd, które Ojciec św. ponosi w Rzymie od zaciętych swych wrogów. Smutne uroczystości przy odsłonięciu pomnika *Giordana Bruno*, utwierdziły ich bardziej jeszcze w przekonaniu, że dla zapewnienia Stolicy Apostolskiej poszanowania, wolności i niezależności w najwyższym pasterskim urzędzie, należy jej koniecznie i niezbędnie powrócić władzę świecką.

Rząd *Lutza* przeszkodzić nie mógł mimo najszczerszej chęci kongresowi, ale jak niechętnie spoglądał na jego obrady, dowodzi choćby ta okoliczność, że zebrani katolicy na telegram wysłany do regenta z wyrazami hołdu i zapewnieniem winnego posłuszeństwa, nie otrzymali żadnej a żadnej odpowiedzi. Liberalne gazety usiłowały też, wedle zwykłej swej taktyki, odjąć kongresowi wszelkie znaczenie; ale tym razem nawet w własnych swych szeregach nie znalazły wiary. „Sejm bawarski, woła z przestrachem *Korespondencya niemiecko-wolnomyślnego stronnictwa w Bawaryi*, obradować gotów pod wpływem katolickiego kongresu!“ — „Czemuż, pyta inny, również liberalny dziennik, kiedy tak małą do kongresu przywiązujecie wagę, w każdym numerze, od czterech już miesięcy kierujecie przeciw niemu najzjadliwsze ataki?“ Czemuż przerażeni starokatolicy rzucili myśl urządzenia kontrdemonstracyi i zwołania wielkiego kongresu wszystkich przeciwników konkordatu ze Stolicą św.? Swoją drogą kongres ten najprawdopodobniej do skutku nie przyjdzie, pomimo, że rząd *Lutza* nie odmówiłby mu energicznego poparcia, jak nie odmawia go wolnomularzom, protestantom, a nawet osławionemu „Związkowi Ewangelicznemu“. Wszak

na pogrzebie króla Ludwika II i królowej Maryi, brali urzędowo udział protestanccy pastorzy, a nawet przeznaczono im wyższe miejsce, niż katolickim księżom. Obecnie znowu ochmistrz dworu *hr. Castell* ogłosił publicznie w gazetach, że potrzebuje do zarządu swych dóbr biegłego w prawie urzędnika, ale koniecznie — protestanta. W obec takich faktów, okazujących zbyt jawnie smutne dążności ludzi, chcących Bawaryę oddać na łup protestantyzmowi, jak *Lutz* oddał mu już na łup swą rodzinę; tembardziej potrzebną była wielka katolicka demonstracya okazująca, że Bawarczycy nie myślą nikomu zaprzedać wiary i sumienia i dzięki Bogu, że demonstracya ta, prawdziwy „plebiscyt“ — jak ją zgryźliwie, ale niemniej słusznie nazwano — tak wielkie przybrała rozmiary i wypadła pod każdym względem tak świetnie.

Katolicy bawarscy, jak poprzednio katolicy czescy, szląscy, niemieccy, radzili nad własnymi swymi interesami, nie mając ani czasu, ani chęci — jak z przyciskiem stwierdził *Windthorst* na wiecu katolickim w *Bochum* — do walk i dysput z inaczej myślącymi, zwłaszcza z protestantami. Otwarte dnia 1 października w *Eisenach* ogólne zebranie niemieckiej *Ligi ewangelicznej* zajmowało się wręcz przeciwnie, na pierwszym planie walką z Kościołem katolickim. „Cel ligi, to walka z katolikami“ — oto w krótkich słowach treść długiej mowy wypowiedzianej przez *Dr. Brauna*, dworskiego kaznodzieję w Stuttgardzie, w obec mniej więcej 700 delegatów przybyłych z całych Niemiec. „Do czego dążymy? pytał. Przedewszystkiem do zbudowania murów ewangelicznej Jerozolimy. Ale kto chce budować, walczyć musi: wrogowie protestantyzmu wtłoczyli nam w rękę broń, a użyć jej potrafimy. Liga ewangeliczna nie myśli atakować w nienawistny sposób katolickiego Kościoła; ale jeśli naczelnicy Kościoła rzymskiego obrzucają bez przerwy najcięższemi obelgami religię protestancką, jeżeli zaprzeczają jej prawa do istnienia i przedstawiają ją jako dzieło piekła, natenczas o pokoju mowy być nie może. Liga ewangeliczna jako obrońca i stróż godności protestantyzmu wyciągnąć musiała miecz duchowny przeciw napastnikom“. Następnie dla jawnego okazania, że uciśnieni protestanci bronią się tylko smutną koniecznością zmuszeni, rzucił się mowca na katolickie dogmata, przekręcając ich znaczenie i nie szczędząc dotkliwych szyderstw. Ogłoszenie dogmatu

Niepokalanego Poczęcia przez Piusa IX, to straszne zgorszenie; cześć oddawana Maryi i Józefowi to jawne błędy, to zabytki pogaństwa, przeciw którym *Liga* ma prawo i obowiązek występować i niszczyć je wszelkimi sposobami. Smutną tę mowę, wzywającą bez ogródki do religijnej walki na zabój, przyjęli zgromadzeni z wielkiem uznaniem; a schodząc do praktycznych szczegółów, postanowili zwrócić baczniejszą niż dotąd czujność na prasę katolicką; zwiększyć „Korespondencyą religijną“ dla użytku dzienników protestanckich, i nadać jej barwę polemiczną; wyjednać u parlamentu surowe kary przeciw osobom, które spowodowałyby kogo „najrozmaitszymi podstępami“ do porzucenia swej religii. Czytając te mowy i rezolucye wierzyć się oczom własnym nie chce; nasuwa się mimowoli myśl, czy to nie jaka mistyfikacya, jakieś przerobione nieco dokumenty z innych zupełnie czasów, z zapomnianych dziś stosunków?

Nasienie nienawiści rzucone tak niebacznie przez *Ewangeliczną Ligę;* przez spokrewniony z nią *Związek Gustawa Adolfa,* przyjęło się już niestety! gdzieniegdzie i smutne wydaje owoce. Gdyby nie *Liga* i szerzona przez nią piórem i słowem, w gazetach i licznych broszurach niecna agitacya, nie przyszłoby było podobno do zaburzeń i wrogich demonstracyj przeciw katolickim księżom, a nawet biskupom, których w ostatnim czasie parę niemieckich miejscowości stało się widownią. To też zgromadzeni we Fuldzie, u grobu św. Bonifacego niemieccy biskupi wnieśli we wspolnym pasterskim liście uroczysty protest przeciw tej w ścisłem słowa znaczeniu, „wyznaniowej hecy, tem sromotniejszej, że katolicy do niej najmniejszego nie dali powodu“. „Głęboko ubolewamy, — czytamy w piśmie tem, które służyć może za naukę i wzór rozumnej chrześcijańskiej toleracyi — nad bojem Kościołowi wypowiedzianym, w którym główną bronią oszczerstwa i kłamstwa. Jednocześnie jednak, pewną żywimy, a pocieszającą nadzieję, że największa część rozumnie i sprawiedliwie myślących współobywateli naszych, choć w wierze od nas odłączonych, uzna wespół z nami, że jeśli kiedy, to dziś nie jest czas odpowiedni do nienawistnych sporów o wiarę; że raczej wszyscy łączyć się winniśmy do wspólnej obrony samychże zasadniczych podstaw chrześcijańskiej wiary i chrześcijańskiej moralności, bo one jedne powstrzymać mogą grożącą zale-

wem falę materyalizmu i anarchizmu; one jedne są w stanie z wolna uleczyć z dnia na dzień dolegliwsze moralne i społeczne choroby; one jedne mogą przyszłość zabezpieczyć...

Punktów spornych, które nas od siebie oddzielają, nie należałoby rozogniać gorzkim tonem i kłamstwami; lecz raczej we wzajemnych stosunkach usuwać je w dal z łagodną wyrozumiałością. Niemcy potrzebują bardziej niż jakikolwiek inny kraj, religijnego pokoju, równie dla tego, że zamieszkane są przez ludność należącą do kilku różnych wyznań, jak i z powodu dzisiejszych politycznych stosunków. Do pokoju zaś tego nie dojdziemy, jeśli każde wyznanie nie będzie miało najzupełniej zabezpieczonych świętych swych praw i interesów, abyśmy wszyscy, pomimo różnic we wierze złączyli się wesołem, a ofiarnem sercem w wierności i miłości ojczyzny... Miłość dla waszych współobywateli, którą wam raz jeszcze najgoręcej zalecamy, wymaga, abyśmy z naszej strony wbrew wszelkim zaczepkom i rzucanym na nas podejrzeniom, unikali wszystkiego, co mogłoby namiętność, niechęć, nieprzyjaźń rozżarzyć, lub podniecić. Czyż jednak, najmilsi Dyecezanie, potrzebujecie tego napomnienia? Najlepszą a chwalebną dla was odpowiedź daje historya kilku ostatnich lat".

Tego samego dnia, którego w *Eisenach* rozpoczął się kongres *Ligi Ewangelicznej*, zamknięto w *Cardiff* w innym zupełnie duchu toczące się obrady anglikańskiego kleru. Nie było tu zaczepek lub napaści wymierzonych przeciw katolikom i Papizmowi; przeciwnie mowcy z godną podziwienia otwartością wyznawali głośno, że wiele, bardzo wiele, uczyć się im należy, od rzymskiego Kościoła i składali, bez fałszywego wstydu, winny hołd jego kapłanom, misyonarzom, uczonym. Pastorzy *Benson*, *Butstrode*, *Welby* ubolewali głęboko nad coraz większym rozdziałem między wiarą a wiedzą. „Chrystus, mówili pięknie i prawdziwie, jest jedynym mistrzem prawdy; dogmata przez Kościół do wierzenia podane nie są tyranami rozumu, lecz przewodnikami życia; rzucającemi w około pęki światła latarniami, które postawił Bóg na ciemnym oceanie wątpliwości, aby nam „wskazywały bezpieczną i spokojną drogę". „Czemuż, pytał z żalem członek parlamentu *John Keunanay*, misye nasze przynoszą stosunkowo tak małe owoce?" W *Eisenach* odpowiedzianoby prawdopodobnie: „Bo katolicy stoją nam na drodze, a zatem nie

troszczymy się o pogan, lecz walczymy z katolikami". Angielski mówca, wolny od małostkowej zazdrości i mając rzeczywiście na oku rozszerzenie Królestwa Chrystusowego, przyznawał wprost: „Apostolska pochodnia, którą niósł św. Bonifacy, gdy głosił Ewangelią w barbarzyńskich stronach północnych Niemiec, zagasła w naszych dłoniach. Roczne dochody Anglików wynoszą około 1200 milionów funtów szterlingów. Anglia oszczędza rocznie do trzech milionów funtów, a nie poświęca jak tylko dwa miliony na misye w krajach pogańskich. Wywieramy nasz wpływ na 1000 milionów pogan, a nawróciliśmy zaledwie trzy miliony (?). Gdyby dawny katolicki, apostolski Kościół, taką rozwijał działalność, jaką my rozwijamy dzisiaj, to bylibyśmy po dziś dzień czcicielami *Thorów* i *Wodinów*, dziś jeszcze składalibyśmy ofiary w dębowych borach Druidów".

Rola i wpływ, który wywiera dziś Kościół katolicki zwłaszcza za pośrednictwem najwyższych swych dostojników w tak dawniej nieprzychylnej sobie Anglii, okazały się w całym blasku w czasie olbrzymiej zmowy, która wybuchnąwszy we wrześniu między robotnikami pracującymi w londyńskich dokach, objęła 200.000 ludzi, sprowadziła w nie wielu dniach olbrzymie kilka milionów szterlingów przechodzące straty. Jako pośredników między dyrektorami stowarzyszeń dokowych a strejkującymi robotnikami, wybrano londyńskiego Lordmajora, anglikańskiego biskupa londyńskiego i kardynała *Manninga*. Rokowania szły oporem, rwały się i nawiązywały parokrotnie, tak, że znudzony tem biskup anglikański dał za wygrane i przestał się zajmować sprawą, która nigdy go podobno zbyt żywo nie obchodziła. Lordmajor zrozpaczył również o pomyślnym obrocie rzeczy; sam tylko kardynał nie stracił nadziei i zwalczywszy zdawało się niepokonane przeszkody i uprzedzenia, doprowadził wreszcie do upragnionej zgody, a tak usunął niebezpieczeństwo, grożące już nie tylko angielskiemu, ale wszechświatowemu handlowi. Trudności były wielkie, lecz tryumf tem większy; wszystkie stronnictwa, nieprzyjaźniej dla katolicyzmu usposobione organa, złożyły tym razem broń i połączyły się wspólnie w pochwalnych hymnach na cześć katolickiego kardynała i „kardynalskiego pokoju", jak nazwały zawartą zgodę londyńskie protestanckie dzienniki.

„Działalność arcybiskupa *Manninga* w całej tej sprawie, pisała radykalna *Pall mall Gazette*, wyniosła go na stanowisko rzeczywistego prymasa całej Anglii. Jedno tylko uczucie ożywia lud angielski, a uczuciem tem żal, że kraj nasz nie może dziś oddać kardynałowi zaszczytów, które mu się należą, na jakie zasługuje. Rola, którą odegrał, przywodzi na pamięć wielkie czyny Kościoła, które zapewniły mu panowanie nad światem. Następnie porównuje londyńska gazeta anglikańskiego i katolickiego dostojnika; pierwszy dał smutne dowody serca oschłego, obojętnego na cierpienia bliźnich; drugi złączył apostolską gorliwość z zimną krwią wypróbowanego męża stanu. Bezwątpienia okoliczności, w których spełniło się dzieło pojednania, mniej wypadły imponująco, niż wówczas, kiedy św. Leon stanął jako wybawiciel i pośrednik między miastem świętem a Atylą; lecz jak wtedy, tak dziś duch Bożego poświęcenia i świętej mądrości przyniósł owoce nie mniej podziwienia godne. Inni potykali się uczciwie w tej walce; kardynał przewyższył wszystkich".

Do entuzyastycznych tych pochwał przyłączyły się mniej lub bardziej szczere wszystkie uczciwe, a nawet zazwyczaj nieuczciwe nie tylko angielskie, lecz i europejskie dzienniki; szczególny jednak a charakterystyczny odgłos uzyskał „pokój kardynała", w dzisiejszej stolicy protestantyzmu, w Berlinie. Wychodzący tu socyalistyczny *Volksblatt* nie zawahał się umieścić następnych wyrazów: „Popularność i tak już dobrze znanego i ukochanego przez robotniczą ludność londyńską kardynała *Manninga* wzrosła nad wszelki wyraz od czasu ostatniego strejku. Nadzwyczajny ten mąż pracował w ostatnim tygodniu, pomimo ciążących mu na barkach 82 lat, bez przerwy i znużenia, byle doprowadzić do możliwego kompromisu. Z robotnikami rozmawiał i przestawał jak równy z równymi, w prawdziwym tego słowa znaczeniu popularnie, tworząc tak jaskrawy kontrast ze sztywnym, po bankiersku nadętym sposobem postępowania protestanckiego biskupa Londynu. Okazało się tu znowu, że katolicki Kościół obejmuje daleko szersze horyzonty, niż Kościół protestancki; że wybiera sobie daleko lepszych i roztropniejszych przedstawicieli". Co jeszcze bardziej charakteryczne to to, że wychodzący również w Berlinie prawowierno-protestancki *Reichsbote* cytuje cały ten ustęp z socyalistycznej gazety, i na-

stępne do niego nawiązuje uwagi: „Wszystko to prawda; ale jaka przyczyna nie wesołej tej prawdy? Zależność Kościoła ewangelickiego od państwa, które zarządza nim nie z ściśle kościelnego, ale z państwowo-politycznego punktu widzenia i samo mianuje najwyższych jego urzędników. Kiedy biskup katolicki podnosi znaczenie swego Kościoła socyalno-polityczną swą działalnością, to u nas państwo zmusza ewangelicznego kaznodzieję dworskiego *Stoeckera* do zaprzestania pracy w tym kierunku. Wolny Kościół katolicki wznosi się coraz wyżej; Kościół ewangelicki trzymany na państwowem wędzidle, nie mający prawdziwie kościelnego zarządu, pełza po ziemi".

Innym nie mniej charakterystycznym znakiem zwrotu opinii w Anglii, jest podany przez bardzo cenionego archidyakona z *Westminsteru, M. Ferrara* projekt założenia anglikańskiego zakonuz trzema ślubami: ubóstwa, czystości i posłuszeństwa. Projekt ten, który przed paru wiekami poprowadziłby autora swego na stos lub szubienicę, a przed niewielu jeszcze latami doprowadziłby ostatecznie tylko do ulicznych zbiegowisk, głośnych pogróżek i stłuczenia okien; pozyskał obecnie uznanie i zachętę ze strony anglikańskich biskupów z Winchester, Chester, Lincoln, Southwell i Londynu, a pastor *C. Scarpe* ułożył już nawet regułę tego zakonu. Czy wejdzie on w życie, to inne pytanie; dziś już zwrócono uwagę, że byłoby to za wielkie zbliżenie się do Kościoła rzymskiego, a uwaga ta zrobiła wrażenie zwłaszcza między niższem duchowieństwem, i tak z niejednego punktu widzenia niechętnie dla całego tego projektu usposobionem. Z drugiej strony wielu zastanawia się poważnie nad racyami wyłożonemi przez *M. Ferrara* i przyznaje, że w teoryi przynajmniej trudno się z niemi nie zgodzić. „Kler nasz, dowodzi wnioskodawca, oddawna nie odpowiada potrzebom religijnym, zwłaszcza mieszkańców większych miast; stracił wszelki wpływ na warstwy pracujące, które zbyt często, ledwie ze słyszenia, wiedzą coś o Kościele. Dla nawrócenia tych nowożytnych pogan, potrzeba ludzi pełnych poświęcenia, znających i kochających robotników. Skąd tych ludzi wziąć? Odpowiadają niektórzy: Pomnożyć zbyt szczupłą liczbę pastorów. Naturalna to niby, ale nawet w tak bogatym kraju, jak Anglia, niepraktyczna odpowiedź, bo jak dobrze niedawno temu zauważył *Standard*, trzebaby nowym tym ochotnikom

do stanu duchownego, wyznaczyć pensyę wystarczającą nie tylko dla nich, ale i dla ich żon, dla odpowiedniego prowadzenia domu. Na to finanse nie pozwalają; zatem jedynym i praktycznym środkiem byłoby założenie zakonów, czy zakonu, którego członkowie żyliby w celibacie, nie myśleliby o zbogaceniu siebie i swych rodzin. Zakon taki podniósłby też bezwątpienia znaczenie anglikańskiego Kościoła, który dziś stał się Kościołem jednej kasty tj. nie wdając się w niepotrzebne omówienia, Kościołem arystokracyi i klas rządzących; mieszczan oddał na łup najrozmaitszym sektom, robotnikom pozwolił z podziwu godną rezygnacyą, zaciągnąć się pod sztandary „Armii Zbawienia".

Dla zaspokojenia opinii *M. Ferrar* powtarza na wszystkie tony, że śluby składane przez nowych tych zakonników, nie byłyby dozgonnymi, że przełożeni zwalnialiby od nich z największą łatwością każdego, któremuby się sprzykrzył pobyt w klasztorze. „Cóż wtedy w ogóle mają za znaczenie śluby te i po co je składać? — mógłby kto zapytać, ale nie zapominajmy jak trudno złamać pierwsze lody, nagromadzone przez wiekowe uprzedzenia i że od westminsterskiego archidyakona trudno żądać wyczerpującej znajomości istoty zakonnego życia; ducha, który musi je ożywiać, jeśli ma przynieść pożądane owoce. W każdym razie projekt ten to nowy hołd złożony zakonom, niepodejrzane uznanie, tak po ludzku nawet mówiąc, pięknej roli, którą Bóg im na świecie wyznaczył. Uznaniem takiem, także chyba o stronniczość niepodejrzanem, jest ogłoszony w ostatnich tygodniach dekret rządu francuskiego, udzielający honorowe odznaki trzem zakonnicom za „pełne ofiarności, niezmordowane pielęgnowanie chorych żołnierzów francuskich w wojskowym szpitalu *Fort l'Empereur* w Tonkinie". Gubernator Tonkinu w otoczeniu całego swego sztabu, przed zgromadzonymi wojskami, przypiął własnoręcznie krzyż legii honorowej przełożonej Sióstr Miłosierdzia, Siostrze Teresie, przyczem wygłosił następną przemowę:

„Siostro Maryo Tereso! Miałaś lat dwadzieścia, gdy służąc rannym w krymskiej wojnie, samaś poniosła ranę na bałakławskich polach. Pod Magentą stałaś w pierwszej linii bojowej i zostałaś zranioną. Następnie pielęgnowałaś naszych żołnierzów w Syryi, Chinach i Meksyku. Pod Reichshofen (Woerth) znaleziono Cię na polu bitwy, ranną, pod stosem ciał zabitych kirasyerów. Później

padł granat w sam środek poruczonego Ci ambulansu. Chwyciłaś go szybko, poniosłaś sama 80 metrów od ambulansu, i znowu przy wybuchu tego granatu, ciężką otrzymałaś ranę. Wyzdrowiawszy, jesteś teraz, idąc wciąż za swem powołaniem, w Tonkinie. W imieniu francuskiego ludu i wojska udzielam Ci ten Krzyż za okazane męstwo. Nikt zyskując go nie mógł się wykazać bardziej bohaterskimi czynami; nikt wykazać się nie może życiem pełniejszem zaparcia się siebie samego, poświęconem tak wyłącznie służbie braci swych i swej ojczyzny! Żołnierze prezentujcie broń"!

Rozpoczęta w różnych czasach i krajach kampania o nadanie szkołom bardziej religijnej, wyznaniowej cechy, niepomyślnie, na razie przynajmniej, zakończyła się w Austryi, pomyślnie w Holandyi. Książe *Liechtenstein*, doszedłszy zdaje się do przekonania, że postawiony przezeń wniosek o zaprowadzeniu wyznaniowych szkół ludowych, nie ma widoków powodzenia, ustąpił z parlamentarnej areny; a choć katolickie austryackie organa, jak *Vaterland*, *Linzer Volksblatt*, *Salzburger Chronik*, obszernie dowodzą, że z cofnięciem się wnioskodawcy bynajmniej jeszcze sam wniosek nie jest cofnięty i zachęcają gorąco swych czytelników do tem sprężystszej akcyi za szkołą wyznaniową, to łudzić się trudno i wyznać trzeba ze smutkiem, że prawdziwi katolicy w Austryi odnieśli w tej mierze dotkliwą, choć silną mamy nadzieję, chwilową tylko porażkę. Natomiast konserwatywne ministeryum holenderskie przeprowadziło, po długoletniej wytrwałej walce w parlamencie i poza parlamentem — gruntowną zmianę w sekciarskiem prawie szkolnem z roku 1874, które służyło za wzór prawom belgijskim z r. 1879. Ze zmianami temi zapewniającymi religii należny wpływ na wychowanie w szkołach ludowych, głosowała nie tylko cała prawica, złożona z katolików i prawowiernych protestantów, tak zwanych „antyrewolucyonistów", ale też szesnastu członków lewicy, znużonych zbyt długą walką z życzeniami całego niemal kraju.

Rzymski telegram pod datą 9 października doniósł w lakonicznych wyrazach: „Główne zasady ugody między Rosyą a Watykanem, zostały dziś podpisane przez rosyjskiego pełnomocnika Izwolskiego i przez sekretarza stanu, kardynała *Rampollę*. Propaganda zamianuje prawdopodobnie pięciu biskupów". Czy to prawda, nasuwa się naprzód pytanie czytając tę w niebardzo zachęca-

jący sposób sformułowaną depeszę; jakie są owe zasady, na których przyszła ugoda ma być zawartą; co znaczy zagadkowa wzmianka o mianowaniu pięciu biskupów przez Propagandę, a więc w sposób praktykowany jedynie w krajach misyjnych? Do chwili, w której piszemy te słowa, nie ma jeszcze żadnej odpowiedzi na te tak niezmiernej wagi dla nas zapytania.

Ks. Jan Badeni.

Jenerałowie bogobojni w Austryi.

Przed kilku miesiącami zmarł austryacki feldmarszałek, hr. *Huyn*, jeden z tych dawnych, zdawałoby się rycerzy, co w jednym ręku trzymali miecz, w drugim krzyż, a łącząc zawsze pobożność z walecznością, uzasadniali życiem swem i czynami stwierdzoną doświadczeniem wieków maksymę: Pobożność do wszystkiego pożyteczna. Sędziwy wódz uczestniczył jeszcze na ostatnim katolickim kongresie wiedeńskim, żywo zajmując się poruszonemi na nim kwestyami; a udział ten w katolickim kongresie, był tylko naturalnym wynikiem całego i w teoryi i w praktyce z gruntu katolickiego życia. Nie lękając się w otwartem polu nieprzyjaciół, nie lękał się hr. *Huyn* ani w domu, ani w kościele, ani na ulicy względów ludzkich; w czasie Mszy św. modlił się z książki do nabożeństwa, przed N. Sakramentem klękał w pokorze; za to np. pod Nowarą stojąc pod rozkazami pobożnego arcyksięcia Albrechta, śmiało uderzał na wrogów i niemało przyczynił się do zwycięstwa, które stanowi jedną z najpiękniejszych kartek historyi austryackiej w nowszych czasach.

Śmierć rycerskiego tego wodza nastręczyła katolickiej prasie w Austryi dobrą sposobność do zastanowienia się nad stosunkiem, jaki zachodził i z natury rzeczy zachodzi między oddawaniem wiernej służby Bogu a cesarzowi; między męską prawdziwą walecznością a pobożnością, nie liczącą się z ludzkimi względami. W ogóle, zauważa *Vaterland* w pochodzącym z pod fachowego pióra artykule, z którego czerpiemy następujące fakty, — rzeczą jest nie

dość znaną, a jednak nader uwagi godną, że ci żołnierze, którzy umieli się modlić, umieli zawsze i zwyciężać. Jakże podniosłemi są słowa, któremi wielki bohater *Jerzy z Frundsberga* (umarł 1528 r.) zwykł był swych żołnierzy przed walką do męstwa zachęcać: „Dzieci! wołał, wprzód oczy ku niebu, potem na wroga!“ A skoro wszyscy padli na kolana, wołał znowu: „Nuże, w dobry czas, — w imię Boże!...“ przed bitwą pod Pawią (25 lutego 1525 r.) zwołał odgłosem bębnów wszystkich dowódców, a stanąwszy wśród ich koła, rzekł: „Kochani bracia i synowie! Całe wojsko, cudzoziemskie zaciągi i Hiszpanie, piechota i konnica, chcą zachować cesarzowi (Karolowi V) księstwo medyolańskie i Francuzom (Franciszkowi I) go nie oddadzą. I ja dlatego tu przybyłem. Spodziewam się więc, że stawicie razem ze mną czoło nieprzyjaciołom, jak przystoi na p o b o ż n y c h Niemców. Mamy wprawdzie przed sobą dumnego wroga, lecz czy nie pobiliście już tyle razy jego najlepszych wodzów i wojska i czyż nie możecie także i teraz spodziewać się, z pomocą Boga, pewnego zwycięstwa? Czyż nie powinniśmy wszystkiego dokonać, aby uratować naszych kochanych braci w Pawii? Kto tego chce, niech podniesie rękę“! Wtedy podnieśli wszyscy rękę i krzyknęli: Z Bogiem! Jerzy nasz, tyś jest ojcem nas wszystkich, życie chętnie za ciebie i za tę sprawę położymy“!

Jan Terklaes hrabia Tilly, bohater z wojny trzydziestoletniej, był nie tylko jednym z najznakomitszych, lecz także z najbardziej wierzących wodzów swego czasu. Bardzo charakterystycznem jest, że wódz ten wychowywał się u Jezuitów. Walczył on, potykał się i zwyciężał z hasłem św. Ignacego, które wziął sobie za prawidło życia: *Omnia ad maiorem gloriam Dei* (Wszystko na większą chwałę Bożą!). Bohater ten prawdziwie katolicki, surowych obyczajów i pełen zaparcia się siebie zwycięzca w 36 bitwach, utkwił wzrok przy konaniu (1632) w stojący przy łożu śmiertelnem krucyfiks i rzekł: „W Tobie Panie zaufałem; dlatego nie będę zawstydzony na wieki“.

Inny bohater wojny trzydziestoletniej, marszałek polny *Gotfryd Henryk hrabia Pappenheim*, najwaleczniejszy z dowódców *Tillego* zwany także, z powodu swej nieokiełzanej śmiałości „katolickim *Bajardem* wojny trzydziestoletniej“, był jak najzupełniej oddany wierze katolickiej i cesarzowi, a żołnierze jego, równie go kochali

i bali się. Skoro śmiertelnie rannego uniesiono z pomiędzy walczących, powiedziano mu, że i jego przeciwnik, Gustaw Adolf szwedzki także padł w boju; natenczas rozjaśniła się jego twarz i zawołał: „Chwała Bogu, mogę odejść w spokoju, kiedy ten śmiertelny wróg wiary katolickiej, przedemną ten świat opuszcza".

Po sławnym polnym marszałku *hrabi Janie Aldringen*, o którym dopiero co wspominaliśmy, zachowuje rodzina *hrabiego Podstackiego-Lichtenstejna* różaniec, który ten pobożny jenerał zawsze przy sobie nosił w czasie wojny, i na którym wśród marszów się modlił. Dom swój *Am Hof* we Wiedniu podarował Papieżowi.

Marszałek polny *Rajmund książe Montecucculi*, niezwykle bogobojny bohater, dbał bardzo ściśle o zachowanie przykazań kościelnych; postów sumiennie, rzecby można skrupulatnie przestrzegał. Małe przekroczenie tego przykazania miało dać powód do utworzenia przysłowia, które się aż do dnia dzisiejszego zachowało. Pewnego piątku kazał on sobie podać na obiad jajecznicę, a nie mogąc w niej znaleść smaku, polecił wrzucić do postnej tej potrawy kawałeczek słoniny. W tem powstała burza i w chwili, w której przyniesiono na stół jajecznicę ze słoniną, padł niedaleko piorun. Wypadek ten przywiódł mu na myśl przykazanie postu; wstał, jajecznicę wyrzucił przez okno, a następnie wpółgniewny, iż musiał się obejść bez obiadu, wpół zadowolony, że nie przestąpił kościelnego przykazania, zawołał: *Voilà bien du bruit pour une omelette.* (Trochę to za dużo hałasu o jajecznicę!).

Hrabia *Jan Sporck*, najodważniejszy i najdzielniejszy obok *Jana de Werth*, dowódca jazdy cesarskiej, był bardzo pobożny i zawsze przed bitwą gorliwie się modlił w obliczu wojska, a słowa jego modlitwy proste, naiwne, trafiały wprost do serc żołnierzy. Tak n. p. przed bitwą pod *św. Gotardem* (1664) zsiadł, jak był zwykł, z konia, ukląkł, obnażył swą siwą głowę (miał wtedy lat 64) i zawołał zwróciwszy się ku niebu: „Wszechmocny Wodzu naczelny w niebiesiech, jeśli nie chcesz już dziś pomóc nam, Twoim prawowiernym chrześcijańskim dzieciom, nie pomagaj przynajmniej niewiernym Turkom. Będzie Ci to na cześć i pociechę"

Nieśmiertelny książe *Eugeniusz Sabaudzki* modlił się nie tylko przed każdą bitwą, nie tylko podczas walki, lecz i żadnego poranku dłuższego pacierza nie opuścił. Towarzysz jego marszałek

polny, *Gotfryd Ernest* z *Watgenau* był również przykładnie pobożnym; modlił się codziennie, po największej części głośno, półtory godziny przy zamkniętych drzwiach, a nawet w czasie oblężenia nie zaniedbywał tych regularnych nabożnych ćwiczeń. Potem przechadzał się z lunetą w ręku wśród najgęstszego deszczu kul i bomb, pełen ufności w Bogu, tak spokojnie, jakby mu się nic stać nie mogło. Skoro pocisk padał mu przed nogami, mawiał z uśmiechem, zwracając dziękczynny zwrok ku niebu: „Bogu niech będzie chwała, cześć, sława i podzięka!“ Nie chętnie widział, skoro drudzy schylali głowę przed kulami: „Stój prosto mój synu“, mawiał wówczas „nic ci nie będzie. Bóg jest naszym zbawcą!“ Przy tem wszystkiem jednakże nie był on wcale „bigotem“, „dewociarzem“, jak się złośliwie o ludziach pobożnych lubią wyrażać; nie uciekał od uciech towarzyskich, a np. Ojca *Abrahama a Santa Clara*, którego często w dom swój zapraszał, czcił jako kapłana, ale nie mniej kochał dla dowcipu, i niczem nie zrażającego się dobrego humoru.

Wielki zwycięsca z pod *Kolina* (1757), feldmarszałek *Leopold* hrabia *Daun* był gorliwym katolikiem, który i wtedy, gdy stał wśród gradu kul, w duchu łączył się modlitwą ze swym Stwórcą Nawet Prusacy, wrogowie jego, poświęcili mu następne pośmiertne wspomnienie: „*Daun* był mężem w najwyższym stopniu czcigodnym, niezmordowanie czynnym w pracach swego powołania, przy tem ściśle trzymającym się religii; w ostatnich latach swego życia nawet nieco skrupulatnym w zachowywaniu kościelnych przykazań i zwyczajów“.

Nie mniej bogobojnym był marszałek baron *Laudon*. Ułożył on sam i wydał „Katolicką książeczkę do nabożeństwa“ i rozdał ją między swych żołnierzy (1789).

A jakże pobożnym był wielki bohater arcyksiąże *Karol* zwycięsca z pod *Aspern*. Znaną jest rzeczą, iż bogobojne jego usposobienie i ufność w Bogu nie opuszczały go nigdy, ani w czasie wojny, ani w czasie pokoju, i że nigdy nie szedł na plac walki, nie podniósłszy przedtem swego ducha na modlitwie do Stwórcy. Ostatnie życzenie, które wynurzył swemu spowiednikowi było: „Przedewszystkiem niech Wasza Przewielebność nie ukrywa przedemną, skoro zbliży się godzina skonu. Proszę mi wtedy powiedzieć szczerze,

prawdziwie po niemiecku: „Nuże stary żołnierzu, przygotuj się, już czas do wymarszu!“

Ojciec Radecki, jak go żołnierze nazywali, był jednym z najpobożniejszych wodzów i swego i dawnych czasów. Przed każdą bitwą przemawiał w duchu religijnym do swych żołnierzy i zachęcał ich do ufności w Bogu. Chętnie także odmawiał różaniec. Razu pewnego gdy siedział na kamiennej ławeczce w obszernym podwórzu medyolańskiego zamku, nadeszło kilku żołnierzy, chcących użyć przechadzki. *Radecki* oddalił się, nie chcąc przeszkadzać spacerującym. Nagle jednakże wrócił spiesznie i zbliżył się do ławki. Tutaj żołnierze pokazywali coś sobie wzajemnie i robili szydercze uwagi przy oglądaniu jakiegoś przedmiotu. Na widok wodza śmiechy ustały, wszyscy z uszanowaniem przyłożyli ręce do czapek.

— „No, chłopcy, zapytał Radecki, czegóż się tak śmiejecie?“

— „Ojcze! brzmiała odpowiedź, znaleźliśmy różaniec na tej kamiennej ławce. Ciekawy to żołnierz, który odmawia różaniec“.

— „Tak! odparł sucho Radecki, dajcie no go tutaj; ja tutaj różaniec położyłem i właśnie go szukam“.

Moglibyśmy — tak kończy niemiecki pisarz zajmujące to sprawozdanie o niemieckich pobożnych wodzach, przytoczyć jeszcze wielu sławnych bogobojnych wojowników; na dziś niech kilku wystarczy. Może kiedyś przy sposobności napiszemy nieco o zagranicznych wodzach, którzy odznaczyli się pobożnością, a na których czele stoi i od nas tak wysoko ceniony król *Jan III Sobieski*. Wielki ten wódz, podobnie jak nasi austryaccy bogobojni wojownicy, jasnym są dowodem, że ludzie chełpiący się „z braku przesądów“, nie uznający światłości i wielkości religii, mogą być i są zazwyczaj bardzo lichymi żołnierzami; podczas gdy prawdziwie wielcy wodzowie nie zapominali nigdy, że jest nad nimi większy jeszcze, ostatecznie kierujący losami bitwy — najwyższy niebieski Hetman.

Wschodnia szkoła pod wezwaniem św. Jana Chryzostoma.

Szkoła wschodnia założoną została w Paryżu, przy kościele św. Juliana, który jest przeznaczony do odprawiania nabożeństwa obrządku wschodniego, grecko-katolickiego.

Zadaniem szkoły jest kształcenie dwunastu chłopców, rodem ze Wschodu, z których każdy przyjmuje imię jednego z Apostołów, i przygotowanie ich do życia apostolskiego wśród ich własnych współrodaków.

Zakład ten drobny wprawdzie obecnie, dla swej jednak doniosłości pozyskał protekcyę rządu francuskiego, poparcie i błogosławieństwo propagandy i Jego Eminencyi Kardynała, Arcybiskupa Paryża.

Jej Królewska Wysokość, Księżna Czartoryska jest honorową prezesową komitetu dam, założonego w tym celu, nad którym opiekę raczył przyjąć Dyrektor szkół wschodnich.

Osoby, któreby chciały wziąć udział w tej sprawie, zechcą nadsyłać swe wkładki i jałmużny na ręce W. O. Aleksego Kateba, przy kościele św. Juliana, albo do pani hrabiny R. de Mas-Latrie, podskarbniczki komitetu, Paryż, ulica św. Dominika, nr. 6.

Kościół św. Juliana (Saint-Julien-le-Pauvre) jest jedynym grecko-katolickim w Paryżu. Parafianie nie są liczni, lecz w większe uroczystości kościół jest przepełniony publicznością, którą tu sprowadza okazałość obrządków. W jednem z pism francuskich znajdujemy opis obchodu uroczystości Bożego Ciała w tym kościele.

„O godzinie dziesiątej, mnogi tłum podążał do przybytku pańskiego św. Juliana-Żebraka dla wysłuchania Mszy św. odprawić się mającej z wielką okazałością przez W. O. Aleksego Katebę, proboszcza greko-katolików w Paryżu. Zaintonował on naprzód piękne hymny św. Jana Chryzostoma, a chór składający się z kilku mieszkańców Wschodu, odpowiadał z wielką dokładnością na tak rozrzewniające modlitwy, tej Mszy św. Odśpiewano następnie Ἅγιος ὁ Θεὸς, poczem odczytano ewangelią. Po ewangelii, jeden z Ojców Marystów miał znakomitą przemowę do wiernych tegoż wyznania.

A po odśpiewaniu Οἱ τὰ χερουβὶμ obniesiono kielich i patenę, zawierające Przenajświętszy Sakrament. Credo, konsekracyę, modlitwy za Ojca świętego, za Patryarchę, za Jego Eminencyę Kardynała, Arcybiskupa Paryża, Ojcze nasz, odśpiewano w języku Homera.

Po skończonej Mszy, nastąpiła procesya z Najświętszym Sakramentem, towarzyszyło całe duchowieństwo przybrane w najbogatsze szaty, niosąc świece w rękach. Zaśpiewano nareszcie Alleluja i inne pieśni kończące uroczystość".

Druk ukończony dnia 26 października 1889 r.

EMIGRACYA LUDU POLSKIEGO DO NIEMIEC.

Dawno już nazwaliśmy się sami i inni nazwali nas narodem pielgrzymim; poeci obwołali nawet „pielgrzymstwo polskie duszą narodu polskiego“; wielu wespół z poetami mniemało — mniejsza o to, czy i o ile słusznie, — że pielgrzymowaniem tem, przez emigracyę, dojdziemy, niby żydzi na puszczy, „do ziemi świętej, ojczyzny wolnej“. Dziś nie istnieje emigracya jako przedstawicielka Polski, i nikt chyba nie nazwie „duszą narodu“ tych, którzy smutnymi losami, ciężką walką o byt przynagleni, opuścili ziemię ojczystą; przeciwnie nasuwa się coraz częściej i natarczywiej bolesne pytanie, czy wychodźcy ci nie są, w ogóle mówiąc, dla nas straceni; straceni nieraz już w drugiem, jeśli nie w pierwszem pokoleniu dla wiary, obyczaju, języka, nawet pamięci o ojczyźnie? Pytanie to tem ważniejsze i boleśniejsze, że dzisiejsze wychodźctwo, dokonywane nie w imię idei, ale w imię pieniędzy i chleba, nie ogranicza się na sferach wykształconych, związanych z krajem tradycyą, stosunkami, samą znajomością historyi, lecz obejmuje niemal wyłącznie lud polski; że zabiera nam nie setki, ale tysiące i dziesiątki tysięcy silnych ramion, polskich serc.

A gdzież, jak krwi za Napoleońskiej epopei, tak dziś potu nie przelewają polscy „wiarusi“ — wedle nazwy, którą sami lubią sobie dawać; polscy „niewolnicy“, wedle nazwy, którą nieraz i niestety! z zbyt wielką słusznością — czasem dla wzgardy, częściej z politowania — nadają im obcy!? W Stanach Zjednoczonych, licząc najsłabiej, pracuje pół miljona, a z tych b i e d u j e przynajmniej 450.000 Polaków; w Brazylii nie mało być musi również

wychodźców, kiedy dała się czuć potrzeba polskiego pisma, i w *Coritybie* wychodzi „Wiarus w Brazylii“; dla Polaków rozsypanych po Południowej Afryce, przeznaczone są dwa pisemka: „Trapista w Afryce“ i „List św. Józefa“; niemało też ziomków naszych w Australii, Bułgaryi, Anglii; niemało bodaj! polskich niewolnic, wywożonych przez sprytnych ajentów do Konstantynopola, na wschód daleki, do południowej Ameryki! Przed paru latami skarżył się lord *Brabazon* na wielkim meetingu, że fala polskich emigrantów zalewa cały okręg *Whitechapel*[1]. W tym samym mniej więcej czasie, tj. na wiosnę r. 1887 udało się władzy wejść na tropy interesu, prowadzonego z Budapesztu przez *Rosingera* i Spółkę, który w jednym tylko tygodniu uwiózł ze Lwowa i wysłał na wschód ośm dziewcząt[2]. Parę to przykładów, na chybił trafił przytoczonych. Od czasu do czasu wiadomości tego rodzaju dostają się do dziennikarskiej kroniki, a ileż razy nie dostają się, już nietylko do dziennikarskiej, ale w ogóle do niczyjej wiadomości; jak długo czasem trzeba czekać, nim podniesie się zasłona, ukrywająca oświęcimskie dramata, polowania na ludzi, formalny handel białymi niewolnikami w samym środku Europy!

Handel ten, choć w innym zapewne rodzaju, z nie takiem okrucieństwem i podłością, ale natomiast na wiele większą skalę przedsięwzięty, prowadzi od dłuższego już czasu mnogie zastępy robotników i robotnic głównie z Poznańskiego i Górnego Szląska, w znacznie mniejszej mierze z Prus Zachodnich, w najmniejszej z Galicyi i powiatów Królestwa z Prusami graniczących, w głąb niemieckiego cesarstwa, zwłaszcza do Westfalii, pruskiej Saksonii i samegoż Berlina. Robotnik polski, w domu nieraz leniwy, za granicą pod odpowiednim rygorem dokazuje cudów pracowitości i wytrwałości; cenią go też sobie zarządcy fabryk i kopalni, cenią ziemscy właściciele, berlińscy kupcy i przemysłowcy, a najrozmaitszego rodzaju ajenci i przedsiębiorcy wiedzą o tem dobrze i nie szczędzą starań, aby dostarczyć jak największej ilości silnych, małopłatnych, a wybornie się opłacających polskich rąk. W samej pruskiej Saksonii pracowało w ostatnich latach i pracuje od 80

[1] *Kuryer Poznański* r. 1887, nr. 101.
[2] *Dziennik polski* r. 1887, nr. 87.

do 100 tysięcy Polaków; w Meklenburgu i Westfalii znajduje się ich również kilkadziesiąt tysięcy; w Berlinie przynajmniej 30 tysięcy. Jak i dlaczego się tu dostali, jaka praca ich i losy, jakie życie religijne, moralne i narodowe; jak polską tę niejako wyspę, która w środku Niemiec się uformowała, można i należałoby ochraniać przed grożącym ze wszech stron zalewem niemczyzny i protestantyzmu, przed zobojętnieniem dla katolickiej wiary i obyczaju, ojczystej ziemi i języka? Zupełnie dokładnej, wyczerpującej odpowiedzi na te tak ważne pytania udzielić dziś nie łatwo, w części i nie podobna; przypatrzmy się przynajmniej jakby z daleka tej wyspie. życiu i cierpieniom jej mieszkańców; spytajmy, idąc za własnemi ich opowiadaniami, za opowiadaniami i listami ludzi, którzy długie miesiące żyli między nimi i pracowali, jak się biedne rozbitki na wyspę tę dostały, jak im na niej nie wesoło żyć, jak tęskno do ojczystej ziemi, – a w tej tęsknocie nad rzekami Babilonu stojąc, pocieszają się tylko myślą o innej, lepszej ojczyźnie, z której ich nikt już i żadna potrzeba, żadna bieda nie wypędzi...

Jakoż główna przyczyna, pędząca wychodźców polskich w głąb Niemiec, jest ta sama, która ich pędzi za Atlantyk: chęć polepszenia swej doli; zebrania trochę pieniędzy na starość, na wiano; czasem poprostu głód. Do tych istotnych, wewnętrznych przyczyn, które zawsze smutną emigracyę mogą w pewnej mierze wytłumaczyć, a nawet w pewnych warunkach i okolicznościach zaliczać ją zmuszają do gorzkich, bardziej czasem, co prawda, od samej choroby niebezpiecznych lekarstw, — dołączyć należy inne zewnętrzne niejako przyczyny. Przyczyną taką na pierwszem miejscu to zgraja energicznych przedsiębiorców, sprytnych ajentów, którzy krążąc po Poznańskiem i Szląsku, łudzą wygórowanemi obietnicami, wysyłają całe karawany robotników na zachód i wyborne na tem robią interesa. Ajent — z nielicznymi wyjątkami żyd — pobiera od głowy, za samo namówienie do jazdy, talara aż do trzech, czasem, ale rzadko czterech i pięciu talarów, które następnie z zarobku ciężko pracujących robotników bywają potrącane. Jeśli więc np. jednemu lub paru ajentom uda się, jak np. udało się w połowie kwietnia b. r., wysłać nadzwyczajnym pociągiem 1000 osób i to przeważnie

z jednego tylko powiatu prudnickiego na Górnym Szląsku [1], domyśleć się łatwo, jaki to prawdziwie złoty interes. Nie szczędzą też werbownicy starań i pracy, i sami znów na swą rękę zaciągają ajentów i ajentki z miejscowej ludności. Oto np. list, wzywający pewną, znaną już widać dobrze naszym handlarzom, dziewczynę w *Krobskiem* do ponownego zajęcia takiej posady [2].

Altzendorf 4 stycznia 1889.

„Do Panny...

„Jak w roku przeszłym, tak i tą razą przesyłamy Ci listę, na której muszą się podpisać te dziewczęta, które w tym roku chcą znowu do nas wstąpić jako pracownice.

„Warunki są te same, co w roku przeszłym. Potrzebujemy stamtąd 90 osób i to, o ile możności, samych porządnych dziewczyn; mężatki i małe dziewczątka mogą być przyjęte tylko w razie koniecznym. Po przyjęciu potrzebnej ilości dziewczyn odeślij zaraz listę opatrzoną w podpisy. O wyjeździe stamtąd napiszemy później raz jeszcze; chwilowo chodzi nam o dowiedzenie się, ile dziewczyn zgodziło się na nasze warunki i chce przybyć na wiosnę. Oczekujemy o tem doniesienia w przeciągu ośmiu dni i nadmieniamy raz jeszcze, że za Twoje starania otrzymasz od osoby 50 fenigów".

Uniżeni

Koelme, Luecke, Boeckelmann.

Przezorni autorowie tego okólnika, rozesłanego z pewnemi koniecznemi zmianami do licznych polskich wsi i miasteczek, nie dołączyli do swej odezwy warunków pracy i zapłaty, zadawalniając się wygodną i do niczego nieobowiązującą wzmianką, że są one „te same, co w roku przeszłym". Zarabiając na każdym wychodźcy najmniej talara, odstępują z tego wspaniałomyślnie swym ajentom, na których składają właściwie całą pracę i odpowiedzialność, aż 50 fenigów! A ileż w drodze dopiero wyłudzą marek i talarów od biedaków, nieznających niemieckiego języka, nie wiedzących gdzie

[1] *Katolik* z 19 kwietnia 1889.
[2] *Kuryer Poznański* z 7 lutego 1889.

się obrócić w obcym kraju, między obcymi ludźmi, którzy w dodatku niechętnie patrzą na „polskich Chińczyków“, odbierających im wyższy zarobek?! To też wszyscy bez wyjątku, którzy sprawą emigracyi polskiej do Niemiec z obowiązku lub poświęcenia się zajmują, przestrzegają raz po raz: „Strzeżcie się popaść w ręce niesumiennych stręczarek i pokątnych ajentów!“ Tak, zarząd berlińskiego stowarzyszenia polskiego „Przytulisko“, zaklina i prosi w ogłoszonej w dziennikach odezwie:[1] „Odzywamy się do ojców, a mianowicie matek Polek, aby nie pozwalały swoim dzieciom, swoim córkom opuszczać stron rodzinnych, jeśli chcą uniknąć ich nieszczęścia, a nieraz i hańby... Niech opiekunowie, niech Wielebne Duchowieństwo zechce zwrócić większą jeszcze uwagę na tak lekkomyślną częstokroć i nierozsądną wędrówkę ku zachodowi“. Pewien znowu ksiądz z Saksonii posłał następne, smutnymi faktami poparte ostrzeżenie do jednej z gazet wrocławskich, prosząc wyraźnie pisma polskie, aby słowa jego starały się jak najszerzej rozpowszechnić[2]:

„Robotnicy szląscy i poznańscy powinni się mieć pilnie na baczności, aby nie wpadli w sidła ajentów, którzy im w Saksonii złote góry obiecują. Jak wielka jest niesumienność tych ajentów, o tem donosi pewna ultraliberalna gazeta drezdeńska w korespondencyi ze Zgorzelic: „W sobotę rano przybyło na tutejszy dworzec kolei żelaznej około stu polskich robotników w towarzystwie czterech ajentów z Wrocławia i pojechali dalej do Drezna. Ajenci nie dotrzymali snać uczynionych obietnic, bo jeszcze przed odjazdem pociągu zażądało kilkunastu wychodźców pieniędzy na podróż, mówiąc, że inaczej dalej nie pojadą. Ale prośby i groźby nic nie pomogły; ajenci wepchnęli biedaków siłą do wagonów i pociąg ruszył dalej. Czas byłby prawdziwie położyć raz koniec takiemu postępowaniu, które zbyt uderzająco przypomina handel niewolnikami“. „O całej tej, bądź co bądź ważnej sprawie — pisze dalej saski kapłan — mało dotąd z prasy naszej można się było dowiedzieć, dla tego wdzięczni jesteśmy liberalnemu, drezdeńskiemu dziennikowi, że kwestyę tę poruszył. Pewna dziewczyna z Górnego Szlą-

[1] *Kuryer Poznański* z 30 marca 1888.
[2] *Katolik* z 6 marca 1888.

ska opowiadała mi, że w Zgorzelicach spotkała się z gromadką, złożoną z 55 dziewcząt z Poznańskiego i Szląska, a prowadzoną przez jednego ajenta. Gdy się ich zapytała: Dokąd jedziecie? — odpowiedziały: „Ajent nam powiedział: do Lipska; więcej nic nie wiemy". — Rzeczy zaszły już tak daleko, że same gazety tu nie poradzą; obowiązkiem jest posłów szląskich poruszyć w sejmie tę kwestyę nowomodnego handlu niewolnikami i wezwać rząd, aby zwrócił czujniejsze oko, niż dotąd, na ajentów i ajentki. Prusy przecież nie mogą spokojnie patrzeć na to, jak niesumienni ajenci wyzyskują i oszukują rocznie tysiące pruskich poddanych. Praktycznie rzecz biorąc, byłoby może dobrze, aby utworzyło się dla Szląska i Poznańskiego stowarzyszenie, które zaopiekowałoby się polskimi robotnikami, szukającymi pracy w Saksonii; stowarzyszenie to zawiązaćby się mogło na wzór „Towarzystwa św. Rafała", mającego na celu opiekę nad katolickimi wychodźcami do Ameryki... Niech też gazety szląskie i poznańskie pouczają i przypominają wszystkim, którzy się tu wybierają na robotę, aby nie podpisywali kontraktów, które ich potem niemiłosiernie wiążą, chociaż ich nie zrozumieli. Nie ma zresztą żadnej racyi ani potrzeby dla robotników udających się do Saksonii, spisywania takich kontraktów; ajenci wybornie o tem wiedzą, a używają tego środka dla tego tylko, aby biedni, niedoświadczeni ludzie nie wymknęli się im przypadkiem z zastawionych sideł".

Niesumienność ajentów i niebezpieczeństwa związane z wędrówką na zachód stwierdziły kilkakrotnie i rządowe, pruskie organa. Tak np. landrat opolski wydał w lutym 1888 r., następne rozporządzenie do zależących od siebie sołtysów[1]: „Liczni robotnicy z naszego okręgu poszukują pracy w dalekich stronach, co przyniosło już za sobą wiele ujemnych skutków. Bardzo często słychać skargi, że uczynione przez ajentów obietnice co do płacy i żywności nie zostają dotrzymywane. Bardzo często gminy tutejsze płacić musiały za podróż i leczenie tych, którzy w Saksonii się rozchorowali; nadto oddalenie tylu młodych ludzi od rodzinnego domu, mieszkanie całemi masami po wspólnych kwaterach, źle oddziaływa

[1] *Katolik* z 6 marca 1888.

na dobre obyczaje. Dla tego każdy, który chce się udać w dalsze strony za zarobkiem, niech wprzód dokładnie się wywie i zapewni o rodzaju roboty, sposobie życia, wielkości zapłaty i t. p. Rodzice i przełożeni gmin niechaj nie dozwalają oddalać się, jak tylko ludziom zdrowym i statecznym, o których można mieć nadzieję, że potrafią się oprzeć szkodliwym wpływom, na które będą wystawieni".

Równie katolicki ksiądz, jak pruski landrat malują w niewesołych kolorach życie robotników polskich, zagnanych do niemieckich prowincyj. I jeden i drugi nie mówi: „Nie idźcie tam zupełnie", bo wie, że to nie raz wędrówka „za chlebem", w najściślejszem tego słowa znaczeniu; ale i jeden i drugi zachęca: „O ile możecie, nie idźcie", a jeśli już chcecie, czy zdawałoby się, musicie stoczyć tę ciężką walkę o życie, o byt, zapytajcie się wprzódy sami siebie, czy wasze ciało i dusza wyjdą z tej walki bez szwanku, zabezpieczajcie się, jak możecie, przed niebezpieczeństwami grożącemi waszemu zdrowiu, wierze, moralności!

Smutno już w tych wagonach, w których wędrowcy, cisnąc się jeden na drugiego, z troską w sercu, z żalem za rodziną, pędzą nieznaną drogą w obcy kraj. Przybyli wreszcie na miejsce przeznaczenia; ajent formuje oddział ze stu, dwustu lub więcej ludzi, i prowadzi do osobno dla robotników wystawionych olbrzymich koszar. Nazajutrz iść trzeba do pracy: kobiety przeważnie do uprawy lub kopania buraków, i do fabryk; mężczyźni znów naturalnie przeważnie do fabryk i kopalń. „Roboty — czytamy w cytowanej już odezwie berlińskiego *Przytuliska* — w ogóle ciężkie i trudne, tak, że zwłaszcza kobiety nie są nieraz w stanie im podołać". Słowa te znajdują najzupełniejsze potwierdzenie w listach samychże robotników; ich też proste opowiadania zaznajomią nas najwymowniej z pracą wychodźców naszych w Niemczech, z jej warunkami, z wielkością zarobku. Pewien górnik, pracujący w kopalni węgla w *Roedlitz* w Saksonii, tak o tem wszystkiem donosi[1]:

„Pilnie czytajcie, bracia Wiarusy, co wam piszę z Saksów. Przeszło trzydziestu nas tu pracuje w kopalni węgla, co pochodzimy z Górnego Szląska; najwięcej zostaliśmy przez chytrych ajen-

[1] *Katolik* z 30 marca 1888.

tów sprowadzeni; kilku nas zabrał przed dwoma laty (zatem w r. 1886) pewien dyrektor, pochodzący z Katowic. Przyobiecano nam dziennego zarobku na ośm godzin, 3 marki do 3·30 m.; a teraz już tak nisko płacą, że od 2 do 2·70 m. tylko zarobimy. Każą nam czasem robić nawet w niedzielę, ale to nie przyniesie żadnego błogosławieństwa... Miałbym wiele do pisania, ale moja ręka jest bardzo ciężka, bo też robota jest cztery razy tak ciężka jak w Szląsku, więc wszystkich ostrzegam, którzyby mieli zamiar do Saksów jechać do roboty. Wiele trafiłem tu naszych dziewczyn... choć one zarobią 1 mk. dziennie, to cóż im pozostanie, gdy wszystko bardzo drogo trzeba zapłacić. Nie jeden radby nazad powrócić ze żoną i dziećmi, ale nie ma na drogę. Robota przy kopaniu węgla bardzo ciężka, gdyż go strzelać nie śmią, jak na Szląsku, bo wtedy wszyscy nieszczęśliwi jak w r. 1884, gdy zostało 17 górników spalonych na tej samej kopalni, gdzie teraz my, przeszło 30 Szlązaków, pracujemy; a przytem tak gorąco, że wszyscy nago pracujemy, tylko czapka na głowie, a rzemyk na karku do powieszenia na nim lampy. Jeszcze raz wszystkich ostrzegam, aby nie wpadli w nieszczęście, a nie szukali w Saksach chleba o dwóch skórkach, gdyż tu jest o wiele droższy; a po drugie, możecie być szczęśliwi, że macie, co najważniejsze, wszędzie wasz Kościół i księży, którzy was nauczają wiary świętej. Pozdrawiam was bracia Górno-szlązacy;... tymczasem sobie życzymy, żeby nam Pan Bóg pomógł, nazad do Was powrócić".

Boleśniej jeszcze brzmi opowiadanie innego, również z Górnego Szląska pochodzącego górnika, który na krótki czas powrócił do stron swych rodzinnych. „Przed trzema latami, pisze w liście z lipca 1888 r.[1], wywędrowałem pierwszy raz do Saksonii i pracowałem w kopalni miedzi w *Mansfeld*. Tam pracowaliśmy 8 godzin, a zarabialiśmy 3·50 mr. do 3·80 mr.; górnicy zarabiali 4—5 mr. Lecz kiedy się nas nazjeżdżało na parę set z Górnego Szląska, z Księstwa Poznańskiego i Prus Zachodnich, wtenczas zarabialiśmy znowu licho. Nie jeden musiał znowu wyjechać... Na soli zarabiają jeszcze dzisiaj w *Stusfurcie* lepiej, aniżeli na Górnym Szląsku, a praca trwa 8 godzin, a robotnika żaden sztajger nie poniewiera... Ja przybywszy tu na Zielone Świątki do przyja-

[1] *Katolik* 31 lipca 1888.

cieli, myślałem, że pozostanę znowu u swoich. Ale, gdzie tam! nie mogłem pracy znaleść i muszę znowu uchodzić z ojczyzny, aby znaleść w obcej ziemi zatrudnienie". — To wyjątek z jednego listu; podobne ostrzeżenia i listy, adresowane to do rodziny, to do gazetek ludowych, bardzo liczne. Czasem zbyt uciśnięci, straciwszy cierpliwość, uciekają się nawet pod opiekę władzy. Tak np. dwie robotnice, pochodzące z Gliwic, wysłały z *Penig* pod *Rochlitz* na wiosnę r. 1887, obszerne pismo[1] do policyi gliwickiej, formalny akt oskarżenia przeciw swym chlebodawcom i dozorcom, którzy i je i inne robotnice traktują jak zwierzęta, odmawiają należnej płacy, nie pozwalają uczęszczać do kościoła...

Z ciężką pracą i materyalną nędzą łączy się stokroć gorsze niebezpieczeństwo i złe: zatrucie ducha, którego pierwszym symptomatem, zapomnienie lub wyrzeczenie się ojczystej mowy, za czem ślad w ślad idzie zazwyczaj utrata dobrych obyczajów, czasem i wiary. Nie wszyscy zapewne winni, co po polsku zapomnieli, lub zwolna zapominają; ale wszyscy bardzo pożałowania godni. Skarzą się też gorżko biedacy z początku, że się z Niemcami rozmówić nie mogą; potem, że łatwiej im już po niemiecku, niż po polsku mówić; choć sądząc z listów, nie mówią, a w każdym razie nieraz nie piszą ani po niemiecku, ani po polsku, ale jakimś trzecim, dla niewtajemniczonych niezrozumiałym językiem, którego, co prawda, wynalazek zawdzięczyć głównie należy dzisiejszemu szkolnemu systemowi w Prusach. Oto, co pisze w tej mierze pewien wykształceńszy widocznie i energiczniejszy od innych Górnoszlązak, pracujący w *Alsladen* w Westfalii[2]:

„Przebywam przez blisko dziewięć lat w tutejszej niemieckiej krainie, a mając kwaterników u siebie, widziałem, gdy dostaną listy od swoich ojców, albo od przyjacieli, to go żaden przeczytać nie potrafi. Ja także otrzymałem przed niejakimś czasem od mego brata, służącego przy wojsku list, ale go żaden w całym domu nie był w stanie przeczytać, bo to nie było ani po niemiecku, ani po polsku, i pomyślałem: cóż z tego, że teraz dziecko od szóstego do czternastego roku chodzi do szkoły, kiedy się za pomocą pisma

[1] *Kuryer Poznański* z 3 lipca 1887.
[2] *Katolik* z 21 sierpnia 1888.

z nikim porozumieć nie może... Wszak to trochę szwandrowania niemieckiego nie można nazwać mową. Ja mieszkając tu pomiędzy cudzoziemcami, widzę, co się tu z młodzieżą dzieje, która tu z Górnego Szląska przybywa. Niektórzy z nich chcąc napisać do domu sami nie potrafią, a innego nie mogąc znaleść, żeby im napisał, to wcale nic nie piszą do domu. Niejeden syn już dwa lata, albo więcej we świecie, a matka i ojciec nie wiedzą, gdzie się ich dziecko tuła, albo jeśli jeszcze żyje i nie mogą je napomnieć, we wierze utwierdzić, bo tu nie ma żadnego, coby je przestrzegł i od złego wstrzymał... Ja już pracuję blisko dziewięć lat w Niemczech, a jeszcze polskiego języka nie zapomniałem, a moje dziatki go także używają, chociaż wszystkie w Niemczech rodzone. Niejeden z naszych ziomków górnoszląskich, przebywszy tu dwa albo trzy lata, to mówi, że już dobrze po polsku nie potrafi, że mu się język szmatle; dzięki Bogu, tego o sobie powiedzieć nie mogę, bo nie tylko, że nic nie zapomniałem, ale nawet jeszcze lepiej się w języku polskim wydoskonaliłem, bo pilnie czytam polskie pisma i gazety. Ach! jakby się serce moje rozradowało, kochani bracia i siostry górnoszląskie, gdybym z wami mógł zaśpiewać razem np. „Witaj Królowo, Matko litości“, lub inną pieśń, bo tu chociaż w kościele z Niemcami śpiewam niemiecką pieśń, to serce tego nie czuje i pozostaje obojętne“.

W innym tonie przemawia czupurny jakiś junak z Saksonii, który zbyt idealistycznie, z zapomnianem już dziś gdzie indziej optymizmem, na świat się patrząc, zapomina, że nie wszystko i wszędzie dziś możliwe, co się zgadza z rozumem, z prostą sprawiedliwością, zapomina, że dawno znani z przysłowia sędziowie z Berlina wyjechali[1]: „Mają słuszność Niemcy, gdy się z nas wyśmiewają... Oni inaczej radzą o sobie. Gdy przyjdą w nasze strony, to muszą mieć zaraz niemieckie szkoły, a kiedy Polacy przyjdą tutaj, to się żadne dziecko polskiej szkoły nie doczeka, ani też Polacy nie mają tyle odwagi takiej szkoły żądać, iżby ich dzieci w niej rozumiały. Polak jest i pozostanie ciemnym w głowie i musi płacić za niezrozumiałe ćwiczenia, a dać dzieci swoje bić niepotrzebnie, tylko z tej przyczyny, iż nie mogą cudzego języka pojąć.

[1] *Katolik* z 18 września.

Trzebaby takim panom zawsze odważnie się pokazać, iść do nich, po polsku to przedstawić, iż tak nie idzie, a kiedy kto powie: *Ich verstehe Sie nicht*, to mu odpowiedzieć: *Ja też nie.* To będziemy widzieć kto będzie głupszy; ten co zrozumiał, czy ten co wcale nie zrozumiał. Ale to trzeba wszystko zrobić bez djabelskiego pomocnika-wódki, w największej trzeźwości i spokoju. Może mi kto odpowie: To nie idzie, taka rada głupia z Niemcem się w ten sposób rozmawiać. Dobrze, ale jakoż robią Niemcy, czy oni do ciebie po polsku gadają, jak do ciebie przychodzą? Nie, zawsze po niemiecku i toż z tej przyczyny oni są nad nami. Gdybyśmy także zawsze ino po polsku z nimi mówili, toby się oni prędzej musieli nauczyć polskiej mowy, jak my niemieckiej, bo oni są uczonymi, a my, nie uczonymi. Oni chodzili do gimnazyów, a my — tylko do wiejskiej; niejeden z nas wcale do żadnej szkoły. A któż się teraz może i musi prędzej czego nauczyć: uczony albo nieuczony? Widzisz Polaku, kiedy ty powiesz: Ja nie rozumię po niemiecku, to tobie nic nie szkodzi i nie potrzebujesz się wstydzić, boś ty nie chodził do wysokich szkół; ale kiedy taki uczony, niech będzie kto chce, powie: *Ich versteh' nicht*, to sobie ty możesz pomyśleć: No! toś mi ty uczony, kiedy ani prostego chłopa nie możesz zrozumieć! A któż się potem musi wstydzić: Uczony, czy nieuczony?"

Więc i w głębi Niemiec między polskimi górnikami i wyrobnikami dwa widoczne odcienia: i tutaj biali i czerwoni, którzy równą podobną miłość czują dla tego, co im całą niejako ojczyznę przedstawia, dla rodzinnego języka; a choć innymi idą drogami: jedni wytrawniej niejako, drudzy goręcej, mniej rachując się z okolicznościami, wśród których żyją, miłość tę swą objawiają, — to na szczęście na niechętne stronnictwa jeszcze się nie podzielili, nie kłócą się jeszcze, kto lepiej swój język kocha; nie słychać okrzyków: Wstyd egoistom! — wstyd szaleńcom! Co rzeczywiście i wstydzi i smuci, to, że w środku między owymi białymi i czerwonymi znajduje się pewna liczba szarych — ludzi nieraz dobrych, ale słabych, lękliwych, w trudnych warunkach zostających, którzy dziś po polsku już prawie nie umieją, lub co gorzej, mniej chętnie używają rodzinnej swej mowy i chełpią się z tego, że się trochę po niemiecku poduczyli; a dzieci ich za lat parę, kilkanaście, kto

wie, czy się z tego chełpić nie będą, że mówią wyłącznie językiem niemieckim, że zrównali się w tym względzie z swymi dozorcami i panami. Dziś już dzięki niemczącemu na zabój systemowi szkolnemu, listy pisane po polsku, ale zgłoskami gockiemi lub dziwną mieszaniną liter łacińskich i niemieckich, nie należą do rzadkości. Prawda, że pożal się Boże! jaka to polszczyzna; i uszy i serce boli, a nie tylko czytających, ale nieraz i samych piszących. Żalą się oni, jak w liście do „Wielkopolanina“ żali się pewien młody Polak, który będąc w Niemczech w wojsku, po niemiecku się nie nauczył, a po polsku zapomniał[1]:

„Jak *ja*[2] *sei* nei *mam* Ma*r*kocic, ze tu ludze my muwjo: tosc ty nei jezdes Pol*a*kom, tylko Neimcym; po polsku nei umisz dopze gadasc. O koch*ana* red*a*kcya, *jaka* to za*l*osc co ja *mam* ze Ojcec Dz*a*dek i pr*a* Dz*a*dek nej umjeli po nejmecku *a ja* to po Polsku nei mogę“.

Ten „Pul Poli*a*k pul Neimjesc“, jak sam się podpisał, poznał swą biedę i zaradzić jej pragnie, czytając polskie gazetki i książki „co Dzei*n a* jy choc Godzyne *ja*k nei*m*a dłuzy casu“. To też list jego zrozumieć przynajmniej można; trudniej dopytać się sensu w listach paru innych Polaków, którzy sami podobno nie rozumieją i nie czują żałości, „że po polsku nie mogą“, ale dlatego właśnie tem bardziej pożałowania są godni.

„Dos*ch v*as *naj*tbsod posdravam vystich, — pisze jeden, — vesbat Bria*d*a schostry Muter som*s*adov psocieli; dosch vam do*j*em do vodomości, isech sam *st*rovi jescz smakuje boch sam jest strovschi jak iech vdoma pęł asam novyko *n*ima jeny *v*systko stare[3]...

Takim, i gorszym, mniej zrozumiałym językiem napisanych listów, wiele możnaby przytoczyć; ale i tych parę przykładów wystarczy podobno, aby powtórzyć całem sercem z poczciwym Górnoszlązakiem, pracującym w Westfalskich kopalniach[4]: „Kochani bracia i siostry, pielęgnujcie wy przynajmniej ten język ojczysty teraz w domu, żeby dzieci, gdy wyjdą ze szokły, aby tym językiem

---

[1] *Kuryer Poznański* z 9 kwietnia 1889.

[2] Litery drukowane kursywą, są w oryginale pisane literami niemieckiemi.

[3] *Katolik* z 15 maja 1888.

[4] *Katolik* z 21 sierpnia 1888.

porozumieć się mogły z wami, bo z tego co się w szkole nauczą nie wiele im zostanie, a jakby jeszcze i ojczysty język zapomniały, to nie wiem, jakby się z wami rozmówiły“...

Jak uchronić można, jak uchrania od zaguby, jeśli już nie od skażenia, pewna przynajmniej liczba wychodźców polskich w Niemczech, skarb rodzinnego języka? Przez czytanie polskich gazetek i książeczek; przez rozsiane już dziś po Niemczech polskie stowarzyszenia i organizowane przez nie uroczystości, zebrania, zabawy. Chęć do czytania musi być wielka, kiedy w *Eisleben* powstało przed dwoma latami osobne, dwa razy tygodniowo wychodzące pisemko „Górnik“, i strat, zdaje się, nie ponosi. Nadto idzie w te strony dużo szląskich i poznańskich gazetek ludowych, a przyjęcia i szacunku, jakiego gazetki te na bibulastym papierze, przetartemi czcionkami drukowane tutaj doznają, pozazdrościćby im mógł niejeden wielki i poważny lwowski lub krakowski organ. „Radzę wam bracia, napomina górnoszląski robotnik, pracujący w *Lindenhorst* w Westfalii [1], abyście się mocno wzięli do czytania gazet katolickich, aby was nie wyśmiano i nie poniżono wśród innych narodów. Kto nie chce słuchać księdza, ani redaktora, albo katolickiej gazety, ten zostanie głupim... O tych Niemcach sam się przekonałem, że z gazet wszystkiego się nauczyli. A więc i jam się też pilnie postarał i dałem sobie przysłać „Katolika“ i mówiłem sam do siebie: to nie prawda, to nie może być, żeby Niemiec był mędrszy, jak Polak. I tak się prawdą wykazało, bo już nie wiele do trzech lat brakuje, jak „Katolika“ czytam i jestem z niego kontent; i czytam teraz też nasze nowo zbudowane przez redakcyę „Katolika“ pismo, pod tytułem „Światło“. Także już od początku abonuję i czuję sam, żem jest inny człowiek jak przedtem i nie potrzebuję się więcej Niemcom przysłuchiwać, bo już to samo wiem i jestem mądry w każdej sprawie... Tylko przy czytaniu też trzeba rozważać i z każdego słowa wziąść naukę. Mnie się zda teraz, że gdybym czytać zaprzestał, tobym też i żyć zaprzestać musiał i dla tego choćby „Katolik“ trzy marki kosztował na kwartał, a „Światło“ też, daję piśmiennie, że podwiela mi Pan Bóg życia nie przemieni, to „Katolika“ nie zaniecham, bo „Katolik“ to jest nasz

[1] *Katolik* z 13 stycznia 1888.

górnoszląski apostoł, bo on odbiera człowiekowi lekkomyślność, a da mu inny rozum doskonały do wszystkiego, co jest na świecie. A tu niektóry człowiek, ciemny jak lampa bez oleju, gdy go drugi namawia do czytania, to mówi, że on jest mądry dosyć!...“

Inny górnik, również pracujący w Westfalii, w kopalni węgla, podobnież opowiada i napomina[1]: „Mamy tu dobrą sposobność do czytania gazet i książek pożytecznych, ale tego właśnie brak pomiędzy nami i zamiast oświaty szerzy się pijaństwo i lekceważenie religii. Zaniechajmy wódki, a sprowadźmy sobie pożyteczne książki; zamiast wódki na stole (co niestety! bardzo często u nas Polaków trafić można), niech tam będzie na tem miejscu dobra książka, a zakwitnie pomiędzy nami inne życie“.

Westfalscy nasi korespondenci, a wespół z nimi i saksońscy, szlachetnym zapałem ożywieni, nie tają niezadowolenia, że towarzysze ich tak mało czytają, tak w nielicznych egzemplarzach sprowadzają sobie polskie gazetki i książeczki. Dla nas i to pociechą, że z pośrodka samychże robotników odzywają się takie głosy niezadowolenia; że są między nimi nietylko już tacy — bo tych bądź co bądź znaczna liczba — którzy pisma polskie i pilnie czytają i regularnie za nie płacą, ale i tacy, którzy poczuwają się do obowiązku zasilania tych pism swemi sprawozdaniami, rozszerzania ich w najbliższem swem kółku. Do obudzenia tej miłości dla polskich pism, a biorąc rzeczy ogólniej i z wyższego punktu widzenia, do utrzymania, czasem i do obudzenia należnej miłości dla rodzinnego języka, przyczyniają się również nie mało założone już i wciąż zakładające się po różnych miastach i miasteczkach, fabrykach i kopalniach, polskie stowarzyszenia. I kusić się trudno, nietylko już o wyczerpującą historyę, ale i o podanie jakkolwiek dokładnej cyfry tych stowarzyszeń: wiele z nich żyje „życiem motyla, nie dłużej“; niektórym zadaje przedwczesną śmierć już na pierwszem lub drugiem zebraniu nieszczęsne *veto*, i to nie koniecznie rządowe, ale nasze polskie *veto*; inne, przeżywszy lat parę, rozpływają się jakoś same w nicość, a choć nikt urzędownie ich śmierci nie sprawdził, to pewna, że nie istnieją; inne jeszcze istnieją, ale zasklepione

[1] *Katolik* z 27 sierpnia 1889.

w swej skorupce, na szerszy świat boją się głowy pokazać; — a tak o reszcie dopiero, do żadnej z powyższych kategoryj nie należących, można głównie ze sprawozdań ogłaszanych po dziennikach, jakąś powziąść wiadomość.

Najwięcej z natury rzeczy stowarzyszeń polskich utworzyło się w Belinie, bo tu Polaków najwięcej — od 30 do 40 tysięcy — w jednem ognisku zgromadzonych. Istnieje tu: „Towarzystwo polsko-katolickie“, założone w r. 1887 Towarzystwo „Stella“, „Towarzystwo „Obywateli polskich w Berlinie“, „Sokół polski“, „Przytulisko“, Towarzystwo „Polek“, z początkiem bieżącego roku założony „Piast“, Towarzystwo „Przemysłowców polskich“. Z wydanego za rok 1888 sprawozdania *Towarzystw Przemysłowych* dowiadujemy się, że „Towarzystwo polsko katolickie“ w Berlinie liczyło w roku tym 162 członków; „Towarzystwo przemysłowców polskich“ w Berlinie 115 członków; „Towarzystwo polskie“ w Kolonii 28 członków; Drezdeńskie „Towarzystwo przemysłowców polskich“ 27 członków, Lipskie 19; Kamienieckie Towarzystwo „Jedność“ około 15. Wreszcie istniało jeszcze w Ahlsdorf w prowincyi saskiej polskie „Towarzystwo robotników katolickich“, Towarzystwo „Nadzieja“ w Hamburgu; Towarzystwo św. Tadeusza w Gerresheim pod Düsseldorfem; istniały bezwątpienia i inne, ale o tych i śladu trudno dopytać.

Ogólny cel wszystkich tych stowarzyszeń: utrzymywanie narodowego ducha i łączności między rodakami, udzielanie moralnego i materyalnego ratunku nieprzezornym, oszukanym, dotkniętym chorobą lub nędzą wychodźcom. Cel ten starały się zarządy stowarzyszeń osiągnąć za pomocą składek i wkładek, peryodycznych odczytów, prenumerowania dla członków polskich pism, i urządzania z polskich książek złożonych biblioteczek, teatrów amatorskich, wycieczek, zabaw z tańcami i śpiewami. Tak np. berlińskie „Przytulisko“ urządziło 1 września b. r. zabawę, w czasie której amatorowie odegrali sztuki: „Żyd w beczce“, „Złoty Cielec“, i „Piosnka Wujaszka“ a następnie wespół z słuchaczami wesoło gwarzyli i tańczyli. Podobne, również z teatrem amatorskim połączone zebranie, miało miejsce i roku zeszłego. Z dochodów z tych zabaw, z wkładek członków i z składek dobroczyńców, utrzymuje „Przytulisko“

osobne mieszkanie [1], w którem biedą dotkniętym rodakom dają bezpłatnie przez dni trzy nocleg, śniadanie, obiad i kolacyę, a w razie uznanej przez zarząd potrzeby, wyprawia ich na swój koszt do stron rodzinnych. W r. 1888 udzieliło „Przytulisko“ wsparcia 270 mężczyznom i 10 kobietom ze wszystkich dzielnic Polski; noclegów udzieliło 695, śniadań 664, obiadów 422, kolacyj 570; dało trzem nędzarzom najpotrzebniejszą odzież; urządziło dla berlińskich biedaków gwiazdkę i święcone; odesłało w części swem kosztem, w części za swem staraniem 17 osób do kraju. — Członkowie Towarzystwa „Polsko-katolickiego“ w Berlinie [2] zebrali się w drugiem półroczu 1888 r. na 22 zwyczajnych posiedzeń, jedno półroczne, jedno kwartalne; kilkanaście zajmujących odczytów uprzyjemniło i dodało wartości tym posiedzeniom. Nadto „Towarzystwo“ urządziło cztery zabawy i wycieczki, wspólną wilię. Biblioteka „Towarzystwa“ składa się z 948 dzieł. — „Towarzystwo Obywateli polskich“ w Berlinie zajęło się w ostatnich miesiącach szczególnie biedną polską dziatwą, i gromadzi około sto polskich chłopców i dziewczyn w wynajętym przez siebie ogródku, zachęca do ochoczej zabawy, uczy ich polskich pieśni, miłości ojczystej wiary i mowy. — Towarzystwo „Stella“ przed dwoma dopiero latami, jak wspomnieliśmy, powstałe, urządziło w roku zeszłym trzy tańczące zabawy, jedno amatorskie przedstawienie, kilkanaście odczytów dla członków; w bibliotece znajdowało się po przeszło roku istnienia tylko 25 książek. Hamburgskie Towarzystwo „Nadzieja“, miało na początku bieżącego roku, własnych książek tylko 10, pożyczonych od poznańskiego Towarzystwa Czytelni ludowych, książek 60; członków liczyło 35; wspólne zebrania odbywają się co niedziela. „Towarzystwo polskie“ w Kolonii obchodziło bardzo uroczyście w maju b. r. piątą rocznicę swego założenia śpiewami i mowami, teatrem amatorskim. Członkowie zbierają się raz na tydzień na posiedzenia; czy na posiedzeniach bywają jakie odczyty, wielu Towarzystwo liczy członków, wiele zebrało książek — o tem

[1] Sprawozdanie roczne z czynności Towarzystwa „Przytulisko“ w Berlinie za rok 1888. *Kuryer Poznański* z 2 kwietnia 1889.

[2] Sprawozdanie z drugiego półrocza Towarzystwa „Polsko-katolickiego“ w Berlinie, za rok 1888. *Kuryer poznański* z 20 lutego 1889.

z pilnie przeszukiwanych dzienników i dzienniczków poznańskich i szląskich, naprożno staraliśmy się zasięgnąć języka.

Suche to cyfry, nudne, powtarzające się w kółko szczegóły; ale kto rzeczywiście pragnie się zapoznać z życiem naszych wychodźców w Niemczech, temu cyfr tych i szczegółów omijać nie wolno, ten żałować musi, że ich stosunkowo tak mało, i że przeto tak niedostateczny z nich utworzyć sobie można obraz istności i działalności stowarzyszeń polskich w Niemczech. Nie zajęły one może jeszcze roli, jakąby zająć mogły; w każdym razie i pessymista przyznać musi, że mnożą się i, co ważniejsza, rozwijają, a ani wątpić, że jeśli zdobędą sobie, jak zdobyć powinny, zainteresowanie i uczynną pomoc nietylko w jednej, lecz w miarę możności we wszystkich polskich dzielnicach, rozwijać się będą o wiele szybszym i pewniejszym krokiem.

Gazety i stowarzyszenia polskie starają się przedewszystkiem o utrzymanie narodowości, języka; wielkie i cenne to dobra, lecz prócz nich strzec i pilnie chronić muszą wychodźcy innych, z dobrami temi ściśle zresztą związanych, a wyższych jeszcze i zacniejszych skarbów: moralności i wiary. Skarby te, będące zdrowiem i życiem duszy — do których przechowania mogą zapewne gazety i stowarzyszenia w pewnej mierze dopomóc i dopomagają, ale same bądź co bądź uchować ich nie są w stanie — narażone są niestety! w westfalskich kopalniach, w berlińskich fabrykach, w saksońskich folwarkach, na większe bodaj niebezpieczeństwa, niż zdrowie ciała, język, narodowość. Niebezpieczeństwo to czują nieraz najlepiej sami wychodźcy; trapią się niem, rodaków i przyjaciół przed niem ostrzegają. „Katolicy Polacy, zaklina berliński korespondent *Katolika*[1], nie przychodźcie do Berlina!... Smutnie tu stoi z wiarą świętą, ludzie większą częścią żyją, jakby Boga nie było...“ Kilkuset polskich robotników w *Gelsenkirchen* w Westfalii, zebrało się w marcu b. r. na wspólną naradę nad dotkliwym brakiem religijnej opieki, dotkliwym zwłaszcza i groźnym w obec niezmordowanej agitacyi socyalistów, którzy obecnie z szczególnem zamiłowaniem zastawiają sidła na polskich wychodźców. Zgromadzeni uchwalili wysłać petycyę do zarządu kościelnego i do

[1] *Katolik* z 7 sierpnia 1888.

biskupa z prośbą o księdza, władającego językiem polskim. Taką samą prośbę wysłali robotnicy pracujący w *Oelsnitz* w Saksonii do księcia-biskupa Wrocławskiego: „niechby przynajmniej kapłan polski, błagają[1], przyjechał na czas wielkanocny, bo inaczej wielu z nas, którzy po niemiecku nie umiemy, nie możemy się wyspowiadać i zadość uczynić potrzebom naszej duszy".

Książe-Biskup Wrocławski odpowiedział z żalem, tak na tę, jak na z innych miejscowości zanoszone prośby, że niestety! i w własnej jego dyecezyi wielki brak księży, i dlatego radzi udać się do innych biskupów, najlepiej może do księcia-biskupa krakowskiego. Istotnie tak we wrocławskiej jak we wszystkich pruskich dyecezyach z ludnością polską, liczba księży — dzięki w znacznej części kulturkampfowi — jest o wiele, bardzo o wiele za szczupłą. Tak, kiedy np. w dyecezyi monasterskiej przypada jeden ksiądz na 600 wiernych, w dyecezyi hildesheimskiej jeden ksiądz na 560 wiernych; to w archidyecezyi gnieźnieńskiej i poznańskiej, i w dyecezyi chełmińskiej przypada jeden ksiądz na 1600 dusz; w dyecezyi wrocławskiej jeden ksiądz na 2000 dusz; w niektórych parafiach, jak np. św. Marcina i św. Wojciecha w Poznaniu jeden ksiądz na pięć do sześciu tysięcy wiernych[2]. Cyfry te tłumaczą dostatecznie, dla czego księża z zaboru pruskiego nie mogą pospieszyć z pożądaną pomocą swym rodakom na zachodnich kresach. A jednak pomocy tej, pomocy szybkiej potrzeba konieczna, jeżeli — jak to już np. w Berlinie zbyt smutne doświadczenie okazało — nie kilkaset, ale kilka co najmniej tysięcy rocznie nieszczęśliwych wychodźców nie ma zstępować — jak zstępuje dotąd — na najniższy stopień, na którem stoją ludzie, co z występku żyją; jeżeli ogółowi wychodźców, jeśli nie zapewnionem, to w miarę możności zabezpieczonem być ma imię katolików, Polaków, ludzi uczciwych...

Od pięciu mniej więcej lat zajął się robotnikami polskimi w Westfalii gorliwy kapłan z dyecezyi chełmińskiej, *ks. Józef Szotowski*; praca jego przyniosła piękne a obfite owoce, ale jeden

---

[1] *Katolik* z 19 marca 1889.

[2] Cyfry te wyjęte są ze statystyki duchowieństwa z końca 1887 r.; od tego jednak czasu nie wiele się, a raczej nic na dobre nie zmieniło.

człowiek, choćby nadludzkiem poświęceniem ożywiony, sam olbrzymiemu zadaniu sprostać, na wielu miejscach odrazu być nie mógł. Zacnemu misyonarzowi przyszło w pomoc przed dwoma laty kilku Franciszkanów, umiejących po polsku. Mniej więcej w tym samym czasie udało się i do Westfalii i do Saksonii paru innych kapłanów, z których jeden, choć rodowity Berlińczyk, zupełnie dobrze włada językiem polskim. Objeżdżając z kolei wsi i miasteczka, w których Polacy liczniej są zgromadzeni, głosili im słowo Boże, oczyszczali i wzmacniali Sakramentami, starali się o usunięcie pokus ciągnących do złego, o sprowadzenie i utrwalenie na drodze cnoty. Rząd pruski, oddać mu należy tę sprawiedliwość, nietylko nie stawiał przeszkód w apostolskiej tej wędrówce, lecz przeciwnie chętnem ją widział okiem, a w pewnych granicach dopomagał nawet misyonarzom, upatrując w nich nie bez słuszności, najlepszych sprzymierzeńców w walce z socyalizmem; mówiąc może sobie, że więzienia i innego rodzaju domy i tak zbyt już przepełnione, i że nie zaszkodzi temu przepełnieniu pewną tamę położyć. Obraz apostolskiej takiej wyprawy w głąb Niemiec, podjętej w roku zeszłym i bieżącym, obraz, nakreślony wedle opowiadań i listów jednego z misyonarzów, dać nam może najlepsze wyobrażenie o potrzebach i biedach, walkach i niebezpieczeństwach, słowem o całem życiu naszych niemieckich wychodźców.

Środkowym niejako punktem, z którego misyonarz nasz na wszystkie strony dalsze podejmował wycieczki, była *Helbra* przy *Eisleben*; w samej tej zresztą miejscowości roboty nie brakowało, bo pracuje tu około 2000, a w parafii należącej do *Helbry* do 5000 Polaków. W trzech latach odbyło się tu 300 ślubów polskich, w ostatnim roku (1888), trzysta chrztów. Kościół niewielki, nie o wiele większy, niż np. św. Barbary w Krakowie, nie mógł pomieścić wszystkich, którzy tłumnie cisnęli się na kazania, do konfesyonałów. Proboszcz miejscowy, serdecznie od Polaków kochany, dla Polaków tylko niejako żyje; trudno też opisać, jak wespół z nimi cieszył się z przybycia mówiącego po polsku księdza. Gdy ksiądz ten pewnej niedzieli po niemieckiej nauce zapowiedział: „Teraz będzie kazanie polskie“, wyszło najwyżej sto osób; wszyscy inni zostali. W *Stetten*, trzy mile od *Eisleben*, gdzie nabożeństwo

trzeba było urządzić w miejscowej sali balowej, wszyscy katolicy aż do jednego, wyłącznie Polacy.

W Helbrze rano i wieczór głosił misyonarz kazanie; w *Eisleben*, ojczyźnie Lutra, trzeba było powiedzieć jednej tylko niedzieli dwa kazania niemieckie i trzy polskie; w *Bernburgu* w przeciągu trzech dni jedenaście kazań polskich, a jedno niemieckie. Ale nie ciężko słowo Boże głosić, gdzie tak widocznie łakną go i pragną. Czasem ledwie kaznodzieja na ambonie się okazał i jeszcze słowa przemówić nie zdołał, a już witano go płaczem i jękiem. Płacz wzrastał, gdy z ambony, z której po raz pierwszy szło między lud zgromadzony polskie słowo, rozległo się pozdrowienie, tak piękne, a tyle pamiątek, obrazów z lat dziecięcych i młodzieńczych, z rodzinnej wioski, w sercu wzbudzające: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ Dźwięk ojczystej mowy upajał słuchaczów, nasycić się niem nie mogli. Po daniu folgi wzruszeniu, następowała cisza, przerywana czasem tylko westchnieniami lub cichem łkaniem. Misyonarz tłumaczył zatarte w pamięci i w życiu prawdy wiary, aż znowu rzewniejsze jakieś napomnienie lub wspomnienie, poruszywszy do głębi duszy, wyciskało słuchaczom, nieraz i mowcy samemu łzy serdeczne, które zmuszały przerwać naukę na kilka, kilkanaście minut. „Uspokójcie się!“ prosił misyonarz i o czem innem mówić próbował, ale próżne to były próby i starania: nie tylko Polacy, ale rodowici Niemcy, słówka po polsku nie rozumiejący księża miejscowi, płakali rzewnie i powtarzali potem między sobą: „Czegoś takiego nigdy jeszcze nie widzieliśmy!“

Na ambonę szedł misyonarz z konfesyonału; z ambony wracał do konfesyonału, koło którego w gęstych szeregach stali i starym zwyczajem cisnęli się Polacy. Tu dopiero żniwo było obfite: z głośnego płaczu w czasie spowiedzi, z rozjaśnionej wewnętrznem zadowoleniem twarzy po spowiedzi, poznać można było, że ziarno słowa Bożego nie padało na nieurodzajną ziemię. Niektórzy po 18 godzin z rzędu stali w kościele, czekając, kiedy z kolei zbliżyć się będą mogli do konfesyonalnych kratek. Wielu robotników w *Halli* np. i *Merseburgu*, wyprosiło sobie u dozorców odbycie podwójnego dnia roboczego jednym ciągiem, byle później mogli spokojnie do spowiedzi przygotować się i przystąpić. W *Stassfurcie*, gdzie w kopalniach soli i po okolicznych dworach pracuje około 5000 Pola-

laków, wielu czekało (w sierpniu 1888) na spowiedź od piątej z rana do szótej po południu. Niektórzy, dowiedziawszy się o przybyciu polskiego księdza, przybyli z miejscowości odległych o 10, 15, aż do 24 mil. Inni pracowali od 5-ej z rana do 2-ej po południu; o drugiej, nic jeszcze przez dzień cały w ustach nie mając, wybrali się w drogę piechotą do kościoła w *Stassfurcie*, odległego o dwie mile; tu wyspowiadali się i późnym wieczorem przystąpili do Komunii św. Wiele, zwłaszcza dziewcząt, wypuszczonych z pracy dopiero wieczorem, spieszyły, ile sił starczyło, do kościoła; spowiadały się, nazajutrz o czwartej rano słuchały Mszy św. i komunikowały, a o piątej stały już przy robocie. Podobnie w *Oschersleben* pracowało kilku Polaków na polu od 5-ej z rana do 7-ej wieczorem; następnie przyszli do kościoła, wyspowiadali się i około 9-ej przystąpili do stołu Pańskiego. W *Bernburgu* wszczęła się niewiedzieć skąd, prawdopodobnie z poduszczenia ludzi niemoralnych, którzy dotąd wszechwładnie tu grasowali, silna agitacya przeciw spowiedzi między dziewczętami, sprowadzonemi przeważnie z Poznańskiego. Agitacya nie udała się, a „tak Pan Bóg pobłogosławił, zapisuje nasz misyonarz, że podobnej skruchy jeszcze nie widziałem. Było po nabożeństwie, (wrzesień 1888) kilku protestantów, którzy choć nie wiele rozumieli, jednak patrząc na to, co się dzieje, mówili: *Nein, so etwas bietet uns unsere Kirche doch nicht; da möchte man ja auch katolisch werden.* Od piątej z rana do późnego wieczora, bo do jedenastej w nocy, koło konfesyonałów był ścisk prawdziwie polski; przez cały ten czas dziewczęta śpiewały naprzemian polskie pieśni, modliły się wspólnie, odmawiały głośno różaniec.

Największa religijna obojętność panuje stosunkowo, z wielu, nie trudnych do odgadnienia przyczyn, między Polakami w Berlinie. Wielu zupełnie się w kościele nie pokazuje. Bardzo wielu żyje w dzikich małżeństwach lub zawiera śluby cywilne, a ci ostatni zwłaszcza, z rzadkimi wyjątkami, raz na zawsze dla narodowości swej i wiary straceni. Na trzydzieści kilka tysięcy, osiem, a najwyżej dziesięć tysięcy wykonuje przepisy wiary, przystępuje w czasie wielkanocnym do Sakramentów św. Pomimo tego konfesyonały, na których widnieje napis „po polsku“ zawsze najbardziej oblężone, a dłużej w Berlinie bawiący, dobrze z miejscowymi sto-

sunkami obeznani kapłani zaręczają, że dopiero poznawszy polski język, można tu z prawdziwym pożytkiem w kościele pracować. „Bez polskiego języka — czytam w liście pisanym przez niemieckiego księdza, pracującego w Berlinie — nie ma tu ksiądz co robić. Wszędzie Polaków pełno; a jeśli Polacy będą dobrymi katolikami, to katolicyzm w Berlinie stać się może wielką potęgą. Nigdy nie można, pracując tu, spuścić z oka pewnika, że zapewnienie wierze katolickiej w Berlinie należnego szacunku i wzrostu, zależy na pierwszem miejscu od Polaków".

To samo w pewnej mierze powiedzieć można o okolicach Berlina, w których również ziomków naszych nie mało. Spora ich garstka w *Poczdamie*, wielu w *Charlottenburgu* w fabrykach, a więcej jeszcze koło *Charlottenburga*, zatrudnionych przy kanalizacyi. Ci ostatni dość daleko mają zazwyczaj do kościoła, i dla tego proboszcz z *Charlottenburga* nosi się z myślą wystawienia dla nich osobnej kaplicy we *Wilmersdorfie*, gdzie przeważnie mieszkają. Proboszcz ten, mąż apostolski w całem słowa tego znaczeniu, nauczył się do tyla po polsku, że w niedzielę i święta odczytuje z ambony po polsku lekcyę i ewangelię, a w razie konieczności, od biedy i wyspowiadać potrafi. Łatwo się dorozumieć, jak Polacy mu są wdzięczni, ale i on też szczerze do Polaków się przywiązał, a jeżeli na co się skarżył, to na to chyba, że zbyt gorąca krew płata im czasem figle, i pędzi do nieroztropnych bójek i sprzeczek. Niepodobna ich zwłaszcza powstrzymać, gdy innowiercy wyśmiewają religię i obrzędy katolickie; nie posiadają się wtedy z gniewu i uciekają się do zbyt dosadnych i dotkliwych argumentów, które naturalnem następstwem sprowadzają śledztwa i procesy a ostatecznie grzywny lub kozę. Misyonarz miał dosyć biedy, zanim potrafił przekonać nieodrodnych tych ziomków dawnych *Sodalisów*, którzy za post i Maryę bili, że wyrzec się powinni tego rodzaju argumentów; ostatecznie wszakże uroczyście mu obiecali, że dla miłości Pana Boga będą cierpliwszymi i że na wzór prześladowanych za wiarę Unitów, znosić będą spokojnie szyderstwa, nie będą zważać i mścić się za obelgi.

Czem wiara jest dla polskich naszych wędrowców, jaką pocieszającą i krzepiącą rolę w życiu ich odgrywa, a obcych buduje, tego najlepszy obraz i dowód dała przedsiewzięta w czerwcu i lipcu b. r. pasterska wizyta fuldajskiego biskupa, Dr. *Józefa Weylanda*

w saskiej *diasporze*, w zastępstwie chorego biskupa *Padernborskiego*. Naprzód przed biskupem — jako goniec wesołej wieści — wyjechał ksiądz polski, do bierzmowania gotować, spowiadać. Pierwsza stacya przypadła mu bezpośrednio przed świętem Bożego Ciała w *Huysburgu*. Urocza to miejscowość! Wielki, pobenedyktyński kościół, nad całą okolicą panujący, stoi na górze, w pośród bukowego lasu, rozciągającego się na 4000 morgów. Z okien swego mieszkania widział misyonarz rysujący się w dali o siedem mil odległy *Magdeburg;* z dołu dolatywał go, rzekłbyś na odpuście w Piekarach lub Gostyniu, pobożny śpiew polskich dziewcząt, które po robocie długo w noc pletły wieńce dla przyozdobienia kościoła na zbliżające się uroczystości. Dzięki ich staraniom, wspaniała świątynia w nowej okazała się szacie; zmieniła się, jak z uznaniem się wyrażono, w prześliczny ogród. Lecz zostawmy lepiej słowo samemu misyonarzowi, który w liście do jednego z przyjaciół, tak pod świeżem wrażeniem, „polskie to święto“ opisuje:

„Boże Ciało w tym roku zostanie zawsze dla mnie najmilszem wspomnieniem. W około wszędzie rozeszła się wieść: Ksiądz polski jest w *Huysburgu*. We środę już, w wilię Bożego Ciała zaczęli się Polacy schodzić do spowiedzi; rozpocząłem spowiadać o 5-ej po południu, wyszedłem z konfesyonału dziesięć minut przed północą; spałem smacznie, gdy wtem o czwartej z rana stary dziekan puka do drzwi i woła: „Księże! w kościele pełno Polaków i Polek; wszyscy chcą się spowiadać“. Znużenia nie czułem, i poszedłem zaraz do konfesyonału; o dziewiątej odprawiłem sumę, po sumie dziekan miał krótkie niemieckie kazanie, a następnie, na wielką pociechę Polaków, poprowadziłem procesyę. Lekcyę, ewangelie, modlitwy kościelne śpiewałem zupełnie jak u nas. W czasie procesyi zapomnieć można było, że znajdujemy się w protestanckim kraju. Uroczysty pochód z N. Sakramentem posuwał się zwolna wśród prześlicznej pogody, w wspaniałym lesie bukowym, a trwał półtrzeciej godziny. Strzelali, muzyka grała pobożne pieśni. Niemcy śpiewali swoje pieśni, Polacy w pewnem oddaleniu swoje, te wszystkie, które i u nas śpiewają na procesyi Bożego Ciała; dwa te chóry nie kłóciły się, lecz przeciwnie dostrajały się do wspólnej, pięknej harmonii. Wielu protestantów szło z ciekawości za procesyą, ale wszyscy zachowali się bardzo przyzwoicie. Polaków było

mniej więcej 3000. Po procesyi, o pół do pierwszej, wszedłem na ambonę i rozpocząłem kazanie od słów pieśni „Twoja cześć, chwała, nasz wieczny Panie!“ Trudno tę chwilę opisać; teraz mi się jeszcze na płacz zbiera. Tak płakali, łkali, że ledwie mówić mogłem; Niemcy, którzy nie odeszli, równie jak małe dzieci płakali. Dziekan powiedział mi: „Po południu urządź czysto polskie nabożeństwo!“ Rozpocząłem o trzeciej po południu od kazania. Kościół bardzo wielki, liczący wzdłuż 90 kroków, był aż do prezbiteryum nabity. Pan Bóg widocznie błogosławił; spowiedzi trwały do wieczora. I to dodać trzeba na pochwałę Polaków, że po skończonem nabożeństwie wrócili cicho i spokojnie do domu, chociaż do lasu ciągnęły ich różne, odbywające się tam gry i zabawy“...

„We czwartek, — czytamy w następnym liście, — 27 czerwca, wieczorem pojechałem do *Halli*, aby tu znów gotować Polaków do bierzmowania. Przez cały ten czas, po dwanaście, niekiedy i po piętnaście godzin siedzieć trzeba było w konfesyonale. W dzień Serca Pana Jezusa, myślą i duszą łączyłem się z Wami, z Krakowem; ciężko mi tu było na sercu, bo nabożeństwa uroczystszego nie było. Wieczorem jednak, o ósmej, Polacy licznie na moje wezwanie pospieszyli do kościoła. Miałem do nich kazanie o błogosławieństwach, obiecanych czcicielom Serca Jezusowego; potem śpiewaliśmy wspólnie: „Święty Boże“ i „Twoja cześć chwała“, bo to najlepiej umieją. Odmówiliśmy akt poświęcenia się i przeproszenia Serca Jezusowego..., w tym samym może czasie, gdy i Wy odmawialiście go razem, publicznie... Wszyscy nadzwyczaj byli zadowoleni“.

„Wieczorem, w dzień św. Piotra i Pawła, przybył biskup z *Fuldy*. Bardzo uprzejmy, poważny, dość silnie zbudowany, wysoki. Nie byłem przy przyjęciu, bo za wielu na spowiedź czekało; o samej północy skończyłem spowiadać. Kobiety i dziewczęta nocowały w kościele; mężczyźni przed kościołem. Nazajutrz, w niedzielę biskup bierzmował. Koło ósmej zrana wyprowadziłem wszystkich Polaków na dziedziniec przed kościołem, bo sam kościół był za mały, i dwa razy do nich przemawiałem. „Zachowujcież porządek, prosiłem, trzymajcie się w szeregach, wszystkich oczy teraz na was zwrócone“. W czasie samego bierzmowania stałem na ambonie, głośno po polsku się modliłem i zachęcałem do gorącej

modlitwy i do utrzymania porządku. Wszystko mimo ścisku poszło jak najlepiej. O wpół do drugiej, gdy biskup, skończywszy bierzmować, do ołtarza powrócił, zapytałem z ambony:

— „Czy chcecie, abym teraz poprosił księdza biskupa o błogosławieństwo?“

— „Chcemy, chcemy!“ — zabrzmiały zewsząd okrzyki.

Zwróciłem się do biskupa i przemówiłem do niego po niemiecku, wśród ogólnego płaczu i łkania:

— „Najprzewielebniejszy księże biskupie! Popatrz łaskawie na ten lud, który przybył tu z dalekich stron, ciężką przeważnie potrzebą zmuszony, aby zapracować sobie na kawałek powszedniego chleba. Ciężka ich dola: brak im opieki ojca, matki, rodziny; zewsząd i wszędzie grożą im niebezpieczeństwa. W ich imieniu dziękuję Ci Dostojny Pasterzu, za wzmocnienie ich przez Sakrament Bierzmowania; ich płacz i łzy niech Ci będą dowodem, jaką wdzięczność za to dobrodziejstwo w sercach chowają. Pobłogosław biednym tym dzieciom! Niech błogosławieństwo Twoje zastąpi im błogosławieństwo nieobecnych rodziców!“...

„Biskup rozpłakał się jak dziecko; wszyscy obecni księża również płakali. Gdy biskup wyszedł z kościoła, obstąpili go Polacy, całowali po rękach, nogach, z płaczem dziękując; po dziesięciu zaledwie minutach mógł się przez wdzięczny ten tłum przedostać. Na wielkim obiedzie danym dla biskupa, zgromadziło się księży 11, katolickich panów 110; ja chciałem u siebie wypocząć, ale nadbiegł jeden z księży i siłą niemal zmusił iść za sobą. Po toastach na cześć papieża, cesarza i biskupów, fuldajskiego i padernborskiego, wstał proboszcz z *Erfurtu:*

„Towarzyszę — mówił z rozrzewnieniem — Najprz. księdzu biskupowi przez cały czas odbywającej się pasterskiej wizytacyi; wszędzie spotykałem się z pięknymi objawami wiary i miłości, ale wyznać muszę, czegoś podobnego jak dziś nie widziałem. Myślę tu i mówię o Polakach, o ich wierze, o miłości biskupowi okazanej. Mężczyzna rzadko płacze i popisywać się tem nie lubi; dziś jednak nie wstydzę się przyznać publicznie, że i ja rzewnie płakałem, patrząc na wiarę, na zachowanie się tego poczciwego, wiernego ludu“.

„Musiałem odpowiedzieć, zwłaszcza, że proboszcz z *Merse-*

burga wniósł toast na moją cześć. Nie wnosząc żadnego toastu, rzekłem tylko:

„Serce i obowiązek domaga się, abym wyraził najżywszą wdzięczność za okazane tu dowody przychylności. Przyznaję, że za łaską Bożą gotów jestem do wszelkich ofiar dla polskiego ludu, który zresztą umie ofiary te ułatwić, bo umie być wdzięcznym. Jestem Berlińczyk, ale kocham ich jako rodaków; cieszę się, że tak ich tu nazwano, bo gorliwość ich dla chwały Bożej, ich wiara silna, wdzięczność niemal bez granic, zmusza ich kochać. Aby ta miłość i tutaj nie na słowach tylko się ograniczyła, niech wolno mi będzie użyć tej okazyi i prosić wszystkich licznie tu zgromadzonych panów o opiekę, o uczynną miłość dla tych biednych, których cnota i wiara nieraz na silne a liczne niebezpieczeństwa jest narażoną. Odzywam się do serc ojców, dzieci swe kochających, a pod których władzą i rozkazami zostają Polacy przeważnie w wieku młodym, wszelkiej innej opieki pozbawieni. Proszę gorąco o to, aby przynajmniej w niedziele i święta iść mogli do kościoła; abyście do domów, w których mieszkają, wzbraniali wstępu złoczyńcom, czyhającym na ich niewinność. W ten sposób dacie sobie świadectwo, że obojętnemi wam nie są najświętsze prawa człowieka".

„Zgromadzeni odpowiedzieli na tę moją prośbę długotrwającymi oklaskami. Pod koniec obiadu wstał raz jeszcze ks. biskup: „Moi Panowie! wiele w życiu tem widziałem, nieraz świadkiem byłem scen bardzo wzruszających, ale czegoś podobnego jak dzisiaj, — mówię tu o zachowaniu się Polaków — nigdy, nigdy jeszcze nie widziałem. O takich scenach, jakich dziś byliśmy świadkami, nie miałem wyobrażenia. Dowód to, jak ten lud kocha swą wiarę. Chciałbym tu jeszcze coś dodać; mam właściwe, odpowiednie słowo na języku, ale może lepiej wiele nie mówić, a raczej prosić Boga, aby był im miłościwy..."

„Nie wiedziałem, że przy stole siedziało kilku Polaków, urzędników; wyobrazić sobie można ich radość i słuszną dumę. Później jeszcze biskup wyraził kilkakrotnie w rozmowie wielkie swe zadowolenie. W *Halli* wybierzmował razem 1300 osób, a między nimi może 800 Polaków".

„W poniedziałek 1 lipca pojechałem do *Helbry* i do *Eisle-*

ben. Tu czekała mię największa praca. W nocy przed bierzmowaniem siedziałem w *Eisleben* do wpół do trzeciej w konfesyonale... Policya tak w *Eisleben* jak i w *Helbrze* dozwoliła na uroczysty pochód. *Eisleben*, miejsce urodzenia i śmierci Lutra, ma 23.000 mieszkańców; 600—700 katolików narodowości niemieckiej, 1500 Polaków, a prócz tego dziewczęta polskie pracują wszędzie w okolicy po dworach. Wyszli naprzeciw biskupa może na półtora kilometra; droga przybrana była w łuki tryumfalne, muzyka grała; w procesyi wzięło udział bardzo wielu protestantów, tak, że liczono do 16.000 ludzi... Wieczorem w ogrodzie proboszcza wielka illuminacya, śpiewy; Polacy szli razem z wielkiemi świecami w ręku. Biskup przemawiał i dziękował z pierwszego piętra; potem prosił, abym to samo Polakom powtórzył. Nazajutrz bierzmowanie; poprowadziłem Polaków procesyonalnie; słowem wszystko odbyło się podobnie jak w *Halli*... Do *Helbry* przyjechał mi na pomoc jeden ksiądz tutejszy, który się już tyle po polsku nauczył, że może spowiedzi słuchać; ci, którzy choć z kiepska umieli po niemiecku, musieli się spowiadać u niemieckich księży. Do bierzmowania przystąpiło 1700, a między tymi do 1200 Polaków. ...I tu biskup przemawiał po niemiecku; ja tłumaczyłem na polskie, a potem dodałem: „I ja życzę Wam, aby błogosławieństwo Boże towarzyszyło Wam zawsze w ciężkiej pracy waszej. Teraz zaś podziękujmy księdzu biskupowi i zawołajmy po polsku: „Niech żyje nam!“ — Cała *Helbra* zatrzęsła się na ten gromki okrzyk, podniesiony z trzech tysięcy piersi... I taka mowa — mówił mi przy innej okoliczności, jeden z tutejszych księży, który bardzo pilnie słuchał polskiego kazania; — taka mowa miałaby zaginąć?! Nie! nigdy, przenigdy!“

Wesołe to, rzecby można tryumfalne kartki z dziejów polskiego wychodźtwa w Niemczech, choć i tu z poza tego wesołego obrazu smętne tło przegląda; ale ileż obok, tą samą ręką spisanych, równie rozrzewniających, lecz wręcz już smutnych, czasem czarnych kartek! W katolickiej, z prywatnego miłosierdzia założonej i utrzymywanej ochronce w *Oschersleben*, znalazło dotąd przytułek blisko dwieście polskich dzieci, sierót, lub od rodziców opuszczonych, które inaczej byłyby wystawione na pewną zgubę. Proboszcz

i zawiadowca ochronki ks. *Harbort*, przyniósł sam na własnych rękach kilka biednych tych istot, a wszystkimi prawdziwie po ojcowsku się opiekuje. Żal i litość serdeczna brała patrząc np. na dwuletnią *Paulinkę Figaszewską*, która tylko miłosierdziu proboszcza, nowego *Dom Bosca*, jak go tutaj słusznie nazywają, zawdzięcza życie, i to w najściślejszem tego słowa znaczeniu. Gdy biskup zwiedzał ochronkę, przyprowadzono do niego Paulinkę i drugą pięcioletnią jej koleżankę; rozrzewniający to był do łez widok, gdy sędziwy pasterz, sam głęboko wzruszony, błogosławił dwom tym wygnankom — sierotom. Protestanci nawet nie kryją podziwu dla miłosiernego kapłana; przysyłają chleb, jarzyny, kartofle dla sierot. I misyonarz nasz domaga się kilkakrotnie w swych listach pomocy dla tego domu, który istnieje i utrzymuje się litością ludzką, Opatrznością Bożą. „Piękny to byłby uczynek miłosierdzia, gdyby znalazło się w Polsce litościwe jakie serce i wesprzeć zechciało ten zakład wedle ducha Bożego kierowany, a w którym tyle polskich sierot tak chętną, macierzyńską znajduje opiekę".

Po paru dniach ciężkiej pracy w *Oschersleben* wyjechał nasz misyonarz pewnego majowego dnia po południu na parę godzin odpoczynku do *Hadmersleben*, do jednego z okolicznych proboszczów. Zaledwie przed probostwem wysiadł, przybiega jakiś mężczyzna, protestant, i woła: „Księże! chodź prędko, w koszarach dziewcząt (tak się to tam nazywa) umiera młoda Polka, która ani słowa po niemiecku nie umie; straciła już mowę, ale jeszcze przytomna!" — „Natychmiast" — opowiada misyonarz — poszedłem, a raczej pobiegłem z olejami św. i z Panem Jezusem. Młoda, szesnastoletnia dziewczyna, która po raz pierwszy wyjechała do Niemiec, leżała bez nadziei wyzdrowienia. Podszedłszy do niej, rzekłem: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!" Co się z biedaczką działo, gdy posłyszała polską mowę!... prawdziwie smutek odmienił się w wesele. Choć zapewniano mię, że mowę postradała, radość widać najskuteczniejszem okazała się lekarstwem, bo odpowiedziała wyraźnie: „Na wieki wieków. Amen;" wyspowiadała się, a potem z wielkiem nabożeństwem przyjęła Pana Jezusa. Miałem na szczęście przy sobie ładny szkaplerzyk Serca Jezusowego i włożyłem go chorej na piersi, z czego i ona i otaczające ją polskie

dziewczęta niezmiernie się ucieszyły. Dobre to było dziecko, poczciwe, pobożne!...“

A nie łatwo niestety! w tych koszarach, w fabrykach, przechować niewinne serce, poczciwość, pobożność! Patrząc na wiele polskich dziewcząt, jak w niedzielę spacerują po ulicach, ubrane wedle najświeższej mody, żal zbiera i zbyt usprawiedliwione pytanie się nasuwa: „Czy te stroje, kapelusze, rękawiczki pochodzą z godziwego źródła?“ Niemoralni inspektorzy, dozorcy, okropne szerzą spustoszenie; póty dokuczają, biją, odmawiają zarobku i kawałka chleba, póki oporu nie złamią. W jednych koszarach wybuchł tyfus z powodu niemoralnego życia; sprowadzono siostry miłosierdzia dla pilnowania chorych, i one dopiero w nagrodę za swe poświęcenie, wyprosiły, że większą odtąd zwrócono baczność na usunięcie źródła strasznej zarazy. Niektóre z tych domów bardzo wzorowo są prowadzone, ścisła w nich przestrzeganą jest klauzura; ale takich dotąd nie wiele. Czasem na czynione przedstawienia spotkać się nawet można z cyniczną uwagą: „Co nam do moralności naszych robotników; dość się namęczą, niechaj trochę użyją“. Wrzekomi ci przyjaciele, a raczej najsrożsi wrogowie, którzy dążą chyba do wytępienia Polaków, środkami użytymi ze skutkiem do zgładzenia amerykańskich Indyan, igrają sobie zarazem zazwyczaj, naturalną rzeczy konsekwencyą z najświętszemi uczuciami ludu naszego, i usiłują systematycznie w nim podkopać wiarę, odzwyczaić go od religijnych praktyk, nie zważając, że w ten sposób pracują właściwie dla socyalizmu, i sami na siebie broń kują. W niektórych miejscowościach sroży się w tym kierunku formalne prześladowanie, które zdawałoby się, z zamierzchłej przeszłości wyrwane, nigdzie dziś w humanitarnej Europie, najmniej w szczycących się tolerancyą i kulturą Niemczech, miejsca by mieć nie mogło.

Znajdują się właściciele, ale częściej jeszcze zarządzcy dóbr, dozorcy, którzy bez jakiejkolwiek nawet ważniejszej racyi, zmuszają Polaków i Polki do całodziennej ciężkiej pracy w niedziele i katolickie święta. Tak np. piętnaście dziewcząt, pracujących przy uprawie buraków u niemieckich właścicieli, których nazwiska moglibyśmy tu wymienić, wybrały się w uroczyste święto Narodzenia Matki Bożej roku zeszłego, do kościoła na mszę. Panowie dowiedziawszy się o tem, wpadli w istną wściekłość: jeden wybiegł na-

przeciw wracającym i zagroził: „Za to, żeście do kościoła poszły, nie otrzymacie za cały tydzień zapłaty;“ brat jego, snać energiczniejszy, nie kontentując się groźbami, wszystkie dziewczęta, które były w kościele, okrutnie wybił. — „Płakać się nam chciało — mówili miejscowi proboszczowie, fakt ten opowiadając — a poczciwe dziewczęta bez skargi i użalenia o tem nam mówiły“. W innem miejscu około sto polskich robotników nie chciało w niedzielę pracować. Właściciel sprowadził żandarmów, którzy stojąc z bronią w ręku, zagrozili, że użyć jej gotowi w razie dalszego oporu. Groźby nie poskutkowały i żandarmi ze wstydem musieli się oddalić, ale właściciel wypowiedział natychmiast upartym Polakom dalszą pracę. Wypędzeni, inną pracę bez trudności znaleźli; natomiast nieludzkiemu panu zmarzło w tym czasie za sprawiedliwem dopuszczeniem Bożem 500 morgów buraków. „Nie do opisania — donosi misyonarz w lipcu b. r. — co w niektórych miejscowościach biedne dziewczęta mają do cierpienia. Wiem o miejscach, w których zdane są one na łaskę i niełaskę podrzędnych, zupełnie podrzędnych urzędników, nieokrzesanych dozorców; dla okazania swej władzy, z nienawiści dla katolickiej religii, lub po prostu dla psoty, pędzą oni dziewczęta polskie do roboty w niedziele i święta, a gdy biedaczki proszą, aby je w ten dzień od pracy zwolniono, lub próbują stawić opór, biją je bez miłosierdzia, i jak bydło, batem do roboty pędzą. „Nie przyjdziesz w niedzielę, mówić zwykli dozorcy w kilku fabrykach, nie masz po co i w poniedziałek przychodzić“.

„Nieszczęśliwe te stworzenia, nie umiejąc po niemiecku, przed nikim użalić się nie mogą. Przeciw tym bezprawiom występować trzeba koniecznie, śmiało, energicznie... Widząc raz z ambony, jak polski dozorca tłomaczył me słowa o święceniu niedziel niemieckiemu jakiemuś właścicielowi, a ten śmiał się głośno, przerwałem polskie kazanie i zawołałem po niemiecku: „Biada tym panom, którzy ludziom nie dozwalają chodzić do kościoła: to wychowawcy, nauczyciele socyalistów. Nie uważacie na słowa Chrystusa; patrzcież przynajmniej na przykład cesarza, który zawsze i sumiennie dzień święty święci...“ Istotnie zmiana w tej mierze musi nastąpić i da Bóg nastąpi, tem bardziej, że sami właściciele dóbr i kopalń, w ogóle mówiąc, nie myślą i nie chcą zadawać gwałtu sumieniom. Za mało tylko podobno wiedzą, co się dzieje w ich imieniu; nie

wie o tem rząd, nie wie opinia publiczna. Dziś, gdy różne sprawki wyszły na jaw, proboszczowie postanowili wziąść w rękę obronę uciśnionych; polecili Polakom donosić sobie natychmiast o każdej niesłusznej, w przystępie złego humoru doraźnie wymierzonej karze, o biciu, o odciąganiu zasług i wydalaniu bez racyi, i udawać się będą ze skargami do samych właścicieli, a jeśli to nie pomoże, do niemieckich gazet — bo gazet najbardziej się może boją tutejsi dozorcy".

Obrona wychodźców na całej linii przedsięwzięta, przeciw najjaskrawszym przynajmniej nadużyciom, nie może zostać bez skutku, tembardziej, że panowie niemieccy umieją sobie cenić polskiego robotnika, i gdyby go im zabrakło, w niemałym znaleźliby się kłopocie. Okazało się to najlepiej, gdy „Ewangeliczny Związek", założony jak wiadomo dla prowadzenia walki z katolickim Kościołem, wyraził obawę, aby katolicyzm nie szerzył się w ojczyźnie Lutra przez Polaków, i wystąpił wprost z hasłem: „Polaków nie sprowadzajcie". Jeden z najwyższych urzędników górniczych odpowiedział na to: „Nie pytamy, czy kto katolik, luter lub kalwin, ale czy dobry górnik, a Polacy bez wątpienia najlepszymi są górnikami". „Biorę Polaków, mówił pewien niemiecki właściciel do jednego z księży, bo są najlepszymi robotnikami i nie kradną". Paru posłów, którzy w parlamencie głosowali za wypędzeniem Polaków, sprowadzają ich dziś do siebie w głąb Niemiec, aż z pod Częstochowy. „Tu strejków nie było, a nie było dla tego, przyznawał wyższy urzędnik kopalni w *Helbrze*, bo mieliśmy dwóch księży, którzy mówili ludziom o posłuszeństwie winnem Bogu i ludziom". Ale jeśli i nadal posiew socyalizmu, hojną dłonią rzucany między polskich wychodźców, wypleniać ma i niszczyć w zarodku silna ich wiara; jeśli i nadal uczciwą a wytrwałą pracą mają się odznaczać, — to sami niemieccy właściciele, zarządcy dóbr, zawiadowcy fabryk i kopalń, jeśli nie z innych wyższych pobudek, z własnego przynajmniej interesu winni stać na straży religijnych przekonań i obyczajów zatrudnionych u siebie robotników; winni już nie utrudniać, lecz owszem ułatwiać ze swej strony zachowanie Bożych przykazań, kościelnych przepisów.

Praca polskich i dopomagających im szczerze niemieckich kapłanów w ostatnich paru latach, praca polskich pism ludowych,

dobra wola kilku poczciwych panów niemieckich, którzy choć protestanci, nie zapomnieli napomnienia cesarza Wilhelma, i ludowi religię zachować pragną, przyniosła już skutki: dziś saskie i westfalskie kościoły za małe, aby objąć cisnących się do nich Polaków; publiczne zgorszenia i pijaństwa w znacznej części ustały, i co tego naturalnym wynikiem, mozolnie zapracowany grosz nie wraca niby z góry toczącym się strumieniem, do niemieckich lub żydowskich kieszeni. To początek dopiero; wiele, bardzo jeszcze wiele do zrobienia zostaje, jeśli rodacy nasi w Niemczech nie mają utracić i wiary i narodowości. Dość już dotąd obu tych skarbów stracili; dość apostatów, dość nieszczęśliwych, których pokusa ku apostazyi ciągnie, i tych, którzy dziś jeszcze powtarzają: „Nam ni żyć, ni umrzeć“, a na zapytanie: „Czem wy, i jakie imię wasze, gdzie ojczyzna wasza, gdzie dom wasz? upuszczają łzę jakoby mętnego wspomnienia“ — ale jutro może na to samo zapytanie „podniosą w górę oczy pełne podziwu“, i bez sił na ziemi, bez nadziei w niebo, powiedzą: Nie mamy czasu modlić się do Boga... aż jedni zawołają: „Równość i mord!“ drudzy: „Gdzie dobrze, tam ojczyzna, i żyj pókiś na świecie!...“ Rodacy nasi, po Niemczech rozsypani, stąpają nad samym brzegiem różnych tych, ale równie śmiercią grożących przepaści; pod stopami wielu grunt się już usunął, usuwa. Podać im koniecznie potrzeba pomocną rękę, wskazać niebezpieczeństwa, nauczyć jak ich unikać, lub z nimi walczyć; zapalać w sercach rozświecający ciemności, chroniący od najzgubniejszej z pokus — chłodu egoizmu — znicz miłości Bożej, rodziny, rodzinnego kraju. Taka akcya ratunkowa, na szersze niż dotąd przedsięwzięta rozmiary, bardziej o ile można zorganizowana, i na stalszych oparta podstawach, niezbędnie jest konieczną; uznają to jednogłośnie wszyscy, którzy mieli sposobność bliżej przypatrzeć się polskiej emigracyi w Niemczech.

Jak, gdzie, w jakim kierunku można i należałoby, mówiąc praktycznie, akcyę tę podjąć? Radykalne lekarswo jedno tu tylko możliwe: wyzyskać bogactwa, jakie Bóg w ziemi naszej złożył, zakładać fabryki, rozwinąć przemysł, słowem, zapewnić w własnym kraju pracę tym tysiącom, które pracy dla życia potrzebują, a dziś szukają jej w Niemczech, w Ameryce... Ale to daleka przyszłość, która w dniu dzisiejszym ledwie z za gęstej mgły przeziera; obe-

cnie o zupełnem wstrzymaniu emigracyi, w obec najbardziej ze wszystkch piekącej kwestyi codziennego chleba, i mówić trudno; o czem może i powinna być mowa, to o uregulowaniu na wszystkie strony rozlewającego się strumienia emigracyi; o zabezpieczeniu wychodźców przed niesumiennymi ajentami, szachrajskim wyzyskiem; o wywalczeniu i zabezpieczeniu im na obczyźnie praw katolika, praw człowieka. Jak stowarzyszenie św. Rafała opiekuje się tymi, którzy zmuszeni koniecznością, wędrują do Ameryki; uwalnia i tak dość zazwyczaj nieszczęśliwych emigrantów z rąk oszustów, stara się dla nich o możliwie tani a wygodny przejazd, kieruje pierwszymi ich krokami na drugiej półkuli, — tak i dla naszych rodaków szukających pracy w Niemczech, należałoby koniecznie założyć podobne stowarzyszenie, oparte na podobnych, jeśli nie tych samych zasadach. Kilku ludzi dobrej woli z niewielkimi środkami w ręku, które w danym razie możnaby uzyskać z wszelką słusznością i od samych wychodźców, ocaliłoby tysiące i materyalnie i moralnie. Prasa, na pierwszem miejscu prasa ludowa, ważną tu również odegrać powinna rolę, z której zresztą w pewnej mierze i dziś już się wywiązuje: ostrzegając przed niebezpieczeństwami, wskazując, w których miejscowościch i okolicach najpomyślniejsze dla Polaków istnieją warunki pracy, najmniejsza obawa zatracenia z domu wyniesionych przekonań; biorąc wreszcie w obronę wyzyskiwanych, prześladowanych.

A tam, gdzie gromadzą się nasi wychodźcy: w Westfalii, w Saksonii, w Berlinie i koło Berlina, jakie najgwałtowniejsze potrzeby, jakich środków użyć, aby im wedle możności zapobiec? Wielki tam zwłaszcza brak, wielka potrzeba księży polskich. Wszyscy niemal kapłani, pracujący w tak zwanej „delegaturze“ berlińskiej, domagają się i proszą na wszystko, aby i do nich, choć na czas krótki, zawitał ksiądz, mówiący po polsku. „Nie poznałem — zapisuje w jednym z swych listów nasz polski misyonarz — ani jednego księdza z delegatury, a poznałem ich około pięćdziesięciu, który nie wyraziłby pragnienia: „przyjedź do moich Polaków“. Niezbędnie tu potrzebne ciągłe misye, a obok misyj, trzy przynajmniej lub cztery stałe polskie kapelanie. Koniecznem jest obmyślenie stałej pomocy dla bardzo ubogiego przytułku dla sierót w *Oschersleben*. Koniecznem zainteresowanie się polskiemi stowarzyszeniami

w głębi Niemiec, z których niektóre upadły, inne walczą między życiem a śmiercią; koniecznem założenie polskich czytelni w tych przynajmniej miejscowościach, w których regularnie pracuje parę tysięcy Polaków; koniecznem, co już gdzieniegdzie weszło w praktykę, oddanie koszar, w których mieszka po 100, 150 i więcej dziewcząt, pod zarząd kobiet starszych a moralnych, najlepiej tercyarek znanych i poleconych przez proboszczów. Nadzwyczaj ważną a pożyteczną rzeczą byłoby, aby księża szląscy i poznańscy zawiązali stosunki z księżmi saskimi, westfalskimi i t. d., i dowiadywali się od nich o postępowaniu swych parafian, a tak po powrocie ich do domu mogli z pełną znajomością rzeczy, pracować nad ich poprawą, lub w danym razie, strzec i ostrzegać zdrowe swe owieczki przed parszywemi...

Obszerny to, a niełatwy do spełnienia program; długi szereg życzeń, a przecież podaliśmy tylko najważniejsze, od których spełnienia zależy dla parukrocstotysięcy Polaków rozwiązanie prawdziwie hamletowego pytania: „być lub nie być“. I gorzej, niż „nie być“, bo wychodźca, który w Niemczech stracił język, i w wiosce rodzinnej lichą niemiecką paplaniną się chełpi, karykaturę niemieckich zwyczajów w dom swój wprowadza, o wiele bardziej i w gorszym kierunku przyczynia się do wynarodowienia, niż wprost z Niemiec, przez rządową komisyę sprowadzony kolonista. Parobek, dziewczyna, którzy nasłuchali się najzgubniejszych teoryj, a choć przez pół tylko je zrozumieli, z tem większem pożądaniem wyciągają rękę po wiszący gdzieś w oddali, nieuchwytny, zakazany owoc; którzy nie zostawszy protestantami, przestali być, jak byli i są ich ojcowie, wierzącymi, praktykującymi katolikami; przypatrywać się musieli złemu występującemu bezkarnie w całej nagości, a wciąż patrząc, przytępili w sercu poczucie cnoty, jeśli jeszcze ze wstydu zupełnie się nie wyzuli; — taki nieszczęśliwy, nieszczęśliwa, to dla swej chaty, dla chat sąsiednich, prawdziwie morowa dziewica, co stąpa kroki złowieszczymi, serca zmienia w pustynie, gdzie nogą stąpi, świeży grób moralny wyrasta. Nietylko więc ze względu na tych, którzy zarazę niosą, ale niemniej i ze względu na tych, którym ona grozi, użyć należy koniecznie odpowiednich, choćby

trudniejszych do wprowadzenia w życie, niż są w rzeczywistości, środków i lekarstw, w celu zmniejszenia siły tej z zbyt wielką już potęgą, na zbyt szerokie rozmiary grasującej, rzecby można, elementarnej klęski, przynajmniej utrzymania jej w pewnych granicach. Za wielkie tu w grę wchodzą interesa, same podwaliny społeczeństwa naszego zanadto zagrożone, by nie należało zwrócić w tę stronę — ku zachodnim kresom — naszej uwagi, sympatyi, a w miarę możności i potrzeby, i czynnej pomocy. Zasuwamy się na kresach tych z dnia na dzień nie w zorzę, lecz w ciemnię; choć z boleścią spojrzeć trzeba w tę nową, otwierającą się pod stopami naszemi ciemną przepaść i oświecić ją nie błędnym tylko ogniskiem próżnego żalu, ale iskrami wykrzesanemi z hartownej miłością „czynów stali".

Ks. Jan Badeni.

UBIORY PROFESORÓW I UCZNIÓW

W UNIWERSYTECIE JAGIELLOŃSKIM

W ZWIĄZKU Z WSPÓŁCZESNYMI ZWYCZAJAMI (1364—1889).

(Ciąg dalszy).

---

4. Ubranie magistra i doktora filozofii.

1. Ubranie pozasłużbowe.

Drugim stopniem akademickim *(secunda laurea)* był w dawnych czasach stopień magistra a względnie doktora filozofii, mógł go zaś pozyskać każdy bakałarz filozofii, który po swej promocyi przez dwa następne lata poświęcał się studyom w wydziale artystycznym i uczynił zadość wymaganiom egzaminu. Posiadając ten stopień, był uprawniony do wykładania we wydziale filozoficznym, a jednocześnie mógł kontynuować studya w jednym z trzech wyższych fakultetów.

Jeżeli zwyczajni scholarzy zobowiązani byli do przestrzegania ustaw o ubiorach, to rozporządzenia owe dotyczyły tem bardziej tych, którzy byli, a przynajmniej mogli być nauczycielami młodzieży.

Z podwójnego charakteru magistrów wynikało, że dwa rodzaje strojów mieć musieli: Jeden wdziewany przy pewnych aktach uniwersyteckich, który aż po koniec XVIII wieku zatrzymał z małymi zmianami swój pierwotny kształt, a drugi do codziennego użytku, który w XV i XVI wieku podobnie jak u scholarzów i bakałarzów ściśle był przepisany.

Magister wydziału filozoficznego był, ściśle rzecz biorąc, tylko uczniem trzech wyższych fakultetów i jako takiego musiały obowiązywać wszystkie ustawy scholarskie. Zresztą mamy ślady, że ubiór pozasłużbowy magistrów podobny był w XV i XVI wieku do ubioru żaków zwyczajnych.

Bakałarz filozofii nosił jako jedyną odznakę swej godności w XV i XVI wieku biret kwadratowy; w sukniach nie było żadnej różnicy. To samo *mutatis mutandis* możemy powiedzieć o ubiorze codziennym magistrów. Tunika magistra była taka sama, jak tunika scholarza niegraduowanego. W r. 1519 magister z Kozichgłów nosił i podarł tunikę pewnego scholarza [1]; widać z tego przykładu, że nie było różnicy pomiędzy sukniami zwierzchnimi magistrów, a scholarzów niższej kategoryi. Podobnych przykładów można przytoczyć cały szereg. W r. 1522 zastawił bakałarz filozofii swoją tunikę u pewnego magistra, który mu ją przez używanie zniszczył [2]. Szczególną wartość dla naszej argumentacyi posiada następujący fakt. W r. 1533 z rozkazu rektora przypomniano magistrom kolegium mniejszego, aby do jedzenia przy wspólnym stole przychodzili w sukniach przyzwoitych, ustawami przepisanych tj. w tunikach długich, w talarach zrobionych na wzór duchownych i biretach okrągłych [3]. Tuniki czyli suknie tu opisane podobne są do tych, jakie scholarze niegraduowani i bakałarze nosili. Do powyższego postanowienia czyli przypomnienia rektorskiego nie wszyscy magistrzy się zastósowali, a mianowicie przychodzili i nadal do stołu w sukniach krótkich, świeckich, Michał z Wiślicy, Sebastyan z Kleparza i Bartłomiej ze Stradomia. Skazani za nieposłuszeństwo na karę przyśli do rektora i prosili go w imieniu całego kolegium, aby rozporządzenie swoje cofnął, gdyż ono nie godzi się z duchem ustaw uniwersyteckich ani kolegialnych, a nadto sprzeciwia się dawnemu zwyczajowi przestrzeganemu w *Collegium minus*. Wywody magistrów były niezgodne z prawdą, to też prośba ich została przez rektora odrzuconą. Magistrzy niezadowoleni z tego

[1] Zob. *Acta rector.*, str. 889.
[2] Tamże, str. 913.
[3] Tamże, str. 1214.

grozili apelacyą do pełnego zgromadzenia profesorów [1], zdaje się jednak, że groźby swej nie wykonali, skoro nic o tem źródła nie wspominają. Natomiast wywarł magister Bartłomiej swój gniew na bedelach, którzy go byli oskarżyli przed rektorem; obił ich kijem, za co go widocznie nowa spotkała z strony rektora nagana [2].

Jak z jednej strony ubiór ten był obowiązkowy jako codzienny, tak z drugiej strony nie wolno było magistrom wdziewać go do dysput i na prelekcye. Dowiadujemy się o tem z ustawy, wydanej w r. 1572. O tunikach powiedziano tu, że mają wąskie rękawy [3].

Stwierdziliśmy na podstawie źródeł piśmiennych, że tuniki magistrów były podobne do scholarskich. Wyniki nasze znajdują potwierdzenie w współczesnych ilustracyach. W cytowanym już drzeworycie z Paprockiego „Gniazda“ z XVI wieku mamy magistra ubranego w tunikę zupełnie taką samą, jaką mają scholarzy, których egzaminuje, ma też koło bioder taki sam jak oni pas, nawet takie samo obuwie. Uderza nas tylko, że magister, który tu występuje w roli egzaminatora, a więc w charakterze urzędowym, zamiast przepisanego urzędowego stroju, który później określimy, ubrany jest w strój codzienny. Ten fakt można sobie jednak wytłumaczyć najprzód tem, że magistrzy mimo ustaw jawili się często, a zwłaszcza w tych właśnie czasach, przy czynnościach urzędowych w ubiorach pozasłużbowych tj. w tunikach zamiast w togach, a powtóre artysta rytownik mógł się pomylić, jako nieznający dobrze ustaw o stroju. Nie miał może zresztą sposobności przypatrzenia się ubiorom urzędowym magistrów, a przynajmniej miał ją rzadko kiedy, gdy tymczasem magistrów w strojach pozasłużbowych mógł codziennie widzieć spacerujących po mieście.

W wieku XVII i XVIII magister podobnie jak scholarzy mógł się ubierać na czas pozasłużbowy tak, jak mu się podobało. A więc gdy był księdzem, nosił ubiór duchowny, gdy był osobą świecką, nosił świeckie ubranie. Zawsze jednak wymagano od magistrów i w tym czasie pewnej przyzwoitości i skromności w ubio-

[1] Tamże r. 1533, str. 1215.
[2] Tamże, str. 1216.
[3] Zob. *Muczkowski,* Statuta, etc. str. LXVIII.

rze. W ordynacyi dla szkoły przy kościele Panny Maryi w Krakowie z r. 1757 czytamy owe charakterystyczne słowa: „Lubo lepiejby było, aby ten dyrektor scholae referat habitum clericalem, ten jednak habitus nie ma czynić praeferibilitatem, kiedy świecki będzie magis capax“ [1]. W r. 1769 pozwolono nawet do promocyi przystępować w stroju świeckim [2]. Tyle o sukni czyli tunice magisterskiej. Widzieliśmy, że pod tym względem nie było żadnej różnicy pomiędzy magistrem a scholarzem.

Jakaś jednak różnica zachodzić musiała. W uniwersytecie naszym przestrzegano w XV i XVI, zresztą i w późniejszych wiekach owej zasady, że trzeba każdego uczcić i odznaczyć według stopnia, który posiada. Bakałarza wyróżniał od niegraduowanego żaka biret kwadratowy, biret był również odznaką magistra, ale biret ten musiał się widocznie różnić od biretu bakałarza, inaczej nie byłoby różnicy w ubiorze codziennym pomiędzy pierwszym a drugim stopniem filozoficznym.

Birety magistrów filozofii były w przeciwstawieniu do kwadratowych biretów bakalarskich okrągłe [3]. O takich biretach wspomina wyraźnie napomnienie, udzielone przez rektora magistrom *Collegium minus* w r. 1533, wzywające ich, aby do stołu w nich przychodzili. Z tego przykładu wynika zarazem, że magistrzy i po za uniwersytetem musieli w biretach chodzić, że im więc innych nakryć głowy nie wolno było nosić. Mycki, przypominamy sobie, nosili żacy niegraduowani, tymczasem w r. 1537 otrzymał magister Paweł Raciąż karę za to, *quod in myczka ambulabat* [4]. W myckach zakazywano magistrom chodzić jeszcze w r. 1572 [5].

Mówiąc o nakryciu głowy, dodać wypada, że wszędzie prawie w przedstawieniach rysunkowych widzimy magistrów z brodami. Nie znajdujemy też ustaw, któreby golenie brody nakazywały. Musi nas tedy uderzyć ta okoliczność, że w r. 1540 zagrożono magistrowi Marcinowi Krokierowi karą za to, że brody nie

---

[1] Zob. *Arch. Sen. Akad.*, t. 267, str. 30.
[2] Zob. *Muczkowski*, Statuta, str. CCV.
[3] Zob. *A. R.*, r. 1533, str. 1214.
[4] Tamże, str. 41.
[5] Zob. *Muczkowski*, Statuta, str. LXVIII.

goli [1]. Co więcej, w pięć lat później pozwano dwóch magistrów do odpowiedzialności przed rektora z tego samego powodu. Jeden z nich był to magister Adam z Chęcin, kolega mniejszy i bakałarz świętych kanonów [2], a drugi magister Marcin, kierownik szkoły przy kościele Wszystkich Świętych [3].

W r. 1540 i 1545 był rektorem Jan z Sanoka. Domyślamy się, że musiał on być wielkim nieprzyjacielem bród, gdy tak stanowczo na nie nastawał; nie było przecież ustaw zabraniających nosić brody.

2. Ubranie urzędowe.

Wszędzie w zagranicznych uniwersytetach mieli magistrzy obok pozasłużbowego ubranie urzędowe. Ustawa pragskiego uniwersytetu z r. 1380 opiewa, aby bakałarze i magistrzy ubierali się w suknie odpowiednie ich stopniowi, gdy biorą udział w nabożeństwach uniwersyteckich, w promocyach i dysputach [4]. W pobudki, dla jakich zaprowadzono odrębne ubiory urzędowe, pozwala nam wglądnąć ustawa wiedeńskiego uniwersytetu z r. 1389, dotycząca magistrów, którzy po uzyskaniu stopnia zabierają się do nauczania w wydziale filozoficznym. Chcemy, argumentują ustawodawcy, aby nauczający tak był ubrany podczas swego urzędowania, iżby patrzący na niego już na widok jego ubrania zmuszeni byli uważać go za człowieka, który góruje nad innymi mądrością i cnotą [5]. Podobne ustawy istniały w Paryżu. W r. 1339 np. wydano rozporządzenie, na mocy którego magistrzy, biorący udział w zgromadzeniach scholarskich lub występujący w charakterze urzędowym, mieli być ubrani *in habitu decenti*. Uznano bowiem za rzecz całkiem naturalną, by ci, którzy innym przewodniczą i zarazem ich nauczycielami są, odznaczali się odpowiednim ubiorem zawsze i wszędzie, a zwłaszcza wtedy, gdy obowiązki na nich włożone spełniają [6]. Do przysięgi, którą mieli składać od r. 1341 licencyaci filozofii nacyi galickiej w uniwersy-

[1] Zob. *A. R.* pod tym rokiem.
[2] Tamże, r. 1545, str. 177.
[3] Tamże, str. 177.
[4] Zob. *Monumenta hist.* univ. prag., I, 54.
[5] Zob. *Kink*, l. c., II, 204.
[6] Zob. *Bulaeus*, l. c., IV, 258.

tecie paryskim, wstawiono osobne punkta, przepisujące jakość, krój, materyą i barwę ubiorów [1].

Na wzór tedy Paryża, a raczej Pragi i Wiednia, gdyż tymi przeważnie drogami szedł do naszej wszechnicy obyczaj paryski, zaprowadzono i u nas osobne urzędowe ubranie dla magistrów filozofii i dla całego uniwersytetu. Nie możemy wprawdzie wskazać na ustawy, któreby nam wykazały, że się to stało w samym początku otwarcia odnowionego uniwersytetu w r. 1400. O zwyczajach istniejących w uniwersytecie Kazimierzowskim dla braku zupełnego źródeł żadnej nie mamy wiadomości.

Pierwsza ustawa, która w naszym uniwersytecie urzędowy ubiór przepisuje, datuje z r. 1415 i wymaga, aby kandydaci obu stopni filozoficznych od chwili zgłoszenia się do egzaminu aż do promocyi nie występowali nigdzie *sine habitu* [2], tj. bez ubrania przepisanego. Widzimy stąd, że już przed r. 1415 ogłoszone były jakieś ustawy odnoszące się do ubiorów urzędowych magistrów; dowodzi tego ów lakoniczny wyraz *sine habitu*. Nie inaczej jak *in habitu* mają być ubrani magistrzy filozofii w czasie dysput zwyczajnych i quodlibet, przy recepcyach magistrów za granicą promowanych i w kościele na nabożeństwach uniwersyteckich [3].

Obie co dopiero wspomniane ustawy z r. 1415 nazywają urzędowy ubiór magistrów ogólnikowo *habitus*. Specyalną nazwę znajdujemy w rozporządzeniach z lat 1429 [4] i 1449 [5]. Uchwalono mianowicie, aby magistrzy obu kolegiów, większego i mniejszego, wszędzie, gdzie w urzędowym charakterze występują, byli ubrani w tabardy dobre i odpowiednio zrobione. Z źródeł przekonujemy się, że wprowadzeniu w życie owej ustawy stanęło na przeszkodzie ubóstwo wielu magistrów, nie posiadających funduszów potrzebnych do sprawienia sobie owych ubiorów. Aby tedy ustawę przeprowadzić, zakupił uniwersytet dwa postawy sukna i rozdał je między magistrów, którzy takiej pomocy potrzebowali, wziąwszy od każdego

[1] Tamże, l. c., IV, str. 273.

[2] Zob. *Muczkowski*, Statuta, str. XXV.

[3] Tamże, str. XXV.

[4] Zob. Statuta Collegii maioris ed. Szujski (Arch. do dziejów lit. i ośw. w Polsce, Tom I, str. 13, *De habitu magistrali*).

[5] Tamże, str. 17.

z nich przyrzeczenie na piśmie, iż należytość będzie spłacał w półrocznych ratach po 1 złp. pod karą ekskomuniki [1]. Magister nie mający takiego ubrania, nie mógł zostać dziekanem.

W XV wieku stosowali się magistrzy sumiennie do ustaw o strojach urzędowych; nie mamy przynajmniej śladu, aby inaczej było. Ale już w r. 1508 przyszło z powodu ubiorów urzędowych do sporu między rektorem uniwersytetu, a magistrami kolegium większego, przy czem strony odwołały się aż do instancyi kanclerza uniwersytetu, biskupa Jana Konarskiego. Rzecz miała się w ten sposób: Rektor Marcin z Miechowa przypomniał znów magistrom, aby ubierali się w przepisane tabardy. Magistrzy odmówili posłuszeństwa. Rektor odniósł się do biskupa. Ten wezwał magistrów, aby się poddali ustawie. Oni jednak i teraz jeszcze chcieli na swojem postawić, i doprowadzili do tego, że im zagrożono ekskomuniką. Zwołał tedy kanclerz strony na termin. Jako reprezentanci kolegium większego, stanęli przed trybunałem biskupim Mikołaj Mirocz, Jan z Michałowa i Jan ze Lwowa, tłumacząc się z pobudek swego postępowania. Po wysłuchaniu stron pierwotny wyrok został zatwierdzony; uchwalono wtedy, aby w przyszłości rektor w porozumieniu z dziekanami i radcami wydziałów mieli prawo do prolongowania terminu dla sprawienia przepisanych ubiorów. Biskup oświadczył jednocześnie, że wszelkie w tym względzie nieposłuszeństwo będzie karał w danych razach nawet cenzurami kościelnymi [2].

Prócz tabardu, który po uzupełnieniu tego przeglądu ustaw opiszemy, wchodziła w XV i XVI wieku w skład urzędowego ubioru magistrów pelerynka, o której niestety szczupłe mamy wiadomości. Magister Jakób z Iłży, członek kolegium większego, płaci w roku 1512 jako karę 8 groszy za to, że chodził bez pelerynki [3]. To jedyna wzmianka o pelerynce.

Zdaje się, że i rękawiczki wdziewali na ręce magistrzy przy urzędowych wystąpieniach. Na jaki bowiem inny użytek rozdawali

---

[1] Zob. Conclus. univ., r. 1449, str. 12.

[2] Ex actis actorum R. D. Ioannis Konarski w Arch. Sen. akad., L. 32, str. 107.

[3] Zob. *A. R.*, rok 1512, str. 748.

by je kandydaci swoim magistrom przy promocyach? O istnieniu tego zwyczaju w naszym uniwersytecie dowiadujemy się po raz pierwszy z ustawy z r. 1524. Z tego jednak nie wynika, jakoby zwyczaj ten nieznany był u nas i w XV wieku. Polecono w r. 1524 mianowicie, aby kandydaci przy promocyi w auli rozdawali magistrom i doktorom jako prezenta litylko rękawiczki i birety[1]. W uniwersytetach zagranicznych; wprawdzie nie we wszystkich, rozdawali kandydaci prócz rękawiczek i biretów sukno na ubranie. Może i u nas istniał podobny zwyczaj, a domyślamy go się na podstawie wspomnianej co dopiero ustawy z r. 1524.

Ostatnia ustawa w XVI wieku, która dotyczy ubioru urzędowego magistrów, datuje z r. 1572. Uniwersytet zabronił surowo magistrom wydziału filozoficznego przychodzić na prelekcye i inne uniwersyteckie akty w tunikach z wąskimi rękawami lub w myckach, jakie studenci noszą. Ustawa nie wymienia ubioru, mającego się nosić, można się jednak domyślić, że był nim tabard. Jako nakrycie głowy wymienione są birety, okrągłe doktorskie albo rogate.

W XVII i XVIII wieku obfitsze i dokładniejsze mamy wiadomości o urzędowych ubiorach magistrów. Z nieocenionej kompilacyi Marcina Gilewskiego, podarowanej jak wiadomo w r. 1601 wydziałowi filozoficznemu, dowiadujemy się najprzód, że magistrzy wcieleni do fakultetu przyrzekali dziekanowi między innymi i to, że będą się ubierali w suknią z szerokimi rękawami na czas prelekcyj, dysput i zgromadzeń.

Przy egzaminach i promocyach kandydatów drugiego stopnia przepisany był i dla kandydatów i dla egzaminatorów i promotora ubiór urzędowy. Zwyczaj był tu tak skomplikowany, że nie można go zrozumieć bez nakreślenia obrazu egzaminów i promocyj. Szkic ten będzie znów obrazem opisującym obyczaj nie tylko z początku XVII wieku, ale i z dawniejszych i późniejszych czasów.

Egzamina i promocye kandydatów drugiego stopnia uniwersyteckiego tj. stopnia magistra filozofii odbywały się pierwotnie cztery razy do roku, a od roku 1536 zazwyczaj tylko dwa razy. Kandydat, ubiegający się o stopień, najprzód zgłaszał się z swoim

[1] Zob. Concl. univ. r. 1524, str. 112.

magistrem do wicekanclerza uniwersytetu z prośbą o przypuszczenie do tentaminu, a następnie do egzaminu. Kandydaci ubrani byli przy tej sposobności w togi, magister polecający wdziewał togę i pelerynkę [1]. Po tej wizycie zwoływał wicekanclerz magistów filozofii, ubranych widocznie w togi i pelerynki, na posiedzenie w celu przeprowadzenia tentaminu, tj. w celu sprawdzenia, czy kandydat posiada warunki, aby móc być przypuszczonym do egzaminu. Na to zgromadzenie przychodzą kandydaci w ubiorze dysputujących tj. w tabardach i pelerynach, zaś dziekan wydziału filozoficznego tylko w todze z szerokimi rękawami bez pelerynki [2].

Po tentaminie następował egzamin, który w pierwszych czasach istnienia uniwersytetu rozpoczynał się od solennego nabożeństwa w jednym z kościołów krakowskich, fakt, który z powodu, że go nie zrozumiano, dał powód do mniemania, jakoby egzamina i promocye filozoficzne odbywały się w kościele. Egzamin trwał zazwyczaj kilka dni. Egzaminatorów było zwykle trzech, a mianowicie wicekanclerz uniwersytetu, dziekan wydziału i jeden z magistrów w tym celu wybrany. Dwaj pierwsi nie potrzebowali być ubrani w ubiór dysputujących, egzaminator wdziewał tylko pelerynkę [3]. Kandydaci przychodzili do egzaminu w stroju dysputujących [4]. W pierwszych dniach egzaminu urządzali kandydaci własnym kosztem ucztę, tak zwaną papierową, na którą spraszali egzaminatorów i innych magistrów. Gdy wicekanclerz brał w tej uczcie udział, dawano mu pieczeń z dziczyzny, wino i rozmaite dobre kąski. W czasie uczty lub też przed jej rozpoczęciem wchodzili do sali bedele uniwersytetu z świecami zapalonymi, aby kandydatom powinszować dobrego powodzenia i wręczyć im karty z zaproszeniem do kanclerza do dalszego ciągu egzaminu [5]. Po egzaminie znów na koszt egzaminowanych następowała kąpiel i uczta w łaźni. Po tem wszystkiem udawali się kandydaci do wicekanclerza, a ten mianował ich z ramienia przysługującej mu władzy licencyatami filozofii, udzielając im przez to pozwolenie do

[1] Zob. *Muczkowski*, Statuta, str. CXXII.
[2] Tamże, str. CXXIV.
[3] Tamże, str. CXXVII.
[4] Tamże, str. CXXX.
[5] Tamże, str. CXXVII.

promocyi. Akt promocyi na licencyata połączony był z nowymi kosztami. W sam dzień promocyi na licencyata musieli kandydaci sprawić dla profesorów swoich śniadanie, a w przeciwnym razie złożyć zamiast tego odpowiednią kwotę pieniędzy na ręce rektora. Śniadanie, gdy je kandydaci sprawić chcieli, odbywało się zwyczajnie w *Collegium maius* w auli; gdy dla zgromadzonych brakło tu miejsca, przybierano jeszcze które z kolegiów. Kandydaci musieli dostarczyć wszelkich naczyń potrzebnych do gotowania, wody, stołów z całem ówczesnem nakryciem, misek, puharów, jednem słowem wszystkich potrzebnych rzeczy. Przy stołach pełnili służbę sami kandydaci[1].

Po promocyi na licencyata potrzebna była jeszcze dla zakończenia studyów w wydziale filozoficznym promocya na magistrów i doktorów filozofii.

Na osobnem posiedzeniu, na którem licencyaci filozofii, ubrani tylko w pelerynki, byli obecni, wybrano promotora. Na promocyą zapraszano rektora, profesorów, scholarzów i publiczność. Miejscem promocyi była zwykle sala w *Collegium maius*. Przy promocyi wręczał promotor licencyatom rozmaite insygnia doktorskie, a mianowicie wkładał każdemu z osobna biret na głowę, a na palec pierścionek, i wręczał jedno z dzieł Arystotelesa, najprzód otwarte, które po chwili zamykał. W dawniejszych czasach dawano prócz powyższych insygniów także pelerynkę[2]. Ta ostatnia miała kandydatowi w przyszłości przypominać, aby godność przyznaną sobie piastował z chlubą dla fakultetu. Biret noszony na głowie miał być dla kandydata jakoby wskazówką, że posiadający stopień ma być niezmordowanym obrońcą prawdy i ma w tym względzie błyszczeć, jako wzór dla wszystkich. Pierścionek miał być symbolem ślubu między kandydatem a filozofią, której wiernym oblubieńcem winien przez całe życie pozostać. Lecz prócz filozofii winien był

[1] Dzień, w którym promocya licencyatów wraz z ucztą się odbyła, zwał się dniem Arystotelesa. Zob. *Benedicti Herbesthi Neapolitani Orationis Ciceronianae, quam ad Quirites... habuit, explicatio, Cracoviae 1560*, str. 50, *Dies Aristotelis, quem licenciaturam vocant.* Zob. też *Muczkowski*, Statuta, r. 1415, str. XXIV: ... *licenciatura, quae in festo Aristotelis celebratur.*

[2] Zob. *Muczkowski*, Statuta, str. CXXXIII.

kandydat kochać w życiu Boga, bliźnich, całą ludzkość; promotor wkładając na kandydata ten obowiązek, brał go w swoje objęcia i składał na jego czole pocałunek pokoju. Księga rozwarta znaczyła, że kandydat ma się rozczytywać w księgach i pomnażać przez to swą wiedzę, a księga zamknięta, że nie należy się trzymać niewolniczo cudzego zdania, ale powinno się samoistnie docierać do prawdy.

Egzamina magistrów, jak widzieliśmy, rozpoczynały się niekiedy od solennego nabożeństwa w kościele. W kompilacyi Gilewskiego z r. 1601 powiedziano jest, aby w czasie tego nabożeństwa dziekan wydziału ubrany był w swój strój dziekański, reszta magistrów w pelerynki tylko. Na nabożeństwa w ogólności urządzane przez uniwersytet winni byli przychodzić magistrzy też tylko w samych pelerynkach, z wyjątkiem czterech co kwartał powtarzających się nabożeństw, na które w tabardy ubierać się mieli [1].

Ustawa z r. 1603 przypomina znów magistrom i profesorom w ogóle, aby nosili ubior przyzwoity i grozi karą za wykroczenia [2].

Egzaminowany magister nie odrazu był przyjęty do grona profesorów wydziału; musiał wpierw wysłużyć sobie to prawo. Zewnętrzną odznaką przynależności do fakultetu była toga. Z powodu owego prawa do togi powstały w XVII wieku rozmaite nieporozumienia i niesnaski między magistrami wydziału, a magistrami nowymi. W obec tego uchwalił wydział w r. 1684, aby nie dawać nikomu prawa do togi, jeżeli wpierw nie strawi mniej więcej czterech lat, pracując w wydziale [3]. Tę samą ustawę przypomniano jeszcze raz w r. 1765. Magistrów, którym przyznano prawo do togi, nazywano *magistri togati*, magistrów zaś, którzy tego prawa nie mieli, *reverendati*, tytułując tamtych *Clarissimi*, tych *Reverendi Domini* [4].

W XVIII w. a mianowicie w r. 1742 odgrzebano znów ustawę z r. 1508, przypominającą, aby tabardy magistrów miały formę przepisaną [5].

---

[1] Tamże, str. CII.
[2] Zob. Rkps Arch. Sen. akad., L. 265, str. 253.
[3] Zob. *Muczkowski*, Statuta, str. CLXI.
[4] Tamże, str. CLXXXIII
[5] Zob. *A. R.*, r. 1742, str. 1031.

W r. 1761 wskutek skargi wniesionej przez dziekana wydziału filozoficznego Michała Mrugaczewskiego przeciw dwunastu profesorom, którzy mimo obowiązującego zwyczaju i mimo wezwania dziekańskiego nie przybyli w dzień św. Tomasza na nabożeństwo do Dominikanów, postanowił rektor, aby w przyszłości na rozkaz dziekana magistrzy uczestniczyli w procesyach tych wszystkich uroczystości, w których uniwersytet z obowiązku bierze udział, przybrani w ubiory urzędowe [1].

W ciężkich chwilach dla kraju przechodził i nasz uniwersytet przykre koleje, a wśród tych nieszczęść zatarły się dawne tradycye, zaprzestano też używać ubioru korporacyjnego. W r. 1791 szkoła główna na posiedzeniu z dnia 3 kwietnia uchwala, aby odtąd znów do wszystkich aktów publicznych, czy one się w kościele czy też w sali Jagiellońskiej odbywają, magistrzy ubrani byli w togi [2]. Na tem samem posiedzeniu uchwalono przyjąć biskupa krakowskiego w togach. W dzień zaduszny, który jest tylko aktem religii, nie potrzebowali się magistrzy ubierać w togi [3].

Jest to ostatnie znane nam rozporządzenie, odnoszące się do ubiorów urzędowych w XVIII wieku. Zamykając nasz przegląd ustaw, stwierdzamy, że ubioru korporacyjnego czyli urzędowego używali profesorowie naszego uniwersytetu, począwszy od r. 1400 aż mniej więcej po koniec XVIII wieku prawie bez przerwy.

Zachodzi teraz pytanie, z jakich części ubiór ów się składał, jak owe części wyglądały, z czego się robiły, i jakie metamorfozy przechodziły.

Z przeglądu ustaw przypominamy sobie, że w skład tego urzędowego ubioru wchodzi biret, dalej suknia zwierzchnia, nazywana to tabardem to togą, dalej pelerynka czyli po łacinie *caputium*, *epomis*, *pithagorica* lub *mucetum*, dalej rękawiczki i pierścionek. Dodajemy do tego tak zwane doktoryzatki (po niemiecku *Bäffchen*) i mankiety wykładane, które w XVII i XVIII w. weszły w modę, a będziemy mieli komplet nazw odnoszących się do części ubioru

---

[1] Zob. *A. R.*, r. 1761, str. 468.

[2] Zob. Protokół obrad Szkoły głównej w Arch. Sen. akad., L. 8, str. 407.

[3] Tamże, str. 420.

urzędowego magistrów wydziału filozoficznego. Tym częściom przypatrzymy się kolejno.

Nakrycie głowy stanowił biret. Pierwotne birety naszych magistrów były okrągłe. Przekonaliśmy się o tem z przeglądu ustaw. O kształcie biretów możemy nabrać wyobrażenia z współczesnych ilustracyj. Są to, że tak powiem, fezy wysokie. Na niemieckich ilustracyach mają one guzy u góry[1], u nas guzów nigdy nie spotkaliśmy. Jeden z magistów przedstawionych w znanej nam dysputacie doktorów, której prześliczną reprodukcyą mamy w Wzorach sztuki średniowiecznej, ma biret całkiem podobny do biretów magistrów niemieckich, brakuje tylko guza.

Biretów rogatych nie znano w XV i w początkach XVI w. ani u nas ani za granicą. Profesorowie, duchowieństwo, sędziowie, jednem słowem cała *gens togata* używała okrągłych biretów. W XVI wieku z tej okrągłej czapki zrobiła się rogata. Pasquier pisze, że stało się to przez fantazyą niejakiegoś Patrouilleta, który około r. 1535 pierwotnym biretom dał cztery rogi. Tradycya niesie, że Patrouillet zrobił na tem dobry interes i postawił kamienicę[2]. Bock[3] a za nim i Olte[4] sądzą, że zmianę tę wywołał wzgląd na dogodniejsze wkładanie i zdejmowanie biretu.

Birety z rogami przyszły do Polski jeszcze w XVI wieku i były zdaje się dość powszechnie noszone. Ustawa z r. 1572 powiada wyraźnie, że magister w czasie swego urzędowania może występować albo w dawnym birecie doktorskim tj. okrągłym albo rogatym[5]. W XVII i XVIII wieku spotykamy się już tylko z rogatymi biretami.

Nie mamy wprawdzie na to dowodów, jednak śmiało przypuścić możemy, że barwa biretów magistrów była czarna. Cały bowiem ubiór miał ten kolor. Zresztą w XVII i XVIII wieku wręczano doktorandom filozofii tylko czarne birety. Jeżeli na ilu-

---

[1] Zob. *Henne* am Rhyn, l. c., tom I, str. 312, 315, 370 itd.

[2] Zob. *Gay*, Glossaire archéologique du moyen age et da la renaissance, Paris 1883, pod Bonnet rond.

[3] Gesch. d. l. Gew., II, str. 342.

[4] Christl. Kunstarch., I, str. 464.

[5] Zob. *Muczkowski*, Statuta, str. LXVIII.

stracyach znajdą się birety innej barwy, to odegrała tu rolę fantazya iluminatora i zamiłowanie jego w pstrych barwach.

Co do cen biretów, szczupłe mamy wiadomości. Ustawa z r. 1527 napomina kandydatów, aby profesorom swoim dawali dobre birety, wartości mniej więcej 18 groszy. Senior bursy Jeruzalem kupił w r. 1537 u księgarza Jana Hallera biret za 26 groszy.

Suknia urzędowa naszych magistrów nazywała się pierwotnie tabardem. Z tą samą nazwą spotykamy się w uniwersytecie pragskim i wiedeńskim. Dziwna rzecz, że w Paryżu suknie tej nazwy były w XV w. zabronione przy urzędowych czynnościach magistrów. Suknia urzędowa nosiła tam nazwę *cappa*. Był to rodzaj płaszcza *(pallium)* czyli sukni okrągłej *(cappa rotunda)*, wyrabianej z dobrej brunety czarnej lub też innego lepszego czarnego sukna; kapucya przy owych kapach były dosyć szerokie i długie i obszyte kolorowym sznureczkiem. Du Fresne powiada, że *cappa* stosownie do swej nazwy była suknią, która cały korpus obejmowała, a zatem rodzajem tuniki obszernej i talaru, i że wkładała się jako płaszcz na wszystkie inne suknie. Z tego wszystkiego jednak nie można oznaczyć, czy *cappa* miała rękawy czy nie.

O tabardach wiedeńskich magistrów, które nazwano też epitogiami, tyle tylko wiemy, że istniały ich dwa rodzaje: jedwabne na lato, na zimę sukienne, futrem obsadzone.

Dla objaśnienia tabardów pragskich dodano, że to są suknie długie czyli zwierzchnie.

W obec tego braku wskazówek trudno stwierdzić, czy istnieje jakoweś podobieństwo pomiędzy kapami paryskimi, a tabardami magistrów pragskich i wiedeńskich.

Wielkie też zachodzą trudności w określeniu sukien urzędowych naszych magistrów. Z XV i XVI wieku szczupłe posiadamy wiadomości. Z uchwały uniwersytetu z r. 1449 wiemy, że tabardy robiono z sukna. Ale jak one wyglądały? W cytowanym już drzeworycie, publikowanym przez Muczkowskiego, a przedstawiającym salę wykładową, magister ma na sobie suknię lub raczej płaszcz zarzucony na ramiona, w którym skłonni jesteśmy dopatrywać się podobieństwa do kap magistrów paryskich.

Jeżeli powyższa ilustracya jest historycznie wierna, w takim razie w początku XVI wieku musiała zajść stanowcza zmiana

w kształcie urzędowych sukien naszych magistrów, a mianowicie niewygodna kapa czyli rotunda tj. suknia bez rękawów przekształciła się na suknię z rękawami, której magistrzy XVI wieku już używają. Nazwa jej pozostała w źródłach współczesnych ta sama. W literaturze współczesnej występuje druga nazwa, a mianowicie toga; o togach magistrów wspomina między innymi Orzechowski [1], niestety nie opisuje ich bliżej, a przynajmniej nie wyraża się jasno. Czytamy w jego penegiryku, że nazajutrz po ślubie Katarzyny z Zygmuntem Augustem w r. 1553 doktorowie Akademii przedstawili się królewskiej parze w togach aksamitnych. Nie wiadomo, czy całe togi były aksamitne, czy też tylko miały aksamitne potrzeby.

W XVII wieku występują w źródłach obok siebie dwie nazwy dla sukni urzędowej magistrów: tabard i toga. Obok tabardów czyli tog magistrów pojawiają się tabardy czyli togi kandydatów. Tamte nazywano pospolicie togami większymi, te mniejszymi, tamte miały szerokie, te wąskie rękawy, jedne i drugie były sukniami długimi, sięgającymi po kostki. Togi większe nosili tylko magistrzy *facultatem actu regentes* tj. tacy, którzy należeli do grona profesorów wydziału; tog mniejszych używali kandydaci przy promocyach i magistrzy extranei. W togę większą ubrany jest Stanisław Józef Bieżanowski († 1693). Portret jego jest w uniwersytecie Jagiellońskim. Bieżanowski był doktorem filozofii i profesorem poezyi w tymże uniwersytecie. Toga jego jest czarna z podszewką i obszyciem różowem. I oto mamy konkretny przykład togi większej w XVII wieku. Przykładów takich znalazłoby się więcej w iluminacyach współczesnych ksiąg uniwersyteckich. I togi mniejsze były czarne; dowodów dostarczają te same księgi.

W XVIII wieku nie zaszła w sukni urzędowej magistrów żadna zmiana. Posłuchajmy świadectwa Jana Śniadeckiego, naocznego świadka [2]: „Kandydaci, bakałarze, licencyaci i magistrowie, którzy jeszcze czterech dysput do wzięcia togi wielkiej nie odbyli, mieli togi czarne barakanowe, niczem nie podszyte, z rękawami wąskimi,

[1] Paneg. Nuptiar.
[2] Zob. Żywot Kołłątaja, wyd. Turowskiego str. 22.

zaś magistrzy należący do fakultetu, mieli togi czarne, długie, z szerokimi rękawami, kitajką lub atłasem karmazynowym podszyte".

Pelerynki. Wiemy z ustaw, że w XV i XVI wieku dawano u nas kandydatom stopni uniwersyteckich przy promocyi pelerynki, wprowadzając ich przez to w posiadanie katedry doktorskiej; wykazaliśmy też, że zwyczaj ten rozdzielania kandydatom pelerynek przy promocyi upadł u nas pod koniec XVI wieku. Przyszedł on zaś do nas z zagranicznych uniwersytetów, jak w ogóle wszystkie pierwotne zwyczaje uniwersyteckie. Znane nam są miniatury francuskie z XV wieku, przedstawiające magistrów w pelerynkach [1]. Dr. Otto Henne am Rhyn dostarczył w swej ilustrowanej cywilizacyi niemieckiego narodu, którą już cytowaliśmy, mnogich przykładów, że magistrzy niemieckich uniwersytetów w XV i XVI wieku używali pelerynek, jako części ubioru urzędowego.

Wzory pelerynek naszych magistrów z XVI wieku znajdujemy w dziele Muczkowskiego [2]. Mają one kształt dzisiejszych pelerynek kanoniczych.

W XVII i XVIII wieku utrzymały się pelerynki, jako część zbioru urzędowego magistrów. Za czasów Jana Śniadeckiego pelerynki magistrów filozofii, które wówczas nazywano też mucetami, były okrągłe, z czarnego zrobione atłasu i srebrnym obwiedzione galonem. Pelerynki z galonami mają magistrzy filozofii na obrazie, znajdującym się w zakrystyi kościoła św. Anny w Krakowie, a przedstawiającym procesyą z roku 1772, odprawioną w uroczystość św. Jana Kantego.

Rękawiczki, pierścionki, pefki i mankiety. O tych częściach ubioru mało co pewnego mamy do powiedzenia. Pierścionki wręczano kandydatom przy promocyi po wszystkie wieki w naszym uniwesytecie. Pierścionek miał kandydatowi zawsze i wszędzie przypominać jego ślub, jaki zawarł z filozofią; z tego zdaje się wynikać, że pierścionki były integralną częścią ubioru magistra.

Taki sam domysł postawić można i co do rękawiczek. Kan-

[1] Zob. *Gay*, l. c., pod Bonnet rond.
[2] Zbiór Drzeworytów etc. Kraków 1849.

dydaci rozdawali je przy promocyi profesorom swego wydziału, którzy ich widocznie używali. Widzimy też niejednokrotnie na portretach z XVI i następujących wieków magistrów z rękawiczkami.

Pefki (po niemiecku Bäffchen), zwane także, nie wiem z jakiego powodu, doktoryzatkami, zdają się być pozostałością kołnierzyków od bielizny, wywijanych na suknie zwierzchnie. Spotykamy je u nas na portretach i miniaturach już w XVII wieku. Są to dwa płatki kształtu czworokątnego podłużnego, zawieszone obok siebie pod brodą u obojczyka, zrobione z białej przezroczystej tkaniny z białymi obwódkami po bokach.

Mankiety, które również dopiero pod koniec XVII wieku przeważnie tylko u kandydatów stopni filozoficznych się pojawiają, są po prostu końcami rękawów bielizny, wywiniętych na wąskie rękawy tog mniejszych. (C. d. n.)

Dr. A. Karbowiak.

SPRAWA POKUCKA ZA ALEKSANDRA.

(Dokończenie).

Tymczasem Stefan poczynał sobie w zajętym kraju jako jego prawny pan i władca. Już 31 października 1502 r. donosi Stanisław z Chodcza, starosta lwowski, że Stefan wytknął granicę między Polską a Mołdawią, prowadząc ją o małą milkę od Halicza, przez co Halicz stracił wiele posiadłości i dochodów. Dotychczas zaopatrywał ten gród zawsze sam Stanisław z Chodcza. Tak było za panowania Kazimierza Jagiellończyka, a później za Olbrachta. Teraz jednak pozostały mu na utrzymanie Halicza tylko cztery zniszczone, małe wioski z tej strony Dniestru, z których niedawno Stefan 70 wołów zabrał. Starosta suczawski oświadczył był bratu Stanisława z Chodczy, Piotrowi staroście halickiemu, przebywającemu w Haliczu, że Stefan chce zostawić tylko jeden zamek polski na granicy, i to Halicz, wszystkie inne umyślił zabrać lub zburzyć. Dlatego też kazał spalić forteczkę Piotra Koli. Po dłuższym pobycie w Polsce, około 31 października rozpoczął Stefan odwrót jakoby do Mołdawii.

Na Rusi panował tymczasem wielki nieporządek i rozprzężenie. Cała siła wojskowa ograniczała się, jak powiedzieliśmy, tylko na małym oddziale, złożonym z 500 jeźdźców, i to tak źle zaopatrzonych, że dopuszczali się rabunków i wyrządzali szkody tak w dobrach prywatnych, jak i królewskich. Stefan wysłał list do Aleksandra, domagając się zwrotu rzeczy, skonfiskowanych zdrajcy Krechowieckiemu. Odgrażał się przytem przed Stanisławem z Chod-

cza, że w razie odmowy stratę swą powetuje na dobrach jego i brata. Stanisław z Chodcza, donosząc o tem Aleksandrowi, odmalował mu w jaskrawych barwach ów stan opłakany, w jakim wówczas Ruś się znajdowała.

Jeszcze więcej pogorszył się stan rzeczy z początkiem r. 1503. Na prędce zebrany zaciężny żołnierz był nieopłaconym; można się było obawiać, że się rozprószy każdej chwili. Tymczasem więcej niż 3000 ludzi przeszło z tej strony Dniestru do kraju zajętego przez Stefana. Ten otworzył żeglugę na Dniestrze w Niźniowie, gdzie też i cło począł wybierać; na innych zaś miejscach żeglugę zamknął, a statki porąbał. W żupach ustanowił celników, prócz tego i samych żupników tak w Kołomyi, jak i w innych żupach halickich. Rusini wciąż przechodzili na stronę Stefana. Stanisław z Chodcza był pewnym, że wszyscy oni to uczynią, zachęcani i wspomagani w tem przez łotrzyków i rabusiów. Stefan cofnął się wprawdzie do Mołdawii, ale w zajętym kraju pozostawił dwóch swych starostów: Hrinkowycza, klucznika i Kyrlchachna, Myewnika (miecznika?)[1], a królewskim urzędnikom rozkazywał, jakby swoim własnym.

Stosunki dyplomatyczne między Polską a Mołdawią mimo to się nie przerwały.

Stefan wysyła Ilka Wsteklego do Stanisława z Chodczy, starosty lwowskiego, z prośbą o wstawienie się za nim do króla, by go pozostawił w posiadaniu zajętej ziemi. Ma on bowiem do niej prawo, gdyż jest ona jego ojcowizną *(patrimonium)*, a otrzymał ją nadto za pozwoleniem i rozkazem króla Węgier. Gdyby się Aleksander zgodził na to, obiecywał mu w zamian pomoc przeciw Turkom i Tatarom. Starosta odpowiedział mu: choć są starsi, jakoto senatorowie, którzy mogą się za nim wstawić, uczyni on to jednak, by zapisy były dotrzymane. A ponieważ Stefan wzywał go, by wymierzał sprawiedliwość jego poddanym, odpowiedział mu, że gotów to uczynić, jeżeli Stefan będzie podobnie postępował z królewskimi poddanymi. A chcąc się dowiedzieć, co

[1] Patrz o tem wszystkiem list Stanisława z Chodcza z d. 31 października 1502 r. *(Papiery Szujskiego)* i takiż list późniejszy. *Uljanickij* l. c. str. 226—227 i *Papiery Szujskiego.*

się tam dzieje, wysłał gońca do Stefana rzekomo z zażaleniem na krzywdy, jakich doznał, a w rzeczy samej w celu rozpatrzenia stanu rzeczy[1].

Stefan uważał tę sprawę za skończoną. Nie chciał wprawdzie zrywać z Aleksandrem, ale też o ustępstwach i układach myśleć już nie chciał. Dlatego też bezskutecznem było poselstwo wysłane doń przez kardynała Fryderyka w imieniu Aleksandra. Sprawował zaś je starosta lipowiecki, Iwan.

Poseł ten przybył do Halicza w sam dzień św. Marka (25 kwietnia) 1503 r. Tam przygotowali mu już na dzień przedtem przyjęcie posłowie węgierscy. Wygotowali też podwójne listy do panów polskich. Gdy się zeszli z nim, pytali go, czy i inni panowie za nim już idą, czy też nie. Dawali mu potem owe listy do panów polskich, ale ich nie przyjął, lecz tegoż dnia jeszcze do Stefana, który w pobliżu bawił, pojechał, a ten dał mu nazajutrz posłuchanie. Była na niem obecną cała rada wojewody. Stefanowi poselstwo takie, jak je z ust starosty Iwana usłyszał, wydało się niemożebnem i nieprawdziwem. Zdaje się, że starosta usprawiedliwiał, dlaczego panowie polscy nie zjechali na wyznaczony do rewizyi granic dzień, i prosił go o nowy termin. Wojewoda na to odrzekł: „Chociażby pan kardynał zachorował, toć wszyscy jesteśmy w mocy Bożej, a przecież byli inni panowie w królestwie, którzy mogli zadosyćuczynić zawartej umowie. Z ziemi węgierskiej przybyli wysłańcy wedle umowy, lecz Polacy uważają mię za dziecko. Już kilkakrotnie czynią ze mną umowę, a przecież nie mogę dojść z nimi do końca. Gdyby panowie królestwa polskiego i węgierskiego na to miejsce przybyli, a mnie, wymawiającego się chorobą, nie zastali, cóżby na to powiedzieli?“ Gdy mu w ten sposób gniewnie dał do zrozumienia, że na takie poselstwo nic zważać nie myśli, przystąpił Iwan do drugiego punktu swego poselstwa. Tyczył się on prawdopodobnie zwrotu zabranego kraju i zawierał wyrzuty za zdradziecki napad i zabór.

Stefan wysłuchawszy tego, jeszcze bardziej się rozgniewał: „Chcę, jak prawo wymaga, mówił, trzymać się zapisów i lepiej wraz z mą radą uczynić zadość złożonej przysiędze, niż panowie

[1] *Uljanickij* l. c. str. 225—226 i *Papiery Szujskiego.*

Polacy. Ta ziemia, mówił dalej, do której wszedłem, nigdy nie była, ani nawet nie jest wymienioną w jakichś zapisach lub ugodach, i jest moją ziemią, należącą od dawnych czasów do Mołdawii; mam też do niej pewne i słuszne prawa oddawna. Z tego też powodu do niej wszedłem, jak do mej własnej. Jeżeli zaś Polacy chcą z tej przyczyny coś przeciw mnie począć, w takim razie działaliby wbrew własnej przysiędze, a mnieby uczynili gwałt i niesprawiedliwość. Lecz gdy ze mną zechcą być w przyjaźni, niech mi dadzą pokój w tej ziemi i w innych sprawach wedle zapisów. Wtedy nawzajem będziemy się wspierać przeciw Tatarom i innym, gdyż to obopólnie dla nas jest potrzebnem".

Tak stanowczo odmowną odpowiedź otrzymał starosta na drugi punkt swego poselstwa. Obecni temu posłowie węgierscy poczęli Stefana prosić, by wyznaczył przynajmniej nowy termin do układów.

Ten jednak odpowiedział: „Nadaremniebym odkładał, ponieważ Polacy nigdy mi sprawiedliwości nie wymierzą". I nic nie chciał uczynić na żądanie panów węgierskich. Poseł widząc to jego niedowierzanie w sprawiedliwość i prawdomówność panów polskich, próbował w następujący sposób osiągnąć jakiś rezultat ze swego poselstwa. Oto oświadcza Stefanowi, że tak długo pozostanie u niego w więzieniu, dopóki pan jego nie wykona tego, co przez usta jego mu oświadczył. W przeciwnym razie może go wiecznie trzymać w więzieniu lub kazać ściąć.

Na to mu Stefan odpowiedział: „Cóż mi po twej głowie lub z tego, że pozostaniesz. Mnieby i w takim razie zawsze groziło niebezpieczeństwo, że doznam niesprawiedliwości. Starosta krakowski[1] zaręczał mi przecież za króla i senatorów, a przecież Polacy nie dotrzymali słowa. Nie chcę więc już wierzyć. A komu poselstwo do mnie potrzebne, znajdzie mnie w tej ziemi, tj. w ziemi ruskiej". Na tem skończyło się poselstwo Iwanka[2]. Nic nie uzyskawszy, powrócił do kraju.

[1] Jan Bochołnicki, o którego poselstwie do Stefana mówiliśmy już wyżej.

[2] Sprawozdanie z tego poselstwa znajduje się tak u *Uljanickiego* l. c. str. 217—219, jak i w *Papierach Szujskiego*. Mylnie jednak umieszczone jest pod r. 1502; 25 marca bowiem tego roku, kiedy poseł ów był już w Haliczu,

Drugie poselstwo wysłano do Władysława węgierskiego. Przewodniczył mu arcybiskup Andrzej Róża, jeden z najlepiej obznajmionych ze sprawą o Pokucie senatorów polskich. Poselstwo to miało najpierw przedstawić Władysławowi stanowisko, jakie dotychczas zajmował w obec stosunków Polski z Mołdawią. Oto, gdy J. Olbracht chciał się zemścić na Stefanie za zdradę jego, z powodu której poniósł klęskę bukowińską, powstrzymał go Władysław od tego, i nakłonił do zawarcia pokoju i przymierza ze Stefanem na takich warunkach, jakichby nigdy sam Stefan z bronią w ręku na Polsce nie wymusił. Stało się wtedy wszystko podług woli Władysława, ale nie wedle słuszności. Tymczasem Stefan, nie zważając na ten, tak dla niego korzystny, a upokarzający dla Polski pokój, napadał wciąż królestwo polskie, brał jeńców i łupy, wysyłał nawet Tatarów, którym dawał przewodników. Sam nadto przyzwawszy sobie na pomoc kilkuset Turków i nie mało, jak się zdaje, z Węgier, huzarów, napadł na Ruś i podbił ją w obecności i w oczach baronów węgierskich, bawiących u niego. Aleksander zajęty wojną moskiewską, pamiętając nadto na zaprzysiężony pokój, nie pomścił na Stefanie owego napadu, lecz sprawę tę oddaje w ręce Władysława. A mógłby przecież, za pośrednictwem właśnie węgierskiego posła Zantaya, zawrzeć łatwo pokój z Moskwą, i z całą siłą zwrócić się przeciw Stefanowi. Prosi więc Władysława, by w żaden sposób nie pozwolił na podobne postępowanie Stefana [1].

Miało to poselstwo prócz tego osobne polecenie do prałatów i baronów węgierskich. Panowie węgierscy, jak łatwo się domyśleć można, namawiali i wszystkiemi siłami starali się skłonić Władysława, by w sprawie mołdawskiej miał przedewszystkiem interes Węgier na oku, jakkolwiekby to było połączone z jak największą szkodą Polski. Oni też byli powodem dwulicowego postępowania Władysława w obec Polski w sprawie o Pokucie, oni to potajemnie wspierali Stefana w krokach jego nieprzyjacielskich przeciw Polsce, dawali mu nawet pomoc zbrojną: byli nią np. owi husarzy, o których wspomnieć miało powyższe poselstwo polskie. W rozmaity

znajdował się Aleksander jeszcze w Polsce, a kardynał Fryderyk nie był jeszcze chorym, ani nie zastępywał Aleksandra.

[1] *Uljanickij* l. c. str. 220—222 i *Papiery Szujskiego.*

też sposób ośmielali go do lekceważącego i zuchwałego postępowania w obec Polski i do wykonania swych planów.

Dlatego może nas zdziwi sposób, jakiego użył Aleksander, by prałatów węgierskich nakłonić do popierania u Władysława interesów polskich w sprawie ze Stefanem.

Turcy — mieli im posłowie oświadczyć — czynią jak największe i najponętniejsze obietnice Polakom, byle tylko dozwolili im na wolne przejście przez Polskę do Węgier. A Polska teraz z powodu Stefana znajduje się w wielkim ucisku, tak, że jeżeli prałaci nie wpłyną i nie nakłonią Władysława, by poskromił Stefana, będą musieli Polacy zgodzić się na propozycye tureckie [1].

Groźba podobna, nawet niewłaściwa w ustach Polaków, nie była, jak się zdaje, na seryo pomyślana. Miała ona tylko przestraszyć Węgrów i tem pewniej nakłonić ich do zajęcia przychylniejszego względem Polski stanowiska w sprawie ze Stefanem.

Rzeczywiście też poselstwo arcybiskupa Róży nie pozostało bez pewnego skutku. W Budzie zgodzono się na następujące punkty: W Kolaczynie mają się zejść panowie wyznaczeni do rewizyi tak ze strony Polski, jak i Mołdawii. Władysław ma tam także wysłać swoich posłów. Obowiązkiem ich będzie wpływać na Stefana, by podczas traktowania przystojnie się zachował i przyjął słuszne warunki porozumienia się i ugody. Przed zjazdem w Kolaczynie ma Stefan zwrócić w obecności posłów Władysława i Jakóba Buczackiego, sekretarza króla Aleksandra, cały zajęty w ziemi halickiej kraj, wraz z ludźmi, których tam zastał. Posłowie węgierscy mają się oprócz tego postarać, by Stefan zwrócił w ugodowy sposób wszystko bydło i rzeczy zabrane. Gdy Stefan ziemię zabraną zwróci, ma się udać poseł węgierski na miejsce, by przekonać się, czy rzeczywiście w całości ją oddał. Obecne teraz w Budzie poselstwo polskie ma o powyższych postanowieniach jak najprędzej po powrocie do kraju uwiadomić swego króla, a zarazem oznajmić, że zjazd w Kolaczynie w celu rewizyi, wyznaczono na dzień Wszystkich Świętych (1 listopada) 1503 r. Poseł węgierski ma się wystarać od Stefana o glejt bezpieczeństwa dla panów pol-

[1] *Uljanickij* l. c. str. 222.

skich. W razie potrzeby ma też być wystawiony i przez Aleksandra takiż glejt dla bojarów mołdawskich, wyznaczonych na zjazd, jakoteż i dla samego Stefana, jeżeliby własną osobą chciał wziąść udział w zjeździe [1].

Oto był rezultat poselstwa Andrzeja Róży do Węgier.

Miały się więc dalej ciągnąć tak nieszczęśliwie i nieporadnie prowadzone przez Polskę układy. Udało się jednak Róży przynajmniej to uzyskać, iż sami Węgrzy musieli uchwalić, że przed zjazdem miał Stefan zwrócić zupełnie kraj zajęty.

Aleksander zajął się teraz energiczniej tą sprawą. Zanim wyprawił poselstwo do Węgier, przysłał był przez sekretarza swego Mroczka panom ruskim zebranym pod Lwowem projekt silnej organizacyi wojennej ziem krakowskiej, sandomierskiej i Rusi przeciw Tatarom i Wołochom [2]. Sejm piotrkowski z marca 1503 r. ogłosił nadto na dzień św. Stanisława tegoż roku powszechny popis rycerstwa ziem małopolskich, przyczem dla ziemi krakowskiej wyznaczył jako miejsce popisu Wojnicz. Zgromadzone tu rycerstwo uchwaliło organizacyę wojenną ziemi swej podobną do tej, jaką Aleksander panom pod Lwowem przysłał był. Różniła się ona od tej ostatniej tylko w niektórych szczegółach. Aleksander sam zorganizował przytem silniej rządy senatu. Mianował też Mikołaja Kamienieckiego, kasztelana sandomierskiego i generał-starostę krakowskiego, naczelnym wodzem czyli hetmanem [3]. Andrzej Róża i Sieklicki, kasztelan wojnicki, wysłani potem do Budy, zdołali, jak widzieliśmy, i tam sprawę pokucką wprowadzić na lepsze tory.

Wojna z Moskwą się skończyła. Aleksander każdej chwili spodziewał się powrotu swych posłów z Moskwy, wraz z głęboko

---

[1] *Papiery Szujskiego.*

[2] *Papiery Szujskiego* i w bardzo krótkiem streszczeniu u *Uljanickiego* l. c. str. 222–223. Poselstwo to Mroczka mylnie zresztą jest podanem pod r. 1502, mowa w niem bowiem już o powrocie starosty od Iwana, który doń posłował w r. 1503. Ponieważ poselstwo to Mroczka wspomina też, że Aleksander dopiero wysyła poselstwo do Węgier, poselstwo więc to ostatnie miało miejsce też dopiero w r. 1503 i to dopiero po sejmie piotrkowskim, w którym Róża bierze jeszcze udział.

[3] *Mich. Bobrzyński.* Sejmy polskie za Olbrachta i Aleksandra (Ateneum r. 1876. Tom II. str. 39).

upragnionym pokojem. Układał sobie już, że skoro wyjedzie z Litwy po ratyfikacyi i zaprzysiężeniu pokoju z Moskwą, uda się najpierw do Lwowa, gdzie zwoła wielki zjazd, którego głównym celem miało być ostateczne i silne zabezpieczenie Rusi przeciw najazdom, i wpływ na układy ze Stefanem w Kolaczynie[1].

Umyślnie tedy pospraszał senatorów na dwa tygodnie przed Wszystkimi Świętymi do Lwowa, by zjazd ten odbywał się równocześnie ze zjazdem w Kolaczynie. Na Rusi miało stanąć wojsko zaciężne złożone z 2000 ludzi, Aleksander zaś miał się udać do Lwowa w orszaku 700 lekko zbrojnych Litwinów i 500 Polaków. Wyznaczył też i panów, którzy się mieli udać do Kolaczyna. Byli nimi Andrzej Róża arcybiskup lwowski, Piotr Myszkowski wojewoda łęczycki, Paweł Kola, wojewoda podolski i Stanisław z Chodcza, starosta lwowski. Wyznaczył im już wcale znaczne sumy na wydatki: arcybiskup miał dostać 300 grzywien, wojewoda łęczycki 200, wojew. podolski 100, a starosta lwowski 200[2].

Nadto wysłany przez Władysława poseł węgierski Marek Horwath nakłonił Stefana 7 września (1503) do przyjęcia uchwał budzińskich. Był obecnym przy tem Jakób Buczacki, sekretarz Aleksandra. Stefan zobowiązał się, że skoro przybędą wyznaczeni na zjazd do Kolaczyna posłowie węgierscy, on wycofa swe wojska i ludzi ze spornej ziemi. Uchwalono nadto, że tak panowie polscy jak i wołoscy mają przybyć z orszakiem tylko 200 jeźdźców[3].

Zresztą przyjął Stefan wszystkie punkta uchwał budzińskich bez zastrzeżeń.

Władysław wysłał przyrzeczonych posłów do Kolaczyna. Byli nimi panowie: Stefan Thelegdy, marszałek dworu królewnej Anny i Franciszek Bellasa, dworzanin Władysława[4].

---

[1] *Michał Bobrzyński:* Sejmy polskie za Olbrachta i Aleksandra l. c.

[2] O tem wszystkiem patrz poselstwo Stanisława Goreckiego od Aleksandra do panów Wielkopolski i na sejmik w Środzie i poselstwo Mroczka od Aleksandra do panów krakowskich. *Papiery Szujskiego.*

[3] Patrz w *Papierach Szujskiego* akt pod tyt.: „In Valachia Marcus Horwath (Karwath) praesente Jacobo Buczacki infra scripta conclusit".

[4] Patrz list Władysława do Aleksandra z 23 września 1503. *Papiery Szujskiego.*

Ale nadarmo czekano, by Stefan wycofał swe wojska i oddał kraj zabrany. W obec tego nie mogło być, przynajmniej ze strony Polski, ani mowy o zjeździe w Kolaczynie. Nie pozwalała na to ani godność ani słuszność. Z tą nieprzyjemną wiadomością pospieszył do Aleksandra Jakób Buczacki, bawiący podczas przybycia posłów węgierskich na dworze Stefana. Władysław zaś dowiedziawszy się o tem, prosi w liście Aleksandra, by nie szedł już na Ruś i nie zechciał dochodzić z bronią w ręku swych praw. Zbity z tropu i gniewny Aleksander, rad nie rad stosuje się do tego wezwania, odwołuje zjazd do Lwowa, i przenosi go do Lublina.

Na każdy jednak wypadek wysłał Spytka z Jarosławia kasztelana, Jana Bachołnickiego, starostę krakowskiego, Stanisława z Chodczy, starostę lwowskiego i Mikołaja Firleja, który nie dawno powrócił z poselstwa do Turcyi, na oznaczony dzień do Kolaczyna [1].

By jednak zachować godność Polski, mieli oni nie wprzód udać się na miejsce zjazdu, aż oddaną zostanie zupełnie zajęta przez Stefana ziemia. Spodziewał się bowiem jeszcze Aleksander, że Stefan, dowiedziawszy się o zbliżaniu się tak znakomitego poselstwa, skłoni się do spełnienia danych przyrzeczeń. Dla przekonania się o tem, miał być wprzód wysłany do niego Mikołaj Firlej, jako najmłodszy. Instrukcya udzielona Firlejowi brzmiała w streszczeniu: Przed zjazdem w Kolaczynie miał Stefan wyprowadzić wszystkie swe wojska i zwrócić ziemię okupowaną i to w obecności Jakóba Buczackiego, sekretarza królewskiego, i Marka Horwatha, posła węgierskiego. Stefan tego dotychczas nie uczynił. Niech więc teraz to uczyni, gdyż Aleksander chce tę sprawę pokojowo z nim załatwić. Posłom węgierskim, bawiącym u Stefana, miał to samo powiedzieć i wezwać ich, by nakłonili Stefana do uczynienia w obec nich tego, czego dotychczas zaniechał [2].

Nazajutrz po Wszystkich Świętych, dnia 2 listopada przybył Firlej do Stefana, który wówczas znajdował się pod Czerniowcami.

---

[1] Patrz poselstwo poruczone w Lublinie w r. 1503 do Władysława węgierskiego Jakóbowi Sieklickiemu, kasztelanowi wojnickiemu, i Mikołajowi Firlejowi. *Papiery Szujskiego*

[2] *Papiery Szujskiego.*

Na drugi dzień po tem, udzielił mu wojewoda audyencyi.

Gdy Firlej, wedle wyżej wzmiankowanej instrukcyi, zdał sprawę ze swego poselstwa, odpowiedział mu: „O tych uchwałach (scil. budzińskich) nic nie chcę wiedzieć; ani ja ani żaden z moich ludzi nie po to tu został wezwanym, lecz wy, jak to jest waszym zwyczajem, chcecie mnie oszukać; ani też tak ułożono u pana mego, króla węgierskiego".

Na to odpowiedział Firlej, że Aleksander i senat przy nim będący kazał mu zapytać się Stefana, czy wedle uchwał budzińskich zechce zwrócić Aleksandrowi zabraną ziemię i wycofać z niej swych ludzi, a panom, którzy mają przyjść do Kolaczyna inny dać glejt bezpieczeństwa, niż dał. Na to wojewoda: „Nie dam ci innego glejtu, niż dałem, ponieważ Marek Horwath i Jakób Jakóbowicz (Buczacki), sekretarz królewski, razem ze mną postanowili, iż na dzień Wszystkich Świętych tj. 2 listopada miał twój pan przysłać swych senatorów do Kolaczyna dla odbycia rewizyi granic od lasu halickiego, a więcej nic innego. Na to też otrzymali glejt mój wedle ugody naszej. Polacy tej ugody nie dopełnili, mym ludziom glejtu od pana twego nie dali. Bo cóż zresztą kiedy się spełni z tego, co postanowi twój pan". Firlej odpowiedział, że Aleksander nic nie wiedział o owych traktatach Buczackiego i Horwatha ze Stefanem. On jednak wie, że oni nie mieli najmniejszego pełnomocnictwa od panów swych do zmiany uchwał budzińskich. Poczem chcąc go ułagodzić, oddał mu glejt bezpieczeństwa wydany dla bojarów jego. Pytał go potem Stefan, gdzie są panowie polscy, którzy na dzień 2 września mieli przybyć do Kolaczyna. Gdy mu Firlej odpowiedział, że oni zaraz przybędą do Kolaczyna, skoro tylko Stefan wypełni uchwały budzińskie, odrzekł Stefan: „Nie wiem, co to jest za przyczyna, że wam się tak bardzo chce iść do Kolaczyna; co tam tak przyjemnego macie. Ty przybyłeś tu, jesteś jednym z panów deputowanych i przyniosłeś glejt. Idź ty już tam z moimi panami i zdybiesz się po drodze ze swymi panami i tam razem będziecie układy prowadzić, jeżeli jeszcze pozostało co do traktowania; a tu nie potrzeba było wam przychodzić". Na to wytłumaczył mu Firlej, że tu nie wysłano go w sprawie rewizyi granic, nie ma też do tego sam żadnego pełnomocnictwa;

on też nie pójdzie do Kolaczyna z kolegami swymi, dopóki Stefan nie uczyni zadość uchwałom budzińskim.

Na tem skończyła się audyencya.

Tegoż samego dnia przybyli do Firleja posłowie węgierscy i od nich dowiedział się, jak sprawa właściwie stoi.

Oto przedłożyli mu artykuły ułożone przez Horwatha, podług których mieli postępować, a potwierdzone, jak mówili, przez Jakóba Buczackiego. Artykuły te jednak sprzeciwiały się uchwałom budzińskim. Wedle nich bowiem nie potrzebował Stefan wcale przed zjazdem w Kolaczynie zwracać zabranej ziemi. Dotyczyły one zresztą rewizyi ziemi. Gdyby Stefana nie można było nakłonić do ustępstw w tej sprawie, miano wedle nich, wyznaczyć inny termin do układów, tj. dzień św. Jerzego (23 kwietnia 1504). Przez ten czas obaj królowie mieli się naradzić i postanowić coś co do punktów, z powodu których rozbiły się układy. Gdyby zaś i w Kolaczynie żadna ze stron na to się nie zgodziła, wtedy posłowie tak polscy jak i węgierscy mieli powrócić do domu i uwiadomić o tem swych panów. Kraj zaś zajęty miał pozostać neutralnym aż do czasu, kiedyby nowi posłowie od obu królów nie przybyli [1].

Udzielenie podobnych instrukcyj swym posłom mogło tylko świadczyć o zdradzieckiem i nieszczerem postępowaniu Władysława. Posłowie ci namawiali też w rozmaity sposób Firleja, by odstąpił od odwoływania i domagania się ścisłego wypełnienia uchwał budzińskich. Ten jednak nie usłuchał ich, bo też i nie miał pełnomocnictwa do tego.

Nic też nie pomogło publiczne wezwanie przez Firleja obecnych posłów węgierskich, by czyniąc zadość swemu obowiązkowi, nakłaniali wojewodę do wypełnienia uchwał budzińskich. Stefan rozgniewany upornem odwoływaniem się Firleja na uchwały budzińskie, kazał mu odejść.

Na tem też skończyło się poselstwo Firleja [2] i projektowane w Kolaczynie układy. Powodem tego był, zdaje się, przedewszy-

[1] *Papiery Szujskiego.*

[2] Dość dokładna relacya tego poselstwa, z której korzystałem, znajduje się w *Papierach Szujskiego.*

stkiem Władysław Węgierski, gdyż tylko za jego pozwoleniem mógł był Horwath pozmieniać artykuły budzińskie, a w skutek tego odrzucił je Stefan w tak lekceważący sposób.

Aleksander tym razem był na tyle roztropnym, iż nie pozwolił wcale na układy wpierw, nimby mu Stefan zwrócił zabraną ziemię. Żadna bowiem ze stron nie była w stanie wykazać się jasnymi i niezbitymi dowodami swych praw do Pokucia. Ten więc miał prawo najlepsze, kto faktycznie Pokucie w owej chwili posiadał.

Sprawę wołoską wytoczył tymczasem Aleksander na sejmie w Lublinie, który na 28 października zwołał i na który sam przybył. Sejm ten przeciągał się tak długo, że jeszcze wrócił nań Mik. Firlej, starosta lubelski, od Stefana i zdał na niem relacyę ze swego poselstwa. W ślad za nim przybyło poselstwo wołoskie, które miało posłuchanie dnia 22 listopada. W mowie dłuższej tegoż poselstwa przedstawiony był w krótkości przebieg dotychczasowych rokowań w sprawie Pokucia i granic, a kończyła się oświadczeniem Stefana, że ponieważ i teraz panowie polscy do układów nie przybyli, uważa on całą sprawę za skończoną, gdyż powszechnie przyjętym jest zwyczaj, że strona, która na termin nie przybędzie, traci sprawę. Prosi więc Stefan, by mu już tego kęsa ziemi postąpili i żyli z nim w przyjaźni. Prócz tego prosił o wolny handel i nieprzechowywanie jego nieprzyjaciół.

Temu poselstwu odpowiedziano: ponieważ Stefan nie zwrócił wedle uchwał budzińskich Pokucia przed zjazdem w Kolaczynie, dlatego panowie nie przybyli na zjazd. Czyniono mu przytem ostre wyrzuty za takie lekceważenie nie tylko królestwa polskiego, ale i węgierskiego [1].

Ale i na tem się skończyło, gdyż zresztą nawet groźby stanowczej nie wypowiedziano.

Za to wysyłał Aleksander ponowne poselstwo do Węgier. Wyznaczył zaś doń Jakóba Sieklickiego, kasztelana wojnickiego i tegoż samego Firleja, który niedawno powrócił z Czerniowiec. Miało ono donieść Władysławowi i dokładnie przedstawić, jak się układy w Kolaczynie skończyły, i że Firlej znalazł u posłów wę-

[1] *Papiery Szujskiego.*

gierskich instrukcye, sprzeciwiające się uchwałom budzińskim. Podczas traktowania z Władysławem mieli posłowie ostrożnie od niego zażądać pomocy zbrojnej przeciw Stefanowi i oświadczyć, że Aleksander nawet chce się udać w tej sprawie do Turka, dochodzić swych spraw z bronią w ręku [1].

Poselstwo to otrzymało następującą odpowiedź: Władysław nie wie, dlaczego wojewoda nie zgodził się na uchwały budzińskie. W razie użycia siły zbrojnej przez Aleksandra, nie tylko mu nie dopomoże, ale stanowczo i jak najgoręcej mu to odradza, z obawy, by Stefan od niego nie odpadł i z Turkiem się nie połączył; Horwat jest niewinnym i nie z jego powodu układy zerwano. Władysław będzie dalej prowadzić w tej sprawie układy, Aleksander zaś niech się zadowolni na teraz, gdyby wojewoda zdecydował się opuścić ziemię przezeń zabraną, jako neutralną; tylko na Boga niech nie próbuje oręża.

Tak więc znowu miały się rozpocząć owe nieszczęśliwe, ciągle zrywane i na nowo zawiązywane układy.

Rzeczywiście wysyła Aleksander w sprawie wołoskiej do Budy Drzewickiego, wicekanclerza państwa, który też odtąd przez dłuższy czas stale przebywa na dworze Władysława.

Sprawę o Pokucie wniósł przytem Aleksander na sejmie walnym, zwołanym do Piotrkowa na dzień 21 stycznia 1504 r., który to sejm przeciągnął się do 13 marca.

Dla zebrania wojska, potrzebnego do odzyskania Pokucia, uchwalono cały szereg nadzwyczajnych podatków. Stanął też wkrótce dość silny oddział wojska zaciężnego w pobliżu Pokucia. Aleksander jednak nie przystępował do zbrojnego odbioru Pokucia. Wstrzymywali go od tego tak Władysław i panowie węgierscy, którzy radzili czekać śmierci dogorywającego już Stefana, jakoteż stały na przeszkodzie i inne sprawy. A choć Stefan 2 lipca 1504 r. umarł, Pokucie nietylko nie zostało zajętem, ale nawet żaden energiczniejszy krok w tym kierunku nie był przez Aleksandra zrobionym. Po Stefanie zasiadł na tronie hospodarskim syn jego Bogdan. W pierwszych dniach stanowisko jego było bardzo nie-

[1] *Papiery Szujskiego.*

pewnem. Wystąpił bowiem w samej Mołdawii kontrkandydat do hospodarstwa, niejaki Herborusch starosta suczawski, a Turek przywiózł prócz tego swego kandydata [1]. W Polsce nadto znajdował się syn ściętego w Czchowie Eliasza.

Z tego wszystkiego postanowił skorzystać Aleksander. Rzeczywiście nadarzała mu się dogodna sposobność do łatwego odebrania Pokucia.

W tym celu miał się też udać do Lwowa na czele 2000 jazdy i 500 piechoty. Na Rusi prócz tego spodziewał się zastać dość pokaźną liczbę żołnierzy. Jak wspomnieliśmy, porobiono tam nawet zaciągi nowe, tak, że wliczywszy w to swych żołnierzy, którzy rozpuszczeni po wojnie moskiewskiej na Rusi przebywali, dochodziła liczba wojska na Rusi do pokaźnej sumy 6000 ludzi. Niestety, żołdactwo to było nie opłaconem i rozproszonem, tak, że gdy Tatarzy napadli, zaledwie 800 z nich można było zebrać. Aleksander zaś nie miał wcale pieniędzy [2].

Mimo tego jeszcze 24 września trwał w swym zamiarze udania się do Lwowa. Ale na zamiarze tylko się skończyło. Pieniędzy bowiem z nikąd nie mógł dostać. Dla tego też już z końcem 1504 r. w chwili, gdy z Krakowa wybierał się na zjazd z panami litewskimi do Brześcia litewskiego, trwał jeszcze tylko w zamiarze wysłania na Ruś tysiąca i kilkuset ludzi. Do owego czasu jednak wysłał był tam zaledwie 40 husarzy. Na niczem się też skończyły jego plany [3].

A że nosił się z nimi przez pewien czas na seryo, widać z tego, że nawet do sułtana wysłał w tej sprawie gońca Bernarda Gołowińskiego. Ten miał oznajmić sułtanowi, po poprzednim zaniesieniu skarg na napady Turków i Tatarów z Kilii i Białogrodu, że Aleksander postanowił z bronią w ręku dochodzić praw swych do Pokucia. Miał on przytem wyrozumieć sułtana, jakby sobie postąpił, gdyby Aleksander przemocą odebrał sobie Pokucie [4].

---

[1] *Papiery Szujskiego.*

[2] Patrz poselstwo Mikołaja Kurozwęckiego, wojewody lubelskiego od sejmiku krakowskiego do odbywającego się w Kole. *Papiery Szujskiego.*

[3] Poselstwo Kotficza od Aleksandra z r. 1504. *Papiery Szujskiego.*

[4] *Papiery Szujskiego.*

Nie zamieszkał jednak próbować tego i w ugodowy sposób. Oto najpierw postanowił korzystać z niepewnego stanowiska Bogdana i wezwać go do złożenia sobie hołdu. W takim razie musiałby on oddać Pokucie bez użycia broni ze strony Polaków, z drugiej zaś strony odwróconemby zostało zarazem niebezpieczeństwo, jakie zagrażało Polsce w razie uznania przez Bogdana zwierzchnictwa Turcyi. A to ostatnie polecił był nawet sam Stefan Wielki na śmiertelnem już łożu swemu synowi. W tym ostatnim razie byłoby również rzeczą bardzo niebezpieczną, rozpoczynać wojnę z Bogdanem z powodu Pokucia. Aleksander tedy wysyła w tym celu do Bogdana Jana Ossolińskiego, podkomorzego lubelskiego. Według danej mu instrukcyi, miało ono Bogdanowi wytłumaczyć, że w obec niebezbieczeństwa, grożącego mu ze strony Turcyi, nie pozostaje nic innego, jak złożyć hołd królowi polskiemu i zawrzeć z nim przyjaźń, jak to czynili byli jego poprzednicy. Polska teraz pozostaje w ścisłej przyjaźni z Węgrami, da mu więc pewną opiekę przeciw Turcyi. Sprawy Pokucia miał tylko Ossoliński zlekka dotknąć, jako rzeczy takiej, w której przyszłe postępowanie Bogdana nie może ulegać wątpliwości.

Tenże poseł miał polecenie wezwać i Wołochów w kraju do uznania Bogdana [1]. Na to poselstwo jednak Bogdan nic nie odpowiedział. Zniecierpliwiony Aleksander wysłał do niego drugie poselstwo. Tym razem posłował Jan Baliński, notaryusz królewski. Ten miał Bogdanowi już wprost poczynić ostre wyrzuty z tego powodu, że nie wysłał do Aleksandra poselstwa, i grozić mu, gdyby się wzbraniał oddać Pokucie [2].

Tenże Baliński miał się udać i do wojewody bessarabskiego, i prosić go, by uwiadomił Aleksandra o zamiarach sułtana względem Mołdawii. Tam bowiem mieni się Bogdan wojewodą; ale Aleksander tak długo go nie uzna, dopóki nie uczyni zadość jego żądaniom. Wojewodzie miał przytem Baliński donieść o tem, że syn ściętego Eliasza znajduje się, jako postrach dla Bogdana, u Aleksandra. Tem poselstwem chciał, jak się zdaje, Aleksander ośmielić tego wojewodę do napadu na Mołdawię, z powodu czego Bogdan mu-

[1] *Papiery Szujskiego.*
[2] Ibidem.

siałby szukać pomocy w Polsce, zwłaszcza gdyby wojewoda besarabski nieprzychylnie dla niego usposobił Turków.

Mimo drugiego poselstwa Bogdan nie spieszył się jakoś z wysłaniem swoich posłów, i to nie tylko do Aleksandra, ale nawet do Władysława węgierskiego. Ten ostatni nie zważał jednak na to i ciągle powstrzymywał Aleksandra od śmielszego kroku przeciw Mołdawii. A kiedy mu Aleksander przez Buczackiego doniósł o zamiarze zmuszenia Bogdana do oddania Pokucia, w odpowiedzi danej temu posłowi, odradzał tego stanowczo i prosił go, by nie rozpoczynał kroków nieprzyjacielskich przeciw Mołdawii. Państwo to bowiem przyprowadzone do ostateczności, wezwałoby niewątpliwie Turków na pomoc, a stąd rozpoczęłaby się wojna nieobliczona w swych skutkach. Władysław obiecał przytem Aleksandrowi, że nad pomyślnem załatwieniem sprawy o Pokucie naradzi się ze swymi senatorami w niedzielę d. 23 lutego 1505 [1]. Doczekał się Aleksander wreszcie posłów wołoskich w Krakowie. Dnia 3 stycznia 1505 r. udzielił im audyencyi. Doszła przytem wieść do Krakowa o pogranicznym napadzie Wołochów. Napad ów miał miejsce wtedy, kiedy posłowie byli już w drodze i znajdowali się w pobliżu Tyśmienicy.

Bogdan bowiem posłał swych najwierniejszych dworzan na Ruś, by zdobyli forteczkę Zinków. Wedle zeznań jeńców spodziewał się tam znaleść syna ściętego Eliasza. Ten bowiem był bardzo popularnym i miłowanym, zapewne dla nieszczęść swej rodziny, u ludu mołdawskiego. Zewsząd też po śmierci Stefana odezwały się głosy za oddaniem mu hospodarstwa, a prosty lud proklamuje go nawet swym panem, zwłaszcza, gdy rozpuszczono wieść, że znajduje się w pobliskiej twierdzy ruskiej. Przerażony Bogdan postanowił śmiałym czynem dostać w swe ręce niebezpiecznego dlań rywala. Przez 8 dni oblegano ową twierdzę, aż nadciągnęli z odsieczą dzielni rycerze kresowi, Piotr Oleski i bracia Strusiowie w 200 koni, posiłkowani nadto przez prosty lud. Nastała bitwa, która skończyła się zupełną porażką Wołochów: 300 z nich poległo w bitwie, wielu w ucieczce prosty lud zapewne wymordował. Po-

[1] *Papiery Szujskiego.*

słowie wołoscy starali się na audyencyi usprawiedliwić ten postępek Bogdana, w którym to celu zapewne z góry otrzymali instrukcye.

Nie ulega bowiem wątpliwości, że musieli wiedzieć o zamiarze Bogdana. Wysłano ich przedtem, by uśpić czujność wojska kresowego. Chytrze bowiem oświadczają, że Bogdan chciał się potajemnie udać do Turcyi i wysłał w tym celu naprzód oddział dworzan, by zabezpieczyli mu drogę. Ci bez jego wiedzy i woli zaczęli wskutek czystego przypadku kłótnie i zatargi z Polakami na granicy. Rezultatem tego był napad na Zinków. Teraz zaś dworzanie zostali ukarani, jak zasłużyli[1].

Ponieważ nie mamy dokładnej relacyi z tego poselstwa wołoskiego, możemy tylko z tego podanego przez nich usprawiedliwienia Bogdana wnosić, że ten nie chcąc Pokucia wydać, postanowił przed żądaniami Aleksandra zasłaniać się Turcyą, grożąc wezwaniem ich na pomoc.

Nie miał Bogdan wprawdzie wielkich zdolności Stefana, ale co do ambicyi i gwałtowności charakteru mu nie ustępował. Dlatego też poselstwo powyższe nie zadowolniło z pewnością Aleksandra i nie przywróciło dobrych stosunków między Polską a Mołdawią.

Aleksander musiał mu zapewne z powodu tego zagrozić synem Eliasza, a to jak się zdaje, poskutkowało.

Widzieliśmy już, że na Mołdawie lud życzył sobie syna Eliasza za hospodara, że był z tego samego powodu groźnie i nieprzychylnie usposobionym dla Bogdana. Niebezpieczeństwo, wynikające dlań z tego, musiało być wielkie, kiedy odważył się napaść, mimo nieustalonego jeszcze swego panowania, na posiadłości królestwa polskiego. Spostrzegł też, że w razie wrogich stosunków z Polską, będzie zmuszonym wchodzić w coraz ściślejszy stosunek zależności od Turcyi. Może on sam nie wieleby sobie z tego robił, bo taki stosunek zabezpieczał go potężnie w obec sąsiadów i pozwoliłby mu w obec nich o wiele śmielej występować, ale cały naród mołdawski musiał wtedy jeszcze wzdragać się przed przyjęciem zwierzchnictwa tureckiego.

To wszystko skłoniło go do szukania przyjaźni z Polską,

---

[1] *Papiery Szujskiego.*

która w połączeniu z królestwem węgierskiem mogła mu dać silny punkt oparcia przeciw Turcyi.

Przyjaźń ta jednak musiała być okupioną wydaniem Pokucia.

Szukał więc sposobu wyjścia z tej alternatywy. I znalazł go. Oto wynagrodzeniem za Pokucie miała być ręka królewnej polskiej, siostry króla Aleksandra, Elżbiety. Małżeństwo takie pochlebiałoby ogromnie jego dumie i ambicyi, i łączyłoby go ściślej z Polską tak, że ta musiałaby się czuć obowiązaną do bronienia go w obec Turcyi.

Myśl tego małżeństwa opanowała go też silnie. Znalazła ona zapewne poparcie i w narodzie. Bezpośrednim powodem do przystąpienia do natychmiastowego zrealizowania tej myśli, było, jak się zdaje, przybycie poselstwa od sułtana i hana Tatarów perekopskich Mendli-Gireja, które zapewne przyniosło i nowe uroszczenie i stanowcze warunki od Turków.

Przestraszony Bogdan wysyła zaraz potem Łukasza Draczę do starosty lwowskiego.

Ten miał starostę w imieniu Bogdana i panów mołdawskich prosić, by w celu widzenia się z nim przybył na Wielkanoc (23 marca 1505 r.) do Suczawy, i zakląć go na miłość boską, by nie odmawiał tej prośbie. Sprawa bowiem, dla której go wzywa, jest nadzwyczajnej wagi i dotyczy dobra obu państw. Glejt bezpieczeństwa, jakikolwiek sobie życzy, zaraz mu wystawi. Nie chce bowiem już wojny z Aleksandrem, lecz pragnie przyjaźni i poczyni nawet takie ustępstwa, których Polacy nie mogą się ani spodziewać [1].

Gdy zaś starosta w odpowiedzi danej Dracze, w obecności panów przy nim wówczas się znajdujących, wyraził swą obawę, żeby na darmo nie jechał, zaklinał go Dracza w imieniu własnem na Boga, by spieszył, bo sprawa jest ważna.

Nie zwlekał też starosta, lecz wkrótce wyjechał, o czem uwiadomił Aleksandra [2].

Po naradzie ze starostą postanowił Bogdan wysłać do Aleksandra posłów z prośbą o rękę Elżbiety, ofiarując mu w zamian całe zajęte przez Stefana Pokucie. Spieszył się widać z tą sprawą,

[1] *Papiery Szujskiego.*
[2] *Papiery Szujskiego.*

gdyż już 26 kwietnia wystawiono na właśnie się odbywającym sejmie radomskim glejt bezpieczeństwa, dla mających być przezeń wysłanych posłów Iskaka i Wisternika.

Ci posłowie przybyli jeszcze na ów sejm, na którym i Aleksander się znajdował. Propozycye jednak Bogdana co do małżeństwa napotkały na trudności. Zdaje się, że stanowczo sprzeciwiała się zawarciu takiego małżeństwa, królowa matka, córka cesarska, Elżbieta. Uważać ona musiała podobne małżeństwo dla swej córki za zbyt poniżające.

Sprawa ta z powodu tego przeciągnęła się. Nie załatwiono też jej na sejmie radomskim. Posłowie wołoscy musieli dla dalszych układów wraz z Aleksandrem udać się do Krakowa, gdzie 2 czerwca 1505 r. stanęli [1]. Ale i tu nie postępowała sprawa naprzód. Miechowita twierdzi, że do małżeństwa z Bogdanem czuła odrazę i królewna Elżbieta, dlatego, że był greckiego obrządku a nadto jednookim.

Tymczasem 13 sierpnia 1505 r. umiera królowa matka.

Z powodu żałoby odłożono układy o małżeństwo ale ich nie zerwano. Aleksander począł się skłaniać i zgadzać na owe małżeństwo, jakkolwiek było ono poniżającem dla domu Jagiellonów. Honor i godność państwa polskiego domagały się jednak koniecznie odebrania Mołdawii Pokucia. Powaga bowiem Polski w obec sąsiadów i Europy upadłaby była zupełnie, gdyby pozwalała na bezkarne zabieranie tak wielkich obszarów z jej posiadłości przez tak nieznacznych książąt, za jakich uchodzili hospodarowie mołdawscy.

O odebraniu siłą Pokucia przestał już myśleć Aleksander: sprzeciwiał się temu Władysław, a nadto mogła mu w takim razie zagrozić Turcya.

Rad nie rad zgodził się wreszcie na propozycye Bogdana.

Już więc 10 lutego 1506 r. na sejmie w Lublinie wystawiono kontrakt małżeństwa między Bogdanem a Elżbietą [2].

Ucieszony Bogdan oddał zaraz potem Pokucie i inne zdobycze Stefana Polakom [3].

---

[1] *Miechowita* l. c. str. 367—368.

[2] *Rykaczewski:* Inwentarium. *Jabłonowski:* Akta i Listy I, str. 14, nr 58.

[3] Patrz poselstwo senatorów polskich do króla Władysława podczas bezkrólewia. *Acta Tomiciana.* Tom I. str. 6—7, nr. III i IV.

Popełnił przez to wielki i niepowetowany błąd, jak się sam wkrótce o tem przekonał.

Wedle kontraktu bowiem miał Aleksander wysłać doń posłów, którzyby z nim ułożyli dzień i miesiąc ślubu. Ten jednak, skoro się uczuł w posiadaniu Pokucia, ani myślał o wysłaniu ich. Daremnie też czekał na nich Bogdan. Spostrzegł też wkrótce, że się dał haniebnie oszukać. To też po śmierci Aleksandra, która nastąpiła 19 sierpnia 1506 r., korzystając z bezkrólewia, postanowił naprawić swój błąd. Dali mu zaś pożądaną przyczynę do najazdu na Pokucie sami Polacy. W odebranym teraz od Bogdana kraju znajdowało się 4000 zaciężnych żołnierzy polskich. Ci wyparli gwałtownie 600 Wołochów[1], których Bogdan zapewne jeszcze nie wycofał za granicę Pokucia.

Prócz tego żołdacy ci często przechodzili teraz do Mołdawii dla łupów i rabunków.

Bogdan w odwet za to wpada na Pokucie i chce je zająć. Ustanowił nawet już starostów, począł zdobywać miasta i wsie[2]; ale Pokucia mimo tego nie odebrał. Najazd ten nie miał żadnych trwałych następstw, był tylko prostym napadem. Ale i to nie zraziło Bogdana. Zrywa się potem do ponownej walki o Pokucie już z królem Zygmuntem, walczą też o ten kraj i jego następcy, ale nadaremnie. Pokucie odtąd stale, mimo chwilowych zaborów, pozostaje przy koronie polskiej.

Antoni Borzemski.

---

[1] *Miechowita* l. c. str. 378–379.

[2] Wyżej cytowane poselstwo senatu do Władysława l. c.

SPOŁECZEŃSTWO W OBEC ROZUMU I WIARY.

III.

Społeczność polityczna.

Ponieważ rodzina jest nie tylko źródłem ale też i pierwowzorem społeczeństwa, i ponieważ z drugiej strony Chrystyjanizm nie zmienia natury ani rodziny, ani społeczeństwa, tylko ją udoskonala i uświęca, dość przeto będzie rozszerzyć szranki chrześcijańskiej rodziny, by od domowego ogniska przejść do objawów życia publicznego w chrześcijańskiem państwie. Postawmyż na miejscu rodziny nie jakąś sztuczną, z ludzkiej jedynie woli powstałą społeczność, ale naród, który jest tak samo dziełem Bożem jak rodzina, a wówczas analogia będzie tak uderzająca, iż przejście od ciaśniejszych do obszerniejszych szranków da się dokonać bez żadnej trudności. I w rzeczy samej, wszystkie wybitniejsze cechy rodziny odnajdują się w narodzie: jak rodzina ma swe własne imię, swój odrębny typ fizyonomii, swoją wybitną psychiczną naturę, swą dziedziczną posiadłość i swe tradycye rodowe, tak samo i naród każdy ma swą własną nazwę, swą ojczystą ziemię, swe dziejowe podania i swój plemienny charakter, wyrażający się nietylko w odziedziczonych po przodkach obyczajach, ale też w usposobieniach i zdolnościach całemu szczepowi wspólnych, które z pokolenia w pokolenie przez cały szereg wieków przechodzą. Na wzór rodziny, państwo posiada też zwierzchniczą władzę, w której ręku ześrodkowują się wszystkie nici zarządu, niemniej jak i wszystkie

wspólne interesa. Władza ta, dźwigając główną odpowiedzialność za wszystko, co się w rządzonym przez nią kraju dzieje, ma też równe jak ojciec w domowem ognisku, prawo do uległego współpracowania podwładnych, gdyż przy ich przekorze lub niesforności publiczna sprawa koniecznie na szwank narażoną zostanie. Prawem też jest i obowiązkiem zwierzchności krajowej, równie jak rodzinnej, urządzić właściwy podział pracy pod względem publicznych zajęć, wkładając na każdego z obywateli państwa odpowiedne uzdolnieniu jego obowiązki, i czuwając następnie, aby wszystkich współpracowników potrzeby wedle możności zaspokojone zostały. Nawet pod względem owego wrodzonego uczucia, co wiążąc węzłem wspólnego przywiązania wszystkich członków rodziny, tak bardzo wzajemne ich stosunki ułatwia, dobroć Stwórcy przychodzi też nam w pomoc i przy wypełnianiu obywatelskich powinności, wlewając w każde serce niewyrodne tak żywą i do ofiar gotową miłość ojczyzny. Siła tej miłości przyrodzonej tak jest potężna, iż w pogańskich nawet narodach do bohaterskich poświęceń zapala. Dzieje nas uczą, iż najwznioślejsze na publicznej widowni czyny, miłością ojczyzny natchnione zostały. Tam zaś, gdzie to uczucie w sercach zagasło, żadna mądrość stanu, przy najobfitszych nawet materyalnych zasobach, moralnie upadłego narodu ocalić nie potrafi.

Szczera i bezinteresowna miłość kraju ułatwia też niezmiernie stosunek władzy do podwładnych; gdzie egoizm serc nie skaził, tam dzieci wspólnej ojczyzny czują naturalnie dla zwierzchnika kraju podobne przywiązanie, jak członkowie rodziny do ojca, — chlubią się jego geniuszem i radują powodzeniem, jakby swojem własnem, porażkę zaś jego lub poniżenie za publiczną uważają klęskę. Ileżto razy, w kwitnących patryotyzmem krajach, widziano rycerzy osłaniających własną piersią zagrożonego monarchę lub wodza, i umierających z radością, iż kosztem własnego życia głowę narodu uratować mogli. Dopiero z osłabieniem miłości ojczyzny, a rozwielmożnieniem się samolubstwa, w sercach obywateli kraju wyradza się antagonizm między władzą a podwładnymi tam nawet, gdzie władza jest obieralna. W społeczeństwie więc, niemniej jak w rodzinie, miłość jest głównym warunkiem zgody, siły i pomyślności, egoizm zaś przeciwnie niewyczerpanem źródłem zawiści i rozprzężenia. Jeśli zaś tak wielka jest potęga miłości ojczyzny nawet

u pogan, to czegoż nie potrafi dokonać w sercach łaską odrodzonych? Chrześcijański patryotyzm o tyle jest wyższy od przyrodzonego, o ile kościelne małżeństwo wyższe jest od cywilnego; natura jest tu bowiem umocniona łaską, a ten pierwiastek Boży nietylko podnosi godność tego uczucia, czyniąc zeń cnotę nadprzyrodzoną, ale je też rozprzestrzenia, obejmując i doczesne i wiekuiste interesa współobywateli.

Stąd atoli wypływa, że i ojczyzna powinna chrześcijańskiemu wzorowi odpowiadać. Jako rodzice chrześcijańscy nietylko o doczesne, lecz i o wiekuiste troszczą się dla potomstwa swego dobra, tak i chrześcijańskie państwo winno dbać o to, by każdy jego obywatel mógł pracować bez przeszkody na zaspokojenie potrzeb ciała i na duszy zbawienie. Co do pierwszego, obowiązek ułatwiania każdemu środków zarobienia na życie i zabezpieczenia owoców swej pracy, z podwójnego względu cięży na państwie: raz dla tego, że ojczyzna, skoro jest matką, po macierzyńsku też troszczyć się winna o potrzeby swych dziatek, a powtóre, że podstawą bogactwa społecznego jest praca indywidualna; ułatwiając przeto każdemu uzdolnienie się do obowiązków stanu, a następnie wierne ich spełnianie, państwo tem samem ogólny dobrobyt zapewnia. Mnożenie przeto zakładów naukowych, tak klasycznych jak i specyalnych, otwieranie jak najszerszego pola dla uzdolnionych w zawodach publicznych; opieka nad przemysłem i handlem narodowym, za pomocą mądrego prawodawstwa krajowego i korzystnych traktatów z sąsiadami; opiekowanie się wreszcie nędzarzami niezdolnymi do pracy, — wszystko to wchodzi niewątpliwie w zakres powinności chrześcijańskiego państwa. Ale jakkolwiek te zadania doczesne państwa są ważne, jeszcze ważniejsze jest ułatwienie każdemu pracy nad zbawieniem. Gdzie instytucye krajowe tego celu nie uwzględniają, tembardziej gdzie mu stoją na przeszkodzie, tam pragnący się zbawić obywatel, zmuszony jest walczyć z państwowym zarządem, od którego opieki spodziewać się miał prawo.

Jeśli więc państwo istotnego szczęścia narodu swego pragnie, to powinno praktycznie uznać, iż chwała Boża i dusz zbawienie jest celem ludzkości, i odpowiednio do tego celu wszystkie swe instytucye i prawa dostroić. Otóż chwała Boża wymaga uznania zwierzchnictwa Stwórcy nad całym światem; ludzkie zbawienie wy-

maga zabezpieczenia każdemu obywatelowi prawodawczą drogą, możebności pełnienia wszystkich obowiązków, przez religię nakazanych, a usunięcia, o ile być może, wszelkiego publicznego zgorszenia, bądź co do wiary, bądź co do obyczajów. Jak więc w bogobojnej rodzinie, rodzice poczuwając się do odpowiedzialności przed Bogiem za użycie danej sobie władzy, jedynie na dobro dzieci jej używają, dzieci zaś nawzajem nie z bojaźni, ale z miłości i przez wzgląd na wolę Bożą czczą i słuchają rodziców, — tak też w chrześcijańskiem społeczeństwie stosunek wzajemny władzy i podwładnych oparty być winien głównie na uszanowaniu woli Stwórcy, który sam zadzierzgnął społeczne, niemniej jak i rodzinne węzły. Wiara w tego Ojca Niebieskiego, który rozdzieliwszy rodzaj ludzki na różne plemiona, wlał w każde serce przywiązanie do swego kraju, i chce, by w każdem społeczeństwie istniała zwierzchność przed Nim odpowiedzialna, a od podwładnych szanowana, — wiara ta, mówię, sprawia, iż w chrześcijańskiem sumieniu państwo przedstawia się jako wielka rodzina, mająca prawdziwego Ojca w niebie, na ziemi zaś jego zastępcę. A to wzniesienie myśli i serca wszystkich warstw narodu ku wspólnemu Ojcu, sprawia, iż stosunek podwładnych do przełożonych jest synowski, obcowanie zaś wzajemne współobywateli, pomimo różnicę stanowiska, prawdziwie braterskie. Stojący znowu u steru rządu, pomny na swą zależność od Najwyższego Pana, poczytuje się jedynie za wykonawcę Jego ojcowskich zamiarów.

Chrześcijański pogląd na społeczeństwo rzuca też całkiem inne światło na znaczenie konstytucyi państwowej, która przestaje być prostym kompromisem rozmaitych ludzkich interesów, jak chcą racyonaliści, a staje się raczej zastosowaniem do życia publicznego niezmiennych zasad Ewangelii. Oczywistą jest rzeczą, iż rząd w takiem społeczeństwie, jakakolwiek będzie jego forma, musi uznawać się całkiem zależnym od Boga; że zaś wola tego Najwyższego Monarchy dwojako poznać się nam daje, a mianowicie: głosem prawa przyrodzonego, które Pan wyrył na tablicach serca, i głosem ustanowionej przezeń religii, — więc podstawą prawodawstwa w państwie chrześcijańskiem winno być tak przyrodzone jak i objawione prawo Boże. Wszelka przeto władza, czy to prawodawcza, czy sądownicza, czy też wykonawcza, powinna uznawać wolę Bożą za główną

podstawę swej działalności, nie pozwalając sobie w niczem odstępować od tej normy. Tym sposobem prawodawstwo krajowe będzie tylko zastosowaniem Pańskiego Zakonu do życia publicznego, administracya zaś i trybunały, przestrzegając wiernego wykonania ustaw państwowych, dopomagać oraz będą mieszkańcom kraju do chronienia się występku i do zbawienia przez wierne obowiązków wypełnianie. Władza przytem, uznawszy nad sobą najwyższe zwierzchnictwo Stwórcy, sama zyskuje w zamian najwyższą sankcyę, gdyż ma prawo odwołać się do sumienia wiernych słowami Apostoła: *Wszelka dusza niechaj będzie poddana wyższym zwierzchnościom. Albowiem nie masz zwierzchności jedno od Boga*[1]. Lecz napróżno wymagałby posłuszeństwa w imię Boga taki zwierzchnik, który sam nie poczuwa się do obowiązku słuchania Tego, kogo jest namiestnikiem.

Zewnętrzną oznaką owej solidarności całego społeczeństwa ze swym Najwyższym Panem jest zobopólna przysięga władzy i podwładnych, w obliczu Boga złożona, gdzie obie strony Stwórcy samemu przyrzekają, iż zobowiązania swoje wiernie wypełnią, tak iż łamiący tę przysięgę winnym się staje nietylko przed społeczeństwem, ale też i przed Bogiem. To ścisłe związanie religijnych i społecznych obowiązków w państwie chrześcijańskiem sprawia, że w nim władza sięga poniekąd aż do wnętrza sumienia, podczas gdy czysto ludzkie ustawy stosują się tylko do zewnętrznych uczynków. Wprawdzie za przekonania i myśli, w czyn nie wprowadzone, człowiek odpowiada jedynie przed trybunałem sumienia i Boga; ale prawodawca, przemawiający w imieniu Boga i zgodne tylko z jego wolą głoszący wyroki, ma prawo odwołać się do tego trybunału, i nie własną już, ale Bożą zagrozić sankcyą. Jak w chrześcijańskiej rodzinie, gdyby przywiązanie wrodzone ku rodzicom w sercach dzieci ostygło, może się jeszcze ojciec odwołać do sumienia syna, przypominając mu czwarte przykazanie, tak zwierzchnik w społeczeństwie rządzącem się duchem Ewangelii, ma jeszcze w ręku ten potężny środek odwołania się do tego, co mówi Pismo św.: *Kto się sprzeciwia zwierzchności, sprzeciwia się postano-*

[1] Rzym. XIII, 1.

wieniu Bożemu. A którzy się sprzeciwiają, ci potępienia sobie nabywają [1].

Takie postawienie zwierzchności państwowej na stopie ojcowstwa w rodzinie, ułatwia też w wielu razach jasne zrozumienie obowiązków władzy, która zawsze po rodzicielsku z podwładnymi poczynać sobie winna. Jak troskliwy ojciec prowadzi swe dzieci po drodze obowiązków, spotykane przeszkody i niebezpieczeństwa starannie usuwa, a w miarę dojrzewania, synów do udziału w familijnych interesach ich dopuszcza, — tak samo zwierzchnik względem podwładnych postępować powinien: wykształcać naród, strzec go od zgorszeń, wreszcie stopniowo dopuszczać go do współudziału w rządach. Z tego potrójnego obowiązku zwierzchnika łatwo wysnuć, w jakim duchu odpowiedne instytucye państwowe urządzone być winny. Co do wychowania, oczywistą jest rzeczą, że skoro cały ustrój społeczny opierać się ma na Ewangelii, to przedewszystkiem kierownictwo młodzieży winno być nawskróś chrześcijańskie, tak co do przekonań, jak i co do obyczajów; w przeciwnym bowiem razie już w następnem pokoleniu zabrakłoby społeczeństwu owego nadprzyrodzonego żywiołu, który jest spójnią i siłą towarzyskiego życia. Program przeto nauk, wybór przewodników młodzieży i dzieł elementarnych, używanych po szkołach, usuwanie wreszcie wszystkiego, co obałamucić lub zgorszyć może młodzież, wszystko to, mówię, jest obowiązkiem chrześcijańskiego rządu, tak samo jak i ojca rodziny. Jak ojciec, dbały o dobro dzieci, nie dopuści, by lada przybysz wkradł się do jego domu i głosił w obec młodzieży bezbożne lub rozwiązłe zasady, tak naczelnik kraju troskliwy o dobro wzrastającego pokolenia i przyszłość ojczyzny, ma sumienny obowiązek nie dopuszać, aby publiczne wykłady po szkołach lub ogłaszane drukiem dzieła zawierały w sobie truciznę niewiary i zgorszenia, która tak łatwo zaraża wrażliwą duszę młodzieży. Lecz i dojrzała nawet wiekiem część społeczeństwa, narażona jest na omamienie i zepsucie przez wymownych koryfeuszów błędu i rozpusty, którzy umieją wyzyskać każdą słabość, rozognić każdą namiętność, kiedy tylko otwarty przystęp do umysłu ludu znajdują. Obowiąz-

[1] Rzym. XIII, 2.

kiem więc chrześcijańskiego rządu jest nie dopuszczać pod żadną formą i w żadnem publicznem miejscu głoszenia zasad przeciwnych wierze i dobrym obyczajom, czy ustnie, czy za pomocą druku, chociażby ta propaganda tylko dorosłych dotykała.

Wiem, iż cześć bałwochwalcza dla wolności, tego bożyszcza cywilizacyi bez Boga, tak omamiła dziś umysły, iż nawet wśród wierzących niemało jest takich, co nie dostrzegają fatalnego związku między teoryami naukowymi, a życiem społecznem. Sądzą oni, że państwo może bez niebezpieczeństwa pozwolić publicystom i filozofom nauczać z katedry i ogłaszać drukiem, co się im podoba, byle teoryj swoich w czyn nie wprowadzali. Dobroduszni ci liberali nie mogą darować Kościołowi indeksu i ekskomuniki, uważając taką kontrolę wygłaszanych przekonań za bezowocny moralny terroryzm, podniecający tylko ciekawość, bez żadnego wpływu na sąd czytającej publiczności. Co społeczeństwu szkodzi, powiadają oni, że ktoś w nic nie wierzy i do żadnych nie poczuwa się względem Boga obowiązków, że wygłasza nawet najniemoralniejsze zasady, skoro jest on przy tem spokojnym obywatelem i nikomu krzywdy nie czyni? Taka krótkowidząca tolerancya rozwiewa się w obec chrześcijańskiego pojęcia społeczeństwa, w którym stan wewnętrzny jest rdzeniem zewnętrznego; skoro wiara narodu, jego miłość Boga i bliźniego stanowią źródło życia społeczeństwa, to cóż może dlań być szkodliwszego, jak podkopywanie tych cnót? Doświadczenie dziejowe przekonywa zresztą, że głównymi sprawcami społecznych przewrotów bywali zawsze tacy spokojni siewcy kąkolu, którzy innej broni nie dzierżyli, prócz języka i pióra. Wszak Wolter i Russeau byli także „spokojnymi obywatelami", pierwszy nawet aż nadto umiał się pochlebiać monarchom, a jednak nikomu dziś nie tajno, że oni byli głównymi sprawcami wielkiej rewolucyi francuskiej i całego szeregu wstrząśnień społecznych, co tak porysowały całą budowę cywilizowanego świata. Nie napróżno Apostoł ostrzega, że *co będzie siał człowiek, to też będzie żął*[1].

Swoją drogą, gdzie państwo nie jest na zasadach chrześcijańskich oparte, a u steru władzy siedzą ludzie, którzy ograniczeń

[1] Gal. VI, 7.

prawnych względem prasy i wychowania na toby jedynie używali, żeby prawdę i dobro krępować, wówczas wolność prawna jest zawsze lepsza od złej kurateli, jak naucza Leon XIII w swej Encyklice o wolności, i katolicy mogą się w takich warunkach tej wolności domagać, jako cząstki prawa, należącego prawdzie i dobru. Zawsze jednak prawdą zostaje, że taki stan rzeczy nie jest ideałem ustroju społecznego, ale tylko *minus malum*, sposobem ratowania się w toni, w jakiej pogrążyło się społeczeństwo europejskie przez odstępstwo od idei chrześcijańskiej.

Że tego nie rozumiały starsze pokolenia, które nie patrzyły na opłakane skutki tego fałszywego liberalizmu, wyrozumieć to można, ale nie do darowania jest generacyi obecnej, trwanie w temże zaślepieniu, mimo tak głośnych i tak bolesnych nauk historyi. Zrozumiejmyż choć teraz tę nieubłagalną logikę tak prywatnego jak i publicznego życia, iż duch wytwarza sobie formę, która póty jedynie ma trwałą podstawę, póki ją ożywia pierwiastek, co ją utworzył; lecz skoro duch ten uleci, rozpadnięcie się formy staje się już tylko kwestyą czasu. Póki idea chrześcijańska głęboko tkwiła w łonie społeczeństw europejskich, póki bluźnierstwo i niewiara, oburzenie we wszystkich sercach wywoływały, póty i zrodzone z tej idei instytucye stały niewzruszone, nie dając się zachwiać żadnemi wstrząśnieniami, czy politycznej, czy społecznej natury. Lecz z osłabieniem tej idei w sumieniu ludów, zwłaszcza zaś w sferach rządowych i u szczytu społeczeństwa, skąd głównie prądy opinii biorą początek, wszystkie instytucye chrześcijańskie chwiać się i upadać poczęły, — bo uleciał duch co je przez tyle wieków ożywiał. Na szczęście idea chrześcijańska jest żywotniejsza od wszelkich form społecznych i filozoficznych mrzonek, żyje ona wiecznie w łonie Kościoła, i póki ta duchowna rodzicielka nasza ma w każdym kraju dość silny zastęp swych wiernych synów, idea chrześcijańska i w społeczeństwie nie zamrze, chociaż niebaczne rządy wydały ją na łup zbuntowanych namiętności. Schroni się ona do serc jej wiernych i tam przeczeka burzę, co wszystko obala, by na gruzach zrujnowanego przez apostazyę społeczeństwa, znów mrówczaną pracą chrześcijańskie państwo odbudować.

Rozszerzyliśmy się tak długo nad obowiązkiem rządu ochraniania społeczeństwa od grożącego mu zgorszenia, gdyż jest to dziś

jedna z najbardziej palących kwestyj, której katolickie rozstrzygnienie najtrudniej do przekonania obecnych pokoleń trafia. Pozostaje nam powiedzieć jeszcze słów kilka o powinności władzy przypuszczania stopniowo obywateli kraju do współudziału w rządach państwa. Pod tym względem przedewszystkiem zaznaczyć należy, iż prawdziwie ojcowska władza zarówno wystrzegać się winna odtrącania już uzdolnionych, jak i dopuszczania wszystkich, bez różnicy i bez względu na ich umysłowe i moralne przygotowania, gdyż obie te ostateczności równie szkodliwe są dla państwa, chociaż w całkiem odmienny sposób. Absolutyzm, opierający się jedynie na biurokracyi i wojsku, a usuwający przedstawicieli narodu nawet od rady i kontroli, bywa co najmniej obcym i obojętnym dla narodu; w razie zaś jawnych ze strony wykonawczych organów nadużyć, staje się nawet wstrętnym i znienawidzonym. Zasada znowu powszechnego głosowania, dopuszczająca nieuzdolnione masy do kierownictwa publicznej nawy, krępuje ręce władzy w najpożyteczniejszych ulepszeniach, i same państwo na rozbicie niekiedy naraża. Władza zaś zarówno wolna od podejrzliwej zazdrości, jak i od służebniczego ulegania, która chętnie dopuszcza uzdolnionych obywateli do współudziału, tak w rządach jak i w odpowiedzialności, niedojrzałe zaś żywioły w oddali trzyma, aż się odpowiednio wykształcą, która przytem nie własnej korzyści, lecz pojętego po chrześcijańsku dobra narodu szuka, — władza taka nie utraci ani miłości, ani zaufania narodu, i wywiąże się należycie z włożonych na nią przez Stwórcę obowiązków.

W obec tego ideału społeczeństwa chrześcijańskiego, jakżeż wygląda to, co na jego miejsce zbuntowany rozum ludzki postawił? — Jeżeli zechcemy zamknąć w jednem słowie cały program tych, co w urządzeniu społeczeństwa radziby się obejść bez Boga, to tym programowym wyrazem, jak to już wspomnieliśmy, będzie *emancypacya*. Jak miłość, poświęcająca się dobrowolnie dla Boga i bliźnich, stanowi istotę ducha chrześcijańskiego, tak przeciwnie uwolnienie się od wszelkich uciążliwych dla skażonej natury obowiązków, treścią jest nauki bezbożnej. I zaiste, czyż nie wyzwolenie się od wszelkiego trudu, wszelkiej ofiary i wszelkiego cierpie-

nia jest obecnie hasłem ludzi bez wiary we wszystkich kierunkach tak prywatnej jak i publicznej działalności? Że zaś człowiekowi, własną tylko osobę na celu zawsze mającemu, wydaje się, iż wszystko, co go boleśnie dotyka, z obcego wpływu pochodzi, stąd wyzwolenie się od wszelkiej zależności przedstawia mu się jako najskuteczniejszy środek dla zaradzenia złemu. I oto wszechstronna emancypacya staje przed temi oczyma, co już w niebo patrzeć zapomniały, jako jedyny szczęścia talizman, o którego zdobycie wszyscy starać się powinni. Nie dziw też, że w bezwyznaniowym obozie ukazał się naraz cały las różnobarwnych sztandarów, z których każdy gromadzi w około siebie liczne zapaśników hufce, gotowe obnażyć oręż w obronie jakiejś emancypacyi, wypisanej na wzniesionym sztandarze. Patrzmy, w jak uroczystym pochodzie przesuwają się one przed wzrokiem zaciekawionego widza, domagając się uznania i oklasku. Oto emancypacya rozumu z pod kontroli światła objawionego; emancypacya państwa z pod wpływu Kościoła; emancypacya piastujących władzę od zaprzysiężonych zobowiązań i traktatów międzynarodowych; emancypacya ludu z pod zwierzchnictwa rządu; emancypacya pracujących z pod przewagi klas zamożniejszych; emancypacya żony od męża, dziecka od rodziców, sługi od pana, ucznia od nauczyciela... Któż zliczy ten szereg wciąż rosnący przeróżnych emancypacyj? Ale wszystkie się mieszczą w głównej emancypacyi człowieka z pod prawa Bożego. Aż dreszcz przejmuje na widok tej ogarniającej wszystkie warstwy społeczeństwa emancypacyjnej gorączki, co nagli każdą jednostkę do wyzwolenia się od wszelkich tak Boskich jak i ludzkich wymagań, które się tej jednostce niedogodnemi wydają, jakkolwiek ze stanowiska ogólnego dobra są najsłuszniejsze.

Co zaś najsmutniejsza, to, że nawet ludzie dobrej woli, co związku z niebem zerwaćby nie chcieli, dają się nieraz sofizmami nowatorów omamić, tak iż sami szykują się pod jednym z tych nacechowanych duchem czasu sztandarów. Korzystając z czarodziejskiego uroku, jaki wyraz „wolność“ na gorętsze umysły wywiera, przywódcy wrogiego Kościołowi obozu tej broni przedewszystkiem do jednania sobie zwolenników używają. Jakoż wychodząc z fałszywego założenia, iż wolność zależy na nieograniczonej swobodzie czynienia wszystkiego, co się komu podoba, i postawiwszy tak po-

jętą wolność jako ideał szczęścia, koryfeusze tej szkoły przyrzekają swym adeptom takie wynaleść warunki uspołecznienia, że państwo dawać będzie każdej jednostce największą sumę szczęścia i najwygórowańsze jej pragnienia uiści. Postawiwszy jako pewnik niewątpliwy, że społeczeństwo jest wynikiem dowolnej umowy, gdzie każdy stowarzyszony układa najdogodniejsze dla siebie warunki, uważają oni za ideał taką konstytucyę, któraby jak najmniej krępowała indywidualną samowolę, a przytem, co jest sprzecznością, najwięcej obowiązków wkładała na państwo. Stąd, dla pojedyńczych obywateli gwarantują wolność sumienia, wolność słowa, wolność druku, wolność stowarzyszeń, wolność wyborów, wolność demonstracyj, jednem słowem wszelką możebną wolność, przy absolutnej równości nie tylko w obec prawa, lecz nawet w towarzyskim względzie. Na władzę zaś nakładają obowiązek utrzymywania porządku bez naruszenia tych wszystkich swobód, a krom tego, dostarczania każdemu odpowiedniego upodobaniom jego zajęcia, w razie braku pracy, przyzwoitego kosztem państwa utrzymania. Taki ideał społeczeństwa wysnuł się z racyonalistycznej filozofii przeszłego wieku. A jest to jeszcze najumiarkowańsza forma tego ideału, bo gdzie rozigrane namiętności nawet hamulec rozsądku zrywają, wymagania emancypacyi posuwają się aż do zupełnej zagłady tych wszystkich żywiołów, które na zawadzie jej stoją, bez względu na to, czy to będą wierzenia religijne, czy zasady moralności, czy odwieczne zwyczaje, czy wreszcie instytucye państwowe; — wszystko to złamane i zniweczone być winno, jako żywioł wsteczny, wrogi nieograniczonej swobodzie, a więc i szczęściu ludu.

I nie jest to bynajmniej dowolne przypuszczenie lub teoretyczny wniosek, logicznie wyprowadzony, lecz jest to twierdzenie na znanych dziejowych faktach oparte. Dość przypomnieć postępowanie Konwencyi i Dyrektoryatu przed stu laty, za naszych zaś czasów Paryskiej Komuny, aby się przekonać, jak się ta teorya emancypowanego państwa w życie wprowadza. Wiele oni wprawdzie rozprawiają o nieograniczonej dla wszystkich swobodzie wierzeń i przekonań; hasła te wszakże póty się jedynie głoszą, póki przeciwnicy, stojąc u władzy, działania ich swobodę krępują, lecz skoro uchwycą choć na chwilę ster rządu, wnet poczuwają się do obowiązku uwolnienia społeczeństwa tak od wstecznych instytucyj, jak i od ludzi

sercem do nich przywiązanych, chociażby ci ostatni ogromną większość w narodzie stanowili. Słusznie ktoś powiedział o tego rodzaju obrońcach swobód, iż wolność sumienia zależy u nich na tem, aby w nic nie wierzyć i wszelką burzyć religię, wolność zaś obywatelska, aby nikomu, oprócz siebie, nie ulegać.

Prawda, że w obozie bezwyznaniowym są rozmaite odcienia, z których niektóre wielkie stronnikom swoim zalecają umiarkowanie; wstrzemięźliwość ta wszakże daleką jest od zasadniczej dla przeciwników wyrozumiałości, co poprzestając na równej dla wszystkich wolności przekonań, czeka aż spokojna dyskusya i doświadczenie prawdę ostatecznie wyświetli. Oportuniści np. stanowiący niby skrajną ich prawicę, podzielają całkiem ich doktryny, nie tylko pod względem wszechwładztwa ludu, ale i pod względem konieczności usunięcia Kościoła od wszelkiego wpływu na społeczeństwo, oczyszczenia wszystkich gałęzi państwowej administracyi od żywiołów szczerze chrześcijańskich; w tem zaś jedynie od krańcowej lewicy się różnią, iż oglądając się więcej na praktycznie możliwe rezultaty, radzą powstrzymać się na razie od gwałtownych środków. Ludzie nawet wolni od antyreligijnych uprzedzeń, więcej powiem, praktykujący osobiście obowiązki religijne, skoro się przez dziwną jakąś, a jednak dość pospolitą niekonsekwencyę, uszykują pod sztandarem emancypacyi, widzą się wkrótce zmuszeni siłą rzeczy do walczenia przeciw Kościołowi i wyznawania dogmatów liberalizmu. Komu zacięży jarzmo obowiązków, kto zapragnie wyzwolić się od wszelkiej zależności na ziemi i skrępować wszelką władzę, ten musi skończyć na buncie przeciw Stwórcy, a konsekwentnie i na ugięciu kolana przed tłumem. Nie jestże to zaś powtórzeniem na ziemi tego, co uczynili w niebie zbuntowani aniołowie, gdy zapragnęli stolice swoje podnieść nad gwiazdy niebieskie i stać się podobnymi Najwyższemu?

Ostatnia ta wszakże meta nie ukazuje się odrazu przed wzrokiem fanatycznych czcicieli godności człowieka. Pierwiastkowo zawraca im jedynie głowę zarozumiała ufność, iż znając istotne potrzeby ludzkości i jej obecne cierpienia, potrafiliby lepiej urządzić instytucye społeczne, niż one wyrosły wiekami pod tchnieniem Kościoła. Żeby zaś reformatorski ten zapęd upoważnić, potrzeba było przekonać najprzód masy, jako najbardziej w pomyślności reformy

socyalnej interesowane, że społeczeństwo nie jest dziełem Bożem, tylko sztucznym utworem, że wiekuiste interesa duszy wcale obchodzić je nie powinny, gdyż zadaniem jego jest jedynie dobrobyt doczesny; skoro zaś tak jest, to Kościół nawet w katolickim kraju nie ma słusznej przyczyny mięszać się do spraw publicznych, gdyż sprawy te z natury rzeczy należą do obywateli, jako wyłącznie w nich interesowanych. Na tej ogólnej podstawie nieprzychylni chrystyanizmowi publicyści oparli swe teorye społeczne, które unikając zrazu bezpośrednich napaści na religię, rugowały ją wszakże coraz skuteczniej z państwowych instytucyj, aż wreszcie postawiły ją w osobie Kościoła i jego ministrów pod pręgierz w nic już nie wierzącej opinii publicznej. Przypatrzmyż się bliżej temu rozwojowi bezwyznaniowych idei, co począwszy od niewinnych na pozór i ponętnych założeń, doprowadza powoli do wyrugowania Boga ze społeczeństwa i rozluźnienia spajających je ogniw.

Powtarzam w kilku słowach znaną racyonalistyczną teoryę „kontraktu socyalnego“, na której się oparła, jak wiadomo, wielka rewolucya. Pierwotnym stanem ludzi jest dzikość, odosobnienie i ciągła wojna jednostek. Dla wyjścia z tego nieznośnego stanu ludzie zmawiają się i czynią dobrowolną ugodę, wytwarzającą społeczność. Ugoda ta zależeć musi na tem, że każdy zrzeka się wszystkich naturalnych swoich praw, bez żadnego zastrzeżenia na rzecz społeczności, a przez to każdy otrzymuje od wszystkich innych uspołecznionych tyle, ile zrezygnował, — i zespolenie jest zupełne. Dopiero społeczność w ten sposób kontraktem urzeczywistniona, postanawia sobie dowolnie, jaką chce mieć formę rządu, jakie atrybucye da władzy, a jakie zatrzyma w łonie ludu, co pozwoli jednostkom, a co organom władzy. — Przyznać należy, że skoro zgodzimy się na to zasadnicze pojęcie uspołecznienia, wszystkie dalsze następstwa tej teoryi i wyprowadzane zeń wnioski dosyć logicznie wypływają. To też zanim przystąpimy do krytycznego rozbioru szczegółów społecznej organizacyi racyonalistów, czego na właściwem miejscu uczynić nie zaniedbamy, rozpatrzmy teraz naturę owego węgielnego kamienia, na którym całe budowanie się wspiera. Dowiódłszy już na początku, że uspółecznienie ludzkiego rodu nie było pozostawione dowolności człowieka, lecz stało się dlań koniecznem; że nawet sama organizacya społeczeństwa odbyć się musiała wedle

pewnych praw, wynikających z ludzkiej natury, a więc pochodzących od Stwórcy natury, nie będziemy tego powtarzać, zaznaczamy tylko ten pierwszy radykalny błąd w punkcie wyjścia tej teoryi. Ale oprócz tego zasadniczego błędu, teorya ta mieści w sobie drugi jeszcze kapitalniejszy fałsz, zależący na ułudnej ich obietnicy, że ich społeczny ustrój uszczęśliwi ludzkość. Co do szczęścia wiekuistego, które niezaprzeczenie najważniejszem jest dla istoty nieśmiertelnej, mamyż potrzebę mówić, iż społeczny porządek, który samego Stwórcę zapoznaje, nie jest w stanie dopomóc ludzkiemu rodzajowi do osiągnienia tego celu. Skoro Bóg nie ma nic wspólnego z celami stowarzyszonych obywateli, to sekularyzowane społeczeństwo nietylko może, ale i powinno obejść się bez Niego, nie potrzebując ani szukać nadprzyrodzonej sankcyi dla swych ustaw, ani oglądać się na to, czy te ustawy zgodne są z przedwiecznem prawem, ani troszczyć się nawet o to, by wierzący członkowie społeczeństwa byli w stanie wywiązać się z obowiązków swoich względem Stwórcy. I mowy przeto być nie może o jakiejbądź pomocy ze strony państwa do zbawienia duszy jego obywateli.

Gdybyż przynajmniej owi liberalni prawodawcy poprzestali na całkowitem pominięciu wiekuistych interesów człowieka, pozostawiając je osobistym każdego staraniom, i w niczem nie krępując swobody działania władzy kościelnej!... Lecz i tego od nich otrzymać nie można; sekularyzowane społeczeństwo, podejrzliwe i nieufne względem Kościoła, tak dalece krępuje jego działalność nawet na czysto duchownem polu, iż ten z boskiego posłannictwa swego należycie wywiązywać się nie może. Z drugiej strony bezwyznaniowi prawodawcy stanowią bez żadnego względu na wierzących ustawy i rozporządzenia, wręcz nauce i kanonom Kościoła przeciwne, tak iż stawią sumienie wiernych w nieuniknionej kolizyi; że zaś wiara uczy, iż Boga raczej słuchać trzeba niż ludzi, najcnotliwsi obywatele zmuszeni są sprzeciwiać się wymaganiom władzy i narażać się na srogie prześladowanie. Sprzeczność zaś ta między państwem a religijnem prawem nie pochodzi z przypadkowej nieoględności prawodawców, co zawsze uchylićby się dało, lecz wynika z zasadniczej różności poglądów, od których żadna strona odstąpić nie może, nie sprzeniewierzywszy się własnej idei. Kiedy bowiem

religia stawia prawo Boże wyżej nad wszelką ludzką dowolność, racyonaliści ciałom prawodawczym przyznają niczem nieograniczone prawo stanowienia wszelkiego rodzaju ustaw, wkraczających nawet w dziedzinę religii i wyrokujących nieodwołalnie o słuszności i o prawdzie. Kiedy religia Bogu przyznaje panowanie nad całą ludzkością i zwierzchność z Jego woli postanowioną, przed Nim też czyni odpowiedzialną, oni ludowi przyznają wszechwładztwo i prawo dowolnego stanowienia i strącania rządów. To też przy tak radykalnej sprzeczności zasad, możnaż się łudzić, by takie państwo współdziałało z Kościołem w sprawie zbawienia?

Lecz i pod względem pomyślności doczesnej, społeczeństwo wzięte w swej całości, nierównie gorzej jest zabezpieczonem w tym systemie rządów, niż przy chrześcijańskiem urządzeniu państwa, a to ze względu na miłość bliźniego, bez której pomyślność publiczna całkiem jest niemożebna. Rozpatrzmy bliżej tę kwestyę. Zastanawiając się nad warunkami szczęścia w rodzinie, widzieliśmy, iż miłość wzajemna jest owym talizmanem, co łączy w jedną solidarną całość wszystkich członków rodziny, i czyniąc interes każdego wspólnym interesem, czyni z domowego ogniska przybytek zgody, pokoju, rodzinnego szczęścia. Przenosząc następnie te pojęcia do chrześcijańskiego społeczeństwa, przekonaliśmy się, że i tu najpotężniejszą dźwignią publicznej pomyślności jest miłość Boga i ojczyzny, która łączy serca między sobą, jako dzieci jednego Ojca w niebiesiech i jednej matki na ziemi. Jeżeli zaś do tego uczucia przyrodzonego łaska Boża dołączy jeszcze miłość Kościoła, to przybędzie trzecie jeszcze ogniwo, jednoczące serca współobywateli w przywiązaniu do jednej duchownej rodzicielki. Pożycie społeczne tak w rodzinie jak w państwie, zasadza się na pewnem wyrzeczeniu się, pewnej ofierze; komuż zaś nie wiadomo, iż istotą miłości jest szlachetna gotowość do poświęcenia się dla przedmiotu miłości? Miłość karmi się ofiarą, ale w zadowoleniu tego, na czyją korzyść ją dopełnia, znajduje też najpożądańszą poświęcenia swego nagrodę. Zamiast długich o tem wywodów zawołać wolimy z św Augustynem: *Daj miłującego, a zrozumie co mówię.* Jeśli zaś miłość jest warunkiem tak rodzinnego jak społecznego szczęścia, to jakimże sposobem znaleść się ono może w społeczeństwie bezwyzna-

niowem, które wyłącznie na interesie jest oparte? Zaparłszy się Boga, nie mogą się miłować jako dzieci wspólnego Ojca; zaparłszy się Zbawiciela, nie mogą się miłować jako współbracia Jego, tąż krwią odkupieni; zaparłszy się wreszcie Kościoła, utracili wspólną matkę, co wszystkie swe duchowne dzieci tąż piersią ku żywotowi wiecznemu wykarmiła, i która prawdziwą miłość bliźniego, w pogańskich czasach nieznaną, w świat wprowadziła.

(C. d. n.)

Ks. Z. Szczęsny.

Z ARCHEOLOGII CHRZEŚCIJAŃSKIEJ

W OSTATNIM LAT DZIESIĄTKU.

Bywają w dziejach epoki rodzajne, obfitujące w geniusze, żyjące własnem, indywidualnem życiem. Są inne, mniej świetne, choć pracowitsze, które karmią się spuścizną lepszych czasów, żywią pozostałością dni żyzniejszych, i nie rozszerzając swych zagonów, pogłębiają je sumiennem przeszłości zbadaniem. Okres taki dostał nam się w udziale. Ten historyczny kierunek naszego wieku ma swoje ujemne strony, wpada często w hiperkrytykę, podkopuje nietylko dobrze zbudowane pewniki, ale nawet u wielu przekonania religijne. Są to pożałowania godne, lecz tylko uboczne i przejściowe skutki tej roboty namiętnie prowadzonej. W gruncie rzeczy ten kierunek służy prawdzie, doprowadzi w końcu do prawdy — a więc i wierze naszej najwyższą odda przysługę, i ruiny, które posiał, mocniej odbuduje.

Jakoż i dziś już te studya historyczne walne świadczą usługi Kościołowi; spełnia się literalnie proroctwo ewangeliczne, że choćby ludzie umilkli, kamienie wołać będą. Naczytaliśmy się o tem wiele w „Źródłach historycznych Wschodu“, stwierdzających ścisłość dziejową ksiąg Zakonu. Jednocześnie z Rzymu otrzymujemy nieustanny ciąg odkryć archeologicznych, rzucających obfite światło na pierwsze wieki chrześcijaństwa i tożsamość niczem nie naruszonej nauki apostolskiej, którą matka nasza, Kościół katolicki przechował w swej przedziwnej czystości, aż po dni nasze. Od czasu do czasu, warto w *Przeglądzie* jednem spojrzeniem objąć poczynione na polu starożytności chrześcijańskich odkrycia i zdać sprawę

z ruchu, przysparzającego bogatego plonu badaczom początków naszej ery. Mamy przed sobą inwentarz takowych zdobyczy, poczynionych w ostatnim lat dziesiątku, i pozwolimy sobie czytelnikom przedstawić ważniejsze z pośród nich.

Oczywiście Rzym pod tym względem największego dostarczył żniwa. Jeśli w mieście wiecznem niepodobna jest uderzyć motyką w ziemię bez natychmiastowego odkrycia skarbów, cóż dopiero wyłonić się musi z jej wnętrzności, gdy podjęte na wielką skalę roboty, w przeciągu lat trzynastu obróciły i przekopały ni mniej ni więcej, jak 270 milionów stóp kubicznych tej obiecanej dla archeologa i obiecującej ziemi. Opłakane i opłakiwane słusznie przekształcenie Rzymu, coraz to nowe otwiera ulice, zakłada place, buduje domy. Jeśli zewnętrzna malowniczość i powaga miasta wiecznego na tem cierpi, skądinąd plon archeologiczny skutkiem barbarzyńsko nieraz podjętych robót olbrzymieje. Wystarczy nadmienić, iż w przeciągu lat dziesięciu, przeorany grunt rzymski dostarczył epigrafice jedną czwartą ogólnej sumy inskrypcyj, od pięciu wieków skwapliwie gromadzonych. Zbiory Kapitolu urosły w tym samym czasie do niebywałych rozmiarów, wzbogacone nieraz prawdziwemi arcydziełami. Wyliczmy od r. 1872 wykopane i przeniesione tu przedmioty, a mianowicie: 705 amfor z napisami, 2360 lamp z terrakotty, 1824 inskrypcyj rytych na marmurze lub kamieniu, 77 kolumn z cennego marmuru, 313 odłamów filarów, 157 kapitelów, 590 przedmiotów z terrakotty, 405 z bronzu, 711 kameów, gem i t. d., 18 marmurowych sarkofagów, 152 płaskorzeźb, 192 posągów dobrze zachowanych, 21 zwierzęcych postaci, 266 popiersi i głów, 54 obrazów z mozaiki polichromicznej, 47 złotych, 39 srebrnych zabytków, przeszło 36.000 monet rozmaitych, — a co drobiazgów i drobnostek, tego ani zliczyć, ani powtórzyć niepodobna. Ale nie zamierzaliśmy wejrzeć w pole ogólnych, na rzymskiej niwie podjętych w ostatnich czasach poszukiwań, zacieśniając nasze sprawozdanie w dziedzinie chrześcijańskich tylko starożytności. Tu zaś przedewszystkiem u wstępu pokłonić się należy temu, któremu w r. 1882 wybito medal, przyznający mu dobrze zasłużony tytuł: *rei antiquariae christianae constitutori ac principi*. Komandor de Rossi nietylko przeorał ziemię chrześcijańskich starego Rzymu podkładów, ale

nadto obsiał pole, leżące zbyt długo odłogiem. Okrom własnych poszukiwań, założył niewzruszone zasady i dał właściwą metodę podjętym w tym kierunku pracom. Uważać go należy za mistrza i przesłańca nowej nauki. Pilny czytelnik wydawnictwa zatytułowanego: *Bullettino di archeologia cristiana*, zdać sobie może sprawę z postępów i olbrzymich zdobyczy tej nieistniejącej do niedawna gałęzi wiedzy.

Cztery katakumby, cztery cmentarzyska przeważnie w ostatnim lat dziesiątku skupiały uwagę i zachody Rossi'ego. Najprzód cmentarz Domitylli, położony między *Via Appia* a *Via Ardeatina*, któremu zostanie poświęconym tom czwarty pomnikowego dzieła: *Roma sotterranea*. Odkąd za czynnym spółdziałem nieodżałowanego Mgra de Mèrode odkryto na pól podziemną bazylikę św. Petroneli, komisya archeologii chrześcijańskiej wszystkich dołożyła starań, aby do gruntu zbadać tę nekropolę, wsławioną pamięcią chrześcijańskich Flawiuszów. W r. 1880 Rossi znów nadybał na ważniejszy punkt rzeczonej katakumby, oraz pierwotne jej pokłady. Węzłem tych ostatnich jest *cubiculum* o dekoracyi czysto klasycznej, która motywami architektonicznymi i krajobrazami nosi niewątpliwie datę pierwszego wieku naszej ery. Imię złożonego tu nieboszczyka *Ampliatus'a*, wypisane olbrzymimi literami na płycie zamieszczonej ponad *arcosolium*, noszonem było przez niewolnika wspomnianego w szeregu pozdrowień, zamykających list św. Pawła do Rzymian. Kto wie, ażali nie jest to właśnie ów chrześcijanin niskiego pochodzenia, tak wysoce jednak ceniony przez Apostoła, którego tu zaszczytnie z wielkim pogrzebowym zbytkiem pochowano, w jednej z najznamienitszych krypt podziemnych rzymskich katakumb? Gdyby się udało ich tożsamość sprawdzić, wedle hipotezy ze zwykłą miarą postawionej przez Rossi'ego, otrzymalibyśmy wymowny dowód równości, zaprowadzonej wbrew przesądów świata na łonie katolickiego Kościoła, w pierwszych zaraz onego początkach. Inskrypcya, znaleziona w jednej z galeryi, które pod koniec III wieku powstały w około *cubiculum* Ampliatusa, dostarcza nam nowego tej równości przykładu i to niemniej rzewnego i ciekawego: jest to napis grobowy, poświęcony pamięci zmarłej chrześcijanki z senatorskiego rodu *(clarissima femina)*, a położony przez jej małżonka, którego *cognomen* (Onesiphorus) zdradza po-

chodzenie niewolnicze. Jestto prawdopodobny ślad jednego z tych związków między szlachetnie zrodzonymi niewiastami, a niewolnikami lub wyzwoleńcami, które papież Kalikst uprawnił i zatwierdził wbrew prawodawstwu rzymskiemu, unieważniającemu podobne małżeństwa.

Katakumba św. Hipolita przy drodze Tyburtyńskiej była także przedmiotem najświeższych badań komisyi archeologicznej. Rossi odnalazł był w pewnym rękopiśmiennym zbiorze pochwałę metryczną, z rozkazu papieża Damazego wyrytą na grobie tego świętego męczennika; później rozpoznał fragmenta owego epigraficznego poematu w posadzce bazyliki Lateraneńskiej, dokąd zostały przeniesione w r. 1435. Poszukiwania uskutecznione w katakumbie przy Tyburtyńskiej drodze odsłoniły w r. 1882 grobową kryptę Hipolita: odpowiadała ona zupełnie opisom przekazanym nam w sławnym Prudencyusza hymnie: *Peri Stephanon*. Niestety! nic się nie ostało z świetnych malowideł, przedstawiających męczeństwo świętego, które unieśmiertelnił poeta rzymski. Wszystko znikło niepowrotnie w VI wieku, bądź pod niszczącą ręką Gotów, bądź też skutkiem nieszczęsnych restauracyj. Odnaleziono niebawem i ślad bazyliki, wspomnianej przez Prudencyusza, gdzie po odbytej u grobu św. Hipolita modlitwie, zbierały się tłumy pątników. Przy tej sposobności usiłował Rossi wyjaśnić zawiłe i ciemne zagadnienia, wiążące się z męczeństwem złożonego tu wyznawcy wiary.

Rozbudowanie nowych przedmieści, tyle szkodliwe pod względem artystycznej piękności rzymskiej kampanii, nie jednokrotnie odsłoniło zabytki pogańskiej lub chrześcijańskiej starożytności, skazane zbyt często niestety, na bezpośrednią zagładę. Tak np. przy zakładaniu fundamentów opodal bramy Salaria, otworzono przystęp do pierwotnej i najstarszej części cmentarza Maksyma, gdzie pogrzebioną została św. Felicyta wespół z najmłodszym swym synem, Silanusem. Udało się pospiesznie zwiedzić jego grobowiec i przybytek czy bazylikę podziemną, na razie pochwytując malowidło z VII wieku, przedstawiające św. Felicytę otoczoną siedmiorgiem dzieci za wiarę umęczonych, które zdobiło głąb krypty. Rossi przyrównywa ten obraz do ozdób starodawnej kapliczki, istniejącej po dziś dzień w pobliżu Thermów Tytusa, w której upatrywać się godzi szczątki mieszkalnego tejże świętej domu, i łącząc w świetnej

syntezie wszystkie topograficzne dane, odnoszące się do miejsca spoczynku Felicyty i jej synów po różnych cmentarzach, znamienity archeolog wykazał do jakiego stopnia martwe głazy stwierdzają historyczną ścisłość ich aktów męczeńskich, podawanych częściowo w wątpliwość za dni naszych.

Atoli najbardziej przez Rossi'ego umiłowanem cmentarzyskiem jest od lat wielu katakumba św. Pryscylli, na Via Salaria, choćby dla tego samego, iż nawiązuje się z najdawniejszymi początkami rzymskiego Kościoła. Rossi dokładnie zbadał oba piętra tej katakumby: pierwsze z nich wszelkie topograficzne dane i domysły, oparte na rodzaju cegieł, stylu malowideł i inskrypcyj, rodzaju symbolów, odnieść każą do dwóch pierwszych wieków chrześcijaństwa; drugie, budową i pamiątkami sięga epoki Dyoklecyana. Udało się p. Rossi odnaleść po za obrębem starodawnych ochronnych murów, które je ocaliły przed zbeszczeszczeniem, pełno nienaruszonych dotąd grobów, których napisy, malowane czerwono na cegłach, prawdopodobnie do epoki Marka Aureliusza należą, i bodaj kryją szczątki umęczonych za panowania tegoż cesarza wyznawców. Inne inskrypcye z tegoż wyższego piętra, ryte na marmurze, zawierają wyraźny zwrot, nie tylko do modlitw żyjących za zmarłych, lecz nadto i do zgromadzeń liturgicznych, które się w owych pierwszych wiekach odbywały wśród katakumbowych podziemi. Jedną z ciekawszych właściwości napisów grobowych, w cmentarzysku św. Pryscylli odnalezionych, jest niewątpliwie często wracający *cognomen*: *Petrus*. Uderzającą zaiste jest rzeczą spotykać to imię tyle razy powtórzone w katakumbie, która wedle tradycyi, zawierać miała groby rodziny, u której książe apostołów znalazł gościnność. Atoli wszystkie poprzednich lat odkrycia bledną i gasną w obec najświeższych w tejże katakumbie podbojów. Odsłonięto bowiem wśród najdawniejszych części owego cmentarzyska obszerną kaplicę podziemną, w której mnogie inskrypcye noszą nazwisko Acyliuszów Glabrio. Mąż konsularny tegoż imienia został na śmierć skazany przez Domicyana, za przestępstwo, w którem wedle słów Swetoniusza i Diona Kassyusza, można się domyślać wyznawstwa prześladowanej wiary. Dziś ów domysł został stwierdzony, i walczący Kościół dodał nowe imię do pocztu swych męczenników. Jest zaś wszelka nadzieja, iż

uda się p. de Rossi odnaleść jeszcze założycieli cmentarzyska Ś. Pryscylli, tak jak już ich znalazł w katakumbach Kaliksta i Domitylli.

Działalność Rossi'ego nie ogranicza się na umiejętnie prowadzonych poszukiwaniach. Rozprawy jego są ozdobą wszystkich spółczesnych archeologicznych czasopism. Należy on do wydawnictwa epigraficznego, noszącego tytuł: *Corpus inscriptionum latinarum*, i w ogóle czynną przykłada myśl i rękę do wszystkich robót i przedsiębierstw, wskrzeszających zamartą i zaniedbaną przeszłość.

Drugi tom: *Inscriptiones christianae urbis Romae* nowym wawrzynem wieńczy czoło wielkiego katakumb pioniera. Tom pierwszy, wydany w r. 1861, zawierał napisy grobowe, posiadające wyraźną datę. Drugi, wedle pierwotnego zamiaru autora, miał obejmować inskrypcye historycznej lub pomnikowej doniosłości, oraz napisy nie opatrzone datą, rozklasyfikowane chronologicznie za pomocą metody, zastosowanej przez Rossi'ego do epigrafiki chrześcijańskiej. Zamiar ten atoli z czasem uległ pewnej przemianie. Największa ilość inskrypcyj historycznych, zostawiona przez pierwsze wieki w bazylikach lub cmentarzyskach, znaną jest jedynie z opisów i zapisków pątników, którzy od VI do XVI wieku zwiedzali te podziemia. Mniej więcej ośmdziesiąt procent oryginalnych płyt marmurowych zaginęło bezpowrotnie. Stąd konieczność zebrania niezliczonych rękopiśmiennych katalogów i napisów, rozpierzchłych po wszystkich księgozbiorach Europy. Otóż tom drugi inskrypcyj chrześcijańskich urósł przeważnie z takowych reprodukcyj i powtórzeń, rzucając ciekawe światło, nietylko na starożytność chrześcijańską czy pogańską, lecz i na uczucia, zagrzewające średnie wieki względem tejże bliższej ich przeszłości.

Jeżeli Rossi stworzył osobną metodę archeologiczną, nie dziw iż stał się jednocześnie założycielem prawdziwej szkoły, liczącej poważny zastęp współpracowników mistrza. Niema już ojca Bruzza, uczonego znawcy marmurów, złożonych w rzymskiem emporium. Nazwiska, które najczęściej wyczytać można w sprawozdaniach ruchu archeologicznego, obok przejezdnych i zagranicznych uczonych, to imię p. Marucchi, wsławionego odkryciem krypty św. Walentego przy Via Flaminia, oraz ciekawego *cubiculum* na cmentarzu

św. Sebastyana, z wizerunkiem atlety; dalej p. Henryka Stevensona, oddanego badaniom katakumb, położonych poza granicą rzymskich cmentarzysk; dom. Sternajolo, znawcy klasycznych zabytków Kampanii; p. Gatti, uczonego epigrafisty, który niedawno spisał ciekawą monografię wizerunków Judasza w dawnej chrześcijańskiej sztuce; p. Maryana Armellini, który dokonał znacznych odkryć w cmentarzach Pretekstata i Ostriańskiej katakumbie, a oprócz tego dostarczać nie przestaje obfitego plonu literaturze katakumbowej. Najświeższem jego dziełem, to uczona i ciekawa księga, zatytułowana: *Le chiese di Roma dalle sui origini sino al secolo XVI.*

Niezmordowany ojciec German od św. Stanisława, z zakonu Passyonistów, znany już w naukowym świecie z badań cmentarza św. Eutyka na Ferentyńskiej drodze, wsławił się świeżo bardzo ważnem odkryciem. Zamieszkawszy w klasztorze śś. Jana i Pawła na górze Coelius, wykazał nader umiejętnie i pomyślnie kierowanemi poszukiwaniami, autentyczność dziejów tych dwóch ofiar Julianskiego prześladowania, których martyrologium słuszne dotąd wątpliwości budziło. Dom ich, w którym wedle owych aktów zostali umęczonymi i pogrzebanymi, udało się odnaleść pod ich kościołem. Wyłoniły się z ziemi dwie obszerne sale, ozdobione malowidłami z końca IV wieku; w jednej z nich, odpowiadającej górnemu *tablinum*, rozpoznać można postać Oranty i dwa wizerunki Mojżesza. Korytarz pokryty freskami, z których jedna, przedstawiająca scenę ścięcia, wiedzie wprost na miejsce męczeństwa, *locus martyrii*. Rozpoczęte poszukiwania ciągną się dalej, i z czasem odsłonią całe obszerne i wspaniałe mieszkanie śś. Jana i Pawła. Dziś już twierdzić można, iż rzadko kiedy tradycye kościelne świetniejsze odebrały zatwierdzenie, rzadko historyczne tło aktów męczeńskich zupełniejszego doczekały się wyjaśnienia.

Nad wyraz ożywiony ruch archeologiczny oczywiście nie wszędzie tak obfitym, jak we Włoszech chlubić się może plonem. Tu wystarcza ziemię poruszyć, aby odrazu na skarby prawdziwe natrafiać. Ale i Francya posiada sporą liczbę grobowców, po większej części sięgających IV i V wieku po Chrystusie. Edmund Le Blant w obec nich zajął stanowisko Rossi'ego w Rzymie, nie ustępując temu ostatniemu pod względem metody i erudycyi. Wydał z kolei wyczerpujące badania nad starożytnymi chrześcijańskimi

grobami w Arles, dalej studyum wszystkich grobów chrześcijańskich z pierwszych wieków we Francyi. W innej księdze, zatytułowanej: *Actes des martyrs*, wskazał dobitnie o ile metoda krytyczna oraz studyowanie dawnych pomników, mogą dopomóc do odnalezienia treści historycznej, ukrytej w dokumentach hagiograficznych, najbardziej nawet pozornie legendowych.

Nie sam p. Le Blant uprawia we Francyi niwę rzeźby starożytnej i zabytków przeszłości. Warto wspomnieć zawcześnie zmarłego Grousset'a, odwołanego w chwili, gdy najpiękniejsze dla nauki rokował nadzieje. W innej pracy równie zmarłego dziś, p. Veyries, znajdujemy ciekawe studyum nad ikonograficznym typem Dobrego Pasterza. Grousset przedstawia nam ideał chrześcijańskiego uczonego. Skatalogowaniem rzymskich sarkafagów, nie objętych lateraneńskiem zbiorem muzealnym, położył niezmierną zasługę w obec katakumbowych badań.

Największem atoli we Francyi dziełem, odnoszącem się do starożytności chrześcijańskich, to jest pomnikowe wydawnictwo ks. Duchesne: *Liber Pontificorum*. Wychodzi fascykułami *in folio*, a znakomity uczony i krytyk, kierujący tem poważnem przedsiębiorstwem, dokładnie oznacza i stwierdza datę redakcyi, wartość historyczną, doniosłość źródeł każdej poszczególnej biografii papieskiej. Komentarze, towarzyszące każdemu pojedyńczemu życiorysowi, urosły w prawdziwe monografie, rzucając najobfitsze światło na topografię, epigrafikę i dzieje pomników chrześcijańskiego Rzymu w pierwszych ośmiu wiekach po Chrystusie. A mimo rozmiarów olbrzymiego wydawnictwa, trudno tu znaleść szczegół zbyteczny lub rys obojętny.

Większymi jeszcze rozmiarami, lecz nierównie niższem pod względem bezstronności i pewności źródeł, jest dzieło niejakiego p. Rollera, duchownego ewangelickiego, o rzymskich katakumbach. Pierwsza to we Francyi próba, ażeby podać w wątpliwość świadectwa, stwierdzające odkryciami bieżącego wieku, a dokonanemi w Rzymie, starożytność dogmatów i dyscypliny katolickiego Kościoła. Szkoda niepowetowana, iż autor, który sam długo w mieście wiecznem przebywał, sumiennie zwiedził onego nekropole, i posiada wykwintne znawstwo pod względem sztuki chrześcijańskiej, unieść się dał wyznaniowym namiętnościom, rzucającym cień swój na su-

mienną skądinąd i znojną pracę, ozdobioną przepysznymi fotografiami zdjętymi w katakumbach za pomocą magnezyowego światła.

Warto jeszcze wspomnieć studya p. Lefort, wśród których wyróżnić należy doskonałą chronologię malowideł katakumbowych, tak rzymskich jak i neapolitańskich. Wyborna książeczka hr. de l'Epinois, p. t. *Les catacombes de Rome*, ze wszech miar na bliższe zasługuje poznanie.

Ziemia francuska nie wiele chowa krypt z pierwszych wieków ery chrześcijańskiej. Tem więcej rozgłosu miało odkrycie chrześcijańskiego hypogeum w Poitiers. Uczony ojciec de la Croix przekonanym był zrazu, iż mu się udało odsłonić grobowiec męczenników Galii z czasu rzymskich prześladowań. Złudzenia te zostały mu odebrane świeżym wyrokiem Rossi'ego, który orzekł, iż odkryte w Poitiers *martyrium*, pomimo bardzo ciekawego układu i ozdób, co najdalej sięga czasu Merowingów.

Natomiast wybrzeża afrykańskie dostarczają niewątpliwego chrześcijańskich starożytności plonu uczonym francuskim, dopełniającym podboju przeszłości na ziemi niedawno z Francyą zjednoczonej. Kardynał Lavigerie zdobywa okolice dawnej Kartagi dla religii, oświaty, obyczajów i wpływów francuskich; Ojciec Delattre ją podbija dla nauki i wiedzy. Powstało tam już bogate muzeum pod wezwaniem zmarłego na ziemi tunetańskiej Ś. Ludwika, w którem przedmioty i napisy chrześcijańskie widnieją obok słupów punickich lub rzymskich inskrypcyj. Udało się nawet ojcu Delattre odnaleść ważne cmentarzysko chrześcijańskie, oraz bazylikę, której główna nawa się przechowała, z otoczeniem murów, z cellą o trzech absydach, przypominającą jak wraz tą, która się wznosi nad Kalikstową katakumbą. Kardynał Lavigerie poświęcił tym odkryciom wymowną odezwę o potrzebie stałej missyi archeologicznej w Kartadze, a Rossi opatrzył uczonym komentarzem płaskorzeźbę z afrykańskiej ziemi wygrzebaną, która przedstawia Najświętszą Pannę, siedzącą z Bożem dzieciątkiem między aniołem o rozwiniętych skrzydłach, a postacią człowieka, podnoszącego rękę proroczym ruchem.

Czynna we wszystkich kierunkach umysłowość francuska nie zalega żadnego pola, studyując między innymi i bizantyńską sztukę, w której należy widzieć nie tyle wykrzywienie pierwotnego chrze-

ścijańskiego stylu, ile raczej wielowiekowe usiłowania, próbujące utrwalić klasyczne tradycye. Głównymi pracownikami na tem polu, to znamienity badacz sztuki wschodniej, p. Bayet, dalej niedawno zmarły C. de Linas, i nareszcie rossyjski pisarz tłómaczony na francuskie, Kondakow.

Chcąc ocenić archeologiczny ruch, obecnie panujący we Francyi, należałoby wejrzeć we wszystkie niemal pisma peryodyczne i przeglądy, umieszczające ochotnie rozprawy, odnoszące się do odkryć i badań przeszłości. Przoduje w tym względzie *Revue de l'art Chrétien*, *Revue archéologique*, *Mélanges d'archéologie et d'histoire*, (to ostatnie czasopismo wydawane przez szkołę francuską w Rzymie), nareszcie mnóstwo innych peryodycznych wydawnictw. Ale choć francuska uczoność niewątpliwie prym dziś trzyma w międzynarodowym ruchu umysłowym, i Anglia i Niemcy z poważnym plonem zstępują także w archeologiczne szranki. PP. Spencer, Northcote i Brownlow zapoznają swą ojczyznę z odkryciami Rossi'ego, a dopełniają prace włoskiego uczonego znakomitym traktatem epigrafiki chrześcijańskiej. Świeżo zaś p. t.: *Early Christian Symbolism* wydali oni znakomitą pracę Palmer'a o symbolice chrześcijańskiej. Jestto zbiór rycin kolorowanych, odtwarzających freski, rzeźby, grobowce, przedmioty z szkła, kości słoniowej lub drogich kamieni, znalezione w katakumbach. Wszystko to ugrupowane nie porządkiem chronologicznym, ani topograficznym, lecz powinowactwem symbolicznem, sprowadzającem do kilku fundamentalnych typów cały rozwój chrześcijańskiej sztuki. Tekst, przed trzydziestoma laty przez zgasłego odtąd Palmera zgotowany, oczywiście w wielu ustępach okazał się przedawnionym. Wydawcy przejrzeli tedy całość, dodając objaśnienia godne ich wypróbowanej erudycyi.

Na wzór znakomitej encyklopedyi starożytności chrześcijańskich, ogłoszonej niegdyś przez ks. Martigny, Anglicy wydali teraz *Dictionary of christian antiquities*, o nierównej wartości, celnem opracowaniu dziejów instytucyj kościelnych, a zamąceniu niektórych przedmiotów anglikańskimi przesądami, mianowicie w rzeczach odnoszących się do kultu Najświętszej Panny, skąd wynikają grube, nieraz nawet naukowe pomyłki.

Nie lękać nam się takowych w niemieckiem wydawnictwie,

noszącem tytuł: *Real-Encyklopädie der christlichen Alterthümer.* Nie tylko gruntowna nauka autora, Dra Kraus'a, lecz i gorąca jego wiara, oraz dobór wytrawnych współpracowników, ubezpiecza nieomylną wartość tego poważnego zbioru. Przewyższa on niezaprzeczenie wszystkie poprzednie tego rodzaju publikacye, czemu się dziwić niepodobna, zważywszy, iż naczelny wydawca celuje zarazem i w historyi i w archeologii.

A przytem bezstronność i niezależność zdania przewodnią są cechą niemieckiej encyklopedyi chrześcijańskich starożytności. Nie można tego samego powiedzieć o pismach uczonego protestanta, Wiktora Schultza, który naprzemian w Lipsku i Wiedniu wydał książkę o katakumbach i studya nad dawnymi chrześcijańskimi pomnikami. To ostatnie dzieło otwiera się prolegomenami, dotyczącemi symboliki starej chrześcijańskiej sztuki; autor dalej bada freski kaplicy Sakramentów w cmentarzu Kaliksta, grobowiec chrześcijański z pogańskimi emblematami, znajdujący się do niedawna w Villa Ludovisi, a ofiarowany świeżo przez ks. Piombino jako dar jubileuszowy dla Papieża, katakumby Syrakuzy, sarkofag kościoła św. Pawła za murami, dawne wizerunki Matki Boskiej, grób św. Piotra, pomniki z muzeum Kircheriańskiego i t. d.; karty poświęcone kaplicy Sakramentalnej, obrazom Maryi i grobowcowi św. Piotra wykazują uprzedzenia z góry powzięte, a stanowczo z gruntowną nauką rozwiedzione. Podobnyż duch wieje z książki p. Hasenclevera: *Der altchristliche Kirchenschmuck*, w której autor, wbrew udowodnionej prawdzie próbuje wykazać, iż starożytność chrześcijańska w sztuce nowych nie wytworzyła typów, lecz ograniczyła się na ślepem kopiowaniu ozdób pogańskich grobów, zaczem malowidła katakumbowe podług niego nie zawierałyby żadnej doktryny ani nauczania teologicznego. Z okazyi okolicznościowego potrącenia o kult Najśw. Panny w pierwszych wiekach, i lekceważenie onego przez powyższych protestanckich pisarzy, pojawiły się dwie książki, które śmiało zaliczyć można do najlepszych studyów sztuki religijnej. Dyrektor muzeum Hohenzollernów w Sigmaringen, p. von Leyner, wydał znakomite dzieło pt. *Die Marienverehrung in den ersten Jahrhunderten*, młody zaś kapłan, który długo w Rzymie przemieszkiwał, ks. Liell, napisał wyczerpującą rozprawę p. t.: *Die Darstellungen der allerseligsten Jungfrau auf*

den Kunstdenkmälern der Katakomben. Zasłużona firma Herdera w Fryburgu Bryzgawskim ogłosiła tę obszerną pracę, której pierwsza część poświęconą jest dogmatycznej i religijnej stronie przedmiotu, druga zaś wyszczególnia blisko siedmdziesiąt starodawnych wizerunków Matki Boskiej, według fresków, rzeźb i rytych na szkle katakumbowych zabytków. Autor sam po większej części rysunki wykonał, z najściślejszą wiernością przedstawiając obecny stan niektórych wielce zniszczonych, lecz jeszcze łatwych do rozpoznania malowideł.

Prawie wszystkie wyobrażenia Matki Boskiej, zebrane przez ks. Liella odnieść wypada do epoki zamkniętej między końcem I-go, a ostatkiem V-go wieku. Chcąc objąć jednym poglądem ważniejsze publikacye z ostatniego lat dziesiątka w dziedzinie archeologii chrześcijańskiej, trzeba nam jeszcze wspomnieć wspaniałe wydanie lipskie pp. Gebharta i Harnack, greckiego ewangeliarza z Rossano, napisanego w. VI wieku srebrnymi literami na purpurowym pergaminie, a zawierającego ośmnaście miniatur, odnoszących się do życia Zbawiciela Pana, które pod względem stylu, przypominają raweńskie mozaiki św. Apolinarego.

Rektor kolegium niemieckiego w Rzymie, Mgr. de Waal, rozpoczął tamże wydawnictwo kwartalnika, poświęconego historyi i pamiątkom pierwszych wieków p. t.: *Römische Quartalschrift für christliche Alterthumskunde und für Kirchengeschichte.* Tacy współpracownicy jak ks. Wilpert i Kirsch dobrze rokują o przyszłości niedawno powstałego czasopisma.

Z tej krótkiej, nie wyczerpującej i niemal bibliograficznej wzmianki, dwie przedewszystkiem rzeczy uwydatniają się niezbicie. Najprzód znajdujemy tu nowy dowód rodzajności tej niwy archeologii chrześcijańskiej, którą żadne żniwo, jakkolwiek obfite, nie potrafi wyczerpać, ani też żadne trudy nie zniechęcają nigdy. Dziś jeszcze era wielkich odkryć w podziemnym Rzymie zda się ponownie utrwalać, zapowiadając dla historyi naszych religijnych początków nowe a znaczące podboje, w rodzaju tych, które od lat trzydziestu nie przestają zatwierdzać świadectwem głazów i grobów niewzruszoną ścisłość doktrynalnej tradycyi i nauki Kościoła. Wszelako należy obecnie przyznać, iż nie sami katoliccy uczeni uprawiają dziś zagon chrześcijańskiej archeologii. Erudycya pro-

testancka próbuje wtargnąć w dziedzinę niegdyś dla niej obcą, szuka dróg, aby katolickich pisarzy osaczyć i spróbować ich wyprzeć z niedostępnych dotąd pozycyj. Wypływa stąd niebezpieczeństwo, którego sobie ani zataić, ani też przesadzać nie należy. Obowiązkiem katolików i katolickich uczonych jest dziś bardziej, niż kiedykolwiek, mnożyć poszukiwania i studya osobiste, oraz śledzić skwapliwie wszystkie odkrycia, które po różnych świata stronach dotyczą starożytności chrześcijańskiej i badań nad nią prowadzonych. Pod tym warunkiem, zwycięstwo niewątpliwie przy nas pozostanie, ponieważ dochowamy dwa dary, dwie siły, których nic w sporach zasadniczych nie zastąpi: naukę i prawdę, ślubem prawej szczerości z sobą związane.

M.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Monumenta Poloniae historica. T. V. Lwów. Nakładem Akademii Umiejętności, 1888. Wielka 8-ka, stron 1170. (Dok.)

Na drugiem miejscu w obecnym tomie Monumentów znajdujemy małe pisemko p. t.: *Castellaniae ecclesiae Plocensis. Telonea episcopi Plocensis. Villae Capituli Plocensis*[1]. Znalazł je wydawca Dr. Wojciech Kętrzyński w rękopisie biblioteki kapituły płockiej, pochodzącym z XIII w. Jest to spis dóbr i dochodów biskupstwa płockiego, pochodzący, jak autor stara się rozbiorem treści i to wcale przekonywająco dowieść, z czasu erekcyi tego biskupstwa tj. z w. XI; właściwie tylko dwa pierwsze odnosi wydawca do tego czasu, ostatnie jest późniejsze. Dowody wydawcy, który je złożył w rozprawce: Założenie i wyposażenie biskupstwa płockiego[2], wywołały polemikę ze strony p. Ulanowskiego. W rozprawie: O uposażeniu biskupstwa płockiego[3], zbija wywody Kętrzyńskiego co do wieku owego pisma, na co znowu p. K. odpowiedział rozprawą: Dokument ks. Konrada Mazowieckiego z roku 1203[4]. Zapatrywania i dowody obu przeciwników podał grunto-

[1] Str. 419—443.
[2] Przewodnik naukowy i literacki 1886 r.
[3] Rozprawy akadem. XXI.
[4] Przewodnik naukowy i literacki, XV.

wnej krytyce p. Piekosiński w obszernej recenzyi [1], a kwestya tylokrotnie i to z różnych stron omówiona, wiele zyskała na pogłębieniu i jasności.

Na 3 i 4 miejscu znajdujemy dwa kalendarze. Pierwszy *Calendarium Plocense* [2], wydane przez p. Kętrzyńskiego z rękopisu biblioteki kapitulnej płockiej w XIV w. pisanego, zawiera rozmaite wiadomości, tyczące się szczególnie książąt mazowieckich. Wydawca typograficznie oddziela zapiski różnej wartości, umieszczając te, przy których jest rok podany i które mają historyczne znaczenie, odmiennym drukiem. Co jeszcze ciekawego w tem *Calendarium*, to polskie nazwy miesięcy, odmienne poniekąd od dzisiejszych, i tak: styczeń zwał się luthy; luty-strompacz; marzec-marzec; kwiecień-llzyquyad (łżykwiat), llzykwath alias kwyecyen; maj-may; czerwiec-ugornyk alias zok; lipiec-lypiecz; sierpień-schyrpyen alias czyrwyen (robaczliwy); wrzesień-wrzeschen; październik-lystopad; listopad-grudzen; grudzień-proschyen (czes. prosinec). Drugi *Calendarium Landense* [3], wydał *Teodor Wierzbowski* z rękopisu biblioteki cesarskiej w Wiedniu, w którym na 11-tu kartach z początku znajduje się ten kalendarz klasztoru lędzkiego, powstały w XV wieku. Wydanie tego kalendarza różni się od poprzedniego tem, że pomieszczone są jedynie tylko zapiski historycznej treści, wszystkie inne czysto kalendarzowe pominięte, i słusznie, gdyż przez to zyskuje się na przeglądzie i miejscu. Całe to *Calendarium* zajmuje razem z obszernymi notami zaledwie trzy strony, podczas gdy drukując wszystko, zabrałoby się co najmniej trzy razy tyle miejsca.

Ósme miejsce w obecnym tomie zajmuje *Liber fraternitatis Lubinensis*, wydany przez Dr. F. Papéego [4]. W dość obszernej i wzorowo, z wielką erudycyą napisanej przedmowie [5] dał nam wydawca krytyczne zbadanie rękopisu i wartości tego *Liber fraternitatis*, który tem różni się od nekrologów, iż jest spisem żyjących braci, podczas gdy tamte umarłych. Wydanie dokonane zostało z rękopisu biblioteki cesarskiej w Petersburgu; rękopis ten, jak dowodzi bystry wywód wydawcy, jest pochodzenia gallikańskiego,

[1] Kwartalnik historyczny 1887 str. 503—512.
[2] Str. 444—461. [3] Str. 462—8. [4] Str. 562—584. [5] Str. 562—570.

należący pod względem czasu od XII—XIV w. Mianowicie około r. 1170 mnich, może Francuz, zaczemby pismo przemawiało, może Polak, zaczem znowu przemawia poprawne oddanie polskich nazw, postanowił przepisać spis członków bractwa i wybrał do tego księgę ewangelii, na której wolnych kartach spis ten zaczął; rozmaite ręce do XIV w. prowadziły go dalej. Na twierdzenie, tradycyą się utrzymujące, jakoby Lubin był kolonią kluniackiego klasztoru, wydawca się nie pisze, godzi się raczej na wywód prof. M. Sokołowskiego, podający jakiś klasztor koło Liége, jako macierzysty klasztoru Lubińskiego. Oddanie tekstu, złożonego prawie wyłącznie z nazwisk, ile możności dokładne, prócz kilkunastu odmiennych lekcyi, podniesionych w nader starannej recenzyi p. Łaguny[1]; rozmaitość składowych części oddana typograficznie. Jak ważnym jest taki spis, pochodzący z tak odległych czasów, o tem chyba i wspominać nie potrzeba.

Vita fratris Nicolai de Magna Kosmin[2], wydana została przez Saturnina Kwiatkowskiego. Jest to żywot świątobliwego zakonnika Mikołaja z Kośmina[3], którego pamięć długi czas pozostała w klasztorze świętokrzyskim, a jakiś nieznany mnich zajął się spisaniem jego żywota, ażeby służył za wzór dla innych braci zakonnych. Poza tę postać dostarcza życiorys tylko kilka szczegółów do poznania życia Benedyktynów świętokrzyskich z XV w. Rękopis tego żywota znajduje się w cesarskiej bibliotece petersburskiej, a wydany został i zaopatrzony przez wydawcę w liczne noty i objaśnienia ze zwykłą jego starannością i sumiennością.

Zmieniłem porządek następujących po sobie artykułów z tego powodu, ażeby się uporać z wydanymi przez innych rzeczami, a w jednym ciągu przedstawić wydane przez dr. Wojciecha Kętrzyńskiego. P. Kętrzyński ma w tym tomie największy udział, największa ilość artykułów została przez niego wydana; odliczywszy mianowicie owe cztery przez innych pomieszczone, pozostaje 31 rozmaitego rodzaju artykułów, obejmujących 658 stron, przygoto-

---

[1] Kwartalnik hist. 1887. str. 483—491.
[2] Str. 841—860. Nr. 17.
[3] Województwo kaliskie.

wanych do druku i wydanych przez dr. Kętrzyńskiego. Pierwsze miejsce zajmują księgi zmarłych braci zakonnych, których jest dziewięć, bądź całkowitych, bądź fragmentarycznych. *Liber mortuorum monasterii Laudensis ordinis Cisterciensis* [1], z rękopisów biblioteki seminaryum duchownego w Włocławku. Jest to kopia dawnego *liber mortuorum*, pochodząca z XVII w., zawierająca spis umarłych opatów, zakonników, dobrodziejów i t. p. klasztoru lędzkiego, położonego nad Wartą między Pyzdrami a Koninem, fundowanego w r. 1145; należał on dawniej do województwa poznańskiego, dziś do guberni kaliskiej. Zapiski tem ważniejsze im wcześniejsze, rozpoczynają się rokiem 1145, a pisane jedną ręką do 1681. Są i późniejsze zapiski różnemi rękami pisane aż do XIX w. Te właśnie późniejsze zapiski, wychodzące poza rok 1681, a więc z XVIII i XIX w. drukuje wydawca (wybrawszy tylko odnoszące się do ważniejszych osobistości) odmiennym drukiem. Następuje *Liber mortuorum monasterii beatae Mariae de Oliva* [2]. Dawny stary nekrolog, który klasztor oliwski, jak inne klasztory posiadał, uległ 1577 zniszczeniu, gdy Gdańszczanie wśród wojny ze Stefanem Batorym zburzyli klasztor. Zebrane karty postanowiono później zastąpić innym trwalszym i lepszym egzemplarzem, przepisano je więc 1615 ozdobnie na pergaminie i w nowej tej księdze zapisywano i nadal nazwiska aż do r. 1806. Ale i ten kodeks uległ z czasem zniszczeniu, tak że *liber mortuorum*, będący częścią całego kodeksu, liczy dziś tylko 51 kart, a ponieważ na każdej karcie znajdują się 4 dni, — 204 dni; brak więc 162 dni, czyli 41 kart, które z różnych miejsc zostały wydarte i wycięte, naturalnie z wielką szkodą dla całości. Ale szczęściem znalazł dr. Kętrzyński drugi kodeks, również kopię sporządzoną około 1622, w którym obok rozmaitych innych rzeczy znajduje się także tensam nekrolog w całości, tak iż można nim dopełnić braków kodeksu oliwskiego. W ten sposób, dzięki p. Kętrzyńskiemu mamy całość tego nekrologu. Przytem znajduje się spis zmarłych zakonnic klasztoru Żarnowieckiego, drukowany przez wydawcę odmiennym drukiem.

Liber mortuorum monasterii Leopoliensis S. Dominici [3], pochodzi z XV w., a wydany został z rękopisu bogatej w cenne zbiory

[1] Str. 468—500. [2] Str. 501—536. [3] Str. 537—861.

biblioteki Wiktora hr. Baworowskiego we Lwowie. Nekrolog ten założono, jak z wielką bystrością dowodzi wydawca, w r. 1412 i odtąd rozmaite ręce XV i XVI w. wpisywały weń zapiski, dotyczące generałów, prowincyałów, dobrodziejów, braci zakonu kaznodziejskiego w ogóle, a klasztoru lwowskiego w szczególności.

Jakkolwiek na podstawie późnych rękopisów wydany, niemałej wagi jednak dla dziejów zakonnych średniowiecznych jest *Liber mortuorum monasterii Lubinensis ordinis Sancti Benedicti*[1]. Wydawca rozporządzał trzema rękopisami: 1) rękopis biblioteki Towarzystwa naukowego poznańskiego, napisany w r. 1802 przez opata Stanisława Kieszkowskiego, 2) nekrolog z r. 1689 Bartłomieja Krzywińskiego z archiwum państwowego w Poznaniu i 3) tenże nekrolog z biblioteki hr. Wiktora Baworowskiego we Lwowie. Ponieważ jednak korzystali oni z dawniejszych nekrologów, przeto przynoszą nadzwyczaj ważne szczegóły do opactwa lubińskiego. Według wywodu dr. Papéego w przedmowie do *liber fraternitatis* wyrażonego (co wyżej podniosłem), klasztorem macierzystym klasztoru Lubińskiego był jakiś klasztor gallikański, a jak trafnie wykazał prof. M. Sokołowski, klasztor z okolic Liége. Dr. W. K. idzie dalej; na podstawie zapisków, podających datę śmierci biskupa leodycejskiego Baldryka i Alberta opata z Gembloux, w dyecezyi leodycejskiej, przypuszcza nie bez wielkiego prawdopodobieństwa, że miejscem, skąd Benedyktyni do nas przybyli, jest klasztor Gembloux, czasem zaś, kiedy przybyli, miały być lata — jak wydawca dalej jasno dowodzi — między r. 1048—1071. Już ta przedmowa sama, z wielką napisana trzeźwością, posuwa wiedzę naszą o dziejach benedyktyńskich klasztorów w Polsce o wielki krok naprzód. Na końcu podaje wydawca spis opatów lubińskich i tynieckich.

Do dziejów zakonu Norbertanów przynosi zbiór dwie rzeczy, mianowicie nekrologi: klasztoru św. Wincentego pod Wrocławiem[2] i klasztoru w Strzelnie na Kujawach[3]. Pierwszy jest to rękopis pergaminowy królewskiej biblioteki w Berlinie z XIII w., na którego drugiej karcie zaczyna się nekrolog; cały foliant ma 26 kart. Z późniejszych znachodzą się nieliczne zapiski z XIV - XVII w. Jest to źródło bardzo ważne do historyi zakonu Norbertanów

[1] Str. 585 - 652. [2] Str. 667—718. [3] Str. 719—767.

w Polsce, dla którego dotychczas bardzo mało zrobiono, tak że wydawca, pomimo, że nekrolog ten był już raz wydany w *Zeitschrift für Geschichte Schlesiens* (ale w skróceniu), nie omieszkał jeszcze raz go wydać. I historyczny materyał mamy tu obfity i lingwistyczny dla wielkiego bogactwa nazw staropolskich. Klasztor św. Wincentego pod Wrocławiem założony został z początkiem XII w.[1] przez hrabiego Piotra Własta z przeznaczeniem dla Benedyktynów. Lecz już około 1180 r. Benedyktynów przeniesiono stąd pod Kalisz do tamtejszego klasztoru Norbertanów, a tamtejszych zakonników sprowadzono do klasztoru św. Wincentego. Stąd w nekrologu mamy połączony starożytny nekrolog Benedyktynów z nekrologiem Norbertanów. W Strzelnie na Kujawach istniał klasztor żeński założony również w pierwszej połowie XII w. przez Piotra Własta. Otóż po Norbertanach tych pozostał kwartant papierowy z XVII w., spisany w r. 1626 niezawodnie na podstawie dawniejszych nekrologów przez zakonnicę Urszulę Siemiątkowską p o l a c i n i e; choćby już dla tego ciekawy. Po jej śmierci († 1640) prowadzono ten nekrolog dalej do r. 1735.

Do historyi Cystersów mamy cztery zabytki: *Liber mortuorum monasterii Andreoviensis ordinis Cisterciensis*[2]. *Excerpta e libro mortuorum monasterii Mogilnensis ordinis Cisterciensis*[3] i *Suffragia monasterii Mogilnensis*[4]. Klasztor jędrzejowski, założony około r. 1140, jest najdawniejszą osadą Cystersów w Polsce, nie pozostały po nim jednak żadne zabytki; starożytny pergaminowy nekrolog, który jeszcze przed kilkunastu laty widziano, zaginął, jest tylko kopia z XVII w. niedokładna i niedostateczna. Nekrolog pierwotny nie posiadał żadnych dat rocznych wcześniejszych od w. XIV; wynika to stąd, że daty roczne wcześniejsze, znajdujące się w niniejszym nekrologu, sa prawie wszystkie mylne, są zatem później podane, podczas gdy daty dzienne okazały się prawdziwymi. Nekrolog ten doprowadzony był prawdopodobnie do r. 1629. W końcu podaje wydawca spis opatów jędrzejowskich. — Co do dwóch zabytków, odnoszących się do klasztoru mogilskiego, to pierwszy jest nekrologiem, sporządzonym dopiero w XVII w., do którego powciągano i z dawniejszego zaginionego nekrologu kilka

[1] Przed r. 1126. [2] Str. 768—805. [3] Str. 806—813. [4] Str. 653—666.

dat; także ów dawny nekrolog tylko w wyciągu podany. Drugi *suffragia* był to również wyciąg z nekrologu, w który wpisywano jedynie tylko nazwiska zakonników zmarłych i posyłano klasztorowi, z którym zawarto *confraternitatem*, w celu wspólnych modłów za ich dusze. — Z rękopisów wreszcie biblioteki Raczyńskich, w Poznaniu, pochodzącego z XVII w. podał p. K. *Series abbatum coenobii Byszoviensis seu Coronoviensis ordinis Cisterciensis*[1]; jest to spis opatów oparty na starych i widocznie bardzo dokładnych źródłach.

Na str. 818—840 mamy *Compilatoris veteris Trzemesznensis fragmenta*. Jedną z najważniejszych kronik klasztornych w ogóle jest kronika trzemeszneńska czyli kronika klasztoru trzemeszneńskiego kanoników regularnych kongregacyi lateraneńskiej, pisana w XVII w. Ważną jest już z tego względu, że klasztor trzemeszneński należy do najstarszych w Polsce instytucyj, sięgając X wieku. Wydawcy chodziło jednak nie o samą kronikę, lecz o źródło jej; głównem bowiem jej źródłem, z którego obszerne i dosłowne cytuje ustępy, jest t. z. kompilator trzemeszneński, którego rękopis, jak dowodzi wydawca, obejmował 58 kart i sięgał do r. 1653. Rękopisu tego nie znamy dotychczas w oryginale, lecz właśnie tylko z tych obszernych ustępów, podanych w kronice trzemeszneńskiej, które wszystkie wydawca skrupulatnie powydzielał i zrekonstruował z niego tekst owej nieznanej kompilacyi. Dzięki zatem pracy i bystrości swojej, zdobył wydawca nowe źródło dla naszych dziejów. Nie mniejszej bystrości dowiódł wydawca śledząc, kto jest autorem owej kompilacyi, i przyszedł do przekonania, opierając je na jasnych dowodach, na które każdy zgodzić się musi,— że kompilacya owa zawdzięcza swe powstanie kilku autorom. Przedewszystkiem trzeba odróżnić dwie części w niej: część pierwszą, sięgającą do r. 1526 i część drugą, rozpoczynającą się r. 1565. Między r. 1526 a 1565 nastąpiła przerwa w pisaniu kroniki, jak dowodzi zapisek na 34 karcie kompilacyi, a dopiero 1565 poprowadził dalej pracę ks. Jan Uniejowski, głośny swego czasu muzyk-kompozytor, a po nim wiódł ją dalej Stanisław Sierocki. Wydawcy chodziło tylko o pierwszą część owej kompilacyi, doprowadzonej do

[1] Str. 814—7.

r. 1526 i tylko tę część wydał on na podstawie cytatów z kroniki trzemeszneńskiej. Część ta obejmuje zapiski rokiem oznaczone od r. 1407, lecz oprócz tego kilka z XI i XII w. bliżej nie oznaczone datą. Ta część według bystrego wywodu wydawcy ma trzech autorów. Do r. 1517 pisał kompilacyą opat Andrzej Drzążyński, gdyż pod tym rokiem mówiąc o smutnym wypadku samobójstwa jednego z zakonników dodaje: „O biada mi nędznemu prałatowi, że w czasie moich rządów taki haniebny wypadek zdarzył się naszemu domowi"; opatem zaś od 1504—1522 był wspomniany A. D. Umarł on r. 1522, a ponieważ na półczwarta roku przed śmiercią ociemniał, a już przedtem zapewne na pewien czas zaniemógł na oczy, przeto jasne, że mniej więcej w 1517 zakończył pisać. Zapiski od 1517—1520 pochodzą widocznie z ręki jakiegoś innego młodszego autora, który 1517 wspomina o swoim wuju. W r. 1522 zapisuje już trzeci z rzędu autor śmierć opata Drzążyńskiego, przy którego konaniu był. Autor ten, jak sam o sobie mówi, odbywał 1522 rok nowicyatu, a zatem 1522 zaczął pisać, gdyż 1521 nie ma żadnego zapisku. Że ta kompilacya opata Drzążyńskiego jest źródłem ważnem, dowodem, że korzystał on przy pracy swojej ze starego katalogu trzemeszneńskiego, z roczników klasztornych i z dawnego nekrologu doprowadzonego zapewne do r. 1485. Gdyby te nieznane dzisiaj skąd inąd źródła dały się odnaleść, byłyby one niewątpliwie pierwszorzędnej wagi dla dziejów klasztoru, a w części i Polski w wiekach X—XII. Dlatego zasługa wydawcy jest niemałą, że jedno źródło więcej wydobył z pyłu, jakkolwiek z późniejszych czasów pochodzące, jednak wielce dla historyi zakonu ważne.

Nie zbyt wiele nowego przynoszą roczniki zawarte w tym tomie, a mamy ich tu pięć. Najważniejszym jeszcze jest rocznik lubiński [1], który wydany już został przez Bielowskiego w drugim tomie *Monumentów;* rocznik sam obejmuje lata 1143—1173; w przypisku umieścił Bielowski wyrazy odczytane w ułamku pergaminowym, który znaleziono razem z kartą pergaminową, zawierającą ów rocznik. W tym ułamku dostrzegł dr. Wojciechowski ślady tablicy paschalnej i odniósł zapiski owe do lat 1169—1180 [2]. Wy-

[1] Str. 861—873.

[2] O rocznikach polskich X—XV w.

wołało to polemikę. Dr. W. Kętrzyński w recenzyi powyższej pracy odniósł je do lat 1263—1275. Przeciw obu zapatrywaniom wystąpił St. Łaguna[1] odnosząc owe zapiski do lat 1242—1258. Wydawca mając obecnie pod ręką oryginał, który dyrekcya biblioteki królewskiej w Berlinie na prośbę zakładu Ossolińskich wypożyczyła do Lwowa, raz jeszcze dokładnie zbadał cały zabytek i podaje w przedmowie najdokładniejszy jego opis. Ponieważ na obu kartach przeważna część zapisek pochodzi z jednej i tej samej ręki, przeto przychodzi wydawca do słusznego całkiem wniosku, że główna karta i odłamek są częścią większej całości, a jak zewnętrzne znaki pouczają (tożsamość pergaminu, równe liniowanie) oboje są częścią jednego i tego samego arkusza pergaminowego. Obejmuje zaś ów odłamek lata 1247—1275. Ponieważ zaś odłamkowa karta jest z obu stron obciętą, przeto wydawca dopełnia tekstu zapisek bardzo szczęśliwie na podstawie innych roczników. Cały rocznik składał się z kilku arkuszyków. W tym arkuszyku, którego 1 kartę stanowiła karta główna, a 2 odłamkowa, był jeszcze inny arkuszyk, obejmujący, jak wydawca szczegółowem obliczeniem bystrze dowodzi, lata 1177—1240. *Annales Poznanienses I*[2], składające się z dwóch części, obejmujących lata 929—1079 i 1279—1341, zawierają wiadomości wspólne kilku innym znanym rocznikom; *Annales Poznanienses II*[3] z lat 1241—1501, co do XIII i XIV wieku opierają się szczególnie na kronice wielkopolskiej i Janka z Czarnkowa, co do XV w. zawierają niejedną ciekawą, a dotąd nieznaną wiadomość. *Annales Cuiavienses*[4], obejmujące lata 966—1477 jakkolwiek nie zawierają nic nowego, są jednak jednem ze źródeł, które wcieliła w siebie kompilacya znana pod nazwą Rocznika Świętokrzyskiego. Rocznik mansyonarzy krakowskich wreszcie[5] obejmuje wiadomości z XII, XIII i XIV wyjęte z rocznika świętokrzyskiego, z XV i XVI w. oryginalne.

W bibliotece seminaryum we Włocławku znajdują się razem oprawne kalendarzyki z lat 1532—6, w których dworzanin biskupa krakowskiego Piotra Tomickiego wypisywał różne wiadomości, dotyczące jego pana, niejako dziennik ostatnich lat jego życia i dla-

[1] Ateneum 1883 r. [2] Str. 874—881. [3] Str. 882—4. [4] Str. 885—889. [5] Str. 890—6.

tego bardzo ważne dla biografii biskupa; obejmuje on czas od 25 maja 1532 do 24 grudnia 1536. Wydał go dr. K. pod tytułem *Diarium cuiusdam domestici Petri Tomicki epi. crac.*[1]. Dalsze cztery numera[2] zawierają pod wspólnym tytułem *Notae* rozmaite zapiski z rękopisów biblioteki jagiellońskiej 1200—1426; ks. Czartoryskich 1440—1515 i 1454—9; dzikowskiej 1433—1441[3]. *Visitatio de Almania de tempore Dr. Roberti Abbatis 1418*[4], jest relacyą o Kazimierzu Mnichu spisaną w r. 1418 przez mnicha Francuza na podstawie opowiadania polskiego braciszka; znajduje się w bibliotece miejskiej w Kluniaku. *Rationes Zbignei a Nasiechowice archidiaconi crac.*[5], zawierają rachunki z lat 1389—1390, a znajdują się w rękopisie kościoła katedralnego w Kielcach. *Registri damnorum a Cruciferis in Masovia A. 1413 factorum fragmenta*[6], są spisem szkód poczynionych przez Krzyżaków w r. 1413, znajdującym się na dwóch kartach biblioteki kapitulnej w Płocku. Jest to jedyny dotychczas spis przez Polaków sporządzony. Znamy bowiem spisy takie tylko ze strony krzyżackiej w tajnem archiwum królewieckiem. Dwie konsekracye kościołów[7] nie przynoszą dla historyi prawie nic ważnego, natomiast inwentarze kościołów Wiślickiego i Gnieźnieńskiego z lat 1480, 1483, 1486, 1318, 1450 są nadzwyczajnie cennym materyałem dla dziejów sztuki i literatury naszej, zawierają bowiem spisy ksiąg, ornatów, kielichów, krzyżów i innych dzieł sztuki[8]. Na końcu[9] daje nam dr. K. pod ogólnym tytułem *Varia e variis codicibus* przeszło sto najróżnorodniejszych zapisków, pozbieranych skrzętnie z różnych rękopisów lub dawnych druków. Odnoszą się one do lat 990—1684 a zbierał je wydawca po licznych bibliotekach w Gnieźnie, Poznaniu, Kórniku, Trzemesznie, Płocku, Włocławku, Warszawie, Kielcach, Sandomierzu, Dzikowie, Krakowie i Lwowie. Już z tego możemy mieć wyobrażenie o tej prawdziwie mrówczej pracy wydawcy. Niektóre z tych zapisków są bardzo ciekawe i ważne. Następnie mamy, żeby już niczego nie pominąć, Dodatki do 4 i 5 tomu[10], pochodzące od wydawców, i wreszcie dokładny *Index*, opracowany przez p. Henryka Kopię.

F. Bostel.

[1] Str. 897—904. [2] Str. 24—7. [3] Str. 905—912. [4] Str. 913—916.
[5] Str. 917—925. [6] Str. 926—930. [7] Str. 931—5. [8] Str. 936—954.
[9] Str. 955—1012. [10] Str. 1013—1026.

Pamiętnik Towarzystwa literackiego imienia A. Mickiewicza, pod redakcyą *Romana Pilata*. Rocznik drugi. 1888. Str. 382.

Rocznik II. obejmuje sześć działów, a mianowicie: Rozprawy, Miscellanea, Korespondencye (wspomnienia i pamiątki), Recenzye i Sprawozdania, Bibliografia, Kronika.

Ponętnym jest tytuł pierwszej rozprawy Piotra Chmielowskiego: Estetyczno-krytyczne poglądy A. Mickiewicza", bo właśnie pole estetycznych badań zostawione u nas odłogiem. P. Chm. upatruje cztery ważniejsze doby w teoretycznych poglądach Adama i obecną rozprawę poświęca tylko pierwszej z nich, tj. klasycznej, zostawiając trzy inne: romantyczną, mięszaną i mesyaniczną, do następnych zapewne roczników Pamiętnika.

Dziecięcy i młodzieńczy wiek jest jak gąbka; przesiąka na wskróś tym żywiołem który go otacza. To też p. Chm. słusznie wskazuje najprzód ogólny podówczas prąd naszych pisarzy, współzawodniczących z sobą w tworzeniu epopei, poematów dydaktycznych i tradycyi w guście klasycznym. Prąd ten musiał owiać i Adama, a to tem silniej, że był spotęgowany wpływem jego profesorów. Że istotnie klasycyzm był wówczas duszą estetycznych poglądów Mickiewicza, dowodzą już to jego rozprawy czysto klasycznego nastroju, jużto najdobitniej obszerna a krytyczna jego recenzya „Jagiellonidy" Tomaszewskiego. Był więc Mickiewicz klasykiem nie tylko jako student, lecz także jako nauczyciel literatury. Znał już wprawdzie dobrze romantyków niemieckich i sam zaczął pisać ballady, jednakże nie odstąpił jeszcze ani na krok od zasad klasycyzmu, czego dowodzi p. Chm. licznymi ustępami, wyjętymi z jego recenzyi „Zofijówki" Trembeckiego. Zresztą rozumny geniusz Mickiewicz nic nie stracił na studyach klasycyzmu, owszem zyskał wiele, bo wniósł do szkoły romantycznej dodatnie strony klasyków, czego późniejszym pseudo-romantykom tak bardzo niedostaje.

Cenną jest ta rozprawa p. Chm., tem cenniejszą, że zapowiada szereg dalszych badań estetycznych. Co się jednak tyczy klasycznych poglądów Mickiewicza, to nam się zdaje, że ich doba skończyła się w pierwszych zaraz początkach jego profesorstwa. Wykładał on wprawdzie swym uczniom, a nawet drukował teorye klasyczne, ale w duszy nastąpił już przełom, jakkolwiek jeszcze nie ujęty w teoryę rozumową. Nie podobna bowiem, aby w młodem a tak gorącem sercu naszego wieszcza, na dźwięk pieśni Schillerów, Göthych Bürgerów, nie zadrgała pokrewna im struna, czego zresztą dowodzi współczesne autorstwo Adama.

P. Adam Bełcikowski pisze o zaginionym (prócz fragmentów) dramacie Mickiewicza p. t.: „Konfederaci Barscy", zestawiając znane i nieznane szczegóły jego genezy, i co najważniejsza, podając, o ile to było możliwem, krytyczną jego ocenę. Podstawę tej oceny stanowią już to pozostałe dwa akty dramatu, już też przeważnie sąd pp. Sand i d'Agoult, oraz Bocage'a i Mallefille'a, wprawdzie nieznających dobrze narodowego ducha naszego, ale zawsze sumiennych i bezstronnych znawców. Rezultat krytyki wypadł dla Adama jako dramaturga, niepomyślnie. W „Konfederatach" mimo bogactwa myśli, mimo podniosłej liryki, chwil wysoko tragicznych i t. d., brak ciała dramatycznego, brak akcyi scenicznej, podobnie jak i w drugim dramacie Adama p. t.: „Jakób Jasiński", którego także mały tylko urywek posiadamy.

W rozprawie p. Władysława Nehringa: „Nieznane szczegóły z nauki Andrzeja Towiańskiego“ nie znajdujemy wprawdzie nowych błędów lub zapatrywań mistrza Andrzeja — jeśli go w ogóle można posądzić o jakie zapatrywania — są tu tylko szczegóły, potwierdzające znaną już jego aberracyę umysłową na punkcie religii, filozofii czy etyki. Metampsychoza, niewiara w Bóstwo Chrystusa, pogarda dla Kościoła i Świętych, i mnóstwo sprzeczności lub wyrażeń niby filozoficznych, z których jawnie się pokazuje, że w duszy Towiańskiego, w każdym razie było jakieś zboczenie, albo w umyśle, zwane pomięszaniem, a co najmniej manją, albo we woli, zwane „blagą“, w celu otumanienia wrażliwych dusz poetycznych. Szczegóły te zaczerpnął i zestawił p. N. z notatek Stefana Zana, pisanych na posiedzeniach Koła Towiańczyków między r. 1842 a 1844. Mickiewiczowi tylko zawdzięcza mistrz Andrzej tę jakkolwiek niepochlebną pamięć o literackich pracach naszych pisarzów, jak to słusznie zaznaczył p. N.: że „gdyby nie Mickiewicz, imię tego marzyciela (Towiańskiego) dawnoby utonęło w zapomnienia fali“.

Czwarta rozprawa, nosząca tytuł „Reminiscencye w Panu Tadeuszu z Homera, Wergiliusa i Tassa“ dowodem jest tylko znanej już z resztą erudycyi i literackiej pracowitości jej autora p. W. A. Bruchnalskiego. Trudno jednak dopatrzeć się w niej jakiegokolwiek dla Mickiewiczowskiej literatury pożytku. P. Br. zestawia porównawczo niektóre zwroty, obrazy, porównania lub epizody wyjęte z Pana Tadeusza, z podobnymi zwrotami, obrazami itp. używanymi u wymienionych w tytule rozprawy klasyków starożytnych, dowodząc, że Mickiewicz tymi właśnie wzorami się posługiwał. W ogóle mówiąc, stawianie takich paralelli jest niebezpieczne, bo podstawą tych samych szczególnie obrazów i porównań, jest nie tylko naśladownictwo, ale także przedmiotowa analogia, tj. istotne a uwydatniające się podobieństwo między tworami lub zjawiskami przyrody, a czynami lub uczuciami ludzkiemi. Tak np. bez żadnego naśladownictwa tysiące ludzi używa tychże samych porównań: „biały jak śnieg“, „zimny jak lód“, jasny jak słońce“, „szybki jak wiatr“, „powolny jak żółw“ itd., dla tej prostej przyczyny, że porównania te sama przyroda każdemu wciąż nastręcza. Czemuż więc płodny geniusz Mickiewicza porównując wojska ze stadami ptaków, lub skłanianie się głów ludzkich z kłosami, chylącymi się pod wiatru powiewem, potrzebować miał do pomocy Homera, by obrazy te wzięte z natury sobie przyswoić? Albo dla czego porównanie Tadeusza do szczupaka nurtującego z ościeniem w piersiach, ma być koniecznie wzorowanem na IV ks. Eneidy, gdzie Wergiliusz przyrównuje Dydonę do łani z zabójczą strzałą w boku uciekającej po lesie? Trzymając się tej metody moglibyśmy wykazać różne reminiscencye w każdym zwrocie mowy każdego literata. Ale przypuściwszy nawet, że wszystkie paralelle p. Bruchnalskiego są najzupełniej pewne, jakaż stąd korzyść dla literatury? Odpowiedz nam p Br. na to: „czy może być obojętnem dla naukowego badacza wiedzieć pozytywnie, jakie to prawdy ukochała dusza wielkiego poety, jak i skąd je brała?“ (str. 95) Czy owe porównania, obrazy lub parę uczuć miłosnych można nazwać „prawdami“, pozwalam sobie o tem wątpić; chyba w ściśle filozoficznem znaczeniu, że *omne ens est verum*. Że człowiek każdy w artystycznem tworzeniu przyswaja sobie okruchy dobra, prawdy i piękna, rozrzucone w przedmiotowym świecie, a łącząc je i grupując, przerabia i potęguje siłą swego geniuszu, o tem wiedzieli już dobrze starożytni myśliciele; że Mickiewicz kształcił się na rzym-

skich i greckich klasykach, o tem także w najkrótszej jego biografii dowiedzieć się można. A czy to lub owo porównanie odwzorowane z IV czy V księgi Eneidy lub Illiady, sądzę, że to nie tylko głębiej myślącemu badaczowi, ale nawet zwykłemu śmiertelnikowi, najmniejszej nie sprawi pociechy. Możemy krótkowidzami, ale innych korzyści w reminiscencyach p. B. dojrzeć nie możemy, dla tego uważamy tę rozprawę jako całkiem zbyteczną.

Miscellanea zawierają kilkanaście krótkich rozprawek lub wiadomości o pismach lub znaczeniu poezyi Adama. Na pierwszem miejscu omawia p. R. Pilat umiejętnie a wyczerpująco genezę Farysa, wskazując dwa jej główne wyniki: rozczytywanie się Adama w poezyi arabskiej i głośne podówczas przygody emira Rzewuskiego. Przytem dowodzi autor wielkiej analogii, zachodzącej między Farysem a sonetami krymskimi, oraz zbija fałszywe twierdzenie niektórych, jakoby Farys miał być allegoryczną postacią rycerza nowej idei romantyzmu. Trafną uwagę robi p. P., że czynniki te, które złożyły się na utworzenie Farysa, są niemal niczem w porównaniu do najpotężniejszego czynnika: geniusza Adama, który prostą, na pozór nic nie znaczącą podróż Araba w pustyni, umiał cudowną grą fantazyi, barwnością obrazów i żarem zapału podnieść do rzędu najznakomitszych utworów poetycznych.

P. Wł. Bełza podaje poprawnie odczytany wierszyk Adama p. n.: „Mazur", wykazując jego wielkie podobieństwo do Poloneza w Panu Tadeuszu. Wierszyk ten był po raz pierwszy ogłoszony drukiem w „Tygodniku powszechnym" r. 1887, ale z bardzo wielu błędami, z powodu nieczytelności pleśnią zniszczonego autografu. Obok kilku wcale zajmujących notatek, jak np. „Wiadomość o śpiewniku filareckim", lub o zaginionym poemacie Adama p. n. „Twardowski", są w tym dziale cenne artykuliki o wpływie Mickiewicza na literaturę rusko-ukraińską (E. Ogonowski) i na literaturę bułgarską (Chr. Kessiakow). Dalej p. Fr. Krček zestawia „Najwcześniejsze sądy o Panu Tadeuszu", sądy wychodzące przeważnie z ust współczesnej emigracyi polskiej, która po największej części albo zbywała to arcydzieło mistrza naszego pobieżną jakąś wzmianką, albo zasypywała go bezzasadnymi zarzutami, jak Witwicki, lub też kierując się, czy zepsutym smakiem literackim, czy zepsutem, spaczonem pojęciem, poniżała wspaniały utwór poety, jak to uczynił Wacław Jabłonowski, stawiając „Beniowskiego" wyżej niż Pana Tadeusza. O wpływie poezyi Adama na naszą muzykę, a szczególnie na rozwój rodzimych naszych pieśni, napisał p. Wszelaczyński treściwą krytyczno-bibliograficzną notatkę, gdzie podaje w alfabetycznym porządku nazwiska 50 kompozytorów, którzy tworzyli pieśni do słów Adama, lub muzyką illustrowali jego poezye. Takich kompozycyi muzycznych odszukał już p. W. około 130.

W dziale III Pamiętnika umieszczone są na pierwszem miejcu bardzo cenne ustępy, wyjęte z Pamiętnika Ottona Śliznia, urodzonego r. 1806, a zmarłego w r. 1887. Cenne są te wspomnienia, bo autor ich uczęszczał do szkół: dominikańskiej w Nowogródku i jezuickiej w Połocku, był i na uniwersytecie wileńskim związany przyjaźnią z trzema Zanami, znał Marylę Wereszczakównę i Adama, słowem ocierał się z bliska o najwybitniejsze postacie owej epoki.

Dział IV Pamiętnika „Recenzye i sprawozdania", na pozór podrzędny, rzeczywiście zaś bardzo ważny i zajmujący. Streszcza on bowiem krótko wiadomość o najlepszych tłumaczeniach autorów Adama, jak np. o francuskich

tłumaczeniach p. Gasztowtta, lub o wspomnianym niemieckiem przekładzie „Improwizacyi“ z Dziadów przez Lipinera, który wszystkie poezye Adama przetłumaczyć zamierza, a w wielkiej części już przetłumaczył ze starannością miłośnika, a z talentem poety. Cenne tu są sprawozdania ze źródeł rosyjskich czerpane i to ze źródeł nowych, a ściśle umiejętnych, jak „Sbornik staliej rozjaśniuszczych polskoje dieło po otnoszenju k' zapadnoj Rossii (Wilno 1855)“. lub „Istoriczeskij Wiestnik (S. Petersburg 1887)“, gdzie napotkać można nie jedną ważną rozprawę, np. o towarzystwie Filaretów, o sprawie Nowosilcowa z naszym „filozofem miłości“, Józefem Gołuchowskim itd.

Wreszcie znajdujemy w tym dziale oceny lub przynajmniej krótkie a treściwe wzmianki niemal o wszystkiem, cokolwiek u nas szczczególnie o Mickiewiczu pisano, przy czem spotkać się tu można z nie jedną wskazówką źródeł i rękopisów dotąd nie wydanych. Wszystko to uzupełnia obfita a staranna bibliografia o A. Mickiewiczu za rok 1887, i rozprawa o wizerunkach naszego wieszcza, wraz z umiejętnym wykazem rzeźb, olejnych obrazów, rysunków ręcznych, sztychów fotografii, odlewów, medali itd., bądź w kraju, bądź za granicą wykonanych, których ogólna suma dochodzi niemal do 200, więc liczby wcale pokaźnej.

W końcu „Kronika“ obok sprawozdania z czynności Towarzystwa za rok 1887 i wykazu szczupłej liczby członków wspierających, a szczuplejszej jeszcze członków czynnych, wylicza obchody w rocznicę zgonu Mickiewicza, odbyte r. 1887. Obchody te są bezwątpienia dla rodaków naszych, czy w kraju, czy w obczyźnie piękną spójnią i zbawiennem odświeżeniem serca, ale są to tylko iskierki, co błyszczą na to, by zgasnąć, nie znajdując potrzebnego paliwa, aby szerszym buchnęły płomieniem i trwalsze zapewniły nam światło. Daj Boże, aby szlachetnej gorliwości „Towarzystwa“ udało się szczególnie wśród dorastającej części naszego społeczeństwa pobudzić do lotu owego ducha dawnej Mickiewiczowskiej młodzieży, który dziś, przynajmniej w życiu praktycznem, zamiast unosić się „nad poziomy“, splamiony i ze złamanem skrzydłem czołga się po ziemi.

B. J.

Stanisława Mińskiego 1563—1607. Sposób odprawowania poselstwa z obedyencyą do Rzymu. *Dr. Józef Korzeniowski.* Kraków 1889. Osobna odbitka z Archiwum Komisyi historycznej. T. V, str. 29.

Najnowsza ta publikacya p. Korzeniowskiego ukazała się jeszcze na wiosnę bieżącego roku. Szczęśliwą wydawca ma rękę: nie dawno wyjaśnił sporną kwestyę autorstwa *Żywota Kmity*, dziś — po dwuletnich trudach rozlicznych poszukiwań w archiwach i bibliotekach na całej ziemi włoskiej — wydobywa nieznane dotychczas światu dziełko Stanisława Mińskiego, wojewody łęczyckiego: „Sposób odprawowania poselstwa z obedyencyą do Rzymu“, przechowane w dość lichej kopii z pierwszych lat XVII stulecia, w rękopisie Muzeum XX. Czartoryskich [1].

Dziwnym trafem zbiegło się krakowskie wydanie obedyencyonalnej legacyi Mińskiego do Klemensa VIII w r. 1594 [2] z równoczesnem prawie w Rzymie

[1] N. 2095, str. 411—438.
[2] Cfr. Thein. Vet. Monum. T. III, str. 213.

ogłoszeniem dwóch innych pomników ówczesnych: depesz posła weneckiego Paruty [1] i dziennika podróży Montaigne'a po Włoszech [2], które acz z założenia i sposobu przedstawienia odmienne, należą jednak do wspólnej familii współczesnych opisów dworu Rzymskiego. Wiek XVI posiada ich kilka. Z tych za najważniejszy uważalibyśmy nie wydaną jeszcze w całości [3] rzecz Commendoni'ego *Discorso della Corte romana* i rozgłośne pamiętniki Bentivoglia, obejmujące w drugiej części księgi pierwszej czasy pobytu Mińskiego w Kuryi. Do nich też zaglądnąć musi każdy, kto zapoznać się pragnie bliżej z osobami, z którymi Mińskiemu z jego urzędu stykać się przyszło; podobnie jak biografowi Grzegorza VIII nie wolno pominąć pracy Monstaigne'a w cennem wydaniu prof. D'Ancona.

Mińskiego „Sposób" ma przecież właściwą sobie cechę, cel instruktywny, jak sam autor się wyraża: „To co się naterminowało, uczyniło się na przestrogę, jeśliby który z przyjaciół podjął się tej drogi, aby mógł sprawić się *in multis particularibus* w rzeczach, które mu się przygodzić pewnie mogą; jednak i temu, ktoby *extraordinarie* był posłany albo też *pro oratore residente* mało nie wszystko przygodzić się może do wiadomości" [4]. Z tego też względu bliższem jest dziełko późniejszej o całe pół wieku instrukcyi nuncyusza Marescotti [5] dla jego następcy na dworze polskim wygotowanej pt. *Ragguglio della Nunziatura di Polonia del Signor Card. Marescotti* w bibliotece Corsini w Rzymie [6]. Jak bowiem z rękopisu nuncyusza wywiedzieć się można jak najdokładniej o ceremoniale, do którego zastosować się był winien nuncyusz papieski w Polsce w każdem urzędowem swojem wystąpieniu, tak również dzięki Mińskiemu (niemniej jego wydawcy p. Korzeniowskiemu) nie jest nam już nieznaną formalna strona przybycia i pobytu polskiego poselstwa w Rzymie. Wzajemny związek dwóch tych pomników wykazuje już samo zestawienie niektórych tytułów obojga. Tak np. u Marescoti'ego te są rozdziały początkowe: 1) *Lettere da scriversi dal nuovo Nunzio subito che sarà eletto da N. Signore alla Nunziatura;* [7] 2) *Fameglia e Stalla che suol tenere il Nunzio di Polonia, loso provisioni e trattamenti;* 3) *Abiti che usa il Nunzio di Pol. auche Pontificali ò sacri;* [8] 4) *Funzioni del Nunzio di Pol. nel giorno della prima udienza del Re et altri giorni di udienza:* [9] 5) *Valore delle Monete per il Viaggio... et in Polonia* [10], — podobnie i u Mińskiego są te same szczegóły poruszone zwięźlej jednak i praktyczniej: O osobie jaką posyłać [11]; O jechaniu z domu [12]; O bankiecie i o Stole Poselskim [13]; O ubieraniu

[1] *La Legazione di Roma di Paolo Paruta* (1592—1595), 3 voll. Venezia, typ. Visculini 1888 z przedmową G. de Leva.

[2] Prof. Alessandro d'Ancona: *L'Italia alla fine del secolo XVI*, giornale del viaggio di Michele de Montaigne in Italia nel 1580 c. 1581. Città di Castello, S. Lapi, tipografo editore, 1889. P. XV—719; fr. 12 — Główną wartość niniejszego wydania stanowią przypiski prof. d'Ancona (między innymi o Hozyuszu i Reszce) i dołączona tegoż rozprawa: „La Bibliografia dei Viaggi in Italia".

[3] Cfr. Spicilegium Romanum Kard. Mai'a. T. VI.

[4] Str. 10 i 27. [5] 1668—1670. [6] Col. 35. A. 8, f. 66—247. [7] F. 67. [8] F. 73. [9] F. 77 v. [10] F. 80 c. — 82 etc. [11] Str. 10. [12] Str. 11. [13] Str. 22.

siebie samego i szlachty[1]; O tajemnej audientii; De consistorio publico i o Audientiach u Papieża[2]; O spesach etc. Z powodu uwag Mińskiego o urządzeniu uroczystego wjazdu posła polskiego do Rzymu[3] dodać nie zaszkodzi, że właśnie w tym roku powtórzono w Rzymie przedruk słynnej stampy Dolavelli: *L'Entrata dell' Ambasciata Polacca in Roma nell' anno 1633* w niesłychanie niskiej cenie za 5 fr.

Ta też jest wartość „Sposobu", że daje zupełny obraz zewnętrzny zajęć posła polskiego w Kuryi, jego stanowiska i znaczenia, a do poznania mniej choćby ważnej strony wewnętrznego życia nie jeden szczegół dorzucić może.

Zbytecznem streszczać ciekawy opis składania przez Polskę uroczystej obedyencyi Najwyższej Głowie Kościoła. Tanie wydanie „Sposobu" może się znaleść w rękach każdego, komu nie obojętne stosunki naszego dworu z zagranicą, zwłaszcza z Kuryą; tem więcej, że je przystojnie ozdabiają ramy wydawcy: przedmowa, dodatek i noty. W pierwszej (może tylko za obszernej) z właściwą sobie znajomością rzeczy wywodzi wydawca autorstwo Sposobu, który doszedł nas bezimiennie i czas jego powstania oznacza (wnet po śmierci Klemensa VIII w 1605 r.). W uwagach o ceremoniach dworu rzymskiego wspomina wydawca dziennik Burcharda; lecz i z naszych czasów o cały wiek od Burcharda późniejsi magistri ceremoniarum zostawili swe dyaryusze: Paweł Alaleo i Jan Paweł Muncantius. Za uzupełnienie tylko przedmowy uważamy dodatek, w którym zamieszcza wydawca pewien dokument padewski, odnoszący się do Mińskiego... już po jego śmierci, tak, że więcej wyczerpującej biografii wojewody łęczyckiego trudno już wymagać. Trafne a liczne wreszcie, choć niezbyteczne objaśnienia tekstu podobnie świadczą o gruntownej u wydawcy znajomości spraw i obyczajów rzymskich. Uderza nas przecież zdziwienie p Korz. na str. 24 (!?); bo jeżeli za Stefana Batorego istniała — jak wiadomo — nadzwyczajna kongregacya dla spraw polskich w Rzymie, i jeżeli o takiej świadczy Cicarelli w żywocie Innocentego IX, to czemuż w 3 lata później nie mogłaby ona istnieć również tymczasowo i nadzwyczajnie w sprawie ligi tureckiej?

I. F.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Rzut oka na najnowszą niemiecką literaturę 1888—1889.

W r. 1887 ukazało się w Niemczech 15.972 utworów literackich, liczba ich w roku 1888 urosła do 17.000. Teologia dostarczyła 1623 dzieł, umiejętności prawne wraz z polityką, statystyką i prawem handlowem 1490; medycyna 1108, nauki przy-

[1] Str. 23. [2] Str. 13—7 i 23—25. [3] Str. 12 i 14.

rodnicze 876, historya 842, studya nad starożytnością i dawnymi językami 588, filozofia 156, literatura piękna 1423.

Włochy wskazują w tym samym czasie 10.863 dzieł. Zaznaczając w tak ogromnej liczbie niektóre tylko utwory, wybieramy te, które mają większą wartość, pomijając milczeniem wszystkie dzieła mniejszego znaczenia, lub tendencyjnie złe i niemoralne.

I. Teologia.

Wielki *Kirchenlexicon* Wetzer'a i Welt'a w obec dzisiejszego stanu egzegetycznej i historycznej wiedzy, stał się już oddawna niedostatecznym. Kardynał *Hergenroether*, gdy był jeszcze profesorem w Würzburgu, przedsięwziął zatem nowe wydanie tego dzieła. Zamianowany jednak kardynałem, oddawać się nie mógł dalej rozpoczętej pracy, która przeszła w ręce zasłużonego profesora *Dr. Kaulena*. *Kirchenlexicon* doszedł już do litery J. Treść ostatnich artykułów (zesz. 63) stanowią: Jezuici, Jezus, Joanna d'Arc, Joanna Papieżyna, Jan Chrzciciel. Drugiem znakomitem wydawnictwem teologicznem jest *Theologische Bibliothek*, wydawana w Fryburgu u *Herdera*. Wielka historya Kościoła (Kirchengeschichte) kardynała *Hergenroethera* tworzy pewną część tego dzieła (3 tomy) — inne utwory w skład jego wchodzące np. *Giehra* i *Thalhofera* wkrótce osobno wymienimy. Obok powyższego wydawnictwa istnieje jeszcze podobne *Wissenschaftliche Hausbibliothek* (Schoeningh w Paderbornie). *Herder* ma głównie na oku prawdziwych uczonych, *Schoeningh* zastosowuje się do wymagań szerszych kół czytelników. Biblioteka jego zawiera dwie serye, których pierwszą część stanowią teologiczne podręczniki, drugą zaś utwory treści rozmaitej. Jestto więc dzieło pozwalające niespecyalistom oryentować się w tym przedmiocie, dla uczących się teologii stanowi ono krótki zbiór najpotrzebniejszych wiadomości. Pierwszy tom, który wyszedł już z pod pióra profesora *Schella* i dwa następne, zawierać mają zasady dogmatyki. Dalej jest zapowiedzianą historya Kościoła przez profesora *Schustera* z Gracu, w 3 tomach. Arkusz tego dzieła kosztuje tylko od 10 do 12 fenigów; cena całego tomu złożonego z 450 stronic wynosi 3 marki; tak zatem z wszelkiego punktu widzenia nie trudno sobie wytłumaczyć, dla czego wydawnictwo to tak niezmierne już dziś zyskało sobie uznanie.

Badań i obrony chrystyanizmu podjęło się kilku najznakomitszych teologów. Ksiądz *Hettinger* opracował obecnie drugie wydanie swego *Lehrbuch der Fundamental-Theologie und Apologetik* (Herder), dzieła należącego do wspomnianej wyżej biblioteki teologicznej. Ks. Hettinger w swej *Apologie des Christenthums*, której kilka wydań już się pojawiło, okazał się prawdziwym mistrzem w swym zawodzie; przekład utworu tego na język francuski i angielski dał go poznać za granicą. Ojciec św. polecił *Hettingerowi* przetłumaczyć wszystkie swe encykliki na język niemiecki i w ważnych okolicznościach niejednokrotnie do rady go powołuje. Apologia jego ponętną wabiąca formą, równie dla świeckich, jak dla uczących się teologii wybornie się nadaje.

Obok ks. *Hettingera*, stoi inny dzielny szermierz, *O. Albert Marya Weiss O. P.*, autor dzieła: *Apologie des Christenthums vom Standpunkt der Sitte und Cultur* 5 tomów. Dzieło to nie zna ani scholastycznych tez i odróżnień, ani nie stara się o zdanie niejako sprawy z całego nowoczesnego piśmiennictwa, lecz połączyło jasność scholastyki z nowoczesną wiedzą. Niestety dzieło *Weissa* nie rozpowszechniło się tak, jakby tego pragnąć należało. „Literatura budująca, mówi ks. *Hettinger*, wzięła teraz rozbrat z teologią i pomimo, iż wymaga gruntownego teologicznego wykształcenia, jasnej świadomości stanu dusz i bogatego doświadczenia, stała się polem popisu dla powierzchownych i początkujących pisarzy". W dziele *Weissa* pobożność łączy się z teologią, dla tego też ta książka nie dając się czytać pobieżnie, zmusza do głębszego zastanowienia się. Pomimo tego dzieło to w chwili ukazania się piątego tomu, w dziesięć lat po swojem rozpoczęciu doczekało się nowego wydania.

Ks. *Hettinger* ze stanowiska spekulatywnego wiarę tłumaczy, *Weiss* etykę przedstawia, wyjaśnia i broni; trzecim w tym szeregu pisarzów jest *O. Schanz*, autor książki *Apologie des Christenthums*. Schanz jest egzegetą, dla tego też porusza wyjątkowo pytania, mające związek z Pismem Świętem. Praca jego jest najbardziej na dobie, ponieważ najnowsze zarzuty przeciw chrześcijaństwu miotane, na tym właśnie gruncie się opierają. Dzieło to zostało przełożonem na język angielski. Do prac apologetycznych należą także *Briefe aus Wittemberg Gottlieba* (pseudonim), którego po-

przednia praca *Hamburger Briefe* wyszła już w trzech wydaniach. Listy hamburskie walczyły przeciw Lutrowi i kultowi mu składanemu; wittemberskie zajmują się zarzutami, z któremi profesorowie uniwersytetu „Wittemberg-Halle", wystąpili w szyderczy, fanatyczny sposób przeciw katolickiemu Kościołowi. *Gottlieb* mógłby niekiedy z większą przemawiać godnością, unikać wyrażeń, ściągających przeciwników dobrej nawet sprawie. Stosunek rozumu do wiary, główna z natury rzeczy treść każdej apologii, omówionym jest również w *Lehrbuch der Apologetik* przez *Konstantego Gutberleta*. Niestety! forma tej pracy nadana, zmniejsza znacznie jej wartość.

Dzieła dogmatyczne nie ustępują ilością pracom apologetycznym. Na czele pisarzy w tym kierunku stoi *Dr. Heinrich*, profesor teologii w Moguncyi. W Niemczech samo jego nazwisko wystarcza do oznaczenia dzieła, pod każdym względem doskonałego: *Dogmatische Theologie* w 6 tomach (Kirchheim w Moguncyi). Pierwsze cztery tomy doczekały się drugiego wydania. Zasady teologii obejmują dwa pierwsze tomy, pozostałe cztery zajmują się dogmatyką właściwą. Jedno to z najważniejszych i najobszerniejszych dzieł niemieckich na polu dogmatyki, do uzupełniena jego braknie jednak 4 do 6 tomów. Szczęśliwszym pod tym względem, by mógł do końca doprowadzić swą pracę, był profesor *Scheeben*, autor *Handbuch der katholischen Dogmatik* 3 tomy (Herder we Fryburgu Theolog. Bibl.). Zmarły ten już pisarz miał swą własną metodę, odrębną od powszechnie dotąd przyjętej i przejawiającą się najwyraźniej w ostatnim tomie o łasce. Niepodobieństwem jest rozwijać tutaj poglądy Scheebena, to tylko zaznaczyć należy, iż systematem swoim zbliżał się on więcej do Dominikanów, niż do Jezuitów. Od r. 1855 zaczął się pojawiać cały szereg prac *Oswalda*. Jego *Erlösung in Christo Jesu* (2 tomy) ukazało się w dwóch wydaniach. Religijne dzieła: *Urgeschichte der Menschheit, Angelogie, Schöpfungslehre* i *Dogmatische Theologie (Allgemeine Gotteslehre)* są bardzo cenione. Ostatnia jego praca *Die Trinitätslehre* nie ustępuje poprzedzającym. Autor odznacza się nie tyle znajomością Ojców Kościoła, ile wiedzą egzegetyczną, której świetne składa dowody.

Doszliśmy więc do egzegezy. Najwybitniejszem w tym kie-

runku dziełem katolickiem jest bezwątpienia wielki *Cursus Scripturae Sacrae* wydawany przez Jezuitów z zakonnej prowincyi niemieckiej. Dwa ostatnie tomy o Księgach Sędziów, Ruth i Jeremiamiasza będą jeszcze na innem miejscu w Przeglądzie obszerniej omówione. Wszystkie tomy tego ogromnego dzieła, które do tego czasu wyszły, doczekały się uznania najpoważniejszych uczonych wszystkich krajów. *Dr. Zschokke*, który w dziedzinie egzegezy znaczne położył zasługi, zarządził obecnie nowe wydanie swego dawniejszego dzieła *Historia Sacra antiqui Testamenti*. W ogóle *Zschokke* idzie śladami podręczników *Haneberga* i *Danko*, choć jednak praca jego jest tylko podręcznikiem, trzyma się on ściśle Starego Testamentu, daje wiele pojęć geograficznych i archeologicznych, tak, że czytający łatwo się zaznajamia z całością Starego Testamentu, co dla kapłana nieoszacowaną jest pomocą. *Pieśń nad Pieśniami* znalazła już wiele komentatorów, a *Litterarische Rundschau* w Nr. 7 r. 1888, podał ich historyczną i krytyczną ocenę. Wsród wyliczonych tam komentarzów najnowszym jest *O. Tiefenthala* pod tytułem *Das hohe Lied*. Nie można niestety przyznać autorowi bezwarunkowej słuszności. Utrzymuje on, że Salalamon pod postacią małżeństwa rozumie stosunek ludu izraelickiego do Boga, najprzód za czasów Mesyasza, następnie zaś w chwili powtórnego zjednoczenia się przy końcu wieków. Jak pogląd ogólny, tak też i egzegeza jest często za nadto naciągniętą. Dziełu temu dodaje wartości opracowanie historyczne i literackie „Pieśni nad Pieśniami“, nasuwające piękne temata do rozmyślań. O komentarzu „Księgi Rodzaju“ wydanym przez *Tappehorna*, równie powiedzieć można, iż wybornie nadaje się dla teologów do praktycznego użytku, chociaż nie wypełnia dotkliwego braku katolickiego komentarza Pentateuchu, braku, który daje się czuć już od dwóchset lat[1]. Między studyami, odnoszącemi się do Nowego Testamentu należy się wzmianka *Usteriego: Wissenschaftlicher und praktischer*

[1] Księga Hioba oprócz komentarza *Knabenbauera*, omówionego już w *Przeglądzie*, została osobno opracowaną przez *Gietmanna* w pracy *Classische Dichter und Dichtungen*, z której *Przegląd* zdał również sprawę, i przez *J. Langer'a*.

Commentar über den ersten Petrusbrief. Autor jest protestantem, rozsądek jednak jego i głęboka wiedza nadaje znaczenia tej pracy i dla katolickich egzegetów. Tylko w kwestyach dogmatycznych występuje na jaw, że nie jest katolikiem. Katolicki komentarz *Hundhausena* stoi od porzedniego o wiele wyżej.

Komentarza do listu świętego Pawła do Rzymian podjął się O. Agus S. J. w *Epistola B. Pauli Apostoli ad Romanos analytice et logice explicata.* Autor dowodzi, że Apostoł zaznaczył w tym liscie pięć główniejszych prawd: 1° Poganie potrzebują wybawienia (I, 17—II, 16); 2° Żydzi potrzebują go także (II, 17—III, 20); 3° Tylko wiara w Chrystusa może dać zbawienie (III, 21—IV, 25); 4° Ewangielia przynosi wierzącemu całą pełnię zbawienia (IV, 26—V, 8) 5° Ewangielia jest dziełem Boga (9—11). Część moralna listu (12—15) zawiera systematyczny obraz życia chrześcijańskiego. Wykład opiera się wyłącznie na starożytnych egzegetach, a całość jest bardzo pięknem przedstawieniem katolickiej prawdy.

Życie Pana Jezusa zajęło jednocześnie dwóch pisarzy: Friedlieba i Grimma. Friedlieb napisał: *Das Leben Jesu Christi des Erlösers mit neuen historischen und chronologischen Untersuchungen.* Grimm: *Geschichte der öffentlichen Thätigkeit Jesu.* Ostatnie to dzieło jest najpiękniejszem, jakie w tym przedmiocie w nowszych czasach się okazało. Niekiedy znajdujemy tam niespodziane a trafne rozwiązanie trudności, podanych przez nowszych zwłaszcza autorów. Tak n. p. Autor rzuca nowe światło na ustęp u św. Mateusza 19, 9 o rozwiązaniu małżeństw (porównaj u św. Marka X, 2—12); Grimm wykazuje również, dlaczego w proroctwach Zbawiciela zburzenie Jerozolimy łączy się zawsze z sądem ostatecznym. Charakterystyka Judasza, oparta na słowach św. Jana (VI) należy do najświetniejszych ustępów powyższego dzieła. Cena tej wybornej książki jest bardzo niska, tom bowiem złożony z 709 stronic kosztuje 5 marek 40 f. Jestto w ogóle zasługą firmy *Pusteta*, iż wszystkie jej wydawnictwa odznaczają się nader umiarkowaną ceną.

Na egzegezie oparty życiorys Najśw. Panny skreślił *Schaefer*, w książce *Die Gottesmutter in der heiligen Schrift.* Siedm przymiotów, okazujących się jak w mowie, tak w milczeniu, składa się na obraz Maryi, który autor odmalowuje farbami raczej z rozumu

niż z serca zaczerpniętymi. *Dr. Keppler* opracował niby prolog do historyi męki Pańskiej pod tytułem *Unseres Herrn Trost.* Styl jest mistrzowski, treść budująca, wyjaśnienie ustępu 14—16 Ewangelii św. Jana przekonywujące. Jedno tylko byłoby do życzenia, aby autor nie mieszał egzegezy protestanckiej z katolicką.

W ostatnich miesiącach okazało się bardzo wiele dzieł liturgicznych. Firma *Pustet* nikomu przewyższać się nie daje w liturgicznych wydawnictwach, a piękny ich druk, poprawny tekst, skłoniły kongregacyą świętą do oddania tej firmie swych wydawnictw. Brewiarz i mszał otrzymały podług wyroku soboru Trydenckiego dodatek: *Ex decreto SS. Concilii Tridentini restitutum;* również każdy Papież, który cokolwiek zmienił lub poprawił, wymienionym jest na karcie tytułowej. Stosownie do tych poprawek opracowano powtórnie i inne liturgiczne księgi. *Pustetowi* polecono również wykonać tak zwane typiczne wydania; za dekretem Kongregacyi Obrzędów wydrukował w r. 1884 *Missale* i *Diurnale,* w r. 1885 *Brewiarz,* w r. 1886 *Ceremoniale Episcoporum,* teraz zaś *Pontificale Romanum.* Ostatnie wielkie wydanie Pontyfikału miało miejsce w r. 1752 za Benedykta XIV. Nowa edycya obejmuje 4 tomy i pod względem druku, papieru i ozdób jest przepyszną. *Fr. Schmalzl* C. S. R. pracuje niezmordowanie w tej znakomitej firmie. *Rituale Romanum* wyszło jako *editio post typicam prima. Missale ad usum sacerdotum caecutientium* ukazało się w drugiem wydaniu. Aby dać pojęcie o druku, dość jest powiedzieć, że ostatnia Ewangelia zajmuje trzy stronnice. Wydrukowano też obecnie wyciąg z rytuału pod tytułem *Rituale parvum. Missale Romanum* w małem in-folio doszło do edycyi trzeciej *post typicam.*

Wyjaśnienia tekstu Mszy świętej podjął się *Gihr* w *Das heilige Messopfer dogmatisch, liturgisch und ascetisch erklärt.* Cel pracy tej określił wybornie sam autor: „Nie kusiłem się o ściśle naukowe i wszechstronne wytłumaczenie ofiary Mszy św., ale napisać pragnąłem książkę praktyczną, opartą wszelako na naukowych badaniach". *Thalhofer* ułożył: *Handbuch der katholischen Liturgik.* Dotychczas wyszedł tylko tom pierwszy, obejmujący liturgikę powszechną. Dzieło powyższe stosuje się zarówno do wymagań nauki, jak i do potrzeb praktycznych. Przedstawia ono mianowicie historyczny rozwój każdego obrzędu, wskazując następnie

jak podług rubryk i dekretów świętej Kongregacyi Obrzędów służbę Bożą wykonywać należy.

Inna gałęź teologii, prawo kanoniczne, znalazło po *Laemmerze* kilku nowych pracowników. *G. Philipps* nie skończył niestety swego ogromnego dzieła *Kirchenrecht* (7 tomów). Uzupełnienia jego podjął się *Vering* (tom 8 wyd. pierwsze) i opracował historyę obsadzania biskupstw na Zachodzie, mianowicie w Hiszpanii i Portugalii do naszych czasów, we Włoszech do Karola Wielkiego, we Francyi i Niemczech do XI wieku (Spór o inwestyturę). *Vering* już jako redaktor pisma: *Archiv für katholisches Kirchenrecht,* zdobył sobie zbyt rozgłośne imię, aby można było wątpić, że godnie dokończy dzieła swego poprzednika. *Scherer* wydał drugą połowę pierwszego tomu: *Handbuch des Kirchenrechtes,* zawierającego historyę praw kościelnych, uchwalonych przez powszechne, prowincyonalne i dyecezalne synody. Autor z wielką ścisłością maluje wpływ pojedyńczych państw na prawo kościelne, stanowisko papieży, biskupów i duchowieństwa. W obec nowej tej pracy nie potrzeba się już uciekać do protestanta *Hinschiusa,* z którego dzieł tylko tom pierwszy ma wartość; luka zostawiona przez *Philippsa, Waltera* i *Veringa* została zapełnioną. Główna siła autora leży w przedstawieniu *vigentis ecclesiae disciplinae. Filip Hergenroether,* brat kardynała, napisał mniejsze nieco dzieło: *Lehrbuch des katholischen Kirchenrechts,* będące owocem szesnastoletnich studyów. Jeszcze zwięźlejszem jest *Webera Compendium des katholischen Kirchenrechts,* wydanie trzecie. Na krótko przedtem ukazało się kompendyum prawa małżeńskiego, skreślone przez tegoż autora; w przyszłości może obie te prace dadzą się razem połączyć. Prawo małżeńskie traktował też *Heiner* w *Grundriss des katholischen Kirchenrechts.* Dzieła te należą do zbioru kompendyów, wydawanego przez *Schoeningha* w Monasterze. *Heiner* stoi silnie na stanowisku dogmatycznem, co zasługuje na tem większą uwagę, że pewien nowy jego pogląd niezupełnie odpowiada praktyce kościelnej. Mamy tu na myśli zdanie, jakoby istota małżeństwa zależała nie na *consensu,* ale na *copula. Freisen* w *Archiv für katholisches Kirchenrecht*[1], postawił tę samą teoryę;

[1] T. 54 - 56, porów. tegoż Geschichte des kathol. Eherechtes. Giessen 1888.

u *Laemmera*, *Meurera* i innych znalazła uznanie, uzasadnioną jednak dość gruntownie nie została. Na wręcz innem stanowisku niż Freisen, stoi *Dr. Schling* w *Die Unterscheidung der Verlöbnisse im kanonischen Rechte*. *Freisen* przyjmuje prawo żydowskie za źródło kościelnego prawa małżeńskiego, *Schling* prawu rzymskiemu ten honor przyznaje. Z zdaniem tem zgodzić się niepodobna; prawdą jest wszakże, co utrzymuje autor, iż rzymskie prawo trzymało się ściśle zasady: *Consensus facit nuptias*. Prawo kanoniczne także się zasady tej trzymało, naturalnie z zastrzeżeniem wypadków przez prawo przewidzianych. Nowsi nauczyciele prawa, głosujący za teoryą *Freisena*, opierają się głównie na Gracyanie. Tymczasem zapominać nie należy, że w kwestyach na dogmatyczny teren wkraczających, największemi są Hugo a S. Victore i Petrus Lombardus; a zarazem, że zasady szkoły bolońskiej, tyczące się rozwiązania *vinculum matrimonii rati non consummati*, zostały przez Papieża Aleksandra III zganione.

Pierwszą z pod swego pióra, ale wiele na przyszłość obiecującą pracę dał *Etschfeld* w rozprawie *Ueber Dispensation und Dispensationsrecht*. Wymieńmy tu także wspomniany już powyżej *Archiv für Kirchenrecht*, jako niezbędny dla każdego kanonisty. Wielkiej także wartości jest *Staats-Lexicon*, praca zbiorowa przedsięwzięta przez Towarzystwo Goerresa. Towarzystwo to ogłasza corocznie dla swoich członków cały szereg cennych wydawnictw. Oprócz tego wydaje roczne sprawozdania i wysyła własnym kosztem uczonych do Rzymu dla historycznych badań. Aby dać pojęcie, jakie *Staatslexicon* podjął zadanie i jak z niego się wywiązuje, przytaczamy spis artykułów ostatniego ósmego zeszytu: *Boliwia*, *de Bonald*, *Bossuet*, *Brazylia*, *Braunschweig*, *Bremen*, *Briefgeheimniss*, *Bürgerstand*, *Bureaucratie*, *Cabinet* i *Cabinetsjustiz*, *Caperwesen*, *Capitulation*, *Cardinaele*.

Handbuch der Pastoral-Theologie Schücha O. SB. podręcznik bardzo dobrze i starannie zredagowany, ukazał się w ósmem wydaniu. Znakomitego zbioru *Bibliothek für Prediger* O. Scherera wychodzi obecnie nakładem Herdera nowe wydanie w opracowaniu O. *Witschwendera*. Taż sama firma wydała *Musterpredigten* zebrane przez O. Schleinigera T. J. *Die Heiligenfeste* czyli kazania panegiryczne, zaczerpnięte z *Kerna*, *Wurza*, *Storchenaua*, *Gretscha*, *Hunolta* i innych,

obejmują trzy tomy. „Kazania panegiryczne“, mówi O. Schleiniger w przedmowie, „należą w ogólności do najtrudniejszych dla kaznodziejów... Na szczególną uwagę zasługują księża, przez długie lata pracujący w tem samem miejscu; muszą bowiem mówić nieraz o jednym świętym, a mówić w rozmaity sposób z coraz inszego punktu widzenia.

Krytyka bardzo pochlebnie wyraziła się o oryginalnych kazaniach O. Pottgeissera, umieszczonych w zbiorze: *Predigten auf die Sonn- und Festtage des Kirchenjahres*; równie jak o zbiorze *Predigten auf alle Sonn- und Festtage des katholischen Kirchenjahres*. Kazania te są krótkie i praktyczne. Oto np. treść kazania na pierwszą niedzielę adwentu: „O szkodzie, jaką obojętność religijna przynosi chrześcijaninowi“; na drugą niedzielę po Trzech Królach: „O zamiarach, z jakimi należy zawierać małżeństwo“ i t. d. Zasługują też na zalecenie *Kazania* J. N. Müllera (3 tomy). *Geistliche Reden* ks. biskupa Rüdigera (2 tomy). Ks. kardynała Rauschera: *Die letzten Dinge*. Kardynał należał do najznakomitszych nowoczesnych mowców, i słusznie z kardynałem Wisemanem może być porównanym. Praktycznemi i w dobrem znaczeniu tego słowa ludowemi są kazania Jerzego Bussla (9 tomów).

Niemało może być kaznodziejom pomocnym Thuille'a *Handbuch* i Kotte'a *Christliche Schule der Weisheit*, równie jak przegląd pism i dzieł odnoszących się do Matki Boskiej, a dopełniony przez O. Kolba T. J. Hettinger przyszedł również z pomocą kaznodziejom, ogłosiwszy w *Linzer Quartalschrift* kilka artykułów o kazaniach; artykuły te zostały zebrane w osobnej książce: *Aphorismen über Predigt und Prediger*. P. Keppler, znakomity krytyk, zalicza wypowiedziane w nich zdania o tekscie i *Pericope* do najlepszych o tym przedmiocie.

Niemniej wielu ważnemi dziełami wzbogaconą została dziedzina katechetyki. Prócz specyalnie poświęconego sobie pisma, (Manz w Ratyzbonie), zajmuje się nią wielu komentatorów. *Knecht* wydał już po raz siódmy: *Praktischer Commentar zur biblischen Geschichte* ze wskazówkami co do wykładów historyi biblijnej i co do jej związku z katechizmem. Siedm wydań w przeciągu lat siedmiu są dostateczną miarą wartości tej książki. Komentarz ten jest właściwie wykładem katechizmu *Ks. Deharbe T. J.* Mniej na nim

opiera się K. J. Moehr w *Commentar zum Katechismus für das Bisthum Rottenburg*. Autor wykłada katechizm w Seminaryum biskupiem, a komentarz jego zawiera wiele nietylko nauczających, lecz i bardzo praktycznych wskazówek; tak np. wymaga, aby dziecko odpowiadało całemi zdaniami, na co *Ks. Deharbe* nie zwrócił może w swym katechiźmie dostatecznej uwagi. *Ks. Rathgeb* wydał dla tejże samej dyecezyi *Schulkatechesen* (2 tomy). Obaj ci pisarze jednej trzymają się metody, pytanie tylko, czy jedynie słusznej? Odpowiedź zależy od rozwiązania innego pytania, czy katecheta powinien wykładać dzieciom naukę Kościoła, jako z góry nadaną, czy też ją sam niejako zwolna odnajdywać? „W takim razie katechizm, zwraca uwagę ks. Schoeberl, byłby dla uczniów takim samym podręcznikiem, jak inne, każdą powagę kościelną poddawaliby własnemu swemu rozbiorowi".

Szereg dzieł, mających na celu zbudowanie wiernych, jest również nie małym, choćbyśmy nawet użyli w tym względzie za kryteryum powyżej przytoczonych, surowych, ale sprawiedliwych słów Hettingera. *Dr. Tersch* napisał *Meditationen über die Philosophie und Theologie des heiligen Thomas von Aquin* (2 tomy). Celem tych rozmyślań jest podanie wiernym nauk katolickiego Kościoła, zaczerpniętych z pism św. Tomasza, mianowicie z jego sum filozoficznych i teologicznych, z uwzględnieniem filozofii nowożytnej i własnych potrzeb rozmyślającego. Dawniej *C. M. Schneider* wydał podobne sześciotomowe dzieło, do którego dodał obecnie: *Die katholische Wahrheit oder die theologische Summe des heiligen Thomas von Aquin*, skreślone po niemiecku (8 tomów). Należy jednak zauważyć, że autorem 4-go i 8-go tomu, jest nie św. Tomasz, ale sam Schneider; tytuł więc powinienby uledz pewnej zmianie. *Theotimus św. Franciszka Salezego*, został świeżo wydanym w dwóch tomach, przez *O. Bruckera T. J.* Dzieło to z pewnością będzie mile powitanem przez wszystkich wykształceńszych katolików. *Ascetische Bibliothek* Herdera, została wzbogaconą dziełem Quadrupani'ego: *Anleitung für fromme Seelen zur Loesung der Zweifel im geistlichen Leben. Der Weg zum innern Frieden*, O. Lehena S. J., ukazała się w nowem (jedenastem) wydaniu, nakładem tejże samej firmy. Spodziewamy się, że piękne to dzieło ujrzymy kiedyś z pewnymi poprawkami i w polskim języku.

Nakładem drukarni Bonifaciusa w Paderbornie wychodzi już od lat dziesięciu czasopismo peryodyczne: *Geistlicher Hausschatz für fromme Seelen*, które składając się z 572 str., kosztuje zaledwie 2 marki 50 fenigów. W dziewiątym i dziesiątym roczniku mieściły się następujące artykuły: „Czyściec podług Objawienia Świętych“, „Życie św. Ignacego“, „Rozmyślania na miesiąc Wrzesień“, „Natura i Łaska“ (O. Berthier S. J.), „Św. Wincenty a Paulo“, „Objawienie się Matki Boskiej od początku chrześcijaństwa, aż do naszych czasów“. Na wzmiankę zasługują też *Beispielbücher* (komunia, czwarte przykazanie i t. d.) Dra Kellera i *Der Monat November* O. St. Dosenbacha S. J.; dzieło Denzingera *Enchiridion Symbolorum et definitionum*, wydanie szóste poprawione i pomnożone przez Stahla; *Die Ablässe* podług Maurel-Schneidera S. J., opracowane przez Beringera. O ważnej tej książce nie wspominamy tu obszerniej dlatego, że wkrótce okaże się w tłumaczeniu polskiem. Ojciec Gaudentius wydał w tym samym kierunku: *Ablass und Bruderschaftsbuch*, które doszło do znacznej liczby wydań (2 tomy). Oddawna też w Niemczech dawała się uczuwać potrzeba szematu niemieckich dyecezyj, obecnie praca tego rodzaju opuściła już prasę i podaje pożądane szczegóły o 24 dyecezyach w porządku alfabetycznym. (U Herdera we Fryburgu).

Ks. A. Arndt.

Rozmaitości.

Otrzymujemy z Warszawy zapowiedź Wydawnictwa **Wielkiej ilustrowanej Encyklopedyi Powszechnej.** Niewątpliwie takie dzieło jest na czasie, i bardzoby dobrze było, żeby nas uwolniło od serwitutu encyklopedyj niemieckich. Ale... najprzód niemile nas to uderzyło, że ta zapowiedź przyszła w kopercie z nagłówkiem *Wędrowca*. Dalej, w spisie działów znajdujemy: filozofię, historyę, nauki społeczne, językoznawstwo... aż 9 numerów, a o teologii, nawet o religii cyt! Podobno ci co układali ten program, mniemają w prostocie duszy, że teologia nie jest nauką, i sądzą, że re-

ligia przestanie istnieć w Polsce, zanim wyjdzie ostatni tom ich Encyklopedyi. Wreszcie imiona kierowników pojedyńczych działów potwierdzają to wrażenie. Dosyć wymienić p. Karłowicza, tłumacza Drapera, p. Chmielowskiego redaktora Ateneum i t. p.

Dziwi mię, że wydawcy nie zwrócili na to uwagi, że aby „Encyklopedya Powszechna“ spełniła swe szerokie zadanie, to musi stanąć wyżej od doktryneryzmu pewnej szkółki warszawskiej i odpowiedzieć duchowi i aspiracyom społeczeństwa, dla którego jest napisana.

X. M. M.

Posłannik, pismo cerkiewno-ludowe. Od pół roku wychodzi w Brzeżanach pisemko cerkiewno-ludowe p. t.: *Posłannik*. Jak wielkiej doniosłości są w ogóle takowe pisma, i jak wielką zasługę mają około oświaty ludu, gdy są w duchu wiary i roztropnie prowadzone, nie potrzebujemy dowodzić, dosyć nam będzie wskazać wielkie szkody, jakie z drugiej strony wyrządzają podobne pisma, gdy się staną narzędziem nierozsądnych i niereligijnych tendencyj. W rzeczy samej, czem jest gazeta dla czytelników, a osobliwie dla czytelników wiejskich? Z początku miłym gościem, następnie przyjacielem, a w końcu nieomylną powagą. Lecz jeśli u kogo, to łatwowierność ta zazwyczaj bywa wyzyskiwaną u prostego ludu, — osobliwie w naszych czasach — przez wrogów religii i porządku społecznego.

Dla zwalczenia tego wroga nie pomoże tutaj samo tylko odradzanie, ale potrzebną jest broń odpowiednia, broń, jaką wojuje przeciwnik, a taką bronią są pisma ludowe w duchu religijnym wydawane. Pożądanemi są takowe pisma wszędzie, lecz osobliwie tam, gdzie lud nie jest jeszcze dosyć oświecony. Zrozumiał tę potrzebę ruskiego ludu W. Ks. Dżułyński, wydając *Posłannika*. Pisemko to odpowiada zupełnie swemu hasłu, tj. słowom św. Pawła: *Gdzie duch pański tam wolność*[1], gdyż odznaczając się z jednej

[1] II. Cor. III—17.

strony duchem Bożym i miłością Kościoła, z drugiej nie zważając na wzgląd ludzki, odrzuca wszelkie waśnie tak narodowe, jak i domowe, nieuznając żadnych partyj, ale mając na celu jedynie dobro religijne i moralne swego ludu.

I tak w 12 numerze tego pisma, jaki mamy przed sobą, czytamy najprzód piękny wiersz wstępny p. t.: „Wsiudy Boh“, następnie objaśnienia liturgii, kilka moralnych przykładów i opowiadań, krótkie wieści z bieżącej polityki, pomiędzy któremi o położeniu Ojca św. w obec jego wrogów, — a w końcu, w korespondencyi odpowiedź na niewczesne zarzuty ze strony rzekomych patryotów. Odpowiedź tę, ponieważ charakteryzuje ona niniejsze pisemko, podajemy w tłumaczeniu: „Czy jakie czasopismo jest dobre i potrzebne, nie warto nigdy o to się sprzeczać i suszyć daremnie głowę, tak i nasze czasopismo, jeśli dobre — utrzyma się, w przeciwnym razie upadnie, jak wiele innych. Kto prenumeruje, widać, że dla niego dobre, gdyż nikt pieniędzy daremnie w błoto nie rzuca, dla kogo zaś złe, nie potrzebuje prenumerować i czytać i — gotowa zgoda. Aż po latach pokaże się czyja praca była zbawienną, kto był sprawiedliwym; Rusinów z samozwańczym patentem na ruski patryotyzm, my nie znamy“. Słuszna odprawa i zbawienna uwaga, gdyż patryotów z własnym patentem namnożyło się, osobliwie w naszych czasach, aż nadto wiele, natomiast nigdy dosyć tych, którzyby cichą pracą starali się zasłużyć na to zaszczytne nazwisko. Wydawnictwo to odznacza się nadto językiem bardzo czystym, w narzeczu Galicyjskiem, bez żadnej przymieszki ukraińskiej i rosyjskiej. Zachęcić więc tylko możemy Szan. Ks. Redaktora tego pisemka do dalszej pracy na obranej drodze.

Królestwo aktorów. Trafiło się *N. Reformie* tak mądrą rzecz powiedzieć i wyrazić ją tak dosadnie, że musimy ją dosłownie powtórzyć:

N. Reforma z 17 paźdz. „Królestwo śpiewaków i aktorów, „trwające już dosyć długo, za długo chyba, nie myśli się skończyć. „Wiadomo, że wykonawcy teatralni dochodzą do tej bezczelności, „iż żądają za swoje produkcye krocie. Żaden minister, żaden ge-

„nerał nie bywa tak wynagradzany, jak lepszy aktor lub śpiewak. „Autorowie znoszą dość często niedostatek, a wykonawcy ich opły- „wają w wszelakie dobra tej ziemi i zbierają oklaski i wieńce, na- „leżące się tym, których słowa ze sceny powtarzają.

„W tych dniach był znów Peszt widowiskiem bałwochwal- „stwa aktorskiego. Panna Ilka Palnay, śpiewaczka, rzucająca Wę- „gry dla Ameryki, dokąd jedzie po złote runo, żegnała się z pu- „blicznością ze sceny. Gdy wyszedłszy z teatru, siadała do powozu, „rozentuzyazmowany tłum wyprzągł konie i obwiózł śpiewaczkę „dwa razy około przybytku Melpomeny. Następnie, mimo złama- „nych dwóch kół, zawlókł ekwipaż przed mieszkanie pani Palnay, „wrzeszcząc: „Elien!“ — Cóż wart zapał tłumu, kiedy wynagra- „dza tak samo wykonawców teatralnych, jak bohaterów?“

Od Przeglądu Powsz. „Amen“.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Mowa Crispiego w Palermo. — Okólnik W. Wschodu włoskiego. — Mowa Ojca św. do robotników francuskich. — Nowy program hr. de Mun. — Skutki laicyzacyi szkół i prześladowania religii we Francyi. — Uniwersytety katolickie. — Otwarcie katolickiego uniwersytetu we Fryburgu. — Walka o szkoły wyznaniowe i święcenie niedziel w Austryi. — Zwycięstwo katolików bawarskich.

Długo naprzód zapowiadana, z wielkim patosem i teatralnym efektem wygłoszona mowa Crispiego w czasie bankietu, na który lubujący się nie od dzisiaj w tego rodzaju efektach, włoski prezes ministeryum kazał się zaprosić do Palermo, nie pokierowała wprawdzie dziejów świata na nowe tory — jak to czytelnikom swym usiłowały wytłumaczyć ministeryalne włoskie gazety — nie odsłoniła ani rąbka z zasłony, ukrywającej przyszłe dzieje świata; ale natomiast odsłoniła w całej pełni bolesny obraz zaciekłego wolnomularza, chełpiącego się przed swymi stronnikami z tryumfów odniesionych nad Papiestwem, zapowiadającego wprost walkę na życie i śmierć już nie tylko z Papiestwem, ale z chrześcijaństwem. Crispi w mowie swej przywłaszczył sobie bez ceremonii zasady wypowiedziane w czerwcu na *Campo dei Fiori;* niczem nie różniąc się w treści, przyznając się jawnie do tytułu apostoła bogini „Rozumu“, nieco zaledwie opolerował formę ulicznych mówców, sławiących ateizm nowego patrona odrodzonych Włoch — *Giordana Bruno.* Posta-

wiwszy jako nietykalną zasadę, co do której dwóch zdań być nie może, że Włochy miały naturalne prawo zabrać Rzym, ponieważ Rzym istniał jako miasto włoskie przed oddaniem go pod panowanie Papieżów, a panowanie to, choć bezwątpienia długie, stanowiło tylko pewien przechodni, tymczasowy peryod, — dowodził dalej Crispi, niemniej sofistycznie i bezczelnie, że dopiero po zaborze zajaśniało w Rzymie światło rozumu, wytrysnęło źródło wolności:

„W imię tej wolności zapewniliśmy Kościołowi możność zupełnego i stałego pełnienia wszystkich religijnych jego atrybucyj. Głowa katolicyzmu przemawia z wszelką wolnością ze Rzymu do swych wiernych i załatwia interesa, wchodzące w zakres powszechnych swych rządów. O to jedynie musieliśmy się starać, aby prawo kościelne nie zapuszczało swych zagonów na teren zajęty przez prawo narodu i prawo rozumu. Stąd wypłynęły pewne prawodawcze ostrożności, które zresztą przywołaliśmy na pomoc w daleko niższym stopniu, niż wszystkie inne katolickie państwa; stąd popłynęła wolność, pozostawiona równie katolicyzmowi, jak i każdej innej umysłowej zasadzie. Prawda, w nowszych nawet czasach znalazł się człowiek, który zgodził się przyjąć w Rzymie urząd dozorcy więzienia, przeznaczonego dla Włochów; ale Włochy bądź co bądź nie mogą, jeśli nie chcą dopuścić się samobójstwa, podjąć się roli dozorcy więzienia, w którem zamknięte by być miały sumienia. Niech więc każda wiara żyje własną swą potęgą. Niech Kościół stara się własnymi siłami wiek nasz zwyciężyć; niech się stara ubezwładnić cztery stulecia, w czasie których wolne badanie święciło swe tryumfy; niech usiłuje skuć na nowo Promoteusza, który choć walki Bogu nie wypowiada, zechciał mu jednak bliżej się przypatrzeć, i pod sąd swój go poddać; niech próbuje i teraz jeszcze, gdy Promoteusz ten zażądał i otrzymał na ziemi wolność, zastraszyć go gromami niebieskimi!... Zadaniem naszem walczyć w obronie rozumu i dokazać tego, aby państwo włoskie stało się jego oczywistym wyrazem. Oto, co musimy wywalczyć. Rząd to zrozumiał i w tem jego zasługa, a obok zasługi pociecha, że idą za nim krok w krok całe Włochy żyjące, wszyscy myślący ludzie".

Jasne to, tak jasne słowa, że wielu z najbliższych sojuszników *Crispiego* zlękło się tego potopu bluźnierstw; inni zapytali

z niechęcią, czy to zupełne zrzucenie maski nazwać można roztropnem; inni jeszcze, czy szaloną dumą natchnionym wyrazom nie odpowie niebawem, jak zawsze odpowiadała w historyi świata, zasłużona kara. Takie nawet gazety, jak *Popolo Romano*, *Perseveranza*, *Fanfulla*, wystąpiły przeciw urzędowemu kultowi *Crispiego* dla „Bogini rozumu“ w całym szeregu ostro a jędrnie napisanych artykułów: „Bądź co bądź — czytamy w *Fanfulli* — ogłoszenie racyonalistycznego państwa ludowi, mającemu silną wiarę i rządzącemu się zasadami, podyktowanymi przez tę wiarę, trudno, co najmniej, nazwać roztropnem. Lecz pomijając już tę kwestyę, napotykamy w samej mowie szereg sprzeczności, których wytłumaczenie przechodzi granice zwykłego ludzkiego rozumu. Pozwolimy tylko sobie zadać parę pytań.

1) Jeżeli Włochy głoszą i inaugurują erę wolności sumienia, jakże mogą jednocześnie propagować kult racyonalizmu?

2) Czy wolno za panowania tej bezwzględnej wolności głosić krucyatę za wprowadzeniem wynalezionej przez prezesa ministrów „religii dobrego“?

3) Jaką właściwie religię każe nam minister wyznawać?

4) Czy pierwszy artykuł *statutu* został już przemazany, czy też jeszcze nietknięty istnieje?“

Opinia publiczna zaniepokoiła się, i dlatego nadworny organ Crispiego, *Riforma* usiłowała w dwuznacznych, co prawda, wyrazach przedstawić program prezesa ministrów, jako zupełnie niewinną, wyłącznie w zakresie teoryi obracającą się, do praktyki życia nie sięgającą tezę. Z drugiej strony, w odpowiedzi na ostatnie pytanie przez *Fanfullę* zadane, rozeszła się po Rzymie pogłoska, że istotnie Crispi zamierza przekreślić pierwszy artykuł *statutu*, mocą którego religia katolicka uznaną jest dotąd za panującą we Włoszech. Pogłoska ta napozór brzmi nieprawdopodobnie, a jednak, kto zwróci uwagę na systematyczne prześladowanie religii katolickiej przez rząd włoski, kto przypomni sobie, z jaką bezwzględnością uciekano się w tym kierunku do wszelkich możliwych, i zdawałoby się niemożliwych środków, prawdopodobieństwa jej nie odmówi. Do tego przecież jawnie, jako do jednego z głównych swych celów, zdąża wolnomularstwo włoskie; a jak dalece *Crispi* jest narzędziem w rękach sekty, jak rząd włoski dokładnie spełnia dane przez nią po-

lecenia i rady, o tem przekonać się łatwo, choćby tylko z ostatniego okólnika *Wielkiego Wschodu* włoskiego do podległych sobie lóż. Ciekawy to dokument, tem ciekawszy, że służyć on może jako naturalne wytłumaczenie i uzupełnienie mowy *Crispiego* w Palermo:

„Wielki Wschód zwraca się do Braci i do Lóż Wyższych Włoch w nadzwyczaj ważnej sprawie, od której zależy tryumf ludzkości i prawdy w walce przeciw wszelkim pozaświatowym naukom, płynącym ze szkodliwego instynktu, wiodącego do teokracyi i nadprzyrodzonych religij i do najsilniej zakrzewionej religii katolickiej. Pamiętacie dobrze o pracach podjętych dotychczas w imię polityki i administracyi włoskiej, dla utrwalenia Włoch, utrwalenia i wprowadzenia w życie humanitarnych zasad. Zwrócić tu przedewszystkiem należy uwagę na trzy wielkie historyczne fakta, stanowiące granitową podstawę dla wolnomularskiego ruchu we Włoszech, a mianowicie na: zniesienie zakonów, sekularyzacyę dobr kościelnych i zagładę władzy świeckiej. Przyczyniły się do tego i na wszelką pochwałę zasługują połączone usiłowania prasy i szkoły; jako wzór na przyszłość trzeba przedstawiać i propagować antyklerykalne wiece, manifestacye i stowarzyszenia".

„Ale na tem nie wolno nam poprzestać. Dobra wola rządu, który ze swej strony rozszerza niepodlegające dyskusyi teorye naturalistyczne, w przeciwieństwie do nauk objawionych, nie może dojść odrazu do praktycznych rezultatów. Wymagania polityki równie wewnętrznej, jak zewnętrznej, zmuszają nieraz rząd do rachowania się z przestarzałymi przesądami ludów i ze zwyczajami europejskich gabinetów, pracujących obecnie nad wielkiem dziełem zagłady państw katolickich, tj. odjęcia im katolickich cech i podziśdzień nieusuniętych naleciałości..."

„Przedewszystkiem należy lud przekonać, że wolnomularstwo nie ma przed sobą politycznych celów, ale zajmuje się jedynie dobroczynnością, zdąża do osiągnięcia pokoju, wolności i wyzwolenia umysłów z niewoli dogmatów i przykazań religijnych. Następnie powtarzać trzeba z naciskiem, że wolnomularstwo nie walczy z katolikami, ale z *klerykałami*, którzy psują i bezczeszczą katolicyzm, kompromitując go przez publiczne manifestacye i polityczne walki. Powtarzać wreszcie trzeba, że religia większej używa wolności i piękniej kwitnie w krajach, które, jak amerykańskie Stany Zjednoczone, przeprowadziły zupełne odłączenie państwa od Kościoła, i jak wiele na tem zależy, aby państwa nie zawierały na przyszłość z Kościołem konkordatów..."

„Dla osiągnięcia większego wpływu na wychowanie, posługiwać się możemy rozmaitą bronią. Jedną z nich jest wywoływanie agitacyj w celu odebrania szkół z pod zarządu gmin, a oddania ich pod bezpośredni nadzór państwa. Dla tego wyrabiać trzeba opinię, że gminy nie mają ani odpowiedniej nauki, ani wolności, że zbyt są zależne od drobnych interesów i namiętności, że nie są w stanie wywiązać się z trudnych a wielkich dydaktyczno-wychowawczych obowiązków. Dalej, należy roztropnie pouczać nauczycielów, że państwo hojnie ich nagrodzi, jeśli w myśl jego działać będą; starać się konsekwentnie o zdepopularyzowanie nauczycielów i nauczycielek, zachowujących cześć dla dawnych religijnych zasad, aby ich przymusić w ten sposób do opuszczenia stanowisk, na których zostając przeszkadzają postępowi ludzkości;

chwalić wychowanie humanitarne, wynosić błogie jego skutki w rodzinach; chwytać skwapliwie i rozgłaszać w powiększonych rozmiarach wszystko, co przynieść może ujmę pracującym po szkołach księżom i nauczycielom, podzielającym ich zapatrywania..."

„Niebawem rozeszlemy bardziej szczegółowe instrukcye. Tymczasem wszyscy członkowie naszego stowarzyszenia niechaj wiernie się zastosowują do tego programu, a tak przyspieszą dzień, w którym naturalizm zaśpiewa hymn odkupienia na ruinach objawienia i religii. Wtedy człowiek i ludzkość kroczyć będą bez przeszkód na drodze niczem nieograniczonego postępu, wytężając wyłącznie wszystkie swe siły do wytworzenia dla ludzi na ziemi szczęścia, którego niektórzy marzyciele spodziewać się każą w życiu przyszłem..."

Warto nawiasowo zwrócić uwagę, jak okólnik ten stwierdza słowo w słowo encyklikę Leona XIII. o dążnościach wolnomularstwa.

W kilka dni po pompatycznej mówce *Crispiego*, natchnionej i ułożonej wedle smutnych haseł i sekciarskich wskazówek danych przez lożę, przyjmował Leon XIII 2000 francuskich robotników, wykładał im w prześlicznej mowie chrześcijański program socyalny, napominał i uczył, że jedynie prawda przez wiarę Chrystusową światu objawiona, rozwiązać może i ona jedna dotychczas zwycięsko rozwiązywała i umysłowe i społeczne zagadki, ona jedna przynosi i zapewnia ludziom prawdziwą wolność, postęp i szczęście.

Zrozumieliście — mówił Ojciec św., którego słowa tu streszczamy — idąc za głosem zarazem serca i rozumu, że religia tylko udzielić wam jest w stanie siły i pociechy w bezustannej pracy, w przykrościach tego życia. Istotnie, religia jedna tylko może w duszę waszą wprowadzić nieśmiertelne nadzieje; ona jedna uszlachetnia waszą pracę, podnosi ją do wysokiej godności, wolnością otacza. Poganizm usiłował rozwiązać zagadnienia społeczne, odejmując wszystkim słabszym przysługujące im prawa: tworząc niewolników. Chrześcijanizm zwiastował światu, że wszyscy bez różnicy są dziećmi Ojca niebieskiego i dziedzicami Jego królestwa, pouczył, że każdy człowiek z samej swej istoty do pracy jest powołany; kto do pracy mężnie się bierze, temu cześć i ten daje dowód mądrości, kto się od niej usiłuje wymówić, ten zasługuje na nazwę tchórza i sprzeniewierza się zasadniczemu, świętemu obowiązkowi. Boski założyciel Kościoła poparł tę naukę własnym swym przykładem: nie miał gdzie głowy skłonić, doznać chciał

głodu i pragnienia. Do tej nauki i przykładu dołączyła się miłość, również przez Jezusa na świat wprowadzona; miłość ta połączyła biednych z bogatymi nierozerwalnym religijnym węzłem. Jedynie to możliwe rozwiązanie kwestyi społecznej, zapewniające każdemu w obec koniecznej nierówności panującej na świecie, znośne przynajmniej życie. Przez długie wieki nikt nie śmiał rzucić się do burzenia tego, zbudowanego przez Kościół gmachu społecznego, a dziś, gdy użyto wszelkiej broni, wszelkich środków, aby go zburzyć, okazuje się codzień jaśniej, występuje codzień gwałtowniej potrzeba odbudowania go na nowo w pierwotnej wspaniałości. Wrócić trzeba w tym celu do zasad i ducha chrześcijańskiego, wznowić w głównych zarysach, jeśli nie we wszystkich, nie odpowiadających już czasom dzisiejszym szczegółach, owe cechy i stowarzyszenia artystyczne i rękodzielnicze, które niegdyś wiarą przeniknięte, macierzyńską troskliwością Kościoła ożywione, zapobiegały materyalnym i religijnym potrzebom robotników, ułatwiały im pracę, broniły ich praw. Wrócić przedewszystkiem trzeba zupełnie i szczerze do zasad chrześcijańskich, z których naturalnym biegiem rzeczy popłynie harmonia i zgoda między robotnikami a chlebodawcami, pracą a kapitałem.

Tysiące robotników, obok Was pracujących, a fałszywymi teoryami uwiedzionych, szukają lekarstwa na swe choroby w usunięciu samej niejako istoty politycznego i cywilnego społeczeństwa, w zniszczeniu własności. Próżne to illuzye! Nieszczęśni ci, występujący do boju przeciw nieodmiennym prawom rządzącym światem, zakrwawią drogi, którymi iść będą, zarzucą je gruzami, zasieją na nich nieład i nienawiść; ale w ten sposób zwiększą tylko własną swą nędzę, ściągną na siebie przekleństwo dusz uczciwych. Ani zdążające do zupełnego przewrotu projekty, ani żadne ułudne, a błędne teorye, przynieść nie mogą pożądanego lekarstwa; zbawienne lekarstwo zależy wyłącznie na wiernem spełnianiu obowiązków, przypadłych w udziale każdej w szczególności warstwie społecznej; rzeczą i obowiązkiem Kościoła jest ogłaszać, przypominać i wpajać w serca wszystkich te prawdy i obowiązki. Klasy rządzące powinny współczuć z biedakami, zarabiającymi w pocie czoła na kawałek chleba; powinny założyć wędzidło nigdy nienasyconej żądzy bogactw, zbytków, przyjemności, aby tak i przykła-

dem świecić i być w stanie potrzebującym dopomagać; powinny silnie prawdą tą się przeniknąć, że ani prawa ludzkie, ani surowość trybunałów, ani najliczniejsze wojska nie zdołają same odwrócić grożącego społeczeństwu niebezpieczeństwa. Najskuteczniejszym środkiem, jedynym, który rzeczywiście może do celu doprowadzić, jest zabezpieczenie Kościołowi wolności, którą uposażony, wskrzesićby mógł w duszach przykazania Boże i rozciągnąć na wszystkie warstwy społeczne zbawienny swój wpływ. Za pierwszym tym najważniejszym krokiem poszłyby naturalnie mądre prawa i roztropne rozporządzenia, gwarantujące interesa klas pracujących, wieku dziecinnego, słabości i domowego posłannictwa kobiety, zabezpieczające niedzielny odpoczynek.

„Chlebodawcy uważać winni w robotnikach bliźnich swych i braci, starać się, o ile podobna, los ich polepszać, czuwać nad interesami ich duszy i ciała, budować ich własnym przykładem, nie przekraczać nigdy w stosunkach z nimi, goniąc za wygórowanym zyskiem, granic sprawiedliwością nakreślonych".

„A teraz wracajcie, umiłowani Synowie, do ojczyzny waszej, do Francyi, w której mimo chwilowych, osobistych obłędów, nie zmniejszył się nigdy zapał dla cnoty, nie zbladła gwiazda wspaniałomyślności i ofiarności. Wracajcie do domów waszych, a postępowaniem waszem składajcie dowód, że w stowarzyszeniach, w których panują religijne zasady, panują jednocześnie: miłość braterska, pokój, karność, trzeźwość, przezorność i oszczędność. Idźcie, a łaska Boża niech wszędzie wam towarzyszy, niech was nie opuszcza, opieką swą otacza, podtrzymuje w trudnościach i niech sił wam dodaje, dając kosztować z puhara niewypowiedzianego wesela, które płynie z cnoty i z pewnej nadziei lepszego życia w ojczyźnie żyjących".

„Trzebaby być prawdziwie najzagorzalszym fanatykiem — pisze *Temps* o tej mowie Papieża — aby nie uczuć głębokiej sympatyi na widok usiłowań, podejmowanych przez miłość ożywiającą Kościół katolicki, w celu przyprowadzenia do skutku reformy egoistycznych nadużyć, w celu zapewnienia znośniejszego bytu, ulżenia nędzy, polepszenia stanu społecznego miljonów i miljonów ludzi.

Niepodobna bez uwagi i czci słuchać rad, udzielonych w tej mierze przez usta Głowy Kościoła...“

Katolicy francuscy, których znaczna liczba oddawna już zrozumiała, że odbudowanie katolickiej Francyi rozpocząć należy od fundamentów, i kwestyi socyalnej przed wszystkimi innymi szczególną poświęca uwagę, wzięli z mowy Papieża pochop i zachętę do dalszej na szersze rozmiary, z większą jeszcze niż dotąd energią prowadzonej pracy w kierunku przez mowę tę wytkniętym. W przekonaniu tem utwierdził ich jeszcze niezbyt dla monarchistów pomyślny, ale będący skąd inąd, jak zgodnie przyznano, wymownym protestem przeciw wszelkiego rodzaju laicyzacyom i prześladowaniom religijnym, wynik ostatnich wyborów do francuskiego parlamentu. „Jeśli skutecznie i zwycięsko chcemy działać — mówi dziś jawnie i głośno hr. *de Mun*, i otaczające go, z dnia na dzień zwiększające się kółko ściślejszych zwolenników — wtenczas na pierwszem miejscu naszego programu powinniśmy postawić nie przywrócenie monarchii, lecz reformę socyalną w duchu chrześcijańskim“. Zasłużony założyciel i kierownik katolickich „Kółek robotniczych“, którymi dziś cała Francya jest zasianą, wyłożył ten program w ogłoszonej za swoim upoważnieniem, rozmowie z *P. Stead*, redaktorem londyńskiej *Pall Mall Gazette:*

— „Na czem — pytał redaktor — opierasz Pan nadzieję lepszej przyszłości dla swego kraju?“

— „Na Kościele. Jedni tylko katolicy mają dość niezależności, spójności i siły, aby podjąć energicznie i z nadzieją zwycięstwa kampanią w obronie kraju przeciw garstce wszechmocnych finansistów i feudalnymi węzłami złączonych z nimi polityków. Ale pod nazwą katolików oznaczam tu ludzi, którzy bezwarukowo i na pierwszem miejscu są katolikami, a na drugiem dopiero miejscu należą do jakiegoś politycznego stronnictwa. Gdyby zechcieli tylko iść za przykładem danym w Anglii przez kardynała *Manninga*, to ruchowi temu nikt i nic oprzećby się nie mogło. Nie mylę się podobno sądząc, że Papież Leon XIII, tak żywo zajmujący się kwestyami społecznymi, a który głośno pochwalił działalność kardynała *Manninga* w czasie ostatniej zmowy londyńskich robotników, zachęciłby z radością episkopat, kler i robotników francuskich do postępowania tą drogą. Ale jeśli konserwatyści chcą

stanąć na czele tego rodzaju ruchu, muszą zrzucić ze siebie jarzmo dynastycznych trosk, i zająć stanowisko odrębne i niezależne od jakichbądź politycznych stronnictw".

Zawiązanie stronnictwa, mającego na pierwszym planie na oku, — jak tego żąda *hr. de Mun*, — obronę interesów katolickiego Kościoła i katolickiego ludu, niezmierne miałoby znaczenie i choć zwolna, sprowadziłoby podobno losy i rządy Francyi na inne, lepsze tory. Wszyscy tu dzisiaj, prócz garstki zaciekłych masonów, znużeni walką kulturną; wszyscy, prócz czerwonych radykałów, głośniej lub ciszej wyznają, że katolikom oddawna niesprawiedliwość się dzieje, i że na niesprawiedliwości tej, na usuwaniu i prześladowaniu religii cała Francya nie pod jednym tylko względem dotkliwie cierpi. Tak, aby jeden tylko przykład przytoczyć, sprawozdanie, złożone w ostatnich paru miesiącach ministrowi oświaty o nauce „moralności", która wedle dzisiejszego planu szkolnego zastępuje urzędowo naukę „religii", przejąć mogą i przejmują zbyt słusznym strachem nawet i tych, którzy chełpią się, że w nic nie wierzą. „Dawniej, — czytamy w streszczeniu z tych sprawozdań, ułożonem dla użytku ministra — nauka religii i nauka moralności tak ściśle ze sobą się łączyły, że wielu bardzo nauczycielów po usunięciu pierwszej osądziło, że i druga została usuniętą. Z tej przyczyny istnieją całe okręgi, w których nauka moralności, pomimo litery prawa, absolutnie nie ma miejsca. Sprawozdawca z *Angoulême* pisze: „Na sto szkół mego okręgu, w sześćdziesięciu zupełny jest brak wychowania moralnego; lekcya trwa od trzech do pięciu minut i obraca się zawsze w kole czysto praktycznem, nigdy prawie do wyżyny zasad się nie podnosząc". Sprawozdawca z *Limoges* donosi: „Nikt nie wykłada nauki moralności w szkołach mego okręgu". Podobne skargi dochodzą z *Clamecy* i z *Cosne:* „Nauczyciele nasi ani nie wykładają, ani nie rozumieją nauki moralności; brak im do tego zdolności, a bardziej jeszcze silnych przekonań. W największej liczbie szkół nauczyciel wtedy tylko występuje z praktyczną jaką nauką, gdy w szkolnym podręczniku spotka zupełnie przypadkowo zdanie, dające mu do tego odpowiednią sposobność. Gdzieindziej uczniowie kupić sobie musieli podręczniki do nauki moralności, i recytują je machinalnie na pamięć. Wielu mięsza pojęcie wychowania moralnego i obywatelskiego.

„O czem wykładałeś Pan dzisiaj na lekcyi moralności?“ — zapytał raz pewien inspektor, — a profesor odpowiedział z powagą: „Zastanawialiśmy się nad atrybucyami rady miejskiej“.

Jaką moralność zachowywać będą i zachowują praktycznie biedni ci uczniowie, którym teoretycznie w taki sposób, na śmiech chyba i wzgardę jest podawaną? Pewnego rodzaju odpowiedzią na to pytanie jest niedawno temu ogłoszony w urzędowym dzienniku *Temps* długi szereg młodocianych przestępców i złoczyńców. „Skąd pochodzi, — pyta *Temps* z naiwnem oburzeniem, — to coraz częściej zdarzające się przytępienie zmysłu moralnego u naszej młodzieży?“ Odpowiedź leży na dłoni: działają tu te same przyczyny, które mnożą samobójstwa, powiększają z dnia na dzień w przerażający sposób zastępy osób żyjących z występku, sprawiają, że ludność francuska nie rośnie, jak rośnie niemal we wszystkich innych krajach, lecz w niektórych prowincyach topnieje. Jak daleko Francya w tym kierunku zaszła, jak liczne a poważne niebezpieczeństwa z tego powodu jej grożą, okazuje wymownie statystyczna tabliczka, ułożona wedle urzędowych źródeł przez paryską *Révue Socialiste*. W r. 1886 znajdowało się we Francyi:

248.188	rodzin,	mających	7	dzieci
313.400	„	„	6	„
549.693	„	„	5	„
936.853	„	„	4	„
1,512.054	„	„	3	„
2,265.317	„	„	2	„
2,512.611	„	„	1	„
2,073.205	„	„	0	„

A zatem połowa rodzin francuskich ma jedno dziecko, lub nie ma wcale dzieci; smutne to cyfry, nad którymi lamentuje nawet socyalistyczne pismo, i pyta, czy Francya sama chce sobie grób wykopać? Lecz czyż w obec tak niewesołego stanu rzeczy, w obec szerzącego się gwałtownie, zwłaszcza przez szkoły, wrzodu niemoralności i niewiary, nie jest rzeczywiście obowiązkiem katolików francuskich usunąć wszystkie polityczne dążności i sprzeczki na dalszy plan, a tymczasem ratować zagrożoną ojczyznę. Obowią-

zek ten zrozumiał hr. *de Mun* i do spełnienia go wezwać zamierza wszystkich katolików; bodaj tylko, — jak obawiać się można, znając polityczne zacietrzewienie wielu konserwatystów, którzy zawsze jeszcze o tyle tylko uznają i cenią religię, o ile posłużyć im może jako środek do politycznych celów, — głos jego nie będzie głosem wołającego na puszczy!

Nie od dzisiaj starają się katolicy starego i nowego świata o zwrócenie wyższych, akademicznych studyów w koryto, z którego wypłynęły, przez zakładanie szczerze i wyraźnie katolickich uniwersytetów. Tak w ostatnich czasach powstały na wzór lowańskiej *Alma mater*, katolickie wszechnice w Paryżu, Tuluzie, Lille, Dublinie, Waszyngtonie, Bombaju; a w ostatnich tygodniach, 4 listopada, otwarty został założony przez szwajcarskich biskupów w porozumieniu z rządem kantonalnym, katolicki uniwersytet we Fryburgu. Mieszkańcy Fryburga i cały lud okoliczny brał udział w pięknej tej uroczystości, a mowy w czasie niej wygłoszone, łącząc harmonijnie cześć i miłość wiary, z czcią i miłością dla prawdziwej wiedzy, określiły jasno cel i ducha nowej tej instytucyi. „Wielkie to dzieło — jak słusznie je nazwał w swej przemowie słynny biskup *Mermillod* — dzieło święte i zaszczytne, które służąc chwale Bożej, odda zarazem nieocenione usługi rozwojowi umiejętności i krajowi, nieść będzie na wszystkie strony świata pochodnię wiary i wiedzy; cześć też należy się tym, którzy do dzieła tego się przyczynili: rządowi fryburgskiemu i ciału prawodawczemu, całemu ludowi i duchowieństwu; cześć profesorom, którzy z najróżniejszych krajów przybyli tu kształcić katolicką młodzież, nie z jednej Szwajcaryi tylko, ale jak silnie się spodziewamy, z całego katolickiego świata, i do tego — podnosząc i rozwijając ten uniwersytet we wszystkich kierunkach — stale dążyć będziemy".

Obecnie rozpoczęły się wykłady tylko na dwóch fakultetach: filozoficznym i prawniczym; w lecie otworzonym ma być fakultet teologiczny, a nieco później lekarski i przyrodniczy. Spis wykładów i profesorów, którzy już obecnie zajęli katedry uniwersyteckie, dowodzi najlepiej, że fryburgska wszechnica prawdziwie katolicka i międzynarodowa, może dziś śmiało mierzyć się z wszystkimi innymi, a niebawem zajmie z pewnością wyjątkowe pierwszorzędne stanowisko. Tak np. na fakultecie filozoficznym wykłada

znany u nas ze studyów swych literackich *Dr. Kallenbach* historyę literatury polskiej aż po koniec XVIII w.; *Dr. Grimme* język hebrajski i arabski; *Dr. Hess* język asyryjski, porównawczą gramatykę języka nowo-egipskiego i koptyckiego; *Dr. Wolff* psychologię; *Dr. Jacaud* prawo przyrodzone; *Dr. Horner* pedagogię; *Dr. Schnürer* historyę powszechną od Konstantyna W. aż do Karola W.; *Dr. Reinhardt* historyę powszechną od wyboru Karola V. aż do śmierci Filipa II; *Dr. Gremaud* krytykę historyczną; *Dr. Stephens* wstęp do paleografii; *Dr. Büchi* historyę Szwajcaryi aż do pokoju Bazylejskiego w r. 1499; *Dr. Effman* historyę sztuki; *Dr. Jostes* wstęp do studyum niemieckiej filologii; *Dr. Rabiet* historyę języka łacińskiego; *Dr. Bédier* odrodzenie poezyi francuskiej w XVI wieku; *Dr. Streitberg* historyę, metodę, problemata nauki o indo-germańskich językach; *Dr. Weymann* historyę rzymskiego eposu; *Dr. Sturm* historyę greckiej literatury aż do epoki Aleksandra W. — Na wydziale prawniczym wykłada dotychczas ośmiu profesorów. — Charakterystycznym jest szczegół, że wszyscy profesorowie, pragnąc ułatwić jak największej liczbie studentów pobyt w Fryburgu, zrzekli się czesnego.

Ustąpienie księcia *Liechtensteina* z parlamentarnej areny, stało się dla żydowskiej prasy wiedeńskiej sygnałem do entuzyastycznych hymnów tryumfalnych z powodu „ostatecznego pogrzebania reformy szkolnej“, z powodu „jawnej klęski klerykałów“. Czy reforma ta tak już pogrzebana, czy katolicy austryaccy tak na głowę pobici, jakby tego sobie życzyła *Neue Freie Presse* i pokrewne jej duchem dzienniki? Odpowiedzią na to odbyte dopiero co we Wiedniu obrady biskupów austryackich, którzy właśnie zastanawiali się podobno głównie nad reformą szkolną, potwierdzeniem i wprowadzeniem w życie uchwał katolickiego kongresu wiedeńskiego; odpowiedzią niemniej dosadną rozprawy o święceniu niedzieli w sejmie voralgberskim, o szkołach wyznaniowych, święceniu świąt i niedziel, roli i znaczeniu Kościoła w sejmie niższo-austryackim. Mowy przy tej sposobności przez katolickich posłów wygłoszone, okazują wiele, bardzo wiele ran w stosunkach szkolnych, moralnych, religijnych w Austryi, a na pierwszem miejscu

w Wiedniu; ale są zarazem pocieszającą oznaką, że katolicy austryaccy rany te i choroby znają, śledzą je, starają się im zaradzić.

Katolicy bawarscy znają również dobrze potrzeby swego kraju i nie od dziś zaradzić im się starają, ale wszystkie ich usiłowania odbijają się oddawna o złą wolę rządu, który nieraz już z dziwną bezczelnością, choć przegrał sprawę w parlamencie, nic sobie z przegranej nie robi i dalej idzie w raz obranym kierunku. Na obecnej sesyi sejmowej katolickie *Centrum* postawiło trzy wnioski, żądające zniesienia *placetum regium*, praktycznego uznania ze strony państwa, że starokatolicy nie należą do Kościoła katolickiego, lecz tworzą odrębną sektę, powrotu Redemptorystów do Bawaryi. Jak było do przewidzenia, prezes ministrów, a właściwie od dawnego już czasu wszechwładny rządca Bawaryi, *von Lütz*, oparł się tym wnioskom, i dowieść nawet usiłował, że *placetum regium* należy do samej istoty konstytucyi, a zatem prostą większością głosów zniesionem być nie może. „Tak np. – mówił prezes ministrów — rząd nie może absolutnie udzielić *placetum* dogmatowi nieomylności papieskiej, ponieważ zająłby natenczas stanowisko odrębne od innych rządów niemieckich, i ponieważ zawarta w uchwałach Soboru Watykańskiego zasada, że biskupstwo Papieża na cały świat się rozciąga, jest groźnem dla państwa niebezpieczeństwem. (sic!) Jeśli staro-katolicy sami sobie życzyć będą, to można im bez trudności przyznać prawa odrębnego stowarzyszenia religijnego; dopóki jednak sami uważają się za katolików, i rząd musi ich za katolików uważać. Wreszcie co się tyczy powrotu Redemptorystów, to rząd bawarski chętnie na to by się zgodził, ale rozstrzygnięcie tej sprawy należy do zakresu rady związkowej; jeśli uda się wykazać, że Redemptoryści nie są kongregacyą z Jezuitami spokrewnioną, natenczas rada związkowa zgodzi się z pewnością bez trudności na powrót ich do Bawaryi".

Rzecz prosta, że katolicy nie pozostali ministrowi dłużnymi odpowiedzi i ostatecznie przeprowadzili swe wnioski 82 głosami przeciw 79. Nie jest to jeszcze zwycięstwo decydujące, bo choćby i izba wyższa na uchwałę tę się zgodziła, to rejent, który z *Lütze*m ze względu na Berlin rozłączyć się nie może, lub nie śmie, najprawdopodobniej sankcyi odmówi. Katolicy bawarscy liczą się już dziś z tem prawdopodobieństwem i zamierzają w danym razie dać

rządowi wotum niezaufania i odmówić mu budżetu. Ostatni to możliwy parlamentarny środek, który w teoryi sprowadzić powinien koniecznie dymisyę ministeryum, lub rozwiązanie parlamentu; ale *Lütz* wie doskonale z własnego doświadczenia, że praktyka nie zawsze teoryi odpowiada, — i że mając w ręku siłę, można sobie spokojnie żartować, jak żarliwy ten obrońca konstytucyi sam sobie już nie jeden raz zażartował z parlamentarnych uchwał i konstytucyjnych zwyczajów.

Ks. Jan Badeni.

Obrazek z najnowszej historyi meksykańskiego liberalizmu.

Nowej a wymownej illustracyi, czem jest i jak w praktyce wygląda liberalizm masońskich rządów, dostarczyła w ostatnich miesiącach bardzo głośna za Atlantykiem sprawa wytoczona przez rząd meksykański przeciw kilku spokojnie chwałę Bożą rozszerzającym missyonarzom jezuickim, a w szczególności przeciw ich przełożonemu O. Antoniemu *Labrador y Ruiz.* Tysiące ludu cisnące się do kościołów na kazania i do spowiedzi, zwłaszcza w czasie missyj w *Leon* i *Quanajuato* były solą w oku meksykańskim wolnomularzom. Postanowiono bądź co bądź błogim tym skutkom przeszkodzić i nie długo czekano na odpowiednią sposobność. W kwietniu b. r. rozpoczęli missyonarze rekolekcyjne nauki w *Mineral de la Luz* i jak było ich obowiązkiem wystąpili przeciw fałszywym rządom liberalizmu a w szczególności przeciw bezwyznaniowym szkołom i małżeństwom cywilnym. Gubernator dowiedziawszy się o tym występku wydał nakaz przyaresztowania missyonarzów. Siła zbrojna wtargnęła 24 Kwietnia o siódmej wieczorem do przepełnionego wiernymi Kościoła; pobożni zdziwieni i oburzeni tym napadem chcieli bronić swych „ojców“, wszczęła się bójka, a wśród niej wielu zostało zranionych i skaleczonych. Ostatecznie żołnierze odnieśli zwycięztwo i missyonarzów i kilkunastu najżarliwszych ich obrońców uprowadzili do więzienia, tak że gdy w parę godzin później, przybył wezwany telegraficznie większy oddział wojska, nie miał zupełnie co robić. Proces toczył się kilka

miesięcy i jak łatwo domyśleć się, zajmował w najwyższym stopniu całą meksykańską a w ogóle amerykańską publiczność. Wreszcie d. 7go Września wyszedł wyrok, ogłoszony pod datą 10 Września, w osobnym dodatku wychodzącego *Quanajuato* „Periodico oficial"; wyrok skazujący O. *Labradora y Ruiz* na jedynaście miesięcy więzienia i zapłatę stu *pesos* lub w razie niemożności uiszczenia się stu dni więzienia; kilku obrońców missyonarzów na taką samą karę, a jednego z towarzyszów O. *Labradora*, na wydalenie z granic Meksyku, jako cudzoziemca. Dlaczego i na jakich podstawach wymierzoną została tak surowa kara? W odpowiedzi zacytujemy parę charakterystycznych ustępów wyjętych z sądowego wyroku którego tekst ogłoszony w urzędowej gazecie z *Guanajuato* mamy pod ręką [1]:

„Winę podsądnego Antoniego *Labrador y Ruiz* stwierdza najzupełniej własne jego dobrowolne wyznanie. Istotnie w śledztwie przyznał on, że na kazaniach głoszonych w *La Luz* mówił „między innemi rzeczami o obecnie toczącej się polemice przeciw liberalizmowi", a zapytany, coby rozumiał pod „liberalizmem", odpowiedział: „Jest to sekta, która odłączając się od Kościoła i powagę jego zapoznając, wyznaje nauki, zasady i idee liberalne"... Przeciw tymże ideom zwłaszcza w dziedzinę faktów wprowadzonym i zasadom, występuje *Syllabus* w licznych propozycyach, występował Pius IX w wielu „brewach" i allokucyach; podobnież potępia je i wyklina Leon XIII i nakazuje zwalczać z ambony i w prasie. Oto co mówi Leon XXII w encyklikach *Humanum genus* i *Immortale Dei*, i oto czego w kazaniach swych nauczał O. *Labrador*, jak sam wyznał i stwierdzają oskarżeni wespół z nim Jezuici: Stanisław *Mauleon* i Wincenty Ludwik *Manci y Rodriguez*. Jasnem zaś jest, że kto występuje przeciw liberalizmowi, występuje przeciw zasadom, na których opiera się rzeczpospolita nasza i rządzące nią prawodawstwo, a zatem konsekwentnie pobudzać musi do pogardy prawa, do nieposłuszeństwa państwa."

„Oskarżony wyznał również, że w kazaniach swych napominał ojców rodzin, aby nie oddawali swych synów do szkół rządo-

[1] *Suplemento al numero 12 del „Periodico oficial". Quanauata Septembre 10 de 1889.*

wych, albowiem nauka w nich udzielana, nie oparta na podstawie religijnej dobrą być nie może... Rzeczą zaś jest oczywistą, iż jeżeli jest obowiązkiem każdego rządu udzielać poddanym nauki stosownie do praw obowiązujących i że jeżeli prawa nasze w naturalnem następstwie odłączenia państwa od Kościoła, zakazują udzielać w szkołach nauki jakiejkolwiek religii: natenczas ten, kto napomina ojców rodzin, aby nie wysyłali dzieci swych do szkół publicznych, sprzeciwia się wprost spełnieniu zamiarów rządu; a ten kto doradza zarządzcom tych zakładów, jak doradzał oskarżony, aby starali się o wykłady religii katolickiej, chociażby wykłady te odbywać się miały p o t a j e m n i e, zachęca do nieposłuszeństwa istniejącym prawom..."

„Oskarżony, wedle zeznania świadków, uczył, że małżeństwo cywilne jest nieważnem; że oblubieńcy jedynie takiem małżeństwem związani, są wyklęci i muszą ponownie w obec Kościoła złożyć przysięgę małżeńską. Gdyby oskarżony użył był tylko wyrazu: „wyklęcie" nie byłoby w tem nic karygodnego, ponieważ „wyklęcie" oznacza „wypędzenie" ze zgromadzenia, odłączenie od Kościoła, słowem akt, który w czasach dawniejszych zwano: *segregatio, abstentio, abjectio,* a rzeczą jest oczywistą, że każde zgromadzenie ma prawo uważać za wykluczonego ze swego łona tego, który jak mniema, do przepisów jego i zasad się nie stosuje. W takim razie mogłoby się więc tylko rozchodzić o błąd kanoniczny. Natomiast kto oświadcza w obec słuchaczów, po większej części ludzi prostych i niewykształconych, że kontrakt małżeństwa cywilnego jest nieważnym, ten doradza tem samem i pobudza do nieposłuszeństwa przeciw prawom, które ustanowiły małżeństwo cywilne..."

O. Labrador ogłosił przeciw temu wyrokowi z więzienia *de Granaditas* uroczysty protest[1], zbijając niektóre fałszywe fakty i świadectwa i wyjaśniając naukę katolickiego Kościoła, którą wiernie zawsze opowiadał na blisko trzystu missyach w Europie

[1] *Protesta del P. Antonio Labrador y Ruiz,* Presidente de las Misiones del Mineral de la Luz. — Pod datą 14 września 1889.

i w Ameryce. Skazani założyli apelacyę do wyższego trybunału, ale jak twierdzą ludzie najlepiej z miejscowymi stosunkami obeznani, nie ma najmniejszej nadziei usunięcia, lub choćby tylko złagodzenia kary. Czerwone rządy meksykańskie podały sobie przez ocean ręce w prześladowaniu religii z despotycznymi rządami europejskimi i w drobnych nawet szczegółach z zadziwiającą działają harmonią. Jak np. podobny sposób myślenia, a rzecby prawie można wyrażania się między wyrokiem liberalnego sędziego z *Quanajuato*, a ogłoszoną przez nas w ostatnim zeszycie odezwą prawosławnego *Swiaszczennika!* — Historya prawosławnego i historya liberalnego apostolstwa godnie — a nie przypadkowo tylko — wzajemnie się uzupełniają.

Polska w Paryżu.

Był czas, gdy oczy całej Polski zwrócone były na Polaków mieszkających w Paryżu; stamtąd wychodziły pomysły i hasła różne, i zbawienie i zgubę niosące, tam, powiedzieć można, było ognisko narodowego naszego i literackiego życia. Od lat już wielu nadsekwańska stolica straciła dla nas to wyjątkowe stanowisko, ale pomimo tego istnieje w niej i dziś liczna kolonia polska, której losy — jak losy wszystkich naszych po świecie całym rozproszonych emigrantów — żywo nas obchodzić powinny, i żywo obchodzą. Obecne niejako dzieje tej kolonii opowiada nam mała, w kształcie polskiego przewodnika na czas wystawy paryskiej ułożona książeczka p. t. „Polska w Paryżu“ [1]. Szczęśliwa to była i słuszna myśl ułożenia takiego polskiego *Bädeckera*, pozwalającego odnaleść ślady tułacze w olbrzymiej stolicy, długoletniej przystani rozbitków krajowych zawieruch. Na podstawie tego Przewodnika, cyfr, imion i nazwisk troskliwie w nim zebranych kreślimy mały ten obrazek „Polski w Paryżu“.

Po dziś dzień, aczkolwiek z gromady dużej zaledwie pozostała gromadka, jak to już tęsknie zawodził *Bohdan Zaleski*, kolonia

[1] *Polska w Paryżu*. Drukarnia polska S. Niecińskiego, 1889.

polska stała czy niestała, poważnej dolicza się cyfry: jedni twierdzą, że 4000, drudzy, że dwa razy tyle. Zgasły już naczelne światła, które w swoim czasie takim blaskiem opromieniły naszą emigrancyę. Chcąc ich odszukać, należy podążyć na cmentarze paryskie, lub udać się do *Montmorency*, gdzie w około Mickiewicza gromadzą się drogie imiona i święte dla nas pamiątki. Za inicyatywą pani *Nabielakowej* powstała w r. 1884 komisya, mająca na celu utrzymywanie mogił polskich, — i jej to zawdzięczamy pobożne ich zachowanie. Rzewna to pielgrzymka, którą każdy ziomek w Paryżu odbyćby powinien, dla pomodlenia się za piękne dusze, które podniosłym wpływem i ofiarami całego życia przyczyniły się do uzacnienia naszej sprawy na obczyźnie, i do oddziaływania dodatnio choć z daleka na kraj cały, słowem i przykładem, pismem i cnotą.

Cała ta stara emigracya legła dziś w grobie, zażywając spoczynku, jakiego nie zaznała na ziemi, a zostawiła po sobie nie same tylko cmentarne pomniki, lecz i cały szereg pięknych instytucyj, które poniekąd dają miarę jej wartości. Na czele stoi misya polska przy kościele *Assomption*, tak wytrwale obsługiwana przez OO. Zmartwychwstańców, prawdziwych kapelanów i proboszczów tułaczej rzeszy. Lecz dzielny *O. Wilkowski* nie sam jeden przedstawia w Paryżu duchowieństwo polskie; prócz niego pracuje szesnastu z kolei naszych księży przy różnych paryskich świątyniach, a trudno się dziwić, że ich tam spora znajduje się garstka, bo gdzież niema polskich rozbitków. Wszakże nie dawno czytaliśmy, że polski reformat pasterzował w cieśninie Magellańskiej, a naszych parafij w Stanach Zjednoczonych liczba wciąż rośnie. Na czele świeckich zakładów stoi Towarzystwo historyczno-literackie wraz z Biblioteką polską, instytucyą, założoną zaraz po przybyciu naszych wychodźców do Francyi, a więc w 1832 r. Ofiarność generała *Zamoyskiego* i składki publiczne zapewniły towarzystwu i bibliotece odpowiednie umieszczenie, a konkurs imienia Niemcewicza, przez Zygmunta Krasińskiego ustanowiony, co dwa lata daje pochop różnym cennym dziejowym publikacyom. Najzasłużeńsze nazwiska znajdują się w poczcie członków towarzystwa; biblioteka liczy obecnie 50.000 dzieł i mnóstwo rysunków i medali. Od roku 1866 uznaną została przez rząd francuski na instytucyę użyteczno-

ści publicznej. To samo odznaczenie spotkało kilka innych polskich zakładów, a mianowicie szkołę polską na Batignolles, oraz Dom miłosierdzia św. Kazimierza. Piękne są roczniki owej szkoły Batiniolskiej, założonej w r. 1841, z której do r. 1867 wyszło bez mała tysiąc uczniów, a do dziś dnia poważny zastęp młodzieży otrzymuje odpowiednie wykształcenie. Liceum to związane z imieniem zasłużonego *Dra Gałęzowskiego*, wydało nadto z siebie stowarzyszenie byłych uczniów, utrzymujące koleżański węzeł i wydające osobny kwartalny Buletyn. Nie doczytujemy się ogólnej cyfry uczennic hotelu *Lambert* i założonego tam w r. 1844 instytutu panien polskich, ale wiadomo, ile ta szkoła przygarnęła córek tułaczych, zapewniając im wyższe wykształcenie. Później założona, może najpiękniejsza z pośród stowarzyszeń emigracyjnych instytucya „Czci i chleba", finansowo bodaj najpoważniej się rozwija, rozporządzając dziś już kapitałem 350.000 fr., z których przeważnie wypłacają się emerytury weteranom byłych wojsk polskich. Dziś jeszcze 76 pobiera wsparcie, a od zawiązania instytucyj otrzymało pensye i zapomogi 220 starców. Część ich pomieszczoną jest w zakładzie św. Kazimierza, gdzie Siostry miłosierdzia czuwają nad dwoma kresami życia, potrzebującymi serdecznego przytulenia, a więc nad starcami i sierotami emigracyi. „Towarzystwo dobroczynności dam polskich" należy do tego wieńca zasług i miłosiernej inicyatywy, który uwiła *ks. Adamowa Czartoryska*. Męska konfederacya św. Wincentego młodszą jest o ćwierć wieku, a początek swój odnosi do *Waleryana Kalinki*.

Wspomnijmy jeszcze Towarzystwo pracujących Polaków, Spójnię czyli związek polskich studentów, polską czytelnię, towarzystwo filharmoniczne, — ale to wszystko młodsze i mniej znaczące odrośle starszej i poważniejszej organizacyi. Owszem, ze smutkiem przychodzi stwierdzić, iż podobnie jak stara emigracya o całe niebo przewyższała młodszą, o tyle jej instytucye przerastały późniejsze stowarzyszenia. Dziwadła takie jak: „Związek narodowy" i „Skarb narodowy", powstały dopiero w ostatnich latach, nie przynosząc z sobą żadnej widomej korzyści, ani rzetelnej zasługi, owszem, niepokojące, bodaj niebezpieczne wydają hasła, o mniejszym zakresie i mętnych programatach. Minęły też świetne czasy prasy emigracyjnej. W miejsce *Wiadomości Polskich*, które się przyczy-

niły do wyrobienia większej w kraju politycznej dojrzałości, otrzymujemy demokratyczny *Głos polski*, radykalne *Wolne słowo polskie* i sycyalistyczną *Pobudkę*. Księgarnia luksemburska znajduje się w ręku *Władysława Mickiewicza*. Nadto są w Paryżu dwie polskie drukarnie: *Nieciuńskiego* i *Reifa*.

Pamiątek polskich rozsianych po stolicy nie wiele. Trzy zaledwie ulice upamiętniają stosunki z Polską, a mianowicie: ulica i pałac *Radziwiłłowski*, ulica *Kopernika* i bulwar *Poniatowskiego*. W kolegium francuskiem medalion Mickiewicza uwiecznia sławne o literaturze słowiańskiej prelekcye. Na łuku tryumfalnym *de l'Etoile* widnieją imiona pięciu wodzów polskich. W *Palais de Justice* biały orzeł w herbie Henryka III przypomina krótkie rządy Walezyusza, w *Saint Germain des Prés* pomnik Jana Kazimierza przedstawia monarchę składającego na ziemi berło i koronę. Mało co więcej uszczknął Autor „Przewodnika“ polskich po świątyniach paryskich pamiątek. Mniemamy, iż nie dość takowych szukał: wspomina np. w *Saint Séverin* M. B. Ostrobramską, dar *Andrzeja Towiańskiego*, a nie opisuje marmurowej płyty w *Notre Dame des Victoires*, tamże z ślubami wiernych Polaków umieszczonej.

Wypełnienia więc jeszcze w niejednym zapewne kierunku domaga się ten obrazek „Polski w Paryżu“; tymczasem, gdy lepszego i przedsięwziętego na większą skalę nie mamy, miło i z tego przypomnieć sobie o garstce rodaków, zapędzonych do tak nam niegdyś przyjaznej, dziś obojętnej, jeśli nie wrogiej francuskiej stolicy.

M.

Walka z niemoralnemi powieściami

Straszne spustoszenie, jakie szerzą złe książki, a zwłaszcza niemoralne romanse i powieści, coraz bardziej czuć się daje we znaki, i zmusza społeczeństwo do obrony przeciw tej prawdziwie epidemicznej klęsce. Tak w Szwajcaryi powstał niedawno temu z główną siedzibą w Lozannie „Szwajcarski Związek dla wyrugowania niemoralnej lektury“. Związek ten wydał odezwę do redakcyj gazet szwajcarskich, domagając się, aby w sprawozdaniach z morderstw i samobójstw ograniczały się na suchych faktach, a nie zapuszczały się w szczegóły, napełniające serce i wyobraźnię zatrutymi wyziewami występku. Na tenże sam przedmiot zwrócono energicznie uwagę w Australii. Świeżo, jak donosi organ księgarski *Publischers' Circular*, komisarz handlowy w Mel-

bourne, *P. Patterson* rozkazał zniszczyć bardzo znaczną liczbę przysłanych z Londynu na sprzedaż, niemoralnych, po największej części tłumaczonych z francuskiego romansów. Księgarz, który książki te zamówił, prosił o pozwolenie odesłania ich do Londynu, ale *P. Patterson* odparł: „Dlaczegoż zarażać mam Londyn chorobą, której wzbraniam wstępu do Melbourne; należy się ta moralna lekcya wszystkim, którzy zamyślaliby na przyszłość kupczyć w koloniach tego rodzaju obrzydłym towarem". Istotnie całe paki z naturalistycznemi powieściami poszły na pastwę płomieni, a nowe to *autodafè* nietylko nikogo nie zgorszyło, lecz owszem wywołało gorące pochwały ze strony australskiej prasy. Jeden np z najpoważniejszych organów australskich, wychodzący w Melbourne: *Daily Telegraph* tak się w tym względzie wyraża: „*P. Patterson* zasługuje sobie na wdzięczność wszystkich ojców i matek, słowem wszystkich, którym leży na sercu równie honor literatury, jak i miłość bliźnich... Nie mamy słów na wyrażenie, nie mamy liczb na dokładne odmierzenie całej nędzoty pomysłów, głupoty cuchnących tych, a zarazę występku szerzących, francuskich tłumaczeń... Tyfoidalne zarodki *Bavaya* przejmują społeczeństwo dreszczem przerażenia; ale lepiej pić zatrutą wodę, niż poić się zatrutą literaturą... Prawda, że i w niejednej skądinąd dobrej książce, znajdują się czasem mniej przyzwoite ustępy; ale autorzy tych książek nie rozmiłowywali się i nie nurzali się z profesyi w niemoralności, jak to czyni *Zola* w powieściach, które *P. Patterson* spalił tak słusznie i rozumnie..."

Czy nie będzie zbytniem barbarzyństwem z naszej strony, jeśli wyznamy, że i my przyklasnęlibyśmy z całego serca, widząc palące się stosy, ułożone np. z francuskich tłumaczeń, wydawanych w Gródku przez *Czańskiego*, z niemoralnych powiastek wydawanych „dla ludu i młodzieży" w Cieszynie przez *Feitzingera;* z chwalonych niestety! nawet w poważnych dziennikach i przez poważne wydawanych firmy, powieści *Feldmanna, J. H. Richtera* i t. d. i t. d.?

Druk ukończony dnia 28 listopada 1889 r.

SPIS RZECZY.

Artykuły o rzeczach współczesnych.

Stronnica.

Z WYCIECZKI NA GÓRNY SZLĄSK. Przez *Księdza z Krakowa* 71

Z WYSTAWY PARYSKIEJ. Przez *Ks. Maryana Morawskiego T. J.* 237

EMIGRACYA LUDU POLSKIEGO DO NIEMIEC. Przez *Ks. Jana Badeniego T. J.* 309

Artykuły naukowe i literackie.

SPOŁECZEŃSTWO W OBEC ROZUMU I WIARY. Przez *JŁ. Ks. Arcybiskupa Z. S. Felińskiego* 1, 157, 381

BISKUPSTWA I KLASZTORY POLSKIE W X. I XI. WIEKU. Przez *Dr. Wojciecha Kętrzyńskiego* (dok.) . . . 15

UBIORY PROFESORÓW I UCZNIÓW W UNIWERSYTECIE JAGIELLOŃSKIM w związku z współczesnymi zwyczajami (1364—1889). Przez *Dr. A. Karbowiaka* 28, 187, 344

BARTOSZ Z WISSEMBURGA. Szkic historyczny. Przez *Ernesta T. Breitera* (dok.) 44

Stronnica.

Sprawa pokucka za Aleksandra. Przez *Antoniego Borzemskiego* 169, 361
Francuz w Syberyi 200
Z przeszłości uniwersytetu krakowskiego. Wisnka-Wistka, św. Floryan, Ks. Dr. Wyszuka i Marcin Bielski. Przez *Dr. Władysława Wisłockiego* . 226
Z archeologii chrześcijańskiej w ostatnim lat dziesiątku 397

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

De catholica Facultate theologica in universitate litterarum olim Vilnensi. *Franciscus Albinus Symon (Ks. Chotkowski).* 100
Głosy prasy zagranicznej w obec ostatnich wypadków rzymskich. Zebrał i opracował *Ks. Marceli Dziurzyński.* 113
Za Apeninami, wiązka wspomnień podróżnych. Przez *Stanisława Bełzę* 114
Monumenta Poloniae historica. T. V. *(F. Bostel)* 262, 410
Wydawnictwa Akademii Umiejętności w Krakowie. Biblioteka pisarzów polskich. *(Czesław Pieniążek).* 269
Listy Narcyzy Żmichowskiej do rodziny i przyjaciół, opatrzone wstępem. Wydanie wznowione 272
Pamiętnik Towarzystwa literackiego imienia A. Mickiewicza, pod redakcyą *Romana Pilata.* Rocznik drugi . . 420
Stanisława Mińskiego 1563—1607. Sposób odprawowania poselstwa z obedyencyą do Rzymu. Wydał *Dr. Józef Korzeniowski* 423

Z piśmiennictwa zagranicznego:

Le crime, étude sociale. Par *Henri Joly* 114
Saint Grégoire vii et la réforme de l'Eglise au onzième siècle. Par l'abbé *O. Delarc* 121
La croix rouge de France, société de secours aux blessés militaires de terre et de mer. Par *Maxime du Camp* . . 122
Prasa prawosławno-rosyjska na ziemi polskiej. *(A. Szarłowski)* 274
Congrès bibliographique international, tenu à Paris du 3 an 7 avril 1888 sous les auspices de la *Société bibliographique* 286
Au Pays des Castes. Par *Stefan Coubé S J.* 288
Die Volksschule Oesterreichs von Einst und Jetzt. — Die vor- und nachmärzliche Mittelschule Oesterreichs. — Die Universitäten Oesterreichs und die Collegiengelderfrage 288

Stronnica.

Rzut oka na najnowszą niemiecką literaturę 1888—1889. *(Ks. A. Arndt)* 425

Rozmaitości 123, 290, 436

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Październik.

Sprawy Kościoła: Wiece katolików czeskich, szląskich i niemieckich. — Mowa Windthorsta w Bochum. — Zamierzone wiece katolickie w Poznańskiem i w Prusach Zachodnich. — Antykościelne manifestacye we Włoszech. — Okólnik ministra Théveneta do biskupów francuskich. — Encyklika papieska o nabożeństwie do N. Panny i św. Józefa. Przez *Ks. Jana Badeniego T. J.* 128

Z Malty: IV. Katolicyzm na Malcie. — Przypadek oficera angielskiego. — Różne objawy życia pobożnego. — Patron kraju św. Paweł. — Mnogość duchowieństwa. — Dwie dyecezye. — Łatwość otrzymania święceń kapłańskich. — Dzieci prałatami. — Klerycy. — Zakony. — Przyjazne usposobienie rządu dla Kościoła. — Massoni Przez *Zdzisława Bartkiewicza T. J.* 144

Z Mołdawii: Nieznajomość stosunków panujących w Rumunii. — Najnowsze książki o tym kraju. — Zachowanie się rządu względem katolików. — Usposobienie prawosławnych Rumunów dla katolickiego Kościoła. — Polemika religijna. — Prawosławni biskupi. — Duchowieństwo katolickie i jego prace. — Trudności i niebezpieczeństwa grożące katolikom. — Katolickie kościoły i szkoły 147

Korespondencya Redakcyi 156

Listopad.

Sprawy Kościoła: Katolicki kongres bawarski. — Kongres „ligi ewangelicznej“. — Protestanckie hece. — Obrady kleru anglikańskiego. — „Pokój kardynała“ Manninga. — Projekt anglikańskiego zakonu. — Udekorowane zakonnice francuskie. — Cofnięcie się ks. Liechtensteina. — Holenderska nowella szkolna. — Ugoda Rosyi z Watykanem. Przez *Ks. Jana Badeniego T. J.* 291

Jenerałowie bogobojni w Austryi 302

Wschodnia szkoła pod wezwaniem św. Jana Chryzostoma . 307

Stronnica.

Grudzień.

Sprawy Kościoła: Mowa Crispiego w Palermo. — Okólnik W. Wschodu włoskiego. — Mowa Ojca św. do robotników francuskich. — Nowy program hr. de Mun. — Skutki laicyzacyi szkół i prześladowania religii we Francyi. — Uniwersytety katolickie. — Otwarcie katolickiego uniwersytetu we Fryburgu — Walka o szkoły wyznaniowe i święcenie niedziel w Austryi. — Zwycięstwo katolików bawarskich. Przez *Ks. Jana Badeniego T. J.* 440

Obrazek z najnowszej historyi meksykańskiego liberalizmu 453

Polska w Paryżu 456

Walka z niemoralnemi powieściami 459

Wydawca i redaktor odpowiedzialny Ks. M. Morawski. T. J.